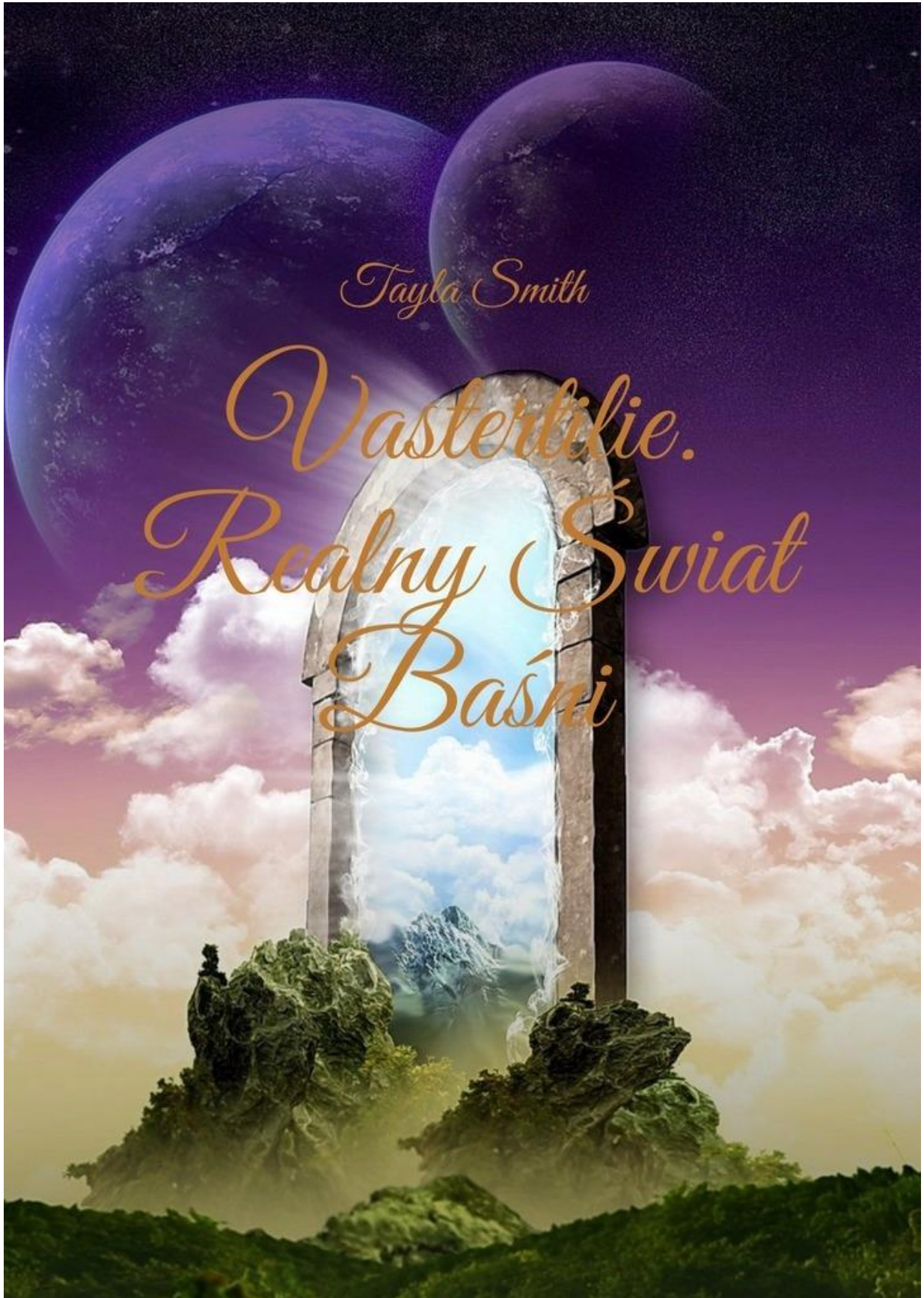


Tayla Smith

*Vastertilie.
Realny Świat
Baśni*



Tayla Smith

Vastertilie. Realny Świat Baśni

© Tayla Smith, 2016

Dion McKinley jest w zupełności zwyczajną nastolatką z Long Beach w Kalifornii. A przynajmniej za taką chce uchodzić. Niestety, pewnego pięknego, majowego dnia jej przyszłość, o której do tej pory z powodzeniem zapomniała, wraca — na parapecie jej sypialni zjawia się gryf, posłaniec od jej byłego nauczyciela, z niepokojącymi wieściami. Jej świat, równoległe do naszej Ziemi Vastertile, jest w poważnym niebezpieczeństwie i tylko ona może go uratować. Czy jej się uda? I kim tak naprawdę jest Dion?

ISBN 978-83-65236-46-3

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Vastertilie. Realny Świat Baśni

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

Rozdział XXXII

Rozdział XXXIII

Rozdział XXXIV

Rozdział XXXV

Rozdział XXXVI

Rozdział XXXVII
Rozdział XXXVIII
Rozdział XXXIX
Rozdział XL
Rozdział XLI
Rozdział XLII
Rozdział XLIII
Rozdział XLIV
Rozdział XLV
Rozdział XLVI
Rozdział XLVII
Rozdział XLVIII
Rozdział XLIX
Podziękowania

I wanna sing

I wanna shout

I wanna scream till the words dry out

So put it in all of the papers

I'm not afraid

They can read all about it

Read all about it...

Emeli Sandé "Read all about it"

Rozdział I

— Lara, wejdiesz wreszcie do tej wody, czy nie? — z niecierpliwością patrzę na przyjaciółkę, ciągle nie mogącej się zdecydować. — Wcale nie jest tak zimno — dodaję, jak zwykle z resztą rozgryzając jej obawy.

— Dion, kochana ty moja, doskonale wiesz, że ja boję się surfować — odpowiada, błyskawicznie wynajdując kolejny argument przeciw, tym razem powołując się na swoją rzekomą fobię. Oczywiście pominiemy to, że wielokrotnie widziałam ją w wodzie... A fobia pojawia się sama z siebie, wtedy, kiedy jest to jej najwygodniejsze...

Nieznacznie przestępuje przy tym z nogi na nogę, po czym rozpoznaję, że powoli zaczyna poddawać się sile mojej perswazji.

— Ale przecież wcale nie musisz surfować — od razu mam przygotowaną odpowiedź. — Pomijając fakt, że kiedyś przydałoby się nauczyć, nie sądzisz? — „I to, że tak doskonale wychodzi ci udawanie”, dodaję w myślach.

— Kiedyś tak, ale niekoniecznie dzisiaj. Chociaż, może... — widząc moją minę, niepewność dziewczyny wzrasta z każdą chwilą. I już ma wejść do wody, gdy dość spora fala oblewa jej nogi aż do kolan, sprawiając, że gwałtownie odskakuje. — Nie, nie licz na to, że ja tam wejdem! Za zimna! A z resztą, mówiłam ci, że to naprawdę zły pomysł, przychodzić na plażę w maju...

— Tym bardziej, że masz jeszcze tyle nauki, a egzaminy już za dwa tygodnie — ostentacyjnie wywracam oczyma.

— Śmieję się, śmieję! — Lara patrzy na mnie obrażonym wzrokiem. — Ty nie wiesz, co to znaczy zakuwanie po nocach, byle tylko zdać, ale zobaczysz, kiedyś się przekonasz!

— Jasne — uśmiecham się złośliwie. — Ja mam już naukę za sobą. Nie pamiętasz, że kiedyś mówiłam ci, że uczyłam się prywatnie? Szkołę skończyłam mniej więcej trzy lata temu, a i tak wiem więcej od ciebie!

— Wielkie mi co! Ja, jak miałam czternaście lat, wołałam się skupiać na innych rzeczach, niż na nauce.

— I widać ci zostało — prowokuję wściekłe spojrzenie przyjaciółki. — Co mam niby poradzić ci na to, że moi rodzice woleli, żebym uczyła się prywatnie i dzięki temu teraz nie muszę zakuwać po nocach, by zdać? Ale wiesz, jutro jest już sobota, to mogę ci pomóc. Lekcje też mogę za ciebie zrobić...

— Miło, że chcesz się tak dla mnie wysilić, ale jednak wolę popatrzeć z plaży. Poza tym, zaraz muszę się już zbierać, wiesz, mam korki z matmy... — tłumaczy się dziewczyna.

— A ile razy powtarzałam jej, że mogę pomóc, a ta nie... — mruczę pod nosem. — Rób, jak chcesz — dodaję głośniej i wzruszam ramionami. Potem

zauważam nadchodzącą falę i, chcąc ją złapać, przekręcam się w jej stronę i staję na desce. To, co w tym momencie robi moja BFF, aktualnie nie bardzo mnie obchodzi.

Dosłownie żyję już rozpierającą mnie radością na samą myśl o tej odrobinie adrenaliny... i nagle czuję rozdzierający ból w prawej łydce. Zerkam kątem oka na długą bliznę, znajdującą się w tym miejscu. Skurcze i ona stanowią pamiątkę po wydarzeniach sprzed dwóch lat.

Przyklękam, chcąc odciążyć dokuczającą nogę, równocześnie zapominając o nadchodzącej fali. I to jest mój błąd — kilka sekund później dosłownie zostaję zmieciona przez pędzącą wodę.

Pod powierzchnią jest cicho i spokojnie — nie ma nic, po prostu pustka, pełna harmonia... i ciemność.

Właśnie, ciemność... Otwieram oczy, które zamknęłam, chcąc chronić przed gwałtownym uderzeniem, i zaczynam rozglądać się w poszukiwaniu deski.

Jakieś dwie sekundy później orientuję się, że odruchowo wstrzymuję oddech, więc, nie chcąc utrudniać sobie poszukiwań, biorę głęboki wdech przez nos.

Cóż... już nie raz i nie dwa moje ciało dowiodło, że całkowicie się odróżnia od ciała najnormalniejszej w świecie siedemnastolatki, i tak się dzieje i tym razem — zamiast, jak to powinno się zdarzyć wedle wszelkich praw fizyki i natury, zakrztusić się wodą, po prostu w jakiś dość dziwny sposób mój organizm odfiltrowuje z niej tlen, po czym wypuszcza pozostałości wraz z dwutlenkiem węgla ustami. „Kolejny profit wynikający z tego, że jestem, kim jestem, i pochodzę, skąd pochodzę”, uśmiecham się do siebie.

Ale dobra, dość tych zachwyków nad sobą. Teraz już na serio zaczynam się rozglądać za deską, w końcu nie chcę, żeby Lara niepotrzebnie się o mnie martwiła...

Zauważam ją tak około minuty później, zaklinowaną pomiędzy koralowcami.

Dwoma silnymi ruchami rąk podpływam do tamtego odcinka rafy. Znając przyjaciółkę, najpewniej już od dłuższego czasu odchodzi od zmysłów, gdzie też ja mogę się podziewać, więc, mając to na uwadze, staram się oswobodzić ten jakże drogi mi kawałek drewna możliwie jak najszybciej.

Na całe szczęście koniec końców mi się to udaje i wreszcie wypływam na powierzchnię (nie, żeby pod wodą było mi źle, ale nie mam najmniejszego zamiaru przyprawić moją towarzyszkę o zawał).

Kiedy już jestem częściowo wynurzona, siadam na desce, która pojawia się obok mnie, i z lekkim wahaniem zerkam na fale. Dzisiaj są takie ładne, a jutro ma się zmienić pogoda na o wiele bardziej bezwietrzną...

No ale dobra, nie będę taka... Wiem, że moja przyjaciółka może się teraz nieco niepokoić, a że straszna z niej panikara, może wkrótce postawić całą straż

nadbrzeża na równe nogi. A tak się składa, że rozgłos to coś, czego ostatnimi czasy staram się możliwie unikać...

Gdy już wychodzę na ląd, zaczynam rozglądać się za Larą. Moment potem lokalizuję ją rozmawiającą z jakimś przystojniakiem w kąpielówkach — najpewniej ratownikiem.

— Flirciara — szepczę pod nosem, doskonale wiedząc, na co się zanosi. Cała Lara... Zawsze wykorzysta okazję, w której może się odrobinę pobawić... No ale z drugiej strony, kto jej niby zabroni?

Zachodzę dwójkę od tyłu, nie chcąc przeszkadzać im w tej jakże uroczej pogawędce.

— Przecież mogło się jej coś stać — lamentuje dziewczyna. — Co prawda ona świetnie pływa, ale wiesz, nawet najlepszym mogą przytrafić się jakieś wpadki...

„Chyba, że ci najlepsi potrafią oddychać pod wodą...” — uśmiecham się do swoich myśli, po czym delikatnie wbijam deskę w piasek. Opieram się na niej, gotowa do dalszego podsłuchiwania — jakimś cudem jeszcze nie zauważyli mojej obecności, więc mam zamiar to wykorzystać. I przy okazji nieco się pośmiać z głupoty chłopaka, który nawet nie zauważy, jak ona owinie go sobie wokół palca...

— A jak twoja przyjaciółka wygląda? — pyta ratownik. — Jakieś znaki szczególne?

— Karnacja taka jak u albinosów, mlecznobiałe włosy, fioletowe bikini. Tak mniej więcej 173 cm wzrostu. A, i jeszcze różowe pasemka — błyskawicznie wymienia dziewczyna.

„A właśnie, że nie — uśmiecham się z rozbawieniem i zerkam na moje włosy — bo czarne!”. I tu właśnie widać kolejną moją osobliwość — moje pasemka zmieniają kolor pod wpływem różnych emocji. Standardowo mam czarne, albo białe (zależy od koloru włosów), pod wpływem wody robią się jaskraworóżowe...

— Tyle wystarczy — mówi chłopak. — Spokojnie, proszę się nie martwić, na pewno ją znajdziemy. Całą i zdrową — dodaje, widząc, że moja przyjaciółka znowu zamierza wpaść w histerię.

Przyznam szczerze, że w tej sytuacji dziwią mnie trzy rzeczy, nic więcej, i to wcale nawet niekoniecznie nie obecna reakcja nastolatki. Konkretnie, to po pierwsze, że jeszcze mnie nie zauważyli — jestem osobą dość rzucającą się w oczy. No ale jak widać, są w sobie aż tak zapatrzeni...

Na drugim miejscu jest to, że w sytuacjach kryzysowych Lara zawsze wszystko doskonale pamięta (bo na co dzień, to nie jest tak zawsze).

Po trzecie to że wszyscy faceci, z którymi za moją sprawą miała okazję flirtować, dawali się nabrać na te same, stare jak świat sztuczki...

I dopiero teraz (muszę przyznać, że tym razem trafiła jej się wyjątkowo oporna sztuka) ratownik decyduje się ją przytulić. Z pozoru ot tak, żeby ją po prostu pocieszyć, ale ja już doskonale wiem, jakie tak naprawdę są pozory. Bo czy kiedy facet przytula dziewczynę, chcąc ją na przykład uspokoić, ma zamknięte oczy i uśmiecha się z rozrzewnieniem?

Powoli, nieznacznie przesuwam się tak, by po otwarciu oczu mógł mnie zobaczyć i zareagować, bo w sumie mam już tego deczko dość...

Ale na szczęście się nie zawodzę — gościu w końcu musi odemknąć powieki, a potem cofa się z krzykiem na widok rozbawionego spojrzenia fiołkowych oczu, lustrujących całą tę scenę.

— Nie wiedziałam, że jestem taka straszna — stwierdzam rzeczowym tonem, jednocześnie próbując ukryć lekki uśmieszek, błąkający się po mojej twarzy, czym wywołuję dość spory rumieniec na policzkach chłopaka.

— Dion, ty żyjesz! — Lara wprost przesadnie rzuca się mi na szyję. Definitywnie po to, żeby pokazać, jak to wspaniałą i troskliwą jest przyjaciółką. — Nie zepsuj mi tego — mruczy mi do ucha ledwo słyszalnym tonem. — To taki sympatyczny chłopak...

Odsuwa się ode mnie, a po wyrazie twarzy ratownika odczytuję, że uważa, iż właśnie spełnił swój ratowniczy obowiązek.

— Skoro wszystko z tobą w porządku... — mówi, a ja uśmiecham się jeszcze szerzej. Z doświadczenia już wiem, na co się szykuje.

— Tak, wiem, wiem. Już spadam i nie mam najmniejszego zamiaru wam przeszkadzać — odwracam się, biorę deskę i zaczynam iść w kierunku koca.

Kiedy już mam torbę w ręku, rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie dość zdziwionemu facetowi, stojącemu koło mojej przyjaciółki.

— Koleś, na co czekasz? Nie zaprosisz jej na drinka? — pytam znaczącym tonem, po czym, nie czekając na reakcję, zaczynam iść w kierunku domu.

Udaje mi się jeszcze usłyszeć, jak chłopak mruczy pod nosem coś w rodzaju „w sumie dobry pomysł”, po czym proponuje mojej współlokatorce wspólny wypad do jednego z pobliskich klubów. Na to mogę tylko uśmiechnąć się szelmowsko. Nie pamiętam, ile razy w ten sposób ułatwiałam przyjaciółce zdobycie kolejnej zabawki...

* * *

W połowie drogi do domu ból w nodze, który na moment odezwał się, gdy byłam w oceanie, powraca. Ale tym razem nie ustępuje, przez co jest nie do zniesienia... Mimo tego jakimś cudem udaje mi się dojść — na szczęście nie mam daleko, tylko cztery przecznice...

Przekręcam klucz w drzwiach i od razu po wejściu opieram deskę o ścianę

przedpokoju. Tym razem zazwyczaj dziesięciminutowy, przyjemny spacerok okazał się męczarnią niemal nie do opisania, więc moim zdaniem odpoczynek zdecydowanie mi się należy.

Moment później, kiedy już odrobinę udaje mi się uspokoić rozkołatane przez wysiłek serce, odpycham się od ściany... i krzywię się z bólu. Ale mimo to nie rezygnuję, mam przecież świadomość, że za chwilę będę mogła wreszcie odpocząć... Więc z tego powodu idę do kuchni, robię sobie moje ukochane latte machiato (nie ma to jak nagroda za zadany sobie trud), potem biorę torbę, rzuconą wcześniej w przedpokoju i, zaciskając zęby w bólu, rozpoczynam karkołomną wspinaczkę po schodach na górę. Jedyne, co pomaga mi dojść do pokoju, to świadomość, że jak już znajdę się w moim azylu, wyciągnę koc, włączę ulubioną muzykę, wezmę jakąś fajną książkę... i sięgnę po środki przeciwbólowe, które od pewnego czasu trzymam w stoliku nocnym. Wszystko przez to, że ostatnio niezwykle często nawiedzają mnie potworne bóle głowy... Ot co, migrena, może i przeciążenie... W końcu to, czym się zajmuję, wiąże się z wykorzystywaniem sił psychicznych — bycie freelancerem, opracowującym taktykę rynkową dla firm wszelkiego sortu wymaga prawdziwego zaangażowania.

Ale w końcu mi się udaje — zlaną potem staję na puchatym, długowłosym dywanie (jakiś czas temu udało mi się zdobyć go w naprawdę okazyjnej cenie na aukcji), co jest wyraźnym znakiem, że wreszcie dotarłam do swojego miejsca na tym świecie.

Od razu rzucam torbę z rzeczami w kąt pomieszczenia. Kiedy wszystko mnie boli, nachodzi mnie jakaś taka bezduszość względem moich gratów i tak samo jest i tym razem — nie liczę się z tym, że przypadkiem mogłam coś zepsuć... Najważniejsze jest to, żeby jak najszybciej poznać się wszelkiego zbędnego balastu.

Potem biorę koc z pierwszej szuflady w komodzie po prawo od drzwi, sięgam po książkę i siadam na łóżku. Kawusię ustawiam na stoliku nocnym, nie zapominając oczywiście o popiciu nią odpowiedniej ilości środków przeciwbólowych — w końcu zależy mi na tym, żeby jak najszybciej przestało mnie męczyć... Następnie odpalam sobie ulubioną muzykę, obecnie soundtrack z *Pacific Rim*, opatulam się kocysiem, otwieram książkę na zaznaczonej stronie...

Czuję, jak po całym moim ciele rozplywa się takie milutkie ciepło. Na twarz wpływa mi zadowolony uśmiech — nic więcej aktualnie nie potrzebuję. Książka, muzyka, ciepło (bo mimo tego, że mamy już maj, jakoś tak zrobiło mi się strasznie zimno) — pełnia szczęścia...

Ale, niestety, jakieś pięć minut później do rzeczywistości przywraca mnie dźwięk przypominający rzucanie małych kamyczków o szybę.

Spoko... Czyli pewnie Lara znowu zapomniała kluczy... Nie raz to się zdarza, a wtedy muszę oderwać się od swoich zajęć, zejść na dół i jej otworzyć...

Ghhhhrrrrr...

Podchodzę do okna, chcąc się upewnić, czy to na pewno ona (nie mam najmniejszego zamiaru niepotrzebnie się fatygować na dół), ale nie zauważam nic poza orłem, siedzącym na parapecie. Dziwne... Orzeł tu, w Long Beach, tak zaludnionym mieście?

Kręcę głową ze zdziwieniem i zaczynam wracać z powrotem do mojego legowiska.

Zatrzymuję się jednak w pół kroku, kiedy dociera do mnie pewna niezwykle istotna prawda. Może faktycznie orzeł w Long Beach jest nietypowym zjawiskiem, ale co w takim razie mam powiedzieć o zwierzęciu, które właśnie znajduje się za szybą mojego pokoju?

Odwracam się na pięcie i dopadam kłamki okna, by Czym prędzej wpuścić stworzenie do środka.

Wygląda na dość zadowolone, bo wpatruje się we mnie czarnymi oczami wielkości dość sporych guzików i lekko rozchyła dziób. Ale co, choroba jasna, w moim pokoju, na moim stoliku nocnym, robi gryf, twór definitywnie pochodzący z innego, MOJEGO świata, o którym chciałam całkowicie i bezpowrotnie zapomnieć?

Nagle łapie mnie potworna migrena, mimo tego, że przecież dopiero co połknęłam sporą dawkę tabletek. Jest wyjątkowo silna, zupełnie, jak te, które miewałam tuż po przybyciu tu, na ten świat, po poznaniu Lary i przyjeździe do USA. Wtedy nie raz budziłam się w nocy z bezgłośnym płaczem i strasznym bólem głowy, wywołanymi bolesnymi obrazami z przeszłości...

Teraz już wiem, że to mi wcale nie minie. Tak jak i wtedy, dwa lata temu, ten rozrywający mi czaszkę ból jest zwiastunem niepowstrzymanej, bezlitosnej fali wspomnień. I to o tyle bardziej niepowstrzymanej, że blokowanej z powodzeniem przez cały mój pobyt tutaj...

I znów mam wrażenie, że galopuję na Goldierze po równinach Xetes, ze śmiechem odwracając się do podążającego za mną chłopaka. Potem wspólne tańce, spacer w świetle księżycy i wiele chwil spędzonych na najrozmaitsze sposoby...

Aż w końcu...

Mam wrażenie, że zablizniona rana, biegnąca przez całe moje serce, otwiera się na nowo. A ten psychiczny ból, który temu towarzyszy, jest tak silny, że po policzkach silnym strumieniem zaczynają płynąć mi łzy...

— Jeśli cię to pocieszy, to wiedz, że ja i wiele innych moich braci też uważamy, że Ertex to prawdziwy drań — rozmyślania przerywa mi chrapliwy głos, podobny nieco do krakania wrony. Jak widać czas sprawił, że zapomniałam, iż gryfy potrafią mówić. I że te wybierane na posłańców umieją czytać w myślach...

— Trochę pociesza, ale chyba nie przyleciałeś tu po to, żeby wypominać mi moją przeszłość? — odpowiadam, podchodząc do okna, co jest rozpaczliwą próbą

ratowania się od tego, co zaraz może nastąpić. Na razie nie patrzę na Iwizysko (skrót powstały od połączenia ptaszyska i Iwiska); muszę oswoić się z jego obecnością.

— Może czasem przydałoby się przypomnieć sobie o swoim przeznaczeniu... — zwierzę nie ustaje (zupełnie tak, jak przewidziałam) i przelatuje na parapet obok mnie. — Ale faktycznie, nie po to tu przybyłem. Jesteś potrzebna. Ertex planuje niemało namieszać... Ciągłe ma chrapkę na to, co mógłby osiągnąć z twoją niewielką pomocą. Prawdę powiedziawszy, nie do końca wiadomo, jak chce to zrobić, ale przekabacił już ymuli, wiesz, ludzi cienia.

— Doskonale wiem, kim są ymule. Ale niby co w związku z tym? — nie mogę oprzeć się, by to powiedzieć. Widać jestem naprawdę wiarołomna, skoro aż tak usilnie próbuję uciec od swojego przeznaczenia, które chyba właśnie się o mnie upomniało...

— Jak to: co w związku z tym? — stworzenie najwyraźniej nie przypuszczało, że nie będę miała nawet najmniejszej ochoty na powrót do ojczyzny. — Nie rozumiesz, że musisz wrócić do Arlesii i to wszystko powstrzymać?

— Słuchaj, ptaszku — odwracam się do gryfa, przybierając jedną z tych moich słynnych min, którymi swego czasu potrafiłam przekonać każdego do swoich racji — mnie to już nie interesuje. To już nie mój biznes i nie mam najmniejszego zamiaru się w to mieszać. Teraz Cinder zajmuje się całym tym bałaganem, więc to chyba jej problem, nie sądzisz? A tak w ogóle, to kto cię przysłał?

— Spokojnie, nie twoja kuzynka — skrzeczy Iwizysko — tylko Estive.

Aha, spoko... Dobra... Czyli moja linia obrony, którą pośpiesznie sobie przygotowałam, właśnie runęła. W takim razie teraz chyba na serio będę musiała się pofatygować do domu... Skoro Estive — mój nauczyciel i przy okazji chyba najpotężniejszy, najstarszy i najbardziej wpływowy z obywateli mojej ojczyzny (o czym mimo wszystko praktycznie nikt nie wie) — połasił się wysłać po mnie posłańca, to raczej wypadałoby wracać...

— I co, odjęło ci mowę? — stworzenie nie może powstrzymać się przed dogryzieniem mi. — Jak on cię wzywa, to nie masz wyboru, musisz wracać, Lumino. I doskonale o tym wiesz...

— Dion, z kim rozmawiasz? — nagle słyszę głos Lary, dobiegający z dołu. — I kto to jest Lumina?

Od razu orientuję się, że przyjaciółka usłyszała przynajmniej ostatnią kwestię gryfa, o ile nie więcej. Niedobrze... Czyli chyba jednak będę musiała powiedzieć jej coś o sobie, i tym razem nie nabierze się na jakieś bajeczki, które zmyślałam do tej pory, między innymi tą, dzięki której się poznałyśmy...

Posłaniec też najwyraźniej dochodzi do wniosku, że przydałoby się

w jakikolwiek sposób zminimalizować ilość informacji, które już i tak będę musiała przekazać dziewczynie, bo natychmiast przeskakuje na stolik z lampką nocną i nieruchomieje, udając figurkę (i całkiem dobrze mu to wychodzi).

W samą porę, bo dosłownie ułamek sekundy później drzwi się otwierają i staje w nich moja współlokatorka.

— I co, jak było? — zadaję pierwsze pytanie, jakie tylko przychodzi mi na myśl, mając nadzieję, że zyskam przez to choć chwilę, żeby wymyślić jakąś w miarę wiarygodną historyjkę. Bo znając moją przyjaciółkę, to mi nie daruje. Może będzie nawet czekać, żeby uderzyć tym pytaniem w najmniej spodziewanym momencie, akurat, kiedy nie będę się niczego spodziewać i jeszcze przez przypadek wszystko jej wygadam...

— Dion, nawet nie wyobrażasz sobie, jak fantastycznie! — dziewczyna wprost ocieka entuzjazmem. Czyli pytanie było dobre, idealnie trafione... — Troy, bo tak ma na imię, jest wprost przesłodki. Dobrze, że powiedziałaś mu o zaproszeniu na drinka, bo sam by się nie odważył. To jego jedyna wada; jest trochę zbyt nieśmiały. Ale tak serio, to najurokliwszy chłopak, z jakim kiedykolwiek kręciłam. I powiem ci szczerze, że strasznie mi się podoba. Może teraz nawet zaangażuję się bardziej...

— A jak tam korki? Nie musisz już iść? — próbuję wybadać, jak szybko uda mi się ją splawić i dokończyć rozmowę z gryfem. Choć i tak coś będę musiała powiedzieć Larze, jeśli chcę wrócić do Arlesii bez wywoływania paniki tutaj...

— I tu mam dla ciebie niespodziankę: już kompletnie nigdzie nie wybywam. Ann coś wypadło i odwołała zajęcia. Zaraz zrobię sobie kawę, bo widzę, że ty masz — zerka na stolik nocny — i powiem ci więcej o Troyu. A ty przecież masz mi wyjaśnić, co to za tajemnicza osoba, z którą rozmawiałaś...

No i stało się. Teraz już będę musiała przedstawić jej gryfa. No, chyba, że uda mi się rozegrać to jakoś inaczej...

— Mogę się o ciebie oprzeć? — do rzeczywistości sprowadza mnie pytanie Lary.

— A po co? — jestem lekko zdziwiona.

— No przecież mówiłam przed sekundką, że muszę jeszcze ściągnąć buty...

— No wiesz co, z butami do mojego pokoju? — patrzę na nią z udawanym wyrzutem i usłużnie nadstawiam ramię.

I w momencie, kiedy dziewczyna opiera się o mnie, cały świat jakby eksploduje w bólu i czerni. Czuję tylko, jak osuwam się na dywan, a potem ogarnia mnie wielka, cicha ciemność...

Rozdział II

— Dion, jak się czujesz? — głos Lary wdiera się do ciemności panującej w mojej głowie. Powiem szczerze, że na początku za bardzo nie mogę się za bardzo skapnąć, o co w ogóle chodzi i z jakiej racji ktokolwiek przerywa mi odpoczynek... Nie, zdecydowanie nie jest to przyjemne...

— Czego? — mruczę, powoli rozchylając zaciśnięte szparki powiek. Jestem tak totalnie zmęczona, jakby była to bodajże czwarta, nieprzespana doba z rzędu...

Tylko gdzie ja w ogóle jestem? Pamiętam, że zemdlałam, czyli chyba na kanapie, ale tak dziwnie pachnie... Chlorem! Czyli chyba zabrali mnie do szpitala i pewnie dali jakieś przeciwbólowe...

A tak serio to ledwo udaje mi się cokolwiek poukładać w głowie, mam wrażenie, jakbym była na haju... Albo trochę za dużo im się wstrzyknęło, albo to morfina... Choć pewnie kiedyś się o tym przekonam. Teraz już na serio zaczyna mnie boleć głowa, i to od samego myślenia. Kiedyś nie powiedziałabym, że to możliwe, a jednak!

— Jak się czuje moja najlepsza przyjaciółka? — głos dziewczyny szumi mi w głowie.

— Sso jess? — podnoszę się z pozycji leżącej, co wymaga ode mnie naprawdę sporo wysiłku.

Świat wiruje przed moimi oczami, ale jakimś cudem udaje mi się skupić wzrok na twarzy dziewczyny, siedzącej przy moim łóżku.

— Zemdlałaś — tłumaczy mi Lara. — Zadzwoiłam po karetkę, bo tak w sumie to się totalnie wystraszyłam, a ty też najlepiej nie wyglądałaś... Wiesz, jak przyjechali, od razu dali ci zastrzyk z morfiną, mówili, że ponoć na zmniejszenie bólu, obniżenie tętna... A potem cię zabrali tutaj, nie wiem, z jakiego powodu, ale jakieś badania ci porobili i ogólnie, a koniec końców wylądowałaś tu, w tej sali...
Cały czas

— Aha... — ma mojej twarzy pojawia się niezwykle szeroki uśmiech, choć nie jestem całkowicie pewna, dlaczego. — Czyli już w porządku, tak? To ja spadam...

— O nie, moja droga, nigdzie nie idziesz — w głosie mojej przyjaciółki ni z tego, ni z owego pojawia się ogromna stanowczość, o jaką nigdy bym jej nie podejrzewała. — Masz jeszcze zostać, mówili, że chcą zrobić ci jeszcze kilka badań.

— Za nic w świecie! — odpowiedź może być tylko jedna. — Dlaczego to się tak kręci? — wyrywa mi się, gdy za wszystką cenę próbuję uspokoić wirujący świat, przykładając sobie palce do skroni.

Dziewczyna obok mnie kwituje to śmiechem.

— Kręci się, bo dostałaś wyjątkowo dużą dawkę — oznajmia. — Spałaś całą dobę, a coś mi się zdaje, że zostaniesz jeszcze co najmniej dwie...

— Że what? — na sekundę świat zyskuje niezwykłą ostrość, ale potem, niestety, znowu się rozmazuje. — Nie, ja przecież nie mam czasu, tak właściwie to już dawno powinnam być w drodze... Tylko niech Ziemia zacznie kręcić się nieco wolniej i... spadam stąd.

— Nawet nie próbuj! — ostrzeżenie, jakie widzę w oczach Lary, może (a właściwie to chyba nawet powinno) co prawda dać całkiem sporo do myślenia, ale skoro Estive po mnie posłał, to coś mi się zdaje, że nie mam wyboru, muszę jak najszybciej dostać się do Jordanii, do Petry...

Po chwili orientuję się, że ostatnie słowa wypowiedziałam na głos.

Mimo potwornego wirowania w głowie usilnie zaczynam próbować wymyślić coś, co choć trochę usprawiedliwiłoby choć część tego, co właśnie mi się wyrwało...

— Dion, o co chodzi? — ostrożny ton w głosie przyjaciółki wystarczająco mówi mi, że nie mam co liczyć, tym razem nie da mi się wywinąć. — Czy to ma związek z tą rozmową, o której miałaś mi powiedzieć? — oj... A już myślałam, że o tym zapomniała... Czyli teraz zapowiada się dwa razy więcej główkowania i dwa razy więcej informacji, które i tak bardzo niechętnie jej przekażę... — I co to w ogóle jest? Bo ładny, jak ci nie potrzebny, mogę sobie wziąć, jak ty nie chcesz — przy tych słowach wyciąga z kieszeni duży, pięknie oszlifowany kryształ, zawieszony na grubym rzemyku i kładzie go na moim łóżku.

Gdy tylko widzę wisior, serce zaczyna mi bić w niesamowicie przyspieszonym tempie, a oczy nie mogą się od niego oderwać, zupełnie, jakby jakoś mnie zahipnotyzował...

Bezwiednie wyciągam po niego rękę i wystarczy, że chwytam go w dłoń, by świat dookoła idealnie się wyostrzył. Potrafię zauważyć najmniejszy pyłek kurzu, słyszę nawet najcichszy dźwięk, wszystko jest perfekcyjnie wyraźne. I tak zostaje.

Czuję też, jak kryształ rozgrzewa się niemal do temperatury topnienia. Oczywiście, że to czuję — boli zupełnie tak, jakby moja skóra się rozpuszczała, łącząc z kryształem. Muszę zacisnąć zęby, żeby nie krzyczeć z bólu. Ale nie puszczam. Nie mogę. Bo kto wie, co tak naprawdę mogłoby się wydarzyć, bardzo możliwe, że mogłabym na serio stracić dłoń...

I nagle staje się chłodny jak lód, by potem na ułamek sekundy rozbłysnąć oślepiającym światłem.

— Dion, co się dzieje? — przyjaciółka wygląda na śmiertelnie przerażoną.

Ignoruję jej pytanie i podnoszę ozdobę na wysokość oczu. Teraz kryształ nie jest już taki, jak przedtem. Teraz widzę, że w sam środek wtopiono miniaturową białą różę, pokrytą kroplami krwi. Co prawda nie jest to ani prawdziwy kwiat,

tylko idealna figurka. Biała róża z szkarłatnymi kroplami krwi na płatkach. Symbol mojej rodziny. Przypomnienie niesamowitej tragedii, która spotkała mój ród wieki temu...

— Skąd do masz? — pytam cichym głosem.

Dziewczyna wzdyga się na sam jego dźwięk. Widać poprzednie wydarzenia musiały niezle nadszarpnąć jej nerwy...

— Leżało obok figurki gryfa na stoliku nocnym — Lara spieszy z wyjaśnieniami. Wniosek: to wszystko musiało naprawdę porządnie ją przerazić... — Zabrałam to ze sobą, bo myślałam, że coś niecoś mi wyjaśnisz...

— Jakiej fi... — gryzę się w język. Chyba niestety za późno przypomniałam sobie o strategii gryfa co do udawania posążka...

— Jak to jakiej? — zupełnie tak, jak przewidziałam, jest już za późno. Moja współlokatorka i tak załapuje, co chciałam powiedzieć. — Tej, którą właśnie mam w torebce... — oznajmia, sięgając do środka.

Sekundę później cofa dłoń, a na palcu wskazującym widnieje powiększająca się kropla krwi

Dziewczyna marszczy brwi i właśnie ma się odezwać najprawdopodobniej po to, by rzucić jakąś uwagę, co też znajduje się w damskich torebkach. Przeszkadza jej w tym ochrypli, kraczący głos, który ni z tego, ni z owego zaczyna dobiegać ze środka owej torebki:

— Nie, to już jest szczyt wszystkiego! Żeby tak traktować posłańca, to się nie godzi w żadnym pojęciu!

Moja przyjaciółka w pełnym osłupieniu przygląda się, jak z pomocą szponów odsuwa się suwak. Potem z powstałego otworu wysuwa się przednia część ciała orła, potem cała lwia reszta, w tym skrzydła (te też orła).

Wszystko to w połączeniu z głosem robi piorunujące wrażenie na nastolatce.

Jej mina wyraźnie mówi, że dziewczynie zanoszą się na pisk, więc w ułamku sekundy zrywam się z łóżka (przy okazji w dość bolesny sposób pozbywając się kroplówki z morfiną. Zanotować — nigdy gwałtownie nie wyrwać jakichkolwiek podobnych igieł) i zasłaniam jej usta dosłownie w ostatnim momencie przed wydaniem przez nią jakiegokolwiek odgłosu.

— Lara, błagam cię, bądź cicho i posłuchaj — patrzę na nią, wzmacniając swoje słowa również niemą prośbą. — Przysięgam, że ci to wszystko wytłumaczę, co do joty, tylko muszę wyrwać się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Delikatnie zabieram dłoń z twarzy przyjaciółki, gotowa w każdym momencie przycisnąć ją z powrotem, na wypadek, gdyby mnie nie posłuchała.

Na moje szczęście jakoś udaje jej się zostawić swoje emocje w środku, ale za to patrzy na mnie z niemym wyrzutem. Oczywiście, że doskonale ją rozumiem, pewnie też tak bym się czuła, jakby okazało się, że moja najlepsza przyjaciółka i powierniczka ma dość podejrzaną powiązania, takie wręcz nie z tego świata...

— To mówiłaś, że musisz się stąd zmyć w tempie ekspresowym, tak? — mimo urazy, którą najwyraźniej do mnie żywi, ciągle jest gotowa wyciągnąć pomocną dłoń. — Czego potrzebujesz?

— Jakbyś mogła skołować mi jakiś komplet ciuchów i okulary przeciwsłoneczne, to byś była kochana... Tylko wiesz, na wczoraj! — akcentuję. — Miśku, obiecuję, że jak tylko wrócimy do domu, opowiem ci o wszystkim, co tylko chciałabyś wiedzieć.

— No ja myślę — ciągle jest nieco naburmuszona, ale coś mi się zdaje, że moja obietnica nieco ją uspokoiła. — Tylko pamiętaj o wymyśleniu jakiejś porządnej historyjki, bo będziesz musiała gęsto się tłumaczyć — dodaje kąśliwie, po czym wychodzi, porządnie akcentując to trzaśnięciem drzwiami. Czyli ciągle jest na mnie wściekła... Trudno. Ale faktycznie będę musiała się sporo nagłować, żeby wytłumaczyć jej możliwie jak najwięcej, tak właściwie nie mówiąc nic na temat siebie...

— Zamierzasz powiedzieć jej wszystko? — pyta gryf po chwili milczenia.

— Co? — wrywam się z zamyślenia i opieram się plecami o parapet. — A, tak... Nie, chciałabym tego uniknąć. Ale nie mam bladego pojęcia, jak to będzie. Wolałabym powiedzieć Larze jak najmniej. Tylko wiesz, będzie sporo tłumaczenia i tak dalej... I nie mam pojęcia, co z tego wyniknie. A kłamać na pewno nie będę. Jestem jej to winna...

— Rób co chcesz, w końcu to twoje życie — Iwyszysko wykazuje niezwykłą wyrozumiałość, naprawdę dziwną jak dla przedstawicieli tego gatunku. — A tak to ciekawe, kiedy ta twoja przyjaciółeczka przyjdzie. Nie lubię jej. Ale szpitala też mam dość. Bardziej niż jej nie trawię zapachu chloru. Wiesz, kiedy ona już przyjdzie i nas stąd zabierze?

— Jak chcesz, to przecież możesz już wracać — wzruszam ramionami. — Potrafisz przecież trafić do mojego domu, prawda?

— No, w sumie tak... — zwierzę kiwa głową, po czym zgrabnie podrywa się z parapetu i wylatuje przez otwarte okno.

Wzdycham i czuję, że na mojej twarzy pojawia się delikatny, lekko rozmarzony uśmiech. Szczerze powiedziawszy, jak zobaczyłam stworzenie, zatęskniłam trochę za Arlesii. I, choć pewnie wcześniej bym się do tego nie przyznała, brakowało mi tej nadzwyczajności, której tu się nie znajdzie. W sumie miło będzie wrócić...

Zerkam na zegar, wiszący naprzeciwko mojego łóżka. Swoją drogą, też jestem ciekawa, kiedy dziewczyna wróci. Chciałabym już jak najszybciej być w drodze...

Rozdział III

— Już jestem! — na wejściu oświadcza Lara.

— Super — uśmiecham się lekko, odwracając się do nastolatki, która pojawiła się nagle obok mnie. — I co, co masz?

— Parę fajnych ciuchów — podnosi do góry torby z kilku sklepów. — Myślę, że powinny ci się spodobać. Hej, a gdzie podziewa się to wredne ptaszysko?

— Znudziło się moim towarzystwem. Ale to nie ważne... Teraz pokaż, co mi przyniosłaś — odbieram od niej torby i z zaciekawieniem zaczynam przeglądać ich zawartość.

Wyniki wręcz przewyższają moje oczekiwania.

— Wiesz co, super się spisałaś — mówię do niej z szerokim uśmiechem.

— Spoko, nie ma za co — uśmiecha się do mnie promiennie, wyraźnie połączona moim zadowoleniem. Czyli najwyraźniej już trochę jej przeszła złość na mnie... — A co zrobisz z włosami? Bo coś mi się zdaje, że nie na co dzień spotyka się białowłosą dziewczynę z czarnymi pasemkami...

— Też racja — kiwam głową, próbując za wszelką cenę przypomnieć sobie, czym zmywają się te genialne, superwodooodporne, arleyańskie farby. Tak, właśnie te, po których nigdy nie ma się odrostów... — Coś by się przydało wykombinować...

— Peruka? — dziewczyna przekrzywia lekko głowę i zaczyna mi się uważnie przyglądać, próbując wymyślić coś skutecznego.

— Za długie mam włosy — kręcę głową. — Nie dałoby się schować ich tak, żeby wyglądało to naturalnie.

— Bo nie uda ci się przefarbować szybko i tak, żeby nikt nie zauważył... — przyjaciółka przygryza wargę w zamyśleniu. — A obciąć nie chcesz? Wiesz, tak na krótko...

— Spadaj! — patrzę na nią jak na wariatkę.

— Jak chcesz — wzrusza ramionami i unosi dłonie w obronnym geście — to była tylko propozycja.

— Wiem... — siadam na łóżku i opieram głowę na dłoni, ale nagle podrywam się do góry. — Lara, nie masz przypadkiem jakiegoś mega tłustego kremu?

— Myślę, że mam... — tamta zaczyna grzebać w torebce i po chwili podaje mi dość spore opakowanie kremu NIVEA. — Może być?

— Dzięki, potem ci oddam — biorę torebki z ciuchami i idę do łazienki.

Tuż przed wejściem odwracam się do niej.

— Nie zdziw się, jak mnie nie poznasz! — oświadczam z delikatnym, może

lekko psotnym ognikiem, igrającym mi w oczach.

— Akurat! — patrzy na mnie z lekkim uśmieszkiem połączonym z kpina.

— Przekonamy się — puszczam do niej oko i zamykam drzwi do łazienki.

Jestem niemal stuprocentowo pewna, że zaskoczę dziewczynę swoim wyglądem. Ale cóż, żeby tak było, najpierw muszę wziąć się za siebie...

Na początek odkręcam krem, biorę w rękę pierwszy z brzegu ręcznik i wcieram w niego całą zawartość opakowania. Jak tylko się stąd wydostanę, to go jej odkupię, obiecuję.

W każdym razem rzucam ostatnie spojrzenie białowłosej dziewczynie w lustrze przede mną, po czym schylam się i zaczynam wycierać włosy ręcznikiem. Robię to bardzo dokładnie, nie chcąc ominąć choćby jednego włosa. Jak to dobrze, że te farby można zmyć nie tylko jakimiś specjalnymi specyfikami, dostępnymi tylko w Arlesie, ale po prostu najzwyczajniejszym, bardzo tłustym kremem...

Moment później podnoszę głowę i... zastygam ze zdumienia. Nie przypuszczałam, że mimo upływu tych dwóch lat mogę wyglądać niemalże tak samo, jeżeliby pominąć zmiany w wyglądzie spowodowane naturalnym dorastaniem i doświadczeniami. Teraz wydaję się sobie jakby... mądrzejsza...

Unoszę dłoń, chcąc poprawić grzywkę. Czarnowłosa Arleyanka robi to samo. Gdy podnoszę białe pasemko, które przed zmyciem farby było czarne, postać w lustrze naśladuje każdy mój ruch.

Uśmiecham się łobuzersko, a moje odbicie natychmiast to powtarza. I oto stoi przede mną ta sama dziewczyna, która dwa lata temu postanowiła zamknąć pewien rozdział, całkowicie się odciąć od wszystkiego, co było za nią. Zacząć nowe życie z całkowicie czystą kartą, jako osoba kompletnie anonimowa, bez przeszłości... Ale za to z przyszłością, którą mogłaby kształtować do woli.

Przyznaję szczerze, że nigdy bym nie powiedziała, że kiedykolwiek z własnej woli wrócę i będę kontynuować rozdział, który od dawna uważałam za zamknięty...

Biorę wisior, przyniesiony mi przez moją współlokatorkę i zakładam go na szyję. Czuję, jak delikatnie się rozgrzewa, a róża w środku zaczyna mienić się wewnętrznym światłem, choć jest to zauważalne jedynie dla osób, które o tym wiedzą. To tylko potwierdza moją pewność, że mam na sobie oryginał. Dość przydatna błyskotka, bo oprócz dobitnego przypominania właścicielowi, jak ogromny obowiązek na nim spoczywa, to jeszcze jest pokryty specjalną substancją. W zetknięciu ze skórą noszącego powoduje ona niemal natychmiastowe gojenie się wszelkich ran. Ekstra, nie? Co prawda nie wiadomo, czy może ocalić od śmierci, ale leczenie jakichkolwiek urazów jest na serio pocieszającą perspektywą.

Jeszcze raz zerkam w lustro i wzdycham ciężko, choć równocześnie z pewną radością. Gdy włożyłam kryształ, tak właściwie przypieczętowałam swoją

przyszłość. Ale teraz, kiedy mój powrót jest pewien, czuję coś w rodzaju niecierpliwego wyczekiwania. Rzecz jasna nie dotyczy ono ponownego odzyskania szefostwa w „rodzinnej firmie”, jak przywykłam to nazywać, ale ponownego zobaczenia tego wszystkiego, z czego świadomie zrezygnowałam, decydując się na ucieczkę — ze wszystkich widoków, potraw, obyczajów... Znajomości z pewnymi osobami...

Szybko wciągam rzeczy przyniesione mi przez przyjaciółkę. Muszę przyznać, że wykazała się smakiem, wybierając ciuchy. Wszystko mega stylowe i eleganckie. Piękne czarne szpile, co najmniej szesnastki (jeżeli mogę wierzyć mojemu oku), prosta, biała bluzka z kołnierzykiem i czarny komplecik — obcisła, ołówkowa spódnica i żakiet z rękawkami $\frac{3}{4}$. Do tego lustrzanki w stylu lat 80 i już mogę wyjść w pełni incognito.

Tradycyjnie, jak każda kobieta, rzucam ostatnie, kontrolne spojrzenie swojemu odbiciu w lustrze i... cofam się z zaskoczeniem. Nagle, ni z tego, ni z owego pojawia się myśl że przecież wyglądam dokładnie tak samo, jak przez początek dnia mojej ucieczki. No cóż, ciężko byłoby zapomnieć, jak Ertex podśmiewał się ze mnie podczas degustacji tortów. Wtedy też ubrałam się oficjalnie, ba, identycznie, jak teraz, bo musiałam później skoczyć na jeszcze jedno ważne spotkanie... Oczywiście, że go o tym, ale i tak nie mógł mi darować, że nie wybrałam czegoś luźniejszego...

Właściwie to on ciągle chciał decydować za mnie. Poza tym uważał się za najważniejszą osobę na całym świecie, i coś mi się zdaje, że nie tylko na jednym. Dla niego liczył się tylko on, jego zdanie, choć na początku doskonale udawał. A potem... Potem urobił mnie tak, że niczego nie dostrzegałam. No cóż, młoda byłam, (a przynajmniej o dwa lata młodsza niż teraz), niedoświadczona, a przede wszystkim — zakochana na zabój.

I oczywiście, jak w każdej takiej sytuacji, gdy jeszcze z początku przez pewien czas rozważałam powrót, zaczynają krążyć wokół mnie, niczym głodne drapieżniki, ponure myśli i wątpliwości. Czy sobie poradzę? Czy będę na tyle silna, by powrócić do tego, co z własnej woli porzuciłam?

Ale w tym momencie przypominam sobie o jeszcze jednym — skoro Estive na mnie liczy, nie mogę go zawieść. I taki jasny przebłysk skutecznie przegania wszystkie cienie. Czuję, jakby wracały mi wszystkie siły, już teraz nie boję się, co będzie. Co będzie, to będzie, a moim zadaniem jest sobie z tym poradzić. A swoją drogą, ciekawe, czy spotkam się z Erteksem twarzą w twarz? Z jednej strony chciałabym tego uniknąć, ale z drugiej mogłoby być ciekawie...

Z lekkim, złowieszczym uśmiechem prostuję głowę. Już teraz nie dam się nabrać na tej jego gierki, o nie. Teraz to on będzie musiał bać się mnie, kiedy odbiorę to, co mi się należy.

— Dion, długo jeszcze? — z rozmyślań wyrывa mnie zniecierpliwiony głos

Lary.

— Już idę! — odpowiadam. Biorę głęboki wdech, po czym wychodzę z pomieszczenia. — I co, jak wyglądam? — pytam się przyjaciółki.

— Ja nie mogę... — nastolatka patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Nie no, dziewczyno, wyglądasz fantastycznie! O wiele lepiej ci w czarnych włosach. I w ogóle... Coś się w tobie zmieniło. W twojej postawie. Teraz bije od ciebie taka powaga, ogólnie taka królewskość...

— Królewskość? Błagam cię, nie ma we mnie nic królewskiego — uśmiecham z lekkim pobłażaniem.

— To chyba nie widziałaś siebie w lustrze. Weź, dosłownie wieje od ciebie takim autorytetem...

— Przesadzasz — ucinam stanowczo. — Chodź, musimy już lecieć. Potwornie mi się spieszy, że tak to ujmę.

— Ale pamiętasz, co mi obiecałaś? Masz mi o wszystkim opowiedzieć przed tym całym twoim wyjazdem — przypomina mi zaniepokojona Lara, zupełnie, jakbym miała szansę zapomnieć. No ale dobra, coś w tym jest... W końcu odkąd ostatnio mi o tym wspominała, minęły lata...

— Spoko, oczywiście, że pamiętam — odpowiadam, przewracając oczami.

— Mam nadzieję...

Na moment między nami zapada milczenie.

Po chwili przerywa je nastolatka:

— Wiesz co, mam taki malutki pomysł. Co ty na to, żebym ja tak teraz wyszła i powiedziała pielęgniarce, że śpisz? Potem mogłabyś się bez problemu i bez żadnych podejrzeń przemknąć...

— Mhm... to mi się podoba — kiwam głową z uznaniem. — To leć, spotkamy się w naszej ulubionej kawiarence, ok.?

— No spoko — dziewczyna kiwa głową, będąc już w drzwiach. — Ale wiesz, ostatnio jakoś tak mają dziwnie z godzinami otwarcia, to ci napiszę, czy czekam tam, czy w domu.

— Oki, to będę czekać — kiwam głową. — Zaraz, ja mam telefon?

— W lewej kieszeni żakietu — potwierdza tamta, po czym całkowicie znika.

Kochana Lara! Wróciła się do domu specjalnie po mój smartphone...

A żeby nieco umilić sobie oczekiwanie, opieram się o parapet i z uśmiechem zaczynam przyglądać się ludziom, spacerującym przed szpitalem. Jakie oni mają nudne życie... Ciągle ta sama rutyna. Nie to co ja. Szczerze powiedziawszy, podświadomie ciągle wyczekiwałam na posłańca, w nadziei, że okażę się potrzebna...

Tak, teraz mówię to całkiem szczerze. Wcześniej pewnie bym się do tego nie przyznała, ale odkąd tylko się tu znalazłam, tęskniłam do Arlesii. Do mojego poprzedniego życia, do tych niezwykłości, na które tu nie mogłabym liczyć...

Ale nagle w mojej głowie pojawia się przebłysk. Skoro tylko zemdlałam, dlaczego podali mi morfinę i chcą zrobić kilka poważnych zadań?

Gwałtownie wypadam na korytarz. Niemalże biegnąc, schodzę po schodach i kieruję się do recepcji. W myślach klaruje mi się już konkretne i bardzo, bardzo mroczne podejrzenie...

— Przepraszam, mogę zająć pani chwilę? — z uśmiechem zwracam się do recepcjonistki, mimo, że w środku aż kipię z przerażenia.

— Tak, a o co chodzi?

— Jeżeli to nie problem, chciałabym się dowiedzieć, co jest pacjentce z 214 — mówię. — To moja siostra, Dion.

— A pani to? — kobieta pytająco zawiesza głos, patrząc na mnie zza wielkich okularów.

— No tak, gdzie moje maniery — śmieję się, chcąc rozluźnić atmosferę, choć w rzeczywistości drzę ze strachu na samą myśl o tym, co mogę usłyszeć. — Nazywam się Lumina McKinley — wyjaśniam, zdejmując czarne okulary — a Dion to moja siostra bliźniaczka. Mamusia miała upodobanie do dziwnych imion — dodaję, widząc, że recepcjonistka ze zdziwieniem unosi brew, gdy tylko się przedstawiam.

— Pani McKinley, będę szczerą — udaje mi się przekonać recepcjonistkę, że jestem własną siostrę i teraz, bez owijania w bawełnę, zaczyna mi wszystko wyjaśniać. — Zapewne wie pani, że zadzwoniła do nas jej współlokatorka i wspomniała, że pani siostra zemdlała z bólu. Oczywiście jest to całkowicie możliwe, ale gdy karetka dotarła na miejsce, okazało się, że dziewczyna ma potwornie przyspieszone tętno i niezwykle wysoką, wręcz śmiertelną gorączkę. Załoga ambulansu od razu zdecydowała o przeniesieniu jej do szpitala.

— Czy Dion jest bardzo chora? — pytam, opierając się o blat. Robię to niby z zainteresowania, a w rzeczywistości po to, by nie upaść. No cóż, to raczej dość normalne zachowanie, skoro zaraz może zostać na mnie wydany dosłownie wyrok śmierci...

— Nie jesteśmy do końca pewni. Rezonans głowy, zrobiony od razu po jej przyjeździe, wykazał niepokojące zmiany w mózgu. Musimy jeszcze zostawić pani siostrę na parę dni, by wykonać inne, bardziej precyzyjne badania. Miejmy nadzieję, że nic nie wykryją. Tak czy owak, na razie pacjentka leży pod kroplówką z morfiną, żeby zbić jej tętno. Jeżeli wszystko będzie w porządku, za dwa, trzy dni ją wypuścimy.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze... — uśmiecham się smutno. — Ale na razie dziękuję. Postaram się jeszcze do niej wpaść... — odrywam się od lady, zbieram siły, żeby nie upaść i dojść do ławek na placu przed szpitalem, a potem zaczynam iść do wyjścia.

— Na pewno się ucieszy — kiwa głową kobieta. — Dobrze jest mieć

w rodzinie kogoś wpływowego...

— Proszę? — odwracam się do recepcjonistki.

— Bo pani wygląda tak, jakby pracowała w jakimś rządzie, czy coś takiego... I to nawet nie dlatego, że tak się pani ubrała, ale dlatego, że ma pani w sobie taki autorytet...

— Nie, skąd, jestem po prostu nauczycielką — wymyślam na poczekaniu. — Ale wie pani, nie jest pani pierwszą osobą, która mi to mówi.

— Widać powinna pani zmienić zawód — odpowiada kobieta z uśmiechem. Ja tylko kiwam głową i wychodzę, mobilizując całą dostępną mi energię, by utrzymać się prosto i się nie zataczać...

Sił starcza mi tylko na dojście do jednej z ławek.

Padam na nią i kompletnie się rozklejam. Mam z resztą do tego pełne prawo — to, co powiedziała mi tamta kobieta, jednoznacznie wskazuje na pewną chorobę, popularną tak właściwie tylko w mojej ojczyźnie. Z natury jest niegroźna, oczywiście, jeśli w odpowiednim momencie się ją wyleczy. Nie jest to trudne, wystarczy raz zażyć lek, żeby na całe życie mieć święty spokój. Ale jeśli się ją zaniedba, po około dwóch latach może doprowadzić do śmierci. Tak naprawdę to też nie przesądza niczego — lek można zażyć w każdym momencie i zawsze działa on tak samo, lecząc wszystkie skutki choroby. Ale jak się tego nie zrobi, nie ma ratunku. Ja byłam chora już na pewno od dwóch lat, bo w końcu mniej więcej tyle minęło od mojego wyjazdu... Czyli zostało mi... Nie wiem... Przy dobrych wiatrach może kilka dni?

— Hej, ślicznotko, wszystko w porządku?

Podnoszę głowę i widzę niesamowicie przystojnego chłopaka o oczach czarnych jak węgiel, karmelowej karnacji i niesfornej fryzurze we wszystkich kolorach ognia.

— Powiedzmy — próbuję uspokajająco się uśmiechnąć przez łzy. Dwa lata spędzone tu wystarczająco odzwyczaiły mnie od zwierzania się nieznanym.

— Naprawdę? — w jego oczach pojawia się badawczy wyraz. — Zazwyczaj kiedy ktoś po wyjściu ze szpitala zaczyna płakać, nie jest to dobry znak...

— No cóż, prawdę powiedziawszy, to nie jest ze mną najlepiej — stwierdzam po chwili myślenia. — Tak się składa, że rozmawiasz praktycznie to już z trupem — kiedy to mówię, po policzkach znów zaczynają płynąć łzy.

— Jest aż tak źle? — chłopak patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Wszystko będzie w porządku, zobaczysz... — z tymi słowami obejmuje mnie.

Dobra, może i jest to dziwne, i być może kompletnie nie na miejscu, ale tym razem nie mam nic przeciwko. Coś mi się zdaje, że teraz po prostu potrzebuję odrobiny czułości.

— Oby — kiwam głową. — Jakby się tak zastanowić, to może jest jeszcze nadzieja...

— Czyli nie wszystko stracone — puszcza do mnie oko, po czym siada tuż obok mnie.

Przez moment trwamy tak w milczeniu, ale zgodnie z moimi przewidywaniami, nie wytrzymuje tego długo.

— Mam takie małe pytanko. Dasz się odprowadzić do domu?

— Myślę, że... — w tym momencie przerywa mi dzwonek telefonu. — Przepraszam cię na chwilę, muszę odebrać.

— Spoko, nie zamierzam uciekać — kiwa głową. — Nie krępuj się.

Uśmiecham się w podzięcie, po czym odbieram telefon.

— Dion, słuchaj, kawiarenka jest zamknięta — informuje mnie Lara. — Poczekam na ciebie w domu. Idziesz już, prawda? — w jej głosie słyszę pewnego rodzaju obawę, czy aby przypadkiem nie zamierzam wyjechać bez słowa.

— Lara, nie martw się, najpierw muszę przecież zabrać swoje rzeczy z domu — uspokajam dziewczynę. — Za jakiś czas przyjdę.

— Mam nadzieję — rozłącza się bez słowa.

— Siostra czy przyjaciółka? — pyta chłopak.

— Przyjaciółka i współlokatorka jednocześnie — uśmiecham się. — Martwi się, czy nie wyjadę bez wytłumaczenia, a muszę jej powiedzieć całkiem sporo, tak prawdę mówiąc...

— Wyjeżdżasz? To ja może nie będę przeszkadzał... — wygląda na przejętego moimi planami.

— Spokojnie, nie przeszkadzasz — macham ręką. — Nawet jeszcze nie wiem, co mam zabrać, nie wspominając już o tym, że nie znam godziny odlotu ani samolotu, który mi pasuje.

— To w takim razie ponawiam pytanie, czy dasz się odprowadzić do domu? — wygląda na to, że na serio mu na tym zależy...

— Prawdę powiedziawszy, to dlaczego nie? — mogę się w końcu z nim przespacerować, to do niczego w końcu nie zobowiązuje, tym bardziej, że już nigdy się nie spotkamy...

— Miło mi w takim razie. Jestem Bastian, a ty?

I tu nagle, ni z tego, ni z owego, pojawia się delikatne wahanie, po raz pierwszy od wieków... Taka mała zagwozdka... którego imienia użyć?

— Dion — mówię po chwili milczenia. Mimo wszystko nie mogę się przemóc, by zdradzić mu moje prawdziwe imię. Może kiedy indziej...

— Ładne — uśmiecha się do mnie — ale ty jesteś od niego o wiele bardziej piękniejsza.

— Podrywasz mnie? — zalotnie trzepoczę do niego rzęsami. Przy okazji z ogromnym zaskoczeniem łapię się na tym, że przy chłopaku czuję się niezwykle swobodnie, tak, jak nie czułam się bardzo, bardzo dawno. Ba, wręcz rozluźniam się do tego stopnia, że pozwalam sobie na flirtowanie. A to akurat bardzo rzadko mi

się zdarzało, nawet jeszcze przed śmiercią moich rodziców...

— Jeżeli mam być szczerzy... To tak — widzę w jego oczach szelmowski błysk. — Pytanie tylko brzmi, czy dasz się poderwać.

— Wiesz co... — udaję, że się zastanawiam. No cóż, teraz nie czuję się najlepiej, więc chyba potrzebuję dowartościowania... — Myślę, że się dam.

— W takim razie postawiłaś przede mną spore wyzwanie — pomaga mi wstać z ławki. — Muszę się na serio porządnie postarać, żeby nie zawieść twojego zaufania.

— Uwierz mi, wcale nie jestem osobą wymagającą — uśmiecham się do niego.

— Nie potrafię — kręci głową. — Wszystko w porządku? — patrzy na mnie z niepokojem, widząc, że zatrzymuję się i przykładam dłoń do głowy.

— Tak, chyba tak — kiwam głową. Prawdę powiedziawszy, to czuję się fatalnie.

— Nie wierzę ci — stwierdza tak po prostu. — Dion, ja radziłbym ci odpocząć jeszcze trochę, dopóki nie będziesz czuła się lepiej.

— Chętnie, tylko jest taki mały szczegół pod tytułem „nie mam na to czasu” — kręcę głową. — Jak już, to odpocznę w samolocie, teraz muszę się jeszcze spakować, wszystko wyjaśnić przyjaciółce...

— To chociaż pozwól sobie pomóc — podaje mi ramię. Przyjmuję je z wdzięcznością. — Wiesz co, mam wrażenie, że bierzesz na siebie za dużo.

— Niezły jesteś — patrzę na niego z uznaniem. — Znamy się zaledwie parę minut, a ty już mnie rozgryzłeś...

— To po prostu widać — wzrusza ramionami. — Nie chciałbym wyjść na wścibskiego, ale wyglądasz na taką osobę, która byłaby w stanie bez mrugnienia okiem wziąć na siebie ocalenie całego świata, a kiedy byłoby jej trudno, nie pisnęłaby ani słowem.

— Czy my przypadkiem nie poznaliśmy się już wcześniej? — zaczynam się śmiać.

— Nie, na pewno zapamiętałbym taką piękność — przeczy, ale też z wyraźnym uśmiechem na twarzy.

— No to w takim razie, skoro ty wiesz o mnie już wszystko, to może powiesz mi coś o sobie? — proszę.

— W takim razie od czego by tu zacząć... — czuję, jak gwałtownie wzmacnia uchwyt na moim ramieniu, dokładnie w momencie, w którym potykam się o wystającą kostkę brukową. — Ostrożnie...

— To tylko potknięcie — macham wolną ręką, pokazując, jak bardzo bagatelizuję sprawę. — Ale teraz czekam, powiedz mi coś o sobie, mamy jeszcze trochę czasu...

— W telegraficznym skrócie to jestem niepoprawnym marzycielem,

romantykiem, wierzę w to, że gdzieś istnieją smoki i inne baśniowe stworzenia, lubię śpiewać, tańczyć, zwiedzać nowe kraje. Wystarczy? — uśmiecha się do mnie szelmowsko.

— Jak na razie, to tak — ton, którym to wszystko powiedział, był tak swobodny i zabawny, że dosłownie nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Muszę szczerze przyznać, że na serio od dawna z nikim nie czułam się taka... normalna. Najnormalniejsza w świecie dziewczyna, która ma prawo flirtować, bawić się, i przede wszystkim spodobać się komuś po prostu za to, jaka jestem, nie za to, co mogę zaoferować. Lara chyba zawsze będzie mnie traktowała przez pryzmat tego, w jaki sposób się poznałyśmy, a wcześniej wszyscy uważali mnie za kogoś, przy którym trzeba uważać na słowa. A teraz? Czuję się dosłownie fantastycznie, mimo coraz bardziej nasilającego się bólu, przez który muszę na serio poważnie się skupić, żeby zachować jako-taką świadomość.

— Cieszę się, że potrafię cię rozśmieszyć — wygląda na totalnie nieskrępowanego tym, że znamy się zaledwie od niecałego kwadransu. — Bo wiesz, jak ty się śmiejesz, to robisz to tak cudownie, że aż cały świat chce śmiać się razem z tobą.

— Bastian, dlaczego tak mi słodzisz? — zatrzymuję się i patrzę na niego z roześmianym ognikiem w oczach.

— Bo jak wyszłaś z tego szpitala i zaczęłaś płakać, wyglądałaś tak, jakbyś gwałtownie potrzebowała potężnej dawki pocieszenia i dobrego humoru — wiem, że teraz mówi to w stu procentach na poważnie. — Co nie zmienia faktu, że naprawdę mi się podobasz.

— Słuchaj, w takim razie proponuję taki układ — nachyliłam się do niego, jakbym miała mu do zdradzenia jakiś sekret. — Na razie już nie potrzebuję pocieszenia, więc może po prostu porozmawiajmy na jakiś inny temat?

— Ok., to jaki temat proponujesz? — nie wygląda na zaskoczonego moją wypowiedzią. — A właśnie, słyszałaś o tym koncercie w zeszłą sobotę?

— Oczywiście! — od razu się ozywiam. — Byłaś?

— Byłam — potwierdza skinieniem głowy. — I nawet udało mi się chwilę pogadać z zespołem...

— Na serio? — patrzę na niego jak na przybysza z innego świata.

— Mówię ci, są świetni... — w tym momencie przerywa mu dzwonek, tym razem jego telefonu. — No cóż, teraz moja kolej... — stwierdza ze śmiechem. — Pozwolisz, że odbiorę?

Kiwam głową, a on na moment puszcza moje ramię i oddala się o parę kroków.

Patrząc na niego, uświadamiam sobie, że nasze spotkanie to chyba najlepsze, co mogło mi się przydarzyć po usłyszeniu takiej wiadomości. Naprawdę potrzebowałam takiej dawki dobrego humoru, pozytywnej energii, jednym słowem

totalnego naładowania.

Szkoda tylko, że nasza znajomość najpewniej nie potrwa długo... Ale cóż, martwić się będę potem. Teraz zostało nam jeszcze kilkanaście minut wspólnej drogi i zamierzam wykorzystać je najlepiej, jak tylko potrafię!

Rozdział IV

— Słuchaj, Dion, nie chciałabym się narzucać, ale czy mogłabyś dać mi swój numer telefonu? — Bastian szarmancko opiera się o płot.

— No cóż... — przez chwilę się waham. Tak, zdecydowaną prawdą jest to, że rozmawiało nam się fantastycznie, przy nim czuję się genialnie, zupełnie, jak najnormalniejszy człowiek i mam wrażenie, że może nawet mu na mnie zależy... Ale z drugiej strony czy mam prawo dawać mu nadzieję, skoro najpewniej już nigdy się nie spotkamy? — Ale tylko pod warunkiem, że dasz mi swój — nagle odzywa się jedno z moich słynnych przecuć, podpowiadające mi, że może jednak nasza znajomość wcale nie kończy się w tym momencie.

— Oczywiście — wymieniamy się numerami. — Wiem, że znamy się zaledwie niecałą godzinę, ale czy dałabyś się wyrwać na drinka?

— Raczej nie — kręcę głową ze smutkiem. — Nie mam pojęcia, kiedy wyjeżdżam, a nie chcę odwoływać...

— To w takim razie napisz, jak będziesz już z powrotem w mieście — nachyla się do mnie i lekko muska mój policzek ustami. — Do zobaczenia!

Machinalnie podnoszę rękę i macham mu na pożegnanie. Równocześnie czuję, jak na twarzy wykwita mi ogromny rumieniec.

Odruchowo dotykam tego miejsca, gdzie chłopak pocałował mnie przed chwilą i delikatnie się uśmiecham.

— Dion, kto to był? — wzdragam się, czując dotyk dłoni przyjaciółki na ramieniu.

Odwracam się i napotykam niezwykle zaskoczony wzrok Lary.

— Ledwo zdążyłaś wyjść ze szpitala i już podrywasz takie ciacha? To do ciebie niepodobne...

— Czy zawsze muszę robić to, co do mnie podobne? — wzruszam ramionami, po czym wchodzę do domu i omijam współlokatorkę.

— Nie musisz — dziewczyna odprowadza mnie z zaskoczonym wyrazem twarzy. — Tylko... to po prostu do ciebie niepodobne...

Wzdycham i zaczynam iść na piętro.

— Nie zapomniałaś przypadkiem o czymś? — dziewczyna patrzy na mnie wyczekująco, stojąc w wejściu do kuchni.

— Nie zapomniałam — nie przerywam wspinaczki po schodach, nawet się nie odwracając. — Jeżeli faktycznie chcesz się czegoś dowiedzieć na tamten temat, to przynieś mi na górę podwójne espresso.

Moment później zamykam drzwi od siebie do pokoju.

Od razu zrzucam swoje szpilki, odkopując je w kąt. Mimo wszystko, choć osobiście je uwielbiam, jestem zdania, że przyda mi się trochę odsapnięcia od

nich...

Potem siadam na łóżku, podciągam kolana pod brodę i czekam. Oczywiście doskonale wiem, że zaraz przyjdzie. W końcu znam ją już na tyle dobrze...

Nie mija więcej niż pięć minut, gdy rozlega się pukanie do drzwi, zupełnie tak, jak przewidziałam.

— Wejść — nieznacznie unoszę głos i poprawiam się na miejscu. Coś mi się zdaje, że to będzie dość ciężka rozmowa...

Lara wchodzi do środka i podaje mi kubek z parującą kawą.

— Trzymaj — mówi, po czym usadawia się naprzeciw mnie. — No a teraz opowiadaj, miałaś przecież wszystko mi wyjaśnić...

— No cóż... — wzdycham ciężko. — Jeśli mam być szczerą, to liczyłam na to, że zapomnisz...

— Nie masz szans — dziewczyna uśmiecha się z satysfakcją. — Tylko w takim razie mam nadzieję, że wytłumaczysz mi wszystko od samego początku i najprościej, jak tylko potrafisz.

— No spoko, rozumiem — kiwam głową. No cóż, skoro chce usłyszeć wszystko od początku do końca, to teraz porządnie muszę się nagłowić, żeby streścić jej jak najlepiej treść ponad dwudziestu bardzo opasłych tomów. — Czyli od początku, powiadasz?

— Od samiutkiego początku — przytakuje przyjaciółka. No cóż, chyba nie spodziewa się tego, co mam zamiar jej zaraz zakomunikować...

— To w takim razie coś mi się zdaje, że jeśli chcesz cokolwiek zrozumieć z mojej opowieści, to muszę zacząć na serio od początku. A konkretniej od początku istnienia mojego kraju — dodaję, z satysfakcją obserwując, jak zmienia się wyraz twarzy mojej współlokatorki.

— Ale po co? — patrzy na mnie jak na wariatkę. — Przecież to bez sensu, bez obrazy, Dion, ale mnie nie obchodzi historia twojego kraju, tylko twoja.

— Tylko, że bez historii mojego kraju nie zrozumiesz nic z mojej — uśmiecham się lekko. — Więc wybieraj, albo powiem ci wszystko na serio od początku, albo po prostu odpuścisz.

— No dobra... — nie wydaje się być specjalnie zadowolona, że chcę ją uraczyć obszerną i w jej mniemaniu kompletnie nudną historią. — Dawaj, ale nie zdziw się, jak zasnę w połowie.

— A właśnie, że się zdziwię — mówię pod nosem, uśmiechając się lekko. — No więc, historia Arlesii zaczyna się mniej więcej koło 3000 r. p.n.e., kiedy to małżeństwo kupców z jakiegoś tam kraju wraz z karawaną zawędrowali na tereny dzisiejszej Jordanii — to mówię już głośniej. — Podczas jednego z postoju pośród skał postanowili... powiedzmy, że się przespacerować i przez przypadek wśliznęli do czegoś w rodzaju tunelu. Kiedy z niego wyszli po drugiej stronie, znaleźli się w innym świecie. Dosłownie w innym świecie. Tunel okazał się jakby

furtką do innej, równoległej Ziemi, tyle, że bez ludzi, zwierząt i z innym ułożeniem łądów.

— Czekaj, czekaj, co ty takiego powiedziałaś? — Lara przerywa mi niemalże w pół słowa. — Czy ty właśnie dosłownie oznajmiłaś mi o istnieniu równoległego świata? Ot tak, jakbyś strząsała pyłek z bluzki?

— No cóż... — przez moment nie do końca zdaję sobie sprawę, co w tym takiego niezwykłego. W końcu ja odkąd pamiętam, wiedziałam o istnieniu drugiego świata. Ile razy z rodzicami wyjeżdżaliśmy na wycieczki na tą Ziemię... Ale moment później zdaję sobie sprawę, że ludzie tutaj na serio nic nie wiedzą. — Tak właściwie to tak. Właśnie tak zrobiłam.

— Okej... — przyjaciółka próbuje przyswoić sobie tą informację. — Dion, jesteś pewna, że nie zwariowałaś?

— Nie zwariowałam — kręcę głową. No cóż, nikt nie powiedział że będzie łatwo... — Wiem, że może ciężko ci w to uwierzyć, ale to najprawdziwsza prawda.

— Czyli na serio istnieje jeszcze jeden, równoległy świat? — w oczach dziewczyny widzę błysk zrozumienia.

— O jednym wiem — wzruszam ramionami. — Ale przecież nikt nie powiedział, że tylko jeden ma prawo do istnienia. Skoro jest ten, z którego pochodzę, to dlaczego ma nie być więcej?

— To teraz już jestem pewna, że nasze spotkanie nie było przypadkiem — uśmiech na twarzy przyjaciółki mówi, jak bardzo jest szczęśliwa. — Wreszcie mam jakiś dowód na istnienie równoległych światów!

— Tak dokładniej to masz dowód na istnienie jednego — podkreślam.

— Nieistotne — macha ręką. — Ale nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne! Od dawna w to wierzyłam, i teraz wreszcie mam coś, co to potwierdza. Musisz mnie tam zabrać. Po prostu musisz — błyskawicznie łapie mnie za rękę. — Narobię zdjęć i będę miała czym oprzeć swój artykuł, który od pewnego czasu chcę napisać...

— Nie zapędzaj się tak bardzo — staram się ostudzić zapał współlokatorki. Prawdę powiedziawszy, takiej sytuacji się nie spodziewałam, myślałam, że, tak jak na samym początku, będę musiała ją przekonywać o słuszności moich słów. — Poczekaj, daj mi chociaż wszystko ci opowiedzieć. Dobrze, że przynajmniej teorii równoległych światów nie muszę ci wyjaśniać... Ale wracając do mojej historii, to ta para kupiecka odkryła nowy świat i na pewien czas zapomnieli o tym, na którym teraz jesteśmy i zaczęli zwiedzać wyspę, na której się znaleźli. Oczywiście wraz z nastaniem świtu (bo na obu światach czas płynie w taki sam sposób) przypomnieli sobie, skąd właściwie pochodzą i postanowili wracać — urywam.

— I co, to tylko tyle? — dziewczyna wydaje się być ciężko zawiedziona.

— To nawet napić się nie mogę? — patrzę na nią z lekkim zdziwieniem.

— A, no to sorry. Nie wiem, co dzisiaj we mnie wstąpiło — Lara zaczyna się

tłumaczyć, ale uciszam ją machnięciem ręki. Od tej pory tylko wpatruje się we mnie i cierpliwie czeka, aż się napiję i zacznę mówić dalej.

— W każdym razie małżeństwo wróciło na tą Ziemię — moment później podejmuję przerwana opowieść. — Oczywiście nie zapomnieli o swoim jakże cennym odkryciu, tylko najdokładniej, jak tylko potrafili, oznaczyli tunel na mapie i wrócili do rodzinnego miasta. Co prawda nie osiągnęli swojego pierwotnego celu, ale moim zdaniem to, co przez przypadek znaleźli, było o wiele ważniejsze, niż wartość towarów, które chcieli sprzedać. Bardzo zależało im, żeby jak najszybciej podzielić się z przyjaciółmi wieściami o nowym świecie. I kiedy już dotarli na miejsce, do swojej ojczyzny, skrzyknęli wszystkich, którzy mogli sypnąć złotem i sfinansować wyprawę kolonizacyjną.

— I co, udało im się? — czasami w pytaniach mojej przyjaciółki objawia się bezdena głupota. Bardzo mnie to dziwi, bo przecież z natury ona taka nie jest...

— A jak myślisz? — patrzę na nią z lekkim politowaniem. — Fundusze znalazły się bez problemu — ciągnę dalej, nie wracając już do pytania — i od razu kupcy wraz z pewną liczbą ochotników przystąpili do zbierania wszystkiego, co tylko mogłoby okazać się potrzebne w trakcie podróży i na tym nowym świecie. W końcu planowali się tam osiedlić na zawsze i ewentualnie co kilka lat sprowadzać tak jakieś potrzebne narzędzia, nowe rośliny, gatunki zwierząt... Bo kilka zabrali ze sobą na samym początku i to nie tylko te domowe.

— I co dalej? — dziewczyna przerywa mi po raz kolejny.

— Jak co chwilę nie będziesz się dopytywać, co dalej, to może wreszcie uda mi się opowiedzieć, ty niecierpliwcu jeden! — patrzę na nią z lekkim uśmiechem w oczach.

— Ale przecież sama pozwoliłaś mi pytać się o to, czego nie rozumiem, bądź nie wiem! — Lara błyskawicznie znajduje odpowiedź.

— Ale tak się składa, że to nie obliguje ciebie o zadawanie bzdurnych pytań o coś, co za moment mam zamiar ci powiedzieć — podkreślam.

— W sumie masz rację — kiwa lekko głową. — To w takim razie mów dalej, obiecuję ci już więcej nie przerywać ani razu.

— No ja mam nadzieję — patrzę na nią znacząco, po czym sięgam po kubek z kawą, biorę łyk i kontynuuję historię. — Na czym to ja... A, na tym, że zabrali ze sobą zwierzaki. Te dzikie oswoili, żeby przypadkiem nie powybijały ludzi, kiedy razem mieszkać na ciasnej wyspie, a potem wyruszyli.

— Fajnie tak... — zamyśla się Lara.

— Co? — zaciekawiam się, zapominając o swojej wcześniejszej uwadze w związku z przerywaniem mi co jakieś pół minuty.

— No wiesz, to, że dookoła nich było tyle dzikich zwierząt, i to na dodatek oswojonych... I wszyscy się doskonale znali... A tak wracając do zwierząt, to jakie ze sobą zabrali?

— No cóż... — zamyślam się, próbując przypomnieć sobie, co było w pierwszej karawanie. — Przede wszystkim konie (rzecz jasna araby), wielbłądy, kilka gatunków kotów, też dzikich, jeszcze jakieś inne afrykańskie zwierzęta i... Co to takiego było? — tu też urywam, próbując wydobyć z pamięci jeszcze jeden, ostatni gatunek, który jakimś cudem zaklinował się mi w pamięci. — No jasne, jak mogłam zapomnieć! — rozpromieniam się. — Smoki!

— Smoki?! — dziewczyna patrzy na mnie tak, jakbym była totalną wariatką. Oczywiście nie wykluczam tego, że się nie myli, czasem sama nie jestem pewna swoich władz umysłowych.

— Smoki — kiwam głową. — Najpotężniejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widziała ta lub tamta planeta. I jedyne, których tak na dobrą sprawę nie dało się oswoić. Dlatego właśnie u was wyginęły, niektóre były po prostu totalnie głupie. U nas też, ale na szczęście w odpowiedniej porze zmądrzały.

— W tym waszym równoległym świecie macie smoki? — Lara wygląda na mega zaskoczoną, lekko przerażoną i podnieconą równocześnie. — Jedziemy — oznajmia, zrywając się z miejsca.

— A gdzie ty się niby wybierasz? — patrzę na nią z lekkim, rozbawionym uśmiechem, niejako mówiącym „nigdzie nie jedziesz”.

— A jak niby myślisz? — przyjaciółka odwraca się i patrzy na mnie jak na jakąś totalną idiotkę.

— Myślę, że zaraz z powrotem siądziesz na fotel i nigdzie nie się z niego nie ruszysz — błyskawicznie staram się zgasić jej zapał. — A poza tym, to ja nie rozumiem, do czego ci się tak niby spieszy? — pytam, równocześnie z politowaniem unosząc lewą brew.

— Czy ty się dobrze czujesz? — dziewczyna wygląda wręcz na lekko zbulwersowaną moją „niedomyślnością”. Prawdę powiedziawszy, doskonale wiem, na czym tak bardzo jej zależy, po prostu chcę to od niej usłyszeć. — Dion, przed chwilą powiedziałaś mi o istnieniu równoległego świata, w którym istnieją różne bajkowe stworzenia, łącznie ze SMOKAMI i jeszcze wymagasz ode mnie, żebym spokojnie usiedziała na miejscu?

— Dokładnie — przytakuję. — Masz siadać i słuchać to, o czym mówię, bo chyba wcale nie jest to aż tak nudne, żeby usnąć w połowie. A potem to zobaczymy, jak to będzie.

— Nie ma zobaczymy, tylko z tobą pojedę — zastrzega moja współlokatorka.

— Powiedzmy — mrużę pod nosem. — A wracając do historii Arlesii, to... — w tym momencie przerywa mi stukanie w szybę.

— No nie, a już miałam nadzieję, że się zgubił... — ciężko wzdycha Lara, robiąc bardzo, bardzo smutną i zawiedzioną minę.

— Mam dla ciebie złą wiadomość — oznajmiam, podchodząc do okna.

— Tylko nie to... — dziewczyna wydaje z siebie rozdzierający lęk. — Nie jeszcze jeden...

Po chwili siłowania się z klamką wpuszczam gryfy do środka.

— Proszę o wybaczenie... — te lwiszysko, które chyba dopiero co przyleciało, wykonuje coś w rodzaju ukłonu. To tylko upewnia mnie, że jest nowe. Pierwszy na pewno by się na to nie zdobył...

Swoją drogą mam okazję stwierdzić, że ukłon w wykonaniu gryfa wygląda przekomicznie. Cudem udaje mi się powstrzymać uśmiech. Może dlatego, że mam dziwne wrażenie, że zaraz dowiem się czegoś, czego zdecydowanie nie chcę...

— Coś się stało? — pytam, mając wyjątkowo złe przeczucia.

— No cóż... — stworzenia znacząco odwracają łebki w kierunku mojej przyjaciółki.

— O nie, ja nigdzie nie idę — dziewczyna krzyżuje ramiona i przybiera zdecydowaną minę.

Teraz to ja posyłam jej bardzo, bardzo znaczące spojrzenie. I coś mi się zdaje, że przypadkowo zawarłam w nim taką groźbę, jaką tylko ja potrafię, bo dziewczyna blednie.

— Dobra, już idę — przyjaciółka jest wściekła, że musi wyjść, ale mimo wszystko grzecznie się mnie słucha i opuszcza pomieszczenie, donośnie trzaskając drzwiami.

— Co za wredna, niewychowana... — pierwszy gryf zaczyna złorzeczyć na moją przyjaciółkę, ale błyskawicznie mu przerywam.

— Nie masz prawa tak o niej mówić — patrzę na niego lodowatym wzrokiem. — Jaka by nie była, to mimo wszystko jest moją najlepszą i jedyną przyjaciółką.

— Dobrze, już dobrze... — zwierzę błyskawicznie pokornieje. Czyli ciągle potrafię zrobić takie wrażenie, na jakim mi zależy...

— Dobra, nie ważne — macham ręką, a potem opieram ją na biodrze. — A teraz mówcie, co się stało?

— Za to małe opóźnienie to ja ponoszę wyłączną odpowiedzialność — nowy gryf wysuwa się na przód. — Przeszkodziłem drugiemu posłańcowi, ponieważ muszę przekazać ci, Lumino, niezwykle ważną wiadomość.

— O co chodzi? — zaczynam przeczuwać, że stało się coś bardzo, ale to bardzo złego...

— No cóż... — gryf waha się przez moment, ale widząc moje spojrzenie, przełyka ślinę i mówi dalej. — Chodzi o Ertexa.

— No coś ty! — w stresujących sytuacjach zawsze sarkazm przychodzi mi z łatwością, więc tak jest i teraz. — Powiedz mi coś, czego nie wiem.

— Właśnie mam taki zamiar — lwiszysko lekko peszy się moim zachowaniem, ale ciągnie dalej. — To, o czym powiedział ci poprzedni posłaniec,

to pestka w porównaniu z tym, co ja muszę ci przekazać. Otóż doskonale wiadomo, dlaczego twój ex zwrócił się po pomoc do ymuli.

— Niech zgadnę, planuje rewolucję? — uśmiecham się lekko.

— Niekoniecznie — zwierzę kręci głową. — Planuje osiągnąć swój cel bez jakichkolwiek strat. Chce zostać bohaterem, co pomoże mu udowodnić, że to właśnie on jest najlepszym kandydatem na króla.

— Może faktycznie nim jest... — wyrywa mi się.

— Co proszę? — pierwszy posłaniec patrzy na mnie z przerażeniem. — Od kiedy ty prawisz takie herezje? I co, pewnie zaraz powiesz mi, że nie wiesz, jak możesz pomóc?

— Bo nie wiem — wzruszam ramionami. — Za to wy doskonale wiecie, że oderwałam się od tamtego życia i nic już ono dla mnie nie znaczy. Tu jest mi dobrze, więc wcale nie jestem taka pewna, czy wrócę — posuwam się do kłamstwa, chcąc pokazać że tu moja decyzja jest, była i będzie najważniejsza. I że podejmę ją w zależności od tego, jaki będę miała kaprys.

No cóż, po raz kolejny zapominam, że gryfów zazwyczaj nie daje się oszukać...

— Kłamiesz — moment później zarzuca mi pierwszy z nich. — I tak wrócisz, jeśli chcesz żyć dłużej, niż tylko kilka dni, maksymalnie tydzień.

— Ale nikt nie powiedział, że zostanę tam dłużej, niż będzie wymagało znalezienie lekarstwa — zastrzegam.

— Tyle, że ty chcesz wrócić — mówi drugie stworzenie.

I weź dyskutuj z czymś, co zna twoje myśli!

— Właśnie, chcesz wrócić i zrobisz to — błyskawicznie podchwytuje bardziej gderliwe i pozbawione szacunku do mnie lwiszysko. — Już od dawna chciałaś, tylko teraz po prostu nie uda ci się żyć w cieniu.

— Ja już z wami nie rozmawiam — krzyżuję ramiona i odwracam się od nich. Mam już trochę dość tej bezcelowej rozmowy, tym bardziej, że na pewno nie uda mi się ich przekonać do swoich racji. A szczególnie do tych, do których ja sama nie jestem szczególnie przekonana...

— Ale powinnaś przynajmniej wiedzieć, że skoro Ertex mógł sięgnąć tronu tylko i wyłącznie z twoją pomocą, to tylko ty możesz temu zapobiec — to już jest chyba ostateczny argument lwiszysk.

— To powiedz mi chociaż, jaki mogę mieć na niego wpływ? Wtedy potraktował mnie, jakbym była narzędziem, które po wykonaniu zadania można ot tak wyrzucić — uśmiecham się gorzko.

— Ale jeśli wrócisz... — zaczyna gryf, ale błyskawicznie mu przerywam:

— Wiesz co, to może po prostu powiedzcie mi, co się tam dzieje. I tak tam wrócę, więc przy okazji nie zaszkodzi mi sprawdzić co i jak. Ale nie obiecuję, że w cokolwiek będę się angażować, tym bardziej, jeśli będzie to wymagało ode mnie

ujawnienia się — zastrzegam, ostrzegawczo unosząc palec.

Zwierzęta wymieniają między sobą znaczące spojrzenia. I tu nawet ja, mimo tego, że nie umiem czytać w myślach, potrafię odczytać przekaz: już jest jakiś postęp, dobrze, że na razie zgodziła się choć na tyle.

— Tak więc wracając do tematu twojego byłego narzeczonego — drugie lwiszysko po raz kolejny próbuje przekazać swoją wiadomość — wiemy już, do czego potrzebna jest mu pomoc ymuli. Na początku co prawda nie było to całkiem jasne, ale Estive jest już całkowicie pewien.

— To skoro on jest pewien, musi tak być — uśmiecham się lekko. I nie ma w tym ani krzty kpiny, po prostu wiem, że kiedy mój były nauczyciel jest czegoś pewien, nie może być inaczej. — A czegoż w takim razie?

— Tego, jak Ertex chce przejąć tron — cierpliwie tłumaczy mi drugi gryf. — Jeśli by się tak dobrze zastanowić, pewne było to, że w życiu nie posunie się do czegoś, co mogłoby być dla niego niebezpieczne.

— Zawsze był tchórzem — wzruszam ramionami. — Tyle, że brak odwagi nadrabiał urokiem osobistym i charyzmą.

— I właśnie zamierza wykorzystać te swoje atuty — informuje lwiszysko. — Ale pozwól mi dokończyć, to będziesz wiedziała wszystko od początku do końca.

Przytakuję, kiwając głową. Może faktycznie za często się wtrącam... A przecież sama ganiłam za coś takiego Larę...

— W takim razie świetnie. Skoro mogę wszystko wytłumaczyć ci od początku, do końca, to cofnijmy się o jakieś dwa tygodnie. Mniej więcej wtedy wysłany został pierwszy posłaniec, więc nie miał możliwości donieść ci o niezamierzonym zwrocie wypadków. Ale wracając do tematu, to jakieś dwa tygodnie temu twój ex przyjechał do Xerionu, podobno w interesach.

— Jakoś szczególnie podejrzanie to nie wygląda... — mruczę pod nosem. Prawdę powiedziawszy, to każdy mógł przyjechać do jakiegokolwiek miasta pod przykrywką interesów, a tym bardziej do Xerionu, typowego miasta technologii.

— Właśnie, i nie byłoby w tym czegokolwiek dziwnego, gdyby nie to, że dokładnie dzień potem pod miastem pojawił się obóz ymuli w pełnej gotowości bojowej — dodaje gryf.

— No proszę... — już powoli zaczynam kojarzyć, o co mu chodzi.

— Kiedy tylko twój ex ich zauważył, błyskawicznie osiodłał konia i sam jeden wybiegł na spotkanie całej armii — kontynuuje posłaniec. — Jak tamci go zobaczyli, od razu uciekli.

— Tradycyjna sztuczka. Aż dziwne, że ludzie się nie zorientowali... — kręcę głową z politowaniem.

— A ty się zorientowałaś, że chciał cię wykorzystać? — wtrąca się to stworzenie, które przyleciało jako pierwsze.

— No cóż... — i tu mnie zażył. Faktycznie, Ertex tak mnie omamił, że po prostu nie miałam szans się zorientować. Nawet w świetle dowodów nie chciałam w to wierzyć, zorientowałam się dopiero w ostatniej chwili...

— Właśnie — potwierdzają Iwiszyska. — Ale to jeszcze wcale nie jest najgorsza wiadomość, jaką muszę ci przekazać — moment później dodaje drugi gryf.

— Ciekawe, co może być gorszego od wiadomości o poważnych zakusach mojego byłego do tronu... — mówię z powątpiewaniem w głosie. — Mam poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek znajdzie się coś takiego.

— Zdziwisz się i to bardzo poważnie — gryf kręci łepkiem. — To, że chce przejąć tron to nic w porównaniu z tym, co planuje potem. Bo ciekawe, kto oprócz niego byłby w stanie zlecić wymordowanie wszystkich potomków tych napromieniowanych nieszczęśników...

— Co?! — zrywam się z miejsca. — Przecież to jest... To jest po prostu...

— Właśnie — gryfy kiwają głowami. — I co, ciągle nie chcesz się w to mieszać?

Na to już po prostu nie odpowiadam. Nie ma sensu, i tak znają odpowiedź. Zamiast tego po prostu podchodzę do szafy, szeroko ją otwieram i zaczynam przeglądać jej zawartość.

— To, to nie, to też nie, to wezmę... — mruczę pod nosem, wyrzucając na podłogę kolejne ciuchy.

Gryfy w milczeniu obserwują moje działania. Doskonale wiedzą, że wysunęły ostateczny argument dosłownie w ostatecznym czasie.

Moment później, kiedy na podłodze leży już dość spora kupka ciuchów, do drzwi od mojego pokoju zaczyna ktoś pukać. Ktoś... Oczywiście, że to jest Lara.

— Wejść — mówię, po czym rzucam wszystkie ciuchy na kanapę.

— Dion... — dziewczyna urywa, widząc stertę ubrań. — Co ty...

— Wyjeżdżam — oznajmiam, po czym podchodzę do przeciwległej ściany. Wisi na niej piękny obraz przedstawiający otwartą książkę. Ale co najważniejsze, piękny wygląd wcale nie jest jego jedynym atutem. Otóż za sobą skrywa sejf.

— To ty masz sejf? — zdziwieniu mojej przyjaciółki nie ma granic. — Zaraz, zaraz, czy ty przed chwilą powiedziałaś, że wyjeżdżasz?

— Dokładnie — kiwam głową, po czym wpisuję szyfr. Zamek zaskakuje i moment później drzwiczki stoją otworem. — A teraz wy — na moment przerywam swoje zajęcie i zwracam się do gryfów. — Lećcie już do Arlesii i powiadomcie Estive'a, że wkrótce przybędę.

— Jedziesz do tego swojego kraju? — dziewczyna patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Sama? Beze mnie?

— Sama, bez ciebie — kiwam głową, po czym wyjmuję wszystko z sejfu i zaczynam przeglądać to, co tam mam. No więc dokumenty wezmę na pewno,

zarówno na Dion jak i Luminę McKinley, oczywiście portmonetkę z kilkoma tysiącami w arleyańskie walucie, album ze zdjęciami (nie potrafię powiedzieć, dlaczego ciągle je trzymam) i jeszcze kilka drobiazgów zapakowanych w plecak, który miałam ze sobą podczas ucieczki.

— Nie zgadzam się — dziewczyna zdecydowanie krzyżuje ramiona i staje w lekkim rozkroku, zupełnie, jakby chciała odgradzić mnie od wyjścia.

— Jakbyś miała wiele do powiedzenia w tej kwestii — rzucam jej lekko znudzone spojrzenie. — Ta walizka, którą ci pożyczyłam na wyjazd, cały czas jest w twoim pokoju, prawda?

Dziewczyna kiwa głową, więc natychmiast przechodzę do pokoju przyjaciółki. Na szczęście nie muszę się długo rozglądać bo oblepiona znaczkami ze wszystkich miejsc, które kiedykolwiek odwiedziłam walizka stoi niemal na samym środku.

— No i super, przynajmniej nie muszę szperać jej pod łóżkiem — uśmiecham się do siebie.

Biorę walizkę i przechodzę z nią do swojego pokoju.

— Dion, ja na serio z tobą jadę, poczekaj, tylko się spakuję... — Lara ciągle wierci mi dziurę w brzuchu, ale przykro mi bardzo, ja już postanowiłam.

— Nigdzie nie jedziesz, nie rozumiesz? — patrzę na nią lodowatym wzrokiem, nie przerywając wrzucania wszystkiego jak leci do torby. — Muszę załatwić tam pewne sprawy, których jak się okazało, nie rozwiązałam wcześniej i zrobić to SAMA. Ty tylko płątałabyś mi się pod nogami — w tym stwierdzeniu nie ma ani trochę złośliwości. Jestem stuprocentowo pewna, że gdyby dziewczyna pojechała, musiałabym się nią zajmować na każdym kroku.

— Wiesz co... — widać, że zabolęło ją to, co przed chwilą powiedziałam. — Przecież nie jestem małym, niesamodzielnym dzieckiem, które trzeba prowadzić za rączkę.

— W obcym kraju, nie mówiąc o obcym świecie, każdy jest małym, niesamodzielnym dzieckiem, które ktoś, kto zna okolicę, musi prowadzić za rękę — wyjaśniam, rozglądając się za butami. — Lara, widziałaś gdzieś moje ulubione szpilki?

— Tam stoją — dziewczyna wskazuje mi miejsce pod komodą.

— Dzięki — natychmiast biorę buty, nasuwam je na nogi i już chcę wyjść, ale uświadamiam sobie, że przecież muszę zabrać jeszcze to, co jest najpotrzebniejsze. W pół kroku wykonuję skomplikowany zwrot w tył, chwytam torebkę i zgarniam do niej wszystko, co leży na stoliku nocnym (bo właśnie tam naszykowałam sobie to, co obowiązkowo muszę mieć pod ręką).

— Dion, ale przecież nie muszę być z tobą przez cały czas... — przyjaciółka po raz ostatni próbuje przekonać mnie, że mimo wszystko musi pojechać.

— Lara, czy ty nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? — teraz już lekko

podnoszę głos. No bo w końcu ile razy można powtarzać to samo? — Nie jedziesz ze mną, zostajesz tu, w domu. Tam nie przeżyłabyś nawet jednego dnia, nie znasz zwyczajów, kultury, języka... Przykro mi bardzo, ale ja nie miałabym czasu ciągnąć cię wszędzie za sobą — tym bardziej, że w pewnym momencie może zrobić się niebezpiecznie, dodaję w myślach.

— Ale... — moja współlokatorka ciągle nie może przepuścić okazji, tym bardziej, kiedy czuje, że ona dosłownie się jej wyślizguje.

— Nie ma żadnego ale — teraz stawiam sprawę tak stanowczo, jak tylko potrafię. I o dziwo, udaje mi się... Dziewczyna pokorniej i spuszcza głowę. — Życz mi miłej podróży — mówię nieco cieplejszym tonem. Może faktycznie nieco przesadziłam. — Obiecuję przywieźć zdjęcia i jakieś pamiątki. Lara, nie rób takiej miny — teraz czuję, że budzi się we mnie poczucie winy — opowiem ci o wszystkim, jak wrócę.

Przyjaciółka podnosi wzrok. „O ile wrócisz” — jej spojrzenie mówi to bardzo wyraźnie.

— Miłej podróży — mówi niemal szeptem, po czym podchodzi do mnie i mocno mnie przytula.

Czuję, jak zbiera mi się na płacz, więc tylko kiwam głową, biorę walizkę w dłoń i wychodzę z pokoju.

Moment później jestem już przed domem. O dziwo, wyjątkowo szybko udaje mi się znaleźć taksówkę...

— Na lotnisko, proszę — mówię do taksówkarza, po czym z ciężkim westchnieniem padam na tylne siedzenie.

Rozdział V

— Po raz kolejny powtarzam pani, że na razie nie ma dostępnych lotów do Petry — kobieta za kontuarem parzy na mnie z lekkim znudzeniem. — Najbliższy możliwy lot do Jordanii to samolot do Ammanu za jakąś godzinę, ale wszystkie miejsca są już zajęte.

— Proszę pani, ja panią błagam — patrzę na kobietę z niemą prośbą w oczach. — Ja muszę jak najszybciej się tam dostać, jak nie bezpośrednio, to chociaż do Ammanu. Tam zarezerwuję sobie lot do Petry, bo to jest kwestia życia i śmierci, dosłownie.

— Czyżby? — recepcjonistka jest nieubłagana. No cóż, muszę wymyślić coś brzmiącego bardziej prawdopodobnie niż to, że jestem śmiertelnie chora i natychmiast powinnam znaleźć się w Petrze, żeby przejść do swojego świata, gdzie mogę znaleźć lekarstwo mogące mnie uleczyć w każdej chwili.

— Jeśli nie chce mi pani wierzyć, to trudno — wruszam ramionami. — Ale właśnie tak się składa, że moja matka jest śmiertelnie chora i chce się ze mną jeszcze zobaczyć. A jeśli przez to, że uniemożliwia mi pani lot teraz będę musiała polecieć później i się spóźnię, to... — urywam, chcąc nadać swojej wypowiedzi odpowiednie zabarwienie emocjonalne.

— Przykro mi bardzo... — kobieta urywa, słysząc dzwonek telefonu. — Przepraszam na moment — podnosi słuchawkę, niemalże mnie ignorując. Nie znoszę takich ignorantów i nie potrafię zrozumieć, jakim cudem dostają takie posady. U nas, w Arlesii to byłoby niemal nie do pomyślenia, choć w sumie jako takiego transportu jak tutaj nie mamy, radzimy sobie nieco inaczej... — No cóż — okłada słuchawkę i raczy zwrócić uwagę na mnie — tak się składa, że właśnie zwolniły się dwa miejsca w klasie biznes, więc...

— Biorę jedno — wyciągam w jej kierunku złotą kartę kredytową, którą na ostatnim wspólnym wyjeździe dostałam od rodziców. — Tylko proszę się pospieszyć...

Kobieta patrzy na mnie spod byka, ale pochyła się nad komputerem i w żółwym tempie zaczyna klikać w klawiaturę. Wyraźnie robi to po to, by mnie jeszcze bardziej rozdrażnić.

Wzdycham tylko ciężko, ale cierpliwie czekam, aż poda mi wydrukowany bilet i odda kartę, choć w głowie zdążam nadać jej wiele dosadnych epitetów.

Dziękuję skinieniem głowy i dosłownie odbiegam w stronę terminalu, przy którym mam odprawę.

Odprawę oczywiście przechodzę błyskawicznie i dosłownie bezproblemowo, więc od razu mogę się udać do samolotu. Jednak przystaję jeszcze na chwilę, chcąc zarezerwować sobie pokój w hotelu. Do Petry najlepiej jest wybrać się

w dzień, kiedy jest sporo turystów, żeby nie zwracać uwagi, a skoro przyjadę przed wieczorem, muszę gdzieś spędzić noc...

Przypominam sobie, że z rodzicami zawsze zatrzymywaliśmy się w hotelu Mövenpick Resort Petra i właśnie tam sprawdzam na sam początek. Wszystkie pokoje są zajęte, oprócz jednej dwójki. Zerkam na cenę i lekko się krzywię. No ale cóż, skoro tu nie wrócę to co mi szkodzi...

Kilka minut później wchodzę to samolotu i zajmuję swoje miejsce. Wreszcie mogę chwilę odsapnąć, bo na czas trwania lotu niestety wpływu nie mam... A i tak przecież będę siedzieć jak na szpilkach, całkowicie na pewno się nie odprężę, od tego zależy wszystko...

Wyjmuję słuchawki z torebki i wpinam je do telefonu. Na szczęście ostatnio pościęgałam sobie sporo piosenek, więc mam w czym wybierać. Włączam pierwszą z brzegu i przymykam oczy. Teraz trzeba tylko dolecieć na miejsce i znaleźć lot do Petry...

Rozdział VI

Z pewnym zniecierpliwieniem zerkam na wyświetlacz. Tak się składa, że samolot powinien odlecieć już jakieś dziesięć minut temu. Mojego niepokoju nie może uciszyć nawet jedna z moich najulubieńszych piosenek, ale nie ma w tym nic dziwnego, każda minuta zwłoki może kosztować mnie życie...

Chwilę później dosiada się do mnie jakaś dziewczyna. Coś mi się wydaje, że to właśnie ona jest powodem naszego opóźnienia...

Ukradkiem lustruję ją wzrokiem. Długie do piersi blond włosy, na pewno rozjaśniane, do tego okulary przeciwsłoneczne, jaskraworóżowy top, jeansowa miniówka kabaretki i szpilki. Plus wypchana torebka. Typowa turystka z dużą kieszenią, która może pozwolić sobie na spóźnienie na samolot.

Jednak sekundkę później na twarzy dziewczyny pojawia się lekki uśmiezek, zupełnie, jakby ze mnie drwiła. Z początku jest to ledwo zauważalne, ale potem staje się to zbyt oczywiste, by móc go zignorować i powoli zaczynam coś podejrzewać...

Moja uwaga zostaje rozproszona przez głos stewardessy (o dziwo udało mu się przebić przez muzykę ze słuchawek) oznajmiający: „Samolot zaraz wystartuje, prosimy zapiąć pasy”. Wszyscy stosują się do polecenia, ale kiedy robi to moja współpasażerka, peruka zsuwa jej się z głowy wraz z okularami, ukazując krótkie, rozczochrane włosy w nieokreślonym, brązowym odcieniu i o kilka tonów ciemniejsze oczy, patrzące na mnie z filuternym ognikiem.

— O nie... — wzdycham ciężko i opadam na siedzenie.

— No co? — pyta Lara, nie potrafiąc powstrzymać radosnego uśmiešku. — A kto ci powiedział, że razem z tobą jadę do tego drugiego świata? Przecież zawsze mogę chcieć zwiedzić Amman i Petrę.

— A chcesz? — patrzę na nią wzrokiem mówiącym, że doskonale znam prawdziwy cel jej podróży.

— Tak szczerze, to... nie — stwierdza z prostotą. — Dion, ale ty tego nie zrozumiesz. Ktoś mówi ci o istnieniu czegoś, czego pragnęłaś najbardziej w świecie, a potem zabrania ci to zobaczyć, mimo, że sam do tego czegoś jedzie. Ciekawe, czy ty byś się posłuchała i posłusznie została w domu...

I tu trafiła celnie. Na pewno zrobiłabym tak, jak moja przyjaciółka w chwili obecnej.

— Mam ciebie dość — mruczę i odwracam się do niej plecami. Cóż, potrzebuję chwili, żeby znaleźć się w tej nowej i to dość dla mnie niesprzyjającej sytuacji...

Jakieś pięć minut zajmuje mi przemyślenie wszystkich plusów i minusów. I, niestety, minusów jest sporo więcej, niż plusów...

— Przeszło ci już? — dziewczyna nigdy nie potrafiła wytrzymać w ciszy dłużej, dlatego nie dziwi mnie specjalnie jej pytanie.

— Powiedzmy — odwracam się do niej z powrotem. Strojenie focha na nią przez resztę lotu i tak nie przyniosłoby niczego dobrego.

— To jak, moja kochana przyjaciółko, opowiesz mi, co było dalej? — Lara robi słodką minkę, jak zawsze z resztą, kiedy chce coś osiągnąć. — Wiesz, wyjdzie nam to zdecydowanie na dobre, w końcu jak będę wiedziała więcej o twoim świecie, łatwiej będzie mi zrozumieć jego kulturę i w ogóle lepiej i szybciej się przystosuję...

— Coś w tym jest — kiwam głową potakująco. W sumie ma całkowitą rację. Jak pozna kulturę Arlesii chociaż przez moje opowieści, to może prędzej czy później nie będzie mi się już płatać pod nogami... — To na czym skończyłam?

— Na tym, że zabrali ze sobą smoki — usłużnie podsuwa przyjaciółka, w tym momencie wyglądająca jak szczęśliwa pięciolatka, która dostała wymarzoną lalkę. No cóż, wcale się jej nie dziwię...

— Ok., w takim razie idźmy dalej... — urywam na moment, chcąc ułożyć sobie wydarzenia z historii w porządku chronologicznym. — Otóż co kilka lat organizowane były karawany z tamtego świata do Fenicji, żeby zabrać stąd różne nowości: nowe przyprawy, narzędzia, nasiona i sadzonki roślin, nowe zwierzęta... I pewnego dnia okazało się, że na tej małej wyspie, którą odkryto na początku, robi się już trochę za ciasno. Nowe zwierzęta i dzieci jednak zabierają trochę miejsca, więc tak gdzieś ok. 2890 r. p.n.e. mieszkańcy Eruz, to jest tej wyspy, wysłali grupkę koło pięćdziesięciu osób na wyprawę badawczą. Mieli dokładnie sprawdzić, czy ląd naprzeciw nadaje się na mieszkanie. I okazało się, że owszem, nadaje się. Wręcz idealnie. Jedyłą jego wadą była trochę ograniczona powierzchnia.

— Jak to ograniczona? — Lara patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem w oczach.

— Normalnie — wzruszam ramionami. — Po prostu kraina miała wyznaczone naturalnie granice, ot co. Z zachodu ocean, ze wschodu potężne, sięgające nieba góry, od północy rozległa pustynia, a z południa bagna nie do przejścia.

— Wiesz co, Dion, ale ja ci nie wierzę, że oni po prostu zrezygnowali z przebycia tych granic i wyznaczenia nowych — w jej spojrzeniu widzę lekkie niedowierzenie.

— Nie musisz wierzyć, bo to wcale nie jest prawda — uśmiecham się lekko. — Oczywiście, że nie zrezygnowali. Założyli trzy miasta takie typowo odkrywcze, jedno na pustyni, jedno na bagnach i jedno w górach, żeby organizować wyprawy poza „krańce świata”, jak czasem nazywa się u nas granice. A w tym samym czasie z kolei połowa pozostałych mieszkańców wyspy też postanowiła się uniezależnić i zeszli na ląd. To właśnie oni założyli pozostałe

miasta, właśnie te, które są teraz. Ludzie podzielili się na grupy, zgodnie z tym, co potrafili robić najlepiej i w ten sposób powstały osady rybaków, jubilerów... I oczywiście wiele innych, w tym Xerion, miasto technologii.

— A co z tymi, którzy mieszkali w tych miastach badawczych? — moja przyjaciółka patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

— No cóż, te miasta tak właściwie były tylko osadami badawczymi, nastawionymi na eksplorację nowych ziem — mówię po chwili zamyślenia. — Ich mieszkańcy kolejno w grupkach wyruszali, żeby dowiedzieć się, co jest za granicami. Nikt nigdy się nie dowiedział, co potem się z nimi działo. Jedno jest pewne — nigdy nie wracali i te miasta stopniowo wymierały.

Na moment zapada pomiędzy nami milczenie.

Ale oczywiście Lara nie potrafi go długo znieść...

— Dion, słuchaj, mówiłaś przecież, że co kilka lat ludzie stamtąd wybierali się tutaj, żeby zabrać jakieś nowości, prawda? — przytakuję, kiwając głową. — Wiadomo, że kiedyś ktoś musiał coś przypadkiem wypaplać, i to pewnie nawet nie raz, więc wytłumacz mi, dlaczego teraz nikt nie wie o istnieniu tej twojej Akesi?

— Arlesiiie — poprawiam. — Pewnie się zdziwisz, jak ci powiem, że tysiące lat temu wszyscy wiedzieli o tym innym świecie. Każdy miał możliwość się do niego przenieść, spróbować życia w innym, być może lepszym dla niego miejscu. A teraz... Teraz wiedza o mojej ojczyźnie przetrwała tylko w baśniach, legendach i mitach.

— Dlaczego? — draży moja przyjaciółka.

— Nikt już nawet nie pamięta, że coś takiego, jak równoległy świat w ogóle może istnieć — wzdygam z wyraźnie widocznym smutkiem.

— Ale jakiś powód musi być, że nikt o nim nie pamięta — siedemnastolatka uczepliła się tego tematu jak rzep psiego ogona.

Z doświadczenia wiem, że jak ona się na coś uprze, to nie odpuści, dopóki nie dowie się wszystkiego na dany temat.

— Powód jest taki, że nikt nie organizuje już żadnych wypraw — mówię. — Arleye od tysiącleci są całkowicie samowystarczalni i nie potrzebują już niczego stąd. I nie przesadzę, jeśli powiem, że nasza technologia i wiedza przewyższa waszą o kilka, jeśli nie o kilkanaście stuleci.

— To może od razu o kilkadziesiąt, co? — w tym momencie w Larze odzywa się coś w rodzaju dumy narodowej, a może nawet światowej.

— Jakby się dobrze zastanović, to może i tak... — i mówię to całkiem serio. — Arleye to bardzo zdolni i inteligentni ludzie. I nie tylko...

— Kto proszę? — albo nazwa okazuje się zbyt trudna, albo dziewczyna nie załapuje, o kogo mi chodzi.

— Arleye. Mieszkańcy Arlesiiie — wyjaśniam. — Nazywani też ludem baśni ze względu na niesamowitą zdolność do snucia najwspanialszych opowieści we

wszystkich światach. Kiedyś, to były czasy... Wszystkie historie, które pochodziły z Arlesii, spisywano w Arlein. Każdy go znał. Ale to było przed wielkim wybuchem...

— Arlein to wasz język, prawda? — upewnia się moja współpasażerka. — Zaraz, o jakim wielkim wybuchu mówisz?

— Poczekaj, do wszystkiego dojdziemy. Tak ok. 2300 r. p.n.e. miasto na wyspie było zamieszkane tylko przez rodzinę królewską (jako władców obrano odkrywców tego świata) i jeszcze z setkę osób, która nijak nie mogła znaleźć sobie tego jedyne go zajęcia, z którym mogliby związać swoje życie. Postanowili więc wyruszyć i założyć miasto dla osób niekwalifikujących się do niczego.

— I co, udało im się?

— Częściowo na pewno — odpowiadam. — Ale osiągnęli tylko małą część tego, co planowali z początku. No bo tak: miejsce znaleźli i to na serio świetne. Piękną polanę w samym środku gęstego lasu, obok niej wygasły wulkan, źródło najdłuższej rzeki w kraju i jaskinia zamieszkała przez dzikie konie. Jednym słowem lokalizacja fantastyczna, czego chcieć więcej? Ale kiedy zabrali się za wyznaczanie fundamentów, wszystko po kolei zaczęło się psuć.

— To znaczy? — zaciekawia się przyjaciółka.

— No wiesz, zaczęły się kłótnie na przykład o wygląd miasta, o układ ulic i ogólnie o takie dość istotne drobiazgi. O dziwo, po pewnym czasie w miarę się dogadali, ale z małego bajorka wpakowali się po uszy w totalne bagno. Wyobraź sobie, że ubzdurało im się, żeby zmienić smoka, mieszkającego w jeziorze na szczycie wulkanu, na maskotkę miasta. To była jedna z dwóch najidiotyczniejszych rzeczy, które kiedykolwiek ktokolwiek zrobił w całej historii Arlesii. Tak się składa, że ów smok wcale nie był taki głupi, jak mogło się zdawać. W rzeczywistości znał wszystkie języki światów, a jego mądrość sięgała początków ludzkości, jak nie początków świata, nie mówiąc o początkach Arlesii.

— Mam wrażenie, że ta próba udomowienia tego smoka wcale nie skończyła się dla nich dobrze — lekko wzdryga się Lara.

— Żebyś wiedziała — uśmiecham się gorzko. — Kiedy wybrali się na polowanie na smoka, zginęło dwadzieścia pięć osób. Jedna czwarta mieszkańców przyszłego miasta. Sami młodzi i odważni mężczyźni. Ale ta tragedia przynajmniej nauczyła ich, żeby trzymać się z dala od smoka. Choć jak mam być szczerą, na kolejną katastrofę nie trzeba było długo czekać...

— J niech zgadnę, to jest ta druga z najidiotyczniejszych rzeczy, które kiedykolwiek wydarzyły się w historii twojego kraju? — w oczach Lary pojawia się błysk zrozumienia.

— Właśnie — kiwam głową. — Choć, jakby się tak dobrze zastanowić, to temu wydarzeniu zawdzięczamy to, kim jesteśmy i to, jak wyjątkowy jest cały nas świat... — na moment moje spojrzenie lekko mętnieje, gdy cofam się myślami

z w przeszłość świata baśni...

— Dion? Dion! Ziemia do Dion! — dziewczyna zaczyna machać mi ręką przed oczyma. — I co tam się stało?

— Już mówię, spokojnie — patrzę na nią z lekkim zdziwieniem. — Nie martw się, jak zaczęłam o czymś mówić, to na pewno to dokończę.

— Dobrze, tylko po prostu dokończ — jeszcze nigdy nie widziałam osoby tak rządnej ciągu dalszego.

— No spoko — podnoszę ręce w obronnym geście. — Otóż pewnego pięknego dnia, jakiś tydzień po feralnym polowaniu, któryś z ocalałych mężczyzn odkrył tajną komnatę w jaskini. A jej zawartość była przepiękna. Ukryto w niej najwspanialsze szlachetne kamienie, jakie kiedykolwiek widział którykolwiek świat. I tak właściwie nawet nic by się nie stało, gdyby tamten facet po prostu zostawił je tam, gdzie je znalazł. Dokładnie tak, jak radził napis wyryty w kamiennej skale nad błyskotkami. Ale ten człowiek oczywiście go albo nie zauważył, albo zlekceważył, chwycił pierwszy z brzegu klejnot i wybiegł na zewnątrz, by podzielić się ze światem swoim wspaniałym odkryciem.

— Tak się spytam, co do tego ma napis? — Lara patrzy na mnie lekko nierozumiejącym wzrokiem.

— Tak się składa, że bardzo wiele. Jakieś pół tysiąclecia przed tym zdarzeniem smok, który, jak już ci wspominałam, wcale nie był taki głupi, jak mogłoby się wydawać, zgromadził we wspomnianej już jaskini najbardziej radioaktywne substancje świata, z wyglądu przypominające piękne kamienie szlachetne. Potem wyskrobał literki, żeby każdy, kto kiedykolwiek znajdzie błyskotki, wiedział, że wystawianie ich na słońce choćby przez ułamek sekundy spowoduje uwolnienie się substancji radioaktywnych w potężnym wybuchu.

— Ups... — moja przyjaciółka momentalnie się krzywi.

— No właśnie. I jeszcze dodaj sobie do tego fakt, że wybuch tego jednego, z resztą najmniejszego, kamyczka spowodował reakcję łańcuchową. W jej wyniku wszystkie pozostałe błyskotki, dziesiątki, a nawet setki razy większe, też wybuchły, uwalniając o wiele więcej niż tylko zabójczą dawkę promieniowania.

— I co się stało potem? — nastolatka patrzy na mnie z ogromną mieszanką uczuć wypisaną na twarzy. Dawno nikt nie słuchał mnie w ten sposób, kiedy opowiadałam jakąkolwiek historię...

— Ten „geniusz”, który niósł błyskotkę, został spopieleny dosłownie w ułamek sekundy. I o dziwo, poza nim nikt nie zginął. Tak właściwie to nikomu nic specjalnego się nie stało. No, może pomijając osadników, którzy trochę zmutowali. A, i jeszcze trochę zwierzęta się zmieniły...

— Ale jak to ludzie zmutowali? — Lara wygląda na porządnie wstrząśniętą.

— Normalnie — wruszą ramionami. Po raz kolejny objawia się różnica pomiędzy naszymi światami. Dla mnie mutacje tych nieszczęśników to coś

wpisanego w naszą kulturę, coś, bez czego Arlesii nie byłaby taka sama i bez czego być może nawet bym nie istniała. Z kolei dla niej to wielki dramat, coś przerażającego i odrażającego, coś, czego powinno się bać i unikać. — Wysły z tego trzy grupy. Lumie, ymule i ruslinsen.

— Co? — moja współpasażerka próbuje w jakiś zrozumieć, o co mi chodzi.

— Wszystko ci wyjaśnię po kolei — uspokajam ją gestem. — Zacznijmy od lumii. Są to dziewczyny, które w trakcie wielkiego wybuchu zajmowały się oswojonymi wilczycami. Promieniowanie sprawiło, że połączyły się z wilkami w jedno. To znaczy, że są równocześnie i wilkami, i dziewczynami. Stanowią dość ciekawy widok — uśmiecham się lekko do swoich myśli. — Wyobraź sobie piękną dziewczynę, wysoką, smukłą, z oczami w bardzo wyrazistym kolorze, a do tego z wilczymi uszami i wilczym ogonem.

— Żartujesz sobie? — patrzy na mnie jak na wariatkę.

— Nie żartuję — uśmiecham się jeszcze szerzej. — Najlepsze jest to, że na początku możesz nie wiedzieć, czy masz przed sobą lumie, czy zwykłą piękność. Tym bardziej, że wszystkie z lumii potrafią zmieniać się w dziewczyny całkiem normalne. Co prawda, w tym stanie wytrzymują maksymalnie doba, ale jakby co, to zawsze w nocy mogą powrócić do swojej prawdziwej postaci, która różni się tylko obecnością wilczych uszu i ogonem.

— Ty na serio mnie wrabiasz — przyjaciółka dochodzi do wniosku, że to, o czym mówię, jest zbyt dziwne, żeby było prawdziwe. — Wiesz co, Dion... A ja myślałam, że mogę ci ufać, że powiesz mi prawdę, a nie będziesz wciskać mi jakieś bajeczki...

— Skoro uważasz, że to bajeczki, to proszę bardzo — wzruszam ramionami i w głębi duszy czuję lekką irytację. To ja jej zaufałam, powierzyłam sekret, o którym nikt nie wie, a ona będzie mi tu kłamstwo zarzucać... — Ale tak się ciekawie składa, że mogę udowodnić ci ich prawdziwość.

— Ciekawie jak? — dziewczyna patrzy na mnie z lekkim niedowierzaniem. — W tym swoim świecie, który nie istnieje?

— Przesadziłaś — teraz już na poważnie jestem wkurzona. Doskonale pokazują to moje pasemka, zmieniając kolor z białego na wściekle czerwony. — Skoro ten świat nie istnieje, to dlaczego lecisz ze mną, zamiast siedzieć w domu?

— Bo chciałam się przekonać — Lara wzrusza ramionami. — Ale te twoje opowieści udowodniły mi już wystarczająco, że ty wcale nie jedziesz tam, żeby pozalać różne sprawy. Po prostu chciałaś się mnie pozbyć ze swojego życia, zamknąć ten jego rozdział w skrzyni na kłódkę i nigdy do niego nie wracać, tak samo z resztą, jak zrobiłaś z tym, który zakończyłaś w chwili naszego poznania.

— Zgadza się, że zamknęłam tamten rozdział i niespecjalnie chciałam wracać — za wszelką cenę staram się nie podnosić głosu. Jeszcze tego by brakło, żeby cały samolot dowiedział się o Vastertilie. — Ale to wcale nie znaczy, że moja

historia nie jest prawdziwa. Mam ci przypomnieć, jak uważnie słuchałaś mnie przed chwilą?

— Bo dałam się nabrać — nastolatka mierzy mnie lekko pogardliwym wzrokiem. — I pewnie dałabym się nabierać dalej, gdybyś nie przesadziła z tymi lumiami. Bo tak szczerze, to czy masz jakikolwiek dowód na istnienie tego twojego świata? I to taki, żebym nie uznała cię albo za wariatkę, albo za mitomankę.

— Dowód na istnienie lumii dam ci, kiedy tylko będziemy w Petrze, w hotelu — mówię przez zaciśnięte zęby. — A co do dowodu na istnienie Arlesii, mojej ojczyzny, nie ma większego problemu. Powiedzmy, że ona nie istnieje. W takim razie skąd wzięły się gryfy?

I tym pytaniem skutecznie zamknęłam jej drogę do negocjowania mojej historii. Widzę jeszcze, jak przez chwilę na przemian otwiera i zamyka usta, zupełnie, jak ryba, wyrzucona na brzeg.

— No dobra — przyznaje z niechęcią. — Masz rację, może faktycznie lekko przesadziłam... Ale na serio, te twoje lumie brzmią mega nieprawdopodobnie...

— I z tym się całkowicie zgadzam — kiwam głową. No cóż, w sumie mogłam spodziewać się takiej reakcji. To wszystko razem brzmi jak jakaś całkiem niezła książka fantasy... — To jak, mówić ci dalej?

— Jasne, mów — Lara wzrusza ramionami. — Tylko nie daję ci gwarancji, że we wszystko uwierzę...

— Spoko, rozumiem — kiwam głową. — To po lumiach byli... Ymule, ludzie cienia. W nich zmieniła się mniej więcej połowa pozostałych, jakieś dwadzieścia pięć osób. Oni zmutowali tak jakby najmniej, są najbardziej ludzcy. W większości zmieniły się drobiazgi: zszarzała im skóra, oczy zrobiły się całkowicie czarne, nagle stali się niezwykle wrażliwi na światło... Ale była też bardzo nieliczna ich grupka, która zmieniła się inaczej. Zwą ich teyami, co w Arlein znaczy „uprzywilejowani”. Ta potężna dawka promieniowania sprawiła, że mają wyjątkową władzę nad swoim ciałem. W ciągu chwili mogą całkowicie zmienić swój wygląd, łącznie z wzrostem, karnacją, długością i kolorem włosów. Uwierz mi, nie raz zdarzało się, że zastępowali jakieś ważne osoby. Tak na przykład jakieś trzy lata temu dwójka z nich musiała udawać króla i królową — przez moment zamiera mi głos, ale przetykam ślinę i spokojnie ciągnę dalej. — Tak się składa, że podobnie jak u was, u nas o istnieniu drugiego świata nie wie prawie nikt. Rodzinka królewska akurat o tym wiedziała, ale niestety podczas jednego z wyjazdów pary królewskiej samolot, którym lecieli, się rozbił. Wszyscy pasażerowie zginęli na miejscu.

— Czyli król i królowa Arlesii też? — zauważam, że Lara na powrót dała się kompletnie wciągnąć w moje opowiadanie. Szczególnie długo nie musiałam czekać, mimo jej chwilowego, dość poważnego zwątpienia w prawdę moich słów.

— Właśnie — kiwam głową. — Ale opinia publiczna nie mogła się

dowiedzieć, że władcy zginęli na innym świecie, więc dwójka teyów przez pewien czas musiała jeszcze udawać, że król i królowa żyją. A że ta farsa nie mogła trwać wiecznie, to po pewnym czasie zmistyfikowano pożar, w którym ponoć zginęła rządząca para. Jediną osobą, która знаła prawdę, była ich jedyna córka.

— Biedna dziewczyna... — w oczach przyjaciółki pojawia się smutek. — Musieć udawać, że nic się nie stało, równocześnie wiedząc, że przy sobie ma fałszywych rodziców... Dion, wiesz, co się z nią stało? — pyta ni z tego, ni z owego.

— Z ich córką... Tak właściwie to nikt tego nie wie — wzruszam ramionami. — Dwa lata temu po prostu zniknęła.

— Tak po prostu? — nastolatka wygląda na lekko rozczarowaną. — Przecież księżniczka nie może zniknąć ot tak.

— Królowa — poprawiam. — Po śmierci rodziców, mimo młodego wieku, została królową.

— To tym bardziej — dziewczyna wygląda na lekko zaskoczoną. — Wyjaśnij mi, jak królowa może zniknąć bez śladu.

— Jak widać, to możliwe — po raz kolejny wzruszam ramionami. — Nie wiem wiele na ten temat, wyjechałam z Arlesii tuż po jej zaginięciu.

— Dziwne... — moja współpasażerka ciągle nie może sobie darować tego tematu.

— U nas wiele rzeczy jest dziwnych — uśmiecham się lekko. — I powiem ci, że zapewne nie ty pierwsza łamiesz głowę nad tą sprawą i nie tobie pierwszej nie uda się tego rozwiązać. Może lepiej teraz po prostu posłuchaj mnie dalej, a tą zagadkę zostaw sobie na bezsenne noce, na pewno szybciej ci zlecą.

— Może i masz rację — ciężko się ją odciąga od raz upodobanego tematu, ale jak już się uda, to da sobie spokój. — A, słuchaj, mam do ciebie jeszcze jedno pytanie w związku z tymi lumiami.

— No, słucham — to, że chce wrócić do sprawy wcześniej według niej nieprawdziwej, rokuje bardzo dobrze.

— Sama mówiłaś mi, że lumie to są same dziewczyny, tak? — kiwam głową. — To w takim razie wyjaśnij mi, czy są gatunkiem już wymarłym, czy jeszcze żyją?

— A dlaczego miałyby niby wyginąć? — patrzę na nią z dość sporym zaskoczeniem.

— No bo przecież skoro lumie to tylko dziewczyny i kobiety... — Lara też już lekko się zagubiła,

— Już wiem, o co ci chodzi — kiedy tylko pojmuję, co ma na myśli, uśmiecham się lekko. — Lumie normalnie zawierają związki z normalnymi chłopakami, normalnie rodzą dzieci, a swoje cechy przekazują córkom. Synom nie, tylko córkom. Kiedy ktoś jest w związku z lumią i spodziewają się córki, pewne

jest, że na pewno będzie to kolejna lumia.

— Spoko, już rozumiem — Lara kiwa głową. — A z tego, co pamiętam, masz mi opowiedzieć jeszcze o jednej grupie?

— O ruslinsen — kiwam głową. — Ci zmienili się jeszcze bardziej, niż lumie i ymule, zmutowali w bardzo dużym stopniu. Wyobraź sobie, że zbłękitniała im skóra, pojawiły się błony pławne pomiędzy palcami i, co chyba najważniejsze, płuca błyskawicznie zamieniły się w skrzela, przez co musieli jak najszybciej dostać się do wody. I tak im zostało, spokojnie żyją we wszystkich jeziorach Arlesii, również w tym na szczycie wulkanu przy polanie, na której miało powstać to nieszczęsne miasto. Tak samo z resztą, jak mój nauczyciel...

— Uczył cię mutant? — przyjaciółka wygląda na zaskoczoną i tak jakby lekko... zbulwersowaną.

— Wiesz, my nie traktujemy ich w kategorii mutantów. Raczej uważamy ich za ludzi z odmiennych kultur, tak jak wy osoby o innym kolorze skóry. Co oczywiście nie znaczy, że my nie mamy osób o odmiennym kolorze skóry... Arlesii to kraj typowo międzynarodowy. A co do twojego pytania, to nie, nie uczył mnie mutant, jak to określiłaś.

— Aha — dziewczyna kiwa głową. Widać zadowolona ją moja odpowiedź i zdążyła zapomnieć o tym, że mój nauczyciel mieszkał w jeziorze. Inaczej nie dałaby mi spokoju, dopóki nie dowiedziałyby się, cóż to za osobliwa postać... — Ale mówiłaś, że zwierzęta też trochę zmutowały, tak?

— Zwierzęta, i rośliny... — kiwam głową. — Zwierzęta zmieniły się w dość dużym stopniu, ale oczywiście pozostały też niezmienione, żeby była różnorodność. Na przykład takie ardyliany czy louliny powstały z istniejących do dzisiaj gatunków zwierząt, z arabów i zwykłych jaszczurek. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak wspaniałym widokiem jest pasące się stado arabów i ardylianów na tej samej łące...

— Może zobaczę — uśmiecha się do mnie szeroko i już wiem, że koniecznie będę musiała znaleźć jej taki widok. Jakbym nie miała dość roboty... — A co z roślinami?

— Powstało kilka cennych gatunków traw, to przede wszystkim... — zamyślam się na moment. — No i jeszcze las w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od polany, na której doszło do wybuchu, też się zmienił. Najdalej był po prostu wymarły, drzewa zastygły w bezruchu i stworzyły niemal nieprzepuszczalną barierę dla osób z zewnątrz. Ale dziesięć kilometrów w głąb wszystko drastycznie się zmieniło. Życie tętni tam w sposób fantastyczny, poza tym jest to dom dla większości zmutowanych zwierząt. A z racji tego, że w owym lesie wydarzył się ten wybuch, po którym wszystko się zmieniło, nazwano go Seiten Gaye, gajem cudów...

— Pokażesz mi go? — Lara patrzy na mnie z niemą prośbą.

— Postaram się, ale niczego nie obiecuję — kiwam głową. No cóż, jeśli o to chodzi, to faktycznie nie mogę nic obiecać, bo nie jest to zależne ode mnie.

Ale nastolatce najwyraźniej to wystarcza.

— Dion, a co było po wielkim wybuchu? — pyta dalej.

— Potem nic szczególnego się nie działo — wzruszam ramionami. — Co prawda odcięto kontakt ze światem zewnętrznym, żeby nie wyszło na jaw, co się stało w naszym świecie, ale to wcale nie wpłynęło na codzienne życie mojego świata. Miasta się rozwijały, technika postępowała do przodu w zastraszającym tempie, a kraj odchodził w zapomnienie wśród mieszkańców twojego świata... Chociaż nie, było jeszcze jedno ważne wydarzenie. Gdzieś koło roku zerowego stolica Arlesii na wyspie Eruz, a tak właściwie to pałac królewski został zaatakowany przez największy, najagresywniejszy i najgorzej nastawiony do władców gatunek smoków. Jak już wiesz, smoki wcale nie były takie głupie i działały całkowicie inteligentnie. Zniszczyły cały pałac, wszystko obróciły w ruinę. Poza jedną wieżę, która stoi do dziś. Właśnie w niej schroniły się dzieci ówczesnej pary królewskiej, szesnastoletnia para, chłopak i dziewczyna. Tylko oni przeżyli.

— O matko... — przyjaciółka wygląda na przerażoną.

— No cóż, to był pierwszy przypadek, kiedy młode osoby musiały podnieść tak ogromną odpowiedzialność, ale nie ostatni — uśmiecham się kwaśno. — A tej dwójce udało to się fantastycznie. Królem został chłopak, siostra go wspierała. Stolicę odbudowali, ale nie w tym samym miejscu. Przenieśli ją do Dminestil, miasta położonego na wschód tuż przy Liresist, największym jeziorze w kraju. Budowa pałacu trwała długo, ale potem Pearle Kiry, to znaczy „perła w koronie”, stał się najpiękniejszym pałacem na wszystkich światach i po dziś dzień tak jest.

— To też muszę go zobaczyć — rozmarza się dziewczyna. — Jeżeli jest choć w połowie wart takiego zachwalania, to...

— Rzeczywistość przewyższa wszelkie oczekiwania — mrugam do niej i obie zaczynamy się śmiać.

— Ale fajna ta twoja historia — mówi nastolatka, po czym ziewa. — Tylko trochę zmęczona jestem... No wiesz, dość długo już nie spałam...

— Spoko, śpij — mówię i wkładam do uszu słuchawki. — Jakbyś czegoś chciała... — urywam, zauważając, że dziewczyna momentalnie zasnęła. No cóż, prawdę powiedziawszy to wcale się jej nie dziwię. Skoro siedziała przy mnie w szpitalu cały czas, to na pewno nie miała czasu zdrzemnąć się choćby na chwilę.

Uśmiecham się lekko i właśnie chcę włączyć sobie jakąś piosenkę, gdy nagle głowę przeszywa mi przerażający ból. Taki silny i nie chcący ustąpić nawet na chwilę.

W pewnym momencie słyszę, jak telefon uderza o podłogę. Nawet nie zauważyłam, jak go puściłam...

Schylam się, podnoszę go, a ból jest po prostu nie do wytrzymania. Nie mam wyboru, muszę wziąć tabletki przeciwbólowe.

Biorę w rękę torebkę i zaczynam przeciskać się do przejścia między siedzeniami. Robię to tak ostrożnie, jak tylko potrafię, bo nie chcę przecież obudzić przyjaciółki...

Dojście do toalety zajmuje mi dobre kilka minut, w końcu jest ona prawie na samym końcu samolotu. Od razu zatraskuję za sobą drzwi i opieram się o nie. I tak się składa, że stoję dokładnie naprzeciwko lustra.

Mówiąc w bardzo optymistycznym tonie, wyglądam strasznie. Jestem bledsza jeszcze bardziej niż zwykle, czyli praktycznie biała, co wygląda przerażająco w porównaniu z rozgorączkowanymi oczami, pałającymi niezwykle blaskiem. A jeszcze skoro pasemka na włosach zmieniły kolor na taki, jaki ma popiół, to znaczy, że faktycznie jestem chora. I to bardzo, ale to bardzo poważnie. Wręcz śmiertelnie...

Ostatkiem sił udaje mi się usiąść na desce od toalety. Opieram policzkiem o chłodną ścianę, ale to wcale nie przynosi mi ulgi. No cóż, chyba trzeba wreszcie wziąć te tabletki...

Zaczynam grzebać w torebce, ale przychodzi mi to z wielkim trudem. Na szczęście w końcu znajduję pudełko z lekami. Nowe, jeszcze nie używane...

Otwieram wieczko i wytrząsam całą jego zawartość — trzydzieści pigułek — na dłoń. Puste pudełko podkładam pod kran i nalewam wody, żeby mieć czym popić, a potem po kolei połykam wszystkie tabletki. No cóż, mój organizm nie jest taki jak organizm normalnej dziewczyny w moim wieku — dawka, która innych by zabiła, mi jest w stanie przynieść ulgę zaledwie na paręnaście, może parędziesiąt minut.

Opieram się plecami o ścianę i przykładam dłoń do czoła. Dosłownie parzy. Co najmniej 41°, jak nie więcej.

No przecież! Jak mogłam być tak głupia... Przecież moje ciało, oprócz walki z chorobą od co najmniej czterdziestu ośmiu godzin musi znosić jeszcze inne obciążenie, rosnące z każdą minutą. Bo niestety nie miałam okazji bycia całkiem samej w zaciszu domowym od czasu rozmowy z gryfem. A wtedy to jeszcze nie było potrzebne... No i może w toalecie w szpitalu, ale tam to było co innego. Po prostu zapomniałam, byłam za bardzo podekscytowana, by pamiętać...

Ale niestety tak się składa, że teraz też za bardzo nie dam rady. Jakiś czas temu słyszałam, że w toaletach w samolotach montują kamery, bo chcą uniknąć jakiegoś zamachu. Tak więc jakby teraz zobaczyli to, co nie trzeba, od razu wybuchłaby totalna panika, a ja musiałabym przeczekać resztę podróży w oddzielnym pomieszczeniu, skuta plastikowymi kajdankami.

Kręcę lekko głową. Nie ma mowy. Aż tak jeszcze choroba w mózgu mi nie przewracała. Muszę jeszcze poczekać maksymalnie dołą, aż to czasu, jak sama

będę w toalecie w hotelu. Teraz trzeba tylko trzymać kciuki, żeby moje ciało wytrzymało jeszcze przez tyle czasu rosnące obciążenie...

Zbieram wszystkie siły i staję na nogi. Nie jest to nawet aż takie trudne, skoro nic mnie nie boli, ale ogólnie rzecz biorąc to czuję się strasznie słaba.

Cudem udaje mi się dojść na miejsce, bo leki tym razem działają sporo mocniej, niż zazwyczaj i czuję, jakbym była na porządnym haju. Kręci mi się w głowie i chyba powoli odpływam.

Powoli? Źle powiedziane. Ledwo opadam na fotel i przykładam głowę do oparcia, momentalnie tracę przytomność. „Może faktycznie tym razem wzięłam za dużo... Mam nadzieję, że bardzo źle to na mnie nie wpłynie...” — przemyka mi przez myśl w ostatnim momencie.

Rozdział VII

— Dion, wstawaj... — głos przyjaciółki dochodzi jakby zza grubej ściany.

— Co? — otwieram jedną powiekę i zerkam na nią prawym okiem. — Daj mi spokój, spać mi się chce...

— Dziewczyno, wstawaj — Lara zaczyna mną potrząsać. Widać bardzo jej zależy, żebym obudziła się jak najszybciej. — Już wylądowaliśmy, trzeba wychodzić.

— No trzeba było tak od razu — zrywam się na równe nogi. I od razu tego żałuję: całe moje ciało eksploduje bólem. Powinnam wstać bardziej delikatnie... Ale teraz nie mogę dać tego po sobie poznać i dlatego tylko opieram się o zagłówek siedzenia przede mną. — W takim razie chodź, nie możemy się spóźnić na następny samolot.

— To teraz nie jesteśmy w Petrze? — dziewczyna patrzy na mnie ze zdziwieniem, podczas gdy szybko idziemy do wyjścia na zewnątrz.

— Nie — odkręcam się do niej z uśmiechem. — Jesteśmy w Ammanie. Nie było żadnego lotu do Petry w przeciagu do dwunastu godzin, więc musiałam zarezerwować lot z przesiadką w Ammanie. Następny lot mamy za jakieś pół godziny, trzeba tylko odebrać bagaże... — mruczę pod nosem, schodząc po trapie na stały ląd.

Zgaduję, że przyjaciółka kiwa głową (bo w tym momencie nie mam okazji jej widzieć) i uśmiecham się lekko. Coś mi się zdaje, że to wszystko lekko ją szokuje, bo w innej sytuacji zapewne nie przestawałaby trajkotać nawet, żeby złapać oddech, a teraz... Teraz rozgląda się wokoło z oszołomieniem w oczach. Wiem, z czego to wynika. Ja jestem mega spontaniczna, idę na żywioł, potrafię podjąć decyzję o wyjeździe gdzieś w ciągu sekundy, a w następnej całkowicie ją zmienić. Za to Lara musi mieć wszystko idealnie zaplanowane i jak robi coś pod wpływem impulsu, tak jak teraz, nie czuje się z tym dobrze.

— Wiesz co, Dion... — moment później nastolatka rezygnuje z wleczenia się dwa kroki za mną i zaczyna iść obok mnie. Niech zgadnę, czyżby chciała podzielić się swoimi wątpliwościami? — Myślisz, że bardzo głupio zrobiłam, jadąc z tobą?

Wiedziałam.

— No cóż — muszę ostrożnie dobierać słowa, żeby przypadkiem nie zdołować jej jeszcze bardziej — wcześniej mówiłam ci, że nie powinnaś jechać, bo tylko będziesz płatać mi pod nogami, ale teraz myślę, że trochę oderwania od normalności ci się przyda. Co z tego, że zarwiesz trochę szkoły, skoro zdobędziesz wiedzę niedostępną innym, poznasz wspaniałą kulturę, innych ludzi... Uważam, że jak najbardziej dobrze zrobiłaś.

— Na serio? — na twarzy Lary pojawia się delikatny, nieśmiały uśmiech.

— Na serio — kiwam głową. — To teraz chodź, musimy pozałatwiać wszystkie sprawy.

* * *

— To poczekaj jeszcze moment, muszę zajść do toalety — prosi mnie przyjaciółka, po czym znika w najbliższych drzwiach.

Uśmiecham się lekko i opieram się o ścianę.

Nawet ta sytuacja tuż przed wejściem na lotnisko pokazuje, do jakiego stopnia nastolatka mnie potrzebuje. Od dawna poprawiam jej poczucie własnej wartości, pomagam w kryzysowych sytuacjach, daję się jej wypłakać w rękaw po porzuceniu przez chłopaka...

„Mogłabyś wziąć na siebie ocalenie całego świata bez mrugnięcia okiem, a kiedy byłoby ci trudno, nie pisnęłabyś ani słowem” — nagle w mojej głowie rozbrzmiewa głos Bastiana. Nawet nie wie, jak bardzo trafił w dziesiątkę... Faktycznie, nigdy nie skarżyłam się nikomu, kiedy było i jest mi trudno, nawet teraz, kiedy jestem śmiertelnie chora, a co do ocalenia całego świata, to między innymi właśnie w takim celu wybieram się z powrotem do Arlesii...

A swoją drogą, ciekawe, czy jeszcze kiedyś się spotkamy... Bo jeśli mam być szczerą sama ze sobą, to bardzo bym chciała kiedyś spotkać Bastiana, znowu poczuć się jak najnormalniejsza w świecie dziewczyna, która komuś się spodobała. No i pomijając fakt, że jak wrócę — jeśli wrócę — to, o ile będzie mnie jeszcze pamiętać, ma postawić mi drinka.

— Idziemy już? — pochłonięta swoimi myślami, nawet nie zauważam powrotu przyjaciółki.

— Idziemy — kiwam głową. Wszystkie sprawy już załatwiłyśmy, odprawę przeszłyśmy, dopilnowałyśmy, by nasze walizki trafiły do właściwego samolotu... Czyli teraz w spokoju można wsiąść i czekać na odlot.

Moment później stoimy już przed wejściem na trap.

— Zapraszam do środka — zachęcająco uśmiecha się do nas steward. Kiwam głową z lekkim uśmiechem, po czym daję znak Larze, żeby podążała za mną.

— Wow, jaka kultura — dziewczyna jest pod wielkim wrażeniem uprzejmości młodego mężczyzny.

— Wiesz, w liniach lotniczych nie zatrudniają byle kogo. A co, dzisiaj leciałaś po raz pierwszy? — zerkam na nią z ciekawością.

— No proszę cię — patrzy na mnie z politowaniem. — Nie pamiętasz, że spotkałyśmy się w Ammanie i wtedy już jakoś musiałam tam dolecieć? A ty? Ile razy już latałaś?

— No cóż... — zamyślam się na moment, równocześnie siadając na swoim miejscu. Tym razem Lara zażądała miejsca przy oknie. — Tak właściwie to nawet nie pamiętam... Często latałam samolotami, wiesz, z rodzicami na wakacje... Przynajmniej do ich śmierci — wystarczy tylko, że to mówię, by na mojej twarzy pojawił się cień smutku.

— A właśnie — przyjaciółka od razu podłapuje temat. — Miałaś mi też opowiedzieć coś o sobie, o twoim życiu w Arlesii...

— No cóż... — rozpaczliwie szukam wymówki, która pozwoliłaby mi w jakikolwiek sposób ominąć dość niewygodny temat, ale nie mam na to szans.

— Ani mi się waż — dziewczyna ostrzegawczo podnosi palec do góry. — Miałaś mi o tym powiedzieć w poprzednim samolocie, ale najpierw ja ucięłam sobie krótką drzemkę, a potem jeszcze ty spałaś tak mocno, że nie dałam rady ciebie obudzić i w końcu nic z tego nie wyszło, więc masz mi o wszystkim natychmiast opowiedzieć, rozumiesz?

Spuszczam głowę. W ciągu dwóch lat mieszkania razem przekonałam się, że kiedy Lara uderza w taki ton, nie ma najmniejszego sensu jej się przeciwstawiać. No i teraz trzeba wymyśleć coś, co w jak najmniejszym stopniu mija się z prawdą... I najlepiej, żeby brzmiało to wiarygodnie, bo Lara nie da się zbyć czymś, co wyda jej się nieprawdziwe...

— No, Dion, czekam — nastolatka stanowczo krzyżuje ręce na piersi.

— Ok., jak chcesz — wzdycham ciężko. — Tak po prawdzie, to na twoim miejscu nie spodziewałabym się niczego specjalnego.

— Ta, jasne — przyjaciółka patrzy na mnie z lekkim uśmieszkiem. — W końcu nie żyłaś w baśniowym świecie, gdzie żyją niesamowite stworzenia i w ogóle wszystko jest wyjątkowe...

— Skoro tak to przedstawiasz... — wzruszam ramionami. — Wiesz, dla mnie to wszystko jest całkowicie normalne, z resztą powtarzam ci to już po raz kolejny...

— Nie ważne — dziewczyna macha ręką. — No dalej, opowiadaj! — ponagliła mnie.

— Dobra, już dobra — unoszę ręce w obronnym geście. — Moi rodzice byli osobami dość zamożnymi (mieli coś w rodzaju wielkiej, rodzinnej firmy), więc dzięki temu chcieli dać mi wszystko, co ich zdaniem było najlepsze. Powiem ci szczerze, że do pewnego czasu moje życie wyglądało dosłownie jak z bajki: miałam wszystko, czego tylko chciałam, pięknego konia, wspaniałe przyjaciółki, własnego yteina...

— Yteina? — we wzroku towarzyszki widzę prośbę o wytłumaczenie nieznanego nazwy.

— Yteiny to takie trochę zmutowane śnieżne pantery — wyjaśniam. — Co do wielkości i puszystości to są takie same, ale od waszych różnią się brakiem

cętek, pazurami twardszymi od diamentów i tym, że nie są agresywne, ot, po prostu bardzo wyrosnięte koty domowe.

— Pokażesz mi tego twojego yteina? — prosi Lara.

— Nie wiem, czy dam radę — na mojej twarzy pojawia się lekki smutek. — Nie mam pojęcia, co się z nim stało, kiedy wyjechałam. Bo Bastila nie mogłam zabrać ze sobą...

— Bastil to ten twój kotek? — upewnia się współpasażerka.

— Mhm — kiwam głową. — Zapewne byłby dość spory kłopot tu z posiadaniem takiego dziwnego gatunku zwierzaka na tym świecie.

— Też racja — nastolatka robi się lekko zmieszana. — No, ale opowiadaj, co się stało?

— No więc miałam wspaniałe życie — ciągnę swoją historię dalej. — Wiesz, rodzice zabierali mnie na wycieczki do waszego świata, zwiedzałam mnóstwo krajów, a przynajmniej wtedy, kiedy mieli czas, bo z tym czasem to było tak trochę ciężko, jeśli mam być szczerą. Co prawda takie życie miało też swoje minusy, chociażby to, że musiałam uczyć się w domu (choć trochę to pomogło, bo jak mam być szczerą, to całą edukację zakończyłam już ponad trzy lata temu) i bardzo często się zdarzało, że nie było ich w domu przez miesiące, kiedy wyjeżdżali w interesach. Aż w końcu z jednej podróży nie wrócili.

— Dion, tak mi przykro... — nastolatka kładzie mi dłoń na ramieniu, ale moment później ją strącam.

— Było, minęło — wzruszam ramionami. — To było trzy lata temu, już dawno nauczyłam się radzić z tym, że ich nie ma. Co prawda najgorzej było na samym początku, jak musiałam zorganizować pogrzeb, niestety symboliczny, bo ciało nigdy nie odnaleziono... — urywam na chwilę i ocieram grzbietem dłoni pojedynczą łzę. — Ale cóż, zawsze trzeba żyć dalej. W każdym razie kiedy nie wrócili i było już pewne, że na pewno nie wrócą, mimo młodego wieku musiałam przejąć rodzinny biznes. I mogę stwierdzić, rzecz jasna wcale się nie chwając, że bardzo szybko zaczęłam zbierać pozytywne opinie.

— To dlaczego ostatnie dwa lata spędziłaś na tym świecie, zamiast na tamym? — pada pytanie, które co prawda paść musiało, ale którego za wszelką cenę chciałam uniknąć.

— Poczekaj, do wszystkiego dojdę, tylko po kolei — podnoszę rękę, chcąc uciszyć przyjaciółkę. — Wracając do tematu, po pewnym czasie okazało się, że kilka wpływowych osób wymyśliło, że przydałoby się mnie z kimś skojarzyć, bo w końcu, jak to stwierdziło kilka osób starszych wiekiem, kobiecie nie wypada samej zajmować się tak ważnymi sprawami. I z początku wszystko układało się idealnie, byłam w nim zakochana po uszy i zdawało się, że on we mnie też. Ale potem... — spuszcza głowę i milknę na chwilę. Nawet po dwóch latach ciężko mi się o tym myśli, nie mówiąc o mówieniu. — Potem okazało się, że to wszystko

było udawane. Miał mnie kompletnie gdzieś, byłam mu potrzebna tylko jako kolejny szczebel w karierze na sam szczyt, kolejną osobą, którą tylko się wykorzysta, żeby powoli dobrać się do władzy królewskiej.

— Czyli musiałaś być kimś ważnym — wnioskuje Lara.

— Byłam po prostu jedną z wielu dziewczyn, które w całym swoim życiu Ertex, bo tak się nazywał, wykorzystał, a potem chciał wyrzucić jak zużytą, popsutą zabawkę — wzruszam ramionami. — I nie zdziwiłabym się, jakby okazało się, że po mnie było jeszcze wiele innych. Tyle, że ja byłam pierwszą, która się postawiła...

— Czy ja dobrze rozumiem? Zrezygnowałaś z ważnego stanowiska tylko dlatego, że zdradzał cię chłopak? — przyjaciółka wygląda na porządnie zaskoczoną.

— Narzeczony, nie chłopak — zaznaczam.

— Ale ja i tak nie rozumiem... — nastolatka patrzy na mnie z niedowierzaniem, ale jej przerywam:

— Nie mówiłam, że będziesz rozumieć — kręcę głową. — Chciałaś mojej historii, to ją usłyszałaś, wniosków wyciągać nie musisz, bo nie uważam siebie za dobry przykład. Teraz na pewno rozegrałabym to całkowicie inaczej...

— Wiesz, co ci powiem? W życiu nie spodziewałabym się, że moja najlepsza przyjaciółka i równocześnie współlokatorka może mieć do opowiedzenia tak ciekawą historię — Lara szeroko się do mnie uśmiecha.

— Nie zaprzeczę, że jest ciekawa — jak lustro odbijam uśmiech przyjaciółki. — Masz coś fajnego na telefonie? Bo moja muzyka już mi się znudziła...

— Nie mam — kręci głową z lekkim rozczarowaniem. — A słuchaj, Dion, wiesz, gdzie się dzisiaj zatrzymamy, czy może będziemy poszukiwać hotelu na ślepo?

— A jak myślisz? — patrzę na nią filuternie.

— Nie wiem — dziewczyna rozkłada ręce. — Po tobie można się spodziewać wszystkiego.

— To w takim razie pozostawię cię w niepewności — kiedy patrzę na wyraz twarzy dziewczyny, parskam śmiechem, tak komicznie wygląda w tym momencie.

— No wiesz co... — wydaje się być trochę rozczarowana. A potem nagle zaczyna patrzeć mi prosto w oczy i w jej wzroku zauważam poważny niepokój. — Dion, ty się dobrze czujesz?

— Ja? — przez moment patrzę na nią bez zrozumienia, ale potem dociera do mnie, że moja współpasażerka wreszcie zauważyła, jak strasznie wyglądam. — A, to... To nic. Czuję się dobrze, tylko wyglądam trochę niewyraźnie.

— Trochę? Dziewczyno, ty chyba nie widziałaś siebie w lustrze — Lara wygląda na przerażoną.

— Nie martw się, widziałam — macham ręką, pokazując, jak bardzo bagatelizuję sprawę. — To wszystko przez to, że jak się malowałam, w połowie skończył mi się podkład i musiałam użyć drugiego. No cóż, mieszanie ich raczej nie wychodzi na dobre... Od dzisiaj już na pewno tego nigdy nie zrobię.

— Skoro tak mówisz... — dziewczyna nie wygląda na szczególnie przekonaną, ale daje sobie spokój z drażnieniem tematu, bo widzi, że ode mnie niczego więcej nie wydobędzie. — Myślisz, że długo jeszcze zajmie nam lot?

— Nie wiem... — rozkładam ręce i chcę dodać coś jeszcze, ale w tym momencie przerywa mi głos stewardessy:

— Samolot podchodzi do lądowania. Prosimy zapiąć pasy — kobieta oznajmia ze stoickim spokojem.

— Wreszcie! — szeroko uśmiecha się moja przyjaciółka, całkowicie zapominając o sprawie mojego wyglądu. — Nie mogę w to uwierzyć, że jestem tak blisko zobaczenia czegoś, o czym praktycznie nikt nie wie... I że to właśnie mi trafił się taki przywilej!

Jedyną odpowiedzią z mojej strony jest lekki uśmiech. Nie ma co się jej dziwić. W końcu jest na jak najlepszej drodze do zobaczenia cudów, o jakich jeszcze wczoraj jej się nie śniło...

— Teraz trzeba tylko ogarnąć wszystko na lotnisku i będziemy prawie w domu — szturcham ją lekko.

— Nie mogę się doczekać — wyraz jej twarzy mówi wszystko, tak, że nawet nie musiała się odzywać. — Na pewno będzie fantastycznie...

— Wszystko w swoim czasie — kładę jej rękę na ramieniu, nie przestając się uśmiechać. — Ale obiecuję, że tej wyprawy nie zapomnisz do końca życia!

Rozdział VIII

— Zobacz, Dion, wyobrażasz sobie, jakby wspaniale było, jakbyśmy mieszkały w tym hotelu? — Lara z podziwem wskazuje na jeden z najwspanialszych i najdroższych hoteli w okolicy Petry. — A tak przy okazji, to powiesz mi, czy w końcu zarezerwowałaś gdzieś miejsca, czy nie?

— Dobra, nie będę cię już tak bardzo męczyć — uśmiecham się lekko. — Jak tylko znajdziesz budynek, obok którego będzie stała tablica z napisem „Mövenpick Resort Petra”, to daj mi znać.

— Taką jak ta? — dziewczyna pokazuje tablicę stojącą tuż obok hotelu, nad którym tak bardzo się zachwycała.

— Właśnie taką — mój uśmiech znacznie się poszerza. — To teraz chodź za mną, trzeba się zameldować i odebrać klucze.

— Żartujesz sobie ze mnie? — przyjaciółce szczęka opada niemalże do ziemi.

— Nie, nie mam już siły żartować — szeroki uśmiech na mojej twarzy lekko blednie i zmniejsza powierzchnię. — Chodź, im szybciej dojdziemy do recepcji, tym szybciej trafimy do pokoju. — „I tym szybciej będę mogła dać sobie chociaż chwilkę na odciążenie organizmu”, dodaję w myślach.

Dziewczyna tylko kiwa głową, nie przestając gapić się na mnie z rozdziawionymi ustami.

— I jeszcze przymknij szczękę, żeby ktoś ci na nią przypadkiem nie nadepnął — dodaję, tym razem już tyłem, więc nie widzę reakcji nastolatki.

Moment potem wchodzimy do hotelu, a Lara wydaje z siebie stłumione westchnienie. Zapewne nie spodziewała się, że budynek w środku wygląda jeszcze bardziej okazale...

— W czym mogę pomóc? — recepcjonistka zjawia się jak na skinienie.

— Rano zarezerwowałam apartament — mówię, opierając się o ladę recepcji. — Teraz chciałabym zapłacić i odebrać klucz.

— Rezerwacja na? — kobieta patrzy na mnie uważnie.

— Na Luminę McKinley — wyjmuję z torebki dowód (tym razem ten wyrobiony na moje prawie prawdziwe imię) i pokazuję go recepcjonistce. — Ile płacę?

Lara przez cały czas trzyma się z boku, ale kątem oka podpatruje moje działania. Kiedy kobieta za ladą wymienia cenę, robi wielkie oczy, a kiedy ja bez protestów wyjmuję tyle gotówki, robią się one jeszcze większe.

— Skąd ty masz tyle kasy? — pyta się mnie szeptem, gdy już odchodzę od kontuaru z kluczem w dłoni.

— Nieważne — macham ręką. — Ważne jest to, że pokój jest tego warty.

Nastolatka kręci głową z lekkim powątpiewaniem. Widać specjalnie nie wierzy, że cokolwiek mogłoby wynagrodzić to, ile pieniędzy właśnie wydałam.

— Zdziwisz się — uśmiecham się pod nosem.

— Pomóc paniom? — tuż obok dosłownie wyrasta z ziemi boy.

— Bardzo chętnie, dziękuję — kiwam głową, po czym oddaję mu swoją walizkę i pokazuję przyjaciółce, żeby zrobiła to samo. — Jakby mógł pan zanieść go do apartamentu na samej górze... A to za fatygę — podaję mu dwa banknoty studolarowe.

— Jest pani zbyt hojna — stwierdza chłopak, ale prędko, bym się nagle nie rozmyśliła, chowa napiwek do kieszeni i znika z naszymi walizkami.

— Nie dałaś mu zbyt dużo? — Lara patrzy na mnie z lekkim zaskoczeniem.

— A dlaczego miałabym dać mu mniej? — odpowiadam pytaniem na pytanie. — W końcu jestem tutaj już ostatni dzień, mogę trochę zaszaleć.

— Wiedziałam — na twarzy dziewczyny wykwita zadowolony uśmiech.

— A co takiego niby wiedziałas? — patrzę na nią z lekką nutką ciekawości, choć prawdę mówiąc spodziewam się odpowiedzi.

— Wiedziałam, że nie zamierzasz wracać — wyjaśnia przyjaciółka z tryumfalną miną, wchodząc za mną do windy. — Właśnie się zdradziłaś.

— Nigdy nie mówiłam, że zamierzam wracać, ani, że zamierzam zostać w Arlesii na zawsze — wzruszam ramionami. — To zależy od tego, jak potoczą się wypadki, bo być może pojedę tam tylko na tydzień, dwa i wrócimy do Stanów, ale być może coś pójdzie nie po mojej myśli i będziesz musiała wybrać się z powrotem sama — dodaję, naciskając najwyższy guzik.

— Nie rozumiem — stwierdza nastolatka.

— Nie musisz — już po raz kolejny tego dnia odpowiadam jej w ten sposób.

— Ale chcę — jak ona uczepli się jednego tematu, to już nie odpuści. — I wyjaśnisz mi to, jak już się ogarniemy, prawda?

— Nie — kręcę głową przecząco, podczas gdy winda powoli zbliża się do naszego piętra. — Powiedziałam ci wszystko, co mogłam. Reszty może kiedyś się dowiesz.

— Ej no, Dion... — Lara wygląda na porządnie zawiedzioną. — Nie bądź taka, powiedz...

— Nie ma mowy — tak się składa, że jak coś postanowię, to ja też potrafię wytrwać w tej decyzji. A uparta jestem tak bardzo, że nawet stojąca obok dziewczyna nie jest w stanie mnie przebić. — Teraz na pewno tego ci nie powiem, nawet na to nie licz. Jeżeli kiedyś się dowiesz, to dobrze, ale na pewno nie wyjdzie to ode mnie. A jeśli się nie dowiesz, to drugie dobrze.

Nastolatka, lekko oburzona, odwraca się do mnie bokiem. Co racja, to racja, nie przywykła do takich odpowiedzi, ale w sumie w życiu mało kiedy będzie dostawać konkretnie to, na co będzie miała ochotę. Jak teraz się

przyzwyczajai, potem będzie miała łatwiej...

Ale jej milczenie (jak zwykle, z resztą) nie trwa długo. Tym razem przerywa je dojazd windy na ostatnie piętro.

Wchodzimy na zewnątrz i stajemy naprzeciwko jedynych drzwi w małym korytarzu. Tuż przed nimi stoi boy z naszymi walizkami.

— Dziękuję — uśmiecham się do chłopaka. On odpowiada skinięciem głowy, po czym omija nas i znika w windzie. — To co, ty chcesz otworzyć, czy ja mam?

— Ja chcę — przyjaciółka wysuwa się przede mnie. — Zobaczymy, czy był warty tego, ile za niego zapłaciłaś...

— To trzymaj — podaję jej klucz i krzyżuję ręce na piersi, uśmiechając się lekko pod nosem. Doskonale wiem, co się zaraz zdarzy. Za pierwszym razem sama popełniłam ten sam błąd, i coś mi się zdaje, że ona też się na tym wyłoży...

Dziewczyna bierze klucz i próbuje włożyć go do zamka, ale nic z tego jej nie wychodzi. Robi się coraz bardziej zdenerwowana, ale z racji swojej upartości się nie poddaje. Dopiero przy dwudziestej próbie się poddaje.

— Ten zamek nie pasuje do klucza — mówi ze złością i się prostuje. — Zapłaciłaś za pokój, do którego nie da się wejść.

— Jak to się nie da? — patrzę na nią z lekkim rozbawieniem. — A ja mówię ci, że się da.

— Tak? To w takim razie udowodnij mi to — niemalże rzuca mi klucz.

— No spoko — wzruszam ramionami, po czym bezproblemowo wkładam go do zamka i przekręcam. Zapadki przeskakują bez żadnego oporu, a drzwi uchylają się same.

— Co? Jak? — nastolatka jest tak zaskoczona, że nawet nie potrafi wydusić z siebie jednego, sensownie złożonego zdania.

— Za wszelką cenę chciałaś włożyć klucz odwrotnie — próbuję się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem na widok jej wyrazu twarzy, ale średnio mi to wychodzi.

— Ale... — zdziwienie Lary właśnie osiągnęło nowy poziom i coś mi się zdaje, że ciągle rośnie.

— Nie martw się, za pierwszym razem miałam taki sam problem — uspokajam ją, ciągle nie mogąc przestać się uśmiechać. — Gdyby nie czyjaś życzliwa pomoc, zapewne poszłabym do recepcji i zaczęła się wyklócać, że dali mi zły klucz. A teraz chodź, skoro nie udało ci się otworzyć drzwi, to przynajmniej wejdź pierwsza i powiedz mi, co sądzisz o tym apartamencie.

Moja przyjaciółka kiwa głową i popycha drzwi, żeby otworzyć je jeszcze szerzej. Z lekkim wahaniem robi pierwszy krok do środka i niemalże od razu przystaje.

— I jak? — przeciskam się pomiędzy nią a drzwiami i patrzę na nastolatkę

z uśmiechem.

— Fantastycznie, po prostu fantastycznie — dziewczyna kręci głową z zachwytem wypisanym na twarzy.

— Czyli co, jak myślisz, było warto tyle zapłacić? — pytam.

— Oj tak — Lara kiwa głową. — Przecież tu jest pięknie! — stwierdza, zdejmując buty i wskakuje na łóżko. — Dion, chodź, zobacz, jak cudownie się skacze!

— Może później — rzucam lekko. — Chodź i zabierz walizkę — wskazuję na torbę przyjaciółki, równocześnie biorąc swoją. W innym wypadku pewnie wzięłabym też drugą, ale teraz ledwo mam siłę, żeby ciągnąć swoją.

— No spoko, już idę — dziewczyna zeskakuje na puchaty dywan, po czym podbiega do mnie. — Zobacz, jakie piękne lampki nocne — wskazuje piękną, bogato zdobioną, porcelanową lampkę. — Muszę jedną naszkicować — stwierdza, podnosząc torbę i rzucając ją na fotel.

— Nie krępuj się — mówię, kładąc swoją walizkę na łóżku. — Jakby co ja będę w łazience, masz mi nie włączyć, rozumiesz? — pytam się dziewczyny, wyjmując z bagażu kosmetyczkę i piżamę.

— Mhm — moja przyjaciółka kiwa głową, w skupieniu przetrząsając swoją torbę. Znając życie to wcale mnie nie słucha. — Dion, wiesz, gdzie spakowałam swój szkicownik?

— Nie wiem, nie byłam przy tobie, jak się pakowałaś — stwierdzam, wchodząc do łazienki. — Ale zaraz mogę pomóc ci szukać — dodaję po chwili. No cóż, jak dziewczyna czymś się zajmie, to prawie na pewno nie wpadnie na pomysł, żeby wpakować mi się do środka pomieszczenia.

— Byłabym wdzięczna — z sypialni dobiega mnie głos Lary.

— Już idę, tylko zostawię rzeczy — odpowiadam, kładąc wszystko obok umywalki. Oby tylko nie okazało się, że zostawiła zeszytu w domu... — To jak myślisz, gdzie mogłaś go spakować?

Jedyną odpowiedź stanowi wzruszenie ramionami.

— No to będzie ciężko — wzdycham.

* * *

— Nie wierzę, jak mogłam zostawić go w domu — nastolatka kręci głową ze smutkiem. — Przecież to niemożliwe. Tyle czasu powtarzałam sobie, żeby tylko nie zapomnieć szkicownika, bo mam zobaczyć takie wspaniałe rzeczy, a znasz mnie, jak coś mnie zainteresuje, po prostu muszę to narysować...

— Wiesz co, to w takim razie zrobimy tak — siadam obok niej na łóżku i zaczynam przeglądać swoją torebkę. — Otóż od pewnego czasu noszę się z zamiarem pisania pamiętnika, ale nie wiem, kiedy najdzie mnie chęć do pisania.

I żeby nie zmarnować okazji to noszę ze sobą zeszyt, a że jeszcze nie wpadłam na nic ciekawego, godnego tego, żeby utrwalić to na piśmie, to jest on na razie całkiem pusty.

— Czyli że masz przy sobie całkiem pusty zeszyt, który jeszcze ani razu nie by używany? — w oczach przyjaciółki zauważam błysk nadziei.

— Właśnie tak — kiwam głową z lekkim uśmiechem. — A co?

— Jak mniemam nie wspominasz o tym bez powodu, prawda? — Lara uśmiecha się do mnie przymilająco.

— A żebyś wiedziała — wyciągam z torebki wspomniany zeszyt i podaję go dziewczynie siedzącej obok. — Trzymaj, i zrób z niego dobry użytek.

— Na pewno — uśmiech na twarzy dziewczyny robi się szerszy o co najmniej dwieście procent. — Mogę ci obiecać, że pierwszy szkic wykonam z niezwykłą starannością, wiesz, żeby był takim pięknym początkiem.

— A pozostałe? — pytam.

— Pozostałe oczywiście też — kiwa głową nastolatka. — Z resztą widziałś mój poprzedni zeszyt, wszystko było tam bardzo dokładnie.

Kiwam głową na potwierdzenie. Faktycznie, wszystkie rysunki przyjaciółki odznaczają się dużą dokładnością, realistycznością i ogólnie mówiąc są piękne. Nie ma co, ma dziewczyna ogromny talent. Tylko teraz żeby go nie zmarnowała...

— Dobra, Lara, ja idę się ogarnąć — mówię, wstając z łóżka. — Będę w łazience, ale mi nie włącz, rozumiesz?

— No spoko, za kogo mnie uważasz? — dziewczyna kiwa głową. — Przecież nie mam pięciu lat, potrafię zrozumieć, co się do mnie mówi.

— Mam nadzieję — mruczę pod nosem, idąc w kierunku łazienki.

Kiedy tylko staję w drzwiach, pierwszym, co widzę, jest moje odbicie w lustrze. I jeśli mam być szczerą, to wyglądam potwornie. Dużo gorzej, niż wtedy w samolocie.

Pociągam za klamkę, by przymknąć drzwi i podchodzę do szklanej tafli. Jestem dosłownie biała, a moje pasemka — wskaźnik moich nastrojów i ogólnego stanu (to jest jednocześnie i zaleta, i wada — nie potrafię nikogo oszukać co do uczuć, jakie w danej chwili odczuwam) — z koloru popielatego, jaki miałam w samolocie zrobiły się takie... nijakie. Jakbym nie miała żadnego nastroju, bo choroba wypompowała ze mnie wszystkie siły.

No ale na szczęście teraz mam kilkanaście minut tylko dla siebie i mogę choć troszeczkę odciążyć mój mega zmęczony walką z zarazkami organizm. A tak prawdę powiedziawszy to nawet minuta z powrotem w prawdziwej postaci daje bardzo wiele...

Po raz kolejny zerkam w lustro. Teraz wyglądam o wiele, wiele lepiej. Tak jakby troszeczkę... zdrowiej. I na pewno bardziej pasuje mi szary wilczy ogon i wilcze uszy, w tym jedno przyklapnięte, niż ich brak. No cóż, egzotyka u nas też

jest w modzie. A lumie są jak najbardziej egzotyczne w Arlesii. Bycie jedną z nas jest związane z pewnym prestiżem należenia do nielicznej grupy, w której wszystkie jesteście dla siebie jak siostry i najlepsze przyjaciółki i na pewno ze sporą ilością chłopaków lecących na odrobinę puchatego futerka.

Odruchowo poprawiam fryzurę i sięgam do kosmetyczki. Co prawda mój wygląd nie jest tak tragiczny, jak sekundę temu, ale ciągle jeszcze jest bardzo, bardzo wiele do poprawy, jeśli nie chcę przerażać nawet samej siebie (w lustrze) wyglądem osoby śmiertelnie chorej...

I akurat kiedy kończę nakładać ostatnią warstwę tapety na twarz (na szczęście jakimś cudem udało mi się zmienić wygląd osoby będącej jedną nogą w grobie na lekko przeziębioną), mimo moich wcześniejszych próśb, do łazienki wpada Lara.

Dziewczyna raptownie zatrzymuje się w drzwiach i patrzy na mnie na w pół z przerażeniem, na w pół z zaskoczeniem. Ja wpatruję się w jej odbicie w lustrze, z jedną ręką opartą na blacie obok umywalki, a drugą, trzymającą tubkę z fluidem zastygniętą w połowie drogi nad kosmetyczką, i kto wie, czy nie jestem bardziej przestraszona od niej. Pierwszy raz mi się zdarzyło, żeby ktoś z tego świata odkrył, że jestem lumią i za bardzo nie wiem, jak zareagować. Co prawda już niejako mentalnie przygotowałam przyjaciółkę na spotkanie z potomkami buntowników z Seiten Gaye, ale nie spodziewałam się, że jej przygoda z nami zacznie się akurat ode mnie...

Teraz boję się wykonać choćby najlżejszy ruch, nie chcąc jej spłoszyć.

I nagle dzieje się to, czego jak najbardziej chciałabym uniknąć — moja ręka na moment się wyłącza (jak to czasami bywa przy tej chorobie, którą złapałam) i luzuje chwyt, w skutek czego tubka z korektorem wypada i ląduje z (jak się teraz, w ciszy, która właśnie zapadła, wydaje) wielkim hukiem na blacie.

I to jest jakby symbol do startu. Nastolatka momentalnie zrywa się do biegu i natychmiast dopada drzwi od apartamentu. Ja niemalże od razu zaczynam ją gonić, oczywiście nie zapominając o uprzednim zamaskowaniu uszu i ogona, to znaczy przejściu do tej zdecydowanie bardziej akceptowalnej w tym świecie postaci.

Ale tak się nieszczęśliwie składa, że mimo tego, iż w normalnych warunkach przegoniłabym ją bez trudu w bardzo krótkim czasie, teraz nie mam siły, żeby nawet normalnie biec. Zatrzymuję się więc po krótkiej chwili i opieram się o ścianę, rozpaczliwie próbując złapać oddech. O nie, nie będę się zabijać, żeby dogonić przyjaciółkę, po prostu muszę po drodze wymyślić jakąś ciekawą wymówkę na wytłumaczenie innym, bo szczerze wątpię, żeby dziewczyna zostawiła taką sensację tylko i wyłącznie dla siebie.

Kilka chwil później jestem już na dole. Muszę na moment przystanąć, żeby złapać oddech i opieram się o ścianę. No cóż, już dawno stwierdzono, że kiedy jest

ktos chory, to nie ma tyle siły ile w normalnym stanie. I wiem, że te siły mi wróca. Oczywiście pod warunkiem, że zdążę zażyć lek w odpowiednim momencie...

Po jakiejś minucie czuję się na tyle dobrze, że mogę już iść dalej. I po kilku krokach natykam się na przyjaciółkę siedzącą na jednym z krzeseł w recepcji, obstąpioną przez recepcjonistkę i boya hotelowego.

— Mówię wam, że to była prawda, na serio widziałam... — dziewczyna patrzy to na jedno, to na drugie, szukając zrozumienia.

— Lara, tu jesteś — podchodzę do nich i opieram dłonie na kolanach. — A już myślałam, że będę musiała cię szukać po całym hotelu...

— Nie zbliżaj się do mnie — dziewczyna zrywa się i wyciąga przed siebie rękę w obronnym geście. W jej twarzy widać wielkie przerażenie.

— Spokojnie, to tylko ja — próbuję ją uspokoić, ale wiele mi z tego nie wychodzi. — Bardzo za nią przepraszam, w drodze naoglądała się jakichś horrorów i filmów fantasy i teraz jej to wychodzi bokiem — zwracam się do kobiety i chłopaka stojących obok dziewczyny.

— Żeby wiedziała pani, jakie ona rzeczy powymyślała... — recepcjonistka kręci głową z politowaniem.

— Potrafię sobie wyobrazić — uśmiecham się lekko. — W końcu widziałam te filmy razem z nią. No, Lara, chodź — wyciągam dłoń do przerażonej przyjaciółki.

— Nie, ja nigdzie z tobą nie idę — nastolatka widać na serio ciężko przeżyła spotkanie z moją prawdziwą postacią. — Jeszcze coś mi zrobisz!

— Niech pani nie przesadza — boy patrzy na nią z lekką dezaprobatą. — Przecież to niemożliwe, żeby ta dama potrafiła zamienić się w wilka.

— Mówię wam, że ona cała nie była wilczycą — Lara wygląda na zrozpaczoną. — Miała tylko wilcze uszy i wilczy ogon...

— Teraz to już przesadziłaś — zaczynam się śmiać, chcąc wyrzucić wrażenie, że traktuję jej argumenty jako totalną bzdurę. — Dziewczyno, czy ja ci wyglądam na jakiegoś potwora? Na jakiegoś wilkołaka, czy coś?

— Nie na wilkołaka, na... — moja przyjaciółka milknie i próbuje sobie przypomnieć nazwę gatunku. — Nie ważne! — stwierdza po dłuższej chwili. — Wiem, co widziałam, i nikt nie przekona mnie, że była to nieprawda!

— Idziesz, czy nie? — opieram ręce na biodrach i robię zniecierpliwioną minę. Jeśli mam być szczerą, to wcale nie obawiam się, że ktokolwiek dziewczynie uwierzy, tylko po prostu chciałabym wrócić z powrotem na górę i wszystko sobie z nią wyjaśnić, ot co.

— A jaką mam gwarancję, że nic mi nie zrobisz? — nastolatce wraca przerażenie. — Że mnie nie zagryziesz, jak tylko zostaniemy same? Kto wie, jakie jeszcze cechy wilka w tobie tkwią...

— Wiesz co, to ja ci dobrze radzę, ogarnij się, a jak już ci przejdzie,

to dopiero wróć — stwierdzam ze zniecierpliwieniem, po czym odwracam się i zaczynam iść w stronę windy, odprowadzona spojrzeniem przyjaciółki, wyrażającym mieszane uczucia.

Chwilę po tym jestem już na górze. Powiem szczerze, że reakcja Lary nie tyle mnie zaskoczyła, ile potwierdziła moje przypuszczenie, że ona kompletnie nie jest gotowa na przyjazd do Arlesii, gdzie na każdym kroku mogłaby się natknąć to na lumie (co prawda, stanowimy zaledwie nikły ułamek społeczeństwa, ale mimo to gdzieś na pewno na jakąś przedstawicielkę tego gatunku się natkniemy), to na ymula bądź teya w trakcie przemiany (a taki widok nie jest u nas aż tak specjalnie rzadki, żeby to wykluczyć). Jakby zareagowała tak na środku ulicy... Nie, to byłoby nie do przyjęcia, kręcę głową z kwaśną miną. No cóż, po prostu będzie trzeba ją przygotować do tego, co na pewno przyjdzie jej zobaczyć...

Podchodzę do łóżka, wskakuję na nie i siadam po turecku. Sięgam po torebkę, wydaję z niej album i zaczynam go przeglądać z nadzieją, że znajdę coś, co pomoże Larze przyzwyczać się do tego, co może zobaczyć podczas naszej wyprawy

* * *

Mniej więcej pół godziny później otwierają się drzwi do naszego apartamentu i moja przyjaciółka ostrożnie wchodzi do środka. Bardzo delikatnie przechodzi obok mnie i siada na fotelu naprzeciwko łóżka. Profilaktycznie, widać nie wierzy, że nie mam w sobie innych wilczych cech, oprócz wyglądu.

Przez cały ten czas nie trzymam głowę spuszczoną i w skupieniu przeglądam album.

— Dion... — dziewczyna odzywa się po jakichś dziesięciu minutach.

— Tak? — dopiero teraz podnoszę wzrok. — O co chodzi?

— Ja chciałabym cię przeprosić... — Lara spuszcza oczy. — Może faktycznie przesadziłam, musiałaś poczuć się paskudnie... Ale nie zjesz mnie?

— Co? — na twarz wpływa mi szeroki uśmiech. — Oczywiście, że nie. Nie jestem kanibalką. A co, myślałaś, że ostrzę na ciebie kły, odkąd się poznałyśmy?

— No wiesz, tak trochę miałam prawo się bać, w końcu ostatnie, czego mogłam się spodziewać, to to, że moja najlepsza przyjaciółka jest mu... — urywa, wiedząc, że właśnie prawie powiedziała o jedno słowo za dużo.

— Nic dziwnego — wzruszam ramionami. — Lara, ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że w Arlesii praktycznie na każdym kroku możesz spotkać kogoś z innej rasy, na przykład lumie?

— No... tak — dziewczyna kiwa głową i zauważam, że równocześnie lekko blednie.

— W takim razie chyba powinnaś się przyzwyczać, nie sądzisz? — patrzę

na nią uważnie.

— Być może... — mówi ostrożnie nastolatka. Chyba wie, do czego zmierzam... — A co?

— To jeżeli masz się przyzwyczaić, zacznijmy od tego, że spędzisz cały wieczór w towarzystwie lumii — lekko przekrzywiam głowę, jakby zadając przyjaciółce pytanie „czy mogę?”.

— No chyba tak... — przytakuje moja przyjaciółka. — Obiecuję, że tym razem nie zareaguję tak gwałtownie, bo wiesz, wtedy mnie zaskoczyłaś... — milknie natychmiast, gdy tylko zauważa, jak błyskawicznie wyrastają mi wilcze uszy (lewe przyklapnięte) i dość długi, puszysty, bardzo zadbany wilczy ogon.

— Mam nadzieję, że specjalnie to ci nie przeszkadza — patrzę na nią z lekkim uśmiechem.

— No cóż, muszę się z tym oswoić — Lara wzrusza ramionami. — Ale tak szczerze, to zdecydowanie lepiej wyglądasz z tymi dodatkami, niż bez nich — zauważa chwilę później.

— To się cieszę — uśmiecham się szeroko. — A właśnie, chciałaś dowodu na istnienie lumii, to go masz.

— Co racja, to racja — nastolatka wydaje się być lekko speszona na wspomnienie swojego zachowania po tym, jak opowiedziałam jej o istnieniu mojej rasy. — Dion, ja cię bardzo przepraszam za tamto, w życiu nie myślałabym, że ty...

— Nie musisz się tłumaczyć. Tak szczerze, to nawet się ci nie dziwię, pewnie też bym zareagowała tak samo, jak ktoś zacząłby wygadywać takie rzeczy, twierdząc, że to najprawdziwsza prawda — wzruszam ramionami, po czym zeskakuję z łóżka. — Chcesz coś do picia? — patrzę na dziewczynę pytająco.

— Nie, dzięki — tamta kręci głową przecząco. — Dion, słuchaj, mam do ciebie takie jedno małe pytanko...

— Mhm? — uśmiecham się zachęcająco i siadam z powrotem. Coś mi się zdaje, że zanosì się na dłuższą rozmowę...

— No bo słyszałaś coś kiedyś o dwóch wojnach światowych, prawda?

— Coś mi się o uszy obiło — kiwam głową — ale nie wiem jakoś tak specjalnie wiele na ten temat, jak mam być stuprocentowo szczerą.

— No więc tak się zastanawiam, czy te wojny światowe w jakikolwiek sposób wpłynęły na wasz świat?

— Wcale — stwierdzam. — Tak się składa, że Vastertilie jest całkowicie odizolowany od tego świata, aczkolwiek te osoby, które wiedzą, bez najmniejszych problemów i oporów podróżują pomiędzy światami, na przykład tak jak ja, czy jeszcze kilka, jak nie kilkanaście innych osób... A co do tych wojen, o których wspominałaś, to w związku z tym odizolowaniem, to nie było najmniejszej możliwości, by cokolwiek przeniknęło do środka. Nikt od was nie wie ani

o istnieniu świata, ani o możliwości przejścia do niego. Ba, nawet budowniczowie Petry nie wiedzieli, że jeden z tuneli prowadzi do innego wymiaru...

— To nieźle — nastolatka gwizdże z podziwem. — Musieliście całkiem dobrze ukryć to przejście.

— Jest doskonale zamaskowane — przytakuję. — Tylko wtajemniczeni wiedzą, jak można je znaleźć...

— A ty wiesz? — nie wiem czemu, ale takie oczywiste, totalnie głupie pytania ze strony dziewczyny czasami mnie trochę dobijają.

— Oczywiście, że wiem — przytakuję z lekkim znudzeniem. — Przecież w jakiś sposób musiałam się tu dostać... — gryzę się w język. Tak szczerze mówiąc, to nie mam bladego pojęcia, jakim cudem ostatnim razem udało mi się przejść na ten wymiar...

Na szczęście Lara nie zauważa mojego zakłopotania.

— To w takim razie pokażesz mi, gdzie mniej więcej to jest? — wyciąga z torebki plan Petry (widać dość dobrze się przygotowała przed wyjazdem, mimo małej ilości czasu) i kładzie go przede mną na łóżku. Zaraz potem też wstaje i dosiada się obok mnie, widać strach jej już przeszedł.

— No cóż... — nachylam się nad mapką i w skupieniu zaczynam dokładnie oglądać trasę. — To jest mniej więcej tutaj — pokazuję na punkt mniej więcej w połowie drogi pomiędzy wielką bramą, a Świątynią Skrzydłatego Lwa. — Gdzieś tutaj zaczyna się tunel, który łączy Petrę z jaskinią z furtką.

— Furtką? — Lara patrzy na mnie z lekką dekoncentracją. — I co to jest Vastertilie? — przypomina sobie, że wcześniej wymieniłam jeszcze jedną, nieznaną jej nazwę.

— Furtką nazywamy przejście pomiędzy naszymi wymiarami, a Vastertilie to arleyańska nazwa na nasz świat — wyjaśniam, po czym wstaję z łóżka. — Słuchaj, jutro z samego rana musimy wymeldować się z hotelu, żeby jak najszybciej dostać się do Arlesii.

— A co tak ci się spieszy? Nie lepiej pospać trochę dłużej? Dion, powiedz mi, kiedy ostatnio miałaś okazję mieszkać w tak luksusowych warunkach? — dziewczyna za wszelką cenę chce mnie przekonać do przedłużenia naszego pobytu w budynku.

— Wiesz co, tak się składa, że spieszy mi się bardzo, bo to może być wręcz kwestia życia i śmierci... — urywam, bo nagle czuję, jak zaczyna mi się potwornie kręcić w głowie i opieram się o ścianę, nie chcąc upaść.

— Wszystko w porządku? — moja przyjaciółka natychmiast zrywa się i podchodzi do mnie. — Pomóc ci?

— Tak, w jak najlepszym — kiwam głową. — Spokojnie, poradzę sobie. To nic.

— Jesteś pewna? — nastolatka nie ustępuje.

— Stuprocentowo — odpowiadam. — Dobra, ja idę sprzątnąć ten fluid — stwierdzam i ostrożnie, przy ścianie idę do łazienki.

— Jaki fluid? — w głosie Lary słyszę lekkie zdziwienie.

— Ten, który tak cię spłoszył — odpowiadam, nawet się nie odwracając. — A tobie radzę położyć się jak najszybciej, w końcu jutro wyruszamy, jak tylko zaczniesz świtać!

— Ale zmiana strefy czasowej... — zamykam drzwi od łazienki, odgradzając się od jakichkolwiek narzekań przyjaciółki. Od razu z resztą czuję, jak tracę władzę w nogach i tylko refleks, dzięki któremu udaje mi się oprzeć o blat umywalki sprawia, że nie ląduję na podłodze.

— No pięknie — mruczę ze złością. — Tylko tego brakuje, żeby nie zdażyła na czas...

To faktycznie byłoby najgłupsze, co mogłoby tylko mi się zdarzyć. Jestem w końcu tuż przy mecie, że tak to określe, i teraz się poddać... Nie ma mowy. Jutro rano wyruszamy od razu, jak zaczniesz się robić jasno, i nic tu nie pomogą narzekania przyjaciółki.

Na szczęście moment później już czuję moje nogi i z lekkim rozdrażnieniem stwierdzam, że umazałam sobie ogon o rozprysnięty fluid. No cóż, teraz trzeba wszystko ogarnąć, wyczyścić i pójść spać, żeby jutro być jako tako wyspaną...

* * *

Kilka minut później wychodzę z pomieszczenia i czuję, jak na twarz wpływa mi lekki uśmiech — moja przyjaciółka, wbrew swoim przypuszczeniom, śpi jak zabita. Czyli mi nie zostaje nic więcej, niż tylko poskładanie wszystkich rzeczy i wślizgnięcie się pod ciepłutką, miłusią kołderkę, gdzie spokojnie będę mogła odpocząć przynajmniej od bólu i natarczywych myśli...

No ale zanim zabiorę się za wszystko, to jeszcze na chwilę siadę na fotelu, żeby nabrać sił przed ogarnianiem, bo w końcu jestem taka zmęczona, pięć minut przecież nic nie zaszkodzi...

Rozdział IX

Przez moment do końca nie wiem, co się dzieje wokół mnie. Jeszcze nie do końca się wybudziłam, i jak podnoszę głowę, dość ciężko jest mi ogarnąć, gdzie jestem.

Ale sekundę później zdarzenia napływają mi do mózgu z ogromną siłą. Pobyt w szpitalu, potworna diagnoza, spotkanie z Bastianem, potem lot samolotami i w końcu odkrycie Lary, że jestem lumią...

Natychmiast podrywam się na równe nogi i z niemałym zaskoczeniem stwierdzam, że nie spałam w łóżku, tylko w fotelu.

Rozglądam się dookoła i odkrywam, że ja i moja przyjaciółka jesteśmy w kropce — nic jeszcze nie jest spakowane, naszykowane, a powinniśmy wyjść z hotelu za piętnaście minut, żeby być przy Ad-Deir (głównej bramie, prowadzącej do wnętrza Petry) jeszcze tuż zanim zaczną świtać.

Na szczęście doskonale uregulowany zegar w moim mózgu obudził mnie w odpowiednim momencie. Jak się pospieszę, powinnam zdążyć wszystko ogarnąć (łącznie ze sobą) w jakieś dziesięć minut...

* * *

— Lara, wstawaj — po raz kolejny potrząsam przyjaciółką.

Jedyną jej reakcją jest wymamrotanie czegoś w rodzaju „mamo, ja nie chcę iść do szkoły, jeszcze pięć minut...” i przewrócenie się na bok.

O nie, nie ma już tego dobrego. Próbuje ją obudzić już od jakiś dziesięciu minut, a pięć minut wcześniej powinniśmy już wyjść. Moja dobroć już się skończyła, i teraz czas na brutalniejsze środki.

Otóż wskakuję na łóżko, zbieram wszystkie siły i spycham z niego dziewczynę. Od razu rozlega się głośny pisk.

— Co ty najlepszego wyrabiasz?! — wściekła nastolatka zbiera się z podłogi.

— Próbuje cię obudzić — wzruszam ramionami i zeskakuję na dywan. — Nie udawało mi się to od dłuższego czasu, to musiałam spróbować czegoś mocniejszego.

— Ale to chyba nie powód... — ona ciągle jest nie w humorze, ale to nie zmienia faktu, jak wielka jest moja desperacja, żeby jak najszybciej dostać się do Arlesii. I dlatego właśnie jej przerywam:

— Nie narzekaj, tylko się ubieraj — wskazuję na stertę ciuchów leżącą na fotelu obok. — Za dwie minuty masz być już na dole, bo zaraz wychodzimy z hotelu. Ja za ten czas się wymelduję. I nie zapomnij zabrać swojej walizki! —

to mówię, stojąc już w drzwiach, po czym wychodzę, zostawiając osłupiałą Larę na środku pokoju.

Kilka sekund później stoję już w windzie i z lekkim zniecierpliwieniem patrzę na zbyt wolno zmieniające się numery pięter. W sumie nic dziwnego, każda sekunda znacząco zmniejsza moje szanse na przeżycie...

Kiedy tylko jestem już na dole, od razu podchodzę do recepcji.

— Przepraszam... — delikatnie budzę śpiącą kobietę.

— Tak, o co chodzi? — recepcjonistka wygląda na lekko zaskoczona.

— Chciałabym się wymeldować — oddaję kobiecie klucz, który zgarnęłam w ostatniej chwili z mojego stolika nocnego. — Jestem bardzo zadowolona z obsługi, ale niestety tak się składa, że muszę załatwić pilne sprawy i zajmie mi to dość sporo czasu. Tu zatrzymałam się tymczasowo...

— Dobrze, rozumiem — przerywa mi kobieta, ziewając szeroko. — Zamierza pani jeszcze do nas wrócić?

— Być może — kiwam głową. — Ale nie wiem, kiedy, więc...

— To w takim razie do widzenia i życzę miłego pobytu — mruczy recepcjonistka i dosłownie zasypia na stojąco. Widać o tej porze nie jest najlepsza w komunikacji, nawet trochę mylą się już jej słowa, nie mówiąc o momentalnym zasypianiu.

Kręcę głową z uśmiechem i omiatam wzrokiem cały hol hotelu. Jest tu tak cicho i tak pusto, że wręcz... ponuro.

— Tu jesteś — aż wzdrygam się na odgłos kroków Lary. — Ponuro tu, co nie?

— Żebyś wiedziała — kiwam głową. — Ale chyba nic nie przebije zamku królewskiego w Dminestil o północy...

— Z zewnątrz? Czyli to musi być takie ponure zamczysko, prawda? — dziewczynie wydaje się, że wie dosłownie wszystko o moim świecie, mimo tego, że opowiedziałam jej zaledwie niewielki ułamek i to tylko historii, nie wspomniałam nic o kulturze, sztuce czy o zachowaniach typowych dla Arleyów i Arleyanek.

— Nie koniecznie — uśmiecham się tajemniczo. — Oglądałaś kiedykolwiek disneyowską wersję Kopciuszka?

— Oczywiście — Lara przytrzymuje mi drzwi przy wejściu z hotelu. — A co?

— To wyobraź sobie taki zamek, jaki tam był, tylko w realnej wersji i wtedy będziesz miała dokładny obraz tego, jak wygląda pałac królewski w Arlesii.

— Nie gadaj... — nastolatka wygląda na zaskoczona. — To w takim razie jakim cudem może on wyglądać ponuro?

— Uwierz mi, wewnątrz może. Szczególnie, kiedy wszyscy śpią i ty akurat musisz przejść... — chcę kontynuować, ale przyjaciółka mi przerywa:

— Byłaś w pałacu królewskim w NOCY?! — wydaje się być bardzo, ale to bardzo zaskoczona.

— Byłam — kiwam głową. — Wspominałam ci przecież, że moi rodzice byli osobami dość zamożnymi, ba, powiedziałabym nawet, że jednymi z ważniejszych w Arlesii. W takim wypadku chyba normalne jest to, że miałam okazję poznać rodzinę królewską, łącznie z zaginioną królową. A w czasie wielogodzinnych obrad, w których brali udział również moi rodzice, przeciągających się dość często nocy, musiałam przecież gdzieś spać, nie sądzisz?

— No tak... — dziewczyna kiwa głową. — Ale mimo wszystko nie mogę w to uwierzyć, moja przyjaciółka знаła królową państwa położonego na innym świecie... To po prostu niesamowite!

— Wiesz, dla mnie było to całkowicie normalne — wzruszam ramionami.

— Ty ciągle tak powtarzasz — Lara wzdycha ciężko. — A teraz powiedz mi, jak daleko zostało nam do tej Petry?

— No cóż... — przystaję na chwilę, próbując przypomnieć sobie, ile czasu ostatnim razem zajęło mi dojście od hotelu do miasta wyrzeźbionego w skale. — Coś tak około dwudziestu minut. Ale nie jestem specjalnie pewna, na ile pamiętam, więc wiesz...

— Nie ma problemu — dziewczyna lekceważąco macha ręką. — Wiesz, jak ja lubię chodzić... A z resztą taka trasa może nawet pomoże mentalnie nastawić mi się na to, co mogę zobaczyć... — zamyśla się dziewczyna.

Uśmiecham się tylko lekko i kręcę głową. Dziewczyna na pewno nie spodziewa się tego, co może zobaczyć po drugiej stronie. Tym bardziej, że nasz świat może nieco odbiegać od jej wyobrażeń mieszkania ludzi odległych od tego świata o kilkanaście, jak nie kilkadziesiąt stuleci... Nagle moją głowę przeszywa potworny ból. Krzywię się lekko; teraz nie mogę niczego poradzić. Najważniejsze jest to, żeby wytrzymać przynajmniej do momentu odnalezienia przejścia do Arlesii...

* * *

— To tutaj, prawda? — Lara zadziera głowę i patrzy na potężną, monumentalną Ad-Deir.

— Tak, to tutaj — uśmiecham się szeroko i zerkam na nią kątem oka. — I jak, co o niej myślisz?

— Wspaniała, po prostu aż braknie słów — dziewczyna próbuje dosłownie pochłonąć budowlę wzrokiem. — Dion, widziałaś kiedykolwiek coś wspanialszego?

Faktycznie, oświetlona promieniami słońca brama do miasta prezentuje się fantastycznie, tym bardziej, że marmur, w którym ją wykuto, mieni się pięknymi

kolorami, co razem może dosłownie zapierać dech w piersiach.

— No cóż, tak szczerze mówiąc, to owszem, widziałam — kiwam głową. — Ty pewnie też zobaczysz coś o wiele lepszego w chyba nawet dość niedalekiej przyszłości...

— Tak myślisz? — dziewczyna wygląda na nastawioną lekko sceptycznie.

— Tak myślę — kiwam głową. — A teraz chodź, im szybciej dojdziemy do przejścia, tym lepiej...

— Dion, a nie myślisz, że to nie jest zbyt rozsądne, żeby wchodzić tam, kiedy jeszcze nikogo nie ma? — Lara jak zwykle ma swoje wątpliwości.

— Wiem, że wcześniej mówiłam, że lepiej będzie wejść, kiedy będzie więcej ludzi, to będziemy trochę kryte — stwierdzam — ale po dłuższym namyśle stwierdziłam, że nie ma na co czekać. Tak się składa, że to jest kwestia życia i śmierci, czyli najlepiej byłoby się pośpieszyć tak bardzo, jak tylko to możliwe.

— Nie mówiłaś wcześniej nic takiego — dziewczyna patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem.

— Nie? — jestem lekko zaskoczona. — A, faktycznie — tym razem facepalm mi nie wyszedł i trafiam w nos. „Aua... — krzywię się lekko — nie dość, że jestem cała obolała to jeszcze sama się biję...”. — To akurat myślałam sama do siebie... Wszystko mi się już miesza, za dużo tego wszystkiego się uzbierało w ostatnich dniach...

— Dobra, nieważne — nastolatka przechodzi do porządku dziennego nad moimi planami. — To teraz prowadź mnie do tego przejścia.

Przytakuję skinięciem głowy.

* * *

— Gdzieś to musi tu być... — mruczę pod nosem, oglądając ściany tunelu, w którym jesteśmy. Ból całego ciała jest gorszy z sekundy na sekundę, ale się nie poddaję. Wiem, że jeśli chcę jeszcze cieszyć się życiem, to muszę wytrzymać jeszcze trochę...

— A czego szukasz? — Lara wyciąga z kieszeni spodni telefon i robi sobie selfie na tle skał. — Bo może bym ci pomogła?

— Takiej lilii, wyrzeźbionej w skale — pokazuję jej wydrukowane zdjęcie. — To jest przycisk, który, jeśli wiesz, gdzie przycisnąć, otwiera drogę do jaskini z furtką... — urywam nagle, w pół słowa i opieram się o ścianę.

— Dion, wszystko w porządku? — moja przyjaciółka błyskawicznie, dosłownie jednym krokiem, staje przy mnie.

Chcę pokiwać głową, że tak, wszystko jest ok., ale nie daję rady i osuwam się na ziemię. Równocześnie w oddali słyszę kroki, ale jestem zbyt słaba, żeby zareagować.

— Dion! — Lara jest przerażona. — Boże, błagam, powiedz, że nic ci nie jest...

Nie jestem w stanie zrobić nic, zupełnie, jakby moje ciało się wyłączyło. Patrzę jeszcze na szeroko otwarte oczy przyjaciółki, po czym opadają mi powieki i jedyne, co rejestruję słuchem przez ostatnią sekundę, jest szlochanie dziewczyny, przyspieszenie tamtych kroków i jakby znajomy głos jakiegoś chłopaka.

Potem całkowicie odpływam w wielką, pustą i ponurą ciemność...

Rozdział X

Ciekawe jest to uczucie, kiedy człowiek (albo lumia, nikogo nie dyskryminujmy) od razu po obudzeniu nie może sobie przypomnieć, co, gdzie i kiedy. Zazwyczaj to uczucie mija od razu po otworzeniu oczu...

Ale teraz ja nie mogę ich otworzyć. Po prostu nie mogę, zupełnie, jakbym była całkowicie odcięta od reszty mojego ciała, nie miała nad nim władzy...

Reszta zmysłów też nie działa tak, jak powinna — nie czuję żadnych zapachów, wszystkie dźwięki dochodzą do mnie zupełnie jakbym miała głowę owiniętą bardzo grubą warstwą waty, a jeśli chodzi o dotyk, to zamiast materiału tego, do czego dotykam, odczuwam tylko i wyłącznie potworny ból, każdą komórką ciała, wręcz nie da się wytrzymać. Tylko co ja mogę zrobić? Nie opanowałam jeszcze sztuki momentalnego zasypiania. A szkoda...

Nagle przez to coś, czym mam owiniętą głowę (ale nie jestem pewna, czy faktycznie tak jest, w tym momencie nie potrafię zaufać moim zmysłom) przebija się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi i kroków chyba dwóch osób, które zatrzymują się obok mnie.

— Wyjdzie z tego, prawda? — to chyba jest Lara. I do tego mocno zaniepokojona. Niezwykle miło z jej strony, że tak się o mnie troszczy...

— Nie wiem — ta druga osoba najwyraźniej wzrusza ramionami. — Nigdy nie miałem do czynienia z osobą w tak późnym stadium tasylirozy...

Po dłuższym namyśle dochodzę do wniosku, że ten drugi ktoś jest dość młodym osobnikiem płci męskiej. I do tego Arleyem. Bo kto inny mógłby wiedzieć o tasylirozie — chorobie, która mnie zabija? A z drugiej strony głos wydaje się być dość znajomy...

— Mogę ci obiecać, że zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, żeby poczuła się lepiej — kontynuuje chłopak. — Tyle, że niestety nic więcej ci nie powiem. Nie chcę robić niepotrzebnej nadziei...

— Dobrze, że dałeś mi jej choć trochę — moja przyjaciółka chyba lekko się uśmiecha. — To co planujesz zrobić?

— Mogę tylko dać jej lekarstwo, a potem pozostaje nam tylko czekać... — słyszę, jak towarzysz dziewczyny przyklęka przy mnie, a potem nagle czuję coś w ustach, jakiś płyn. Cudem udaje mi się przełknąć bez zakrztuszenia. — Dobrze, że przynajmniej próbuje współpracować — dodaje chłopak i gładzi mnie po policzku.

I dokładnie w tym miejscu ból na chwilę ustaje, a zamiast niego czuję rozlewające się, niezwykle przyjemne zimno (przy takiej temperaturze, jaką teraz mam, jest to wręcz fantastyczne uczucie).

— To teraz chodź, Lara, my już nic nie możemy zrobić — on najwyraźniej

się prostuje, po czym słyszę kroki i delikatne trzaśnięcie drzwiami. Definitywny znak, że właśnie zostałam w pomieszczeniu sama.

I nagle mam wrażenie, że zaczynam się zapadać w ciemność, niezwykle mnie przerażającą, kryjącą w sobie niezliczoną ilość koszmarów. Chciałabym zaprotestować, ale nie mam siły i zostaję niezwykle głęboko i może nawet bezpowrotnie wciągnięta przez paraliżujący zmysły mrok...

Rozdział XI

— Nie mogę w to uwierzyć... — Rori patrzy na mnie z lekkim przerażeniem. — Lu, ale jesteś tego pewna?

— Całkowicie — kiwam głową i ocieram łzy rąbkiem bluzki. Jest już mokra na każdym milimetrze kwadratowym, ale póki co nie miałam czasu, żeby ją zmienić. A oprócz czasu nie miałam też siły... — Przecież słyszałam, jak mówił temu swojemu najlepszemu kumplowi, wiesz, Arialowi... — przyjaciółka kręci głową, więc zaczynam jej wyjaśniać. — No jak to nie wiesz? Ten, co ma taką samą fryzurę, jak Ertex, tylko zamiast biało-zielonej czupryny ma zielono-czarną. O ludzie, to ten, który ma być jego drużbą! — mówię z lekkim zniecierpliwieniem.

— A, ten — lumia wreszcie załapuje, o kogo mi chodzi. — Ten, który prawie mnie podeptał w przejściu, jak wracałyśmy ze zjazdu, prawda?

— Dokładnie ten — mimo paskudnego nastroju wybucham śmiechem. Ta sytuacja była naprawdę genialna, nie da się wspomnieć tego bez chwilowej poprawy samopoczucia. — A wracając do tematu — kiedy tylko to mówię, momentalnie wraca mi paskudny humor, łzy też zaczynają cieknąć mi po policzkach szerokimi strumieniami; już nawet nie ma sensu ich ocierać — to wyobraź sobie, że właśnie chciałam uzgodnić z Ertexem jakiś drobny szczegół dotyczący wesela. Ganiałam za nim dosłownie po całym budynku, zupełnie jakby specjalnie się schował...

— No ale musiałaś go w końcu znaleźć, tak? — Ro intensywnie wpatruje się we mnie, zupełnie, jakby chciała wydusić odpowiedź „dlaczego?”.

— Tak, w końcu go znalazłam — kiwam głową, nie mając nawet siły na zdenerwowanie się na moją najlepszą przyjaciółkę za jej niecierpliwość. — Tuż przy wejściu do piwniczki z winami. I całe szczęście, że mnie nie zauważył. Stał tam i gadał z tym swoim kumplem, a ja chciałam go zaskoczyć, no wiesz, tak, jak czasami on zaskakiwał mnie... Podchodził od tyłu, zasłaniał oczy i mówił „zgadnij kto to”, tak czule... — znowu zaczynam szlochać.

Po chwili jednak biorę się w garść. Muszę przecież dobrać do końca opowieści, bez względu na to, jak bardzo będzie mnie to boleć...

— I wyobraź sobie, że jak się już zacząłam za rogiem, usłyszałam, jak Tex kazał Arialowi dosypać do mojego kieliszka jakiejś trucizny, której nie byłabym w stanie wyczuć... — szloch nabiera takiej siły, że nie mogę nic z siebie wydusić.

— Jak on mógł... — Rori kręci głową z ogromnym szokiem wypisanym na twarzy. — A byłam pewna, że on kocha cię jak wariat!

— Ja też — szepczę, kiwając głową. Potem kładę się na łóżko i przyciskam twarz do poduszki. — W życiu nie spodziewałam się, że on może zrobić coś takiego...

— I co ty teraz zamierzasz zrobić? — Lumia poprawia grzywkę i patrzy na mnie uważnie. — I dlaczego niby coś takiego przyszło mu do głowy?

— Wiem, czemu — odwracam wzrok w drugą stronę pokoju. — Po prostu zależało mu tylko i wyłącznie na tym, co małżeństwo ze mną mogło mu zaoferować, a nie na mnie. Z resztą, coś mi się zdaje, że wcale nie jestem pierwszą, którą chciał tak potraktować...

— Kto wie, w końcu musiał się na kimś wyćwiczyć w snuciu tak okrutnych planów — prycha Ro.

Lumia jest wściekła, uszy położyła po sobie i coś mi się zdaje, że jeżeli teraz jakimś cudem mój narzeczony znalazł się w jej otoczeniu, rozszarpałaby go na strzępy. Dosłownie. A potem rozsypała te strzępy po całej Arlesii, tak, żeby nikt nie mógł ich nigdy złożyć w jedną całość.

— I co teraz zamierzasz zrobić? — ponawia pytanie.

— Nie wiem — podnoszę się do pozycji siedzącej i wzruszam ramionami. — Po prostu nie wiem. Nie mam nawet siły myśleć o tym, co powinnam...

— No nie mów... — przyjaciółka od razu wie, co mam na myśli. — Facet chce cię zabić, a ty nic nikomu nie powiesz, bo go kochasz, i dasz mu to zrobić, żeby był szczęśliwy? Weź ty się opamiętaj!

Jedyną moją reakcją jest spuszczenie wzroku i ciężkie westchnięcie.

Rori trafiła w dziesiątkę. Taka jest prawda, że to też przeszło mi przez myśl. Nie wiem, może powinnam faktycznie poważnie się nad sobą zastanowić? Ale z drugiej strony, uczono mnie, że bym na pierwszym miejscu stawiała dobro innych, nie swoje...

— Ty mi się tym nie zasłaniaj — wilczyca patrzy na mnie groźnie. Ups, chyba przez przypadek włączyłam przepływ danych umysłowych pomiędzy nami...

Dotykam nadgarstka prawej ręki i moment później czuję lekkie ukłucie. Znak, że łącze zostało zerwane...

— A co mam ci powiedzieć? Taka jest prawda, że moi rodzice doskonale wiedzieli... — próbuję się tłumaczyć.

— Wiedzieli, że co? Że kiedyś ktoś wykorzysta twoją łatwowierność i wykręci ci taki numer, jak teraz Ertex, i wtedy też będziesz myślała tylko o innych, bo tak cię wychowali? Lumina, nie bądź śmieszna — Ro teraz wścieka się na mnie. A tak się składa, że z doświadczenia wiem, że w takich sytuacjach lepiej schodzić jej z drogi... — Masz sekundę na zastanowienie się, co dalej: albo mówisz komuś o tym, co się stało, albo wymyślasz inne wyjście. I masz choć raz w życiu pomyśleć o sobie, rozumiesz?

— Rozumiem — kiwam głową, intensywnie myśląc nad rozwiązaniem, które ratowałyby mnie, jednocześnie nie skazując Ertexa na wygnanie. A może

by tak...

Nagle ktoś zaczyna delikatnie pukać do drzwi mojego pokoju.

— Muszę kończyć — mówię błyskawicznie. — Powiem ci później, co wymyśliłam.

— Mam nadzieję — Rori znacząco unosi brew. — Quike[1] i do zobaczenia później, kochana.

— Quike — ze smutnym uśmiechem posyłam jej całusa.

Nachylam się nad małym urządzeniem i naciskam czerwony przycisk. Perfekcyjny hologram przyjaciółki, unoszący się na środku pokoju od razu znika.

— Zaraz! — krzyczę w kierunku drzwi.

Natychmiast zrywam się z łóżka i podchodzę do toaletki. Jeżeli to mój narzeczony, to nie powinien widzieć, że płakałam.

Błyskawicznie, tak szybko, jak tylko to potrafi spiesząca się dziewczyna, poprawiam sobie makijaż. Kto by pomyślał, że te „inteligentne” podkłady i fluidy mogą tak perfekcyjnie maskować niedoskonałości, nie pozwalając nikomu (poza tymi, którzy wiedzą) domyślić się, że w ogóle mogłam mieć jakiegokolwiek doła...

— Już idę — mruczę pod nosem, podchodzę do drzwi i je otwieram. Za nimi, tak, jak się spodziewałam, stoi niezwykle przystojny dwudziestojednolatek ze starannie ułożoną fryzurą. Na mój widok uśmiecha się szeroko.

— Lu, kochanie! Mogę wejść?

— Jasne, wchodź — kiwam głową i czuję, jak na twarz wpływa mi szeroki uśmiech. Nie, to przecież niemożliwe, żeby on chciał mnie zabić. Przecież nie zachowywałby się w taki sposób, gdyby miał coś takiego na myśli... — I jak tam przed jutrem?

— Nic nie mów — kręci głową z uśmiechem, po czym mocno mnie przytula i szeptem do ucha: — Gdyby nie to, że jutro wreszcie będziesz moja, w życiu nie zgodziłbym się przejść przez to piekło przygotowań.

— To faktycznie piekło — odsuwam się na tyle, żeby móc spojrzeć mu w oczy. — A szczególnie te uzgadnianie wszystkich szczegółików, na przykład jak dzisiaj te torty...

— Właśnie — chłopak puszcza mnie i opiera się o ścianę. — A jak tam poszło ci to mega ważne spotkanie, przez które musiałaś wyjść wcześniej z degustacji, pozostawiając mnie na pastwę tych wszystkich bitych śmietan, wisienek i czekolad? — mówi to niby żartobliwym tonem, ale słyszę w nim lekki wyrzut.

— Nawet dobrze — postanawiam choć raz to zignorować i zrobić coś wbrew sobie. — Co prawda nie udało mi się osiągnąć wszystkiego, czego chciałam, ale na tym polegają kompromisy.

— Właśnie — kiwa głową. — Wiesz, muszę już lecieć. Wpadłem tylko na chwilę, chciałem cię zobaczyć... — delikatnie gładzi mnie po policzku.

— Ale na szczęście od jutra już nie będziemy musieli się rozstawać — uśmiecham się do niego szeroko.

— To najwspanialsza wiadomość, którą kiedykolwiek usłyszałem. No, może poza tym, kiedy powiedziałaś mi, że mnie kochasz — patrzy na mnie z tak ogromną miłością w oczach, że już niemal całkowicie zapominam o tym, co usłyszałam z jego ust.

— Do jutra — daję mu całusa w policzek, a potem niemalże wypycham go za drzwi. I natychmiast osuwam się na podłogę z szerokim uśmiechem na twarzy i wzdycham z ulgą.

Wiedziałam, że to musi być jakieś nieporozumienie. Może mówili o jakimś filmie, czy jakiejś grze... Ile razy w końcu słyszałam, że faceci to tak naprawdę duże dzieci...

Niemal od razu czuję mrowienie w nadgarstku. Czyli teraz będę musiała złożyć sprawozdanie kolejnej przyjaciółce...

Przykładam dłoń do miejsca tuż za uchem i od razu przede mną pojawia się holograficzny, widoczny tylko dla mnie, ekran. Tak działają implanty, każdy mieszkaniec Arlesii dostaje takowe coś. Szkoda tylko, że nie działają poza granicami naszego świata...

Od razu na starcie pojawia się zdjęcie Rori i Iory. Oddycham z ulgą. To musi oznaczać, że Iora zna co najmniej zarys sytuacji, bo Ro wytłumaczyła jej choć część. A tak mi się przynajmniej zdaje...

Niejako dotykam ich zdjęć, po czym tuż przede mną materializują się dwa hologramy moich przyjaciółek, do złudzenia przypominające prawdziwe osoby.

— Lu, wiem, co się stało... — zaczyna Io.

— Nie, to już nieaktualne — kręcę głową z rozanielonym uśmiechem. — Musiało mi się coś przywidzieć. Wiecie, to wszystko przez stres...

— Był u ciebie, tak? — Rori patrzy na mnie z lekkim niesmakiem. — I co takiego ci nagadał?

— Nic specjalnego nie mówił, ale zachowywał się tak, że wyraźnie było widać, jak bardzo mnie kocha — odpowiadam, podchodząc do toaletki i poprawiając ustawione tam buteleczki z perfumami.

— I znowu to samo... — wzdychają obie lumie. — Lumina, zrozum, że musisz być stuprocentowo pewna, że on cię kocha. Inaczej my nie pozwolimy ci za niego wyjść — dodaje Iora.

— A niby w jaki sposób mi nie pozwolicie, co? — uśmiecham się lekko. Tak się składa, że i ja, i moje przyjaciółki doskonale wiedzą, że nie mają nade mną żadnej władzy.

— No cóż, jakby Estive wiedział, co się kroi, na pewno znalazłby sposób, żeby cię powstrzymać — szelmowsko uśmiecha się jedna z nich.

— Ok., ok., niech wam będzie — mówię. Oczywiście doskonale zdaję sobie

sprawę, że z Estive'em się nie skontaktują, ale zdaję sobie sprawę, iż inaczej nie dadzą mi świętego spokoju. — W takim razie jak niby mam sprawdzić, czy naprawdę mnie kocha?

— Po prostu udowodnij nam, że to, co słyszałaś, tylko i wyłącznie ci się wydawało — Ro krzyżuje ramiona.

— A niby w jaki sposób mam wam to udowodnić? — bezradnie rozkładam ręce.

— Gdzie wydawało ci się, że ich widziałaś? — Io zaczyna krzyżowy ogień pytań.

— Tuż przy wejściu do piwniczki z winami — mówię. — Ale przecież...

— O której to było? — druga lumia nieubłaganie drąży dalej.

— Tak mniej więcej pomiędzy wpół do dwudziestej a dwudziestą — nie ma sensu się im sprzeciwiać, więc tylko wzdycham z rezygnacją.

— Masz dostęp do wszystkich nagrań z kamer ochrony? — wilczyce (czasami tak mówimy na siebie) patrzą na mnie z porozumiewawczym uśmiechem.

— No... Mam — przyznaję niechętnie. — Czyli mam wam załatwić nagranie pokazujące to, co działo się przed wejściem do piwniczki pomiędzy dwudziestą i wpół do, dobrze zrozumiałam?

— Dokładnie tak — przyjaciółki zgodnie kiwają głowami.

— No spoko, zobaczę, co da się zrobić... — mruczę lekko, po czym przechodzę w kąt pokoju. Tam po raz kolejny wywołuję holograficzny ekran i szybko przeglądam moje kontakty. Po chwili wybieram szefa ochrony, Borisa.

Odbiera po pierwszym sygnale i jego twarz wyskakuje na ekranie tuż przede mną.

— Boris, mógłbyś coś dla mnie sprawdzić?

— Dla pani zawsze, szefowo — uśmiecha się do mnie. — A cóż to takiego?

— Chodzi o nagranie z około 19³⁰, tuż przed wejściem do piwniczki z winami — odpowiadam błyskawicznie, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

— Nie ma problemu — z boku ekranu momentalnie pojawia się ikonka z filmem, pokazująca postęp przesyłania. — A mogę wiedzieć, po co to pani, szefowo?

— Założyłam się z Rori, która z nas pierwsza znajdzie nagranie pokazujące, jak ktoś podkrada wino z piwniczki, a coś mi się zdaje, że chyba będę pierwsza — uśmiecham się lekko, natychmiast wymyślając wiarygodną wymówkę.

— W zupełności rozumiem — Boris doskonale wie, o co mi chodzi i przyspiesza wysyłanie, przez co plik pojawia się błyskawicznie. — Proszę, to jest to, o co pani, proszę. Ale niech szefowa lepiej jak najszybciej położy się spać, w końcu jutro jest ważny dzień.

— Dobrze, zapamiętam. Do jutra, Borisie — kiwam mu głową na pożegnanie i przerywam połączenie.

— No to teraz pokazuj — lumie czekają z niecierpliwością. Kiwam lekko głową i jednym ruchem palca przesyłam nagranie z mojego holograficznego ekranu w przestrzeń pomiędzy nami (już dość dawno się to rozpowszechniło i od dłuższego czasu jest to popularna technologia). Ale zanim włączam odtwarzanie, sprawdzam, czy wszystkie okna są dokładnie przyciemnione i dopiero puszczam film.

Przez pierwsze dziesięć minut nic specjalnego się nie dzieje i niemal całkowicie upewnia mnie to, że po prostu z tego całego stresu coś mi się ubzdurało. Ale potem, około dwunastej minuty nagrania, zaczyna robić się ciekawie...

Najpierw na miejscu pojawia się Arial i po prostu stoi, wyraźnie na kogoś czekając. Moment później obok niego zjawia się Ertex.

— Czyli wcale ci się nie przywidziało... — szepcze Rori. W tym momencie ona też wcale nie ma najtęższej miny, jak można by się spodziewać po kimś, kto właśnie dowiaduje się, że ma rację...

Uciszam ją skinięciem dłoni. Niestety, nagranie nie ma dźwięku, więc nie widzimy, o czym rozmawiają, ale wyraźnie widać, jak w pewnym momencie mój narzeczony podaje swojemu kumpłowi małą fiolkę z krwistoczerwonym płynem.

— Zatrzymaj — natychmiast prosi Iora.

Kiwam głową, i tak miałam właśnie taki zamiar, więc zatrzymuję niemal w tym samym ułamku sekundy, w którym na nagraniu pokazuje się etykieta.

— O mój Boże... — wydusza Ro.

Powiększam obraz, żeby moje przypuszczenia jeszcze mocniej się potwierdziły. Teraz mam już stuprocentową pewność, że chłopak chciał mnie zabić. Dokładnie pokazuje to etykieta, przedstawiająca zdjęcie żółtej trawy kers, śmiertelnej i w żaden sposób niewyczuwalnej trucizny (nawet mój doskonale wyczulony pod tym względem wzrok nie byłby w stanie jej wykryć).

— O nie, nie licz na to, że teraz pozwolimy ci za niego wyjść — kłopotliwą ciszę jako pierwsza przerywa Io.

— Wiem — kiwam głową. Teraz jest już jasne, że Ertex faktycznie pragnie mojej śmierci. — Kochane, nie obrażcie się, ale ja muszę wszystko przemyśleć, najlepiej w samotności.

— Ale tylko mi spróbuj... — Rori nie kończy, ale doskonale wiem, o co jej chodzi.

— Nie martw się, nie wyjdę za niego w tajemnicy przed wami — uśmiecham się uspokajająco. — Aż tak bardzo jeszcze nie zwariowałam.

— No ja myślę — mówi Ro. — To do zobaczenia — rozłącza się.

— Lu, proszę cię, nie zrób niczego głupiego — pozostała lumia patrzy na mnie błagalnie.

— Postaram się — kiwam głową, już układając sobie w głowie plan działania. — Io, jakbym, broń Boże, nie odpowiadała na żadne wezwania i nie

wróciła w ciągu najbliższego tygodnia, to...

— Lumina, nawet nie mów takich rzeczy — prosi mnie przyjaciółka.

— To znaczy, że potrzebuję więcej czasu do namysłu i na pewno wrócę, ale niewiadomo kiedy — kończę. — Wtedy przekażesz wszystkim, żeby się nie martwiły, bo jestem w bezpiecznym miejscu.

— Spoko, rozumiem — Iora kiwa głową, ale nie wygląda na to, żeby moje wytłumaczenie ją przekonało. — Tylko bądź ostrożna... — z tymi słowami jej hologram znika.

Kiedy tylko jestem stuprocentowo pewna, że lumina się rozłączyła, natychmiast wyciągam spod łóżka plecak (rzecz jasna wodoodporny, jak wszystkie torby i plecaki) i rzucam go na kapę. Nie ma to jak traktować wszystko z totalną bezduszością...

Podchodzę do biurka i zaczynam przeglądać swoje rzeczy. No więc na pewno spakuję dokumenty, zarówno na Lumine, jak i Dion (imię, którego prawie zawsze używam za granicą) McKinley, mój ukochany album ze zdjęciami, portmonetkę z kilkoma tysiącami w lokalnej walucie i jeszcze kilka drobiazgów: ukochaną pozytywkę, którą dostałam od rodziców, szkatułkę z pamiątkami z każdego miejsca w Arlesii i zeszyt, w którym od pewnego czasu chciałam zacząć prowadzić pamiętnik, ale nigdy nie mogłam się za to zabrać...

Wrzucam to wszystko do plecaka i sięgam po suknię do jazdy konnej, leżącą na fotelu. Jak to dobrze, że nie zdążyłam jej jeszcze schować po dzisiejszej przejażdżce (jakoś bardo lubię jeździć konno w sukniach, aczkolwiek nie gardzę też luźniejszym strojem)...

Natychmiast ją naciągam, po czym zarzucam plecak na ramiona, siadam na parapecie i otwieram okno. Już nawet nie chce liczyć mi się, ile razy wychodziłam tą drogą. Na szczęście bluszczy jest bardzo, bardzo wytrzymały, skoro wytrzymuje takie nadwyrężanie kilka razy dziennie.

I tu pojawia się mały problem... Co prawda schodziłam tą drogą już kilkaset, a może nawet kilka tysięcy razy (albo i więcej, nie pamiętam już) i roślina nigdy nie protestowała w żaden sposób, ale jakoś do tej pory nie brałam pod uwagę, że kiedyś może okazać się, że przydarzy się taki jeden raz, który będzie tym jednym za dużo...

I właśnie dzisiaj chyba jest ten raz. Kiedy tylko przenoszę cały ciężar ciała na bluszczy, gałęzie zaczynają niebezpiecznie skrzypieć. Zdażam tylko zmarszczyć brwi, gdy łodygi pękają i zaczynam spadać.

Na całe szczęście mój pokój jest tak trochę wychylony poza budynek i dzięki temu mam okno bezpośrednio nad ogromnym jeziorem. Udaje mi się tylko obrócić tak, by przeciąć lustro wody rękoma i całkowicie bezszelestnie.

Moją pierwszą myślą jest „zimno, ziiiimno...” i jestem w stanie tylko się trząść. Przemoczona, ciężka suknia razem z plecakiem ściągają mnie na dno — no

cóż, może niżej będzie cieplej... — myślę i pozwalam, żeby ciężar sprowadził mnie na sam dół.

O nie, myliłam się. Tu wcale nie jest ciepło. Nie jest nawet zimno. Tylko wręcz LODOWATO.

Krzyżuję ręce na piersi, próbując nie szczekać zębami i wypuszczam kilka bąbelków powietrza nosem. Dobrze przynajmniej, że mam pewność, iż się nie utopię — jakimś cudem, najpewniej dzięki Xeriońskiej technologii i możliwości wszczepiania nienarodzonym dzieciom pewnych umiejętności umiem oddychać pod wodą. Co najwyżej zamarznię...

Nie jest zbyt wygodnie chodzić po dnie w pełnym ubraniu. Suknia lepi mi się do nóg, a gęstość wody jeszcze bardziej utrudnia poruszanie. Niestety, pływać byłoby jeszcze gorzej, więc wolę wybrać mniejsze zło...

Kilkadziesiąt minut później tafla wody znajduje się coraz bliżej mojej głowy i powoli się wynurzam. O dziwo, tu jest trochę cieplej, niż w jeziorze. A przynajmniej na razie, dopóki nie zacznę schnąć...

Gdy jestem już całkowicie na brzegu, zaczynam oględziny stroju. No cóż, w świetle księżycy nie widać specjalnie dużo, ale po kilku minutach udaje mi się zdjąć kilkanaście wodorostów, ze trzy muszelki i jedną rybę, która zaplątała się w mój strój (oczywiście od razu wrzucam ją z powrotem wody).

I nagle mój wzrok, zupełnie bezwiednie, wędruje w kierunku budowli położonej kilka kilometrów ode mnie. Wzdycham ciężko; wiem, że chociaż to mój dom, raczej już go nie zobaczę, wbrew temu, co obiecałam Iorze. Nie mam pojęcia, czy uda mi się wrócić...

Zmuszam się, aby odwrócić spojrzenie. Przeciąganie tego, co nieubłagane, nic mi nie pomoże.

Podnoszę palce do ust i wydaję donośny, długi gwizd. Jest to najlepszy sposób na przywołanie mojego konia, testowany wielokrotnie i za każdym razem przynoszący takie efekty, jak trzeba.

Dosłownie kilka sekund później dobiega mnie tętent kopyt i z mroku wyjawia się piękny ardylian o szampańskiej maści — jednym słowem mój Goldier we własnej postaci.

Ardyliany to bardzo ciekawe konie. Podobnie jak wiele gatunków powstały z już istniejącego — arabów — na skutek wielkiego wybuchu. W ogólnej budowie nie zmieniło się szczególnie nic — no, może poza zgęstnieniem ogonów, grzyw i pojawieniem się przepięknych szczot pęciny. Ale co do maści... Tu dopiero promieniowanie porządnie namieszało. W teorii rozróżnia się tylko osiem maści, po dwie dla każdego żywiołu: a) dla ognia czerwona grzywa, ogon i szczoty pęciny, i reszta czarna, jak również konfiguracja odwrotna, b) dla wody zielona grzywa, ogon i pęciny z granatową sierścią, jak również odwrotnie, c) dla powietrza biała grzywa, ogon i pęciny wraz z sierścią błękitną i odwrotnie

i wreszcie d) dla ziemi brązowa grzywa, ogon i pęciny, reszta zielona i odwrotnie. Ale właśnie... te osiem maści występują w teorii. W praktyce jest jeszcze jedna, pojawiająca się raz na kilka tysięcy lat. Zawsze otrzymuje ją ogier. I zawsze przewyższa swoimi umiejętnościami i tak już niesamowite ardyliany (o wiele lepsze od normalnych koni). A tak się składa, że ten wyjątkowy ogier, maści szampańskiej (to właśnie to jest znakiem prawdziwej wyjątkowości) trafił się mi. I o ile mnie pamięć nie myli, jest to dopiero drugi szampański ardyllian w historii Vastertilie...

„Wzywałaś mnie?” — we wzroku Goldiera widzę konkretne pytanie.

— Tak — kiwam głową. — Czeką nas długa podróż, muszę jak najszybciej dostać się do Estive’a.

„Ale przecież jutro bierzesz ślub, nie powinnaś wziąć się za przygotowania?” — ardyllian pytająco przekrzywia głowę. Od wieków wiadomo, że te konie potrafią w niesamowity sposób porozumiewać się ze swoimi właścicielami. Za pierwszym kontaktem wytwarza się bowiem pomiędzy nimi coś w rodzaju niesamowitej, umysłowej więzi...

— Jutro nie będzie żadnego ślubu — mówię zdecydowanie. — Ertex wcale mnie nie kocha. Zależy mu tylko na tym, co małżeństwo ze mną mogłoby mu zapewnić, więc nie dostanie nic.

„Rozumiem” — przytakuje koń, podczas gdy wskakuje mu na grzbiet. — „Brrr!” — czuję, jak spinają się mięśnie ogiera pode mną. — „Nie mówiłaś, że jesteś taka mokra. I zimna!”

— Zazwyczaj tak jest, kiedy ktoś wychodzi z lodowatego jeziora o tej porze nocy — mruczę pod nosem.

„Trzeba było do niego nie wchodzić” — znowu odzywa się sarkazm zwierzęcia. No cóż, nic nie poradzę na to, że ogiery mają dość burzliwą i kłótliwą naturę. Mój Goldier i tak jest jeszcze w miarę łagodny w porównaniu z innymi...

— Na przyszłość będę pamiętać — stwierdzam, po czym poprawiam się na jego grzbiecie. Uwielbiam jeździć konno na oklep, ale rzadko mam okazję. Takowa trafiła się teraz, więc nie chcę jej przepuścić. — Mógłbyś już ruszać?

„Do Seiten Gaye, prawda?” — ogier lekko odwraca głowę i łypie na mnie jednym, czarnym jak węgiel, okiem.

— Skąd wiesz? — jestem dość zaskoczona jego domyślnością.

„Czasami twoja głupota mnie przeraża...” — Goldier jako jeden z naprawdę niewielu nie krępuje się do mnie mówić takim tonem. — „Przecież mówiłaś mi chwilę temu, że musisz dostać się jak najszybciej do Estive’a, a chyba on może być tylko tam? Nie jestem aż tak niedomyślny, jak może ci się zdawać.” — prycha.

— Dobrze, Goldier, przepraszam — głaszczę go po szyi. — Nie chciałam cię urazić, to po prostu wszystko przez ten stres, a jak jeszcze dowiedziałam się, że Ertex...

„Opowiesz mi o wszystkim po drodze” — przerywa mi ardylian — „a teraz trzymaj się mocno!”.

W tym samym momencie staje dęba i rusza z kopyta, a ja muszę mocno złapać się jego grzywy i zacisnąć nogi na jego bokach, aby nie spaść.

Podczas gdy ogier lawiruje pomiędzy drzewami z zawrotną, nieosiągalną dla innych środków transportu (jak również innych koni, i tak szybszych od czegokolwiek), ja wreszcie mogę się odprężyć.

Nareszcie jestem bezpieczna, nikt nie zagraża mi ani tu, ani nie będzie w miejscu, do którego się udaję. Może wreszcie uda mi się chociaż na chwilę zebrać myśli, rozrzucone chyba po całym moim życiu, odkąd tylko usłyszałam rozmowę mojego narzeczonego i później, gdy zobaczyłam nagranie i okazało się, że to wszystko była prawda, nic mi się nie przywidziało z powodu stresu.

Robię szybki rachunek w głowie. Skoro mój ogier może osiągnąć około 250km/h i biec tak przez cały czas bez żadnego wysiłku, to w takim razie w Seiten Gaye będę za jakieś osiem godzin... I tak będzie już za późno, żebym mogła zdążyć na ślub. Ale po tym, co zdarzyło się wieczorem, nie mam najmniejszego zamiaru zmieniać stanu cywilnego. Nie mam tylko pojęcia, co teraz mogę zrobić.

A Estive na pewno będzie wiedział...

* * *

Zgodnie z moimi wyliczeniami Goldier pokonuje te dwa tysiące kilometrów w około osiem godzin.

Przyznam szczerze, że pod koniec jestem już trochę zmęczona prędkością i opowiadaniem, co się stało, tym bardziej, że od ponad doby nie miałam okazji zdrzemnąć się choćby na chwilę...

„To teraz musisz iść już sama” — informuje mnie koń, gdy staje na samym środku Selumie (polana w samym środku Gaju Cudów).

— Mówisz tak, jakbym nie wiedziała i była tu po raz pierwszy — patrzę na niego z kpiącym uśmieszkiem.

Ogier parska tylko, nie racząc udzielić komentarza, i zaczyna się paść pośród innych, zwyczajnych ardylianów, które o tej porze zazwyczaj wychodzą z jaskini.

Mam siłę tylko pokręcić głową z uśmiechem, po czym potężnie ziewam. Nie, ja muszę jak najszybciej zdrzemnąć się choćby chwilę, o ile mam funkcjonować w miarę normalnie...

Lekko przymykam oczy, żeby dać im choć trochę odpocząć... i jak długa ląduję na ziemi.

Ze złością zerkam na korzeń, który sprowadził mnie do parteru. W dodatku dobiega mnie jeszcze rzenie mojego ogiera, który wyraźnie się ze mnie naśmiewa...

— A ty jak zwykle bujasz głową w chmurach — z góry dobiega mnie łobuzerski głos „chłopaka” niewiele starszego ode mnie.

Podnoszę głowę i widzę młodego, przystojnego i emanującego pewną tajemniczością i jednocześnie siejącym wokół niepokój, karzący wszystkim podchodzić do niego z szacunkiem chłopaka, w wieku około dziewiętnastu lat.

— Estive, miło cię widzieć — natychmiast wstaję i uśmiecham się do niego szeroko. — Słuchaj, chciałabym cię prosić o radę.

— W życiu nie wpadłbym na to, że przyjechałaś akurat po to, a nie, żeby po prostu wypić ze mną herbatę — odpowiada tamten z sarkazmem w głosie. — Tym bardziej, że — wymownie zerka na nadgarstek — za jakieś trzy godziny powinnaś brać ślub.

— To już nieaktualne — czuję, jak po policzku spływa mi łza i natychmiast ją ocieram. — Wczoraj wieczorem wynikła pewna sprawa, która zmieniła całkowicie wszystko i w związku z tym musisz mi pomóc. Ja sama nie dam rady... — czuję, jak głos mi się łamie.

Mój były nauczyciel przez chwilę bacznie lustruje mnie spojrzeniem srebrnych oczu.

— To musi być naprawdę poważny problem — mówi po pewnym czasie. — Jeszcze nigdy nie widziałem ciebie takiej roztrzęsionej, nawet po śmierci rodziców. Obowiązkowo o wszystkim masz mi opowiedzieć, ale — podnosi palec, widząc, że chcę mu przerwać. Stosuję się do polecenia i się zamykam — najpierw masz się wyspać, bo znowu wywrócisz się na prostej drodze.

Nie mam najmniejszego zamiaru protestować, w końcu nie spałam już od ponad doby.

— Łóżko masz tam, gdzie zwykle — Estive odwraca się i zaczyna iść w kierunku góry. — Ja zrobię coś do jedzenia, wyglądasz na głodną — rzuca przez ramię, nawet się nie odwracając.

Uśmiecham się lekko do siebie. On jak zwykle dokładnie odgaduje moje pragnienia, no ale cóż, w końcu jest, kim jest, i to się nie zmieni.

Zerkam na suknię; cała w plamach. Na szczęście zapakowałam do plecaka luźną koszulkę i bryczesy, więc mogę się przebrać. Potem, jak już będę w mojej sypialni. Tu zawsze się zatrzymuję, kiedy przyjeżdżam do Seiten Gaye nie podczas corocznych zjazdów lumii.

— Idziesz ze mną, czy wolisz się wdrapywać po schodach? — rzuca, odwracając się do mnie na moment.

Od razu przyspieszam kroku, chcąc go możliwie jak najszybciej dogonić.

* * *

Kilkadziesiąt minut później siadam na łóżku. Suknię ściągam przez głowę

i rzucam ją w kąt, potem błyskawicznie przebieram się w zapasowe ciuchy. I czego więcej potrzeba do szczęścia?

Zerkam w lustro i wzdycham ciężko. No, może tylko tego, żebym zaraz obudziła się we własnym łóżku, a to wszystko okazało się złym snem. Bo gdyby jakimś cudem tak się stało, na pewno byłabym w stanie wybaczyć Ertexowi. A przynajmniej byłam do tego skłonna jakąś godzinę temu, kiedy o wszystkim opowiadałam Goldierowi. Teraz... Teraz oprócz ciągłej miłości, którą czuję do byłego narzeczonego (nie pojawienie się na ślubie jest chyba równoznaczne z zerwaniem zaręczyn, prawda?) znajduję w sobie delikatną nutkę strachu. Czy faktycznie, jakby to okazało się snem, byłabym w stanie spokojnie żyć u boku chłopaka, bez żadnych obaw?

Kręcę głową ze smutkiem. Teraz już nie mam pojęcia, co w ogóle czuję. To wszystko jest już tak totalnie absurdalne, że nie ogarniam kompletnie nic. I chyba najlepiej zrobię, jak się trochę prześpię. Może wtedy będę lepiej wiedziała, co się dzieje w moim umyśle...

* * *

Jako pierwszy do mojego mózgu dobiega zapach. Piękny zapach sałatki, którą uwielbiam i którą Estive zawsze robi specjalnie dla mnie.

Szeroko otwieram oczy i uświadamiam sobie, że moje marzenie, które wyraziłam po zaśnięciu, się nie spełniło. Nie jestem u siebie w pokoju, nie wracam do świata jawy po potwornym koszmarze. Budzę się w „posiadłości” mojego byłego nauczyciela, a koszmar nadal trwa, jest jak najbardziej rzeczywisty...

Ale trudno, trzeba zmierzyć się z faktami. Z resztą teraz czuję się trochę bardziej zdecydowana, niż kilka lub kilkanaście godzin wcześniej...

Nie jestem tego do końca pewna — nie wiem nawet, która jest godzina. Wyłączyłam swój implant, żeby nikt nie mógł mnie namierzyć...

Zdecydowanym ruchem odrzucam koc na bok i dokładnie w tym momencie zaczyna burczeć mi w brzuchu. Uśmiecham się lekko, na czym błyskawicznie się łapię. Czyli poprawia mi się humor. To jeszcze lepiej, myślę i uśmiecham się jeszcze szerzej.

Błyskawicznie i starannie składam koc (Estive nie znosi bałaganu) i wychodzę z „sypialni”.

Po przekroczeniu progu znajduję się w kolejnej „komnacie” jaskini, w której mieszka mój nauczyciel. To właśnie tu spędzałam mnóstwo czasu zaczytana w rozmaitych książkach, tu nauczyłam się wszystkiego, co tylko się dało...

Ale zapach nie dochodzi stąd. Zapewne „chłopak” pichci coś na gorze, a do pomieszczenia, w którym stałam doszło to otworami wentylacyjnymi...

W pół kroku zawracam, żeby zabrać ze sobą swój plecak. Nie wiem

w końcu, czy nie wyjadę stąd tuż po rozmowie, którą mam zamiar za chwilę odbyć...

Kilka sekund później znów stoję w największej z kompleksu jaskiń, tuż przed ogromnym stawem. To właśnie jest wyjście na zewnątrz. Co prawda odrobinę mokre, ale to nie stanowi wielkiej przeszkody. Żaden podwodny tunel nie jest mi straszny, odkąd dowiedziałam się o swoich umiejętnościach.

I już mam wskoczyć do wody, gdy widzę, że tafla lekko faluje i wynurza się w niej Estive. Jak zwykle woda ścieka po nim jak po kaczce i sekundę później nie jest już wcale mokry.

— Tu jesteś — lustruje mnie lekko rozbawionym spojrzeniem. — Już miałem cię budzić. Wiesz, która jest godzina?

— Nie — kręcę głową. — Wyłączyłam implant, nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie jestem.

— Mistral, Rori, Iora i Leira na pewno się domyślą — tamten uśmiecha się jakby drwiąco. Nigdy nie potrafię do końca rozszyfrować, co akurat chce mi przekazać mimiką. — Ale dobrze zrobiłaś. Przynajmniej w spokoju będziemy mogli porozmawiać o tym, co kazało ci tu przypędzić, jakby cię śmierć gonila, i to jeszcze rezygnując ze ślubu.

— A nie pogniewałbyś się, jakbym... — urywam, widząc, jak mój były nauczyciel wyciąga zza pleców tacę z jedzeniem. Oczywiście w nienaruszonym stanie.

— O to ci chodziło? — i znów ten figlarny uśmieszek, z którym wygląda, jakby miał około dziewiętnastu lat.

— Tak, dziękuję — patrzę na niego z wdzięcznością.

— Nie krępuj się, zjedz, a potem opowiesz mi o wszystkim — wskazuje stół postawiony w okolicy regału z książkami, zajmującym praktycznie całą powierzchnię ścian w jaskiniowej „komnacie”.

Kiwam głową, siadam na wskazanym miejscu i błyskawicznie pałaszuję to, co mi przyniósł. Chyba byłam bardzo, bardzo głodna.

— No, to teraz opowiadaj, w czym rzecz — Estive siada naprzeciw mnie i zaplata swoje długie palce, wpatrując się we mnie z uśmiechem błakającym się po twarzy.

I tylko tego potrzebowałam, żeby tylko słowa zaczęły się wylewać ze mnie jak tesil[2] ruse Triltie[3].

Mój były nauczyciel patrzy na mnie uważnie, a z każdym słowem poważnieje coraz bardziej. Z jego oczu zniknął żartobliwy ognik, zastąpiła go czysta powaga, ba, wręcz widzę, jak w głowie ruszają mu się trybiki, chcąc znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie.

Kiedy kończę mówić, na chwilę zapada milczenie.

— Czyli ciągle go kochasz i nie chcesz, żeby został wygnany, ale

równocześnie wiesz, że on pragnie twojej śmierci i dlatego za niego nie wyszłaś — stwierdza moment później. — Ale nie wiesz, co masz zrobić, i musiałaś przyjść do mnie.

— Tak to mniej więcej wygląda — wzdycham. — Wiem, że to może głupota z mojej strony, ale mam wrażenie, że tego wszystkiego jest już po prostu za dużo. Nie dość, że od roku próbuję się wdrożyć w zarządzanie tym wszystkim, co zostawili rodzice, to jeszcze teraz chłopak, w którym się zabijałam bez reszty i z którym uparcie niektórzy chcieli mnie wyswatać, chciał się mnie pozbyć, żeby przejąć moje stanowisko. Ludzie, przecież ja mam dopiero piętnaście lat!

I znów zapada cisza. Mam wrażenie, że tym razem powiedziałam trochę zbyt dużo. Przecież przez całe życie byłam przygotowywana, że przynajmniej ta pierwsza część może mnie spotkać w każdej chwili...

Spodziewam się, że Estive za moment mnie zgani, w końcu to on uczył mnie samodzielności i tego, żeby się nie poddawać w żadnym wypadku. Ale on tylko uważnie lustruje mnie tym swoim niezwykle przenikliwym wzrokiem.

— W tym wypadku faktycznie jest to dopiero piętnaście lat — mówi po chwili. — Powinnaś zrobić sobie przerwę. Wszystkim wyjdzie na dobre, jeśli trochę odpoczniesz, być może nabierzesz dystansu...

Jestem w stanie tylko patrzeć na niego z szeroko otwartymi ustami.

— Wiesz, co ci powiem, Lumino? — mój towarzysz wcale nie czuje się zażenowany moim zdumieniem. — Jeszcze dzisiaj wyjedź. Na drugim świecie nikt nie wie, kim jesteś, będziesz mogła w spokoju odpocząć od odpowiedzialności, która na ciebie spadła. I tam Ertex nie będzie w stanie cię odnaleźć, nawet, jeśli będzie próbował.

— Ale... — nie potrafię wydusić z siebie nic więcej.

— Chciałaś rozwiązania, dzięki któremu i on nie zostanie wygnany, i ty będziesz mogła żyć bez strachu, więc dosłownie podaję ci je na tacy — stanowczo przerywa mój były nauczyciel. — Kiedy ty będziesz tam, twoje obowiązki przejmie twoja kuzynka.

— Ona? — patrzę na niego tak, jakby właśnie oznajmił, że wyrosła mi druga głowa. — Przecież Cinder nie da rady, ona wszystko...

— Poradzi sobie — Estive patrzy na mnie surowo. — Pomogę jej. A ty w międzyczasie odpoczniesz i wrócisz, kiedy tylko twoje siły psychiczne się zregenerują. A jeśli będzie się tu działo coś złego, poślę po ciebie, nie martw się. Będę miał na wszystko oko.

Patrzę na niego uważnie, próbując odgadnąć, jaki ma interes w tym, że wyjadę na jakiś czas. A może faktycznie ma rację, że jak odpocznę, to po powrocie zajmę się wszystkim z nowymi siłami i nowym zapałem? No cóż, jakby się tak dobrze zastanowić...

— Zgadzam się — mówię szybko, żeby nagle się nie rozmyślić. Taka

spontaniczność jest do mnie niezwykle podobna, decyzje podejmuję bądź je zmieniam w przeciągu ułamka sekundy. — Wyjeżdżam natychmiast. Na Goldierze akurat zajadę przed nocą.

— Nie jestem pewien — mój były nauczyciel patrzy na mnie z typowym dla siebie, lekko tajemniczym uśmiechem. — Przed ranem, to owszem. Bo jakbyś nie wiedziała, to już się zmierzcha.

— Już? — po raz kolejny mnie zaskoczył. — To w takim razie ile spałam?

— Dziesięć godzin — odpowiada, po czym wstaje z krzesła. — W takim razie życzę ci miłego pobytu na Stertilie. I nie śpiesz się z powrotem, dopóki nie spotkasz posłańca — z tymi słowami daje błyskawicznego nura do stawu.

Ciągle jeszcze jestem zszokowana tym, co stało się przed chwilą, jak również podjętą przeze mnie decyzją. Ale to prawda, że przerwa mi nie zaszkodzi. Może w końcu zaczęłam myśleć o sobie, jak radziła mi Rori...

Nagle uśmiecham się lekko. Czuję, jak wraca mi pewność siebie, bo wreszcie mogę sama o sobie decydować. Właśnie dlatego, czując, jak zaczyna buzować we mnie radość, natychmiast narzucam plecak na ramiona, biorę długi rozbieg i wskakuję w wodę na bombę.

Pod powierzchnią jest cicho i spokojnie. Tunel co prawda ciągnie się z kilkaset metrów, ale to, że potrafię oddychać pod wodą, bardzo ułatwia mi sprawę.

Kilka minut później wynurzam się i zerkam na wyspę na środku jeziora. Przycumowana jest do niej łódka, ale nie chce mi się specjalnie po nią wracać. To byłoby tylko marnowanie czasu, a zmęczyłabym się chyba jeszcze bardziej, jakbym musiała wiosłować. Z kolei przepłynięcie tych kilku kilometrów od brzegu zajmuje mi zaledwie kilkadziesiąt minut. Potem jeszcze kilka minut na zejście ze szczytu wygasłego wulkanu i już stoję na łące, gdzie kilka godzin wcześniej zostawiłam Goldiera.

Ogier podbiega do mnie niemal natychmiast

„Już jedziemy?” — aż widzę, jak bardzo pali się do wyruszenia.

— Jedziemy — kiwam głową. — Ale tym razem nie do pałacu, tylko na nadbrzeże. Muszę dostać się do ruin na wyspie Eruz.

„A po co ci?” — koń jest totalnie zaskoczony.

— Wyjeżdżam — rzucam lekkim tonem. — Wraz z Estive'em stwierdziliśmy, że na dobre mi wyjdzie, jak trochę odpocznę od tego wszystkiego.

„Zwariowałaś?!” — wydaje się być totalnie zbulwersowany. — „Chcesz wszystko rzucić i ot tak pojechać na Steltirie? Nie możesz, przecież jesteś...”

— Wiem, kim jestem — przerywam mu gwałtownie. — Nie musisz mi o tym przypominać. Co prawda nie mam jeszcze dwudziestu lat, ale udowodniłam, że jestem wystarczająco dojrzała, aby sama decydować o swoim losie, łącznie z tym, kiedy wyjeżdżam na drugi świat.

„Ja do tego kopyta nie przyłożę, na to nie licz” — Goldier najwyraźniej się obraził.

— Łaski bez — wzruszam ramionami. — Dla twojej wiadomości, jeśli chodzi o transport, zawsze o pomoc mogę poprosić smoczyce przyjaciółek.

„Dobra, już dobra” — prycha ze złością. — „Wsiadaj, jeszcze mam tyle przyzwoitości i rozsądku, żeby nie pozwolić ci latać na smokach.”

Bez słowa stosuję się do polecenia, wiedząc, że rozzłoszczonego ardyliana nie ma co jeszcze bardziej wnerwiać.

Od razu startuje swoim najszybszym biegiem, w którym osiąga nawet czterysta kilometrów na godzinę. Co prawda wyciąga tyle tylko wtedy, kiedy jest bardzo, ale to bardzo wkurzony, ale w tym przypadku nawet jest mi to na rękę. Szczerze mi zależy, aby jak najszybciej wydostać się z Arlesiie, która nagle zaczęła mi się wydawać ciasną, śmiertelnie niebezpieczną klatką...

* * *

Dziesięć godzin później Goldier zatrzymuje się tuż przed wejściem na molo. Jest tuż przed świtem, wszędzie panuje mrok. Na szczęście ja w ciemności widzę tak, jak w dzień, więc nie sprawia mi to specjalnego problemu.

Zeskakuję z konia i łąduję na lekko ugiętych nogach. Trawa jest miękka, soczysta, zamieszkała przez drobne stworzonka, żyjące tylko przy brzegu i muszę bardzo ostrożnie stawiać nogi, aby żadnego zwierzązka nie nadepnąć.

Odwracam się jeszcze, chcąc pożegnać się z ogierem, ale zauważam, że odszedł niezauważony. Widać ciągle ma mi za złe to, że chcę wyjechać i zrobić sobie od wszystkiego wolne... Trudno. Jeżeli twierdzi, że jego odejście wpłynie na mój wybór, to się myli. I to bardzo.

Niemal niezauważalnie wzdycham. Jednak mimo wszystko wolałabym rozstać się z nim w bardziej pokojowych stosunkach...

O, nie! — zatrzymuję się w pół kroku. Zapomniałam poprosić Estive'a o to, żeby zajął się Bastilem — moim ukochanym yteinem. Teraz pozostaje mi mieć tylko nadzieję, że na to wpadnie, bo mój były nauczyciel nie ma implantu, dzięki któremu mogłabym przesłać mu swoje myśli...

Cóż, teraz nie jest pora na zamartwianie się, bo jak zacznę się tak zastanawiać, to jeszcze, broń Boże, bym się rozmyśliła. Jedyne, co muszę zrobić, to po prostu przejść na molo i wsiąść do kajaka, który trzymam tam odkąd pamiętam. A właściwie odkąd odkryłam, że wyspa Eruz to moje drugie najulubieńsze miejsce na całym znanym świecie, gdzie mogę w spokoju trochę się pozastanawiać. Pierwszym oczywiście jest Seiten Gaye...

Moment później wypływam na wody zatoki. Ocean jest niesamowicie spokojny, nie ma nawet śladu wiatru. I właśnie dlatego, z racji, że nie ma żadnych

fal, muszę bardzo cicho poruszać wiosłami. W końcu nie chcę robić choćby najmniejszego hałasu, który mógłby zwrócić na mnie jakąkolwiek uwagę.

Dopłynięcie na wyspę zajmuje mi maksymalnie kwadrans.

Pierwszym, co robię, jest wciągnięcie kajaka na brzeg. Nie wiem, kiedy wrócę, ale mam nadzieję, że nie potrwa to długo. Nie jestem pewna, ile czasu zajmie Cinder spapranie wszystkiego jak leci, i jeśli patrzeć pod tym względem, to lepiej byłoby raczej zostać. Ale właśnie nauczyłam się myśleć też o sobie. Jeżeli mam być szczerą, to nawet mi się to spodobało, więc obstawiam, że trochę ciężko będzie mnie teraz odwieźć od odrobiny egoizmu.

Swoje rozmyślania przerywam, kiedy tylko wchodzę do ruin.

Od razu uderza mnie to, że kogoś tu wyczuwam. Potężną osobowość, i to tak bardzo, że wręcz przytłaczającą. W obecności innych ludzi to jest nawet nieodczuwalne, ale w pustym, ponurym pomieszczeniu wszystko jest inaczej...

— Tak myślałam, że tu przyjdiesz — Ertex wynurza się z cienia. — Lu, co się stało? Dlaczego nie przysłaś na ślub?

— Sam powinienes wiedzieć — podnoszę wzrok i patrzę mu prosto w oczy bez śladu strachu. Teraz czuję tylko, jak zamiast przerażenia, które czułam wcześniej, pojawia się zdecydowanie i wściekłość.

Chłopak przez moment dokładnie mnie lustruje spojrzeniem, próbując odgadnąć, o co mi chodzi. Sekundę później w jego wzroku widzę, że zrozumiał.

— To nie tak, jak myślisz — zaczyna mi tłumaczyć. — Kochanie, przecież ja za bardzo cię kocham, żeby coś takiego zrobić. Mi zawsze zależało tylko na tobie... — z tymi słowami przyciąga mnie do siebie i mocno przytula.

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że to, co mówi, to prawda, że to nagranie dotyczyło czegoś całkowicie innego, ale potem wracam do rzeczywistości. Otrząsam się z tego oszołomienia, w które on chce mnie wprowadzić i przypominam sobie, że przecież to jest tylko gra. Gra, która ma na celu przekonanie mnie, że wcale nie kłamie...

Gwałtownie odpycham go od siebie. I to dosłownie w ostatnim momencie; ostrze sztyletu, wymierzone od tyłu w moje serce ześlizguje się i rozcina prawą łydkę. Mój ex zatacza się na ścianę, a ja, mimo bólu, zrywam się i zaczynam uciekać po schodach na górę, bo właśnie tam jest przejście. Staram się wykorzystać każdą cenną sekundę przewagi...

Z trudem wdrapuję się na górę, znacząc drogę szerokim strumieniem krwi. Gdy na moment przystaję, mój wzrok pada na przeciwległą ścianę. Właśnie tam widzę znak lilii, umieszczany zawsze tam, gdzie są furtki do Sterilie. Muszę tylko przejść przy ścianie... gdy nagle Ertex łapie mnie za rękę i przygwaźdza mnie do muru.

— Nie myśl, że uciekniesz — mówi przez zaciśnięte zęby.

I dokładnie w tym momencie wpływ krwi doprowadza do tego, że mdleję.

Oczy same mi się zamykają... po czym otwieram je w nasłonecznionym pomieszczeniu, leżąc na bardzo wygodnym łóżku.

Podnoszę głowę i siadam. Dość długą chwilę zajmuje mi zorientowanie się, że to był tylko potworny koszmar, projekcja bolesnych wspomnień z przeszłości...

Dopiero po paru sekundach orientuję się, że obok mnie siedzi Lara i uważnie się we mnie wpatruje.

Próbuję coś powiedzieć, ale mam tak zeschnięte gardło, że wydobywa się ze mnie tylko i wyłącznie zgrzyt.

Dziewczyna błyskawicznie zrywa się, podchodzi do stolika, z którego bierze szklankę wody, następnie mi ją podaje. Wychylam ją dosłownie jednym łykiem.

— Dzięki, życie mi ratujesz — mówię chwilę potem. — Lara, gdzie ja jestem? Co się stało? — w głowie kołacze mi się jeszcze jedno pytanie, „dlaczego ja żyję?”, ale nie będę go zadawać. To by zbyt skomplikowało sytuację.

— Wytlumaczę ci wszystko za chwilę — błyskawicznie odpowiada nastolatka. — Teraz muszę zrobić jeszcze jedną rzecz na dole, ale potem przyjdę i odpowiem na każde twoje pytanie, słowo.

— To leć, nie będę cię zatrzymywać — uśmiecham się do niej promiennie. Kiedy zamyka za sobą drzwi od pokoju, oddycham z ulgą.

Czyli bilans wygląda tak — żyję, bo ktoś mnie uratował. Jakiś chłopak, i do tego zapewne znajomy. I coś mi się zdaje, że doskonale wiem, kto to był...

Lara zapewne potwierdzi moje przypuszczenia. Uśmiecham się jeszcze szerzej. Już drugi raz w przeciągu tygodnia jestem w bardzo podobnej sytuacji.

Teraz wystarczy mi tylko na nią zaczekać...

[1] Cześć (arlein)

[2] tesil (arlein) — główna odnoga rzeki

[3] ruse (arlein) — rzeka; ruse Triltie (arlein) — rzeka szmerów, główna rzeka w Arlesiie.

Rozdział XII

Kilkanaście minut później drzwi otwierają się ponownie i pojawia się moja przyjaciółka. Od razu, w progu się zatrzymuje i wpatruje się we mnie z lekkim zaskoczeniem.

— No co? — zerkam na nią i wzruszam ramionami. — To ja nawet przebrać się nie mogę? Nie martw się, przecież nie jestem obłożnie chora. A przynajmniej już nie jestem...

— Ale powinnaś leżeć, wypoczywać... — dziewczyna wygląda na zaniepokojoną. — Przecież dopiero kilka godzin wcześniej dostałaś lekarstwo, to nie działa tak szybko...

— Widać w moim przypadku działa — wzruszam ramionami z uśmiechem. — No, to teraz musisz mi wszystko wyjaśnić. Najlepiej od samutkiego początku.

— Wiesz co, to może w takim razie pozwól ze mną na dół... — lekko się krzywi. — Tak się składa, że jestem w trakcie robienia czegoś w kuchni i tak trochę mi nie wychodzi...

— Ty? W kuchni? — tym razem to ja jestem totalnie zdziwiona. — Przecież ty nie potrafisz gotować!

— Wiem — dziewczyna krzywi się jeszcze bardziej. — Ale on tak grzecznie prosił, że nie mogłam odmówić. Z resztą, jest tak uroczy, że po prostu...

— On? — zerkam na nią kątem oka i widzę, że się lekko rumieni. — Coś mi się widzi, że ktoś się zadurzył...

— Nie, to nieprawda — Lara czerwieni się jeszcze bardziej, przecząc swoim słowom. — Dobra, Dion, chodź, pomożesz mi.

— Podobno jestem chora i powinnam leżeć, wypoczywać... — patrzę na nią z przekorą w oczach.

— Skoro już wstałaś, to najwyraźniej nie potrzebujesz wypoczynku — orientuje się, że zapędziłam ją w kozi róg przez jej własne słowa i teraz próbuje wybrnąć. — Dobra, nie czepiaj się już słówek i pomóż mi, może uda ci się uratować cokolwiek...

Uśmiecham się lekko i jako pierwsza wychodzę na korytarz... prosto w sine kłęby dymu.

Wymieniamy ze sobą przerażone spojrzenia i błyskawicznie zbiegamy ze schodów.

Na samym dole, w kuchni, dymu jest tyle, że nic nie widać. Po omacku docieram do szafek.

— Gdzie jest piekarnik?! — wołam do przyjaciółki, równocześnie krztusząc się oparami.

— Nie wiem — odpowiada i zaczyna potwornie kaszleć.

No i super, teraz muszę się namyśleć, gdzie też to draństwo może być... Cofam się z powrotem do wejścia. I gdybym tylko wiedziała, w jakim z miast jestem, to na pewno udałoby mi się znaleźć ten piekarnik, bo każde miasto ma inny typ tradycyjnych domów, gdzie cała elektronika ustawiona jest tak samo. A coś mi się zdaje, że jestem właśnie w takowej tradycyjnej zabudowie...

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — rzucam do nastolatki obok (chyba obok, bo teraz nic nie widzę przez ten dym). — W jakim mieście?

— Nie wiem... — kaszle jeszcze bardziej.

— Lara, skup się! — krzyczę do niej. — Nie chcesz przecież, żeby zhajcował się cały dom, co nie?

— Chyba Listeshire, czy coś w tym rodzaju... — mówi niepewnie po chwili namysłu.

Tyle wystarczy. W Listeshire piekarniki zazwyczaj są po lewej stronie od wejścia do kuchni, w kącie, centralnie naprzeciwko okien...

Rzucam się do miejsca, w którym według tego planu jest piekarnik. Na szczęście trafiam w dziesiątkę. I kiedy otwieram drzwiczki, dym bucha z przerażającą siłą. Tylko jak wydobyć to coś bez poparzenia?

No cóż, czasami trzeba się poświęcić dla dobra innych, więc po sekundzie namysłu chwytam blachę gołymi rękami. Parzy potwornie, ale nie puszczam, dopóki nie wrzucam jej do zlewu i nie odkręcam kranu, by ugasić płonące coś (nie wykluczam, że to były ciastka, albo jakaś pieczeń). Przy okazji ochładzam sobie też piekącą skórę. Co prawda wiele to nie pomaga, ale przynosi chociaż odrobinę ulgi. Całe szczęście, że mi ogień wcale tak jakoś specjalnie nie szkodzi, choć gdybym weszła w płomienie, na pewno bym się spaliła... Ale tak to przynajmniej poboli i przestanie, bez żadnych śladów...

— Otwórz okna — polecam przyjaciółce, zanosząc się kaszlem. O nie, nie po to wygrałam z chorobą, żeby udusić się przez przypalone danie dziewczyny.

Od razu spełnia moje polecenie.

Do środka wpada świeże powietrze, robi się trochę jaśniej, a ja mogę wreszcie odetchnąć, równocześnie błagając w myślach, żeby tylko nikt nie wpadł do domu z powodu dymu. Wtedy to ja byłabym spalona na starcie.

Kilka chwil później jest już pewne, że nikt nie przyjdzie. Dopiero wtedy się rozluźniam, a że w kuchni całkowicie się już przewietrzyło, zamykam okna.

Wymieniamy z przyjaciółką znaczące spojrzenia, po czym wybuchamy śmiechem.

— Coś jak deja vu, nie? — Lara uśmiecha się szeroko.

— Oj, tak — przytakuję równie radosnym tonem.

No cóż, już raz miałyśmy bardzo, ale to bardzo podobną sytuację. To zdarzyło się w pierwszym tygodniu naszego wspólnego mieszkania, tuż po tym,

jak poznałyśmy się w Ammanie i przyleciałyśmy do Stanów. Ci ludzie, którzy się mną zaopiekowali, postanowili dać mi wolną rękę w kwestii mieszkania, edukacji i rządzenia domowym budżetem. Postawili tylko jeden warunek: musiałam z kimś zamieszkać. Trafiła mi się Lara; dziewczyna, która po rozwodzie rodziców musiała samodzielnie znosić wiecznie pijaną matkę i w końcu uciekła z domu. Ale w każdym razie znalazłam bardzo fajny, niewielki domek, na który było mnie stać (w końcu na złotej karcie od rodziców miałam ze dwieście tysięcy, więc potem jeszcze mi trochę zostało) i którego nawet nie trzeba było remontować, i w pierwszym tygodniu Lara postanowiła coś nam ugotować.

Zabrała się do wszystkiego z ogromnym zapałem, dokładnie przygotowała składniki... Wszystko wyglądało mega profesjonalnie. Wtedy właśnie stwierdziłam, że muszę coś znaleźć wśród rzeczy, które ostatnio kupiłam i polecałam na górę.

Pół godziny później moja przyjaciółka wpadła do mnie do sypialni, ciągnąc ze sobą tumany dymu. A kiedy wyciągnęłam z niej informację, że za każdym razem, kiedy dotyka się do kuchni, stwarza bardzo poważne zagrożenie pożarowe, ustaliśmy, że albo to ja gotuję, albo wychodzimy gdzieś na miasto.

— A co to miało być? — pytam, patrząc na przyjaciółkę.

— Nawet nie pytaj — wzdycha, ale uśmiech nadal nie schodzi z jej twarzy. — Próbowałam upiec jakąś pieczeń z tej książki — wskazuje na stół — ale totalnie mi nie wyszło. I co ja teraz mam zrobić?

— Ja wiem — uspokajająco kładę jej dłoń na ramię. — Ty sobie usiądź, a ja na szybko cosik upichcę. I jeszcze w międzyczasie opowiesz mi, co tam się działo, odkąd zemdlalam.

— Możesz mi wierzyć, że na serio sporo — Lara lekko się rumieni. — Weź, jak upadłaś, to byłam totalnie przerażona, myślałam, że już nie żyjesz! I wtedy nadbiegł ON, taki skończony przystojniak... — rozmarza się.

— Lara... — zerkam na nią znacząco, przerywając na chwilę buszowanie w lodówce naszego gospodarza.

— Wiem, już się ogarniam — kiwa głową. — Ale żebyś ty go widziała, jest taki piękny...

— Lara! — tym razem nie ograniczam się do delikatnej sugestii wzrokowej, tylko odwracam się do niej i krzyżuję ramiona.

— Dobra, już mówię — zgadza się niechętnie. — W każdym razie, jak już nadbiegł, to od razu zorientował się, w czym rzecz. Natychmiast wziął cię na ręce i nawet nie pytał, czy zmierzamy do Arlesii, tylko nacisnął na jakiś obrazek na skale — domyślam się, że mówi o lilii, którą próbowałam znaleźć — i wyobraź sobie, że ta skała się rozsunała, ogarniasz to?

— Ogarniam — kiwam głową. — Jak chcesz wiedzieć, to tak samo by się zrobiło, jak bym zdążyła znaleźć ten przycisk otwierający przejście, zanim

zemdlałam.

— Serio? — chyba właśnie zepchnęłam Bastiana (bo coś mi się zdaje, że to właśnie jemu zawdzięczam życie, choć oczywiście mogę się mylić) z roli cudotwórcy, do jakiej urósł w oczach mojej przyjaciółki, tak mi się przynajmniej zdaje, jak patrzę na jej rozczarowanie.

— Serio, serio — uśmiecham się lekko, po czym z powrotem odwracam się do blatu kuchennego i zaczynam siekać orzechy. — Nawet ty, jakbyś wiedziała dokładnie, co gdzie trzeba nacisnąć. No, ale opowiadaj, co się działo potem.

— Potem to nic szczególnego — przyjaciółka macha ręką. — Przeszliśmy przez jakiś tunel, potem znaleźliśmy się na szczycie jakiejś wieży, następnie zeszliśmy na dół, weszliśmy do łodzi... A wiesz, że on od razu wiedział, na co jesteś chora?

— Każdy Arleyanin wie, jak rozpoznać tasylirozę — wzruszam ramionami. — A tym bardziej w ostatnim stadium. I potem wydarzyło się coś godnego uwagi?

— Nic — Lara uśmiecha się lekko i jestem pewna, że myślami jest gdzieś daleko. Najpewniej przy tym „tajemniczym” chłopaku, który mnie uratował...

I nagle marszczy czoło i patrzy na mnie tak ostrym spojrzeniem, wręcz przesyconym zazdrością, że aż się wzdrygam.

Natomiast ja oczywiście cały czas udaję, że nic nie zauważam, bo widzę to tylko dzięki nożu, w którym wszystko odbija się jak w lustrze...

— A tak się spytam, gdzie jest ten chłopak, w którym się zakochałaś? — pytam, starając się stonować ilość zainteresowania w głosie.

— Poszedł na miasto coś załatwić — mówi obojętnie i teraz rozumiem, że nie dam rady niczego więcej z niej wyciągnąć.

— Aha — na chwilę zapada cisza, a ja zastanawiam się, co teraz mogę powiedzieć.

— Dion, a pamiętasz tego przystojniaka, z którym kręciłaś w dzień wyjazdu? — moment później wyręcza mnie przyjaciółka. — Miałaś mi o nim opowiedzieć!

— Dziewczyno, ty już się tyle historii z mojego życia nasłuchałaś, że wiesz chyba o mnie już wszystko — na moment odwracam się i obdarzam ją uśmiechem, udając, że nie zauważam zmarszczonego czoła i pochmurnej miny. — Pozwól mi zachować choć trochę historii dla siebie.

— No ale ty wiesz wszystko o jakichkolwiek moich zauroczeniach, chłopakach, którzy mi się podobali, a potem złamali mi serce... A ja o tobie pod tym względem nie wiem nic — rozkłada ręce, chcąc pokazać swoją bezradność.

— Nie prawda — natychmiast zaprzeczam. — Powiedziałam ci przecież o Ertexie, to mało?

— A ile o nim wiem? — ona również odpowiada błyskawicznie. — Poza

tym, że był nieziemsko przystojny, zakochałaś się w nim do bólu, a on potem cię zdradził, bo chciał się z tobą ożenić tylko i wyłącznie dla zysku?

— On mnie nie zdradził — mówię po chwili milczenia. — Chciał zrobić coś o wiele gorszego.

— W takim razie może powiesz mi, co? — przyjaciółka niecierpliwie draży dalej.

Kręcę głową przecząco. Wspomnienia są jeszcze zbyt silne, zbyt świeże, abym mogła komuś bez sprawiania sobie bólu o nich opowiedzieć. Tym bardziej, że ponownie przeżyłam to wszystko we śnie, z którego dopiero co się obudziłam...

Znowu zapada cisza. Lara wydaje mi się być lekko obrażona, że nie dostała czegoś, co w jej wyobrażeniu jej się należało, ale trudno. Przywykłam już do tego, że czasami zachowuje się jak rozkapryszona pięciolatka.

— Słuchaj, nie chciałabyś przez przypadek też się przejść? — mówię jakiś czas później, delikatnie sugerując jej, że chcę zostać sama. — Bo chciałabym znowu sobie włosy farbnąć na platynę, a za bardzo mi się teraz nie uśmiecha wychodzić, sama widzisz, jestem totalnie zarobiona.

— No spoko — przyjaciółka natychmiast zrywa się z krzesła, widać idealnie pojęła moją sugestię. Być może też uznała, że zrobiło się trochę niezręcznie...

— To słuchaj, tu masz kasę — na sekundę odkładam nóż i wyciągam z kieszeni ze dwa banknoty w tutejszej walucie. — Dogadać na pewno się dogadasz, bo po angielsku też tutaj wszyscy rozumieją, z tego, co wiem. Firma jest jedna, więc nie martw się, że weźmiesz złą. Tylko koniecznie poproś, żeby to była ta super wodoodporna, nie pozwalająca na odrosty, rozumiesz?

— Jasne, rozumiem — Lara kiwa głową. — Mam wziąć ci super wodoodporną, nie pozwalającą na odrosty, platynową farbę.

— Dokładnie — uśmiecham się do niej lekko. — Za resztę, jak będziesz chciała, oczywiście, kup sobie coś, co ci się spodoba.

— Dzięki, kochana jesteś — podchodzi do mnie i mnie przytula, po czym błyskawicznie wybiega z domu.

Kręcę głową z uśmiechem, po czym wracam do swojego zajęcia. No cóż, ja chyba nigdy nie będę w stanie jej zrozumieć... Ale teraz przynajmniej zostałam sama na trochę, mogę się odprężyć i... wrócić do swojej prawdziwej postaci. Jednak ciągle mam zahamowania przed robieniem tego przy przyjaciółce.

Dosłownie kilka sekund później drzwi wejściowe trzaskają ponownie.

Jestem niemal stuprocentowo pewna, że to nastolatka przypomniała sobie, że zapomniała o coś dopytać i zawróciła w połowie drogi. I jak wielkie jest moje zdziwienie, gdy odwracam się, i staję twarzą w twarz z... Bastianem!

Rozdział XIII

Przez moment oboje stoimy w milczeniu, potem Bastian uśmiecha się szeroko.

— Wiedziałem, że wyzdrowiejesz — stwierdza.

— Ja zwątpiłam w to na chwilę, kiedy byłam w trakcie mdlenia przy przejściu — patrzę na niego z radością w oczach.

— Jeśli mam być szczery, to z tym się zgodzę — chłopak kiwa głową, po czym przeczesuje sobie grzywkę palcami. — I chyba wcale nie przesadzę, jak powiem, że zawdzięczasz mi życie.

— Faktycznie, wcale nie przesadzisz — opieram rękę na biodrze. — A zatem czy jest jakaś możliwość, abym mogła ci się za to odwdziaczyć?

— Coś się znajdzie — mruga do mnie porozumiewawczo. — Tylko daj mi trochę czasu do namysłu. A tak nawiasem mówiąc, to o wiele bardziej pasujesz do Arlesii, niż do Stertilie[1] — dodaje po chwili dokładnego lustrowania mnie wzrokiem.

O dziwo wcale nie jestem tym skrzępowana, choć gdyby zrobił to ktoś inny, na przykład mój ex, zapewne zastanawiałabym się, co mam zrobić, żeby jak najszybciej przestał...

— Tak myślisz? — uśmiecham się do niego zalotnie, poprawiając moje lekko przyklapnięte, wilcze ucho.

— Tak właśnie myślę — podchodzi do mnie i patrzy mi prosto w oczy. — A że się tak się spytam, to co tam pichcisz?

— Co? — odwracam się do kuchenki i właśnie ten moment wybierają orzechy, które wrzuciłam na patelnię, by je przyrumienić, żeby zająć się żywym ogniem. — O, choroba jasna! — biorę szklanekę wody i gaszę płomień. — Co się śmiejesz? — zerkam kątem oka na Bastiana, który zanosi się śmiechem.

— Pięknie wyglądasz, jak się złościsz — stwierdza w przerwie na oddech.

— I znowu słodzisz mi, bo chcesz poprawić mi humor? — patrzę na niego z lekkim uśmiechem. — Hej, ja wcale się nie złoścę! — szturcham go lekko.

— Wiem — posyła mi bardzo szeroki uśmiech. — Ale lubię poprawiać ci humor. Choć to, że pięknie wyglądasz w każdej sytuacji, to akurat prawda — dodaje z poważną miną.

— Skoro tak uważasz — wyrzucam zawartość patelni do kosza pod zlewem. — No i teraz muszę zrobić to od nowa...

— Pomóc? — chłopak od razu zrzuca z siebie sportową marynarkę i zakasuje rękawy koszuli.

— Jeśli chcesz... to czemu nie — kiwam głową. — Jakbyś mógł pokroić banany, a ja zabiorę się za te orzechy, bo trochę ugodziły mi w ego.

— Czasem trzeba schować ego do kieszeni — Bastian stwierdza filozoficznie, po czym zerka na składniki, które wyłożyłam na blacie. — Niech zgadnę, zabrałaś się za tradycyjną sałatkę?

— Szybka, prosta i smaczna — kiwam głową. — Tylko czy Larze podpasuje... — na moment przestaję siekać orzechy.

— Musi poprobować miejscowej kultury — chłopak wzrusza ramionami. — Lara to ta twoja przyjaciółka, prawda?

— Tak — przytakuję.

— Jest taka... taka trochę dziecinna — przyznaje mój wybawca. — I coś mi się zdaje, że chyba jej się spodobałem.

— A skąd wiesz? — zerkam na niego z lekkim uśmiechem. Kontekst (przynajmniej według mnie) jest oczywisty: „Masz się za takiego, który może przewrócić każdej dziewczynie w głowie?”

— Nie, nie mam — uśmiecha się szelmowsko, a ja natychmiast się czerwienię. Widać przez przypadek włączyłam przepływ myśli. Wcześniej i tak zdarzało mi się to dość często, a teraz, kiedy przez dwa lata nie miałam okazji tego używać, przypuszczam, że będzie zdarzało mi się to o wiele, wiele częściej. — Ale potrafię rozpoznać, kiedy ktoś się do mnie klei i robi maślane oczy, żebym tylko zwrócił na tego kogoś uwagę — wyjaśnia.

— Rozumiem — mówię, równocześnie starając się na niego nie patrzeć. Trochę głupio mi w związku z tym, co pomyślałam wcześniej.

— Słuchaj, nie musisz się przejmować — Bastian kładzie mi swoją dłoń na mojej, przez co przerywam siekanie tych nieszczęsnych orzechów (nawiasem mówiąc, to już chyba najwyższy czas, w końcu zrobiły się tak drobne, że nie wiem, czy znowu mi się nie spalą). — Wbrew pozorom wcale nie jestem taki przewrażliwiony na swoim punkcie, jak można by stwierdzić po moim wyglądzie.

Podnoszę wzrok i patrzę na niego dziwnie. Czy to możliwe, żeby...

— No coś ty! — zaczyna się śmiać. — Moi rodzice nie fundnęli mi umiejętności czytania w myślach. Tylko po prostu z twojej twarzy da się wszystko tak idealnie odgadnąć, zupełnie, jakby się miało przed sobą otwartą książkę.

— To dobrze — oddycham z udawaną ulgą. — Jeszcze byś odkrył, że mi się pod... — gryzę się w język i czerwienię się jeszcze bardziej.

— To teraz powiem ci coś w sekrecie — nachyla się do mnie. — Wybacz, że znam twoje tak głębokie uczucia, ale wiem, że ci się spodobałem, odkąd tylko się poznaliśmy.

— A skąd mogę wiedzieć, że nie mówisz tak tylko dlatego, żeby mnie podpuścić? — patrzę na niego podejrzliwie.

— Po pierwsze dlatego, że przed chwilą prawie się wygadałaś — wzrusza ramionami, po czym zgarnia pokrojone banany i wrzuca je do miski. — A po drugie, nie zapominaj, jak cudowny prezent sprawili ci rodzice. Na pewno przez te

pasemka było im łatwiej rozpoznać, co czuje ich malutka córeczka, jak jeszcze nie potrafiła gadać — zauważa, chwytając jedno takie pasemko w trakcie przemiany koloru na żółty (dla nie uświadomionych w temacie — żółty = zakłopotanie).

— Nie powiem, że jestem z tego powodu szczęśliwa — zabieram ten kosmyk i zakładam go sobie za ucho. — Czasami wolałabym swoje uczucia ukryć. Chociaż, przez ten czas, kiedy mieszkałam w drugim świecie, nikt nie wiedział, co te kolory znaczą. To raczej bardziej intrygowało ludzi, niż sprawiało mi kłopoty.

— A tu miałaś z tym kłopoty? — chłopak wygląda na dość zaintrygowanego.

— No cóż... Tak szczerze, to wtedy było dla mnie całkowicie normalne — mówię po momencie namysłu. — Ale teraz, jak przywykłam do tego, że mimo tego „genialnego” — przy tych słowach robię w powietrzu cudzysłów — podarunku mogę ukrywać swoje uczucia, może mi być z tym trochę ciężko.

— No faktycznie, może — przytakuje po chwili zastanowienia. — Ale ludzie rozumieją, jeśli będziesz mówić, że ostatnie lata spędziłaś na Stertilie i nie przywykłaś do...

— Stop, stop — podnoszę dłoń na znak, żeby przestał mówić. — Przecież mało kto wie o Stertilie, jak o tym powiem, to uznają mnie za jakąś totalną wariatkę.

— A, no przecież — Bastian uśmiecha się lekko, po czym odkłada nóż, którym właśnie siekał mięso. — To długo czasu musiałaś spędzić w drugim wymiarze, skoro nie wiesz to takich, właściwie fundamentalnych sprawach.

— No cóż, mieszkałam tam niecałe dwa lata, przez które nie miałam żadnego kontaktu z Arlesii. Nie powinieneś się więc dziwić, że nie wiem o takich, jak to określiłeś, fundamentalnych sprawach — wzruszam ramionami.

— Faktycznie, powinienem wziąć to pod uwagę — kiwa głową. — Jestem w końcu pierwszą osobą z Vastertilie, która może dostarczyć ci jakichkolwiek informacji. No, ale w takim razie, to mam ci dość sporo do opowiedzenia. Tak się tylko spytam, wyjechałaś jeszcze przed zniknięciem poprzedniczki królowej Cinderly, czy już po?

— Chwilę po — pilnuję się, żeby nie użyć imienia zaginionej królowej. W mojej ojczyźnie jest taka tradycja, aby przez dwa lata po śmierci nie mówić o danej osobie imiennie. Nie mam pojęcia, skąd to wynika, ale tradycja to tradycja, wypada się jej trzymać... — Tak mniej więcej tego samego dnia, w którym nie pojawiła się na ślubie.

— To na serio chwilę po, w takim razie mam ci trochę do opowiedzenia — Bastian odkłada to, co zaczął przed chwilę robić. — Siądziemy i dowiesz się tego, co będziesz chciała. I przestań wreszcie siekać te orzechy, bo już masz z nich mąkę — stwierdza po zerknięciu na moją deskę do krojenia, po czym podchodzi do stołu.

Zerkam w dół. Faktycznie, zamiast drobnych kawałków, jakie powinny znaleźć się w sałatce, mam coś w rodzaju mąki.

— No, pięknie — mruczę pod nosem. — Coś te orzechy dzisiaj mi nie leżą — stwierdzam ze złością.

— Dopiero co doszłaś do siebie po ciężkiej chorobie — chłopak uśmiecha się do mnie. — Nie dziw się, że może ci coś nie wychodzić.

— Ale te orzechy godzą... — urywam, przypominając sobie jego słowa sprzed kilkunastu minut. — Dobra, zrobię je później, a teraz słucham, opowiadaj — odchodzę od blatu i siadam na krześle.

— A uwierz mi, jest co — przytakuje, po czym zajmuje miejsce naprzeciw mnie. — To skoro wyjechałaś w dniu zaginięcia królowej, musiałaś słyszeć, jak bardzo rozpacział jej narzeczony.

— Coś tam słyszałam — przytakuję. — Ale powiem ci szczerze, że ten koleś nie wzbudza we mnie specjalnej sympatii.

— W tym się z tobą zgodzę — Bastian kiwa głową. — Odkąd zobaczyłem go po raz pierwszy, wiedziałem, że jest bardzo, ale to bardzo podejrzany. No, ale nie mówimy tu o moich prywatnych odczuciach. Wiadomo, że królową została jej najbliższa krewna, w tym wypadku jej kuzynka. I wtedy się zaczęło. Kojarzysz mniej więcej, jaka jest ta dziewczyna?

— Kojarzę i to nawet bardzo dokładnie — wzdycham ciężko. — Nic mi nawet nie musisz mówić.

— To w takim razie potrafisz sobie chyba wyobrazić, do czego jest zdolna — zerka na mnie pytająco, więc kiwam głową na tak. — I pierwszego dnia po koronacji, to jest tydzień po zaginięciu swojej poprzedniczki, już narobiła sobie problemów. Otóż na pierwszej konferencji prasowej oznajmiła, że rodzice zaginionej królowej wcale nie zginęli w pożarze, tylko na drugim świecie.

— O matko... — ukrywam świat w dłoniach. — Było źle czy jeszcze gorzej?

— Powiem ci, że mogłabyś się nawet zdziwić — chłopak uśmiecha się lekko. — Oczywiście, wiadomo, było trochę poruszenia, ale wszyscy zaakceptowali tę wiadomość bez żadnego problemu. I nie uwierzysz, ale to nawet postawiło kolejny plusik na koncie poprzedniej królowej. Uznali, że chciała ich chronić przed paniką. No cóż, dziewczyna na serio potrafiła zjednać sobie ludzi.

— Widać miała niezłą charyzmę — stwierdzam, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie. Na szczęście tym razem moje pasemka zrozumiały mój zamiar i pozostały czarne, czyli całkowicie neutralne. — A ty wiesz, jak ona w ogóle wyglądała?

— Nie miałem przyjemności — Bastian kręci głową. — Przed jej zaginięciem większość czasu spędzałem na tamtym świecie, bo, jakby to powiedzieć... — urywa na chwilę. — Nie miałem rodziców. Porzucili mnie, jak

miałem pół roku. Znalazł mnie ktoś tu, w tym mieście, wychował... Jakoś specjalnie nie miałem problemu z zaakceptowaniem tego faktu. No, ale w każdym razie sporo czasu spędzałem na podróżowaniu, szczególnie jak już skończyłem szkołę, i to nie tylko po Arlesii, ale też po Stertilie, i jakoś nie miałem okazji zobaczyć żadnego zdjęcia poprzedniej królowej. A po jej zaginięciu... Sama wiesz, jak to bywa w takich sytuacjach.

— Wiem, doskonale o tym wiem — kiwam głową.

— Zaraz, ale ty jesteś lumią — chłopak unosi głowę i patrzy na mnie. — Ona też była, więc powinnaś ją znać, i to nawet dobrze. W końcu wszystkie trzymacie się razem...

— Znałam ją — kiwam głową. — Byłyśmy w takim samym wieku, więc na zjazdach też byłyśmy razem. Bardzo sympatyczna osóbką. Nie zasłużyła na to, co ją spotkało... — gryzę się w język, ale wiem, że powiedziałam trochę za dużo.

— Faktycznie, przejście władzy w takim wieku jest bardzo przytłaczającą perspektywą — na szczęście on miał swoją interpretację tego zdania. Nie zamierzam wyprowadzać go z błędu. — Ale ciekawe, co naprawdę się z nią stało...

— To jest taka zagadka, która zapewne nigdy nie zostanie rozwiązana — wzruszam ramionami. — Powiem ci szczerze, że mnie trochę zaskoczyłeś. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek dojdzie do tego, że wiedza o Stertilie będzie powszechna. I dobrze. Tęskniłabym za piosenkami stamtąd.

— Tego też mi zawsze brakowało, jak wracałem tutaj. A teraz... — rozmarza się. — Teraz to dosłownie mamy raj.

— Oj tak — podnoszę się z krzesła. — Chyba muszę już zabrać się za tą sałatkę — zerkam w kierunku blatu — i wygrać w końcu z tymi orzechami.

— Nie poddajesz się — Bastian patrzy na mnie z uznaniem. — Niezła jesteś. Większość moich znajomych dawno temu dała sobie święty spokój.

— Taka po prostu już jestem — wzruszam ramionami. — Jak się za coś zabiorę, to nie przestanę, dopóki nie uzyskam takiego efektu, o jakim marzę.

— To w takim razie mam dla ciebie propozycję — wstaje i podchodzi do mnie tak, że lekko muszę zadrzeć głowę (jest dość wysoki), bo prawie się stykamy. — Uznajmy, że efekt, jaki chciałaś osiągnąć, to posiekanie orzechów na drobne kawałki, bo taka odmiana sałatki też gdzieś występuje, z tego, co wiem...

— A czemu tak ci zależy na tym, żebym dała sobie z tym spokój? — patrzę na niego z filuternym uśmiechem, choć mam wrażenie, że znam odpowiedź.

— Dopiero co wstałaś po chorobie, więc nie dziw się specjalnie, że nie chcę, żebyś się zamęczyła — uśmiecha się do mnie czarująco. — Tym bardziej, że...

— Poczekaj chwilę — podnoszę palec do góry. — W tej kwestii chciałabym coś ci powiedzieć — dodaję, widząc, na jakie tematy schodzi nasza rozmowa.

— Tak? — chłopak uśmiecha się do mnie szeroko, ale widzę, że chce tym zatuszować pewną niepewność. — Niech zgadnę, chodzi o to, że tak naprawdę

jeszcze z nim nie zerwałaś? — patrzy na mnie z lekko zaniepokojonym błyskiem w oczach.

— Nie, to nie o to chodzi — kręcę głową. Mój uśmiech znika jak zdmuchnięty, a w oczach pojawiają się łzy. — On... On po prostu bardzo mnie zranił. Nie potrafię teraz o tym mówić, i coś mi się zdaje, że jeszcze trochę czasu musi minąć, zanim będę gotowa komuś zaufać na tyle, by dopuścić go do siebie na tyle blisko, żeby stworzyć jakikolwiek związek.

— No spoko, rozumiem — kiwa głową i nawet nie wydaje się być specjalnie zawiedziony. — Przynajmniej nie zamknęłaś mi drogi na przyszłość.

— Nie zamknęłam — przytakuję — I nie wykluczam, że gdzieś ta przyszłość będzie, a na razie proszę o przyjaźń, może być?

— Jak najbardziej — uśmiecha się do mnie i mnie przytula. Tak po przyjacielsku, po prostu. — Ale chciałbym nadmienić, że ja na poważnie liczę na jakąś wspólną przyszłość — szepcze mi do ucha, po czym się odsuwa. — Muszę wziąć jeszcze coś z pokoju — oznajmia, po czym znika w sąsiednim pomieszczeniu.

Ledwo zauważalnie oddycham z ulgą. Czyli teraz nie muszę się martwić, że jak przyjdzie co do czego, zranię mojego wybawcę. Tak, przyznaje, naprawdę mi się spodobał i ja też mam nadzieję na wspólną przyszłość, tylko trochę boję się, że po tym, co dwa lata temu próbował zrobić Ertex, nie będę w stanie zaufać komukolwiek spośród przedstawicieli płci męskiej. A jak to będzie w rzeczywistości, to się okaże...

Zerkam na blat i wzdycham ciężko. Dzisiaj wyjątkowo nic mi nie idzie, nawet w kuchni, gdzie zazwyczaj radzę sobie świetnie. Może Bastian faktycznie miał rację i to wszystko przez tą chorobę? Miałam prawdziwego farta, że w tak zaawansowanym stadium udało mi się wyzdrowieć.

Dobra, jednak dam sobie z tym spokój. Biorę deskę z orzechami (rezygnuję z przyrumienienia ich na patelni), wrzucam je do miski, dodaję resztę składników, dokładnie mieszam i wkładam do lodówki.

Właśnie ten moment wybiera Lara, żeby, oznajmiając to trzaśnięciem drzwi wejściowych, wparować do domu.

— Już jestem — oświadcza na cały głos.

— Nie zauważyłam — mruczę pod nosem, po czym dodaję głośniejszym głosem. — I jak, udały ci się zakupy?

— No a jak — wyciąga z torebki (najwyraźniej ją wzięła dla siebie) tubkę z kremem koloryzującym i mi ja podaje. — Proszę. A za resztę kupiłam sobie takie coś — podnosi do góry torebkę (czyli zgadłam). — Ładna?

— Śliczna — kiwam głową, równocześnie ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się pojemniczce. — A opakowanie?

— Nie mogłam się powstrzymać i odpakowałam — dziewczyna wzrusza

ramionami. — Byłam strasznie ciekawa, jak to wygląda w środku. A potem pudełeczko gdzieś mi po drodze wypadło... Nie gniewasz się?

— Nie, no coś ty, tak się tylko pytam — podnoszę ręce w uspokajającym geście. — Nic się przecież nie stało. To ja w takim razie lecę, im szybciej to zrobię, tym szybciej będziemy mogli ustalić, co dalej.

Moja przyjaciółka kiwa głową i ma zamiar wejść do salonu. Robi to dosłownie w tym samym momencie, w którym wychodzi z niego Bastian i niemalże się ze sobą zderzają.

Na nim jej pojawienie się nie robi żadnego wrażenia. Z kolei ona błyskawicznie odskakuje do tyłu, rumieni się i przez moment nie może złapać oddechu.

„A nie mówiłem? — chłopak włącza przesył myśli pomiędzy nami. — Przecież od razu widać, że się we mnie zabujała.”

„Mówiłeś, mówiłeś — przytakuje. — Jakby co to ja teraz się rozłączam, bo chciałabym sobie włosy przefarbować i trochę skupienia tylko na tym by się mi przydało” — komunikuję, wchodząc na górę po schodach.

„Lara przyniosła ci tą farbę? — z racji, że oprócz myśli implanty potrafią przesyłać również uczucia, czuję niepokój Bastiana i jego wzmożoną czujność. — To ja radziłbym ci poważnie się zastanowić, czy chcesz tej tubki użyć.”

„Raz się żyje” — stwierdzam, po czym wyłączam przekaz. No cóż, w moim przypadku to tak nie do końca prawda. Jeżeli brać pod uwagę to, co pamiętam tuż przed wyjechaniem z Arlesiie, to teraz powinnam już nie żyć, więc...

Stop! Zatrzymuję się raptownie w myślach. Nie mam najmniejszego zamiaru psuć sobie nastroju, a tak się dzieje prawie zawsze, gdy zapędzam się w te rejony wspomnień.

Nie, już dość myślenia. Lepiej, jak po prostu zabiorę się za farbowanie włosów.

[1] Stertilie (arlein) — arleyańska nazwa na świat, skąd na Arlesiie przybyli ludzie. Z kolei ten, na którym znajduje się ojczyzna głównej bohaterki, w arlein nazywa się Vastertilie.

Rozdział XIV

— Lara! — wybiegam z łazienki z furią w oczach. Moje pasemka są teraz koloru czerwonego, co oznacza potworną wściekłość. A teraz czuję się tak, jakbym chciała dziewczynę udusić.

— Co się sta... — nastolatka urywa, gdy wpadam na nią w korytarzu. I pierwsze, co zauważa, to moją minę, o dziwo nie to, co znajduje się nad moją twarzą. Sekundę później staje za nią Bastian. Zerka na mnie i... wybucha śmiechem. Chyba połączenie mojej fryzury i wściekłości przedstawia komiczny widok. Ale w tym momencie jestem zbyt wkurzona, żeby śmiać się razem z nim. A przynajmniej na razie.

— Ostrzegałem — wydusza w przerwie na oddech, po czym opiera się o ścianę, żeby nie upaść ze śmiechu. — Mówiłem, żebyś poważnie zastanowiła się nad użyciem tej farby... — na więcej słów nie starcza mu oddechu.

Dopiero wtedy moja przyjaciółka łapie, za co jestem na nią taka zła. Próbuje się pohamować, ale dość kiepsko jej to wychodzi...

Moment później nie może już ustać i osuwa się na podłogę, cały czas się śmiejąc.

Przez moment stoję gapiąc się na nich, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem oni nie pojmują mojej tragedii! Przecież... Przecież to jest katastrofa!

Czuję, jak łzy zaczynają mi płynąć po policzkach i... kilka sekund później śmieję się najbardziej z nas wszystkich.

— Ale jakim... cudem nie... odróżniłaś platyny... od totalnie... jaskrawego różu? — pytam, chichrając się co drugie słowo. — Przecież na... pudełku wyraźnie... widać kolor... farby!

— Tak? — tak bardzo zdziwionej Lary nie widziałam jeszcze nigdy. — To ja myślałam, że kolor opakowania oznacza kolor firmy! Bo zobacz, u nas, to jak na przykład L'Oreal na farbie zawsze ma różowy, to myślałam, że...

— Przede wszystkim, nie jesteśmy u was — Bastian próbuje spoważnieć, ale trochę średnio mi to wychodzi. No, przynajmniej dużo lepiej niż na przykład mi; mina przyjaciółki totalnie mnie rozwaliła. — A po drugie, nie wpadłaś na to, że jak czegoś się nie wie, to trzeba się kogoś o to zapytać?

— Ale ja wiedziałam... — nastolatka wygląda po prostu żałośnie. I chociaż to jest wredne, nie możemy się powstrzymać przed wybuchnięciem śmiechem.

— Dobra, starczy — wyduszam po kolejnych pięciu minutach chichotania. — To może teraz proponuję się zastanowić nad tym, co ma być dalej...

— A co ma być dalej? — Bastian zerka na mnie z lekkim zaskoczeniem. — Myślałem, że twoim celem było tylko i wyłącznie wyzdrowienie...

— Jak widać nie — błyskawicznie poważnieję. — Chciałabym, żeby to było tylko to. Ale cóż, tak się składa, że muszę pozałatwiać jeszcze kilka spraw. Myślałam, że z moim wyjazdem zamknęły się bez powrotu, ale niestety tak się stało...

— Rodzinna firma? — pyta Lara.

— Co? — przez moment patrzę na nią bez zrozumienia, ale potem załapuję. Wspominałam jej przecież o tym, że moja rodzina od wieków prowadzi coś w rodzaju rodzinnej firmy i dlatego wracam. — Tak, właśnie. Coś w tym rodzaju. A że teraz dostałam posłańca, że znowu dokładnie to samo zaczęło się komplikować, trzeba było wracać. Nikt inny nie będzie w stanie zrobić tego za mnie.

— No to nieźle się złożyło, że posłano po ciebie dosłownie w idealnym momencie — gwizdże chłopak. — Miałaś niezłego farta.

— A no miałam — kiwam głową. „Aczkolwiek czy to był przypadek, że gryf przyleciał do mnie akurat w tamtym momencie, to ja nie wiem...”. — I teraz, skoro już wyzdrowiałam, mogę się zająć tym, co naprawdę mnie tu sprowadza.

— Ciekawa z ciebie osobka — ognistowłosa uśmiecha się do mnie szeroko. — Kto by pomyślał, że taka piękność może kryć w sobie, oprócz ogromnego uroku osobistego i niezwyklej inteligencji, taką ciekawą tajemnicę...

— No cóż, powiem ci tyle, że czego jak czego, ale tajemnic ci we mnie nie zbraknie przez bardzo, bardzo długi czas. — puszczam do niego oczko.

Bo tak się składa, że on nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak wiele tajemnic się we mnie kryje...

Równocześnie zerkam kątem oka na przyjaciółkę i zauważam, że zaciska usta w cienką linię. Najwyraźniej jest wściekła i czyżby... zazdrosna? Chyba Bastian na serio zawrócił jej w głowie...

— To dobrze — w oczach pojawia się mu szelmowski błysk. — Lubię tajemnicze piękności... — urywa, bo orientuje się, że w świetle naszej wcześniejszej rozmowy powiedział trochę za dużo jak na dobrego przyjaciela.

Macham ręką na znak, żeby się nie przejmował. No cóż, tak się składa, że doskonale wiem, jak trudno jest się dostosować do takiej prośby, co prawda niekoniecznie z własnego doświadczenia, ale przykłady moich najlepszych przyjaciółek w zupełności mi wystarczą. Na przykład taka Mistral... Ile razy zdarzało jej się zakochać w chłopaku, który proponował jej tylko przyjaźń? To Bastian jest w o tyle lepszej pozycji, że nie zamknęłam mu drogi na przyszłość...

— Dobra, to co musisz zrobić? — Lara dokładnie mierzy nas wzrokiem z zawartym w nim wyraźnym ostrzeżeniem. Mój przyjaciel tego nie zauważa, a ja udaję, że mam bardzo małą bystrość. Nie chcę psuć sobie nastroju.

— No cóż, jakby się tak zastanowić... — udaję, że się zastanawiam, choć

doskonale wiem, co powinnam zrobić. Nie wiem tylko, w jaki sposób... — Muszę załatwić kilka spraw w zarządzie, pogadać z obecną szefową... Trochę się tego uzbiera, to pewne.

— A gdzie masz to wszystko pozałatwiać? — chłopak patrzy na mnie z ciekawością.

— No cóż, względnie mówiąc, to niedaleko — dodaję po chwili namysłu. — W stolicy.

— W stolicy? I ty twierdzisz, że to blisko? — dzisiaj po raz kolejny widzę kogoś o kompletnie najwyższym poziomie zaskoczenia.

— No... tak — robię się lekko niepewna. No ale przecież za każdym razem jak jeździłam na Goldierze, zajmowało mi to koło doby ciągłej jazdy... Jeżeli zajeżdżałam do Seiten Gaye, to trochę dłużej, bo wiadomo, zawsze zatrzymałam się jeszcze u Estive'a. Żadna możliwość, aby prosić go o radę, nie była zła. — Przynajmniej w miarę blisko...

— A ile to jest kilometrów od Listeshire? — pyta przyjaciółka.

— Zależy, jaką drogą — Bastian wzrusza ramionami. — Najkrótszą, przez Gaj Cudów, jest koło sześciu tysięcy. Ale mało kto miałby na tyle odwagi, by się tam zapuścić, o ile nie jest lumią, oczywiście. I w takim wypadku wybiera się drogę z drugiej strony największego jeziora w kraju, i to wychodzi koło jakiś dziesięciu tysięcy kilometrów. Czyli koło pięciu dni drogi, biorąc pod uwagę to, że konie nie mogą jechać bez przerwy. No, może siedmiu ze wszystkimi przerwami.

— A dlaczego nie możemy jechać przez Seiten Gaye? — Lara wydaje się zdziwiona.

— No cóż, jakby ci to wytłumaczyć... — chłopak zaczyna bardzo intensywnie myśleć. — Tak się składa, że zwykli śmiertelnicy nie mają takich przywilejów, jak potomkowie znajomych tego, który spowodował wybuch... Wiesz, co to za wybuch, prawda?

— Wie, mówiłam jej w samolocie — potwierdzam za przyjaciółkę.

— To dobrze — on kiwa głową. — I te osoby mają możliwość wejścia do miejsca, w którym powstały ich rasy. Inni... Inni po prostu nie mogą.

— A niby dlaczego? — patrzę na niego z lekkim zdumieniem. — Dlaczego miałyby tam nie wejść?

— Dziwię się, że ty nie rozumiesz — zerka na mnie z pewnym niesmakiem. — Po prostu nie mogą, i tyle. Taki zwyczaj się utarł, że tam się nie zajeżdża i tyle. No, chyba, że ktoś chce stać się apetycznym kąskiem dla smoka zamieszkującego Podniebne Jezioro.

— A ja myślałam, że smoki u was nie są niebezpieczne... — dziewczyna wydaje się być dość przestraszona.

— Nie są — wzruszam ramionami. — Niebezpieczne były te, które wieki temu zabiły prawie całą rodzinę królewską, ale się gdzieś wyniosły i od ponad

dwóch tysięcy lat nikt ich nie widział. Tak samo z resztą, jak pozostałych gatunków. A co do tamtego z Tusteris to wcale nie jest niebezpieczny, tak tylko niektórym się wydaje przez to, co stało się w 2300 p.n.e., jak chcieli z niego zrobić maskotkę.

— Wybacz, Dion, ale mimo wszystko wybierzemy dłuższą drogę — kategorycznie stwierdza Bastian. — Inną drogą z wami nie pojedę. Co prawda cztery tysiące kilometrów robią sporą różnicę, ale nic się nie stanie, jak trochę nadłożymy drogi. Bardzo ci się śpieszy do stolicy? — zwraca się do mnie.

— No... Nie wiem — zawieszam głos i dokonuję szybkiej analizy. Teoretycznie im bardziej będę zwlekać, tym trudniej będzie wszystko załatwić. Ale z drugiej strony, to też mogę trochę wyluzować przed ostrą batalią, która zapewne mnie czeka. — Nie, nie ma problemu. To może się wstrzymać. Nic się nie stanie, jak to wszystko trochę zaczeka...

— W takim razie świetnie — chłopak kiwa głową ze skupionym wyrazem twarzy. — Teraz ja z Dion zrobię listę tego, co może być nam potrzebne, w międzyczasie Lara spakuje to, co się rozrzuciło od czasu waszego przyjazdu tutaj i to, co jej zaraz wypiszę z moich rzeczy, a potem pójdziemy na targ kupić rzeczy z listy. No i konie.

— A teraz są czempionaty, tak? — rozpromieniam się, kiedy chłopak kiwa głową. — To świetnie, będzie można kupić te najlepsze ardyliany. Lara, zobaczysz, spodobają ci się.

Przyjaciółka posyła mi jakby nieśmiały uśmiech. Dziwne...

— To w takim razie tu masz to, co chcę, żebyś znalazła — mój przyjaciel bierze kartkę i błyskawicznie wypisuje dość długą listę tego, czego dziewczyna powinna szukać i ją jej podaje.

Nastolatka kiwa głową i znika w sąsiednim pokoju, należącym najwyraźniej do naszego gospodarza. Widzę, że chłopak dość szybko zyskał u niej posłuch...

— To teraz zabieramy się za pisanie... — Bastian zaciera ręce, po czym pokazuje mi kanapę w głębi salonu i podaje mi kartkę wraz z długopisem.

No cóż, powinno pójść w miarę szybko...

Rozdział XV

— Myślisz, że to wszystko? — patrzę na Bastiana z wyraźnym pytaniem zawartym we wzroku.

— Nie wiem — przeczesuje grzywkę i przeciąga się. — Siedzimy nad tym już chyba trzy godziny i ciągle mam wrażenie, że czegoś brakuje.

— To dokładnie tak samo, jak ja — ziewam, po czym jeszcze raz lustruję listę. Trzy namioty z śpiworami podgrzewanymi termicznie, komplet jedzenia w proszku (wbrew pozorom jest pyszne, jak się je odpowiednio przyrządzi) na tydzień dla trzech osób do zrobienia w podgrzewaczu (bo przecież nie codziennie będziemy w jakimś mieście, trzeba się ubezpieczyć), podgrzewacz do wyżej wymienionego jedzenia, sprzęt do jazdy konnej, zapasowe ubrania (przecież nie będziemy chodzili ciągle w tym samym)... I też mam wrażenie, że czegoś tu brakuje.

— Długo wam jeszcze to się zejdzie? — jęczy Lara. Ona skończyła swoje zadanie już chyba z półtorej godziny wcześniej i teraz siedzi z nami. W teorii, żeby czegoś się nauczyć co do sposobów podróżowania po Vastertilie, w praktyce najwyraźniej po to, aby nam ciągle przeszkadzać, narzekać i wszystko w tym guście. Ja nie wiem, ale ona czasami na serio zachowuje się jak rozkapryszony bachor. Dzisiaj to już w ogóle...

„Czy ona kiedyś się zamknie? — chłopak jest zbyt uprzejmy, żeby powiedzieć to mojej przyjaciółce, ale nie krępuje się na nią narzekać w myślach. — Robi więcej szkody niż pożytku. Przez nią nie mogę się skupić!”

„Nie gwarantuję — odpowiadam. — To już jest taki typ, który będzie gadać, dopóki nie dostanie tego, czego chce.”

— Dobra, ja już więcej nie wymyślę — przyjaciel informuje nas, tym razem używając metody komunikacji dostępnej dla każdego z nas. — Chodźcie, przejdziemy się na rynek. Może tam coś wpadnie nam do głowy.

— Dobry pomysł — wstaję z kanapy, składam kartkę i chowam ją do kieszeni w jeansach. — „Miejmy nadzieję, że w końcu przestanie narzekać” — stwierdzam, kierując myśl do Bastiana. — Ja jeszcze idę po kasę — oznajmiam, po czym przechodzę do sąsiedniego pokoju, służącego mi za sypialnię.

Chwytam portmonetkę, leżącą na łóżku (punkt dla mojej przyjaciółki — nie zapomniała, że jeszcze wybieramy się na zakupy i zostawiła mi kasę na wierzchu) i błyskawicznie wychodzę na korytarz. Zbiegam po schodach, gdzie czeka na mnie reszta.

— Lara, wolałabyś najpierw przejść się po konie, czy kupić rzeczy z listy? — pyta Bastian. I mimo, że wiem, iż robi to, by dziewczyna poczuła się dowartościowana, czuję coś w rodzaju... zazdrości. Zaraz, co ja mówię? Przecież

jeszcze nigdy jej niczego nie zazdrościłam!

— Może najpierw byśmy poszli do koni... — odpowiada tak trochę nieśmiało. Co się z nią dzieje? Zachowuje się tak chyba pierwszy raz. I stwierdzam to stuprocentowo szczerze. Z resztą, to wszystko zaczęło się od spotkania z Bastianem. On zmienił tyle rzeczy... — Bo przecież skoro teraz są czempionaty, to najlepiej pójść jak najszybciej, żeby mieć możliwie najlepsze wierzchowce...

— To ma sens — kiwam głową, po czym jako pierwsza wychodzę na dwór.

Od razu biorę głęboki wdech; tyle czasu nie oddychałam prawdziwie czystym powietrzem, nie zanieczyszczonym czymkolwiek...

— Daleko są te targi koni? — Lara od razu zaczyna dociekać. — Zaprowadzisz nas tam, prawda? — niemal zawisa na Bastianie. Czy on tego nie widzi?

„Widzę, nie martw się — jego głos pojawia mi się w głowie. Chyba przez przypadek włączyłam ten dumny przesył myśli... — A co, zazdrosna?” — mam wrażenie, że lekko go rozbawiłam.

„Nie, wcale nie” — przeczę. Równocześnie moje pasemka zmieniają kolor z czarnego (widać taki jest ich normalny dla tego koloru włosów, który przez przypadek mam obecnie) na żółty (wspominałam już, że to oznacza zakłopotanie?).

„Powiedzmy” — wydaje się być zadowolony, tylko nie wiem, o co mu chodzi. A może jednak? — Zapraszam tędy — lewą ręką wskazuje kierunek.

Kiwam głową i jako pierwsza zaczynam iść wskazaną drogą. Nie mogę się już doczekać, jak zobaczę te wspaniałe ardyliany, najcudowniejsze konie świata, jak znowu popędzę po równinach wśród wysokiej trawy, poczuję ten wiatr, rozwiewający mi włosy, razem z Goldierem będziemy gnali ponad dwieście na godzinę...

I nagle czuję, jak moje nogi zaczynają zwalniać, aż w końcu całkowicie staję.

Przecież tu nie ma mojego ukochanego ogiera. I dopóki nie wybiorę się do Seiten Gaye, będę tak trochę nie mobilna. A tak się składa, że nie pojedę na żadnym innym koniu. Mój ardylian nigdy by mi tego nie darował...

— Dion, co się stało? — Bastian błyskawicznie do mnie podbiega (bo zdążyłam już całkiem daleko oddalić się od ich dwójki). — Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

— Co? A, tak, wszystko jest w jak najlepszym porządku — kiwam głową. — Tylko... Po prostu doszłam do wniosku, że skoro mam już konia, to nie będę kupować kolejnego...

— Nawet nie wiesz, jak bardzo mi ulżyło — widzę, że wyraźnie odetchnął z ulgą. — A z tym koniem, to przecież nie ma żadnego problemu. No, chyba, że masz go w stolicy, w takim razie będziesz musiała po niego zajechać razem z nami.

— Nie, nie jest w stolicy — odpowiadam szybko. Chyba zbyt szybko, bo

przyjaciół baczenie lustruje mnie spojrzeniem.

— Co się stało? — Larze nie chciało się dobiegać do mnie i dopiero teraz dochodzi do naszej dwójki.

— Nic specjalnego — Bastian macha ręką. — To skoro nie jest w stolicy, to gdzie?

— Po... drodze — zacinam się lekko.

— Po naszej drodze czy po drugiej? — ognistowłosa przygląda mi się uważnie. — Bo jak po naszej, to nic się nie stanie, jak przez kawałek drogi przejedziesz się na przykład ze mną na jednym koniu.

— No tak się składa, że on jest tak trochę po drugiej drodze — krzywię się lekko.

— Co jest po drugiej drodze? — zaciekawia się nastolatka.

— Miejsce, w którym powinien znajdować się mój koń i teraz właśnie zastanawiamy się, czy po niego zjechać, czy może jednak zrezygnować — tłumaczę w telegraficznym skrócie.

— Przed czy po Seiten Gaye? — chłopak draży dalej i wydaje się... jakby ostrożniejszy. No cóż, parę godzin temu wspominał mi już, jakie ma podejście co do zajeżdżania do tego miejsca...

— Tak trochę... w środku — krzywię się jeszcze bardziej. — A dokładniej na polanie u stóp Tusteris.

— Aha... — widzę, że lekko się spina. — No to ja nie wiem, jak to rozegramy. To jest całkowicie inna droga, tym bardziej, że potem już tak trochę nie po drodze będzie nam zawrócić...

— To może po prostu pojedziemy tamtędy — proponuję. — Przez połowę drogi po prostu mogłabym wypożyczyć jakiegoś konia, a potem on by wrócił...

— Nie wiem — Bastian wydaje się być lekko niezdecydowany. Czyżby moje zdolności przekonywania działały również na niego? — Mówiłem ci przecież, że tam jest niebezpiecznie, a tak się składa, że tylko ty jesteś lumią.

— Ale z drugiej strony, że skoro jestem lumią, to możecie się przy mnie czuć bezpieczni. Co prawda nikt, kto nie jest jedną z nas, nie ma prawa wejść do miejsca naszych zjazdów, ale nikt nie zabronił jeszcze wprowadzania znajomych do Gaju Cudów — argumentuję.

— Przez to miejsce, gdzie wasza Arlesie zyskała całą swoją niezwykłość? — Lara wydaje się być miło zaskoczona. — No chodźcie, pojedźmy tam!

— Ja nie mam nic przeciwko, tylko Bastian musi się zgodzić. Bez tego nie pojedziemy same, bo ja na drogach się nie znam — bezradnie rozkładam ręce. — Zazwyczaj jeździłam po samych bezdrożach, było szybciej.

— No... nie wiem — on coraz bardziej się waha. — A jak zamierzasz tam dojechać, jeśli nie na koniu? Przecież to jest na tyle daleko, że dość ciężko by było

jechać w dwójkę na jednym ardylianie przez taki okres czasu.

— Coś się wymyśli — wzruszam ramionami, a w głowie klaruje mi się dość konkretny pomysł. — I nie martw się, to na pewno nie będzie totalnie zwariowany pomysł.

— Jeżeli tak... — pod naporem dwóch osób chłopak prędzej czy później musi ustąpić. — Dobrze, pojedziemy tamtędy. Ale jak tylko coś się stanie...

— Nic się nie stanie — urywam. — Dobra, Lara, chodź, my znajdziemy rzeczy z listy, a ty, Bastian, jakbyś mógł, to znajdź jakiegoś dobrego konia dla niej — pokazuję na przyjaciółkę. — Jesteś najbardziej doświadczony w tym wszystkim — szybko uzasadniam swoją wcześniejszą prośbę. Nie chcę, żeby wyszło na to, że się rządę.

— Co racja, to racja — widać sposób, który wybrałam, ten z zagranem mu na ambicji, poskutkował. — Dion, jesteś pewna, że nie chcesz konia? — na wszelki wypadek woli się mnie dopytać.

— Stuprocentowo — kiwam głową.

Kiedy widzę, że chłopak się od nas oddala, odwracam się z powrotem do nastolatki. — To gdzie chcesz iść najpierw? Załatwić mi transport, czy pójść na małe zakupy?

— A ty co preferujesz? — Lara patrzy na mnie pytająco. — Nie znam się, wolę zdać się na osobę bardziej doświadczoną.

— To w takim razie pójdziemy na targ — decyduję, doskonale wiedząc, jaka będzie reakcja na widok mojego wyboru co do środka transportu. — Pomożesz mi z torbami, prawda? Bo z tego, co pamiętam z listy, to mimo wszystko trochę tego będzie...

Dziewczyna kiwa głową i zaczynamy iść w kierunku centrum miasta, gdzie powinien być targ. Tak mi się przynajmniej zdaje...

* * *

— Ale tu dużo osób... — moja przyjaciółka rozgląda się wokoło.

— Bardzo dużo — potwierdzam. Prawdę powiedziawszy, w takiej sytuacji czuję się bardzo nieswojo; mam wrażenie, że na każdym kroku ktoś może mnie rozpoznać.

— O, Dion, zobacz, tam jest jeszcze jakaś lumia! — Lara pokazuje dziewczynę na końcu placu.

— Faktycznie — kiwam głową, po czym dokładnie lustruję wzrokiem wskazaną wilczycę.

Ułamek sekundy później oddycham z ulgą. Na szczęście jest to maksymalnie dwunastolatka, nie miała więc możliwości spotkać się ze mną osobiście, na zjazdach. Gorzej by było, gdyby to okazała się jedna z moich kumpel, z mojego

okresu...

— Wiesz, lumie zawsze pojawiają się tam, gdzie jest okazja kupienia czegoś ciekawego. A czempionaty są doskonałą okazją nawet dla właścicielek koni, mogą zdobyć jakieś prezenciki dla swoich pupili.

— A ty coś weźmiesz dla swojego ogiera? — pytająco zerka na mnie nastolatka.

— Na pewno — kiwam głową. — Inaczej by się na mnie obraził na śmierć. Choć nie wiem, czy i tak tego nie zrobi, jak zobaczy, w jaki sposób planuję dostać się do Seiten Gaye...

— Powiesz mi teraz, jak chcesz to zrobić? — tradycyjnie dopytuje się moja przyjaciółka. — Czy mam poczekać, aż raczysz mnie poinformować?

— Masz poczekać — uśmiecham się łobuzersko. — Chodź, tu widzę coś ciekawego.

— A co to jest? — Lara podnosi ze straganu jeden z kryształowych flakoników, wypełniony modrym, gęstym płynem.

— Taka ciekawa substancja, dzięki której można zmienić kolor skóry — wyjaśniam po zerknięciu na etykietkę. — Działa jakiś tydzień, potem efekt ustępuje. Kiedyś z dziewczynami zrobiłyśmy taką akcję, że zmieniłyśmy sobie wygląd. Kolory były różne; różowy, zielony, żółty, fioletowy... A mi się trafił taki, jaki mają tubylcy w „Avatarze”. Jaki ja potem ochrzaniłam dostałam od rodziców... — uśmiecham się szeroko na wspomnienie tej całej sytuacji.

— Fajne specyfiki macie — dziewczyna odstawia fiolkę na swoje miejsce. — Ale ja osobiście wolałabym nie ryzykować.

— Czasem warto — uśmiecham się lekko, równocześnie łapiąc dziewczynę za ramię i odciągając od straganu.

Równocześnie zauważam, że sprzedawczyni przygląda mi się uważnym wzrokiem. I od razu, automatycznie w głowie pojawia mi się myśl w rodzaju „Mam nadzieję, że mnie nie rozpoznała...”.

Na moment między nami zapada cisza, przerywana tylko zachwykami Lary na temat tradycyjnej zabudowy czy innych spotykanych tylko w danym miejscu budowli.

Natomiast ja uciekam myślami w całkowicie inne miejsce. Konkretniej to w kilka innych miejsc, które są dla mnie szczególnie ważne, to właśnie w nich w tym momencie może się dziać coś niezwykle ważnego, wręcz przełomowego... Coś co może — w zależności od tego, co to — ułatwić lub znacznie pokrzyżować mi plany...

— Ciekawe, co teraz robi Bastian... — ni z tego ni z owego mówi nastolatka, przywracając mnie z powrotem do tu i teraz. — Coś mi się zdaje, że mu się spodobałam.

— A skąd to wnioskujesz? — zerkam na nią kątem oka.

— No bo on jest dla mnie taki miły, tak się o mnie troszczy... — wyraźnie się rozmarza.

— A nie wpadłaś na to, że troszczy się o ciebie, bo jesteś tu nowa i bez pomocy łatwo mogłoby ci się coś stać? — wzruszam ramionami.

Oczywiście nie zmienia to faktu, że dziewczyna zdążyła już zasiać w moim sercu ziarno wątpliwości. Może faktycznie wpadła w oko Bastianowi? Jaka ja jestem głupia, że zaproponowałam chłopakowi tylko przyjaźń... Teraz trzeba mieć tylko nadzieję, że nic mu się nie odmieni i prędzej czy później zapyta mnie, czy zmieniłam decyzję...

— No cóż, to też może być... — zauważam, że moja przyjaciółka też lekko zwątpiła w to, o czym była przed chwilą niemal stuprocentowo przekonana.

Następne pół godziny upływa nam w milczeniu, przerywanym tylko przeze mnie, gdy targuję się ze sprzedawcami, lub też, jak już wspomniałam, przez jej zachwyty.

Dość szybko udaje nam się zebrać wszystko z listy (a na pewno o wiele szybciej, od czasu, który zajęło mi i ognistowłosemu jej układanie) i w końcu przychodzi moment, w którym powinnam zabrać się za poszukiwanie środka transportu. Ciekawe, jak dwójka moich przyjaciół zareaguje na mój wybór...

— Gdzie teraz idziemy? — Lara orientuje się, że zmieniłam kierunek drogi.

— Po mój transport — wyjaśniam pokrótce. — Znajdziemy go na plaży, a przynajmniej tak powinno być z tego, co pamiętam.

— Aha — nastolatka kiwa głową. — A planujesz wybrać coś takiego bardziej tradycyjnego, takie jak mamy u nas na przykład w Stanach, typu samochód?

— My nie używamy samochodów ani nic w tym guście — kręcę głową. — Używamy bezpieczniejszych dla natury zwierząt. I z resztą jest dużo szybciej, przy prędkości, jakie osiągają na przykład ardyliany...

— Na przykład to znaczy jakie? — widać zaciekawiłam ją na dobre.

— Taki najprzeciętniejszy koń tej rasy najbardziej lubi biegać w tempie stu kilometrów na godzinę — wyjaśniam. — Najmniej się wtedy męczy, bo to jest jednak rasa przygotowana do biegów szybkich i długodystansowych. A kiedy jest wściekły albo totalnie mu na czymś zależy, potrafi wyciągnąć nawet dwieście pięćdziesiąt. Oczywiście też dobiegnie daleko, ale nie jest to jego ulubiona prędkość. Nie zawsze udaje mu się pokonać własne słabości.

— A taki nie najprzeciętniejszy? — dopytuje się nastolatka. — No bo wiesz, skoro są przeciętne, to muszą być jakieś wyjątkowe, tak jest zawsze.

— Oczywiście, że są — uśmiecham się lekko na same wspomnienie. — Raz na jakiś czas, to znaczy raz na parę tysięcy lat, rodzi się wyjątkowy ogier. Całkowicie różni się od innych koni, wygląda inaczej, umiejętności ma też inne. Najlepiej się czuje, biegnąc dwieście pięćdziesiąt na godzinę, w specjalnych

okolicznościach potrafi wyciągnąć czterysta.

— Takiego konia mieć to na serio byłoby niezłe — nastolatka od razu zaczyna sobie wyobrażać jakieś ciekawe przygody, jakie mogłaby przeżyć, mając tego ogiera.

— Oj, byłoby, byłoby — mój uśmiech się poszerza.

Ja już mam pod tym względem dość spore doświadczenie i przyznaję, to jest niesamowite. I nie mogę się doczekać, żeby znów popędzić na Goldierze przez równiny.

— A teraz chodź, ciekawa jestem, co powiesz o tym, czym chcę przebyć ten kawałek drogi do Gaju Cudów.

Moja przyjaciółka kiwa głową, zapewne kombinując, czym to ja planuję zastąpić konia. Jestem pewna, że w życiu na to nie wpadnie... Bo w sumie to jest jednak taki środek transportu, który nawet wśród Arleyów budzi kontrowersje. Tak właściwie odważyć się na niego potrafią tylko lumie...

Kilka minut później stajemy przed ogromną klatką.

Lara szeroko otwiera oczy i usta ze zdziwienia. Jak widać nie spodziewała się tego, co właśnie widzi...

— W czymś pomóc? — sprzedawca (ymul — tylko oni zajmują się handlem smokami) błyskawicznie znajduje się tuż obok mnie.

— Tak, chciałabym kupić tego smoka — wskazuję na stworzenie skulone w kącie klatki. — Ile za niego chcesz?

— To niebezpieczne — człowiek cienia czuje się zobowiązany do uprzedzenia mnie o zagrożeniu.

— Wiem — kiwam głową. — Dlatego chciałabym najpierw stanąć z nim oko w oko.

Ymul najwyraźniej zrozumiał, że nie zmienię zdania, więc po prostu podchodzi do klatki i otwiera wejście.

Zamyka je dosłownie sekundę po tym, jak wchodzę do środka.

Smok od razu się prostuje.

Teraz widzę, jak bardzo jest potężny. Co prawda o ile dobrze myślę (a mogę się przecież mylić, nie jestem specjalistką) nie tak bardzo, jak te, które doprowadziły niemal do wyniszczenia rodu królewskiego, ale rzędu wielkości tuż przed nimi, czyli wielkości mniej więcej połowy tira.

Na początku wydawało mi się, że czerń pokrywa całe ciało zwierzęcia, ale to nie prawda. Spód ogromnych, skórzastych skrzydeł jest krwistoczerwony, tak samo jak rozłożysty kołnierz, przetykany czarnymi żyłkami i podbrzusze, dolna część ogona jak również przednia część szyi. Ten ciągnący się od głowy do czubka ogona, zakończony czymś w rodzaju kościanej strzałki pas jest jeszcze okolony wąskim paseczkiem złotej łuski. Koloru tego metalu szlachetnego jest również spód łap, uzbrojonych w ostre pazury. Z kolei na grzbiecie stworzenie ma

fioletowy grzebień, kończący się na czubku pyska, kawałek wcześniej przekształconej w łuskę. A w miejscu, gdzie grzebień grzbietowy niemalże styka się z kołnierzem, wyrastają dwa ogromne rogi. I do tego złotobrazowe oczy, pałające nienawiścią.

„Czego tu chcesz?” — głos smoka wdziera się do mojej głowy. Jest wściekły. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

„Nie martw się, nie przyszedłem tu się nad tobą znęcać — błyskawicznie odpowiadam. Nie mogę się ulęknąć, inaczej, mimo mojej niezwykle silnej osobowości, smok mnie zdominuje. Jego złość potęguje jego siłę, więc w takim starciu nie mam najmniejszych szans. — Rozumiem twoją złość...”

„A co ty możesz wiedzieć — prycha stworzenie, przerywając mi w pół słowa. — Jesteś jedną z nich, w twojej naturze jest takie traktowanie nas, jak to się działo od wieków.”

„Nie wiedziałam, że macie coś przeciwko lumiom — od razu przechodzę do defensywy. — Myślałam, że to właśnie nas najbardziej lubicie i tolerujecie, w końcu jako jedyne nie jesteśmy do was uprzedzone...”

„Żeby o to chodziło — zwierzę przerywa mi w pół słowa. — Oprócz tego, że jesteś lumią, jesteś przecież jedną z nich, jedną z rodu naszych katów, oprawców, morderców... Ciesz się, że nie jestem dzisiaj w nastroju do zemsty, inaczej nie żyłabyś od twojego pierwszego kroku w tym moim więzieniu” — z nozdrzy smoka zaczyna pojawiać się dym. Widać jest naprawdę rozwścieczony. Każda sekunda mojego pobytu tutaj równa się coraz większemu niebezpieczeństwu, ale nie mam zamiaru ustąpić. Tym bardziej, że nawet nie wiem, o co mu chodzi z tym mordowaniem smoków...

— Wszystko w porządku? — ymul najwyraźniej zauważył zmianę nastroju stworzenia.

„No, dalej, powiedz mi o moich groźbach — szydzi zwierzę. — Nawet nie wiesz, jak bardzo nie mogę się doczekać, żeby wyciągnął cię z tej klatki, a potem mnie uśpił, w końcu jestem niebezpieczny dla otoczenia... Przynajmniej będę miał od was wszystkich święty spokój” — na jego twarzy pojawia się coś w rodzaju ponurego uśmiechu (o ile można mówić o czymś takim w przypadku tego gatunku).

Przez moment się waham. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi z tym rodem smoczych katów, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że z sekundy na sekundę wściekłość stwora rośnie odwrotnie proporcjonalnie do moich szans na wyjście z tej klatki żywo. Ale z drugiej strony bardzo mi zależy na dowiedzeniu się, o co w tym wszystkim chodzi. No i w sumie co ten smok zawinił? Z jego słów wynika, że podstawa do jego nienawiści leży po stronie mojej rodziny...

— Tak, wszystko w całkowitym porządku — lekko unoszę głos. — Nie ma się o co martwić — dodaję, starając się, żeby to zabrzmiało całkowicie spokojnie

i opanowanie.

„Dlaczego to zrobiłaś?” — smok jest autentycznie zaskoczony.

„Nie wiem, o co ci chodzi z tym rodem zabójców twojego gatunku, ale te bezpodstawne oszczerstwa nie sprawiają, że chcę wyrządzić ci krzywdę — wyjaśniam. — Nie rozumiem też, dlaczego jesteś na mnie aż tak bardzo wściekły, po prostu chciałabym ci zaproponować układ. Zawieziesz mnie do Seiten Gaye...”

„Niedoczekanie twoje! — wybucha stworzenie, a z nozdrzy wylatuje mu kolejna, dużo gęstsza niż poprzednio, chmura dymu. — Jeszcze nie upadłem tak nisko! A co do mojej złości, to nie udawaj, doskonale wiesz, o co mi chodzi”

„Nie wiem, ale pozwól mi dokończyć — uparcie dążę do swojego celu. — Jeśli ty zawieziesz mnie do Seiten Gaye i nie zabijesz mnie w trakcie podróży, potem oferuję ci całkowitą wolność, nie będę wymagać niczego innego. Będziesz mógł robić, co tylko zechcesz. A gdy uznasz, że nie wywiązałam się ze swojej części umowy, będziesz mógł zrobić ze mną, co tylko zechcesz. Pasuje?”

„Gdzieś musi być jakiś haczyk” — smok patrzy na mnie z lekkim podejrzeniem.

„Nie ma żadnego — odpowiadam. — Nie mam najmniejszego zamiaru oszukiwać kogoś kilkakrotnie większego, potężniejszego i silniejszego ode mnie. Tak więc stoi?”

„Stoi — decyduje smok. — Ale pamiętaj, jeżeli tylko złamiesz reguły...”

„Nie martw się, nie zapomnę — niezauważalnie dla osób stojących po drugiej stronie krat kiwam głową. — Nie mam ochoty rozstawać się z życiem” — dodaję, kiedy wychodzę poza klatkę.

— I co? — sprzedawca wyraźnie oddycha z ulgą, kiedy widzi, że jestem cała i zdrowa.

— Biorę go — odpowiadam. — Ile płacę?

— Cóż, z racji, że szarpnęłaś się na najniebezpieczniejszego smoka, jaki kiedykolwiek przeszedł przez moje ręce i o dziwo, przeżyłaś spotkanie z nim twarzą w twarz, dostaniesz go za darmo. Pozbycie się go to najlepsze, co tylko może mnie spotkać — ymul uśmiecha się do mnie z błyskiem w czarnych oczach. — Ale jeżeli coś ci zrobi, to nie przyjmuję reklamacji.

— Rozumiem — przytakuję. — I taki układ mi nawet pasuje, w końcu nie co dzień dostaje się smoka w prezencie.

Człowiek cienia bez słowa otwiera szeroko otwiera bramę do klatki.

Ponownie wchodzę do niej, tym razem, by wyprowadzić zwierzę na zewnątrz. Widzę, że specjalnie mu się to nie podoba, ale nie protestuje.

— Dion, będę mogła się przelecieć, będę? — Lara od razu zaczyna podskakiwać zupełnie jak małe dziecko, oczywiście mając nadzieję, że dostanie to, na czym jej zależy.

— Nie będziesz — ucinam krótko. — Tak się składa, że to mój smok

i należy go traktować z szacunkiem. Nie pozwolę po nim skakać i go męczyć.

„Nie graj — warczy w myślach smok. — Doskonale wiem, dlaczego tak mówisz.”

„Nie znasz Lary — odpowiadam. — Ona dosłownie zamęczyłaby cię na śmierć, możesz mi w to uwierzyć. A teraz pewnie będzie męczyć mnie” — wzdycham.

„Może kiedyś zrozumie, dlaczego udajesz — stworzenie nadal jest wobec mnie bardzo, ale to bardzo nieufne. — A może po prostu będę miał takie szczęście, że ta podróż się skończy, zanim uda mi się zrozumieć.”

„Jeżeli takie jest twoje życzenie, to może tak się stanie — stwierdzam. — Mam przynajmniej nadzieję, że prędzej czy później przekonasz się, że wcale nie jestem taka, za jaką mnie uważasz.”

„A ty może kiedyś wysilisz mózg na tyle, żeby wpaść na to, jakim cudem za taką cię uważam” — odpyskuje zwierzę.

„To może przynajmniej powiesz mi, jak masz na imię? — pytam. — Łatwiej jest mi przebywać w towarzystwie osób, które znam chociaż z imienia.”

„Ciebie mało kto z twoich teraźniejszych przyjaciół zna z twojego prawdziwego imienia, Lumino der Soltarie” — dostaję kąśliwą odpowiedź.

„Ty je znasz — błyskawicznie rewanżuję się ripostą, nawet nie zastanawiając się, dlaczego tak się dzieje. — A jeżeli ktoś zna moje prawdziwe imię, liczę na to samo z jego strony.”

„Mirt'Oshim” — oznajmia smok po chwili.

„Piękne — stwierdzam i nie ma w tym ani nuty fałszu. Smoki moich przyjaciółek mają wspaniałe imiona, ale to jest całkowicie wyjątkowe. — Takiego jeszcze nigdy nie słyszałam.”

— Co tak cicho siedzisz? Coś się stało? — dopiero teraz zauważam, że Lara przygląda mi się z lekkim niepokojem. No cóż, to mogło nawet dość ciekawie wyglądać, jak zamilkłam i przez dobre pięć minut nie odzywałam się do nikogo.

— Nic takiego, po prostu jakoś się zamyśliłam — kręcę głową. — Lara, mogłabyś zabrać nasze zakupy i iść poszukać Bastiana? Ja za ten czas załatwiłabym jedną sprawę.

— A ten twój smok nie mógłby zabrać czegoś ze sobą? — przyjaciółka wygląda na dość zaskoczona.

— Smoki w Arlesii nie służą jako zwierzęta pociągowe — wyjaśniam. — Przecież i tak weźmiemy konia, który będzie niósł nam bagaże, więc to nie powód, by teraz obarczać nimi kogoś innego.

— Jeśli tak uważasz... — dziewczyna nie wydaje się być przekonana, ale bierze torebkę i torbę z zakupami (która wcale nie jest taka ciężka, bo z racji „niezwykłej długości” naszej listy, zawiera dość niewiele przedmiotów). — To w takim razie spotkamy się przy targu z końmi. Nie martw się, trafię — dodaje,

po czym szybko znika w tłumie.

„Naprawdę nie potrafię zrozumieć tego, co tobą kieruje — Mirt’Oshim zerka na mnie z góry. — Ale skoro muszę się z tobą teraz męczyć przez tyle czasu, to chyba kiedyś trzeba by było cię nauczyć latać na mnie?” — mówi z niechęcią.

Patrzę na niego z lekką niepewnością.

— Nie licz, że będę cię zachęcać w inny sposób — tym razem smok przechodzi na bardziej konkretny sposób komunikacji. — Wiesz, że robię to wbrew mojej woli, więc radziłbym...

Nie czekam na ciąg dalszy, tylko podchodzę do niego i dość opornie wdrapuję się na jego grzbiet.

„Jak nisko upadłem...” — wzdycha stworzenie, po czym błyskawicznie wzbija się w powietrze.

Chwilę potem jesteśmy już na wysokości ponad kilometra. I właśnie wtedy wychylam się, chcąc zobaczyć, co się dzieje na ziemi i... zaczynam spadać.

Sekundę potem dzięki błyskawicznemu manewrowi zwierzęcia z powrotem ląduję na jego grzbiecie.

„I niby taka mądra i swego czasu potężna, a nie umie latać! — stwierdza drwiąco. Chyba ciągle jeszcze się do mnie nie przekonał... — Dużo musisz się jeszcze nauczyć, żółtodziobie!”

Rozdział XVI

— Już jestem! — oświadczam, zachodząc Bastiana od tyłu.

— Boże, Dion, ale mnie przestraszyłaś — odwraca się do mnie, przykładając dłoń do serca. — A gdzie Lara? — pyta moment później, kiedy już orientuje się, że mojej przyjaciółki nie ma razem ze mną.

— Myślałam, że jest z tobą... — patrzę na niego z lekkim niepokojem, zawartym w spojrzeniu. — Rozstałyśmy się jakieś trzy godziny temu...

— Puściłaś ją samą? — przyjaciel zerka na mnie z niedowierzaniem. — I to wiedząc, że pierwszy raz jest na tym świecie, nie mówiąc o tym mieście?

— No cóż... — przyznam, że teraz poczułam się odrobinę głupio. Tym bardziej, że chłopak właśnie przedstawił to w takim świetle... — Tak trochę? — zawieszam głos tak jakby trochę pytająco.

— Jak to tak trochę? — chłopak jest oburzony. Z resztą, tak po prawdzie, to wcale mu się nie dziwię... — Dziewczyno, przecież to jest totalnie nieodpowiedzialne! Gdzie ty miałaś głowę, jak pozwoliłaś jej na coś takiego? Tobie to najwyraźniej nie można niczego powierzyć, bez obawy na to, że tego czegoś przez przypadek nie zgubisz!

— Wypraszam to sobie! — w tym przypadku czuję, jakby właśnie mnie trochę obraził. — Znasz mnie tylko kilka dni, z czego połowę spędziłam nieprzytomna w łóżku. Nie sądzisz, że to trochę zbyt mało, żeby wygłaszać o kimś takie opinie?

— A przepraszam bardzo, o czym twoim zdaniem świadczy zostawienie kogokolwiek bez żadnej opieki? I to jeszcze wtedy, jak tym kimś jest zachowująca się jak dziecko, rozkapryszona nastolatka, będąca na Vastertile po raz pierwszy?! — głos ognistowłosego niebezpiecznie zbliża się do poziomu, w którym podniesiony ton zmieni się w krzyk.

— Jacy wy głupi jesteście — zza moich pleców dobiega grzmiący i do tego kpiący głos. — Zamiast się kłócić, to powinniście jej szukać! Jedno drugiego warte — prycha smok.

Bastian zerka w jego stronę i... odskakuje kilka kroków w tył z przerażeniem wypisanym na twarzy.

Ale co godne podziwu, nie zapomina o mnie, tylko chwyta mnie za rękę, pociąga do tyłu i zasłania samym sobą.

— Proszę bardzo, uciekajcie — zwierzę wyszczerza zęby w czymś, co zapewne w jego zamierzeniu miało być uśmiechem. — Jak mi się zechce, to was zjem i wtedy żadna ucieczka wam nie pomoże.

Zerkam na stworzenie karcąco, ale nie robi to na nim żadnego, choćby najmniejszego wrażenia.

„Nie masz nade mną żadnej władzy — przypomina mi drwiąco. — Pamiętaj, że jestem tu dlatego, że chcę być wolny, a poza tym, zawarliśmy umowę. I dobrze ci radzę, nie oczekuj nic poza tym”.

— Bastian, to jest Mirt'Oshim — oznajmiam, cudem powstrzymując się od westchnięcia. — Pojadę na nim do Seiten Gaye.

Spojrzenie chłopaka wyraźnie mówi mi, co myśli na temat mojego wyboru.

— Spokojnie, lumie od wieków latają na smokach — uspokajam go. — I do dzisiaj nic się nim nie stało.

„Czyli ty będziesz pierwsza — zgryźliwie zauważa smok, tym razem kierując to tylko do mnie. — Do tej pory starczało ci rozumu, żeby się nie narażać, dokładnie tak, jak radzili ci rodzice. Ale teraz, skoro życie już ci niemiłe...” — dodaje złośliwie.

„Kto wie, może kiedyś się dowiem, o co ci z tym chodzi” — zerkam na niego.

„Albo najpierw złamiesz reguły umowy i zostaniesz zjedzona — Mirt'Oshim łąpie na mnie bursztynowym okiem. — Wszystko jest możliwe” — stwierdza filozoficznie.

— Ten twój smok ma rację — mówi mój przyjaciel po chwili ciszy (a przynajmniej pozornej), podczas której dokładnie lustrował zarówno mnie, jak i mój środek transportu. — Nie kłóćmy się, po prostu znajdziemy Larę.

Kiwam głową, bo faktycznie teraz to jest najlepsze, co tylko można zrobić. Potem będziemy się martwić terazniejszymi kłopotami i kłótniami.

— A że tak się spytam, to kupiłeś już konie dla siebie i dla niej? — pytam, jeszcze zanim zabierzemy się za poszukiwania dziewczyny.

— Kupiłem — kiwa głową. — Sobie oczywiście ognistego ardyliana, wiesz, z przewagą czarnego, a jej bardziej zielonego ziemnego. Podobno był najłagodniejszy ze wszystkich.

— To w takim razie może zrobilibyśmy tak, że ty pojedziesz ulicami, a ja zerknę z góry — proponuję. — Mogłabym cię naprowadzić myślami.

— Dobry pomysł — chłopak kiwa głową, po czym na moment znika w bocznej uliczce. Moment później wyjeżdża z niej na potężnym ogierze.

— Ładny — kiwam głową z uznaniem.

— A dziękuję bardzo — rozpromienia się ognistowłosa. — Bliżej przedstawię ci go, jak już się Lara znajdzie, a teraz ja już jadę — wystarcza ledwo zauważalny ruch wodzami, by koń zerwał się do biegu.

„Miło, że ktokolwiek zapytał się mnie o zdanie” — smok wcale nie wygląda na zadowolonego.

— Nie narzekaj, to był twój pomysł — mruczę pod nosem, gdy z trudem wdrapuję się na jego grzbiet. Ale są jakieś podstępny, już nie jest aż tak źle, jak za pierwszym razem.

„Co nie zmienia faktu, że musisz się jeszcze wiele nauczyć — złośliwie stwierdza smok. — W życiu nie pomyślałbym, że zniżę się do tego poziomu... Ani że ty kiedykolwiek okażesz się tak głupia” — nie może powstrzymać się przed jakimś zjadliwą uwagą, żeby zatuszować swoją poprzednią wypowiedź.

Kompletnie ignoruję to, co przed chwilą powiedział. Tak będzie najlepiej. Nie ma po co zwracać na to uwagi. Aczkolwiek przyznam, że jego groźby powoli zaczynają mnie martwić, tym bardziej, że nawet nie wiem, o co mu chodzi. Może gdybym była świadoma winy mojej bądź mojej rodziny, łatwiej byłoby mi zrozumieć jego zarzuty. I znaleźć jakieś sensowne odpowiedzi...

— Dion, gdzie jest Bastian? — zza swoich pleców dobiega mnie głos przyjaciółki.

— Lara! — błyskawicznie zeskakuję ze smoka, podbiegam do dziewczyny i mocno ją przytulam.

— Coś się stało? — nastolatka patrzy na mnie ze zdumieniem.

— Rozstałyśmy się jakieś trzy godziny temu, a Bastian cię jeszcze nie spotkał — wyjaśniam. — Martwiliśmy się, czy wszystko jest w porządku.

„A ty dostałaś porządną burę za swoją głupotę i nieodpowiedzialność” — smok nie zapomina o wtrąceniu zjadliwego komentarza.

— Nic dziwnego, że nie spotkał — siedemnastolatka wzrusza ramionami. — Kiedy przyszedłam tu po pół godziny odkąd postanowiłaś puścić mnie samą, jego nie było. Specjalnie nie uśmiechało mi się stanie tu bez żadnego celu, więc pomyślałam, że jakoś zajmę sobie czas i porozglądam się po straganach. I przy okazji, wyobraź sobie, że poznałam fantastycznego chłopaka... — kiedy zaczyna o tym mówić, od razu się rozpromienia, a jej oczy robią się totalnie maślane. Czyli ognistowłosa dla niej już nie istnieje... A swoją drogą, ciekawe, czy kiedykolwiek zechce się jej związać z kimś na dłużej...

— Opowiesz mi o nim później — przerywam jej zachwyty tak właściwie jeszcze zanim zdążyła dobrze zacząć. — A teraz trzeba znaleźć Bastiana, bo już zdążył wybrać się na twoje poszukiwania.

— Daleko nie zajechał — Lara macha ręką. — Przecież koniem w takich ciasnych uliczkach wcale nie jest tak łatwo i szybko..

— Zwykłym koniem może nie, ale ardylianem na pewno — zza rogu wyłania się nasz przyjaciel. — Dobrze, że zapomniałem ci, Dion, czegoś powiedzieć i musiałem się wrócić. Przynajmniej nie uganiałem się po Listeshire bez celu.

— Dobre choć to — odpowiadam, zastanawiając się, czy ciągle jest na mnie zły. Dobra, przyznaję, może nie postąpiłam zbyt odpowiedzialnie, puszczając przyjaciółkę samą, ale za to już się znalazła, a na dobrą sprawę to wcale się nie zgubiła. Czyli... chyba nic się nie stało... — To słuchajcie, skoro już jesteśmy wszyscy w komplecie, cali, zdrowi, z transportem i wszystkimi zakupami, to kiedy

wyruszamy?

— Możemy nawet zaraz — odpowiada chłopak, uważnie mierząc nas wzrokiem. Nie mam bladego pojęcia, o czym myśli... — Oczywiście, o ile czujecie się na siłach — dodaje.

— Ja mogłabym pojechać choćby i dziś — stwierdzam. „Tym bardziej, że im szybciej pozalutwiam swoje sprawy, tym szybciej będzie już święty spokój”, dodaję w myślach.

„I im szybciej wyruszymy, tym szybciej dotrzemy na miejsce — jak raz popiera mnie smok, aczkolwiek wiem, że ma w tym swój interes. — Przecież tym szybciej będę wolny” — dodaje, pozbawiając mnie jakichkolwiek złudzeń (o ile w ogóle je bym miała) dotyczące jego celu.

— Ja też chętnie już bym pojechała i zobaczyła te fantastyczne rzeczy, o których mi wspominałaś — wtrąca stojąca obok mnie dziewczyna, równocześnie kładąc dłoń na moim ramieniu. — No wiesz, pasące się razem ardyliany i araby i co tam jeszcze było...

— W takim razie postanowione — ognistowłosy kiwa głową. — Teraz trzeba się jeszcze spakować... A właśnie, Lara, to jest twoja klacz, Shiba — wskazuje na ziemną ardylianę, która pojawiła się tuż za jego ogierem.

— Wow... — nastolatka patrzy się na nią z zachwytem. — Jeszcze nigdy nie widziałam takiego konia!

— Bo jeszcze nigdy nie byłaś w Arlesii — odpowiadam, obserwując z czymś w rodzaju dumy narodowej, jak przyjaciółka podchodzi do konia.

— Ale ona nic mi nie robi? — dziewczyna wyraża swoje obawy, po czym delikatnie dotyka sierści klaczy.

I nagle sztywnieje, zupełnie, jakby przeszedł ją prąd. Cóż, tak właśnie wygląda pierwsze zetknięcie z własnym ardylianem... Sama też tak miałam. Dobrze, przyznam, nie jest to przyjemne uczucie, ale dzięki temu wytwarza się niesamowita więź między koniem a jego właścicielem.

„Powiemy jej?” — Bastian zerka na mnie z lekkim uśmiechem błakającym się mu na ustach.

„Nie — odpowiadam — a przynajmniej nie teraz. Ciekawa jestem jej reakcji, gdy zacznie słyszeć myśli Shiby...”.

„Na pewno będzie to niesamowite” — w głosie chłopaka słyszę coś w rodzaju radości z fantastycznie splatanego dowcipu. — To skoro chcecie już jechać, proponuję wskakiwać na swoje konie... i smoki — dodaje po chwili, kiedy przypomina sobie o moim wyborze. — Dion, my z Larą zajedziemy jeszcze do domu, żeby to wszystko — wskazuje na torby z zakupami — spakować w jakieś poręczniejsze walizki. Poczekać przy wyjeździe z miasta?

— Jasne — kiwam głową, po czym przyjaciele odjeżdżają w kierunku mieszkania ognistowłosego. Ja natomiast odwracam się do Mirt'Oshima. —

Słuchaj, rozumiem, że z jakiegoś powodu jest ci ciężko znieść moją obecność, ale na czas podróży może udałoby się coś zrobić, żeby nasze stosunki choć trochę się ociepliły? Bo ja na serio nic do ciebie nie mam.

„Masz, masz, tylko jeszcze o tym nie wiesz — prycha smok. — Ja ze swojej strony nie mogę ci nic pod tym względem zaoferować, tym bardziej, że udajesz niedoinformowaną”.

„Ja niczego nie ud...” — urywam, wiedząc, że do niczego to nie zaprowadzi.

„Właśnie, najlepiej to się zamknij i po prostu wsiadaj” — już zdążyłam się przekonać, że zwierzę nie jest skłonne do powtarzania, więc bez słów stosuję się do jego polecenia.

Rozdział XVII

— No i gdzie oni są... — mruczę do siebie pod nosem, ze zniecierpliwieniem po raz kolejny sprawdzając godzinę na holograficznym zegarku, który ukazuje się po dłuższym przytrzymaniu zewnętrznej części nadgarstka.

Tak się składa, że Bastian z Larą zniknęli już jakieś dwie godziny temu, a że miało im to zająć tylko chwilkę, zaczynam się poważnie niepokoić. Dobrze, wiem, że chłopak uratował mi życie, ale czasem, gdy się połączy czas i miejsce, może wyjść z tego totalna katastrofa, która nie wybiera swoich uczestników. Jak na przykład ta, w której zginęli moi rodzice.

„Wróca — stwierdza filozoficznie smok. — A jak nie, to trudno”.

— Dzięki za pocieszenie — prychem ze złością. Cóż, w sytuacjach kryzysowych sarkazm przychodzi mi bardzo łatwo, równie szybko się denerwuję. I w tym przypadku nie ma dla mnie żadnej różnicy, czy mówię do rodziców, do władców Arlesii czy do stworzenia, które może mnie zabić jednym machnięciem łapy. — To wspaniała wiadomość, wiesz?

— A ty co się tak rzucasz? — Mirt’Oshim zerka na mnie z zaskoczeniem. Chyba nie spodziewał się takiej odpowiedzi z mojej strony. I to nawet do tego stopnia, że wręcz zapomniał, jak bardzo jest na mnie zły (z resztą nawet nie wiem, za co, ale kto to wie, może kiedyś się dowiem...).

— A ty byś się nie rzucał, jakby właśnie się okazało, że twoi przyjaciele zaginęli? — wzruszam ramionami, próbując za wszelką cenę nie dopuścić do siebie niepokoję. — I nie wiesz, co takiego z nimi się stało? Tym bardziej, jeżeli podobna rzecz wydarzyła się twoim rodzicom?

Zwierzę uważnie lustruje mnie spojrzeniem.

— Uwierz, że wiem, co to znaczy — mówi po chwili milczenia, i robi to tak jakby... bardziej przyjaźnie.

Znowu zapada pomiędzy nami cisza. Tak ciężkiej jej wersji jeszcze nigdy nie musiałam znieść. Nawet, gdy po śmierci rodziców posłaniec wraz z przyjaciółkami przyniósł mi wieści o tym, co się wydarzyło i nikt zbytnio nie wiedział, jak ma mi to powiedzieć.

— Idę ich szukać — stwierdzam. — Dłużej nie zniosę tej niepewności — dodaję i zaczynam iść w kierunku miasta.

Ze dwa kroki dalej zostaję zatrzymana przez łapę smoka.

Zerkam na niego ze złością. Co on sobie wyobraża? A z racji, że kiedy powoli zaczynam wpadać w panikę, pozbywam się jakichkolwiek zahamowań, strach przed nim znika całkowicie.

— Co to ma niby znaczyć? — rzucam ostro.

„Widzisz, już zaczynasz mnie atakować — smok się najeża. I to nie tylko metafora, grzebień na grzbiecie też mu się podniósł, a w oczach pojawił się złowieszczy błysk. — Twoje geny dają o sobie znać. I dobrze radzę ci, nie próbuj żadnych numerów, jeżeli życie ci jeszcze miłe — obnaża ostre jak brzytwa zęby. — Chociaż, odważając się na zaangażowanie mnie w tą podróż, już zdążyłaś pokazać, że wcale tak nie jest” — dodaje po chwili namysłu, cały czas lustrując mnie wściekłym wzrokiem.

Wytrzymuję spojrzenie, choć czuję, jakby uszło ze mnie całe powietrze, albo nawet lepiej; jakby ktoś oblał mnie kubłem pełnym lodowatej wody, najlepiej z kawałeczkami lodu jako małym bonusem. Potrafię na zimno ocenić sytuację, i widzę, że właśnie popełniłam jedną z największych głupot w moim życiu. Smok zaczął się do mnie powoli przekonywać, a tak mi się przynajmniej zdaje, i ja, dosłownie w idealnym momencie, pokazałam moje wilcze kły (mimo tego, że ich nie posiadam), żeby mu dowieść, że miał całkowitą rację w swoich przypuszczeniach, choć i tak nie wiem, o co mu chodzi, i teraz na pewno dużo, dużo czasu zajmie odbudowanie tego czegoś, co jakimś cudem się pojawiło.

Czyli pięknie, mogę być na siebie totalnie wściekła. Zanotować na przyszłość — nigdy, ale to nigdy nie denerwować się bez większego powodu, nie warczeć na Mirt’Oshima i dwa, nie, nawet więcej razy przemyśleć, zanim cokolwiek powiem. Może wtedy uniknę takich sytuacji...

Kilka sekund później nie wytrzymuję i muszę odwrócić wzrok.

Mam dziwne wrażenie, że właśnie coś udowodniłam smokowi, i wcale nie jest to na moją korzyść...

* * *

Mniej więcej po jakiejś godzinie, akurat, kiedy zaczyna się zmierzchać, „zaginiona” dwójka pojawia się w bramie miasta.

— Ludzie, gdzie wy byliście?! — zrywam się na równe nogi i do nich podbiegam.

— Sprawy trochę się pokomplikowały — Bastian rzuca mordercze spojrzenie Larze. — Gdyby nie ona, byłibyśmy co najmniej dwie godziny wcześniej. Jak nie więcej!

— A cóż takiego się stało? — na szczęście już nie jestem tak bardzo zdenerwowana, jak byłam z godzinkę temu. Starcie ze smokiem zdecydowanie mnie ochłodziło, więc teraz mogę przyjąć to całkowicie na zimno. To chyba jedyny pożytek z tej sytuacji...

— Znowu się zgubiła — chłopak wzrusza ramionami.

— Serio? — patrzę na przyjaciółkę z niedowierzaniem. — Dziewczyno, weź mi powiedz, co ty chcesz tym osiągnąć?

— Po pierwsze, to wcale się nie zgubiłam — zauważa oburzona nastolatka — a po drugie to proszę mnie nie obrażać. Nie jestem już jakąś dwunastolatką z kompleksami, która próbuje zwrócić na siebie uwagę całego świata ucieczkami z domu.

— To skoro się nie zgubiłaś, to co niby zrobiłaś? — zerkam na nią z irytacją.

— Zostawiłem ją pod domem, bo chciałem spakować nasze rzeczy, a ktoś musiał przypilnować koni — wtrąca się ognistowłosa. — Kiedy pięć minut później wróciłem, na zewnątrz stał tylko Xawier, mój ogier... Ale najbardziej to ja nie rozumiem, jak można się zgubić, kiedy ma się nie odchodzić z miejsca?

— Mówiłam już, że się nie zgubiłam! — Lara robi się na niego coraz bardziej wściekła. — Ile razy mam ci to powtarzać? Odeszłam z Shibą, więc już to gwarantowało mi bezpieczeństwo, a z resztą wcale nie byłam sama! Po prostu Ardien niemalże na mnie wpadł, a w ramach przeprosin zaprosił mnie na kawę... Czy wszyscy w Arlesii są tacy mili? — zerka na mnie pytająco.

— Wszyscy — kiwam głową. No, może prawie, ale Ertex był wyjątkiem, jednym z niewielu. Wręcz bardzo niewielu.

„Dion, czy to normalne, że ona umawia się z kompletnie nieznanym chłopakiem?” — Bastian pyta mnie w myślach, uważnie na mnie spoglądając.

„Całkowicie — przytakuję. — Tak właściwie to umawiała się tylko z nieznanymi, znajomi się jej nudzą po jakiejś chwili”.

„Myślisz, że kiedyś zaangażuje się na poważnie?” — zaciekawia się chłopak.

„Nie mam pojęcia — ledwo zauważalnie kręcę głową, tak, że dostrzega to tylko on. — Ale z nią to można spodziewać się na serio wszystkiego. Kto jak kto, ale ona nie postępuje schematycznie. A przynajmniej pod tym względem...”.

— Co tak zamilkliście? — przyjaciółka patrzy na nas z zaskoczeniem. Widać wyczuwa, że w jakiś sposób się porozumiewamy, ale nie wie dokładnie, o co chodzi.

— Nic, nic — kręcę głową. — No ale słucham, mówiłaś o tym chłopaku... — zagajam, chcąc odwrócić jej uwagę od wymiany myśli. Jeżeli by się o tym dowiedziała, to na pewno drażyłaby temat, a ja teraz nie mam siły na jakiegokolwiek tłumaczenia. A jak ona będzie opowiadała o chłopaku, którego dopiero co poznała, będę mogła się odprężyć i nie myśleć tak właściwie o niczym.

Zauważam, że ognistowłosa przewraca oczyma. Czyżby nie lubił opowieści o innych chłopakach? Albo był o nią... zazdrosny? I znowu czuję powrót tego uczucia, wwiercającego się w umysł i wszystkie myśli za wszelką cenę... co wcale, ale to wcale nie jest przyjemne.

„Postaraj się o tym nie myśleć” — rozkazuję sobie, próbując odzyskać samokontrolę nad swoimi uczuciami. Kiedy uczył mnie tego Estive, nie miałam z tym żadnego, choćby najmniejszego problemu. Ba, potrafiłam to zrobić nawet

w momencie, w którym mój ex próbował mnie zabić. Ale w chwili, w której poznałam Bastiana, wszystko się zmieniło. Zupełnie, jakby jego pojawienie się sprawiło, że to, co było jedną z nauk, które mogły mi przejąć obowiązki rodziców po ich śmierci, zniknęło. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to uważam, że dzięki temu jestem sobą bardziej, niż byłam wcześniej.

A może to się zaczęło jeszcze prędzej, kiedy po raz pierwszy zrobiłam coś, w czym była wyłącznie moja korzyść?

Nie mam pojęcia. Najważniejsze, że teraz jestem z tego szczęśliwa. I patrząc wstecz, tej decyzji nigdy, ale to przenigdy bym nie zmieniła...

— ...i mówię wam, on definitywnie jest przesłodka — tak zajęłam się swoimi myślami, że kompletnie nie zwróciłam uwagi na opowiadanie Lary co do chłopaka, którego dopiero co poznała. Trudno, kiedyś go poznam i wyrobię sobie własną opinię na ten temat. A jeśli go nie poznam, to drugie dobrze. — A ty co myślisz, Dion? — ni z tego, ni z owego zwraca się do mnie.

I tu mnie ma. Nie mam bladego pojęcia, co jej odpowiedzieć. Cóż, jakie by tu ogólniki podać, które zazwyczaj sprawdzają się w przypadku każdego chłopaka w Arlesii i takiego, w którym mogłaby się zadurzyć moja przyjaciółka?

Ognistowłosa doskonale zauważa moje zakłopotanie (przez te nieszczęsne pasemka, oczywiście) i z lekkim uśmieszkiem przygląda mi się, zapewne zastanawiając się, jak z tego wybrnę...

— No cóż, ja po tym opisie uważam, że jak każdy, którego do tej pory poznałaś, będzie bardzo sympatyczny, akurat na krótkotrwałą znajomość... — staram się na tyle ostrożnie dobierać słowa, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób urazić przyjaciółkę.

Ale jak widać, z moich starań nic nie wyszło, bo dziewczyna patrzy na mnie zupełnie tak, jakbym właśnie ją obraziła, używając najbardziej wyszukanych słów.

Stojący obok niej chłopak spuszcza głowę, próbując ukryć szeroki uśmiech, który właśnie wpływa mu na twarz. „Ale wpadłaś”.

„Dziękuję, że powiedziałaś mi, o czym mówiła wcześniej” — mówię, nie mogąc powstrzymać się od lekkiego uśmieszku. Cóż, sytuacja jest, jakby nie patrząc, dość zabawna, choć wciąż nie wiem, o co chodzi.

— Wiesz co, ja cię słucham, jak masz mi coś ważnego do powiedzenia, a nie tylko udaję, że uważam — jej słowa jeszcze bardziej potwierdzają, że ominęłam coś bardzo ważnego.

— Ok., przepraszam i przyznaję, może faktycznie ciebie nie słuchałam — stwierdzam, próbując przybrać skruszoną minę. I coś mi się zdaje, że nawet udaje mi się całkiem nieźle... — Tak więc wybaczysz mi?

— No cóż... — ogromnym plusem dziewczyny jest to, że bardzo łatwo wybacza. I tak jest również tym razem. — Dobra, powiedzmy, że nic się nie stało. A wcześniej mówiłam ci, że chyba znalazłam kogoś, z kim chyba mogłabym się

związać na dłużej, a może nawet na zawsze...

W tym momencie czuję, jak dolna szczęka opada mi chyba do poziomu ziemi.

Dobra, przyznaję, że myślałam, iż kiedyś może ona się ustakuje, ale na pewno nie teraz. Szczerze powiedziawszy, to dawałam jej na to jeszcze jakieś... powiedzmy z siedem, może osiem lat, bo jednak każdy ma kiedyś ochotę na jakieś ustabilizowanie życia.

Nie mam pojęcia, co wpłynęło na nagłą zmianę jej zdania. Może odmienność osobowości Arleya, który zawrócił jej w głowie? Bo jednak trzeba przyznać, tutejsi faceci są inni, niż ci ze Stertilie. Bardziej zdecydowani, konkretniejsi, większość to prawdziwi gentelmani, i, co chyba najważniejsze, jeżeli chodzi o pierwsze wrażenie, o wiele, wiele przystojniejsi i to w taki dość konkretny sposób.

— No co? — nastolatka patrzy na mnie z ogromnym zaskoczeniem. — Myślisz, że to głupi pomysł?

— Nie, tylko... tylko nie spodziewałam się tego po tobie — wzruszam ramionami. — Ale jeżeli uważasz, że to na pewno ten jedyny, dlaczego nie? Ale pamiętaj, że faceci stąd są nieco inni, niż ci, których miałaś okazję poznać...

— Tym się akurat nie przejmuję — Lara wyraźnie oddycha z ulgą, że jej nie zganiłam. — Bo wiesz, Ardien ma w sobie to coś i nawet powiedział mi, że mu się spodobałam...

— Dziewczyny, kiedy ruszamy? — Bastian krzyżuje ramiona i patrzy na nas z lekkim zniecierpliwieniem. — Myślałem, Dion, że ci się spieszy...

— Niby i mi się spieszy, ale takie historie nie mogą czekać — posyłam mu czarujący uśmiech. — Ale jeżeli zależy ci, żeby już ruszać...

— Cóż, ja nie chcę wam przeszkadzać — chłopak wzrusza ramionami. — Choć im szybciej wyjedziemy, tym szybciej przejedziemy przez Seiten Gaye...

Czyli o to mu chodzi, uśmiecham się do siebie. Kto by pomyślał, że będzie się tak bał czegoś nowego i nieznanego... Tym bardziej, że z pozoru wygląda na takiego totalnie nieustraszonego...

— Dobra, Lara, to pogadamy o tym, jak staniemy na noc, bo lepiej zająć dzisiaj jak najdalej — kiwam głową, bo w sumie on ma rację. Już nie mówiąc o tym, że już od jakiegoś czasu się ściemnia, a na Vastertlie noc zapada bardzo szybko... — Jak podzieliliście nam bagaże?

— Każdy bierze swój komplet — nastolatka wskazuje na trzy, na szczęście niezbyt duże, plecaki.

— Nie kupiłem konia pociągowego, bo szkoda było mi męczyć jakiegoś czempiona, a tylko takie były akurat na sprzedaż — wyjaśnia ognistowłosa. — Dobrze przynajmniej, że tego nie jest dużo.

— Choć tyle... — kiwam głową, biorę to, co mi przypada, i... jakieś trzy kroki później łapie mnie potworny ból w nodze. Kurcze, a myślałam, że to też mi

przeszło... Ale trudno, teraz trzeba tylko nie dać po sobie tego poznać.

Mocno zaciskam zęby i powoli, spokojnie podchodzę do swojego smoka. Z wsiadaniem też mam „delikatny” problem, ale Mirt’Oshim o dziwo, i na moje ogromne szczęście, przypląszcza się do ziemi tak bardzo, jak tylko to możliwe, by ułatwić mi wsiadanie. Może wreszcie zaczyna się do mnie przekonywać...

„Nie licz na to — błyskawicznie gasi moje nadzieje. — Dla twojej wiadomości nawet dla osób, których szczerze nienawidzę, mam odrobinę litości. W zdecydowanym przeciwieństwie do twojej rodziny” — nie może się powstrzymać przed zjadliwym komentarzem. Najwyraźniej ciągle ma mi za złe to, jak na niego fuknęłam. Tego o rodzinie to ja nawet już nie wspominam, po prostu nie ma sensu, tym bardziej, że smok i tak mi nie zdradzi, o co mu chodzi, a przynajmniej, dopóki się do mnie nie przekona. Tylko kiedy to nastąpi...

„W takim razie dziękuję choć za to” — wzdycham i poprawiam się na jego grzbiecie. Siedziałam już na wygodniejszych rzeczach, jak mam być szczerą. Ale na początku Goldier też nie był fantastyczną podusią bez siodła, a udało mi się do niego bez problemu przyzwyczać. Może tu też tak będzie...

— Dion, staraj się lecieć na tyle blisko nas, żeby wiedzieć, jak się zatrzymamy — poleca Bastian. — Dzisiaj raczej nie uda nam się zajechać dość daleko...

— Co jak co, ale wzrok to ja mam dobry i potrafię coś zobaczyć z dużej odległości — mój środek transportu wcina mu się w słowo. Cóż, widać że nie tylko mi lubi dogryzać i oburza się na cokolwiek, co może być nawet delikatnym dogryzieniem.

— Dobra, sorry, nie chciałem urazić — chłopak obronnie unosi rękę. — W każdym razie jak ja i Lara się już zatrzymamy, to chciałbym was widzieć tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zwierzę tylko kiwa głową, nie racząc odpowiedzieć, i błyskawicznie wzbija się w powietrze, a ja muszę się porządnie przytrzymać jego grzbietu, żeby nie spaść. W końcu to dopiero mój trzeci lot, ale, żeby się pocieszyć, mogę spokojnie przyznać, że jest już dużo lepiej niż za pierwszym razem. Kiedyś zapewne uda mi się nabrać takiej wprawy, jaką mają już moje przyjaciółki, i którą demonstrują na każdym zjeździe podczas wspólnej smoczej wycieczki. Mi nigdy nie było dane lecieć z nimi. I coś mi się zdaje, że to się nigdy nie zmieni, tym bardziej, że nasza wspólna przygoda z Mirt’Oshimem ma się skończyć tuż po doleceniu do Seiten Gaye. A z resztą, nawet nie wiem, kiedy będzie kolejny zjazd i czy będę w nim uczestniczyć. Nie mam przecież pojęcia, jak w ogóle uda mi się rozegrać sprawę z Ertexem...

Kilka sekund później jesteśmy już na dość sporej wysokości i widzę, jak dwójka moich najlepszych przyjaciół w pełnej prędkości, jakie potrafią osiągnąć zwyczajne ardyliany bez męczenia się (to znaczy coś około 170 km/h) rusza na

północny wschód, zapewne w kierunku Zesten, jednego z miast Arlesii. Właśnie stamtąd pochodzą najgenialniejsi projektanci mody, a rok w rok odbywają się tam słynne na cały kraj pokazy mody, gdzieś tak około pod koniec maja. Może uda nam się załapać na tegoroczny, bo coś mi się zdaje, że akurat przyjedziemy idealnie na czas...

Ale nagle moją uwagę zwraca całkowicie co innego. Ze dwa kilometry od Listeshire, akurat za wzgórzem, które zasłania wszelki widok na południe, ukryła się cała armia ymuli. W pełnym uzbrojeniu, gotowa do ataku o każdej porze.

Mój instynkt zaczyna działać błyskawicznie, nawet bez zapytania się rozumu o zgodę.

Pochyliłam się do przodu i skręcam smoka w kierunku wroga. Jeżeli dzieje się tam coś poważnego, powinnam zareagować. Nawet za cenę powrotu do gry, czego jak na razie chciałabym uniknąć...

Zwierzę o dziwo się mnie słucha i błyskawicznie pokonuje odległość dzielącą nas od wojowników. To jest po prostu genialne, i, tak szczerze, to nawet lepsze od jazdy konnej, i to w pełnej prędkości Goldiera (400 km/h). Oczywiście nigdy bym mu tego nie powiedziała, obraziłby się na mnie jeszcze bardziej niż w dniu mojego wyjazdu z Arlesii.

Kilka sekund później Mirt'Oshim zawisa nad zaskoczonymi żołnierzami, którzy pokazują nas palcami. Wiem, że mnie nie zauważyli, bo wtedy reakcje byłyby nieco inne.

Ale sytuacja zmienia się diametralnie dosłownie w ułamku sekundy. Na twarzach ymuli pojawia się nienawiść, a w ich dłoniach pojawiają się łuki ze strzałami wymierzonymi centralnie w nas. Po ich napięciu widzę, że wyraźnie czekają na czyjś rozkaz.

I wtedy dzieje się coś, przez co całkowicie uchodzi ze mnie powietrze. Z jednego z namiotów wychodzi... piękna, siedemnastoletnia dziewczyna o mlecznobiałej skórze, czarnych włosach z białymi pasemkami, tak około 170 cm wzrostu i niezwykle intensywnych, fioletowych oczach z bardzo długimi, czarnymi rzęsami, ubrana w bogato zdobioną zbroję, z mieczem ze złotą rękojeścią wysadzaną kamieniami szlachetnymi. Jednym słowem, patrzę na siebie, tyle, że w wersji bez typowych cech wyglądu lumii.

Jestem tak totalnie zaskoczona swoim widokiem tam, na dole, w wojskowym obozie ludzi cienia, że niemalże spadam ze smoka. Niemalże, bo ten w dosłownie idealnym momencie unosi jedno skrzydło do góry, by do tego nie dopuścić. To wystarczająco przywraca mi przytomność i trzeźwe myślenie.

„Spadamy stąd!” — drę się do niego w myślach, wiedząc, że nic tu po nas. I akurat, gdy zwierzę robi błyskawiczny zwrot, wojownicy zwalniają cięciwy (widać ta ja, która jest na dole, wydała im rozkaz ataku) i w naszym kierunku leci deszcz strzał. Na szczęście mój środek transportu jest zbyt szybki, by coś takiego

go trafiło, ale to jeszcze bardziej uświadamia mu powagę sytuacji i powoduje gwałtowne przyspieszenie.

Gdy znajdujemy się poza polem rażenia, smok zatrzymuje się i razem ze mną obserwuje, jak cała armia cieniolutnych prędko ustawia się w szyku bojowym i rusza w kierunku Listeshire.

I nagle mam przebłysk geniuszu — udaje mi się ogarnąć, o co tu chodzi. Właśnie mam przywilej obserwować kolejne, spektakularne „zwycięstwo” mojego ex.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami kilkanaście minut później wojsko zostaje zauważone przez strażników stojących na murach. Ich stanowisko jeszcze nigdy nie okazało się specjalnie potrzebne (informowania o przybyszach i wpuszczania ich do miasta nie liczę), ponieważ jeszcze ani razu w historii żadne miasto nie zostało napadnięte. Niestety, wygląda na to, że dziś to się zmienia...

Niemalże od razu za murami wybucha panika. Nic dziwnego, założę się, że identycznie zachowywali się ludzie w Xerionie. I tak samo, jak i tam (a przynajmniej z tego, co wiem od posłańca) jakąś minutę później z bramy wypada przystojny mężczyzna, dosiadający powietrznego (z przewagą bieli) ardyliana i sam jeden, z obnażonym i wyciągniętym w górę mieczem, zaczyna galopować w kierunku wrogich oddziałów.

Gdy obserwuję całą tę farsę i widzę, jak wśród ymuli rośnie zamieszanie i jak ruszają do ucieczki, zastanawiam się, czy mam się śmiać, czy płakać.

Z jednej strony to jest dla mnie tak głupie i komiczne, jak Ertexowi udaje się omamić łatwowiernych ludzi tak tanimi sztuczkami, totalnie łatwymi do przejrzania, ale z drugiej strony, gdy przypomnę sobie, jak bardzo zranił mnie i że w tamtym wypadku też zastosował podstęp, bazując na niesamowitej pewności siebie i uroku osobistym, którego (choć przyznaję to bardzo niechętnie) mu nie brakuje, to...

„Chcesz patrzeć, jak ten idiota staje się bohaterem w kolejnym mieście, czy możemy już zabrać się za szukanie twoich przyjaciół?” — szorstki głos Mirt’Oshima przywraca mnie do rzeczywistości.

„Lećmy” — decyduję i smok wykonuje moje polecenie.

Nie mogę się jednak powstrzymać przed oglądaniem za siebie, a przed oczyma ciągle stoi mi obraz mnie w obozie ludzi cienia. O co tu chodzi, pytam się?! Po jakiego groma jakaś teyka przybrała moją postać i teraz jest wśród osób, które wkrótce mieszkańcy całej Arlesii będą uważać za śmiertelnych wrogów? Czy Estive o tym wie?

Mogę być stuprocentowo pewna, że te pytania nie dadzą mi spokoju, dopóki nie znajdę na nich odpowiedzi. I z racji, że się na to prędko nie zanosz, to ten lot na pewno nie będzie dla mnie odprężeniem, na jakie liczyłam (poza uważaniem na utrzymanie równowagi na grzbiecie zwierzęcia, oczywiście).

Czyli mogę spokojnie spodziewać się długiej podróży...

Rozdział XVIII

— Ej no, Dion, proszę, chodźmy do miasta — Lara robi oczy kota ze Shreka, błagając o coś, na co nie mam najmniejszej ochoty. — Słyszałaś sama, co mówił Bastian, w tym tygodniu są tam pokazy mody, a wiesz, że ja czegoś takiego nie przepuszczę za nic!

— Słyszałam doskonale — odpowiadam, równocześnie zastanawiając się, po co on jej o tym wspominał. Chyba po to, żeby zamęczyła mnie na śmierć swoim gadaniem! — Ale nie rozumiesz, że dzisiaj dopiero się zaczęły i jutro też będą? Dlaczego aż tak ci się spieszy?

— Przede wszystkim dlatego, że podobno dzisiaj najlepsi projektanci mają prezentować swoje stroje, w tym ci, którzy tworzyli na potrzeby poprzedniej królowej — jęczy dziewczyna. — A po drugie, jutro z samego rana wyjeżdżamy, przecież chcecie jak najszybciej przejechać przez Seiten Gaye, czyż nie?

— Mi to akurat nie robi wielkiej różnicy, czy zabawimy tam godzinę, czy może tydzień — wzruszam ramionami. — Ale jeżeli na serio ci zależy, to zawsze możesz z nim podyskutować, kto wie, być może się zgodzi na mały poślizg...

— Już gadałam i powiedział, że nie ma szans, żebyśmy zostali dłużej, więc albo zabierzesz mnie tam dzisiaj, albo obrażę się na ciebie na śmierć — dziewczyna krzyżuje ramiona, chcąc wyglądać na totalnie nieustępliwą.

— A dokładniej na pięć sekund, albo dopóki stąd nie pojedziemy — mruczę pod nosem. — Dobra, niech ci będzie, zaraz pójdziemy — dodaję głośniejszym głosem, a na twarzy nastolatki pojawia się szeroki uśmiech, zupełnie taki, jakby ktoś właśnie dał jej najcudowniejszy prezent, o jakim kiedykolwiek marzyła.

— Dziękuję, Dion, jesteś najwspanialszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam — rzuca mi się na szyję i przez to nieomal ląduję na podłodze.

— To w takim razie daj mi się jako-tako ogarnąć — mówię i przyklękam przy walizce, w którą przyjaciel spakował mi te ciuchy, co kupiłam w Listeshire.

Większej zachęty Lara nie potrzebuje i natychmiast wychodzi z mojego namiotu.

Ja natomiast, zamiast zacząć grzebać w pakunkach, jak to ktoś mógłby się spodziewać, ukrywam twarz w dłoniach. Co ja najlepszego narobiłam! Przecież w Zesten, nie wspominając o Krajowych Dniach Mody, na pewno znajdzie się ktoś, kto mnie rozpozna. Tym bardziej, że znając towarzyszącą mi siedemnastolatkę, pójdzie tam, gdzie będzie największy tłum, to raz, po drugie, tam, gdzie będzie największy tłum na sto procent swoje dzieła będą prezentowali najlepsi, i wreszcie po trzecie, najlepsi zawsze byli ci, którzy zajmowali się garderobą i ogólnie wyglądem poprzedniczki obecnej królowej. Jednym słowem, jeżeli nie natknę się na nikogo znajomego, to będzie cud.

Ale z drugiej strony, to może nawet nie będzie tak źle... Z tymi różowymi włosami, które zafundowała mi przyjaciółka, mało kto może mnie rozpoznać.

Cóż, i tak wychodzi na to, że nie dowiem się, dopóki nie spróbuję i dopóki nie okaże się, jak to wyszło w rzeczywistości.

Po chwili walczenia z myślami wychodzę na zewnątrz. Nastolatka z wyraźną niecierpliwością na mnie czeka, i kiedy tylko mnie zauważa, wyraźnie oddycha z ulgą.

— Nie gadaj, że myślałaś, że już nie przyjdę — zerkam na nią ze zdziwieniem.

— Po tobie można spodziewać się dosłownie wszystkiego — wzrusza ramionami. — To jak, idziemy? Już nie mogę się doczekać, jak posmakuję takiej prawdziwej mody twojej ojczyzny — uśmiecha się do mnie.

— Tylko wiesz, żebyś się nie zdziwiła — stwierdzam. — Większość ciuchów jest bardzo podobna to tych najsłynniejszych marek typu Chanel, Prada, Gucci...

— I co z tego? Tamtych też specjalnie często nie widywałam — jak to jest, że ona zawsze znajdzie jakiś argument, i do tego taki, na który nie da się odpowiedzieć?

— Dobra, w takim razie chodź — zaczynam iść w kierunku miasta, nawet się na nią nie oglądając.

* * *

— Jakby co to trafisz do obozu? — patrzę pytająco na nastolatkę.

— Jasne, że trafię, o mnie się nie martw — kiwa głową. — Tylko zastanawiam się, dlaczego nie chcesz pójść ze mną, może udałoby ci się znaleźć jakieś fajne ciuchy...

— Nie przepadam za takim tłumem — stwierdzam, rozglądając się dookoła po potwornie zatłoczonym głównym rynku. „A szczególnie, że na każdym kroku ktoś może mnie rozpoznać, co mi się specjalnie nie uśmiecha”, dodaję w myślach.

— Dobra, jak uważasz — Lara najwyraźniej stwierdza, że nie ma najmniejszego sensu mnie przekonywać, kiedy wyraźnie czegoś nie chcę. — Ale nie martw się, jak nie wrócę na dobranockę — mruga do mnie okiem.

— Ja zacznę się martwić gdzieś tak dopiero przed piątą — wzruszam ramionami. W tym momencie chcę jak najszybciej już zostawić ją samą i wybyć z miasta. Mam wrażenie, że za każdym rogiem czai się ktoś, kto mnie zna i jest gotów mnie zdemaskować. — To w takim razie baw się dobrze i tylko spróbuj się spóźnić na odjazd, to zostawimy cię samą! — ostrzegawczo unoszę palec.

— Wtedy jakoś sobie transport załatwię — nastolatka chyba nie pojmuje powagi sytuacji. — Nie martw się, na pewno zdążę — uspokaja mnie, po czym

odwraca się i tradycyjnie zaczyna iść w stronę największego tłumu.

Zupełnie tak, jak przypuszczałam.

Przez moment obserwuję ją, podczas gdy podchodzi do namiotu Mitteriana Elevaio, najslawniejszego projektanta mody w całej Arlesii. Tego samego, który zaprojektował strój koronacyjny czternastoletniej wówczas królowej, i który przez całą jej karierę władczyni (co prawda krótką, bo trwającą nawet niecały rok) projektował dla niej najwspanialsze stroje dosłownie w całej historii Arlesii.

Jakąś sekundę później zauważam jego wyrazistą sylwetkę przy wejściu.

Błyskawicznie odwracam się, równocześnie starając się, żeby wyglądało to naturalnie. Bo jeżeli on mnie zauważył, to...

Kilka minut później jestem w jakiejś totalnie wyludnionej bocznej uliczce i wreszcie mogę odetchnąć z ulgą. Tu na pewno nie trafię na nikogo znajomego, szczególnie, że teraz w tym miejscu nie znajdziesz ani jednej żywej duszy.

Odwracam jeszcze wzrok, chcąc spojrzeć na światła strzelające w niebo światła, oczywiście nie przestając iść... i ni z tego ni z owego na kogoś wpadam.

— Uważaj trochę — mruży lekko oburzony damski głos, po czym świeci mi w twarz latarką. To wcale nie jest przyjemne, tak zniechęcająco zostać oślepionym.

Jakąś sekundę później słyszę, jak to coś, co uniemożliwia mi normalne patrzenie, wyslizguje się z rąk dziewczyny, po czym uderza o bruk.

— Matko jedyna, Lu, to ty! — zostaję zaatakowana przez kogoś, kto zamyka mnie w niezwykle mocnym, silnym uścisku i znów wywraca.

Kiedy białe plamki znikają mi z oczu, jestem w stanie rozpoznać, że to jedna z moich najlepszych przyjaciółek, tak bliskich, jak siostry. A dokładnie to Rori we własnej osobie.

Niemalże od razu czuję, jak po policzkach zaczynają płynąć mi łzy.

Lumia zachowuje się identycznie, więc po chwili razem siedzimy na kocich łbach, płacząc z radości spowodowanej spotkaniem i ściskając się, zupełnie, jakby jedna z nas właśnie powróciła do grona żywych. Cóż, tak szczerze mówiąc, to chyba właśnie tak się stało...

— Ro, nawet nie wiesz, jak ja tęskniłam — wyszlochuję. — Ale wiesz, obiecałam, że wrócę... — uśmiecham się szelmowsko przez łzy.

Jedyną odpowiedzią ze strony przyjaciółki jest jeszcze większy płacz i jeszcze mocniejszy uścisk.

Kilka minut później udaje nam się jako tako ogarnąć.

— Lu, wiesz, jak bardzo nam cię brakowało? — siedemnastolatka pomaga mi wstać, po czym odsuwa mnie od siebie na odległość ramion. — Dziewczyno, jak ty wypiękniałaś... — stwierdza z podziwem.

— Albo raczej dorosłam — mrugam do niej okiem. — Jednak to już nie to samo, co dwa lata temu... Teraz już taka głupia nie jestem — lekko pochmurniej.

— Powiem ci, że jak zniknęłaś, to żadna z nas nie wierzyła, że dotrzymasz obietnicy — nastolatka papła, zupełnie, jakby nie zauważyła mojej zmiany nastroju. — Wszystkie byłyśmy pewne, że coś ci się stało po drodze, albo, że Ertex cię... — urywa.

— Ja zawsze dotrzymuję obietnic — mówię.

— Nikt nie jest w stanie dotrzymać obietnicy po śmierci — stwierdza filozoficznie. — Nawet ty, Lumino.

— Ale jeszcze żyję i nic nie zapowiada jakiegokolwiek zmiany — wzruszam ramionami, cały czas szeroko się uśmiechając do przyjaciółki. — A co tam u reszty? Opowiadaj, dużo się zmieniło?

— Cóż, wszystkie strasznie za tobą tęskniłyśmy... — Rori zamyśla się na chwilę. — Oprócz tego to wszystkie mamy chłopaków, choć to akurat specjalnie dziwne nie jest... Poza tym jeszcze do naszej paczki doszła Aira, mam nadzieję, że się nie gniewasz...

— No coś ty, im nas więcej, tym weselej — delikatnie ją szturcham. — A poza tym jeszcze jakieś zmiany?

— Cóż, chyba zdążyłaś już usłyszeć o tym, cóż takiego wspaniałego zrobiła twoja kochana kuzyneczka?

— Zdążyłam — kiwam głową. — Ale jak dla mnie to wcale nie było takie głupie, żałuję tylko, że nie zdążyłam tego ogłosić sama. A szkoda, bo to była pierwsza rzecz, jaką chciałam zrobić po ślubie... — zamyślam się na moment.

— Cóż, zamiast ciebie zrobił to ktoś inny — nastolatka macha ręką. Nie wiedziałam, że temat mojego ex i wszystkiego, co jest z nim związane, nagle stało się tabu... — Chodź, obowiązkowo musisz spotkać się z dziewczynami — lumia łapie mnie za ramię i ciągnie w stronę głównego placu. — Nawet nie wiesz, jak bardzo będą zaskoczone. A z resztą, wszyscy będą!

— Wiesz, Ro, żeby to było takie proste... — wzdycham i delikatnie wyswobadzam się z jej uścisku. — Chodzi o to, że ja nie mam najmniejszego zamiaru wracać tak oficjalnie. A przynajmniej nie teraz. Widzisz, na Stertilie już przyzwyczaiłam się do braku ograniczeń i w ogóle wszystkiego w tym guście i specjalnie nie uśmiecha mi się znowu dopasowywać do zasad, które na sto procent musiałabym zacząć przestrzegać.

— Lu, ale przecież... — przyjaciółka wygląda na totalnie zaskoczoną. — Przecież to jest twój obowiązek! Nie pamiętasz, jak twoi rodzice mówili ci, że najważniejsze jest...

— Dobro innych, tak wiem — powoli ta rozmowa zaczyna mnie irytować. — Ale mam ci przypomnieć, co ty sama mówiłaś mi na temat tej samej kwestii, gdy zamiary Ertexa wyszły na jaw?

— Tyle, że to było co innego — Rori orientuje się, że zapędziłam ją w kozi róg. — Wtedy chodziło o twoje życie albo śmierć, a teraz...

— A teraz chodzi dokładnie o to samo! — wybucham. — Ba, powiem ci więcej, teraz chodzi o być albo nie być wszystkich Odmiennych, więc w tym wypadku kieruję się dobrem innych. Nie słyszałaś o planach tego idioty?

— Coś tam niby słyszałam... — siedemnastolatka nie wygląda na szczególnie przekonaną. — Ale nawet on nie byłby tak głupi. Poza tym, jemu zdecydowanie bardziej zależy na chronieniu wszystkich mieszkańców Arlesii. Słyszałaś, jak uratował już całe dwa miasta?

— Żartujesz sobie, prawda? — patrzę na nią z ogromnym zaskoczeniem. — No nie gadaj, ciebie też udało się mu przekabacić? Dziewczyno, weź ty się ogarnij!

— No coś ty, przecież wiem, że to totalny drań — zaprzecza błyskawicznie, po czym się zamyśla. — Ty, faktycznie! Matko jedyna, prawie mnie przekonał, że znowu nie udaje!

— Tak więc najlepiej się obudź — lekko klepię ją w policzek.

— Ale w takim wypadku to ja nie rozumiem ciebie — odsuwa się ode mnie, mierząc mnie lekko nieufnym spojrzeniem. — Lu, jeżeli on chce zrobić coś tak okropnego, i próbuje wywołać rewolucję, ratując miasta przed ludźmi cienia, nie będę wnikać, jak ich przekonał do robienia takich rzeczy, to przecież twoje pojawienie się na pewno położy kres wszystkim problemom!

— Coś mi się zdaje, że to nie jest takie proste — kręcę głową przecząco. — I tu już nawet nie chodzi o mnie, o to, co powiedziałam ci wcześniej. Dobra, zgadzam się, nie chcę wracać, ale jakbym musiała, jak będę musiała, to na pewno to zrobię. Tylko ja po prostu mam wrażenie, że on przewidział to, że ja kiedyś tu się pojawię i w jakiś sposób się na to zabezpieczył. Zrobił coś, co od razu, na starcie stawiałoby mnie na przegranej pozycji...

— I niech zgadnę, masz zamiar odkryć, co to takiego? — przyjaciółka patrzy na mnie uważnie. — To do ciebie podobne, Lu. W każdym razie, masz moje pełne wsparcie, jeśli o to chodzi, tak samo wszystkich lumii, a przynajmniej z naszego okresu, to ci spokojnie mogę powiedzieć za naszą czterdziestkę.

— Dzięki, kochane jesteście — podchodzę do niej i mocno ją ściskam. — A najgorsze jest to, że czas leci nieubłaganie i nawet nie wiem, ile jeszcze mi go zostało...

— Masz jakiś plan? — Rori wydaje się być zaintrygowana. No cóż, powinnam przywyknąć, że zawsze to, co ja wymyślałam, było dla nas największą zabawą...

— Na razie chcę dostać się do stolicy, poza tym nie wiem nic więcej — wzdygam. — Jeszcze na dodatek na ten świat zabrała się ze mną przyjaciółka ze Sterilii, mimo tego, że miała zostać, i teraz jeszcze muszę jej pilnować... A na dodatek jak w Listeshire poznała jakiegoś chłopaka, to teraz gładzi mi tylko o nim, po prostu zwariować można! Wiem tylko tyle, że jak ją i Bastiana, naszego przewodnika, zostawię w Dminestil, na pewno będę bardziej dyspozycyjna i coś się

wymyśli. Już nie wspominając, że muszę zajechać do Seiten Gaye po Goldiera.

— I zostaniesz na dłużej, bo za parę dni mamy zjazd — Ro unosi palec w górę. — Wiesz, jak rok temu bez ciebie było nudno? I uważaj, żeby twój ogier nie obraził się, że znalazłaś sobie inny środek transportu — dodaje po chwili namysłu.

— Do niego to podobne — uśmiecham się pod nosem. — Ale nie martw się, nie dowie się. Nie chcę ryzykować ponownej obrazy. A z tym zjazdem to konkretnie kiedy, mordko?

— Konkretnie za jakieś trzy dni. Akurat wtedy, kiedy powinnaś dojechać do Seiten Gaye.

— No to super, na pewno wpadnę — mój uśmiech znacznie się poszerza. — Może wreszcie uda nam się zapełnić szóstkę.

— Z Airą to pewne — mruga do mnie. — I jakby co, to nie zapomnij, że teraz twoja kolej na legendę, więc lepiej przygotuj coś ciekawego po drodze...

— Już myślałam, że o tym zapomnieliście — lekko się krzywię.

— Nie licz na to, siostró — klepie mnie po ramieniu. — O której wyjeżdżacie z Zesten? Szkoda, że nie pójdziesz ze mną na pokazy...

— Z tym się zgodzę, szkoda — kiwam głową. — Stęskniłam się trochę za tymi totalnie wyszukanymi i drogimi strojami... Ale to może w następnym sezonie...

— W następnym sezonie to obowiązkowo, pojedziemy choćby nie wiem co. A wtedy to zobaczysz, będzie super, łażenie od stoiska do stoiska, uczestniczenie w pokazach mody...

— Przecież wiem — lekko ją szturcham. — Zobaczysz, będzie totalnie fantastycznie. A teraz to już leć, kochana, nie będę cię zatrzymywać, bo jeszcze ci najlepsze kreacje wykradną.

— Nie ma szans! — oburza się lumia, po czym jeszcze raz gorąco mnie ściska. — W takim razie powodzenia, mordko, w tym, co planujesz. Pamiętaj, że zawsze masz nasze wsparcie!

— Będę pamiętać, nawet nie wiesz, ile ono dla mnie znaczy — odpowiadam z wdzięcznością, równocześnie odwzajemniając uścisk. — I jeszcze jedno; przekaż dziewczynom, że mają spodziewać się wyjątkowego gościa, ale nie mów, kogo. Chciałabym zrobić prawdziwe wejście wilka na początku zjazdu!

— Masz to u mnie jak w banku — na jej twarzy pojawia się szelmowski uśmiech, gdy tylko ogarnia, o co mi chodzi. — Widzisz, właśnie o to mi chodziło z tymi twoimi genialnymi planami! — oświadcza, po czym odwraca się i odchodzi w kierunku głównego placu. Tak to jest z nami, wilczyce nigdy nie lubiły pożegnań...

„Ta, świetne genialne plany — pry cham do siebie w myślach. — Genialny plan to ja będę miała, jak ogarnę, jak mam z tego wybrnąć, a na to się nie zanos.

Żeby ja tylko wiedziała, po co Ertex namówił tamtą teykę do przyjęcia mojej postaci, to już byłoby coś...”.

Ale przynajmniej dobrze, że wiem o zjeździe, to przynajmniej spędzę tydzień w świetnym towarzystwie. I, z racji, iż co dwie (a co dopiero sześć) głowy to nie jedna, to może udałoby się nawet rozgryźć plan mojego ex. Bo co prawda już mi cosik chodzi po głowie, ale to jest tak totalnie nieprawdopodobne, że raczej nie może być możliwe...

Tak się zagłębiając w swoich rozmyślaniach, że nawet nie zauważam, jak wychodzę z miasta. Czyli muszę sobie mniej więcej ułożyć plan działania na następne dwa dni...

No więc tak, obiecałam Larze, że zobaczy pasące się razem araby i ardyliany i tej obietnicy nie będzie trudno dotrzymać, jak tylko będziemy na równinach Xetes tak gdzieś z dziesięć kilometrów za Zesten... Tam też pokażę jej louliny polujące na świetliki, bo to jest totalnie niezapomniany widok i dosłownie każdy musi obejrzeć ten niesamowity spektakl, ale to najlepiej będzie w nocy. Dobrze, że te małe, urocze jaszczurki można znaleźć dosłownie wszędzie, więc to też nie problem.

Tak właściwie, to skoro będzie zjazd, to Bastian z Larą mogą pojechać bezpośrednio do stolicy i odbiją jeszcze przed Gajem Cudów, za to Mirt'Oshim zanieś mnie tylko do polany u stóp Tusteris, tam się rozstaniemy i nie będę musiała się przejmować się jego humorami. Tradycyjnie zajrzę jeszcze do Estive'a, żeby poprosić go o radę (wiadomo, żadna sposobność nie jest do tego zła, tym bardziej, że teraz pojawił się taki problem). Potem tydzień odpoczynku, błyskawiczna podróż do Dminestil na grzbiecie Goldiera (bo na pewno go odnajdę, innej opcji nie ma) i wtedy pomyślimy, co dalej...

Po kilku minutach układania sobie w głowie wszystkiego, co mam zrobić w najbliższym czasie wiem, że już mniej więcej ogarnęłam co i jak. Dopiero teraz mogę mniej więcej spokojnie zasnąć. A przynajmniej tak mi się wydaje. Bo kiedy tylko układam się w śpiworze, zamykam namiot i gaszę światło, już wiem, że dzisiejszej nocy szybko nie zasnę.

Wszystko dlatego, że gdy tylko zamykam oczy, to przed nimi staje mi obraz samej siebie w obozie ymuli, uznawanych teraz za śmiertelnych wrogów całej Arlesii...

Rozdział XIX

Rozglądam się dookoła z przerażeniem. Wiem, że nie mam gdzie uciec — z jednej strony cała armia ymuli, z drugiej rozwścieczeni mieszkańcy Arlesiie. Otaczają mnie dosłownie ze wszystkich stron, gdzieniegdzie słyszę mrozące krew w żyłach okrzyki „Zdrajczyni!”, „Zabić ją!”...

W pewnym momencie zauważam, że na szczycie jednego ze wzgórz, wyrastających ponad kotlinę, w której się znalazłam, staje niezwykle przystojny chłopak w wieku około dwudziestu trzech lat. Spogląda na mnie z wyższością, zupełnie jak drapieznik na dopiero co upolowaną ofiarę.

Po kilku sekundach przyglądania mi się, na twarzy wykwita mu pogardliwy uśmiech. I już otwiera usta, żeby jeszcze bardziej mnie poniżyć, jeszcze bardziej mi dopiec, udowodnić swoją rację... gdy nagle wszystko znika, a ja szeroko otwieram oczy, wpatrując się w totalnie zaniepokojoną twarz Bastiana.

— Co się stało? — patrzę na niego lekko nieprzytomnie, bo na razie jedynym, co do mnie dociera, to fakt, że wszystkie potworne wydarzenia, które właśnie przeżywałam, były snem.

— Lara zniknęła — właśnie tego nie chciałam od niego usłyszeć.

— No nieee... — jęczę i odwracam się do niego plecami. — Ja jej nie szukam — odmrukuje przez śpiwór.

— Chyba jej nie zostawimy, nie sądzisz? — chłopak przygląda mi się uważnie (a przynajmniej tak mi się wydaje, nie mam oczu z tyłu głowy).

— Jakbyśmy ją zostawili z raz, nauczyłaby się na przyszłość — wzdycham ciężko, ale mimo swoich oporów odkręcam się, siadam na śpiworze i powoli zacznę się z niego wyswobadzać. — Zaczekaj na mnie na zewnątrz.

Przyjaciółki kiwa głową i błyskawicznie wychodzi z namiotu.

Ja z kolei odkrywam, że wczoraj byłam tak zamyślona, że nawet się nie przebrałam, więc wygniotłam się jak nigdy. Cóż, w innych okolicznościach zapewne przejęłabym się tym bardziej niż teraz, bo zbywam to po prostu wzruszeniem ramionami. Są rzeczy ważne i ważniejsze. W tym przypadku znalezienie Lary i potem porządne jej ochrzanie są priorytetami.

Wygląd wyjątkowo nie gra większej roli (choć wiem, że takie stwierdzenie w ustach lumii jest niemalże bluźnierstwem).

Kilka sekund później wychodzę z namiotu. „Całkiem ładny świt — stwierdzam, patrząc na niebo w wielu niesamowitych odcieniach różowego, pomarańczowego i żółtego. — Na Sterilii nie ma takich pięknych widoków” — uśmiecham się szeroko, czując, że wzrasta we mnie coś w rodzaju dumy narodowej. Bo gdzie indziej niby znajdę tak fantastyczne rzeczy i w ogóle wszystko, co pochodzi z Arlesiie?

— Dion, wszystko jest w porządku? — Bastian zachodzi mnie od tyłu.

Jestem tak zaskoczona, że aż się wzdrygam, kiedy słyszę jego głos.

— Oczywiście — odwracam się do niego i uśmiecham się lekko. — To w takim razie, gdzie zaczynamy jej szukać?

— Nie mam pojęcia — kręci głową ze smutkiem. — Tak to jest, jak ktoś się wymknie z obozu po cichu i nawet nikomu nie powie, gdzie może się wybierać.

— Cóż... — coś mi się zdaje, że powoli zapędzam się w ślepią uliczkę.

Z jednej strony takie akcje były normalne w czasach wygłupów moich i innych lumii z naszego okresu (to znaczy czasu, z którego zbierają się wilczyce na wspólne zjazdy), ale z drugiej, chyba właśnie powoli coraz bardziej się pograżam w oczach ognistowłosego i tracę szansę na to, żeby ponownie poprosił mnie o chodzenie. Bo kto chciałby mieć za dziewczynę totalnie nieodpowiedzialną lumie, nie potrafiącą poradzić sobie nawet z własnymi, osobistymi problemami?

— Tak szczerze, to ja nie wiem, czy ona wyszła z obozu tak całkiem sama, niezauważona przez nikogo...

— Dion, nie mów mi, że... — chłopak patrzy na mnie, uważnie mierząc mnie wzrokiem tak intensywnym, jakby mnie prześwietlał.

Nie powiem, jest to bardzo krępujące.

— Tak, prosiła mnie o to, żebym zaprowadziła ją na główny rynek, nie mogła darować sobie pokazów. Tak, zostawiłam ją tam samą, bo stwierdziłam, że jest na tyle odpowiedzialna, by nie wpakować się w kłopoty, z resztą jak byłam dużo młodsza, bez przerwy robiłyśmy to z przyjaciółkami — wzdycham, ale na szczęście przypominam sobie moją rozmowę z dziewczyną, zanim mnie przekonała. — A z resztą, Lara sama mówiła, że rozmawiała z tobą i ty powiedziałeś, że nie ma szans na to, żebyśmy dzisiaj opóźnili wyjazd, więc jeżeli kiedykolwiek ma pójść zobaczyć coś z Krajowych Dni Mody, to tylko wczoraj wieczorem!

— Co? — nasz przewodnik jest totalnie zaskoczony tym, co mu właśnie oświadczyłem. — Ja nic takiego nie mówiłem! A przynajmniej, jeżeli chodzi o festiwal — zamyśla się na moment. — Bo ja znam wersję taką, że ona chciała spotkać się z Ardieniem... Dla pokazów moglibyśmy nawet zostać, ale jeżeli chodzi o takie sprawy... Wszystko w porządku? — pyta, zauważając zmianę w moim wyglądzie.

Zazwyczaj kiedy lumia położy uszy po sobie, najeży ogon a w moim wypadku jeszcze kolor pasemek z tak zwanego „naturalnego” dla koloru reszty włosów zmieni się na krwistoczerwony, biada temu, kto doprowadził tą wilczycę (w tym przypadku mnie) do takiego poziomu wściekłości...

— Zastanawiam się, kogo rozszarpać najpierw — mówię, starając się nie wybuchnąć. — Czy naszą kochaną przyjaciółeczkę, czy może jej chłoptasia...

— Aż tak źle? — ognistowłosa zupełnie niepotrzebnie zadaje to pytanie.

Chyba przecież widzi, w jakim stanie jestem!

— Nie, wszystko jest dosłownie idealnie — pry cham ze złością. — Nawet zdobyłabym się na wysiłek i go poszukała, wiesz? Jak można być takim głupim i nieodpowiedzialnym?! No sorry bardzo, chyba nawet największy idiota wpadłby na pomysł, że dziewczyna, której zawrócił w głowie ma kogoś, kto będzie się o mnie martwił. Nawet ja, bo choć nie mam rodziców, to zawsze mogę być pewna tych kochanych mordek z mojego okresu! — w tym momencie orientuję się, że powiedziałam odrobinę za dużo. Cóż, wcale nie mam zamiaru rozpowiadać wszem i wobec, że poza lumiami nie mam nikogo innego (Cinderly się nie liczy, prawie nie miałyśmy ze sobą kontaktu od jakichś trzech lat, odkąd zaczęłam mieć dość sporo poważnych obowiązków).

Po raz kolejny pokazałam, że jak coś porządnie mnie zdenerwuje, to nawet nie myślę o tym, co mówię. Samokontrola u mnie kuleje, nie ma co... Może Estive pomoże mi ją odzyskać, gdy się z nim spotkam.

Na moment zapada cisza.

Chłopak wyraźnie nie wie, co ma powiedzieć. Jednak co innego to nie znać swoich rodziców w ogóle, a co innego stracić ich po wielu latach...

— Może po prostu ich znajdziemy — stwierdzam, przerywając dość niezręczne milczenie. — Ja poszukam Lary tam, gdzie można byłoby spotkać parę. Trochę doświadczenia pod tym względem mam — lekko się krzywię. Jeżeli brak tego doświadczenia oznaczałby też brak tego bólu, który mój ex zafundował mi niecałe dwa lata temu i który funduje mi teraz, chętnie bym z tego zrezygnowała. — A ty skup się na głównym rynku i najruchliwszych uliczkach.

— Spoko, już idę — kiwa głową, ale najwyraźniej wcale nie zamierza tego zrobić. Wkłada tylko ręce do kieszeni spodni i bacznie mi się przygląda. Coś mi się zdaje, że wiem, co zaraz się stanie...

— Bastian, słuchaj, ja mówiłam ci już wcześniej, że... — zaczynam, ale ognistowłosa nie pozwala mi dokończyć.

— Wiem, jakie masz zdanie na ten temat, ale wiem też, że ja dłużej już nie wytrzymam — stwierdza. — Podobasz mi się ogromnie i nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ciężko znosić świadomość o tym, że to tylko przyjaźń, i że nie wiadomo jak długo ma tak pozostać.

— Mistral by cię zrozumiała — mruczę pod nosem. Już nawet nie chce mi się liczyć, ile razy byłyśmy wzywane do niej z powodu jej kolejnego, beznadziejnego zakochania. — Wiesz, chodzi o to, że ja po prostu się... boję — wyduszam to z trudem, ale taka jest prawda. — Po tym, co zrobił mi mój ex, jakoś chyba jeszcze długo nie zaufam żadnemu chłopakowi... Nawet temu, który uratował mi życie — uśmiecham się do niego smutno. — Proszę cię, nie bierz tego do siebie, na serio mi się podobasz, ale dopóki nie uporam się z tym, co we mnie siedzi, nie ma szans, żebym kiedykolwiek była w stanie być częścią szczęśliwego

związku. Bez względu na to, jak bardzo bym tego chciała, po prostu nie mogę. Jeszcze nie nadszedł na to czas... — odwracam się od niego, próbując ukryć łzy cisnące mi się do oczu. Dlaczego to tak potwornie boli? Przecież nie robię nic wbrew sobie...

— Jeżeli nie spróbujesz, nie dowiesz się, czy może przypadkiem właśnie ten czas nie nadszedł — podchodzi trochę bliżej.

— Po czymś takim? Wątpię! — ukrywam twarz w dłoniach.

— To może powiesz mi, w czym tkwi ten twój problem? — zauważam, że ognistowłosa powoli zaczyna się irtować moją postawą. Faceci z Arlesii czasami tak mają, jeżeli coś nie idzie po ich myśli. To była wręcz sztandarowa cecha Ertexa. Tylko ja, głupia i totalnie zakochana, tego nie widziałam... — We dwójkę na pewno będzie nam łatwiej go rozwiązać.

— Chciałabym, ale... — kręcę głową bezsilnie.

On nawet nie wie, jak bardzo chciałabym się pozbyć tego potwornego ciężaru, komukolwiek to wyznać... Co wcale nie jest takie proste. Nie potrafię zdradzić tego komuś, do kogo nie mam stuprocentowego zaufania. I wychodzi na to, że będę musiała z tym się męczyć jeszcze przez parę dni, do zjazdu. Bo dziewczynom powiem na pewno. My mówimy sobie o wszystkim. Nareszcie, po dwóch latach uda mi się tego pozbyć! — Ale po prostu nie mogę.

— Nie ufasz mi — doskonale wyczuwa, co mam na myśli. — Spoko, rozumiem, że to musi być coś, o czym nie mówi się osobie poznanej przed kilkoma dniami. Ale przemyśl sobie moją propozycję i wiedz, że ona jest zawsze aktualna. Nawet, jeżeli zmienisz zdanie za parę godzin. Nie będę dociekał, dlaczego.

— Dziękuję — w tym momencie robię coś co totalnie zaskakuje chłopaka, a mnie chyba jeszcze bardziej od niego; mianowicie podchodzę do niego i mocno się przytulam. Ułamek sekundy później odwzajemnia mój uścisk.

— Wow, niesamowite — głos przyjaciółki sprawia, że odskakujemy od siebie dosłownie w ułamku sekundy. — Kto by pomyślał, że ta noc będzie tak sprzyjała zawieraniu związków... Najpierw ja i Ardien, potem wy...

— My nie jesteśmy parą — prostuję niemal natychmiast. Potem łapię, co dziewczyna właśnie powiedziała... — Jak to „ty i Ardien”?

— Dokładnie, jesteśmy parą — Lara kiwa głową, uśmiechając się z dumą. — I wcale nie obchodzi mnie to, co sobie myślisz, Dion. Tak, dokładnie zdaję sobie sprawę, że znamy się zaledwie dobie, ale to jest prawdziwa miłość, a nie jakieś zauroczenie czy zwyczajny flirt. Nigdy nie miałaś tak, że od początku wiedziałas, że to ten jedyny?

— Raz miałam — spuszcza głowę. — Ale wiele mnie to potem kosztowało. Tak więc nie dziw mi się, że nie ufam takim sytuacjom.

— Ej, no serio? — mam dziwne wrażenie, że ktoś ją jakoś podbuntował przeciwko mnie. A konkretnie przed moją troską... — To, że tamten chłopak cię

zdradził, nie znaczy, że każdy taki jest. I spoko, rozumiem, zdrada boli, ale chyba nie będziesz roztrząsać tego w nieskończoność?

— On mnie nie zdradził — mówię ledwo słyszalnym głosem. Mam dziwne wrażenie, że właśnie te słowa mojej przyjaciółki przełamały jakieś bariery, które trzymały to wyznanie w szachu. — Chciał mnie zabić, kiedy nie byłam już mu potrzebna, gdy osiągnął swój cel. Dlatego uciekłam z Vastertilie. Uważasz, że to nie jest wystarczający powód, by roztrząsać go może i nie w nieskończoność, ale jeszcze przez długi czas? I nie dziw mi się, że nie ufam czemuś takiemu, jak miłość od pierwszego wejrzenia — poziom decybeli mojego głosu niebezpiecznie zbliża się do granicy krzyku. — Po czymś takim sama byś nie ufała!

Bastian z Larą stoją naprzeciwko mnie i wpatrują się we mnie z mieszanymi uczuciami.

On wydaje się być wściekły na mojego ex za to, co chciał zrobić, ale równocześnie wreszcie rozumie, dlaczego nie chcę się wiązać. Z kolei ona jest definitywnie przerażona.

Odwracam od nich.

— Po prostu już jedźmy — proszę, po czym błyskawicznie składam swoje rzeczy i wkładam je do plecaka. — Ja i Mirt'Oshim poczekamy na was w powietrzu. Bastian, daj mi znać, jak już wyruszyście.

— Spoko — przytakuje ognistowłosa. Wiem, że uważnie mi się przygląda. Cóż, po takim wyznaniu, to w sumie nic dziwnego...

Staram nie zwracać uwagi na to, że dwójka moich najlepszych przyjaciół właśnie dowiedziały się o czymś, co chciałam zachować tylko dla siebie (i ewentualnie dla moich najlepszych przyjaciółek). Po prostu biorę swój bagaż, idę tam, gdzie jest smok, i się na niego wdrapuję (dla małej pociechy — z każdym razem wychodzi mi to o wiele lepiej).

Wystarczy kilka sekund, byśmy znaleźli się na wysokości kilkuset metrów.

Dopiero tu mam wrażenie, że znalazłam chwilę prywatności. I, zupełnie jak na zawołanie, zaczynam szlochać. Mam już tego totalnie dość! Ledwo co wróciłam do Arlesii, a wszystko mnie przerasta! Nie dość, że dopiero co udało mi się wywinąć z objęć śmierci (a z tego, co wiem, to po tasylirozie przez jakiś tydzień powinno się leżeć i odpoczywać, jeżeli nie chce się nabawić dość poważnych konsekwencji), to jeszcze Lara dodaje mi stresu przez tego Ardiena, którego ni z tego, ni z owego poznała, przez Bastiana totalnie nie mogę się na niczym skupić i w końcu plany Ertexa nie dają mi spokoju, ba, znowu przez niego mam koszmary. Po prostu żyć, nie umierać! Acha, zapomniałam, że mój własny środek transportu żywi do mnie nienawiść z powodów, o których istnieniu nie mam pojęcia.

No ok., rozumiem, że ktoś mógłby uznać mnie za histeryczkę, ale coś mi się zdaje, że po takich przeżyciach mało kto byłby w stanie się ogarnąć. A przynajmniej od razu.

„Powinnaś trochę wyluzować — zauważa Mirt’Oshim. — Inaczej zwariujesz od takiego naporu totalnie dołujących myśli”.

„Wybacz, ale jakby nie było, ty też jesteś w pewnym stopniu za nie odpowiedzialny — wycieram łzy rąbkami bluzki. — Nie no, to jest jakaś totalna masakra!” — wzdycham i teraz płaczę już tak na całego.

W moich myślach na moment zapada cisza.

„Dion, jakby co, to już ruszamy — chwilę potem przerywa ją Bastian. —I, żebyś wiedziała, to jedziemy do Luhri. Jeżeli będziemy zatrzymywać się po drodze, to oczywiście dam ci znać”.

„Dzięki” — uśmiecham się, chociaż nie może tego zobaczyć. Potem przerywam połączenie.

„Powiesz mi kiedyś, kim jesteś w rzeczywistości?” — zaciękuje się smok.

— Nie mam pojęcia — stwierdzam, tym razem mówiąc, a nie myśląc. — Tego jest po prostu za dużo... — kręcę głową, ocierając łzy po raz kolejny. Dekolt mam już cały mokry.

— Wiesz co, może faktycznie potrzeba ci odrobiny luzu — stwierdza, po czym gwałtownie odbija w bok. Muszę porządnie złapać się jego grzbietu, żeby nie spaść.

— Co ty robisz? — pytam, ale zdecydowanie bardziej z ciekawością niż ze strachem. Nie wiem, czy słusznie, w końcu pamiętam, że na samym początku nawet chciał mnie zabić...

To tylko pokazuje, jak mało przejmuję się swoim bezpieczeństwem. A chwila adrenaliny od razu osusza moje łzy i wzbudza ogromną ciekawość, może nawet coś w rodzaju podniecenia...

„Zobaczysz” — tylko tyle raczy mi powiedzieć, ale dla mnie to wystarczy. Za każdym razem, kiedy moje kumpele szykowały coś ciekawego, zawsze mówiły w ten sposób. I za każdym razem niespodzianka udawała się fantastycznie.

Z racji, że wreszcie udało mi się jako tako opanować latanie (każda lumia niezwykle szybko się uczy, na szczęście), chyba po raz pierwszy na serio mogę cieszyć się lotem. Niczego przyjemniejszego nie zaznałam jeszcze nigdy w życiu. Nawet jazda konna temu nie dorównuje. Swoją drogą, dobrze, że Goldier mnie nie słyszy. I nie widzi, bo nie dość, że obraziłby się na mnie na śmierć za to, co powiedziałam, to jeszcze za to, że postanowiłam drogę pokonać na smoku...

A najlepsze jest to, że niespodzianka, którą właśnie zapowiedział mi Mirt’Oshim, choć na trochę pozwala mi się odprężyć i kto wie, może na moment zapomnę o tym, co przed chwilą doprowadziło mnie do łez...

Rozdział XX

— To tutaj — oznajmia Mirt'Oshim, gdy kołuje nad wielką, płaską skałą.

— Wow... Niesamowite — szepczę z szacunkiem, przyglądając się potężde szczytu. — Gdzie jesteśmy?

— Myślałem, że się zorientujesz — smok łypie na mnie okiem z lekkim uśmieszkiem. — W końcu przelatywaliśmy nad stolicą — dodaje, wypatrując w miarę dogodnego miejsca na lądowanie.

— Aha, no spoko... — przytakuję, po czym dopiero docierają do mnie jego słowa. — Nad Dminestil?! — pytam z niedowierzaniem. — Przecież to niemożliwe! W linii prostej od miejsca, w którym byliśmy, do stolicy, jest kilka tysięcy kilometrów, a ty mówisz, że zalecieliśmy jeszcze dalej?

— Dokładnie — oznajmia i widać w końcu udało mu się dojrzeć coś w rodzaju ogromnego lądowiska, bo ni z tego, ni z owego zaczyna pikować w dół.

Przysmykam lekko oczy, choć oczywiście wiem, że nie ma przecież zamiaru się rozbić (bo swoje życie ceni na pewno dużo bardziej od mojego), ale to nie zmienia faktu, że pęd jest niesamowity...

Wystarczy sekunda, żebyśmy wylądowali na tej górskiej polance, otoczonej ostrymi górami.

— To jest... po prostu piękne... — wyszeptuję, gdy zeskakuję z jego grzbietu i z podziwem rozglądam się wokoło.

Wyraźnie to wszystko zostało uczynione ludzką ręką, w dodatku ręką niezwykle zdolną. Nawet Pearle Kiry może się schować, bo przy swoim bajkowym wyglądzie nie ma szans przebić surowości i grozy tego skalnego tarasu, zabezpieczonego misternie rzeźbioną w skale barierką, oplecioną przez uschnięty bluszcz.

Podchodzę do niej i patrzę na okoliczne szczyty, wyłaniające się z dywanu chmur. Wtedy dostaję olśnienia — przecież to jasne, że możemy być teraz tylko i wyłącznie w Turrend Gress[1]. Ale przecież... Nawet najbliższe masywy znajdują się kolejne kilka tysięcy kilometrów od miasta, w którym się urodziłam...

— Jaka była najszybsza prędkość osiągnięta przez smoka? — odwracam się do mojego środka transportu.

— Zależy, czy wykorzystuje prądy powietrzne, czy nie — Mirt'Oshim rozciąga się z lubością na skalnym tarasie, po czym siada zupełnie tak, jak kot. Ogromny kot, patrzący na mnie z góry, z wysokości kilku (może nawet około 10) metrów. Co nie zmienia faktu, że wciąż jest potężnym i (muszę to przyznać) przerażającym smokiem, niesamowicie zmiennym i pod wpływem humoru mogącym zabić mnie jednym pacnięciem łapy. — Jeżeli tak, to potrafi przelecieć z jednego końca Arlesiie na drugi w maksymalnie godzinę, ba, nawet przebyć

Tluris[2], albo te góry... Za to bez tych prądów, taka optymalna prędkość smoka wynosi około 400 km/h.

— Czyli mniej więcej tyle, ile biegnie totalnie wkurzony i naładowany energią Goldier... — zamyślam się na moment, po czym siadam na barierze odgradzającej mnie od przepaści. — Czekaj, jak to przelecieć Tluris? — po raz kolejny tego dnia totalnie mnie zaskoczył. Już nawet nie chce mi się liczyć, który to już raz...

— Normalnie. A co, myślałaś, że większość smoków tak po prostu sobie wyginęła? — robi grymas do złudzenia przypominający kpiący uśmiech.

— Nie myślałam o tym w ogóle — wzruszam ramionami. — O smokach właściwie to ja wiem tylko tyle, że w okolicach roku zerowego bez uzasadnienia napadły na pałac królewski, obróciły go w proch, nie ocalając nic oprócz wieży z dwójką rodzeństwa, które potem objęło władzę. Potem bez najmniejszego uprzedzenia zniknęły, co jakiś czas tylko można spotkać pojedyncze sztuki... Jak widzisz, w kwestii waszego gatunku jestem kompletnym laikiem. Jeżeli chciałbyś od kogoś uzyskać więcej informacji, to raczej spytaj się innych lumii, one są bardziej zorientowane jako te, które latają na smokach. Ja od dzieciństwa miałam kategoriyczny zakaz zbliżania się choćby do tych najmniejszych, mieszczących się w dłoni... Nie wiem, dlaczego.

— Ja ciągle nie potrafię rozgryźć, czy ty uważasz mnie za tak głupiego, że uwierzę w twoje próby przekonywania mnie — stwierdza z lekkim przekąsem, uważnie lustrując mnie spojrzeniem bursztynowych oczu — czy na serio nic nie wiesz.

— Ile razy mam powtarzać, że nic nie wiem? Rodzice niespecjalnie mieli czas, żeby go ze mną spędzać, z resztą ja go też wiele nie miałam...

— Byłaś kiedykolwiek w podziemiach Pearle Kiry? — przerywa mi dosłownie w pół słowa.

— Zależy jakich — mówię ostrożnie. — Razem z innymi dziewczynami z okresu często bawiliśmy się w pałacu i często schodziłyśmy do lochów. Do piwniczki na wino nie wpuszczali nas rodzice, bo pewnie, nie, na pewno narobiłybyśmy tam więcej szkody niż pożytku...

— Schodziłyście kiedykolwiek na poziom -7? — konkretne pytania smoka zaczynają mnie intrygować. Coś mi się wydaje, że to jakaś grubsza sprawa... Ale jaki poziom -7?

— To jest w ogóle taki? Na serio? Ja byłam pewna, że na -4 się już piętra kończą... Chociaż raz Iora znalazła coś podobnego do szybu wentylacyjnego... — zamyślam się na chwilę. — I długo myślałyśmy, po co w podłodze jest kratka wentylacyjna, skoro pod spodem nie ma już niczego...

Na moment zapada milczenie

— Czyli ty nic nie wiesz — stwierdza Mirt'Oshim, kompletnie nie

przejmując się moimi rozmyślaniami. — W takim razie chyba powinienem cię przeprosić.

— Naprawdę? — patrzę na niego z ogromnym niedowierzaniem. W życiu bym się nie spodziewała czegoś takiego. Tym bardziej po nim, w końcu na początku był bardzo blisko zabicia mnie dosłownie jednym ruchem łapy bądź ogona. — Ale... Dlaczego?

— Widać się co do ciebie myliłem — widzę, że przyznaje to bardzo niechętnie. — Aczkolwiek ciągle nie mam pewności, czy w przyszłości nic z despotycznych, okrutnych skłonności, które mieli twoi rodzice, nie objawi się w tobie. Teoretycznie to jeżeli jakkolwiek smok dowiedziałby się, że miałem możliwość się ciebie pozbyć i tego nie zrobiłem, to być może dla mnie nie skończyłoby się to dobrze...

— Jak to? — z każdym jego słowem rozumiem dosłownie coraz mniej. I tak na dobrą sprawę, poza tym, że chyba się do mnie przekonuje, to w tym momencie totalnie mi się wszystko pomieszało. — Wiesz co, ja już tego nie ogarniam — wzdycham ciężko.

— Trochę za długo by się zeszło z tłumaczeniem — zwierzę próbuje się wymigać, ale z powodu mojej wrodzonej ciekawości nie idzie mu to najlepiej. — Nie patrz tak na mnie — warczy, próbując zrobić na mnie wrażenie niezwykle strasznego i gotowego na wszystko. I tak właściwie, to nawet mu się udaje...

— Nie no, spoko, rozumiem — kiwam głową. — Nie zawsze chce się wyznawać tajemnice, bez względu na to, jak są błahe, albo też i nie są. Mi tak totalnie ciężko przyszło powiedzenie o tym, że Ertex chciał mnie zabić, ale stało się. Nawet nie wiesz, jak bardzo tego żałuję. To nie jest coś, o czym powinno mówić się w gniewie... — zeskakuję z barierki, po czym siadam niżej, opierając się o małą kolumnkę i podsuwam kolana pod brodę.

— Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że masz naturalny dar do wydobywania z ludzi informacji? — smok wzdycha.

— Jak nie chcesz, to nie musisz mi o tym mówić — wzruszam ramionami. — Żebyś potem nie żałował, takich rzeczy nie można powierzać byle komu.

— Cóż, właściwie to chyba powinnaś wiedzieć, dlaczego rodzice zabronili ci zbliżać się do jakichkolwiek przedstawicieli mojego gatunku — kręci głową. — No to wyobraź sobie, że każdy z nas, kiedy osiągnie wiek (w przeliczeniu na wasze lata, oczywiście, bo u nas to byłoby dużo, dużo więcej) szesnastu lat, składa przysięgę. Tradycyjnie obiecuje w niej wierność smoczym władcom, ale również przyrzeka, że wykorzysta każdą możliwość, by zabić kogokolwiek z rodziny królewskiej w zemście za krzywdy nam wyrządzone, a uwierz, jest ich bardzo wiele — wyjaśnia Mirt'Oshim, cały czas patrząc mi twardo w oczy, zupełnie,

jakbym miała jakiegokolwiek prawo do podważania tego, o czym mówi. Co prawda nie jest to miła wiadomość, a wręcz odwrotnie, ale nie znam motywów, którymi zasłużyliśmy sobie na takie traktowanie. — Jeżeli ktoś tego nie zrobi, oznacza, że złamał przysięgę, zostaje nazwany zdrajcą i skazany na śmierć.

— Czyli tak właściwie darowując mi życie wtedy, w klatce i ogólnie teraz, narażasz swoje — zamyślam się.

— Dokładnie — kiwa głową. — Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że przebywałem sam na sam z tobą, Luminą der Soltarie, prawowitą królową Arlesii, wydałoby to na mnie nieodwołalny wyrok.

Na moment zapada cisza.

— To może w takim razie po prostu jak najszybciej odwieź mnie do Luhri i tam się rozstaniemy — proponuję po chwili milczenia. — Nie chcę cię narażać z powodu jakiejś głupiej umowy.

— Dla smoka dane słowo jest rzeczą świętą — zwierzę przecząco kręci głową. — A nasza umowa wcale nie jest głupia. Zaoferowałaś mi wolność w zamian za coś, co tak właściwie nic mnie nie kosztuje.

— Ale może kosztować życie! — oponuję gwałtownie.

— Nic mi się nie stanie — odmawia, ale robi to już odrobinę mniej pewnie. — Zawiozę cię do Seiten Gaye, ale nie do samego środka, tylko na obrzeża. Tam już będziesz mogła w miarę bezpiecznie się poruszać, bo nikt nie chce się narażać Odwiecznemu — z szacunkiem powstrzymuje się od wymówienia imienia najstarszego smoka, mieszkającego w Podniebnym Jeziorze.

— Jeżeli taka jest twoja decyzja — kiwam głową. Doskonale to rozumiem. Też nie lubię, gdy ktoś mi się narzuca, jeżeli zdążyłam coś przemyśleć i wiem, że mój wybór stanowi najmniejsze zło ze wszystkich możliwych.

Najwyraźniej milczenie i w słowach, i w myślach dzisiaj nie zamierza nas opuszczać, bo po raz kolejny całkowicie nas otula.

— Nie chcesz wiedzieć, dlaczego składamy takie przyrzeczenie? — tym razem przerywa je Mirt'Oshim.

— Cóż, uznałam, że powiesz mi o tym sam — wzruszam ramionami. — Bo mam wrażenie, że to może być dla ciebie, a z resztą, dla całego twojego gatunku bardzo bolesna sprawa, a takich się nie wymusza. To musi płynąć prosto z serca.

— Czyli chyba mnie przekonałaś... — wzdycha. — Jak się zapewne się domyślasz, to ma związek z poziomem minus siódmym...

— Cóż, tego się spodziewałam — uśmiecham się lekko.

— A jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? — przygląda mi się uważnie.

— Jestem pewna — kiwam głową. — Nawet, jeżeli to oznacza, że fakty, w które do tej pory wierzyłam, okażą się kompletnym i totalnym kłamstwem.

— No więc ten poziom minus siódmy jest tak ściśle tajny, że z pałacu wie o nich tylko para królewska, i pewien sztab naukowców, biorących w tym udział.

Zazwyczaj wybierani są w ostrej selekcji, odpadają wszyscy, którzy nie potrafią trzymać języka za zębami, mają rodziny, albo jakiegokolwiek ludzkie uczucia. W rezultacie masz kilkadziesiąt osób, które są bez reszty oddane swojej pracy, ba, nawet są gotowe dla niej zginąć.

— Czyli to coś niebezpiecznego? — opowieść Mirt'Oshima, nawet po tak krótkim wstępie, zaczyna poważnie mnie wciągać.

— Bardzo — kiwa głową. — Tak właściwie, to może nawet doprowadzić do wybuchu wielkiej wojny. Oczywiście, o ile odpowiednie smoki się w końcu na to zdecydują...

— Nie rozumiem... — rozpaczliwie próbuję jakoś to sobie poukładać, ale teraz to już kompletnie nic mi nie wychodzi. Czyli tak, to coś, co się dzieje, na pewno ma jakiś związek z jego gatunkiem i jest na tyle poważne, że wszystkie osoby z mojej rodziny (w tym również ja) otrzymały wyrok skazujący na śmierć... Nie, ja nie będę nawet próbować. Po prostu dowiem się o tym z opowieści mojego środka transportu.

— Zrozumiesz później — tymi słowami potwierdza moje przypuszczenia i nadzieje. — W każdym razie, jak już zapewne zdążyłaś się tego domyślić, ci naukowcy są do czegoś potrzebni. I tu zaczyna się robić, jak to pewnie niektórzy by powiedzieli, ciekawie, a inni, potwornie, zależy od punktu widzenia. Mianowicie na poziomie minus piątym ludzie wytypowani do udziału w projekcie zaczynają szkolenia. I tam, tak właściwie, uczą się całego zła, które będą wyrządzać parę lat później. Na poziomie minus szóstym znajdują się różnego rodzaju laboratoria, w których przeprowadza się badania na uzyskanych próbkach. Z kolei na poziomie minus siódmym... — widzę, jak przechodzi go dreszcz, nie wiem tylko, czy wściekłości, strachu czy obrzydzenia. A właściwie to może wszystkiego na raz... — Na minus siódmym znajduje się sala tortur, w której uzyskuje się próbki do badań.

— Brzmi uroczo — krzywię się. — A kogo tam torturują? — pytam, mimo tego, że chyba znam już odpowiedź...

— Smoki — odpowiada po chwili nieznośnej ciszy. — Te największe, najpotężniejsze i jedyne, które mają pewne specyficzne umiejętności...

Patrzę na niego z otwartymi ustami, nie mogąc przetrwać usłyszanym właśnie informacji, choć się ich spodziewałam. Ale najważniejsze jest to, że wreszcie zrozumiałam, dlaczego tak się dzieje. Dlatego właśnie nigdy nie mogłam zbliżyć się do jakiegokolwiek smoka, nawet jednego z tych najmniejszych, mieszczących się w dłoni, dlatego rodzice zawsze kazali chować się w piwnicach, gdy nad zamkiem zobaczyli cień któregoś z tych stworzeń...

— Jak oni mogli... — kładę uszy po sobie, najeżam ogon, a pasemka zmieniają mi kolor na krwistoczerwony. Jednym słowem, jestem totalnie wściekła. — Przecież... przecież... — dosłownie nie mogę znaleźć słów na to, co

chcę powiedzieć.

Ogarnia mnie totalne obrzydzenie, tylko nie wiem, czy konkretnie do moich rodziców za to, że ciągnęli ten potworny proceder, czy też może na wszystkich moich poprzedników, zasiadających na tronie, dokładnie na to samo. Ale jak... Jak można być tak okrutnym i równocześnie dbać o swoich poddanych z możliwie jak największą troską? Dla mnie to jest nie do pomyślenia.

— Długo to już trwa? — wycedzam przez zaciśnięte zęby i próbuję się opanować.

— Długo — Mirt'Oshim kiwa głową.

— To znaczy? — patrzę na niego z ogniem w oczach.

— To znaczy odkąd król Osbert objął tron — teraz jego ogarnia wściekłość. — On jako pierwszy odkrył, że Wielki Wybuch wpłynął również na nas, i że dzięki temu możemy zyskiwać również ludzką postać, podobnie, jak lumie. I dlatego chciał zbadać, dlaczego tak się stało...

— Nie mógł po prostu zapytać? — dziwię się, równocześnie mając wrażenie, że wcale nie mówi mi wszystkiego, albo może nawet w ogóle nie mówi prawdy... Ale nie chcę drażnić. — Przecież smoki powinny o tym wiedzieć. To, w jaki sposób lumie stały się lumiami, jest pierwszą rzeczą, o których wiemy tak całkiem instynktownie, wy też musicie tak mieć...

— A nie dziwi cię, że tak jest? — patrzy na mnie uważnie.

— Nie — kręcę głową. — Zawsze zastanawiałam się, czy Estive jest jedynym, który to potrafi, ba, wręcz w to wątpiałam.

— Odwieczny był jednym z tych znajdujących się najbliżej źródła wybuchu, więc to chyba normalne, że coś musiało się w nim zmienić — zwierzę wykonuje gest podobny do wzruszenia ramionami. — Ale tak się składa, że stado tych największych, najbardziej inteligentnych z mojego gatunku również było bardzo blisko. Oczywiście na nich też to się odbiło, dokładnie w ten sam sposób, co na twoim nauczycielu.

— Nieżle — uśmiecham się lekko. — A zdradzisz mi, dlaczego zyskali akurat możliwość posiadania drugiej, ludzkiej postaci, a nie coś innego? Na przykład jakieś super przyspieszenie, możliwość ziania ogniem na odległość kilku metrów...

— A jak myślisz, dlaczego udało mi się tak szybko przebyć tą odległość? — odpowiada pytaniem. — Tamte umiejętności zagarnęły wszystkie smoki. Ta jedna uczyniła tą grupkę wyjątkowymi pod każdym względem. Nikt dokładnie nie wie, dlaczego, są różne teorie. Może wpłynęła na to ich umiejętność mowy, może inteligencja, a może to wszystko razem wzięte z rozmiarami...

— Może... — przytakuję, równocześnie dopisując sobie do listy zadań do zrobienia zlikwidowanie podziemnych laboratoriów i nadaję jej najwyższy możliwy priorytet. Jest na trzecim miejscu, tuż za ogarnięciem tego, po co

Ertextowi teyka w mojej ludzkiej wersji w obozie ymuli i przywróceniem porządku w Arlesii. A nie, przepraszam, na czwartym, na trzecim jest jak wykonać punkt drugi i najlepiej bez ujawniania się i powrotu na tron...

— Wiesz, jesteś dość nietypową lumią — Mirt'Oshim po chwili zmienia temat.

— A pod jakim względem? — przyglądam mu się uważnie. Co prawda często słyszałam, że jestem nietypowa, ale mało kto potrafił dokładnie mi powiedzieć, cóż takiego nietypowego we mnie jest.

— Jest w tobie coś, co pozwala innym czuć się przy tobie bezpiecznie — wyjaśnia po chwili namysłu. — I tu wcale nie chodzi o to, że masz taką władzę, dla mnie jest to wręcz zagrożeniem, tylko po prostu jesteś takim typem, przy którym można się spokojnie wyluzować i powiedzieć, co leży na sercu. No i, w przeciwieństwie do co to niektórych, za bardzo nie dbasz o swoje bezpieczeństwo.

— Co racja, to racja — przytakuję i uśmiecham się lekko. — Pamiętam, że ja zawsze miałam najbardziej postrzelone i niebezpieczne pomysły. A jak już w ogóle coś zostało zaakceptowane, to pozostałe zawsze w jakiś sposób się ubezpieczały. Ja nigdy.

— I tu masz dowód — smok kiwa głową. — Powiedz mi, do czego zmierzałaś, kiedy weszłaś do mojej klatki? Chciałaś popełnić samobójstwo, czy jak?

— Mogło to tak wyglądać — zaczynam się śmiać — ale nie uwierzysz, że chodziło mi o to, by mój Goldier się nie obraził na mnie za to, że taki kawał drogi przejechałam na jakimś innym ardylianie. Dopiero potem przyszło mi przez myśl, że jak zobaczy, że wybrałam smoka, to totalnie się na mnie wkurzy, obrazi i uzna za kompletnie nieodpowiedzialną, co oczywiście będzie dużo gorsze od jego reakcji na widok mnie na innym koniu. A w trzeciej kolejności załapałam, jak niebezpieczne to dla mnie było, ale już nie wypadało się wycofać.

— Serio? Wybacz, ale tego nie skomentuję — zwierzę wykonuje coś w rodzaju facepalma, co oczywiście wygląda komicznie.

— Serio, serio — kiwam głową. — A ty dlaczego wtedy próbowałaś mnie zatrzymać? Wiesz, wczoraj, jak czekaliśmy na Bastiana i Larę, co potem tak na ciebie fuknęłam.

— Cóż, jakby się tak dobrze zastanowić, to ratowałam nam życie — mówi moment później. — Z dwóch stron. Bo akurat stałaś tyłem, gdy przejeżdżał twój ex i za bardzo nie uśmiechało mi się, żeby cię zobaczył. Już nie wspominając o tym, że miałem wrażenie, że widzę kogoś ze swojej rodziny w mieście. Jeżeli rozpoznałby cię twój były narzeczony, to byłoby źle z tobą, a jeżeli zrobiłby to mój brat, zginąłbym na miejscu. Ty z resztą też — dodaje po chwili namysłu.

— Czyli w takim razie mam u ciebie spory dług — przyznaję, oczywiście po

trwającej odpowiednio długo ciszy. — I bardzo, ale to bardzo dziękuję.

— Drobiazg, w końcu równocześnie ocaliłem swoje życie — on po raz kolejny wzrusza ramionami.

— Poza tym jestem wdzięczna za to, że o wszystkim mi powiedziałeś — ciągnę dalej. — Prawda zawsze dla mnie bardzo dużo znaczy, bez względu na to, jak bardzo boli jej przyjęcie. Życie to nie bajka, i chociaż, z punktu widzenia niektórych mam wszystko, to jednak bardzo często brakowało mi prawdy.

— Ja po prostu należę do osób, które nie boją się mówienia tego, co myślą nikomu, nawet, jeżeli tym kimś jest najważniejsza osoba w kraju — Mirt'Oshim uśmiecha się półgębkiem.

— Szczególnie, że kiedy nie spodoba ci się jej reakcja, możesz ją zmiażdżyć jednym silnym ruchem ogona — mrugam do niego porozumiewawczo. — A tak zmieniając temat, to ogólnie w świetne miejsce mnie przywiozłeś.

— Wreszcie wiesz, gdzie co roku wybierają się twoje przyjaciółki na zamkniętą wycieczkę — widzę, że jest z siebie zadowolony. — Tylko, broń Boże, nie mów im tego. Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, że przywiozłem cię do miejsca złotów.

— Jest niesamowite — podnoszę się i po raz kolejny rozglądam wokoło. — A dlaczego nie? No wiesz, poza tym, że jestem królową Arlesii i śmiertelnym wrogiem wszystkich smoków.

— Wszystko sprowadza się do tego, ale nawet inne lumie nie wiedzą, że stoimy na ogromnym dziedzińcu pałacu, w którym swojego czasu mieszkali smoczy królowie wraz z rodzinami — wyjaśnia.

— A właśnie, wspominałeś o waszych władcach — szybko podchwytyję temat. — W życiu bym nie wpadła, że macie aż tak konkretną hierarchię.

— Pod tym względem jesteśmy tacy sami jak wy, ludzie. Mamy rodzinę królewską, następców tronu, arystokratów, zwykłych obywateli... Tych dobrych i tych złych, gotowych poświęcić życie dla dobra ogółu i skończonych egoistów. Dziwię się, że o tym nie wiedziałaś.

— Nie miałam specjalnego kontaktu ze smokami — zwieszam głowę, próbując ukryć rumieniec wstydu i gniewu równocześnie. Niestety, moje pasemka bardzo dosadnie ukazują moje emocje... — Ale dlaczego się stąd wynieśli? W końcu wspominałeś, że mieszkali tu swojego czasu...

— Chyba powinniśmy już wracać — nagle się prostuje, a ja wyczuwam powrót napięcia między nami. Co prawda na szczęście w stopniu dosłownie minimalnym, wręcz niezauważalnym, ale to wyraźnie podpowiada mi, że weszłam na niepewny grunt...

— Spoko, rozumiem — kiwam głową, nie próbując nawet uzyskać odpowiedzi na postawione wcześniej pytanie. Przez te kilkanaście godzin, które z nim spędziłam, nauczyłam się wycucia, którego nigdy wcześniej nie potrafiłam

w sobie wypracować. — Bastian pewnie się martwi, cóż takiego się ze mną stało...

— Nie ma podstaw sądzić, że cokolwiek ci zrobię. Nie zna w końcu wszystkich faktów — zauważa smok. — A zapewne słyszał o tych słynnych wycieczkach lumii... Z resztą, kto nie słyszał — wzrusza ramionami.

— Też racja — przytakuję, po czym wdrapuję się na swój środek transportu. — Za ile będziemy?

— Jeżeli będą takie same prądy, jak wcześniej, to maksymalnie godzinę — odpowiada Mirt'Oshim, po czym podrywa się do lotu.

Obserwuję skalny taras przez te kilka sekund, dopóki nie znika mi z oczu. Jestem stuprocentowo pewna, że jeszcze tu wrócę i być może uda mi zobaczyć ten pałac dokładniej. Świadomość jego istnienia nie daje mi spokoju, tak samo jak to, cóż takiego stało się ze smoczą rodziną królewską. Prędzej czy później dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi...

[1] Turrend Gress (arlein) — „Góry Gromu”, odgradzają Arlesiie od reszty świata od wschodu, przez co są częścią jej naturalnej granicy. Są o wiele, wiele wyższe od najwyższych gór na Stertilie, ale nikomu jeszcze nie udało się zlokalizować ich najwyższego szczytu, nie mówiąc o ustaleniu jego wysokości.

[2] Tluris — przeogromna pustynia na północy Arlesiie, kolejna z jej naturalnych granic. Nikt nie zna jej granic i mało komu poza smokami udało się ją przebyć.

Rozdział XXI

„Za jakieś pięć minut powinniśmy się spotkać z twoimi przyjaciółmi” — informuje mnie Mirt’Oshim, robiąc gwałtowny zwrot, by ominąć chmurę burzową.

„Świetnie” — kiwam głową i za wszelką cenę próbuję się skupić na ostatnich chwilach tak zawrotnej prędkości. Niestety, nie wychodzi mi to za bardzo.

Oczywiście wszystko przez Ertexa. Mogę być stuprocentowo pewna, że dopóki nie ogarnę, w jakim celu zlecił tamtej teyce udawanie mnie w obozie ymuli, na pewno te myśli mi nie odpuszczą. Potem pewnie też, dopóki czegoś z tym nie zrobię.

„Coś się stało?” — smok jakimś cudem wyczuwa moje napięcie.

„Zawsze tak mam, jak czegoś nie mogę ogarnąć” — wzdycham ciężko w myślach.

„A czego nie możesz ogarnąć?” — jest wyraźnie zaciekawiony.

„Tego, po kiego groma mój ex nakazał jakiejś teyce naśladowanie mojej ludzkiej postaci, i do tego w samym środku obozu ymuli, uznawanych teraz za wrogów całej Arlesii — mówię. — Ty coś z tego rozumiesz?”

Zwierzę pode mną zatrzymuje się gwałtownie.

— Powiedz mi, że ty tylko udajesz tak mało bystrą — prosi tym swoim grzmiącym, głębokim głosem. — Bo jeżeli nie, to ja się dziwię, jak ci się udało przez ten rok normalnie sprawować władzę, ba, nawet pozostawić po sobie wyjątkowo dobre wrażenie.

— Przepraszam bardzo, każdemu zdarza się nie ogarniać czegoś, co dla innych jest oczywiste — zauważam z ledwo zauważalną nutą obrazy. — A jeżeli ty wiesz, jaki sens się w tym kryje, to mógłbyś się podzielić, wcale bym się za to na ciebie nie pogniewała.

— Przecież to jest tak proste... — kręci głową z ogromnym podziwem dla mojej głupoty. — Zobacz, twój były narzeczony zawsze lubi się ubezpieczać na wszelki wypadek. Jasne jest to, że przy akcji zakrojonej na tak wielką skalę też załatwi sobie jakąkolwiek asekurację, tym bardziej, że nie ma stuprocentowej pewności, czy żyjesz, czy nie.

— No przecież — ukrywam twarz w dłoniach. Jak mogłam być tak głupia! — Boże, ale ze mnie idiotka! W końcu to oczywiste! Ymule są teraz wrogami numer jeden, więc jeżeli ktokolwiek dowie się, że byłam w ich obozie podczas przygotowań do ataku, ba, być może nawet go prowadziłam, to z osoby reprezentacyjnej, uwielbianej przez ludzi, ja też stanę się wrogiem publicznym numer jeden...

— I co, tak trudno było na to wpaść? — mój środek transportu wygina szyję

i łypie na mnie jednym okiem. Oczywiście przez cały ten czas wisimy w powietrzu, utrzymując się za pomocą silnych ruchów jego skrzydeł.

— Ja nie mogę... — jestem po prostu totalnie przerażona.

Przy zabezpieczeniu, które sobie przygotował, to tak właściwie nie mam żadnych szans, odpadam już w przedbiegach. To jakaś masakra, po prostu katastrofa i to w każdym tego słowa znaczeniu. I co ja mam teraz zrobić?

Choć, z drugiej strony, nie mogę nie podziwiać przebiegłości mojego ex. Czegoś takiego w życiu bym nie wymyśliła, już nie mówiąc o wprowadzeniu w czyn...

Dopiero teraz pojmuję, z jakim groźnym przeciwnikiem mam do czynienia. O tym, że Ertex jest gotowy iść po trupach do celu, wiedziałam doskonale. Co więcej, potrafi bez żadnych skrupułów rozkochać w sobie dziewczynę, by bezwzględnie ją wykorzystać, a gdy osiągnie to, co chce, nawet ją zabić, ale o tym też miałam pojęcie, ba, dowiedziałam się o tym w najbardziej brutalny sposób, jaki tylko istnieje. Ale czegoś takiego się nie spodziewałam. Bardzo możliwe, że nie dam rady się otrząsnąć przez jeszcze długi czas...

„Dion, gdzie jesteście?” — w moich myślach pojawia się zaniepokojony głos Bastiana. Czyli miałam rację, faktycznie się o mnie martwił...

„Wszystko w porządku — uspokajam go. — Zaraz do was dołączymy, po prostu musieliśmy coś porządnie i w spokoju obgadać”.

„To dobrze, że wszystko w porządku — wyraźnie czuję, jak się uspokaja. — Słuchaj, padła propozycja, żebyśmy zobaczyli ardyliany i araby pasące się razem, co o tym myślisz?”

„Niech zgadnę, propozycja padła od Lary?” — uśmiecham się pod nosem, próbując nie dopuścić, żeby moje przerażenie w jakiś sposób przedostało się przez łącze myśli.

„A skąd wiesz?” — ognistowłosa wydaje się być trochę zaskoczony.

„Jak leciałyśmy do Ammanu, wspomniałam jej, że to taki cudowny widok. Po tym, jak zareagowała, byłam stuprocentowo pewna, że będę musiała je jej pokazać — wzruszam ramionami, mimo tego, że on nie może tego zobaczyć. — Dobrze, że zauważyłeś jakieś połączone stado, oszczędziłeś mi sporo czasu poszukiwań. Nawet na smoku nie byłoby to łatwe”.

Na moment między nami zapada cisza, podczas której Mirt'Oshim nie omieszkuje rzucić mi karcącego spojrzenia. Doskonale wiem, co ma na myśli, więc nawet nie wysila się, by przekazać mi to w bardziej konkretny sposób.

„A czy ja mówiłem, że znalazłem jakieś stado?” — po chwili pyta dziewiętnastolatek.

„No to widać powinnam nabrać większej wprawy w odczytywaniu sygnałów przekazywanych między wierszami” — wzdygam.

„Nie, no coś ty, dobra w tym jesteś — słyszę, że jest z siebie dumny. —

Tylko po prostu chciałem się upewnić, jak tam twój umysł, bo słyszałem, że tym nielicznym, którym udało się wyjść z tak zaawansowanego stadium tasylirozy nie raz jest bardzo ciężko myśleć w miarę logicznie”.

Czyli to dlatego nie wpadłam na plan Ertexa, uśmiecham się do siebie w myślach. Jeszcze nie jestem taką idiotką, jak mogłoby się zdawać. „To w takim wypadku widziałeś to stado, czy nie?” — na wszelki wypadek wolę się upewnić.

„Widziałem — kiwa głową. — Kilkanaście minut drogi stąd, jakieś dwadzieścia kilometrów drogi od Luhri. Możemy o nie zahaczyć przed wjazdem do miasta”.

„Już jesteśmy tak blisko? — jestem poważnie zaskoczona. — To w takim razie która jest godzina?”

„Zaraz zacznie się ściemniać, spójrz na horyzont — wtrąca się mój smok. — Słońce już prawie zaszło. Dla twojej wiadomości, w górach spędziliśmy parę ładnych godzin, nie wspominając o czasie spędzonych w podróży tam i z powrotem”.

„No spoko... — nie powiem, ale jestem dość zdziwiona. — Właśnie, Bastian, jest coś, o czym powinnam wam powiedzieć... Wiesz, tobie i Larze”.

„Zamieniam się w słuch” — odpowiada chłopak.

„Przypominam, że tylko ja jestem z Arlesii, ona nie. Za bardzo nie dam rady wam o tym powiedzieć razem” — zauważam.

„A, no fakt — lekko zawstydzona tamten. — To w takim razie powiesz nam o tym, jak tylko się zatrzymamy, co ty na to?”

„Dobry pomysł — przytakuję. — To do zobaczenia później, daj mi znać, gdy już dolecimy”.

„Sama zauważysz to z góry szybciej niż ja, ale to spoko” — odpowiada, po czym zrywa połączenie.

Biorę głęboki oddech i zerkam na swoje dłonie. Potwornie się trzęsą, odkąd mój środek transportu wyjaśnił mi to, na co za nic w świecie nie mogłam ogarnąć. To tylko pokazuje, jak bardzo przerażona jestem. No, i jeszcze ewentualnie moje pasemka, w tym momencie koloru bladoniebieskiego, czyli bardzo konkretne symptomy wszechogarniającego strachu.

— Nie wpadłbym na to, że aż tak to ciebie poruszy — Mirt'Oshim wygląda na dość zaskoczonego. — Wyglądasz na dużo twardszą, niż jesteś w rzeczywistości.

— Co mam ci na to poradzić — wzruszam ramionami, równocześnie czując, jak po policzkach zaczynają mi płynąć łzy. Ocieram je rąbkami bluzki, ale to pomaga tylko chwilowo. Strumyczki są coraz szersze, płyną coraz szybciej, aż w końcu całutki dekolt mam mokry. — Wychowywano mnie na twardą, bo królowa taka właśnie powinna być. Twarda, gotowa do dyktowania innym warunków, zawierania umów, kompromisów, i zawsze tak, żeby wychodziło na jej.

A że w głębi duszy jestem inna, to cóż, nic na to nie potrafię poradzić.

— Kto by powiedział... — smok kręci głową, po czym nagle daje niezłego nura w dół, by nagle wyrównać i pomknąć do przodu z ogromną prędkością. Wystarczy jakaś minuta, byśmy zatrzymali się nad ogromnym, wielokolorowym stadem koni, stworzonych z dwóch — ardylianów i arabów. — Widziałas kiedykolwiek je z góry?

— Nie — kręcę głową przecząco i lekko wychylam się, by na nie spojrzeć. Wtedy otwieram usta z podziwem. Czegoś tak wspaniałego jeszcze nigdy nie widziałam, a przynajmniej jeżeli chodzi o konie, bo jednak wszystko w Arlesie jest wspaniałe i niepowtarzalne. — Są po prostu przepiękne... — wyszeptuję.

— Oj tak... — zwierzę jakby lekko się uśmiecha. — Łądujemy — oznajmia sekundę później i dosłownie po jej ułamku bezpiecznie stoi na ziemi.

— Czasami mnie przerażasz — oświadczam, po czym zeskakuję z jego grzbietu.

— Czasami? — łypie na mnie swoim wielkim (jak dla mnie), bursztynowym okiem.

— Chociażby wtedy, kiedy robisz takie gwałtowne zwroty — mówię, próbując odzyskać równowagę. Udaje mi się to dopiero, gdy się o niego opieram. — Nie jestem tak doświadczoną smoczą amazonką, jak moje przyjaciółki, w końcu ja latam dopiero od nieco ponad doby, one od dzieciństwa...

— A ja mogę ci zagwarantować, że mimo tego, jak długo latają, to jeszcze nigdy nie miały takich doświadczeń w trakcie lotu, jak ty — mruga do mnie. — Lumie zazwyczaj dostają smoki w wieku od czterech do sześciu, czasem siedmiu lat, kiedy to wybierają się na swój pierwszy, samodzielny zjazd. Takim maluchom starannie wybiera się pupilki, żeby ich nie skrzywdziły i żeby były bezpieczne, spokojne, stonowane. Nigdy wśród takich nie znajdziesz maniaka prędkości, uzależnionego od adrenaliny, zmiennego niczym pogoda w ellis[1] i do tego żywiącego głęboką nienawiść do całej rodziny królewskiej. I do tego młodego, jak na wasz, ludzki przelicznik — na jego twarzy/pysku (nie mam pojęcia, jak to się nazywa u smoków) pojawia się lekki uśmiezek, a przynajmniej coś, co w założeniu powinno tak wyglądać. — A w wypadku twoich przyjaciółek nie ma możliwości zmiany smoka, ba, nawet rozstania się z nim na dłuższy czas. Tak więc do końca swojego życia nie poznają smaku tego, czym ty miałaś możliwość cieszyć się przez całkiem spory kawałek czasu.

— No to nieźle — uśmiecham się. — Jestem wyjątkowa. Na ludzki przelicznik? — zerkam na niego z ciekawością.

— Dla uproszczenia komunikacji z wami, tuż po wielkim wybuchu, ustaliliśmy przelicznik naszych lat na ludzkie. W chwili obecnej mam mniej więcej dwadzieścia dwa lata, tak więc już nie musisz pytać.

— Czyli, korzystając z przelicznika, to jesteś starszy ode mnie o pięć lat —

mówię pierwsze, co tylko przychodzi mi na myśl. — Ertex był starszy o sześć...

— Ciągłe o nim myślisz — Mirt'Oshim patrzy na mnie uważnie.

— A ty byś nie myślał o osobie, która chciała cię zabić, a teraz z czystym sumieniem jest gotowa zniszczyć ci reputację, życie i dodatkowo obrócić w proch wszystko, co udało ci się osiągnąć? — śmieję się gorzko. — W końcu to przez niego jak na razie nie mam ochoty na związek. Chyba... — zamyślam się na chwilę.

— A co, coś się nagle zmieniło? — wygląda na poważnie zaciekawionego.

— Właśnie nie wiem — odgarniam grzywkę z czoła. — Teraz jakoś tak dziwnie się czuję...

— Bastian proponował ci chodzenie, i coś mi się zdaje, że to wcale nie był pierwszy raz — smok wykazuje się wnikliwością. — Wtedy byłaś bardzo zdecydowana w swojej odmowie. Co byś zrobiła, jakby poprosił cię o to teraz?

— Nie mam pojęcia — kręcę głową. — Po prostu nie wiem. Tego jest za dużo, kompletnie niczego już nie ogarniam... — ukrywam twarz w dłoniach.

Jeśli mam być szczerą, to myślałam, że w ciągu ostatnich dni wyczerpałam przynajmniej roczny zapas łez. O dziwo, okazuje się, że nie.

Ciągle mam czym płakać i teraz spomiędzy palców wyciekają krople, by, zgodnie z prawem grawitacji, spaść na ziemię. Cóż, to płkanie robi się już trochę męczące...

— Dion, wszystko w porządku? — tak skupiłam się na swoich uczuciach, że nawet nie zauważyłam przyjazdu przyjaciół i teraz podskakuję przestraszona, słysząc głos Bastiana. — Płaczesz? Co się stało?

Nie mam nawet siły odpowiadać, po prostu zaczynam szlochać jeszcze głośniejsze i jakąś sekundę później cała się trzęsę. To dla chłopaka stanowi wyraźny sygnał, że coś jest nie tak, a nawet bardzo nie tak. Większej zachęty nie potrzebuje, by mocno mnie przytulić.

— Zobaczysz, wszystko będzie dobrze... — szepcze mi do ucha. — Pamiętaj, że po każdej burzy powraca słońce, a czasem nawet pojawia się tęcza...

Te słowa powodują tylko tyle, że zbiorniczki pełne łez, umiejscowione w moich oczach, zaczynają opróżniać się jeszcze intensywniej. Żałuję, że nie potrafię zrozumieć, dlaczego to wszystko jest tak bardzo skomplikowane. A niemożność ogarnięcia własnych myśli i uczuć wcale mi nie pomaga w jakiegokolwiek sprawie...

— Dion, jeżeli tylko mógłbym jakoś pomóc, to śmiało mi o tym powiedz — ognistowłosy na moment odsuwa się ode mnie, by spojrzeć mi głęboko w oczy. — Do tego moja propozycja jest cały czas aktualna, gdybyś nagle stwierdziła, że jednak zmieniasz zdanie — oznajmia i znów mnie obejmuje.

I wtedy orientuję się, że jednej rzeczy jestem pewna na sto procent. W przeciwieństwie do innych, kompletnie zamglonych i niejasnych, ta świeci

niczym słońce — podoba mi się i chcę z nim być. Objawiało się to za każdym razem, gdy odczuwałam choćby odrobinę zazdrości o niego. Teraz mogę postawić przed sobą tylko pytanie: co jest potrzebne, bym zrozumiała takie elementarne sprawy? Coś w rodzaju ciosu prosto w serce od życia i osoby, która swego czasu znaczyła dla mnie tak wiele? Powinnam zdecydowanie bardziej skupiać się na tym, co jest tu i teraz zamiast rozpamiętywania przeszłości, bo kto wie, ile jeszcze wspaniałych możliwości przez to stracę...

— Przez cały czas, powiadasz? — podnoszę brodę (jakby nie było, to jest ode mnie dość sporo wyższy) i patrzę na niego.

— Przez cały czas — potwierdza. — A co, coś się zmieniło? — unosi brew i lekko się uśmiecha. Doskonale wie, do czego zmierzam.

— Tak szczerze, to tak — kiwam głową — nawet sporo. Ale to nie ważne, tym na razie się nie przejmuję.

— To w takim razie, żeby to wyglądało tak trochę bardziej oficjalnie, to ja się ciebie może zapytam, czy chciałabyś być moją dziewczyną? — Bastian odsuwa się ode mnie i bierze mnie za rękę.

— Chciałabym — kiwam głową i uśmiecham się szeroko, choć przez łzy. — I przepraszam, że musiałeś tyle na mnie czekać. Po prostu wcześniej nie dojrzałam jeszcze do takiej decyzji...

— Cii... — chłopak ucisza mnie, kładąc palec na ustach, po czym zamyka mi je na dobre pocałunkiem.

— Co wy mi tu kłamiecie? — dosłownie ułamek sekundy później jak spod ziemi wyrasta Lara. — Przecież tak nie zachowują się przyjaciele, którzy nic do siebie nie czują!

— O tym, że jesteśmy tylko i wyłącznie przyjaciółmi była mowa kilka godzin temu — uśmiecham się szelmowsko. — Wiesz, ile potrafi się zmienić w ciągu kilku godzin?

— Wiem — dziewczyna kiwa głową. — O matko... W takim razie wy... Nie no, super! — rozpromienia się. — Dwójka moich najlepszych przyjaciół jest razem! Kochani, gratuluję! — podchodzi do nas i mocno nas ściska.

W tym momencie robi mi się trochę głupio. Pamiętam swoją reakcję, jak powiedziała nam o tym, że chodzi z tym swoim Ardienem... A jak porównuję to z jej zachowaniem teraz, to...

— Lara, słuchaj, ja chciałabym cię przeprosić — spuszczam wzrok, ale potem przemagam się i patrzę jej prosto w oczy. — Nawet nie wiesz, jak mi głupio, że wczoraj tak się zachowałam, jak powiedziałaś mi o tym, że ty i ten twój Ardien jesteście parą...

— To raczej ja przepraszam, nie powinnam cię osądzać po pozorach — nastolatka unosi dłoń na znak, żebym przestała. — Po tym, co przeżyłaś, nie ma co się dziwić, że nie ufasz płci męskiej. Ale to i tak nie zmienia faktu, że jak poznasz

mojego chłopaka, na pewno przypadnie ci do gustu.

— Przecież wiem, że ty nie wybierasz byle kogo — mrugam do niej porozumiewawczo, po czym wybuchamy śmiechem.

W tym momencie staje się jasne, że nasza przyjaźń przetrwała tą mini próbę. Nawet jakiś chłopak nie jest w stanie nam przeszkodzić. — To jak, kochana, chcesz zobaczyć piękny widok?

— Zawsze, wszędzie i o każdej porze — przytakuje.

— W takim razie spójrz tam — odsuwam się i pokazuję jej na ogromne stado, pasące się przed nami.

Na szczęście Mirt'Oshim wylądował na wzgórzu, więc mamy fantastyczną perspektywę do podziwiania koni. A taka gromada zwierząt we wszystkich kolorach, w tym też tych normalnych dla Sterilie, wygląda po prostu niesamowicie...

— Ja nie mogę... — moja przyjaciółka podchodzi na szczyt wzgórza i z niemym podziwem obserwuje stado.

Podchodzę do niej, a moment później za mną staje ognistowłosa i obejmuje mnie od tyłu. I to jest już kolejna rzecz, której jestem pewna — właśnie podjęłam jedną z najlepszych decyzji w moim życiu. „W sumie, to już dwie rzeczy, które się rozjaśniły — myślę z radością. — Z Bastianem mam wszystko wytłumaczone i... ułożone tak, jak trzeba. A co do Lary, to przecież nie mogę przesadzać. Ma w końcu siedemnaście lat i na tyle rozumu, żeby o sobie zadbać. Nie mówiąc o doświadczeniu z chłopakami, czego o sobie nie mogę powiedzieć. Dlaczego mam niby podejrzewać, że nie rozgryzłaby kogoś podobnego do Ertexa? Czyli w sumie wszystko wyszło dobrze — uśmiecham się do siebie w myślach — a przynajmniej jak na razie. Czyli na pewno wszystko będzie dobrze” — dodaję na koniec z pewnością.

— Dziewczyno, ja nie chciałbym was poganiać — chłopak odsuwa się ode mnie — ale jeżeli chcemy być w Luhri przed zmierzchem, to powinniśmy się spieszyć.

— Spoko, możemy już jechać — kiwam głową, po czym podchodzę do smoka i się na niego wdrapuję. Przy okazji próbuję sobie przypomnieć, o czym takim ważnym miałam im powiedzieć, i to najlepiej jeszcze przed wjazdem do miasta...

— Czyli jak robimy? — dziewczyna patrzy to na mnie, to na ognistowłosego. Dość komicznie to wygląda, gdy co chwilę zadziera głowę.

— My polecimy przodem i poczekamy przed bramami — informuję. — Tam rozbijemy obóz...

— Ja właściwie to myślałem, żeby może tym razem skorzystać z jakiegoś hotelu... — nasz przewodnik też nie wydaje się być specjalnie zdecydowany co do swoich racji.

— Czemu nie? — Lara przyklaskuje naszemu pomysłowi. — To jak, Dion, poczekaj na nas przed bramami, i tam zdecydujemy, co dalej.

— Spoko, jak dla mnie może być — kiwam głową. — To do zobaczenia! — wołam, po czym błyskawicznie wzbijamy się w niebo.

„Nieźle się pokomplikowało” — myśli Mirt’Oshim.

„Dlaczego tak uważasz? — patrzę na niego z zaskoczeniem. — Moim zdaniem raczej sporo spraw się wyjaśniło i już nie muszę się nimi martwić”.

„Cóż, podsumowując, to właśnie przestałaś być singielką, masz chłopaka, któremu naprawdę się podobasz, być może nawet z jego strony jest to coś więcej, niż tylko zauroczenie, a przecież nawet nie wie, jak się naprawdę nazywasz. Faktycznie, wszystko się wyjaśniło, nie uważasz?” — pyta smok z sarkazmem.

„Jakoś mu o tym powiem... kiedyś” — nie muszę chyba mówić, że nieźle mnie zgasił? Bo co racja, to racja, kiedyś będę musiała powiedzieć Bastianowi, że jestem zaginioną królową Arlesii...

„Nie tłumacz się już, to bez sensu — stwierdza mój środek transportu. — Zobacz, tam już widać Luhri — ruchem głowy wskazuje mi kierunek. Gdy lekko wyjęzę swój wzrok, okazuje się, że ciągnie się tam miasto. Luhri, to właśnie stamtąd pochodzą najwybitniejsi szefowie kuchni... W pałacowej kuchni byli tylko ludzie urodzeni właśnie tam... — A poza tym, lepiej pomyśl, jak wyjaśnić pozostałym, że masz zjazd lumii i nie pojedziesz z nimi do stolicy, tylko spotkacie się tam po jakimś czasie” — dodaje.

Czyli to o tym miałam im powiedzieć!

[1] Ellis — pradawna puszcza na południu Arlesiie, rozciągająca się na wiele tysięcy kilometrów, mniej więcej w połowie swojej powierzchni znajdująca się na bagnach, tworząc z nimi kolejną, naturalną granicę kraju. Bardzo licznie występują tam wszystkie gatunki z lasów deszczowych, o dziwo we w miarę pokojowych stosunkach, w tym te na Sterilie uznane za skrajnie zagrożone, a nie raz wręcz wymarłe. Pogoda tam jest niesamowicie zmienna, w jednej chwili świeci słońce, w drugiej nagle pojawia się niezwykle gęsta mgła. To właśnie stąd w Arlesiie ukuło się powiedzonko „zmienny jak pogoda w ellis”.

Rozdział XXII

— Ile jeszcze im się zejdzie... — z niecierpliwością zerkam na holograficzny zegarek, wyskakujący mi na nadgarstku. — Czekamy tu już jakiś kwadrans!

— Powinnaś przywyknąć, że ich ardyliany to nie twój Goldier, po pierwsze — zauważa Mirt'Oshim — a po drugie, że ja jestem o wiele szybszy niż nawet twój ogier, więc co dopiero w porównaniu z tamtymi.

— Może i masz rację... — kiwam głową i się o niego opieram. — Chyba nie powinnam się tak tym martwić.

— To się nie martw — według smoka wszystko jest takie proste...

— Żeby to było tak łatwo — wzdygam. — Po tym, co się stało z rodzicami, każda chwila zwłoki mnie martwi... I tak już chyba mi zostanie.

— Każdy ma jakieś małe spaczenia — zwierzę stwierdza filozoficznie. — W końcu nikt nie jest doskonały. A co do nich, to zamiast się martwić, pomyśl, jak powiesz im o zjeździe, bo to chyba obecnie jest najważniejsze.

— Powinnam im powiedzieć o tym wcześniej, przynajmniej teraz nie musiałabym się tym martwić — spuszczam wzrok.

Jednak mimo wszystko po raz kolejny przekonałam się, jak to łatwo szczęście może zostać zburzone przez jakikolwiek zgrzyt, jakąkolwiek nierozwiązaną sprawę... Tak jak teraz.

— Już jesteśmy! — słyszę głos Bastiana i automatycznie podnoszę spojrzenie na wyjeżdżającą zza drzew parę moich przyjaciół. A właściwie to na przyjaciółkę i chłopaka, stwierdzam z dumą. I w tym momencie uderza mnie niesamowita myśl — jak oni razem świetnie wyglądają! Tym razem jednak nie czuję zazdrości, bo wiem, że on będzie mi wierny. A ona ma innego chłopaka, z którym jest szczęśliwa. Jak to się życie dziwnie toczy...

„Nie martw się, on na pewno cię nie zostawi” — smok odczytuje moje myśli.

„Wiem i wcale się tym nie martwię” — odpowiadam, nie odwracając oczu od nadjeżdżających.

Obserwuję, jak ognistowłosa zeskakuje ze swojego Xawiera i z uśmiechem idzie w moim kierunku. „Jest we mnie zakochany na zabój, jestem tego pewna” — uśmiecham się do siebie, oczywiście nie zapominając o tym grymasie na twarzy, a po kilku krokach dosłownie padamy sobie w ramiona. Nawet nie spodziewałam się, że to takie przyjemne, kiedy ktoś się o mnie troszczy, martwi i przede wszystkim szczerze mnie kocha. Cóż, tego ostatniego to chyba nigdy specjalnie nie zaznałam, więc tym bardziej nie wiem, jakie to wspaniałe. I wreszcie się o tym przekonałam!

— To teraz chodź, moja piękna księżniczko — łapie mnie za rękę i próbuje pociągnąć w stronę miasta, ale ja stoję jak słup.

— Księżniczko? — patrzę na niego z ciekawością i z niecierpliwością wyczekuję odpowiedzi. Chciałabym usłyszeć, że on wie, że wszystkiego się domyślił i że nie będę musiała się ze wszystkiego tłumaczyć...

— Jesteś tak piękna, że nawet poprzednia królowa na sto procent nie było ładniejsza od ciebie — mruga do mnie okiem, a ja próbuję ukryć rozczarowanie. Na szczęście jest tak skupiony na mojej twarzy, że nie widzi zmiany koloru moich pasemek na lekko zielonkawe. Oczywiście to oznacza wyższe uczucie.

— To w takim razie ty będziesz Ognistym — decyduję. — Może i niezbyt to pomysłowe, ale do ciebie pasuje.

— Niesamowite, w życiu bym na to nie wpadł — stwierdza, próbując zachować powagę.

— Gołąbki, ja nie chcę wam przeszkadzać w gruchaniu — Lara opiera ręce na biodrach i przygląda nam się z lekkim uśmiechem pełzającym jej po ustach — Ale nie lepiej byłoby najpierw zająć się hotelem i zaklepać sobie miejsca? Wtedy ja bym mogła rozejrzeć się za Ardiem, bo jak powiedziałam mu, że jedziemy do Luhri, to zaproponował mi spotkanie na głównym placu miasta. No i oczywiście wy moglibyście spędzić ze sobą troszkę czasu.

— A, właśnie, ja muszę wam o czymś powiedzieć — delikatnie wyswabdam swoją dłoń z uścisku mojego chłopaka. — Trochę mi głupio, że to tak teraz, bez uprzedzenia, ale po prostu zapomniałam...

— Coś się stało? Coś poważnego? — na twarzy Bastiana od razu pojawia się niepokój.

— Nie, skąd — uspokajam go ruchem ręki. — Tylko do tej pory było strasznie dużo zajęć i po prostu nie miałam kiedy wam o tym powiedzieć. Wczoraj natknęłam się na Rori, jedną z moich przyjaciółek, sióstr, i powiedziała mi o zjeździe. Będzie za dwa dni, a ja w międzyczasie chciałabym jeszcze znaleźć mojego Goldiera i pogadać z moim nauczycielem, on na pewno mi pomoże w rozwiązaniu problemu w rodzinnej firmie.

— Czyli teraz planujesz nas zostawić i pojechać na ten wasz zjazd? — moja przyjaciółka doskonale podsumowuje to, o co mi chodzi. — Ile czasu cię nie będzie? Zawsze możemy na ciebie poczekać, jeśli będziesz chciała.

— Za długo by się wam zeszło — kręcę przecząco głową. — Sam zjazd trwa od tygodnia do półtora, zależy, ile będzie do obgadania, do zrobienia, i ile dziewczynom zajmie smoczy obóz. A jeszcze do tego dodajmy dwa dni, które są do zjazdu i przez które mam zamian znaleźć Goldiera...

— Czyli potrzebujesz około dwóch i pół tygodnia, licząc czas na dojazd do stolicy — zamyśla się Ognisty. — Zdajesz sobie sprawę, że jednak mimo wszystko to może być dość niebezpieczne, gdy będziesz wracać? Niby Arlesii nie jest

krajem niebezpiecznym, ale teraz, gdy miasta są atakowane przez ymuli, to nigdy nie wiadomo, co by się stało, gdybyś się na nagle natknęła na ich armię.

— Też nie mam pojęcia — wzruszam ramionami, mimo tego, że mniej więcej wiem, jakie mogłyby być tego skutki. Tym bardziej, że wśród nich mogłyby być druga ja... — Ale podróż na pewno nie zajmie mi tyle, ile przewidujesz. Mój ogier jest... wyjątkowy, że tak powiem. W jakieś osiem godzin spokojnie dojedziemy do Dminestil.

— Żartujesz sobie chyba? — chłopak patrzy na mnie z ogromnym zdumieniem.

— Nie żartuję — przeczę. — Ale on jest na serio wyjątkowy, kompletnie niepowtarzalny, drugiego takiego ardyliana nie znajdziesz na całym świecie. Słyszałeś kiedyś o maści szampańskiej?

— Słyszałem, ale... przecież to jest legenda! — na razie jeszcze nie jest przekonany.

— To w takim razie ta legenda zmaterializowała się w stajni moich rodziców, kilka godzin po tym, jak oświadczyli mi, że źrebak, który właśnie ma się urodzić, będzie mój — mówię. — I już wielokrotnie udało mi się przekonać, jak bardzo to, o czym mówią baśnie, jest prawdziwe, możesz mi w to wierzyć.

— Niesamowite... — ognistowłosa kręci głową w niedowierzaniu. — Pokażesz mi go?

— Oczywiście — przytakuję.

— Słuchajcie, ja nie chciałabym wam przeszkadzać, ale o czym takim mówicie? — wtrąca się Lara.

— O koniach i legendach — odpowiadam. — Bastian może powie ci, o co w tym chodzi w trakcie podróży, bo ja na serio się spieszę, im szybciej uda mi się dotrzeć na polanę u stóp Tusteris, tym lepiej. No i coś mi się zdaje, że tobie, kochana, też zależało na szybkości...

— W takim razie nie będę cię zatrzymywać, moja piękna — mój chłopak podchodzi do mnie i mocno mnie przytula. — Dbaj o siebie — szepcze mi do ucha.

— Będę — odszeptuję, po czym delikatnie wyswobadzam się z jego objęć. — Słuchajcie, moglibyście zabrać moje rzeczy? — pytam, podchodząc do Mirt'Oshima.

— Jasne, nie ma problemu — ognisty odbiera ode mnie plecak.

— Dziękuję — całuję go w policzek i wskakuję na swój środek transportu. Startujemy błyskawicznie.

— Miłego zjazdu! — słyszę tylko krzyk nastolatki, gdy znikamy pośród chmur.

„Zobacz, jak już jest ciemno. I zbiera się na burzę” — zauważa smok.

„Wiem — rozglądam się dookoła. — W taką pogodę trochę niebezpiecznie jest latać, nie sądzisz?”

„W taką pogodę niebezpiecznie jest robić cokolwiek w powietrzu — wzdycha. — Jak również przedzierać się przez zwarty początek Seiten Gaye...”

„I co proponujesz?” — patrzę na niego z ciekawością.

„Zatrzymajmy się przed Gajem Cudów w linii prostej od Luhri — odpowiada. — Ja już i tak nigdzie nie polecę, bo nie dość, że potwornie ciemno, to jeszcze zaczyna błyskać — i jakby na potwierdzenie jego słów na horyzoncie pojawia się ogromna błyskawica. — Sama widzisz. A w burzę też jest dość niebezpiecznie iść przez tak bardzo zalesione tereny, jak pierwszy kilometr gaju...”

„To może faktycznie zatrzymajmy się, może tu” — wskazuję palcem miejsce oddalone o jakieś sto metrów od naszej obecnej lokalizacji.

Dla zwierzęcia nie znaczy to praktycznie nic, w czasie mniejszym, niż sekunda stajemy na twardej ziemi.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że zdążyłam się do tego przyzwyczaić, ba, co więcej, będzie mi tego brakowało. Tak samo jak latania na moim obecnym środku transportu. Nic dziwnego, że przyjaciółki tak bardzo to lubią, wręcz są od tego uzależnione...

— Czyli teraz jeszcze nie lecisz? — patrzę na Mirt’Oshima.

— Nie ma szans — kręci głową. — Nie jestem samobójcą, a lot w taką pogodę z tym się równa. Jednak będziesz musiała wytrzymać ze mną kolejne kilka godzin.

— Nie przeszkadza mi to — wzruszam ramionami, po czym rozglądam się po miejscu, w którym wylądowaliśmy. W sumie nie jest aż tak źle, nie ma wiele drzew, które pod wpływem burzy nagle mogłyby się złamać i nas zabić. Spokojnie można by też rozbić obóz, ale... Właśnie, i tu objawia się mój brak przewidywania. Byłam pewna, że po prostu rozstaniemy się ze smokiem, on poleci w swoją stronę, a ja pójdę w swoją i noc spędzę już w Seiten Gaye, bo tam mogłabym bez przeszkód i żadnych niebezpieczeństw szukać Goldiera do upadłego. I właśnie dlatego, że nie przewidziałam nagłego załamania pogody (co oczywiście jest bardzo często spotykane w obecnym okresie), zostawiłam swoje rzeczy Bastianowi... Jakże to dla mnie podobne!

„Jakoś sobie poradzimy” — zwierzę już zdążyło się w miarę wygodnie ułożyć.

— Weź mi powiedz, czy ty masz wgląd we wszystkie moje myśli? — patrzę na niego z ciekawością.

— Można tak powiedzieć — wykonuje coś w rodzaju uśmiechu. — Nam, smokom, implanty są niepotrzebne. Tak właściwie my zmieniliśmy się najbardziej ze wszystkich podczas wielkiego wybuchu, ale równocześnie dla nas

promieniowanie było najłaskawsze, obdarzyło nas wieloma umiejętnościami niespotykanymi u kogokolwiek innego.

— Czyli przed tobą niczego nie da się ukryć — stwierdzam z mieszanymi uczuciami.

— Mniej więcej. Ale to o tyle dobre, że smok przed smokiem może ukryć swoje myśli, gorzej jest w przypadku smoka i człowieka.

— A dziewczyny zdają sobie sprawę, że ich kochane zwierzaczki wiedzą, o czym myślą? — uśmiecham się, wyobrażając sobie coś takiego.

— Wątpię, ale przez to są świetnymi szpiegami — przez moment mam wrażenie, że powiedział coś, czego nie chciał. — Choć to specjalnie istotne nie jest — dodaje, przez co moje wrażenie się potwierdza.

— To w takim razie może po prostu połóżmy się spać — proszę, po czym ziewam potężnie. — Trochę mnie to wszystko, co dzisiaj się zdarzyło, zmęczyło. I to nawet porządnie...

— A zamierzasz spać na trawie? Tym bardziej, że zaczyna padać? — pyta, zerkając na mnie z lekkim niedowierzaniem.

— A mam jakieś inne wyjście? — wzruszam ramionami. — Nie ma tak dobrze, za sklerozę trzeba płacić.

— Pomyślałaś kiedyś, jak na smoczych zjazdach lumie sobie radzą z takimi problemami, tym bardziej, że biorą ze sobą tylko coś do jedzenia? — po raz kolejny dzisiejszego dnia udowadnia mi, jak znikoma jest moja wiedza. I to w sprawach, o których na serio powinnam wiedzieć chociaż trochę...

— Wiesz, nigdy nie miałam potrzeby się tym zajmować, więc specjalnie mnie to nie interesowało. Niezła ze mnie ignorantka, prawda? — uśmiecham się do siebie.

— Cóż, bywa — lekko przymruża oko. — Ja też nie mam zwyczaju zaśmiecać sobie głowy informacjami, które nie są potrzebne. Ale w tym wypadku chyba ci się przydadzą.

— W takim razie możesz się podzielić — siadam po turecku na trawie, ignorując krople deszczu wielkości jaj przepiórczych.

— No więc to wszystko polega po prostu na tym, że lumia kładzie się na jednym skrzydle, a potem smok dokładnie ją otula drugim — wyjaśnia. — Nie bój się, nie mam zamiaru cię zjeść, tym bardziej, że to będzie nawet bezpieczniejsze, gdyby przez przypadek ktoś gdzieś tu przelatował. Wtedy cię nie zauważy i oboje będziemy mieli większe szanse na przeżycie.

— Coś w tym jest — przytakuję, ale nie ruszam się z miejsca.

— Mam cię namawiać? — Mirt'Oshim odchyła jedno ze swoich skrzydeł.

— Nie musisz — kręcę głową, po czym wstaję, podchodzę do niego i staram się jakoś w miarę wygodnie się ułożyć.

Chwilę potem zwierzę składa drugie skrzydło tak, że znajduję się jakby

w ogromnym kokonie. Bardzo ciepłym, będącym w końcu częścią jego gorącokrwistego ciała...

— Dobranoc — szepczę, tłumiąc ziewnięcie.

„Dobranoc” — odpowiada.

Przymykam oczy i wsłuchuję się w stukot kropel deszczu o mój „tymczasowy śpiwór”. Ten odgłos zawsze mnie usypiał i teraz przed zaśnięciem przez myśl przemyka mi tylko „ciekawe, czy dzisiaj też będą śniły mi się koszmary...”.

Rozdział XXIII

Przez moment mam wrażenie, że ktoś przy mnie stoi.

Lekko rozchyłam oczy, dosłownie w malutkie szparki, tak, by ten ktoś nie zobaczył, że się obudziłam. I faktycznie, na trawie zauważam cień dość postawnego chłopaka/mężczyzny, w chwili obecnej nie potrafię tego określić.

Odruchowo zaciskam oczy, nie chcąc, żeby zauważył, że nie śpię.

Gdy kilka sekund później otwieram je z powrotem, okazuje się, że cień zniknął. I choć może nie jest to specjalnie bezpieczne (przecież ta osoba mogłaby stanąć tak, by nie było widać jej cienia), gwałtownie siadam i rozglądam się wokoło.

Faktycznie, nikogo tu nie ma. Czyli mogło mi się przyśnić, nie pamiętam nawet, ile razy tak miałam u siebie w sypialni... Wielokrotnie zdarzało się, że miałam wrażenie, iż ktoś spaceruje po dywanie na wprost ogromnego łóżka z baldachimem, w którym, zakopana w wielu warstwach poduszek i kołder, spałam ja...

Gdy już wiem, że wszystko jest w porządku, przeciągam się z rozkoszą. Mam teraz takie fajne przeczucie, że od tej pory już nie będę musiała się niczym martwić. Wszystko się ułoży, sprawa z Ertexem jakoś się rozwiąże i to nawet bez potrzeby mojego powrotu na tron. Czyli żyć nie umierać, tylko po prostu muszę wymyślić jakieś fajne rozwiązanie. Na pewno pomogą mi w tym moje kochane „siostry”, i oczywiście Estive.

Tak szczerze, to specjalnie nie chce mi się teraz nigdzie ruszać, w końcu dopiero co się obudziłam... Rozciągam się z powrotem na miękkiej, soczyście zielonej trawie. Czasami dopada mnie tak ogromne lenistwo, że nie chce mi się nawet ruszać z łóżka czy aktualnego posłania. Szczególnie, że ostatnio miałam trochę stresów, przeszłam ciężką chorobę i nawet nie mogłam choć chwili zarezerwować na odsapnięcie.

Rozciągam się po raz kolejny i... moja ręka natrafia na jakiś przedmiot, owinięty w materiał i leżącą obok niego kartkę papieru.

Z ciekawością przewracam się na brzuch i biorę to coś w rękę. Ostrożnie odwijam tkaninę, a moim oczom ukazuje się piękny wisiorek. Tak właściwie jest to mała, śliczna buteleczka w krwistoczerwonym kolorze, z ozdobami wykonanymi najwyraźniej ze złota. Ozdóbka z pewnością jest bardzo stara, a przynajmniej na taką wygląda.

Łapię ją za łańcuszek i z ciekawością przyglądam się jej pod światło. Dzięki temu bardzo łatwo jest zauważyć, że fiolkę wyrznięto w ogromnym, bardzo ciemnym rubinie. Takich nawet na Vastertilie nie spotyka się często, musi więc być wyjątkowo cenna...

Chwilę później zauważam, że w środku jest jakiś płyn. Przezroczysty, wydaje się być wręcz lżejszy od powietrza. Ciekawe, czy ma służyć tylko za ozdobę...

Nagle przypominam sobie o kartce. Coś musi być na niej napisane...

„Wy, lumie, nie lubicie pożegnań. Tak się składa, że my, smoki, również. Dlatego nie żegnam się, bo według naszej tradycji wówczas znika nadzieja na ponowne spotkanie.

M'O

PS. Płyn w tej buteleczce jest bardzo niestabilny, ale bywa przydatny. Pod żadnym pozorem jej NIE ROZBIJAJ, jeżeli nie chcesz wywołać kolejnego Wielkiego Wybuchu. W chwili PRAWDZIWEGO zagrożenia wypij. Nie wiem, jakie dokładnie ma działanie, ani jakie są skutki uboczne, ale może uratować ci życie. W takiej sytuacji czasami warto zaryzykować”.

Przez moment przyglądam się liścikowi. Teraz wreszcie ogarniam, jaki drobny szczegół psuł mi postrzeganie świata. Bo faktycznie, coś mi nie pasowało... I nareszcie wiem, co. Otóż zasypiałam na polanie przed Seiten Gaye, w deszczu i równocześnie przytulnym ciepłe, otulona skrzydłami smoka. Takiego poczucia bezpieczeństwa jak wtedy dawno nie zaznałam...

A teraz obudziłam się na polanie u stóp Tusteris i jedynym śladem istnienia Mirt'Oshima jest list wraz z pięknym wisiorkiem. I to na dodatek wypełnionym czymś, co może uratować mi życie, ale w innym wypadku zniszczyć cały świat. Po prostu super!

Zastanawia mnie tylko, dlaczego on nie chciał trzymać się pierwotnego planu... W końcu tamta opcja też była w miarę bezpieczna... A przynajmniej tak mi się zdaje... Cóż, jednak mimo wszystko przeniesienie mnie w takie miejsce i to w trakcie burzy (w Arlesii burze kończą się dopiero przed południem) wymaga sporej ilości odwagi.

Uśmiecham się lekko i zakładam prezent na szyję. Jednak po tym, jaka była pierwsza reakcja zwierzęcia na mój widok, to nie spodziewałam się niczego dobrego. Właściwie miałam takie wrażenie, że w jego towarzystwie nie przetrwam więcej niż tylko kilka godzin. A tu proszę, uświadomił mi wiele bardzo ważnych rzeczy, o których powinnam wiedzieć wcześniej. I wcale nie przesadzę, jeśli powiem, że dzięki niemu podjęłam decyzję, by przyjąć propozycję Bastiana. Wychodzi na to, że jestem mu dłużna... Co więcej, być może zyskałam przyjaciela w szeregach najzacieklejszych wrogów mojej rodziny, a jakby nie było, to jedna z najcenniejszych rzeczy, na które obecnie mogę liczyć.

Sekundę później dociera do mnie jeszcze jedno. Mianowicie czym tak naprawdę był cień, który zauważyłam tuż po obudzeniu. Wychodzi na to, że to smok po przeniesieniu mnie tutaj postanowił zostać ze mną, dopóki się nie obudzę. Co więcej, czekał na to w swojej ludzkiej postaci, bo przecież taką

sylwetkę widziałam. W takim razie on też potrafi się zmieniać, jest jednym z tych najszczerzej obdarowanych przez promieniowanie. Nie mogę tylko rozgryźć, czy został na te parę godzin, by mnie chronić (choć to by przeczyło jego słowom, które wyrzekł wczoraj na skalnym tarasie, bo w końcu mówił, że tutaj jestem bezpieczna, tutaj chroni mnie Odwieczny...), czy może po prostu nie śpieszyło mu się z odzyskaniem całkowitej wolności...

Kręcę głową z uśmiechem. Mirt'Oshim jest najbardziej skomplikowaną osobą (bo skoro częściowo jest też człowiekiem, chyba mogę tak o nim mówić?) na obydwu światach. Do tej pory udało mi się rozgryźć wszystkich moich znajomych, nawet Ertexa (choć z przykrością muszę stwierdzić, że niestety dopiero po czasie), a niektórych zachowań smoka wciąż nie potrafię zrozumieć. I zapewne szybko do tego nie dojdzie...

Pochłonięta rozmyślaniami nie patrzę pod nogi i... jak długa ląduję na ziemi. Ze złością spoglądam na korzeń, który sprowadził mnie do parteru i... wybucham śmiechem. Właśnie przeżywam coś w rodzaju deja vu, zupełnie taką samą sytuację przeżyłam niecałe dwa lata temu, gdy uciekłam z pałacu w noc przed ślubem. Do pełnego podobieństwa brakuje tylko Estive'a, pojawiającego się zawsze w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze i jeszcze podśmiewającego się z mojej nieuwagi Goldiera.

No właśnie, Goldiera. Podnoszę się i zerkam na ginący w chmurach szczyt Tusteris, podniebnego jeziora. Pierwotnie planowałam szukać mojego ogiera na wzgórzach po zachodniej stronie tesil ruse Triltie, niedaleko tak zwanej bariery ochronnej Gaju Cudów, na którą składają się martwe, poskręcane drzewa i zarośla, ciągnące się wokół całego gaju na dziesięć kilometrów w głąb. Ich zadaniem jest chronić to miejsce przed nieproszonymi gośćmi i spełniają swoją rolę bardzo dokładnie, nadając mu upiorny wygląd. Przez to mało kto zapuszcza się do środka, a o tym, jak poza tą ścianą martwych zarośli jest naprawdę, wiedzą tylko bardzo nieliczni i uprzywilejowani.

Potem, bo zapewne tam bym go spokojnie znalazła, chciałam przejść się na polanę, na której jestem obecnie i noc spędzić u mojego nauczyciela. Przy okazji mogłabym podzielić się z nim moimi zmartwieniami i wysłuchać rad, które z całą pewnością by dla mnie miał...

A teraz najwyraźniej muszę lekko przekalibrować swoje plany. Moim priorytetem ciągle pozostaje odnalezienie ardyliana, ale najwyraźniej nie uda mi się zajrzeć do smoka mieszkającego w Podniebnym Jeziorze przed zjazdem. Choć to w sumie nie jest wielki problem; jak dziewczyny wybiorą się na smoczy obóz, to ja zostanę w hotelu sama.

Nigdy specjalnie taka opcja mi się nie podobała, bo jednak co, jak co, ale hotel lumii, jest niezwykle ponury, gdy jest się samemu w środku. Nawet pierwsza noc w pałacu po pogrzebie rodziców nie była taka zła, bo jednak mimo wszystko

gdzieś tam była służba, więc miałam pewność, że sama nie byłam.

A tak wracając do smoczych obozów przyjaciółek i do hotelu, to za każdym razem spędzałam te dwa, maksymalnie cztery dni u Estive'a. Wielokrotnie wspominałam, że wszelka okazja, by się z nim spotkać i pogadać na temat obecnych problemów jest dobra...

W takim razie mam już wszystko zaplanowane (mniej więcej, ale jak dla mnie to wystarczy), tylko trzeba jeszcze znaleźć sobie jakiś fajny środek transportu. Jeżeli chciałabym przejść tyle kilometrów na piechotę, zajęłoby mi to ładnych parę dni, a co jak co, na zjazd nie chcę się spóźnić, tym bardziej, że nie mam stuprocentowej pewności, czy Goldier faktycznie będzie na wzgórzach, czy nie będę musiała go szukać zupełnie gdzie indziej...

Z lekkim wahaniem spoglądam a to na Tusteris, a to na wejście do jaskini, kryjącej w sobie Selumie i hotel. Z jednej strony podeszłabym do Estive'a i poprosiła o pomoc w zorganizowaniu sobie transportu, ale z drugiej... Z drugiej to chyba powinnam być nieco samodzielniejsza, karcę się w myślach. Właśnie dlatego kieruję swoje kroki w to drugie miejsce. Owszem, mój ogier pewnie się obrazi, jak zobaczy mnie na jakimkolwiek koniu, ale jego reakcja na pewno będzie mniej impulsywna, gdy zobaczy mnie nie na ardylianie, a na arabie...

Kilka minut później wchodzę do wnętrza jaskini. Wbrew pozorom wcale nie jest to ciemne, ponure miejsce, bo wkrótce po wielkim wybuchu sufit (bo chyba mogę tak nazwać strop jaskini?) i ściany działowe się zawaliły, tworząc coś w rodzaju ogromnej polany, otoczonej wysokimi, skalnymi ścianami. Tak właściwie wiedzą o niej tylko lumie, ich smoki, no i oczywiście jeszcze mój nauczyciel, a wejścia są dwa — jedno to, z którego właśnie mam zamiar skorzystać, a drugie od góry. Tamtędy zazwyczaj wylatują moje „siostry”, gdy wybierają się na swoje smocze obozy.

Zaledwie po paru krokach natykam się na zwisające pnącza. Odgarniam je z uśmiechem — to najlepszy znak na to, jak blisko jestem jednego z moich najulubieńszych miejsc na całym świecie. I faktycznie, gdy przechodzę przez tę zieloną, z pozoru niezwykle szczelną kurtynę, natykam się na zamkniętą bramę.

„Super” — wzdycham do siebie, ale to było do przewidzenia. Ruch w hotelu zaczyna się dopiero dzień przed zjazdem, czyli jeszcze koło doby budynek będzie straszyl pustymi, czarnymi oknami.

Cóż, nie mam wielkiego wyboru. Plus jest taki, że nie mam żadnego bagażu, więc po prostu ograniczam się do zdjęcia butów (cóż, uwielbiam szpilki, koturny i wszelkiego rodzaju platformy, ale mimo wszystko jednak nie zawsze są specjalnie wygodne, szczególnie, jeżeli chodzi o łożenie po murach), rzucam je na soczyście zieloną trawę i zaczynam się wspinać.

Całe szczęście, że nie ma żadnej, specjalnej ochrony, więc kilka sekund

później zeskakuję na drugą stronę.

To akurat zasługa tego, jak bardzo w Arlesii ważne jest słowo i zasady. Jest takie niepisane prawo, że nikt poza lumiami nie ma szans wejść na teren Selumie, choć tak szczerze mówiąc, to w czasie zjazdów okresów, do których nie jesteśmy przypisane, my też zaliczamy się do grona nieproszonych gości. Ale właśnie dlatego, że to prawo jest przestrzegane, nie potrzeba szczególnych zabezpieczeń polany, co już któryś raz przyniosło mi pożytek. Nawet nie pamiętam, ile razy wracałam się z dziewczynami, bo zapomniałyśmy czegoś totalnie ważnego, bez czego nie było sposobu wytrzymać kolejnego roku...

Tym razem jednak przy fontannie naprzeciw budynku schodzę ze ścieżki i omijam go tak szerokim łukiem, jak tylko mogę (a właściwie na ile tylko pozwalają mi ściany jaskini), by w końcu dotrzeć do stajni na samym końcu polany. Właśnie tam te z nas, które oprócz smoków posiadają konie (kilka z dziewczyn lubi też czasem trzymać się ziemi, a ja szczególnie nie mam wielkiego wyboru, bo mimo, że czasem coś mi odbija i że czasami robi się ze mnie kompletna desperatka w pomieszaniu z wariatką) je trzyma, oprócz tego mamy jeszcze kilka arabów, znajdujących się tam przez cały rok. Co prawda nie korzystamy z nich często (jednak mimo wszystko każda z nas uwielbia prędkość (a ja chyba najbardziej), a koń potrafiący cwałować maksymalnie około 60 km/h i to jeszcze przez dość niedługi okres czasu, jest niczym w porównaniu z nawet najzwyczajszym ardylianem (o moim Goldierze nawet nie wspominając), potrafiącym kilka godzin, bez najmniejszych oznak zmęczenia galopować ze dwa razy szybciej), ale czasem się przydają. Na przykład w takich sytuacjach, jak teraz...

Kilkanaście minut spokojnego spaceru później staję przed wejściem do stajni.

Biorę głęboki oddech. Tak szczerze mówiąc, to jeszcze nigdy nie miałam aż tak bezpośredniego kontaktu z końmi tej rasy (nie liczę przedstawień. To taka nasza fajna tradycja — rok w rok wymyślamy jakiś temat i potem przygotowujemy się do tego gruntownie, nie przejmując się tym, że i tak nikt poza nami samymi nie obejrzy naszego wysiłku. Choć tyle w tym jest dobrego, że co rok zmieniają się grupy wystawiające scenki, więc ja do tej pory występowałam tylko raz) i teraz do końca nie wiem, czego mam się po nich spodziewać. Z ardylianami można przynajmniej nawiązać jakiś kontakt, więc konie wiedzą mniej więcej, czego się po nich oczekuje i co chce się robić, a z arabami już tak się nie da. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że jakoś się z nimi dogadam... Co nie zmienia faktu, że trochę się boję.

Po chwili, która wydaje się być wręcz wiecznością, otwieram wrota do pomieszczenia i patrzę na konie, na razie spokojnie stojące w boksach. Cóż, w porównaniu z rasą, z którą mam do czynienia właściwie przez cały czas,

wyglądają... dziwnie. A na pewno trochę... łysiej. Jednak rzadsze grzywy, ogony i brak szcztot pęcinyowych swoje robią...

Ostrożnie przyglądam się zamkniętym zwierzętom, zastanawiając się, które z nich mam wybrać. Mam tylko takie dziwne wrażenie, że każdemu z arabów jakoś tak dziwnie, złośliwie z oczu patrzy, tylko czeka, żebym na niego siadła, by mógł mnie porządnie poturbować...

Dopiero w przedostatnim boksie znajduję konia, który wydaje się być jakiś w miarę normalny. I spogląda na mnie też jakoś tak pocziwie...

— Hej, piękna — unoszę dłoń, chcąc położyć ją na chrapach arabki, ale ona ją odtrąca i wydaje się być lekko obrażona. Co prawda nie jest to tak bardzo bezpośrednio, jak w przypadku ardyliana, z którym jeźdźca łączy wyjątkowa więź, ale jednak potrafię coś z tego wywnioskować. — Co, przecież jesteś piękna...

Koń nagle staje dęba i wtedy doskonale ogarniam, dlaczego wydawał się być obrażony. Pomylić wałacha z kłaczą to mimo wszystko jest niezła gafa...

— Przepraszam — uspokajająco unoszę ręce, choć nie mam pojęcia, jak wpłynie to na karosza. — Nie wiedziałam. To jak, piękny, mogę się na tobie wybrać na przejażdżkę?

Arab lekko się uspokaja, ale czujnie mnie obserwuje, gdy ostrożnie wchodzę do boksu. Kiedy chwytam go za grzywę, chcąc wyprowadzić, z początku mi się opiera, ale w końcu ustępuje.

— Przepraszam — klepię go po karku. — Ale obiecuję, że nie będę długo ciebie męczyć, jesteś mi potrzebny, by odnaleźć Goldiera, potem cię odwiozę na miejsce. I oczywiście dostaniesz sporo cukru w nagrodę.

Mam wrażenie, że przy tych słowach karosz robi się zadowolony i dlatego bez żadnych problemów pozwala mi się dosiąść (oczywiście robię to bez siodła i uzdy, w końcu ja nie lubię korzystać z takich udogodnień). Z lekkim uśmiechem na twarzy, bo w końcu wychodzi na to, że czego to ja nie potrafię, wyprowadzam wałacha na korytarz stajni. Ten, spokojnym kłusem (ten chód akurat ma tempo bardzo podobne do tempa kłusa ardylianów) wyjeżdża na zewnątrz i wtedy lekko przyspiesza, akurat do galopu.

Gdy zbliżamy się do bramy, lekko wychylam się do przodu, przygotowując się na skok, ale kilka metrów przed nią koń gwałtownie się zatrzymuje. Wynik jest prosty — totalnie nie byłam na to przygotowana, a już nie mówiąc o tym, że nie miałam ani siodła, ani uzdy, więc niemal natychmiast wylatuję do przodu, przez łeb araba.

— O co ci chodzi? — patrzę na niego z zaskoczeniem. Podnoszę się, opierając o bramę, potem dokładnie się otrzepuję. — No nie mów, że nie umiesz skakać?

Sekundę później sama sobie odpowiadam. To, że ardylian spokojnie przeskoczy trzymetrową bramę, wcale nie znaczy, że zrobi to jego krewniak ze

Sterilie...

Wzdycham ciężko.

— I weź mi, karoszk, powiedz, jak ja mam ci to otworzyć? — uważnie przyglądam się konstrukcji. Cóż, nie jest to wcale takie proste, odkąd prawie wszędzie wprowadzono coś z automatyki.

Na szczęście nie zmieniono jeszcze wszystkiego, uśmiecham się szeroko. I dobrze, w takich sytuacjach jak dzisiejsza to się bardzo przydaje...

Odwracam się do wałacha tyłem i zaczynam badać naszą drogę wyjścia. Cóż, jedynym minusem tej opcji jest to, że można ją wykorzystać tylko z tej strony, więc najpierw muszę wypuścić konia, ufając, że mi nie ucieknie, potem przywrócić wszystko do takiego stanu, w jakim jest teraz i wyjść górą...

Wystarczy mi kilka sekund badania bramy, bym wyczuła lekkie zgrubienie w jednym z przęseł. Co za idiotka ostatnio tego używała i wsadziła to tak głęboko?

Cóż, muszę zaryzykować. Lekko przygryzam wargi i zastanawiam się, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że moje paznokcie ostaną się w całości... Trudno, okaże się później. Teraz wciskam je tak daleko, jak tylko daję radę i szarpie gwałtownie.

Na początku czuję spory opór, ale nie przestaję ciągnąć. I dobrze, bo po chwili słyszę lekkie kliknięcie i z otworu wysuwa się klamka. Kontrolne zerknięcie na palce — wszystko jest w porządku. Na szczęście jakiś czas temu musiałam obciąć sobie pazurki, więc teraz co prawda są króciutkie i choć ledwo udało mi się wydobyć to, czego potrzebowałam, przynajmniej są całe i zdrowe.

Próbuję ją przekręcić, ale specjalnie nie chce współpracować. Na szczęście jestem osobą bardzo, ale to bardzo upartą, więc jakieś zardzewiałe, pradawne żelastwo nie ma szans ze mną wygrać — po długim siłowaniu się wreszcie się poddaje i z potwornym skrzypieniem brama się otwiera.

— No, idź — wskazuję zwierzęciu drogę. O dziwo nawet się mnie słucha, postępuje kilka kroków i przystaje, mierząc mnie znieczepionym spojrzeniem. Dziwnie to wygląda — jego głowa wystaje zza zielonej kotary bluszczu, zupełnie, jakby był jakąś dekoracją na ścianę. Widziałam już takie wielokrotnie na drugim świecie, ale zawsze budziły we mnie lęk, nie potrafiłam zrozumieć, jak ktoś mógł odebrać tym zwierzętom życie tylko i wyłącznie, by służyły mu jako trofeum...

Zaraz jednak pochmurnieję jeszcze bardziej. Jednak jakby nie było, to moja rodzina od wieków robiła coś bardzo podobnego. Może nawet jeszcze gorszego, bo w końcu nie mam pojęcia, w jakim celu od tych ponad dwóch tysięcy lat prowadzone są doświadczenia na smokach... W każdym razie, bez względu na to, cokolwiek jest tym powodem, i tak nie usprawiedliwia całego tego procederu...

Dobra, nie ważne — kręcę głową, chcąc odgonić te myśli od siebie. Dziś obudziłam się z wyjątkowo dobrym nastrojem i nie mam najmniejszej ochoty go stracić, tym bardziej, że ostatnio takie podejście do życia i świata ogólnie wcale nie

pojawia się u mnie często.

Oddycham głęboko kilka razy, tak samo, jak uczył mnie Estive i czuję, że choć częściowo odzyskuję kontrolę nad sobą. Od razu poprawia mi się humor. To tylko pokazuje, że jak się z nim spotkam, to wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży...

Przyciągam bramę do siebie, chcąc ją zamknąć. Ona oczywiście protestuje potwornym skrzypieniem (przysięgam, że jeśli jeszcze kiedyś będę musiała to robić, zapewne stracę słuch!), ale gdy już jest blisko, nadrabia początkowy opór szybkością. I to taką, że ledwo udaje mi się cofnąć palce.

— Nie no, serio? — patrzę na nią z niedowierzaniem i zaczynam się śmiać. To już jest chore, że nawet taka brama czyha na moje życie, a przynajmniej zdrowie.

Śmieję się tak mocno, że aż zaczynają mi cieknąć łzy. Ale kiedy podnoszę rękę, by je otrzeć, zauważam jeden, drobny szczegół. Środkowy palec lewej ręki jest cały zakrwawiony.

Z zaskoczeniem podnoszę go do oczu i dopiero kiedy orientuję się, że to przekłete żelastwo najwyraźniej właśnie ucięło mi dosłownie dwumilimetrowy opuszek, zaczyna mnie on potwornie boleć. Krew też najwyraźniej nie zamierza przestać mi lecieć...

— No i super — kręcę głową, ale tym wypadku nie wiem, czy mam śmiać się, czy płakać. To już na serio jest jakaś totalna masakra... — To ja może stąd wyjdę, bo jeszcze coś mnie przygniecie, czy jak... — mruczę pod nosem, wspinając się po bramie i starając się ignorować uczucie bólu. I to na dodatek takiego, że mam wrażenie, że mój palec po prostu wrzeszczy mi do ucha tak, że nie tylko on mi dokucza, mam wrażenie, że mózg też mnie boli...

Cóż, trzeba szukać pozytywów, wzdycham w myślach. Przynajmniej nie straciłam palca...

Kilka sekund później stoję na szczycie i właśnie zamierzam zeskoczyć na drugą stronę, gdy zupełnie przez przypadek muskam zranionym palcem wiszący mi na szyi kryształ, ciągle przypominający mi o moim pochodzeniu (choć odkąd Mirt'Oshim powiedział mi o potwornym procederze, dziejącym się w podziemiach pałacu, mam ochotę zerwać go z szyi i wyrzucić, by już kompletnie nic nie łączyło mnie z rodziną der Soltarie). Prostuję się gwałtownie, zupełnie, jakby przeszedł przeze mnie prąd. Zerkam w dół i widzę, jak wisior dosłownie rozgrzewa się do czerwoności, ale tego nie czuję. I potem — nagły, oślepiający błysk. Wszystko wraca do normy. Za to gdy podnoszę zranioną dłoń do oczu, zauważam jedną, drobną zmianę. A mianowicie wcale mnie nie boli, to po pierwsze, a po drugie nikt nie powiedziałby, że przed chwilą coś tam mi się stało.

Z szerokim uśmiechem zeskakuję na ziemię. Czyli jednak czasami przynależność do rodziny królewskiej, choćby i tak okrutnej, ma swoje plusy.

Przynajmniej mam dostęp do tak genialnej technologii, jak te nanotriony. Zawiera je substancja, którą powleczono kryształ i wystarczy dosłownie jedno dotknięcie, by wyleczyły skaleczenie. Co prawda nie działa to na już zabliznione rany, ani jeszcze nikt nie sprawdził, czy może ochronić od śmierci, ale zawsze są bardzo przydatne.

— Dobra, karoszku, jedziemy — informuję wałacha, gdy wskakuję mu na grzbiet. Ten rusza spokojnym klusem, który dość szybko przechodzi w galop (jak dla mnie co prawda niezwykle wolny, ale jak to się mówi: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, więc jakoś przeżyję), więc po paru minutach wyjeżdżamy na polankę.

Teraz pozostaje mi tylko znaleźć Goldiera i wrócić na zjazd. Ciekawe, w ile miejsc będę musiała zajechać, żeby go znaleźć...

Rozdział XXIV

— Goldier, Goldier!!!

Rozglądam się dookoła, ale ogiera wciąż nie ma w zasięgu wzroku. Nawet to, że prostuję się na grzbiecie araba, próbując dodać sobie parę centymetrów wysokości i równocześnie poszerzyć zasięg widzenia, nie pomaga.

Wzdycham ze zrezygnowaniem.

To już nie ma sensu! Uganiem się po Seiten Gaye już od paru godzin, chyba całkowicie zdarłam sobie gardło od krzyczenia ciągle tego samego, jestem wykończona, koń pode mną z resztą też, a ardylian jakby wyparował.

— Ja już nie mam siły — chrypię, po czym zeskakuję na ziemię. Od razu uginają się pode mną nogi i opadam na soczyście zieloną trawę.

Mojej silnej woli nie wystarcza nawet, by się podnieść, więc po prostu podciągam kolana pod brodę i opieram plecy o rosnące tuż za mną drzewo.

Karosz, na którym przebyłam odległość dzielącą to miejsce od polany u stóp Tusteris, lekko trąca mnie łbem.

Podnoszę głowę i patrzę mu prosto w oczy. Odbija się w nich przede wszystkim zmęczenie, ale też i coś w rodzaju delikatnej pretensji do mnie za to, że ciągałam go przez tyle kilometrów.

— Przepraszam, konisiu — zaczynam go głaskać po chrapach. — Naprawdę nie sądziłam, że tyle czasu to zajmie, byłam pewna, że on usłyszy mnie wcześniej...

Te słowa jednak nie uspokajają wałacha. Po raz kolejny wzdycham i przy pomocy drzewa wstaję. Pamiętam, jak kilka kilometrów od Selumie wkurzyłam się na to, że zapomniałam swoich ulubionych szpilek sprzed bramy do hotelu, ale teraz w sumie się z tego cieszę. Kiedy człowiek jest bardzo zmęczony, nie ma to jak orzeźwiająca, wieczorna rosa na stopach... Naprawdę stawia na nogi... W tym momencie faktycznie doceniam moją sklerozę. Jak widać czasem się przydaje...

Wałach parska, zupełnie, jakby chciał mi powiedzieć, że jestem niesprawiedliwa.

— Wiem... — zaczynam głaskać i klepać go po szyi. — I naprawdę doceniam to, co do tej pory dla mnie zrobiłeś. Ale jesteś bardzo, bardzo zmęczony, mój piękny. Nie będę od ciebie wiele wymagać. Jeżeli chciałbyś wracać do domu, to proszę bardzo.

Arab patrzy mi w oczy, najwyraźniej chcąc się dowiedzieć, czy nie żartuję.

— Nie, skąd — gładzę go po pysku. — Jak chcesz, to biegnij, piękny. I tak wiele mi pomogłeś. Sama, w takim czasie, w życiu nie przebyłabym takiej odległości. Bardzo, ale to bardzo za to ci dziękuję. Jak chcesz, to biegnij.

Karosz prostuje się i przez moment stoi tak, zupełnie, jakby nad czymś się

namyślał. Potem jednak nagle odwraca się w stronę, z której przybiegliśmy i spokojnym, ociężałym kłusem zaczyna wracać.

Dopiero potem orientuję się, że koń będzie musiał poczekać przy wejściu do Selumie.

Lekko się uśmiecham — jutro rano dziewczyny na pewno będą zaskoczone, jakim cudem jeden z koni wydostał się poza polanę. I to na dodatek jeden z tych, które za nic w świecie nie dałyby rady przeskoczyć bramę...

Opieram się plecami o drzewo i próbuję ogarnąć, jaki mam plan działania. Przede wszystkim myślałam, że uda mi się szybciej znaleźć Goldiera i będę mogła noc spędzić w jakimś w miarę przyjemnym miejscu, ale jak na razie okazało się to niemożliwe. A że jestem mega zmęczona, to teoretycznie powinnam choć trochę wypocząć, na przykład się zdrzemnąć, bo miejsce znalazłam nawet dość spoko, i poza tym, kiedy już funkcjonuję, że tak powiem, na oparach, to nawet gorzej mi się myśli. Ale z praktyką jest trochę inaczej, bo w sumie im szybciej odnajdę mojego ardyliana, tym szybciej będę miała szansę na prawdziwie zasłużony odpoczynek...

Wzdycham ciężko. Jedną z tych rzeczy, których wprost nienawidziłam w byciu królową, było podejmowanie decyzji. Ale nie decyzji samych w sobie, tylko pewnego, konkretnego typu — takich, w których efekt końcowy był identyczny, ale prowadziły do tego różne drogi, jedna z pozoru łatwiejsza, a druga nieco bardziej „wyboista”. W tym wszystkim nie lubiłam ogarniania, czy ta łatwiejsza faktycznie jest taka, jaka jest, jednym słowem, co będzie lepsze w skutkach długoterminowych.

Teraz przemyślanie czegokolwiek nie wychodzi mi specjalnie dobrze, ale jak widać nie mam wielkiego wyboru. Czyli muszę coś wykombinować, i to natychmiast...

W końcu stwierdzam, że jednak choć jestem totalnie wykończona, chyba jednak wybiorę drugą opcję. Inaczej mogłabym przyspać trochę za długo, co nie zmieniłoby faktu, że muszę znaleźć Goldiera i w rezultacie poszukiwania by się przeciągnęły, a ja spóźniłabym się na zjazd. A żeby osiągnąć efekt tak zwanego wejścia wilka, to najlepiej by było, jakby wszystkie lumie były w holu, a tak się składa, że najlepiej je tam zastać na parę minut przed rozpoczęciem... Bo po gongu, oznajmiającym początek zjazdu, wszystkie udają się do wyznaczonych (pod uwagę bierze się ilość dziewczyn, z których składa się dana grupka) pokoi...

Wzdycham po raz kolejny, odpycham się od pnia i rozglądam wokoło. Ogarnięcie tak mniej więcej, gdzie jestem, na pewno bardzo by mi pomogło... W końcu chcę dojść do wzgórz na południowy zachód od Seiten Gaye. Tylko żebym to ja wiedziała, jaką trasę wybrał sobie arab, z którego usług korzystałam...

Moment później, mniej więcej w linii prostej za drzewem, które wybrałam sobie na oparcie, widzę ginący w chmurach szczyt Tusteris.

Czuję, jak na twarz wpływa mi szeroki uśmiech. Teraz wystarczy tylko, bym doszła do tesil ruse Triltie i przeszła na drugi brzeg (moja totalna głupota — powinnam od samego początku jechać po tamtej stronie, gdzie planowałam dojechać od samego początku)...

* * *

Kilka minut później do moich uszu zaczyna dobiegać szum rwącej rzeki. Paręset metrów dalej drzewa, i tak rosnące dość rzadko, zaczynają jeszcze bardziej się przeredzać, aż w końcu nie rośnie już żadne. Parę kroków później widzę skarpe — wyraźny znak, że mam przed sobą koryto ruse Triltie.

Podchodzę do brzegu i patrzę w dół. I w tym momencie orientuję się, że nie ma najmniejszych szans, żebym przeszła rzekę w tym miejscu. Przez kolejne kilka, jak i nie kilkanaście kolejnych kilometrów z resztą też...

Czyli teraz czeka mnie wędrówka przynajmniej do początku granicy ochronnej, bo tak właściwie dopiero tam znajdę coś w rodzaju jakiejś kłody przewalanej nad korytem rzeki, kilku głazów, dzięki którym przeskoczę te kilkanaście metrów, albo ogólnie coś w tym rodzaju.

No trudno, jestem masakrycznie zmęczona, ale nie mam innego wyjścia, bo choć niby mogę teraz poświęcić trochę czasu na sen, to wolę znaleźć mojego ardyliana. Potem się wyśpię, oczywiście o ile dziewczyny dadzą mi choć na chwilę odpocząć, zanim zabiorę się za opowiadanie, co tam u mnie się działo przez tyle lat. Bo wiem, że na pewno mi tego nie darują, a szczególnie Rori. Nie zdziwiłabym się, gdyby, skoro spotkałyśmy się w Zesten, układała już szczegółowy plan, jak ma mnie wypytać, żebym powiedziała jej możliwie jak najwięcej...

A w sumie, po co mam się teraz tym martwić, tym bardziej, że to będzie jedna z przyjemniejszych rzeczy, która mnie w ostatnim czasie spotkała? Tak na serio, to przez ten tydzień mogłoby się całkiem sporo tego uzbierać... Najważniejsze jest to, żebym jak najszybciej doszła do wzgórz.

* * *

Kiedy mam wrażenie, że nogi mi już odpadną, w oddali zaczynają się majaczyć zwarte, upiorne zarośla początkowego pasu Gaju Cudów. Mimo tego, że na sam widok i jego tak właściwie to nawet grozę od razu jeży mi się sierść (oczywiście tam, gdzie ją mam) i mam gęsią skórkę, to czuję, jak na twarz wpływa mi dość ponury uśmiech. Teraz już sobie poradzę, mogę nawet powiedzieć, że jestem w domu.

Ruse Triltie też chwilowo się uspokaja, więc dla ochłody i orzeźwienia stwierdzam, że podejmę ryzyko. Z racji, że mam na sobie szorty, to nie muszę ich

podwijać, więc wchodzę do wody. Oczywiście nie zwariowałam jeszcze na tyle, żeby zabrać się za przepływanie dalej, nie ma mowy — jest po pierwsze za głęboko, a po drugie mimo wszystko nurt jednak jest zbyt szybki. Porwałby mnie bez najmniejszych problemów, nie miałabym najmniejszych szans na przeżycie. Nie po to udało mi się uciec mojemu ex, nie po to jakimś cudem ocalałam od smoczej zemsty ze strony Mirt'Oshima, żeby teraz zginąć pokonana przez siły natury. Tym bardziej, że mam tak ambitne plany ocalenia wszystkich przemienionych na Vastertilie i w sumie to też poza naszym światem... I byłoby to o tyle łatwe, że po wczorajszej ulewie woda bardzo, ale to bardzo wezbrała...

Kilkanaście minut później jestem już w miarę obudzona (szczególnie, że rzeka ma dosłownie lodową wodę) i wychodzę na brzeg. Z powrotem robi się dość stromy, więc nie chcę potem się wspinać. Już nie mówiąc o tym, że tesil znów przyspiesza i robi się bystrzejszy nawet bardziej, niż na samym początku.

Gdy udaje mi się wspiąć na już, jakby nie było, wysoką skarpe, okazuje się, że nagle znajduję się dosłownie w samym środku upiornego lasu. Dookoła pełno powykręcanych w różne, przerażające kształty drzew. Jedno z nich wygląda tak, jakby dziupla w pustym pniu uśmiechała się do mnie potwornie, drugie wyciąga w moim kierunku gałęzie, jakby chciało mnie złapać... Po prostu totalna masakra.

Gdybym była taką panikarą, jak na przykład Mistral, w tym momencie mogłabym dosłownie oszaleć ze strachu. Na szczęście jestem jedną z tych najodważniejszych lumii, ale i tak teraz przechodzą mnie lekkie ciary...

Odruchowo, jak to w takich sytuacjach bywa, wywołuję ekran mojego implantu. Oczywiście natychmiast mi wyskakuje, ale obraz tak trochę drga i moment później znika.

Nie no, genialnie. Kręcę głową z ogromnym podziwem dla swojej własnej głupoty. No w końcu tutaj jakimś cudem promieniowanie nie pozwala odpalać nowoczesnej technologii. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale to jest odwieczna, niezmienna prawda. I z tego, co wiem, nie zanoszą się na jakąkolwiek zmianę...

Nagle przez zwarty gąszcz koron przebija się promień zachodzącego słońca i pada mi na twarz, jakby chcąc jeszcze bardziej umocnić mnie w przekonaniu, że jest jeszcze jakiś pomyk nadziei. Co prawda znika jeszcze szybciej, niż się pojawił, ale to, co ze sobą przyniósł, pozostało.

Dopiero chwilę później orientuję się, że z racji, iż w Arlesii zmrok zapada bardzo, ale to bardzo szybko, to mam jeszcze jakieś piętnaście minut, by znaleźć przejście na drugą stronę ruse Triltie, wydostać się ze strefy ochronnej i jeszcze najlepiej wejść na oddalone o parę kilometrów wzgórze. Nierealne.

No ale trudno, muszę chociaż spróbować. Na pewno znajdę dalej, niż gdybym miała tu stać i zastanawiać się nie wiadomo, nad czym i po co.

I tym razem wyjątkowo szczęście się do mnie uśmiecha — dosłownie parę metrów dalej zauważam ogromną kłodę, przerzuconą nad korytem rzeki, które tam

osiąga naprawdę dużą głębokość...

Uśmiecham się lekko. Coś mi się wreszcie udało. Niewiele myśląc wskakuję na nią i pewnym krokiem zaczynam przechodzić na drugi brzeg.

Dopiero gdzieś tak w połowie orientuję się, że chyba jednak powinnam bardziej zastanawiać się nad swoim postępowaniem. Jednak jakby nie było, to czasami wykazuję się bezdenną głupotą. Przecież powinnam sprawdzić, czy pień nie jest przepróchniały, bo teraz, kiedy tak trzeszczy ze mną na środku właściwie nie mogę się ruszyć... I w tą, i w tamtą stronę mam tyle samo. Nie zdążę dobiec, nie ma szans... No ale trudno. Jak już popisałam się swoimi umiejętnościami przewidywania, to muszę zaryzykować. Szybkie zerknięcie pod nogi wystarczy, żebym przekonała się, że teoretycznie powinnam się cofnąć, bo tam drewno jeszcze jako tako się trzyma. Ale praktycznie to chyba lepiej byłoby popisać się totalnym ryzykanctwem i głupotą...

Ułamek sekundy później podejmuję decyzję — stawiam wszystko na jedną kartę. Albo mi się uda i przeżyję, by ocalić Arlesii i wszystkich Odmiennych, albo nie i wtedy zginę w odmętach ruse Trilitie i po jakimś czasie ktoś wyłowi moje ciało (choć na samą myśl o tym bierze mnie dreszcz przerażenia)...

Teraz nie ma czasu na uczucia. Im dłużej tu stoję, tym dłużej kłoda musi wytrzymać mój ciężar, muszę zaryzykować...

Kiedy robię pierwszy krok do przodu, okazuje się, że to był jeden z największych błędów w moim życiu. Wystarczy jeden, suchy trzask, bym zorientowała się, że ten dźwięk właśnie wydał na mnie wyrok śmierci.

Nawet nie zdążam krzyknąć, gdy próchno się poddaje i przez powstałą dziurę wpadam do wody. I co z tego, że potrafię oddychać w takich warunkach, gdy nurt jest tak szybki, że zaraz zapewne roztrzaskam się o jakąś skałę?

Jestem totalnie przerażona, nie wiem co robić. I choć wiem, że panika jest moim największym wrogiem, miotam się jak ryba wyjęta na brzeg. Oczywiście bardzo szybko opadam z sił, jakby nie było, temperatura też nie pomaga, bardzo łatwo się wychładzam...

W pewnym momencie zauważam na mojej drodze ogromny głaz, nie ma szans, żebym go ominęła. Mrużę oczy, by przygotować się na uderzenie i moment później faktycznie je czuję.

Moje ciało wyłącza się dosłownie błyskawicznie, a przez umysł przelatuje mi tylko myśl, że nie mam już szans, gdy potem wszystko gaśnie...

Rozdział XXV

Przez moment mam wrażenie, że widzę przed sobą niesamowicie jasne światło.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem, ani co się dzieje, ale zaczynam gwałtownie mrugać i osłaniam oczy dłonią.

Kiedy ją odsuwam od twarzy, okazuje się, że światło znikło. Ale moment, co się dzieje? Gdzie ja jestem? Nie pamiętam nic od momentu, w którym zapadła się pode mną kłoda nad korytem ruse Triltie... No i jeszcze zbliżającego się ogromnego głazu na rzece...

W pewnym momencie czuję coś jakby potworne gorąco na lewej dłoni. Cofam ją, a przynajmniej próbuję, bo dosłownie ułamek sekund później coś mi się zaciska na kciuku, dość boleśnie raniąc.

Podpierając się prawą ręką siadam i zerkam na to coś, co sprawia mi ból, równocześnie trochę krępując ruchy.

Ułamek sekund później ze zdumieniem obserwuję, jak malutki, nie większy od mojej dłoni smok (po wyglądzie jest mi dość ciężko ocenić, czy jest jeszcze mały, czy też może już dorosły, u tej rasy (chyba mogę to tak nazwać) jest to dość ciężkie, niestety) z zapamiętaniem wgryza mi się w palec.

Uśmiecham się lekko. Czegoś takiego się nie spodziewałam... Ale to oczywiście nie zmienia faktu, że mimo wszystko trochę mi to przeszkadza...

Ostrożnie, żeby nie przestraszyć małego, jakby nie było, uroczego, smoczka, unoszę drugą dłoń i gwałtownym ruchem go nakrywam.

Niemal natychmiast rozlega się rozdzierający pisk strachu.

Kiedy to słyszę, czuję, jak kroi mi się serce. Rozumiem, że zwierzątek miał prawo być zaskoczony, ale zdaję sobie sprawę, że jego przerażenie wynika jeszcze z czegoś innego. I to boli mnie chyba najbardziej. To, co promieniuje mi z ręki w porównaniu z tym to dosłownie nic...

— Spokojnie, słodziaku, nic ci nie zrobię... — szepczę, unosząc dłoń na wysokość piersi i robię małą szparkę, żeby mógł mnie zobaczyć.

On z ciekawością próbuje wystawić łepkę przez tą szparkę, a kiedy już mu się udaje, to patrzy na mnie z takim rozczulającym wyrazem pyszczka... Jakby z ciekawością, ale też pewną rezerwą...

W pewnym momencie ziewa, a potem niemal od razu z nosa ulatuje mu chmurka szarego dymu. Wygląda to tak genialne, że nie mogę się nie uśmiechnąć.

— Jesteś słodki, wiesz? — głaszczę go po główce. — I nie masz o co się bać, malutki. Ja nic ci nie zrobię. Nie jestem taka, jak reszta moja rodzina — na samo wspomnienie sierść na ogonie mi się najeża i kładę uszy po sobie. Ciągle nie potrafię podejść do tego z dystansem. I nie wiem, czy kiedykolwiek mi się uda...

Smoczek łypie na mnie małym, czarnym jak węgiel oczkiem i w tym momencie wiem, że lody zostały przełamane. Jakimś cudem udało mi się go przekonać o tym, że nie mam wobec niego żadnych niecných zamiarów. W porównaniu z Mirt'Oshimem to poszło mi dosłownie błyskawicznie...

— To jak, mały, chcesz iść ze mną, czy wolisz gdzieś sobie polecieć? — pytam zwierzcza, równocześnie ostrożnie sadzając go sobie na ramieniu.

On wygodnie się tam usadawia, więc uznaję, że podjął decyzję, by zabrać się ze mną na poszukiwanie Goldiera i być może na zjazd. Dlatego bardzo ostrożnie, żeby maluch nie spadł, podpieram się ręką i wstaję. Smoczek oczywiście dla własnego bezpieczeństwa wpija mi się w ramię, co prawda też czuję to całkowicie wyraźnie, ale wiele mi to nie przeszkadza. Tak samo jak krwawe ślady jego kielków, więc nie mam zamiaru ich usuwać, choć kryształ bardzo szybko mógłby mi w tym pomóc. Ale jeżeli, jak ktoś kiedyś powiedział, bliźny świadczą o tym, że człowiek wiódł ciekawe życie, to te na pewno tej ciekawości dowodzą. Co prawda mogłabym chętnie zrezygnować z tej, która ciągnie mi się na prawej łydce, jeżeli to oznaczałoby uniknięcie tyłu przykrości...

Chociaż, kto wie? Wszystko to, co mnie dotychczas spotkało, uczyniło mnie taką, jaką jestem teraz. A tego za nic w świecie nie chciałabym zmieniać...

Uśmiecham się lekko. No, może u siebie zmieniłabym jedną, drobną rzecz — chyba powinnam bardziej zastanawiać się nad tym, co robię. I to ze sporym wyprzedzeniem, a nie dopiero, kiedy coś się zdarzy. Tak na przykład jak to, co spotkało mnie chyba całkiem niedawno, na rzece...

No właśnie, na rzece.

Pamiętam tyle, że kłoda była totalnie spróchniała i przez to, a dokładniej przez mój brak jakiegokolwiek przewidywania wpadłam do wody. Mało co nie zginęłam, nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się uratować i wydostać na brzeg...

Rozglądam się wokoło. W takim razie do tej listy tego, co zrobiłam najwyraźniej bez udziału swojej świadomości mogę dopisać wydostanie się poza barierę ochronną Seiten Gaye. Co więcej teraz jestem dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym zaczęłam brodzić w ruse Triltie, czyli co najmniej kilkaset metrów od miejsca, w którym zaczyna się ta najbardziej upiorna część gaju. Ciekawie się składa... Tym bardziej, że mam pewność, iż nie uratowałam sobie życia sama. Ktoś musiał mi w tym pomóc...

„Założę się, że to był Estive” — uśmiecham się do siebie w myślach. To do niego podobne, szczególnie późniejsze zniknięcie i brak jakichkolwiek śladów bytności.

Tylko dlaczego coś mi tu nie pasuje? Przecież mógłby zanieść mnie od razu do siebie...

Nie, dobra, nie mam zamiaru teraz się tym przejmować, najważniejsze jest

to, bym znalazła Goldiera. A najpewniej uda mi się to na wspomnianych już wielokrotnie przeze mnie wzgórzach, więc tam powinnam skierować swoje kroki.

* * *

— Auć — syczę, podnosząc się z ziemi. Już któryś raz z kolei zostaję sprowadzona do parteru, a to przez jakiś wyjątkowo złośliwy, wystający korzeń, a to przez śliskie błoto, albo coś innego.

Muszę przyznać rację, że takie łażenie po nocy, mimo tego, że poruszam się w terenie bardzo dobrze mi znanym, do najłatwiejszych wyzwań nie należy. Przydałoby się choć trochę światła, ale z moim szczęściem (co było właściwie do przewidzenia), to choć jest prawie pełnia, oczywiście są też chmury skutecznie odgradzające mnie od czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc.

Mały smoczek podlatuje na wysokość mojej twarzy i, unosząc się w jednym miejscu, uważnie patrzy mi w oczy. Mam dziwne wrażenie, że chce powiedzieć coś w rodzaju: „Ale oferma z ciebie!”

— I co mam na to poradzić, słodziaku? — wzdycham. — Jestem jaka jestem, niektórych rzeczy nie potrafię zmienić. Poza tym, ciekawe, czy ty byś tak dobrze poruszał się w ciemności, jakbyś był na moim miejscu...

Zwierzak błyskawicznie usuwa mi się z pola widzenia, po czym z powrotem siada mi na ramieniu. Czyli moje tłumaczenia do niego dotarły...

Uśmiecham się lekko do swoich myśli. To już drugi smok, którego udało mi się „oswoić” (o ile można mówić o takim procesie, jeżeli chodzi o ten gatunek...) i jestem z tego dumna. Różnica wymiarów i umiejętności między nimi nie gra żadnej roli...

No, powiedzmy. Ten zapewne nie dałby rady mnie zabić, nawet, jeżeli bardzo, ale to bardzo by się starał, więc nigdy nie stanowił dla mnie wielkiego zagrożenia. Z kolei Mirt’Oshim mógł się mnie pozbyć dosłownie pacnięciem łapy, jak i nawet nieuważnym machnięciem ogona, więc przebywanie w jego towarzystwie było dla mnie śmiertelnym zagrożeniem. Tak więc może stwierdziłam to odrobinę na wyrost, ale nic nie szkodzi. I tak bardzo się cieszę ze swoich osiągnięć w tej dziedzinie... Wbrew tego, co od dziecka wmawiali mi rodzice, myślę z satysfakcją.

I oczywiście, kiedy poruszyłam w głowie ich temat, od razu czuję porażającą wściekłość.

Nigdy nie zrozumieję, dlaczego moja rodzina okazała się tak okrutna. Tłumaczenia smoka, na którym przez pewien czas miałam przywilej latać, nie do końca mi wystarcza. To, że smoki mogły zyskiwać drugą postać, wcale nie tłumaczyło, dlaczego król Osbert zaczął na nich przeprowadzać eksperymenty. Równie dobrze mógł to przecież robić na lumiach, o ich wyjątkowych (choć nie

całkiem, jak się tego niedawno dowiedziałam) umiejętnościach było głośno niemalże od razu po Wielkim Wybuchu. Coś więcej musi się za tym kryć, a ja mam ogromną nadzieję się dowiedzieć, cóż to takiego...

* * *

Rozglądam się dookoła, próbując znaleźć jakieś punkty, mogące mi pomóc w zorientowaniu się, jak daleko jeszcze do wzgórza. To, że akurat jest najciemniejsza pora nocy, wiele mi w tym nie pomaga. Pociesza mnie jednak pewien fakt — za jakąś godzinę błyskawicznie zrobi się jasno i wtedy poszukiwania pójdą mi jak z płatka. Oczywiście o ile jakimś cudem nie pobłądziłam i nie jestem kilkadziesiąt kilometrów od celu, bo teraz to chyba wszystkiego można się po mnie spodziewać...

— Odpocznijmy chwilę, co ty na to, maluszkę? — pytam smoczka, dość boleśnie wpijającego swoje szpony w moje ramię (w końcu mam na sobie tylko koszulkę na grubych ramiączkach. Zanotować — nigdy, ale to nigdy nie ubierać się cienko, kiedy planuje się łażenie po Gaju Cudów, nie wiadomo, co się oswoi) i nie pytając go o zdanie siadam na trawie, którą czuję pod stopami. Uprzednio oczywiście sprawdziłam, czy od spodu nic mi nie zagraża, po dzisiejszym wypadku jestem bardziej przezorna, niż wcześniej.

Krzyżuję nogi po turecku i oddycham z ulgą. Chwila na odetchnięcie dobrze mi robi, tym bardziej, że idę tak już parę ładnych godzin...

Przeciągam się z rozkoszą, a podróżujący ze mną smoczek zeskakuje na ziemię. Ułamek sekundy później słyszę pisk przerażenia z jego strony i czuję, jak na siłę wciska się pod moją rękę.

Z rozbawieniem obserwuję małego świetlika, unoszącego się obok mojego ramienia. To on najwyraźniej był powodem tak wielkiego strachu u zwierzątko, którym od pewnego czasu się opiekuję.

Moment później obok siebie zauważam złotą błyskawicę, która później na moment jakby rozplywa się w powietrzu, by pojawić się tuż przy robaczku świętojańskim. Ten niemalże w ułamku sekundy znika w pysku loulina[1], który upatrzył go sobie jako przekąskę.

Ten ruch wystarczy, żeby nagle w górę uniosły się tysiące, a może i dziesiątki tysięcy świetlików, panicznie uciekając z terenu w promieniu kilkunastu metrów. Robi się jasno niemalże jak w dzień (a przynajmniej tutaj), co stanowi sygnał do startu dla polujących. Trawa dosłownie się od nich roi, a że są mniej więcej długości od czubka palców do nadgarstka, może ich być tu nawet w okolicach tysiąca. Gdzie nie spojrzę, widzę złoty, jaspisowy bądź ametystowy błysk (trzy maści tych zwierzątko), znikający na moment, by potem pojawić się tuż przy swojej ofierze, nie dając jej szansy na ucieczkę.

Wygląda to o tyle cudowniej, że spanikowane świetliki zaczynają się unosić z trawy na coraz większej powierzchni, aż w końcu aż po horyzont widzę miliony światełek. Liczba loulinów też się powiększa, zapewne połączyło się tu kilka stad...

Z podziwem obserwuję poczynania zwierząt. Wygląda to jak niesamowity, przepiękny taniec gwiazd z błyskawicami w różnych kolorach, zazwyczaj dla tych pierwszych zabójczy. Co prawda miałam już okazję obserwować polowania gadów, ale nigdy na tak ogromną skalę. Jest to po prostu cudowne, genialne i doskonale pokazuje, że walka o prawo do życia może być piękna. Bo to jest walka o życie — jedna strona ginie, ale gdyby to ona przeżyła, zginęłaby druga. W przyrodzie tak jest, ale zawsze ujmuję mnie to, że tu nic nie dzieje się niepotrzebnie. Nikt nie zabija dla przyjemności, bo ot, po prostu ma na to ochotę, albo ktoś przeszkadza mu w osiągnięciu jakiegoś celu. Tu rządzi chęć po prostu utrzymania się przy życiu...

Sekundę później jedna z „par” w tym wyjątkowym układzie stawia się dosłownie tuż przy mnie. Zwierzak nie zdąży wyhamować — dosłownie wpada mi na kolana.

Przez chwilę przyglądamy się sobie nawzajem. Ja wpatruję się w ametystowego zwierzaczka pokrytego łuskami, stojącego na czterech krótkich, jakby jamnikowatych nóżkach. On odwzajemnia spojrzenie swoimi ogromnymi (biorąc pod uwagę jego rozmiary), czarnymi jak węgielki oczyma, równocześnie lekko machając zakończonym futrzanym pędzelkiem ogonem. Trwa to tylko moment, ale jest on kompletnie wyjątkowy.

Harmonię pomiędzy mną o loulinem burzy smoczek, który w końcu wyszedł spod mojej dłoni. Najwyraźniej obudziła się w nim zazdrość, bo wskakuje mi na kolana i wypuszcza z siebie mały płomień ognia, skutecznie odstrasżając „konkurenta” bądź potencjalnego wroga.

Nie mogę się nie roześmiać, gdy później siada (identycznie jak Mirt’Oshim — to znaczy w takiej samej pozycji jak kot. Tu przynajmniej zachowane są proporcje do małego kociaka...) i z dumą wymalowaną w oczach zaczyna szukać uznania na mojej twarzy.

— Tak, mały, jesteś wspaniały — mówię wesoło i zaczynam go gładzić po łepku, na co reaguje dosłownie rozanielonym uśmiechem (co oczywiście wygląda genialnie). — Lepszego obrońcy od ciebie nie mogłabym sobie wymarzyć — dodaję.

Szczerze mówiąc specjalnie w to nie wierzę, bo jednak spójrzmy prawdzie w oczy — taki maluch niewiele by mi pomógł, gdybym powiedzmy stanęła oko w oko z rozwścieczonym tłumem, oskarżającym mnie o zdradę, albo na przykład Ertexem... Na samą myśl mnie ciary przechodzą. Co innego, gdybym obok siebie miała takiego innego, o wiele większego smoka, to już całkowicie inna kwestia...

Ale między nami była umowa, każde z nas się z niej wywiązało w stu procentach. Nie mam prawa wymagać od niego niczego więcej, tym bardziej, że wymagałoby to od niego narażenia życia. Czułabym się z tym paskudnie, a przecież doskonale pamiętam o przysiędze, o której się dowiedziałam... Łącznie z konsekwencjami, które grożą za jej złamanie...

Dopiero chwilę potem, gdy kolejny loulin zostaje odstraszonej przez towarzyszącego mi zwierzaka, załapuję kolejny ważny szczegół — ten gatunek występuje w całej Arlesii, ale w Seiten Gaye można go znaleźć tylko w jednym miejscu. A dokładniej na tych samych wzgórzach, które są ulubionym miejscem ardylianów...

Uśmiecham się do siebie. Czyli nawet nie zauważyłam, jak doszłam do miejsca, na którym tak bardzo mi zależało. O dziwo nawet się nie zgubiłam, co jest do mnie bardzo podobne, więc mogę tę drogę zaliczyć do udanych (nie liczę wypadku z kłodą). Teraz wystarczy tylko odgadnąć, w którym miejscu wzgórz mój koń może się podziewać i go znaleźć. Nic prostszego! Ale może zaczekam jeszcze chwilę do świtu...

Okazuje się, że to czekanie nie trwa długo. Zaledwie jakąś minutę później niebo na wschodzie szarzeje, a louliny zaczynają na wyścigi biec do swojej jaskini, która zapewne gdzieś tu powinna się znajdować. Specjalnie za światłem nie przepadają, więc dopiero teraz świetliki mogą na trochę odetchnąć. Choć i one gdzieś zniknęły...

Jakąś sekundę po tym na moją twarz pada pierwszy promień słońca. No to odliczamy — pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... Po takim upływie czasu słońce pokazuje się w pełnej okazałości. Wspominałam już chyba, że na Vastertilie noc zapada błyskawicznie. Tak samo jest też z dniem; trwa to zaledwie chwilę, ale tak wspaniałego spektaklu barw na niebie nie sposób zobaczyć gdziekolwiek indziej...

Czuję, jak gdzieś po twarzy pełza mi lekki uśmiech. Jak ja do tego tęskniłam! Nie potrafię teraz uwierzyć, że jakimś cudem przeżyłam niemalże dwa lata na Stertilie, gdzie czegoś takiego nie zobaczyłabym za żadne skarby jakiegokolwiek świata...

„Głupia jesteś, ot co” — w myślach podsumowuje mnie znajomy głos.

— Goldier! — odwracam się i rzucam się na szyję mojego ogiera.

„Mówiłem ci, żebyś nie wyjeżdżała — po tonie poznaję, że wciąż jest na mnie wściekły. — Może nie narobiłoby się tyle złego, co teraz. A tu proszę, nie mogę sobie darować, że pozwoliłaś aż tak napsuć Ertexowi! W imię czego? I jeszcze na dodatek chodzą pogłoski, że dowodzisz armią ymuli, która atakuje miasta! Lumino der Soltarie, co ty sobie wyobrażasz?!”

— Widzisz, mój kochany, ja chyba muszę ci wszystko wytłumaczyć... — wzdycham ciężko, zdając sobie sprawę, co mnie czeka.

„A zdajesz sobie sprawę, że na ramieniu siedzi ci smok? — niemalże nie

daje mi dojść do głosu. — Wiesz, jakie to dla ciebie niebezpieczne?”.

— Wiem — wzdycham po raz kolejny. — Na serio musimy poważnie porozmawiać... Ale co powiesz na to, żebyś zawiózł mnie na zjazd, wrzucił jakieś wolniejsze tempo i dokładnie bym ci opowiedziała wszystko, co się stało, odkąd się rozstaliśmy na brzegu oceanu?

„Może być, ale spodziewaj się, że będziesz musiała się gęsto tłumaczyć z niektórych spraw — parska. — Wskakuj.”.

Wsiadam na mojego cudownego ardyliana i od razu czuję się lepiej, mimo tego, że właśnie czeka mnie dość ciężka przeprawa. Przy okazji, zanotować, by nie zapomnieć Goldierowi o Mirt’Oshimie. Wtedy wściekły się na poważnie i na nic zdałyby się moje tłumaczenia.

— No więc wyobraź sobie, że... — zaczynam swoją opowieść.

[1] Louliny — dość ciekawi przedstawiciele zarówno gatunku gadów, jak i ssaków równocześnie. Przez to uważani są za jednych z najbliższych gatunkowych krewniaków smoków.

Rozdział XXVI

— Czyli teraz mniej więcej rozumiesz, co mną wtedy kierowało? I ogólnie wszystko, co się łączy z tym, o czym ci powiedziałam? — pytam konia, gdy zatrzymuję go na polanie u stóp Tusteris.

„Nie do końca, ale łatwiej mi jest to ogarnąć — stwierdza. — Ale powiedz mi, jakim cudem ty, kochająca prędkość wariatka, wytrzymałaś tyle dni, tłukąc się na najzwyklejszym w świecie arabie? Przecież to musiało być nie do zniesienia!”

— Cóż, było ciężko, ale czego nie robi się w imię przyjaźni — mówię, lekko łechcąc ego ardyliana. Prawdy mu nie powiem, tym bardziej tego, że mój środek transportu był o wiele, wiele szybszy od niego. Łatwo zrobiłby się zazdrosny i zapewne zacząłby mi wygadywać moją totalną nieodpowiedzialność (której i tak jestem świadoma w zupełności, jest to zasługa mojego cudownego sumienia, które męczy mnie tym od momentu, w którym dowiedziałam się o smoczey przysiędze). A jak już się na mnie wkurzy, to zapewne zacznie ze mnie wyciągać prawdę i dowie się, jak było na poważnie. O tym, że podróż nim nie przypomina czegokolwiek innego też. Jak również o tym, że trochę za tym (i może też za nim) tęsknię...

„Coś wysmutniałaś — Goldier błyskawicznie wychwytuje zmianę mojego nastroju. — Wszystko w porządku?”

— Tak, wszystko jest ok. — szybko zakładam maskę ze szczęśliwą miną. W tym wypadku moich rozterek nie zrozumie nikt, nawet moje „siostry”, nawet Estive... Tym bardziej, że nikomu o tym nie powiem. Nie powinnam, jeżeli nie chcę pograżyć ani siebie, ani Mirt’Oshima...

„Powiedz mi tak szczerze, czy muszę tam z tobą iść?” — ogier niemal natychmiast zmienia temat, podczas gdy zeskakuję z jego grzbietu na ziemię.

— Tak szczerze, to musisz, przykro mi, mój drogi — odpowiadam po chwili namysłu. — Wiesz, że dziewczyny przylatują na smokach i ich środki transportu, choć też nie chcą, muszą być na terenie hotelu podczas zjazdu...

„Wiem — wcale nie wykazuje się entuzjazmem. — No trudno, pójdę z tobą, choć nie powiem, że mi się podoba ta opcja...”

— Innych nie masz — stwierdzam filozoficznie, po czym odsuwam zieloną zasłonę bluszczu i niemal od razu natrafiam na to wredne żelastwo, które chciało pozbawić mnie palców i nawet częściowo się mu udało (bo jednak opuszek mi ucięło, jakby nie było).

Tym razem na szczęście jestem ubezpieczona — brama została otwarta parę godzin temu przez farciary, które w tym roku odpowiadają za cały zjazd.

„To ja już wejdę do środka” — oznajmia koń i dumnym klusem przebiega przez bramę, by udać się na padok. Czyli tradycyjnie mnie olewa i korzysta

z dostępnych mu przywilejów — jako zwierzę nie musi użerać się z maszyną, która wyda mu identyfikator...

— Proszę przyłożyć dłoń do płytki i użyć skanera siatkówki — oznajmia mechaniczny głos, gdy podchodzę do bramy. Równocześnie też ze skrzypieniem wysuwa się wspomniana elektronika.

Wzdycham ciężko. Jakim cudem to jeszcze działa, choć ma już co najmniej półtora tysiąca lat? W kwestii techniki to już dosłownie prehistoria! Powinni to wymienić kilka wieków temu, ale oczywiście nikomu się nie chce... Tym bardziej, że na Sterilie takie gadżety dopiero zaczynają podbijać rynek...

Oczywiście to nie zmienia faktu, że to totalnie przestarzały złom... Mam tylko nadzieję, że kiedyś to w końcu wyrzucą i wymienią na lepsze... Ale oczywiście nikt nie uważa, że można cokolwiek zmieniać w hotelu założonym tyle czasu temu, gdy Pierwsze Organizatorki go wybudowały. Poza podstawowym wyposażeniem, bo oczywiście to stanowi całkiem inną kwestię... Tu zmieniło się praktycznie wszystko. No, powiedzmy...

— Proszę przyłożyć dłoń do płytki i użyć skanera siatkówki — cierpliwie powtarza mechanizm. Tym razem się go słucham, w końcu zależy mi, by jak najszybciej dostać się do środka.

Przez dość długą chwilę ekran przesuwają laserowymi nitkami po mojej dłoni, by potem rozświetlić się na niebiesko.

— Proszę użyć skanera siatkówki, nie zdejmując dłoni z płytki — powtarza sztuczny głos. No spoko, norma. Nie mam najmniejszego powodu do niepokoju. Ja już jestem taką ciekawą osobistością, że u mnie zawsze trzeba było wykonać pełne polecenie, choć pozostałe lumie wpuszczało od razu po tak zwanej „pierwszej fazie”.

Nachylałam się i pozwalałam, by wiązka skanująca kilkakrotnie przejechała mi przez siatkówkę. Zgodnie z moimi przypuszczeniami teraz wszystko powinno zmienić kolor na zielony i przeprosić za zwłokę, jak kilkanaście razy się zdarzało (to znaczy za każdym razem, jak był zjazd).

Ale tym razem najwyraźniej coś jest nie tak. Gdy odsuwam się od urządzenia, zaczyna gwałtownie pikać i płytka zmienia kolor na wściekle czerwony. Może nie aż tak bardzo wściekły, jak moje pasemka w odpowiednim nastroju, ale też dość intensywny.

— Dostęp niemożliwy. Skan siatkówki i dłoni nierozpoznany. Wydanie identyfikatora odmówione — sucho, mechanicznie oświadcza system.

Aha, dobra, rozumiem... ŻE WHAT?!?!?! Odmawia mi dostępu? Ale jakim cudem? Przecież nigdy mi się nic takiego nie przydarzyło! Tylko niech ktoś mi powie, dlaczego tej durnej, prehistorycznej maszynie nie pasują dwie rzeczy, które nigdy, ale to nigdy się nie zmieniają?! Ani moja siatkówka, ani kształt mojej dłoni łącznie z liniami papilarnymi nie stały się jakimś cudem inne i takie też nie staną

się nigdy!

Nie, coś tu jest zdrowo nie halo! A przecież nie wejdę do budynku hotelu, jeżeli nie dostanę identyfikatora...

Przygryzam lekko wargę. Nie mam pojęcia, jak to rozgryźć, a na serio bardzo mi na tym zależy. Przydałaby się tu Ellesia, nasza urodzona w Xerionie specka od technologii, nawet tej przedwiecznej. Ona na pewno poradziłaby sobie z taką sytuacją...

Bo teraz to w sumie nie wiadomo, czy chodzi o informatykę, błąd w systemie, czy może... nie, to niemożliwe. Już wcześniej przecież stwierdziłam, że sprawdzane części ciała zmienić się nie mogą...

Muszę jakoś sobie poradzić, krzywię się w myślach. A najlepsze jest to, że oczywiście na historii techniki nigdy specjalnie nie uważałam, bo nie sądziłam, że kiedyś przyda mi się wiedza, jak zrobić na przykład reset systemu skanera...

Chociaż zaraz, przecież podobną sytuację miałam, jak raz mi się zepsuła drukarka i ksero w jednym, rzecz jasna na Stertilie. Wystarczyło tylko nacisnąć guziczek z boku urządzenia, by je zresetować i by się naprawiło. Samo.

No dobra, spoko, rozumiem, że tutaj zapewne działają nieco inne mechanizmy, ale spróbować zawsze mogę. Zacznijmy od tego, że przede wszystkim muszę sprawdzić, czy gdzieś tutaj jest jakieś coś, co można wcisnąć...

Zaczynam obmacywać obudowę skanera. Nie, tu nie, tu też nie... O, tu coś jest! I, oczywiście, jak to mam w zwyczaju, zamiast najpierw dokładnie przemyśleć sobie, jakie będą skutki, bez żadnego zastanowienia wciskam go w obudowę najmocniej, jak tylko potrafię.

Dopiero moment później orientuję się, że właśnie być może zrobiłam jedną z najgłupszych rzeczy w moim życiu — z resztą już którąś z kolei, bo jakby nie było, już sporo takich „genialnych” decyzji podjęłam. Błyskawicznie cofam rękę, a ekran, do którego przyciskałam rękę, nagle całkowicie gaśnie.

Ups... Czy ja przypadkiem czegoś nie zepsułam? To w sumie jest bardzo możliwe, i bardzo do mnie podobne...

Przygryzam wargę ze zdenerwowaniem. Nie mam pojęcia, co teraz robić, żeby było dobrze i żeby nie narobić większej liczby problemów. Chociaż, czy może zdarzyć się coś jeszcze? Poza tym, że chyba właśnie wyłączyłam system, nie przewiduję żadnych innych komplikacji. Alarmu tu nie ma, więc się nie włączy, jak zacznę tu grzebać, czyli teoretycznie mogę spróbować cosik naprawić... O ile się da, oczywiście... Dobra, trudno, zaryzykuję. Ciekawe, co się stanie, jak wcisnę ten guziczek jeszcze raz...

Tym razem spodziewam się czegoś w rodzaju jakiegoś dźwięku, piknięcia oznajmiającego, że właśnie porządnie narozrabiałam, może nawet jakiegoś spięcia (w końcu nie mam pojęcia, na co mam się tu nastawić. Powyższe rzeczy widziałam w filmach, które oglądałam z Larą na Stertilie...) albo w ogóle czegoś w tym

rodzaju. Ale elektronika najwyraźniej postanawia mnie zaskoczyć, lub też może strzeliła na mnie focha za tak obcesowe traktowanie, bo nie odpowiada wcale.

— No i pięknie — wzdycham. Czyli nie dość, że najwyraźniej przez przypadek całkowicie rozwaliłam system, to teraz jeszcze nie potrafię go naprawić! Ellesia, gdzie ty się podziewasz, kiedy najbardziej ciebie potrzebuję?

Od razu też odpowiadam sobie na to pytanie. Jeżeli dobrze pamiętam, w tym roku ona ma być jedną z trzech organizatorek obecnego zjazdu. I o ile ona zawsze przychodzi nawet kapeczkę po czasie, to teraz zapewne już od paru godzin jest w hotelu i wita nasze „siostry”...

Czyli super. Po prostu jedwabiście. Jak ja mam to draństwo naprawić? Gdybym tylko mogła cofnąć czas i uważać bardziej, kiedy Estive uczył mnie o prehistorycznej technologii...

Ze z niecierpliwieniem zaczynam bębnić palcami w obudowę skanera, próbując wpaść na pomysł, jak tu można obejść tą informatykę. Jeżeli by się mi udało, to po prostu weszłabym do budynku bez identyfikatora...

I nagle ekran urządzenia rozświecła się na biało, a na środku, czarnymi, wytłuszczonymi literami pojawia się napis: **„Restart systemu przeprowadzony pomyślnie”**.

Przez moment gapię się na niego i próbuję zrozumieć, cóż takiego spowodowało ten pomyślny zwrot wydarzeń. Zaraz potem czuję, jak na twarzy pojawia mi się szeroki uśmiech — czyli jednak faktycznie, już któryś raz z kolei przekonuję się, że mam więcej szczęścia niż rozumu. W chwili obecnej wcale mi to nie przeszkadza, jeśli mam być szczerą...

Moment później literki znikają, a zamiast nich pojawiają się kolejne: **„Czy usunąć dostęp dla wydanych do tej pory identyfikatorów zjazdu?”**, łącznie z dwoma dotykowymi klawiszami, podpisanymi **„Tak”** i **„Nie”**. Dotykam drugiego napisu, bo moim celem wcale nie jest pozbawienie dziewczyn dostępu do wszelkich luksusów. Mi zależy tylko na tym, by wpuścić do środka samą siebie.

Po chwili pojawia się następne pytanie: **„Co w takim razie chcesz zrobić, o ile nie jesteś bezrozumną istotą bawiącą się tym cudem techniki?”**.

Wyraźnie ignoruję jawny sarkazm sztucznej inteligencji, zamieszkującej tą obudowę, jak również jej niedoinformowanie (dobra, nie powiem, w czasach produkcji być może to był cud techniki, ale teraz, w porównaniu z ogólnodostępnymi gadżetami, jest totalnym złomem, mimo tego, że nawet całkiem niezłe się trzyma) i zerkam na opcje, które program wyświetlił pod spodem.

Jedna całkiem mi się podoba — **„Chcę zmienić dane genetyczne jednej z uczestniczek zjazdu”** — i co więcej, całkowicie odpowiada moim wymaganiom, więc ją zaznaczam. Moment później wyskakuje kolejne polecenie — **„Wpisz imię i nazwisko”**. Oprócz tego pojawia się jeszcze klawiatura dotykowa, więc bez

problemu podaję swoje dane i wciskam (a właściwie dotykam) klawisza oznaczonego jako Enter.

Przez moment ogromny napis „**Lumina der Soltarie**” pulsuje na samym środku, po czym ni z tego, ni z owego podświetla się na czerwono, maleje i zjeżdża na dalszy plan.

„**Czy masz jakiś dowód swojej tożsamości?**” — program pyta podchwytliwie. Nawet mu się nie dziwię, bo w sumie co by było, gdybym jakimś cudem była na przykład jakąś tejką (i w sumie ma rację, bo w danym momencie już ktoś ten pomysł wykorzystał) chcącą wysiudzić samą królową ze zjazdu? — „**Muszę zadać ci parę pytań. Jeżeli pomylisz się choć raz, wezwę osoby, które cię zatrzymają i wymierzą odpowiednią karę, ty perfidna oszustko!**”.

Cóż, jakby nie było, to jest trochę wredne, tak od samiotkiego początku podejrzewać o niewiadomo co... Ale trudno, popieram takie działania, bo jednak jakby nie było, mają one na celu moją ochronę...

„**Jak nazywają się twoi rodzice?**” — pierwsze pytanie jest niemalże banalne, ale wyczuwam w tym jakiś haczyk. Nie wiem tylko, gdzie mam go szukać...

„*Moi rodzice nie żyją*” — wystukuję na klawiaturze.

„**A gdyby żyli, jakby się nazywali?**” — system kontynuuje przesłuchanie, ale mam wrażenie, że odpowiedziałam poprawnie.

„*Tamaris i Soacrit der Soltarie*” — odpisuję. Wiem, że tym razem na sto procent odpowiedziałam prawidłowo.

„**Skąd masz swojego yteina? Jak poznałaś Estive’a?**” — tym razem bombarduje mnie pytaniami, na które tylko ja mam prawo znać odpowiedź. Tyle, że jest w tym jeden mały szkopał — nie mam pojęcia, czy chodzi mu o wersję, jaką znam tylko ja, czy może o opcję oficjalną, którą zna rodzina i moje przyjaciółki...

„*Swojego yteina kupiłam na targu w Listeshire, gdy razem z rodzicami zabierałam się za szukanie sprzętu dla nowonarodzonego Goldiera, bo chciałam go układać od małego. Wówczas Bastil podbił moje serce. Z kolei Estive’a spotkałam, gdy zgubiłam się w Seiten Gaye w wieku pięciu lat, kiedy jechałam na swój pierwszy, samodzielny zjazd*” — stwierdzam, że ta wersja jednak będzie bezpieczniejsza, bo innej oczywiście ta sztuczna inteligencja znać nie może...

Przez moment nie dzieje się nic. Dopiero potem metaliczny głos oznajmia:

— Proszę przyłożyć dłoń do płytki i użyć skanera siatkówki.

Z zaskoczeniem orientuję się, że mi się udało. Jakimś cudem przeszłam przez krzyżowy ogień pytań, zrestartowałam system i zmieniłam swoje dane...

Bez szemrania stosuję się do polecenia. Linie urządzenia przez kilkanaście sekund przejeżdżają po mojej dłoni w tą i z powrotem, najwyraźniej chcąc całkowicie zapamiętać układ linii papilarnych i geny. To samo dzieje się z moim prawym okiem, choć specjalnie przyjemne to nie jest, jeżeli mam być szczerą...

— Dane w bazie zostały zmienione — oświadcza urządzenie. — Witamy na zjeździe, Wasza Wysokość. Oto identyfikator umożliwiający ci korzystanie z przywilejów każdej lumii...

Dalszy ciąg z rozmysłem ignoruję, przecież doskonale wiem, do czego uprawnia mnie ten kawałek plastiku, w końcu tak bardzo użerałam się z tym urządzeniem, by go zdobyć. Niestety, muszę wysłuchać pustego, mechanicznego gładzenia maszyny, jeżeli chcę zdobyć upragniony identyfikator.

— ... i życzymy Pani miłego pobytu — kilka minut później prehistoryczna maszyna kończy swój wywód i podaje mi kartę z moim aktualnym zdjęciem, imieniem i nazwiskiem, jak również ogromną, czerwoną cyrkonią, wtopioną w plastik w prawym, górnym rogu. Jest ona czymś w rodzaju klucza do pokoju (zamek działa na rodzaj cząsteczek, najwyraźniej rozpoznaje też kolor), i równocześnie jego oznaczeniem.

Ułamek sekundy później czuję, jak na twarz wpływa mi szeroki uśmiech — czerwony kryształ oznacza sto piątkę, ulubiony pokój naszej paczki. A konkretnie przeogromną szóstkę z tarasem. A teraz, o ile dobrze pamiętam, dziewczyny zrekrutowały kolejną lumie, więc wreszcie uda nam się zająć wszystkie łóżka!

Dumnym krokiem zaczynam iść w stronę budynku, równocześnie sprawdzając godzinę. Super, za jakąś minutę rozbrzmi gong, oznajmiający początek zjazdu, po którym powinniśmy udać się do pokoi, więc na 99,99% w holu zastanę wszystkie przyjaciółki. Czyli plan, który zdradziłam Rori, ma jak największe szanse na powodzenie!

Po kilku minutach spokojnego spaceru stoję na placu przed hotelem i uśmiecham się szeroko. Jak ja za tym tęskniłam! Za całą tą atmosferą wspólnoty, siostrzaności i oczywiście wielu innych uczuć, unoszącą się w powietrzu właściwie na całym terenie Selumie!

Podchodzę do drzwi i lekko naciskam klamkę. Sama obecność identyfikatora, który schowałam w kieszeni wystarczy, bym mogła dostać się do środka. Dlatego napieram na nią mocniej i zdecydowanym ruchem otwieram wielkie, dwuskrzydłowe wrota.

W środku panuje radosny gwar i lekkie podniecenie. W końcu żadna z nas nie wie, jakież to niespodzianki przygotowała dla nas trójka organizatorek... Ale tak się składa, że tym razem to ja mam dla wszystkich największą. Prawdziwe wejście wilka!

Staję może na pół metra przed wejściem i biorę głęboki oddech. Potem opieram rękę na biodrze, odrzucam włosy do tyłu i oznajmiam donośnym tonem:

— Quike, mordki, wróciłam!

Rozdział XXVII

Moje słowa odnoszą dokładnie taki efekt, jakiego się spodziewałam — cała czterdziestka, obecna w tym momencie w holu, kieruje swoje spojrzenia na mnie.

Uśmiecham się tryumfalnie. Udało mi się! Pamiętam, że właściwie to od wieków było coś w rodzaju rywalizacji, która z lumii robi największe „wejście wilka”. Poprzednią mistrzynią, Emestrię von Trois, która zasłynęła tym, że wpadła do środka, udając, że płonie i krzycząc „Pożar, pożar!” do tej pory próbowały pobić chyba wszystkie lumie, jakie do teraz uczestniczyły w zjazdach, ale od ponad dwustu lat żadnej nie udało się to żadnej. Aż do tej chwili, bo zdaje mi się, że chyba właśnie to ja zostałam nową mistrzynią pierwszego wrażenia i to na bardzo, bardzo długo... No cóż, w końcu powrót „zza grobu” (bo większość moich „siostrzyczek” zapewne uważała mnie za martwą) jest na serio nie do przebiccia...

Przez kilka sekund cisza jest tak gęsta, że dosłownie można by ją kroić nożem. Wszystkie lumie z mojego okresu, to jest w wieku od 16 do 19 lat (każdy okres obejmuje cztery lata, ale jak już raz się ustali, to zostaje taki już na zawsze, i cały czas są te same uczestniczki) wpatrują się we mnie, i co ciekawe, nie wszystkie twarze wyrażają radość (pomieszaną ze zdziwieniem, oczywiście). Zauważam, że co najmniej kilka z moich przyjaciółek patrzy na mnie ze sporym podejrzeniem. A co gorsza, taki sam wzrok ma też moja druga Best Friend Forever, Iora...

— Lu! — milczenie jako pierwsza odważa się przerwać Mistral. Nastolatka postępuje naprzód i rzuca mi się na szyję, o mały włos mnie nie wywracając.

Ten ruch przełamuje bezruch i panujące tu lekkie skrepowanie. Każda z dziewczyn, nawet te z podejrzanym wyrazem twarzy, podchodzi do mnie i mocno ściska. Każda, poza Rori, która tylko stoi z tyłu i smutno się uśmiecha.

— Chyba masz nam dużo do opowiedzenia, nie sądzisz, sis? — Mist, jako najciekawsza z nas wszystkich, zaczyna przesłuchanie. — Co się z tobą działo przez te dwa lata? Zniknęłaś, ba, dosłownie wyparowałaś jak kamfora, i żadna z nas nie miała już żadnej nadziei na twój powrót! No, chyba, że ty na serio nie żyjesz i teraz stoi przed nami twój duch...

— Wierzysz w duchy? — patrzę na nią z niedowierzaniem. — Kochana, spodziewałam się po tobie większego rozsądku...

— Odezwała się ta, która zostawiła kraj na pastwę swojej świrniętej, totalnie nieodpowiedzialnej kuzynki, nie potrafiącej sobie poradzić dosłownie z niczym — złośliwie komentuje Traya.

— Nie będę się tego wypierać — dumnie unoszę głowę. — Może i faktycznie, to był błąd, ale uważam, że mam coś na usprawiedliwienie.

— Dawaj — Iora krzyżuje ręce. — Sorry, mordko, ale mimo wszystko fakty

przemawiają przeciwko tobie. Rozumiem, że byłam jedną z twoich najlepszych przyjaciółek, ba, ciągle cię za taką uważam, ale tym razem to już przesadziłaś. Dobra, wiele rzeczy uchodzi ci na sucho, tyle, że teraz już nawet twoja pozycja cię nie ochroni od konsekwencji, Wasza Wysokość — ostatnie dwa słowa wymawia z wyraźnym sarkazmem.

— To wiecie co, ja mam dla was wszystkich propozycję — unoszę ręce do góry, by choć trochę uciszyć gwar panujący w holu. — Wyraźnie widzę, że nie każda jest szczęśliwa z mojego pobytu tutaj, więc może najpierw pójdźmy wszystkie do swoich pokojów, ogarnijmy się po męczącej podróży, jakoś może trochę ochłóśmy po tym, co się właśnie stało i potem, na stołówce wytłumaczę wam wszystko, co tylko będziecie chciały wiedzieć, odpowiem na każde, nawet najtrudniejsze pytanie. Stoi?

— Stoi — Carissia (w której oczach widzę wyraźną wściekłość, może nawet coś w rodzaju obrzydzenia, chyba nawet wiem, za co...) podejmuje rzucone przeze mnie wyzwanie. — Za pół godziny w stołówce, i dobrze ci radzę, Lu, znajdź sobie jakieś porządne wytłumaczenie, bo inaczej może być z tobą kiepsko... Nie chcemy mieć wśród siebie zdrajczyni, rozumiesz? Jeżeli nie uda ci się nas przekonać, to bardzo szybko się stąd zwiniesz, dotarło to do ciebie?

— Dotarło — kiwam głową. — W takim razie do zobaczenia za pół godziny w stołówce, mordki — odwracam się, i nie zważając na pozostałe, idę w kierunku schodów. Świadoma tego, że wszystkie obecne bacznie mnie obserwują, dumnym krokiem się na nie wspinam.

Dopiero na górze lekko się przygarbiam. Oczywiście spodziewałam się, że większość lumii jakimś cudem dowie się o misternym planie mojego ex, rzecz jasna, bez jego udziału w tym, ba, byłam nawet pewna, że niektóre dadzą się mu przekabacić, bo skoro prawie nabrał Rori... Ale fakt, że Iora, najrozsądniejsza z naszej piątki, też mu uwierzyła, całkiem zbił mnie z tropu. I teraz jak mam niby je wszystkie przekonać? Jedyłą nadzieją jest to, że najpierw wszystko wyjaśnię dziewczynom w pokoju, zanim zabrzmi gong, wzywający nas do stołówki...

Kilkanaście sekund później staję przed drzwiami do naszego pokoju. I tu spada na mnie dylemat — poczekać na resztę przyjaciółek, czy może też nie? Praktycznie za każdym razem organizatorki robiły jakąś „przyjemną” niespodziankę od razu, przy wejściu do pokoju i teraz pytanie brzmi, czy się narazić jako pierwsza i tam wejść, by rozbroić pułapkę i zyskać sobie bezgraniczną wdzięczność pozostałych?

Dobra, trudno, zaryzykuję... Wyjmuję identyfikator z kieszeni spodni, przykładam go do ogromnego kryształu na środku drzwi, czekam, aż oba zajarzą się czerwonym światłem. Dopiero potem lekko naciskam klamkę i popycham je do przodu.

Uważnym i równocześnie nieufnym spojrzeniem lustruję pokój.

Naprzeciwko siebie mam wejście do łazienki, więc przez ścianę mam zasłonięte pole mniej więcej do wejścia tarasowego. Obstawiam, że właśnie tam ukryta jest jakaś niespodzianka...

Ostrożnie robię mały krok do przodu, oczywiście dokładnie patrząc pod nogi, czy przypadkiem nie nadeptuję na żaden sznurek albo coś w tym rodzaju. Jednocześnie słyszę głosy za sobą — czyli pozostała czterdziestka stwierdziła, że czas najwyższy doprowadzić się do porządku. No spoko, przynajmniej nie będę zmuszona sama sprzątać po tym, co zaraz nas czeka...

Nagle słyszę (a właściwie to nawet nie słyszę, a wyczuwam) coś w rodzaju szmeru. Wszystkie swoje zmysły wyostrzam do maksimum — my, lumie, mamy pewną spuściznę po zwierzęcej części naszej osobowości, dzięki temu mamy o wiele lepszy słuch, wzrok i węch, niż inni ludzie, nawet ci korzystający z usług Xeriońskiej technologii, ale na co dzień tego specjalnie nie używamy — chcąc dowiedzieć się, cóż to takiego znajduje się w środku pokoju. Skupiam się na tym dosłownie całkowicie, więc kiedy Mistral dosłownie wskakuje mi na plecy, od razu sztywnieję z przerażenia.

— Sorcia, nie chciałam — niemalże nie przejmuję się moją reakcją. — Wiesz, co nas czeka?

— Nie — kręcę głową przecząco. — A gdzie reszta? — pytam.

— Ja jestem — informuje Leira, kolejna członkini naszej paczki. — Ro i Io zaraz dojdą, Aira powoli wspina się po schodach — milknie na chwilę, najwyraźniej unikając powiedzenia czegoś, co jej zdaniem mogłoby mnie urazić. Ira już taka jest, zawsze liczy się z uczuciami pozostałych...

— Wszystko wam wyjaśnię, jak tylko dojdzie pozostała trójka, bo ja też chciałabym mieć już to z głowy — informuję. — Tak więc mamy mniej więcej pół godziny na wszystkie wytłumaczenia i ogólnie ogarnięcie się, ale jakby nie było, ten czas się kurczy, kiedy tu stoimy...

— Co racja, to racja... — przytakuje Mist. — To jak, ryzykujemy i wchodzimy?

— Ryzykujemy i wchodzimy — kiwam głową i, jak na prawdziwą królową przystało, biorę niebezpieczeństwo na siebie, chcąc uchronić pozostałe (choć i tak to wcale nie jest jakiś totalnie heroiczny gest, tym bardziej, że to, co nas spotka, wcale naszemu życiu nie zagraża). I nie zdążam nawet wyjść zza rogu, gdy coś bardzo rozpędzonego uderza mnie w pierś, wywracając na dywan. Ułamek sekundy później tam, gdzie miałam właśnie stanąć, spada gęsta sieć.

Z lekkim zaskoczeniem spoglądam na małego, szmaragdowego smoczka, który siedzi na mnie, prężąc pierś niczym zdobywca i równocześnie spoglądając na mnie z dumą.

— Lu... — Leira patrzy na mnie z przerażeniem. Doskonale wiem, o co jej chodzi...

— Czekał, ja go wezmę — ofiarowuje się druga lumia i już, już przymierza się, by zabrać ode mnie malucha, gdy siadam i łapię go jedną ręką.

— Spokojnie, nic mi się nie stanie, prawda, maluchu? — zaczynam głąaskać go po łebku, co on kwituje rozanielonym wyrazem twarzy. — To mój smoczek, więc nie macie się czego bać, dziewczyny.

— To twój smok? — Mistral patrzy na mnie z zaskoczeniem. — Kochana, zdajesz sobie sprawę, że to może się okazać dla ciebie śmiertelnie niebezpieczne?

— Zdaje — kiwam głową. — Potrzymaj go przez chwilę — podaję jej to jakże urocze maleństwo, po czym wstaję. Smoczek, kiedy widzi, że już jestem w miarę stabilna, od razu wyrywa się mojej przyjaciółce i przelatuje mi na ramię. — W końcu już tyle razy wbijałyście mi do głowy, że smoki mogą mnie zabić, że to już się stało nudne...

— Wbijałyśmy, bo nie wiemy, czy cokolwiek z tego ci zostaje w twoim mózdzku — na wejściu słyszę głos Iory. — Ale na szczęście zrozumiałaś... — przystaje i z zaskoczeniem wpatruje się na stworzonko siedzące mi na ramieniu i łaszące się do mojego prawego policzka. — Lu, co to jest?! — jej głos błyskawicznie szybuje o kilka tonów w górę.

— Io, proszę, nie krzycz... — zmęczony głos Rori informuje nas, że również ona postanowiła przenieść się na górę. Ale ułamek sekundy później staje tak samo, jak jej poprzedniczka i patrzy na mnie z szeroko otwartymi oczami i dolną szczęką sięgającą chyba poziomu ziemi.

— Co jest, co się stało? — za ich plecami słyszę jakąś nieznaną (zapewne tą Airę, o której wspominała mi Ro, gdy wpadłyśmy na siebie w Zesten). — Ooo... — przystaje z zaskoczeniem, ale nieco innym jego rodzajem niż u pozostałych. — Nie wiedziałam, że będziesz z nami w pokoju — staje tuż obok mnie. — Aira jestem — wyciąga do mnie dłoń.

— A ja Lu, mordko — ignoruję jej gest i po prostu ją przytulam, uważając, by nie przygnieść malucha na moim ramieniu. — No cóż, tak się składa, że jak były zjazdy, to zawsze razem z dziewczynami zajmowałyśmy ten pokój, więc automatycznie ten został mi przyznany. A że ty się do dziewczyn przyłączyłaś i jeszcze jedno miejsce zostało, to udało mi się na nie załapać. I super, bo w końcu uda nam się zapamiętać tę szóstkę — uśmiecham się szeroko.

— Sporo o tobie słyszałam, wiesz? Dziewczyny nie raz wspominały, jaka to niesamowita byłaś, jakie numery odwaliałaś... — lumia zaczyna się nade mną zachwycać. — I że kiedy ciebie nie było, to wszystko zrobiło się takie szare, nudne...

— No wiesz, w końcu totalna ze mnie wariatka, więc nic dziwnego, że odwalalam takie numery, na które inne by się ze nic w świecie nie powazyły — mrugam do niej porozumiewawczo. — I poza tym ta odrobina wariactwa została mi do dzisiaj, co z resztą niektórzy mi wypominają — wymownie zerkam na Iorę.

— A weź mi powiedz, czy nie uznałabyś swojej przyjaciółki za wariatkę, gdybyś usłyszała o niej takie rzeczy? — wilczyca błyskawicznie odpowiada ripostą.

— To zależy, co o mnie słyszałaś — wzruszam ramionami, równocześnie głaszcząc malucha, który wygodnie układa się na miejscu, który najwyraźniej uznał już za swoją własność. — Jeżeli masz na myśli tego tu słodziaka — wskazuję na lokatora mojego lewego ramienia — to faktycznie, z jednej strony mogłabyś uznać go za totalne wariactwo, ale teraz nie ma się co bać, udało mi się go oswoić.

— Lu, tu nie chodzi o nas — Rori wysuwa się kilka kroków do przodu, uważając, by nie nastąpić na wciąż leżącą na ziemi sieć — tylko o ciebie. Nie rozumiesz, że dla ciebie przebywanie w towarzystwie jakiegokolwiek smoka jest śmiertelnym niebezpieczeństwem, bez względu na to, czy jest to jeden z tych najpotężniejszych, do których nawet żadna z nas nie ośmieliłaby się podejść, czy to taki maluch jak ten?

Aha, oczywiście, wzdycham w myślach. Żebyście wy widziały, na czym przebyłam drogę... Tym bardziej, że on wcale nie był taki spokojny, bezproblemowy, dość liberalny, jeżeli chodzi o podejście do obecnych władców i doświadczony pod względem wieku jak te wasze smoczyce, tylko, jak sam się określił, był totalnym maniakiem prędkości, uzależnionym od adrenaliny, zmiennym jak pogoda w ellis i do tego jeszcze żywiącym głęboką nienawiść do wszystkich członków panującej rodziny królewskiej (w tym, jakby nie było, też mnie, w końcu jestem najważniejszym jej członkiem) młodzikiem.

— Ale dlaczego Jej Wysokość nie może zadawać się ze smokami? — Aira wydaje się być niezłe zaskoczona. Ignoruje też moją prośbę o to, by zwracać się do mnie nieoficjalnie.

— Mów mi Lu, jak wszystkie pozostałe, nie lubię sztywnych tytułów, poza tym chyba nie jestem już królową — mrugam do niej porozumiewawczo — i nie zasługuję na takie nazywanie. Ale właśnie, dziewczyny, dlaczego? Do tej pory zawsze mówiłyście mi, że mam tego nie robić, ale bez podawania konkretnego argumentu za — dodaję przekornie, lekko przekrzywiając głowę. Równocześnie postanawiam przemilczeć ten drobny fakt, że powód zdążyłam poznać...

— No faktycznie, królową już nie jesteś — prychna Io, znów wkraczając na wojenną ścieżkę przeciwko mnie. A najlepsze jest to, że właściwie ona jako jedna z dwóch (łącznie z Rori) powinna mnie zrozumieć, przecież to właśnie z nią żegnałam się jako z ostatnią, przecież wiedziała o planach Ertexa... — Ale dla Arlesii to może nawet lepiej — nie może powstrzymać się przed zjadliwym komentarzem.

— No spoko, rozumiem... To w takim razie ty mów mi Ira — mówi lumia, puszczając komentarz jednej z naszych przyjaciółek całkowicie mimo uszu. — Ale na serio, bo wiecie, dziewczyny, ja tak trochę niezorientowana jestem, jak z resztą

zdajecie sobie sprawę, to dlaczego Lumina nie może zadawać się ze smokami?

Zauważam, że nastolatki wymieniają między sobą dość niepewne spojrzenia. Nie mogę rozszyfrować, co to znaczy — czyżby wiedziały o tym okrutnym procederze, ciągniętym przez moją rodzinę od wieków, i nic mi nie powiedziały? Czy też może po prostu dostały przykaz od moich rodziców, że mają mi to wmawiać, nie pytając o przyczynę takiego postępowania i teraz, kiedy ktoś zaczął pytać o przyczynę, nie wiedzą, co powiedzieć?

— Cóż... — Rori, jako najstarsza z nas (jak już wspomniałam, to przedział wiekowy naszego okresu na chwilę obecną wynosi od 16 do 19 lat. Ja mam siedemnaście, tak samo jak Mistral, Iora i Leira mają po osiemnaście, a Ro — dziewiętnaście. Obstawiam, że Aira będzie z nas wszystkich najmłodsza i będzie miała maksymalnie niecałe tyle, co ja i Mist...), bierze wytłumaczenie na siebie. — Po prostu rodzice Lu kazali nam jej pilnować, ot co.

— A dali wam jakiś konkretny powód? — krzyżuję ramiona i patrzę na nią uważnie. — Kochana, to jest dla mnie ważne. Bo jednak mimo wszystko chcę wiedzieć, dlaczego to aż takie ważne, że nie mogę mieć do czynienia ze smokami, nawet tak małutkimi, jak ten — ruchem głowy wskazuję na mojego malucha. On od razu wyczuwa, że o nim mowa, i zaczyna miziać się do mojego policzka. — Tak się składa, że już minęły czasy, w którym wierzyłam wszystkim na słowo, mój ex mnie od tego całkowicie oduczył. I teraz, jeżeli chcecie, żebym coś wzięła tak ot, bez żadnego poparcia, to macie poważny problem, moje drogie.

— W takim razie proszę bardzo, mordko, jak chcesz, to pakuj się tam, gdzie są nasze smoki, albo jeszcze lepiej, wejdź do klatki jednego z tych, które są sprzedawane na przykład na tej słynnej plaży w Listeshire przez ymuli i może jego się zapytaj, może poda ci powód, o ile od razu cię nie zabije — kpiąco rzuca Io. I niech ktoś mi teraz powie, jak ja mam niby ją przekonać co do swoich racji, skoro jest do mnie aż tak wrogo nastawiona?

„Cóż, w sumie to mam już za sobą” — uśmiecham się do siebie w myślach, ale na zewnątrz przez cały czas zachowuję stuprocentową powagę.

— Dobra, jak chcesz, to spoko, mogę — unoszę brodę do góry i kładę uszy po sobie, gotowa na ostrą konfrontację.

Smoczek wyczuwa mój bojowy nastrój i najwyraźniej uważa, że potrzebna mi jest jego pomoc, bo stawia grzebień po sobie i „groźnie” (a przynajmniej w jego zamierzeniu) wyszczerza małutkie ząbki.

Lumia mierzy mnie wściekłym spojrzeniem, po czym skupia je na moim sojuszniku. Widać też wyczuwa, że wcale nie jest taki odważny, za jakiego chce uchodzić. I faktycznie — wystarczy nawet niespecjalnie głośne „Buu!” z jej strony, by maluch pisnął z przerażeniem i schował się za moją szyją, wystawiając jedno oko, lustrując otoczenie i patrząc, czy jest już bezpiecznie.

Jest to tak rozczulające, że pozostałe dziewczyny wybuchają śmiechem. Ja

też uśmiecham się jednym kącikiem ust, ale szybko przybieram poprzednią pozę.

— Spoko, mogę do niego wejść — kontynuuję swoją wcześniejszą myśl — ale pod warunkiem, że powstrzymasz Ertexa i jego popleczników w dążeniu do przejęcia korony. Pasuje ci taki układ?

— Jednego z jego popleczników już mogę powstrzymać — dosłownie warczy wilczyca, wlepiając we mnie wściekłe spojrzenie granatowych oczu. — A mianowicie ciebie.

Po tych słowach zapada cisza.

Wszystkie obecne w pokoju z szeroko otwartymi oczami i szczękami zagrożonymi przydepnięciem wpatrują się na przemian w Iorę i we mnie.

Tak jawnego zarzutu zdrady nie postawił mi jeszcze nikt. Ale powiem szczerze, że spodziewałam się, iż to kiedyś nastąpi. I bardzo się cieszę, że lumia postanowiła powiedzieć mi to prosto w twarz, zamiast obgadywać mnie za moimi plecami. Tak przynajmniej mogę odeprzeć jej zarzut... O ile mi się zechce, oczywiście. A tak się składa, że powoli zaczynam się wkurzać...

— I kto to mówi — pryham, cały czas starając się nie pokazać po sobie złości. Nie jest to łatwe, gdy dostałam od rodziców taki piękny prezent w postaci tych genialnych pasemek... — Osoba, która jako jedna z tylko trzech zna powód, dla którego tak błyskawicznie wyjechałam z Arlesiie. A przynajmniej jedna z trzech, które są po mojej stronie. I teraz weź mi, mordko powiedz, jak niby miałabym stać po stronie tego idioty, skoro on za wszelką cenę chciał mnie zabić, żeby zdobyć tron? Jeżeli byłabym po jego stronie, to wydałabym na siebie wyrok śmierci, a jakby nie było, to jeszcze nie mam zamiaru umierać — wysuwam ostateczny argument.

Teraz trzy z dziewczyn, a mianowicie Leira, Mistral i Aira wydają się jeszcze bardziej zszokowane, niż wcześniej. No przecież, zapomniałam, że tylko Rori i Io wie o tym, co się stało prawie dwa lata temu...

Z kolei Iora wydaje się być zbита z tropu. Tak bardzo nie zabrała się za atakowanie mnie i szukanie argumentów „za”, że nie zauważyła góry stworzonej z tych „przeciw”, o którą wszystkie tamte całkowicie się rozbijają.

Zapada krępująca cisza, której nie mam najmniejszego zamiaru przerywać. Niech Io się o to martwi, ona zaczęła temat.

Odwracam się od niej i podchodzę do szafy. Z tego, co pamiętam, to zostawiłam tu trochę swoich ciuchów na ostatnim zjeździe. Ale z jednej strony to nie jestem pewna, czy nie było potrzebnego miejsca...

— Twoich rzeczy już tu nie ma — informuje mnie Ro, zupełnie, jakby czytała w moich myślach. — Ale jak chcesz, to możesz pożyczyć coś mojego, tak na oko to mamy ten sam rozmiar.

— Dzięki, kochana jesteś — uśmiecham się do niej i biorę pierwsze z brzegu rurki, balerinki i jakiś luźny T-shirt. Dosłownie moje ukochane zestawienie. —

To jakby co ja się przebiorę, mam jeszcze chwilę do przesłuchania, i chcę jakoś wyglądać, przecież tak się nie pokażę — wskazuję na moje obecne ciuchy. Jednak jakby nie było, są trochę wygniecione i pobrudzone, w końcu wiele przeszły...

— Spoko, na pewno się wyrobisz — Mist kiwa głową, doskonale rozumiejąc, że w tym momencie nie mam najmniejszego zamiaru z czegokolwiek się tłumaczyć, w końcu muszę nabrać siły na to, co czeka mnie za chwilę. — A, słuchaj, mordko, te twoje włosy to jakaś nowa moda, czy coś?

— Nie, skąd — mój uśmiech poszerza się na same wspomnienie całego zajścia. — To po prostu był wypadek, dość znacząca pomyłka... Ale jeszcze dwa dni mi zostały, to już bez żadnych konsekwencji będę mogła tą farbę zmyć.

— To ty nie wiesz? — Leira patrzy na mnie z zaskoczeniem. — Przecież teraz już można je zmywać od razu, i kolor wcale ci nie zostanie!

— Aha, spoko — kiwam głową, powoli trawiąc uzyskane informacje. To może nawet i dobrze, że o tym nie wiedziałam, bo przynajmniej mało kto mógł mnie rozpoznać w takich jaskraworóżowych włosach... — To w takim razie będę teraz miało nieco więcej roboty...

Im szybciej się za to wezmę, tym większe szanse, że zdążę przed gongiem, dodaję w myślach, zamykając za sobą drzwi do łazienki.

Rozdział XXVIII

Akurat kończę wycierać ostatnie pasmo włosów ręcznikiem, gdy rozlega się głuchy dźwięk gongu, wzywający nas wszystkie do stołówki.

Rzucam przelotne spojrzenie lumii w lustrze (wreszcie wyglądam tak, jak trzeba. I teraz na serio cieszę się, że Lara pomyliła się przy wyborze farby — w końcu platynę miałam jeszcze jakiś czas przed wyjazdem, i, podobnie jak w obecnym czarnym, byłam bardzo rozpoznawalna. Z kolei w tak jaskrawym różu, którego sama w życiu bym nie kupiła, okazałam się nie do poznania) i, zdając sobie sprawę, że czas dosłownie przecieka mi między palcami, natychmiast wciągam na siebie ciuchy.

Kilka poprzednich minut wykorzystałam w najlepszy możliwy sposób — krótka kąpiel, potem, dla poprawienia nastroju (bez odprawienia tego mojego rytuału brakuje mi choć odrobiny komfortu — jeden z nawyków, który wyniosłam z rodzinnego domu. Jedna z tych rzeczy, które są dla mnie pewne i niezmiennie...) odrobina balsamu do ciała o moim ukochanym zapachu cynamonu i karmelu... No i oczywiście zabrałam się za przywracanie naturalnego koloru włosów. Jak dobrze, że Leira powiedziała mi o tej zmianie w recepturze...

Wystarczy zaledwie coś około dziesięciu sekund, bym wciągnęła pożyczone od Rori ciuchy. Mam z nimi tylko jeden problem — moja najlepsza przyjaciółka nie znosi wysokich obcasów, a ja je uwielbiam. I właśnie dlatego w tym momencie mam na nogach balerinki, zamiast szpilek, które byłyby najlepszymi dodatkami dla tego zestawu (a przynajmniej w mojej opinii...). Ale cóż, na razie musi wystarczyć — nie mam czasu szukać czegokolwiek innego, tym bardziej, że to, na czym mi zależy, mogłabym zdobyć tylko od Iory, a ona jest na mnie wściekła za coś, czego nigdy w życiu bym nie zrobiła...

Z takimi myślami wychodzę z łazienki, spodziewając się, że na zewnątrz czeka na mnie pozostała piątka lokatorów tego apartamentu. Okazuje się, że się myliłam — mianowicie na dywanie naprzeciw drzwi siedzi tylko mój malutki smoczek (uprzejmiem poczekał, aż w prywatności się ogarnę), patrząc się na mnie czarnymi jak węgiel, ogromnymi oczyma.

Przez moment wparuję się w to piękne, szmaragdowe stworzonko, a ono robi coś, co w zamierzeniu ma chyba być szerokim uśmiechem. Wygląda to całkowicie rozczulająco — wątpię, żebym kiedykolwiek miała okazję zobaczyć coś równie fantastycznego...

Przykucam i wyciągam ręce do smoczka. Błyskawicznie łapie, o co mi chodzi i wskakuje mi na nie. Cierpliwie czeka jeszcze z wygodnym umoszczeniem się, aż posadzę go na swoim ramieniu. Dopiero teraz jestem w pełni gotowa wyruszyć na konfrontację z trzydziestką dziewiątką lumii (bo nie uważam, żeby Ro

była przeciwko mnie, a nastawienia reszty nie jestem całkowicie pewna), czekającą na moje najmniejsze potknięcie nawet na najmniejszym, najmniej znaczącym słówku...

Przechodząc przez korytarz, nie mogę się nie zdziwić, że jest tu tak pusto i cicho. W innej sytuacji nie wszystkie dziewczyny stosują się do tego, żeby stawić się tam, gdzie jest wezwanie i zazwyczaj płaczą się grupkami po wnętrzu hotelu (tak, nas też to dotyczyło i to zazwyczaj za każdym razem — w końcu każdy pokój w hotelu jest wyposażony w aneks kuchenny, więc robiłyśmy sobie jedzenie na własną rękę). Ale teraz, takiej sytuacji nie mogły przegapić i w tym momencie jest tu mniej więcej tak samo, wręcz upiornie pustawo, jak podczas smoczych wycieczek, kiedy akurat wychodziłam przenocować u Estive'a...

Zbiegam po schodach na parter. Tu też jest identyczna sytuacja, jak na górze — nastąpiło totalne wyludnienie. To ciekawa jestem, gdzie też one się podziały...

Wzdycham lekko. No proszę, w takich sytuacjach znowu objawia się jedna z moich wad — bezgraniczny sarkazm w sytuacjach kryzysowych. A coś mi się zdaje, że ta do takich się niestety zalicza...

Kilka sekund później zatrzymuję się przed wejściem do stołówki. Niepewnie ujmuję klamkę w dłoń. Chyba powinnam się w skrócie przemyśleć, co im tam powiem... Albo, z drugiej strony, mogę pójść na żywioł, z resztą tak, jak zwykle, i wtedy będzie to bardziej naturalne...

I w sumie to chyba będzie najlepsze wyjście... Tak, właśnie tak zrobię. Jakbym coś wymyśliła wcześniej, to pomyślałyby, że specjalnie wymyśliłam jakąś wymówkę, a tak, to będą widziały, że zrobiłam to całkowicie szczerze...

Zdecydowanym ruchem naciskam na klamkę i szeroko otwieram drzwi. Coś jak *deja vu*, nie? Tak samo dzisiaj wchodziłam do środka do hotelu...

Jest tylko jedna, drobna różnica. A mianowicie, gdy wchodziłam do budynku, nikt nie zwracał na mnie uwagi, wszędzie było głośno... Za to teraz wszystkie rozmowy milkną i czterdzieści par oczu kieruje się prosto na mnie.

Dość krępująca sytuacja, nie powiem... Ale nie mogę po sobie pokazać zmiany nastroju, więc jeszcze bardziej się prostuję i wzrokiem zaczynam szukać stolika przypisanego do naszego pokoju.

Pomaga mi w tym Rori, która, jak na najlepszą przyjaciółkę przystało, od razu wyłapuje moje myśli (czasami zastanawiam się, czy ona nie potrafi czytać w nich nawet bez pomocy implantu, bo na sto procent go teraz nie włączałam, nie zdążyłam go przecież zresetować po pobycie w Seiten Gaye) i zaczyna do mnie machać.

Posyłam jej wdzięczny uśmiech i dumnym krokiem przechodzę przez dosłownie całą salę (bo tak się składa, że stół jest na przeciwległym końcu stołówki), by w końcu zatrzymać się przy przyjaciółkach.

— Ty coś kombinujesz — stwierdza Leira, po dokładnym zlustrowaniu mojej twarzy.

— Nie, skąd, w końcu to do mnie totalnie niepodobne — uśmiecham się do niej figlarnie i zanim którakolwiek z nich zdąży chociaż zareagować, przy pomocy wolnego (czyli zapewne mojego) krzesła wskakuję na stół.

Efekt jest oczywiście taki, jakiego się spodziewałam — cisza, o ile wcześniej po prostu była, o tyle teraz jest totalnie przytłaczająca. Wyraźnie słyszę bicie swojego serca. Zawsze tak jest, kiedy się boję. Bo taka jest prawda — boję się, żeby przez przypadek nikt nie odebrał moich słów opatrnie... A dla chcącego nie ma nic trudnego...

— Wiem, że niektóre z was miały, a właściwie to ciągle mają pewne podejrzenia dotyczące mojej osoby — zaczynam. — Z kolei Carissia wyraźnie powiedziała, że nie chcecie wśród siebie zdrajczyni i między innymi dlatego tu przed wami stoję. Chcę wam wyraźnie pokazać, że to wcale nie zdradziłam ani Arlesii, mojej rodziny, poddanych, jak również i was, mordki.

Od razu wyczuwam, że doskonale udało mi się zbudować napięcie. Czyli może dzisiaj nie pójdzie mi tak źle, jak będę opowiadała tą legendę? „Nie, Lumina, wróć — karczę się w myślach. — Nie rozprasza się, skup się na tym, co teraz jest najważniejsze”.

— Doskonale zdaję sobie sprawę, że wiele z was ma do mnie pytania dotyczące tego tematu i na wszystkie obiecuję odpowiedzieć. Ale — podnoszę palec do góry, zauważając, że co to niektóre chcą już wzniesć dłonie, bym je zauważyła — zrobię to za chwilę. Na sam początek spróbuję pokrótce wam powiedzieć, dlaczego w niektórych sytuacjach postąpiłam tak, a nie inaczej.

Kiwnięcia większości głów na sali pokazują, że mam na to przyzwolenie. „Dobra, jak na razie idzie mi łatwo... — oddycham z ulgą. — I oby tak dalej...”.

— A zatem zacznijmy od pierwszej z wielu, budzącej wśród was zapewne poważne kontrowersje, kwestii. A mianowicie od tego, dlaczego przez te dwa lata nie było mnie na Arlesii. Wbrew pozorom z mojej strony była to nie tylko ucieczka od obowiązków, ale ratowanie życia. W skrócie — mój ex, Ertex — przy tych słowach zauważam, że co to niektóre lekko się krzywią. I dobrze, łatwiej mi będzie je potem przekonać do swoich racji — próbował mnie zabić. Wcale nie zależało mu na mnie, tylko na mojej władzy. Udało mu się oszukać nas wszystkie, pamiętacie przecież, jak dwa lata temu na zjeździe każda, oczywiście łącznie ze mną, rozpływała się, jaki to on jest cudowny, jaki to on jest kochany? A tu proszę, wieczorem przed weselem przyłapałam go, gdy przekazywał swojemu najlepszemu kumplowi, Arialowi, który miał być jego drużbą, buteleczkę z trucizną z trawy kers, oczywiście z odpowiednimi dyspozycjami. Ro i Io mogą potwierdzić, widziały nagranie z monitoringu, prawda, dziewczyny? — lumie automatycznie kiwają głowami, choć ta druga robi to z lekko mieszanymi uczuciami. — A z resztą

do Rori jako do pierwszej zadzwoniłam, żeby się wyzalić... Ale w każdym razie nie mogłam przecież pozwolić, żeby mi to zrobił, a na samym początku jeszcze nie otrząsnęłam się z jego uroku i nie chciałam też, żeby został wygnany. Dlatego pojechałam do Estive'a prosić go o radę, rzecz jasna rezygnując ze ślubu. I to był jego pomysł, żebym na trochę wybyła z Vastertillie i nabrała dystansu. Powiedźcie mi tak szczerze, czy on kiedykolwiek doradził mi źle? Czy choć raz jego pomysł okazał się kompletnym niewypałem i nie wyszedł wszystkim na dobre? — wilczyce nieźle się wkręciły w moją opowieść, bo teraz zgodnym ruchem kręcą głowami. — No właśnie, więc nie widziałam żadnych przeciwwskazań, żeby z jego propozycji nie skorzystać i tym razem. Tym bardziej, że powiedział, iż wyśle po mnie posłańca, kiedy moja obecność tutaj okaże się niezbędna. Dlatego zabrałam ze sobą kilka drobiazgów i popędziłam na Goldierze na wybrzeże, chcąc jak najszybciej dostać się do furki. Do dzisiaj był na mnie obrażony za ten nagły wyjazd, ogarniacie? Wracając do tematu — zapewne moje przejście do Stertilie przebiegłoby bez przeszkód i dziś nie pałałabym do Ertexa taką nienawiścią, jak teraz, gdyby on nie domyślił się, jakie mogę mieć plany i tam by na mnie nie czekał. Proszę — podciągam nogawkę spodni na tyle, żeby moje „siostry” zobaczyły długą na dwadzieścia parę centymetrów bliznę, przecinającą mi prawą łydkę — oto, co od niego dostałam w podzięcie za niepojawienie się na ślubie. Doskonale wyczuł, że zorientowałam się w sytuacji i chciał się mnie pozbyć. Do dziś nie wiem, jakim cudem udało mi się przeżyć, tym bardziej, że na koniec dosłownie zemdlałam mu pod nogami. I tu mam pytanie do wszystkich, które uważają mnie za zdrajczynię, która do niego przystała — cały czas sądzicie, że po czymś takim mogłabym współpracować z nim ramię w ramię? Ze świadomością, że jak osiągnie swój cel, to i tak mnie zabije?

Moje ostatnie słowa rozciągają się niemalże w nieskończoność w ciszy, która po nich nastąpiła.

Wszystkie obecne patrzą na mnie z mieszaniną podziwu, przerażenia, zrozumienia i co niektóre też wstydu. To uczucie bije szczególnie od znajdującej się dosłownie za mną (tyle, że nieco niżej) Iory — ona doskonale wiedziała o planach mojego ex, a mimo to nie dość, że nie wierzyła w moje szczerze intencje, to jeszcze zarzuciła mi, że z nim sprzyjam. Nie mam jej tego za złe. Każdy może się pomylić, tym bardziej, że Ertex ma prawdziwy dar przekonywania innych do swoich racji.

— Dobra, teraz przyszedł czas na pytania, o ile jakieś macie — przykucam i biorę szklankę z wodą, która stała obok mojego krzesła. Na razie nie mam zamiaru schodzić z tego stołu, przynajmniej do czasu, w którym nie będę pewna, że już na serio nie muszę czegokolwiek dopowiadać. Dopóki sytuacja się nie przejaśni, to zostanę tu, gdzie jestem.

— Dlaczego wróciłaś? — jedna z dziewczyn (rozpoznaję, że to Tallera)

nieśmiało unosi dłoń do góry.

— Przede wszystkim dostałam wiadomość od Estive'a przez gryfa, że czas wracać — wyjaśniam. — Ale pewnie i bez tego bym wróciła, bo okazało się, że zachorowałam na tasylirozę i pilnie potrzebowałam leku. Na szczęście zdążyłam, a z resztą doskonale to widzicie — uśmiecham się lekko. — Ktoś jeszcze?

— Mordko, ja nie chcę żadnych zarzutów ci wysuwać — ostrożnie zaczyna Carissia, już nauczona, żeby nie rzucać bezpodstawnych słów na wiatr — ale jak wytłumaczysz się z tego, że kilka z nas po drodze na zjazd widziało armię ymuli atakującą Zesten, i ciebie w samym środku obozu, dowodzącą całą akcją?

— A czy którakolwiek z was widziała mnie tam w naszej prawdziwej postaci, czy może jako najnormalniejszego człowieka? — odpowiadam pytaniem na pytanie. — To chyba jest proste, jeżeli się połączy fakty. Ertex chce zdobyć tron, a że najłatwiejszą drogą do tego jest zdobycie jak największego poparcia wśród poddanych, bo Cinder wcale taką dobrą królową nie jest, czego z resztą też się spodziewałam. A jak najłatwiej to zrobić? Udając bohatera. Właśnie dlatego przeciągnął ymuli na swoją stronę, dlatego oni atakują miasta i wreszcie dlatego mój ex odpiera ich ataki w pojedynkę. Inaczej w życiu by tego nie dokonał. Ale on wcale nie jest taki głupi, jak może mu się wydawać i wie, że skoro żyję, to w każdej chwili mogę wrócić do Arlesii. Jeżeli ponownie pojawiłabym się na scenie, nie miałby ze mną szans, bez względu na to, jak heroicznym czynów by dokonał. I dlatego postanowił się ubezpieczyć i zapłacił krocie jakiejś teyce, by udawała mnie przez ileś tam czasu, oczywiście w takim czasie i miejscu, które, gdyby dowiedzieli się o tym zwykli ludzie, automatycznie zmieniłoby mnie we wroga publicznego numer jeden. A to akurat jest takie miejsce i taki czas, więc, jakby nie było, mam bardzo ograniczone pole manewru, jeżeli chodzi o powstrzymanie tego idioty w dążeniach do osiągnięcia jego chorych ambicji.

— Kto wie, czy hrabia też nie został przez omotanie sobie jakiejś biedaczki wokół palca, a potem pozbycie się jej cicho i potajemnie... — mruczy porządnie wkurzona Mistral.

— Kto wie, kochana, właśnie, kto wie — kiwam głową. — Macie do mnie jeszcze jakieś pytania?

— Masz jakiś pomysł, żeby mu przeszkodzić? — tym razem rękę podnosi Isaro.

— Szczerze? Nie mam. Ale mam za to nadzieję, że z waszą pomocą podczas zjazdu coś wymyślę — bezradnie rozkładam ręce.

— Na naszą pomoc możesz liczyć zawsze, wszędzie i we wszystkim! — wyrzywa się Oceana i zostaje nagrodzona gromkimi brawami z każdej strony.

— Dziękuję, to cudowne z waszej strony — uśmiecham się szeroko. — No i to by było na tyle, a że ja, nie wiem, jak wy, mordki, jestem strasznie głodna, to proponuję coś przekąsić. Co wy na to?

Brawa rozlegają się po raz kolejny, a ja z uśmiechem zwyciężczyni ostrożnie zeskakuję na ziemię, po czym zajmuję swoje miejsce przy stole.

— Lu, nawet nie wiesz, jak mi głupio... — Iora próbuje mnie przeproszać, ale macham lekceważąco ręką.

— Pyśku, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Nie wracajmy już do sprawy i uznajmy, że nic się nie stało, co o tym myślisz?

— Może i masz rację... — lumia kiwa głową.

— Weź mi, kochana, powiedz, jak to jest, że ty zawsze wiesz, co, jak i kiedy powiedzieć, żeby osiągnąć pożądany efekt? — Leira patrzy na mnie z lekką zazdrością w oczach.

— Lata lekcji dyplomacji — porozumiewawczo mrugam okiem. — Czyli czasem to, że od małego byłam uczona do roli królowej się przydaje. Na przykład, jak mam się wybronić od jakichś bezpodstawnych zarzutów...

— Udało ci się doskonale, mordko — Mist łapie mnie za rękę. — I, co więcej, wyszłaś na prawdziwą bohaterkę, nie to, co ten idiota. Pamiętaj, masz nasze wsparcie zawsze i wszędzie, jak z resztą już wspomniała Oci.

— Dzięki — nachylam się do niej i ściskam ją w podzięce. — A teraz na serio, kiedy oni podadzą to jedzenie? Jestem głodna jak wilk!

Moje ostatnie zdanie wywołuje chichot przy naszym i tych stolikach, które go słyszały. Tylko Rori to nie rusza. Dziwne... Przecież w innej sytuacji to właśnie ona śmiałaby się najgłośniej i szybko wymyśliłaby jakąś zabawną ripostę... Czy tylko ja to widzę?

Dokładnie w tym momencie pojawiają się automaty rozwożące jedzenie, więc spycham to na dalszy plan. Zanotować — spytać Ro o jej nastrój przy pierwszej nadarzającej się okazji, i oczywiście w samotności. Nie wiem, czy powiedziałyby mi o tym tak szczerze, gdybyśmy były w jakimś szerszym gronie...

— Mordki, co powiecie na wypad na dwór zaraz po obiedzie? Stęskniłam się za graniem razem z tobą, Lu w drużynie — nagle z mojego toku myślenia wybija mnie Io.

— A co, taka dobra jesteś, Lu? — nagle interesuje się Aira.

— Niekoniecznie — uśmiecham się lekko. — Powiedzmy, że potrafię dość dobrze naginać zasady gier zespołowych. Jest wtedy dużo zabawniej, niż normalnie.

— No to nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć — lumia też się uśmiecha. — Smacznego — dodaje, ponieważ automaty właśnie postawiły przed nami pysznie wyglądające talerze, z których unosi się smakowity zapach.

— Smacznego wszystkim, mordki — odpowiadam i zabieram się za jedzenie.

W życiu nie spodziewałabym się, że jestem taka głodna. I że tak bardzo będzie mi brakowało tych tradycyjnych, arleyańskich potraw!

Rozdział XXIX

— To w co gramy najpierw? — Iora rozgląda się uważnie po naszej grupce.

— Czy ja wiem, czy chce mi się grać... — lekko się krzywię. Aktualnie nie mam ochoty na żaden wysiłek fizyczny, może poza powytrząsaniem się na grzbiecie jakiegokolwiek konia. To pyszne jedzonko tak mnie rozleniwiło, że już nic mi się nie chce...

— No w sumie... — Leira zaczyna się zastanawiać. — To nie jest aż taki zły pomysł... I w spokoju mogłybyśmy obgadać plan na tegoroczne przedstawienie i ustalić grupową wersję smoczego wypadu w Turrend Gress...

— A właśnie, dziewczyny, gdzie wy latacie na te wycieczki? — pytam. Ciekawa jestem, czy powiedzą mi to samo, czego dowiedziałam się od Mirt'Oshima. Bo on był ze mną szczery. Jestem tego pewna. I teraz pytanie brzmi, czy, podobnie jak ktoś, kto na początku chciał mnie zabić, szczere będą ze mną moje najlepsze przyjaciółki...

— Gdzieś w góry — wymijająco odpowiada Mistral.

— Tyle to i ja wiem — wzruszam ramionami. — Lei przecież przed chwilą powiedziała, że chcecie lecieć w Turrend Gress. Ale jak nie chcecie mi nic mówić, to spoko. Nie będę się wtrącać w jakieś super tajne sprawy...

— Mamy takie miejsce w Górach Gromu, latamy tam właściwie co rok — zmęczonym głosem oznajmia Rori. — To żadna tajemnica, mordko. Każdy smok o nim wie i zabiera tam swojego jeźdźca, nawet jeśli ten jeźdźcem tak naprawdę jeszcze nie jest... Ale żałuj, kochana, że tego nie widziałaś... Szkoda, bo każdy powinien je zobaczyć. Wyobraź sobie ogromny, skalny taras pośród najwyższych szczytów, w samym środku pasma, tak właściwie może nawet już poza granicami Arlesii, na ziemi niczyjej... Kilkanaście metrów niżej dywan z chmur, tak blisko, że wydaje ci się, iż niemalże możesz go dotknąć... A co najlepsze — świadomość i przekonanie, że to wcale nie jest dzieło przypadku, tylko w jego powstaniu brali udział ludzie... Bo łatwo możesz to poznać po misternie rzeźbionej barierce wokół tarasu, dzięki której nie możesz wypaść. Albo po tak wyraźnej, że wręcz przytłaczającej pozostałości po czyjejś obecności...

Czyli faktycznie dziewczyny nie chciały mi o tym powiedzieć. Ale mojej uwadze nie umknęła też nostalgia, z jaką przyjaciółka o nim wspominała. Oczywiście rozumiem jej podziw, doskonale pamiętam tamten taras i jego surowe, groźne piękno. Tylko w jej opowieściach nabierał nowego wymiaru — czegoś cudownego, ale równocześnie nieosiągalnego. Czegoś, czego nie ma się już szansy zobaczyć...

— Ro! — Iora patrzy na nią z oburzeniem. — Przecież miałyśmy o tym nie mówić nikomu!

— Nawet swojej zaufanej przyjaciółce? — jestem poważnie zdziwiona. —
Ej, no sorry, przecież i tak jakoś bym się o tym dowiedziała!

— Wybacz, Lu, ale nawet tobie — Mist rozkłada ręce.

Równocześnie w swojej głowie słyszę jej głos: „A w szczególności tobie...”

Patrzę na nią ze zdziwieniem. Dobra, znam ten powód, ale nie spodziewałam się czegoś takiego po niej. Tym bardziej, że przez przypadek włączyła przesył myśli...

Lumia moje zdziwienie rozumie całkowicie opatrnie, co jeszcze bardziej upewnia mnie w przekonaniu, że to był przypadek.

— Nie bierz tego do siebie — zaczyna się tłumaczyć. — Po prostu przysięgałyśmy nie mówić nikomu o czymkolwiek związanym ze smokami. Rori, pomyśl, co powie o tym twoja smoczyca? Twoja ukochana Est’Ria?

„W tym momencie to nie ma żadnego znaczenia” — tym razem gorzkie myśli mojej najlepszej przyjaciółki wdzierają mi się do głowy. Co się, choroba jasna, dzieje? Przecież nie mam włączonego przesyłu, specjalnie sprawdzałam... A skoro to zablokowałam, to nikt nie może się ze mną połączyć. Dziwne...

— Dziewczyny, to jak, gramy w coś czy jedziemy na przejażdżkę? Jeżeli tak zrobimy, to może nawet uda nam się zrobić jakiś piknik... — pyta Aira ze zniecierpliwieniem. Widać, podobnie jak ja, ma już odrobinę dość tej mini dyskusji, nie prowadzącej tak właściwie do niczego.

— Piknik to niegłupi pomysł — przyznaję. — A wy co o tym myślicie?

— No, tak szczerze... — dziewczyny patrzą po sobie. — Możemy tak zrobić, dlaczego by nie — Leira kiwa głową, zabierając głos po pozostałe. — Tylko która teraz pójdzie po konie?

— Ja mogę — ofiarowuję się. Cóż, w tym momencie potrzeba mi chwili samotności, żeby dojść do siebie i może choć spróbować ogarnąć, co się ze mną dzieje... — Gdzie są wasze ardyliany?

Wilczyce po raz kolejny wymieniają między sobą znaczące spojrzenia, a ja po raz kolejny łapię się na tym, że jestem kompletnie poza tematem. Patrzcie państwo, jak to dwa lata opóźnienia wystarczą, żeby kompletnie się zagubić w natłoku nowości...

„Jaka ta nasza mordka do tyłu” — zauważa Io. I znowu to dziwne, wręcz okropne uczucie, że bez najmniejszego problemu mogę widzieć ich wszystkie myśli...

„Sporo będziemy musiały jej dzisiaj wyjaśnić” — stwierdza Aira.

„To może ja...” — proponuje Ro, ale zostaje uciszona przez Mistral:

„Kochana, ty się nie wyrywaj, bo jeszcze powiesz jej coś, czego na serio nie powinna się dowiedzieć...”

„Na przykład czego? — lumia wydaje się być poirytowana, ale tylko

w myślach. Żadna z nich nie daje po sobie poznać, że w umyśle toczą aż tak zaciętą, wewnętrzną walkę... — Tak się składa, że ja wiem najmniej z was wszystkich, w końcu większość istotnych informacji zostawiałyście dla siebie...”

„Bo to są rzeczy, o których Lu nie powinna się dowiedzieć od żadnej z nas, o tym powinien powiedzieć jej ktoś, kto będzie w stanie odpowiedzieć jej na wszystkie pytania, które w związku z tym się wyłonią — wyjaśnia Lei. — A ty byś jej o czymś takim na pewno powiedziała.”

„A o co chodzi?” — tym razem Ira jest troszeczkę niezorientowana w temacie. Podobnie z resztą, jak ja i Rori, co wynika z tej ich rozmowy...

„Później ci powiemy, jak będziemy same” — decyduje za wszystkie Iora.

Dobra, teraz mam już tego troszeczkę dość. Nie dość, że dzieje się ze mną coś, czego nie potrafię zrozumieć i co trochę mnie przeraża, to jeszcze na dodatek okazuje się, że dziewczyny mnie obgadują, i oprócz tego dowiaduję się, że mają przede mną jakąś tajemnicę. I najwyraźniej dość istotną, skoro nie powiedzieli o tym nawet Ro, mojej najlepszej przyjaciółce, żeby przez przypadek mi nie wygadała...

— No to gdzie trzymacie wasze ardyliany? — po raz kolejny zadają to samo pytanie. Może tym razem raczą mi odpowiedzieć jakoś normalnie... Tym bardziej, że w związku z tym najwyraźniej pojawiła się jakaś nowość, o której nie wiem...

— Widzisz, Lu... — Mistral podejmuje się wytłumaczyć mi całą sytuację. No wreszcie, dziękuję bardzo za taką łaskę... — To trochę skomplikowane, mordko. Nie jestem pewna, czy uda ci się to zrozumieć...

— To może zamiast się domyślać, czy to zrozumiem, może po prostu spróbujesz mi to jakoś wytłumaczyć? — opieram rękę na biodrze i patrzę na nią z lekką irytacją. No cóż, tak się składa, że teraz wszystko mi się skumulowało. Nie dość, że jakimś cudem słyszę myśli przyjaciółek, najwyraźniej bez ich świadomości o tym (co jest co najmniej dziwne, jak nie wprost przerażające), to jeszcze teraz one coś przede mną ukrywają!

— Dobra, mordko, nie ma potrzeby się w jakikolwiek sposób irytować... — Mist wyczuwa moje uczucia, a z resztą bardzo wyraźnie pokazują je te „genialne” pasemka (aktualnie w kolorze lekko czerwonym, obrazującym delikatną złość lub właśnie irytację)... — Zaraz spróbuję ci to wytłumaczyć, ale od razu uprzedzam, że to może być dość trudne...

— Tak się składa, że my już specjalnie nie jeździmy na ardylianach — Rori wcina jej się w słowo, już drugi raz tego dnia. Dziwne... Kiedyś w życiu by tego nie zrobiła, za bardzo szanuje czyjeś słowa... — Nie ma sensu tego ukrywać, kochane. Najlepiej jest powiedzieć prosto z mostu.

— A dlaczegoż to? — nie powiem, bardzo, ale to bardzo mnie zdziwiła. Również i tego uczucia nie potrafię ukryć, bo natychmiast moje włosy z czarno-czerwonych (lekko czerwonych, bo wściekle czerwony oznacza potworną

wściekłość) zmieniają się w czarno-miętowe.

— Nawet nie wiesz, jak ciężko jest równocześnie jeździć ardylianem i latać na smoku — tym razem Iora bierze na siebie ciężar wyjaśnień. — Tym bardziej, jeżeli zwierzaki są rozumne w stu procentach i o siebie zazdrosne. W pewnym momencie trzeba wybrać. I każda z nas tego wyboru dokonała. Rzecz jasna zostawiłyśmy dla siebie smoki, jesteśmy z nimi zżyte o wiele bardziej, niż z końmi.

— Tym bardziej, że smoki są o niebo szybsze — dodaje Aira. — Przeciętny ardylian najchętniej biega pomiędzy sto a sto pięćdziesiąt, zależy od genów i okoliczności. Z kolei twój Goldier wyciąga dwieście pięćdziesiąt, mniej więcej tyle samo, jak nasze smoki. Różnica jest ogromna, więc widzisz, mordko, skoro my wszystkie wolimy większą prędkość, wiadomo, co wybierzemy.

— Spoko, rozumiem — kiwam głową. — Dwieście pięćdziesiąt na godzinę? Słabo... Powiem wam szczerze, że spodziewałam się czegoś większego po waszym ukochanym środku transportu...

Tym bardziej po tym, co mówił mi Mirt'Oshim, dodaję w myślach. Czyli faktycznie, te, na których latają moje „siostry”, są bardzo spowolnione. Ciekawe, czy potrafią jeszcze coś więcej...

— No cóż, niestety nam nie wybrali tych najszybszych — krzywi się Leira. — Wiesz, podobno największą prędkość, najwięcej różnych sztuczek i największą dawkę adrenaliny gwarantują młode smoki. Smoki, a nie smoczyce. A że nasze są właśnie płci żeńskiej i równocześnie wcale nie są takie młode, nawet w przeliczeniu na ludzkie lata, to nie mamy nawet najmniejszych szans na jakikolwiek dreszczyk emocji. Nawet twój Goldier, jak się wkurzy, to biegnie czterysta...

— Na serio byłam pewna, że one wyciągają więcej... — cały czas jeszcze jestem zdziwiona tym, co mi powiedziały. — A nie korzystają z jakiegoś wsparcia? Na przykład z czegoś w rodzaju prądów powietrznych? Słyszałam, że takowe istnieją...

— To ty całkiem dobrze poinformowana jesteś w kwestii naszych latających stworzonek — Iora, podobnie jak wcześniej, jako pierwsza nabiera podejrzeń. No i super, zapędziłam się w ślepy zaułek. Oby tylko pozornie...

— Widzisz, mordko, rodzice od dziecka wmawiali mi, że smoki są moimi śmiertelnymi wrogami. Wszystkie, poza Estive'em, oczywiście — ostrożnie zaczynam się tłumaczyć, wymyślając najrozsądniejszą wymówkę, jaka tylko przychodzi mi do głowy. — Powtarzali też, ale to już przy całkiem innej okazji, że trzeba znać swoich wrogów... A że smoków nie mogłam poznać osobiście, dorwałam się do jakiejś książki jakiegoś badacza... Znudziłam się po pierwszych dwóch stronach. Jedyna rzecz, którą zapamiętałam, to to, że mają całkiem niezłe przyspieszenie i że prądy powietrzne potrafią nadać im prędkość co najmniej kilku tysięcy kilometrów na godzinę.

— Mądrze — Ro kiwa głową. — Dobry pomysł miałaś, kochana.

Oddycham z ulgą, kiedy okazuje się, że przyjęły moje tłumaczenie. Bo gdyby dowiedziały się, że o tym wszystkim powiedział mi jeden z największych smoków, i to jeszcze na dodatek z tej najszybszej i najniebezpieczniejszej dla mnie grupy, na pewno nie byłyby szczęśliwe...

— Dobra, spoko, rozumiem, że zrezygnowałyście z ardylianów, ale w takim razie jak planujecie wybrać się na piknik? — zmieniam temat na bezpieczniejszy. I w tym momencie też o wiele ważniejszy z mojego punktu widzenia.

— Weźmiemy araby ze stajni — Lei wzrusza ramionami. — Co wy na to?

Pozostałe kiwają głowami na znak zgody.

— To ja je przyprowadzę — proponuję. — Jak pobiegniemy kłusikiem, to w sumie nie będzie różnicy pomiędzy nimi a Goldierem.

— Może być — Mist kiwa głową. — To my poczekamy przy fontannie na zewnątrz.

Pokazuję im wyciągnięty kciuk, po czym odwracam się i zaczynam iść w kierunku wyjścia. Do moich uszu dociera jeszcze strzępek wypowiedzi Iory:

— A wiecie co, mordki, jak dzisiaj przyjechałam do hotelu, no bo w końcu miałam być pierwsza, w tym roku jestem organizatorką, to przed zamkniętą na głucho bramą stał jeden z arabów z naszej stajni... Ogarniacie? Nie mam pojęcia, jak on przez nią przeskoczył...

Uśmiecham się półgębkiem, równocześnie wychodząc z hotelu. No cóż, pewne rzeczy pozostaną tajemnicą na wieki wieków. O tej będzie wiedział tylko ten koń i ja...

Rozdział XXX

„I co ty masz zamiar z nimi zrobić?” — Goldier przygląda się mi z ciekawością, gdy wyprowadzam piątkę koni ze stajni.

— Chciałabym zaprowadzić je do fontanny, powtarzam ci już chyba któryś raz — przewracam oczyma i równocześnie usiłuję poprowadzić araby tam, gdzie ja chcę, a nie tam, gdzie chcą one. — I wcale bym się nie pogniewała na ciebie, jakbyś mi pomógł.

„A co to ja jestem, psem pasterskim, żebym miał pomagać ci w zaganianiu zwierząt? — ogier parska z oburzeniem. — Niedoczekanie twoje!”

— Czy ja wiem, czy psy pasterskie zaganiają też konie... — zamyślam się na chwilę. — Ale jak nie chcesz, to nie, poradzę sobie sama — wzruszam ramionami.

„Akurat — prycha i z urazą w oczach zaczyna podbiegać do swoich „krewnych” (chyba można araby uznać za krewnych ardylianów, skoro one od nich pochodzą?), wyraźnie pokazując im, w jakim kierunku mają biec. Wychodzi mu to zdecydowanie sprawniej, niż mi, i po chwili cała piątka koni spokojnym kłusem kieruje się w stronę placu przed wejściem do hotelu. — Też byś sobie tak poradziła?” — pyta z dumnym wyrazem pyska.

— Oczywiście, że nie, mój kochany — gładzę go po chrapach. — Co ja bym bez ciebie zrobiła...

Koń dosłownie już puszy się z dumy, więc uznaję, że komplementów na tą chwilę jest mu już dość. Dlatego wybijam się z ziemi i płynnym skokiem ląduję mu na grzbiecie.

Zwierzę dumnym kłusem zaczyna gonić swoich pobratymców. Dobrze, niech uważa, że to wszystko było z jego łaski, a nie z moich umiejętności manipulowania innymi, uśmiecham się lekko. Co prawda często tego nie wykorzystuję, ale w tej sytuacji to było wręcz wskazane...

Kiedy dojeżdżam do umówionego miejsca, okazuje się, że wszystkie moje „siostry” dosiadły już arabów.

— To gdzie jedziemy? — patrzę na nie z ciekawością. — Macie jakiś plan?

— Ja mam plan, żeby znaleźć fajne miejsce, gdzie da się rozłożyć koc — Aira podnosi do góry kosz piknikowy. — Najlepiej omawia się różne koncepcje przy jakiejś przekąsce, nawet, jeżeli to jest tuż po obiedzie.

— A szczególnie, jeżeli jest się wtedy w gronie świetnych przyjaciółek — puszczam do niej oko. — No to jak, mordki, odkryłyście jakieś fajne miejsce rok temu, jak mnie nie było, czy jedziemy tam, gdzie zawsze?

— Może pojedźmy tam, gdzie zawsze — proponuje Ro. — Nie chciało nam się szukać niczego innego, więc trzymajmy się schematu — oświadczają, po czym

popędza swojego araba (tak się składa, że trafił jej się ten sam karosz, którego wymęczyłam kilkanaście, jak nie kilkadziesiąt godzin temu) i wyrywa się do przodu.

Obserwuję ją z zaskoczeniem. Tak nie zachowuje się Rori, którą znam. Ona nie nadaje tempa, nie zdradza tajemnic tak potężnych zwierząt, jakimi są smoki (a prosiłam ją o to już wielokrotnie, w końcu w naszym gronie uchodzi dosłownie za ekspertkę w ich dziedzinie), nie siedzi smętna przy obiedzie i wreszcie nie uśmiecha się tylko smutno na przywitanie. Rori, która jest moją najlepszą przyjaciółką, zawsze liczy się z innymi, nie wysuwa się na prowadzenie (nie to, co ja, ale ja to inna kwestia — mnie uczono, żeby wiele rzeczy brać na siebie i tak mi zostało. Takie, że tak to ujmę, spaczenie zawodowe), zawsze utrzymuje sekrety, nie ważne, czyje, w tajemnicy, przy stole zawsze śmieje się najgłośniej, razem ze mną, a kiedy się z kimś wita, nie ważne, czy nie widziała go kilka lat, miesięcy, tygodni, dni, czy może zaledwie kilka godzin, rzuca się mu na szyję i zawsze daje całusa w policzek. Coś musiało się stać... I muszę obowiązkowo z nią o tym pogadać tak szybko, jak tylko się da...

— Lu, nie zostawaj w tyle! — głos Leiry przywraca mnie do rzeczywistości. Faktycznie, mój Goldier cały czas stoi w jednym miejscu...

„Ofiara” — taki jest jego komentarz.

— A ty nie lepszy — szepczę do niego. — Przecież mogłeś przejąć inicjatywę. Już jedziemy, kochana! — podnoszę głos, by słowa dotarły do mojej przyjaciółki.

Ardylian najwyraźniej albo znowu się na mnie obraził, albo uznał słusność moich słów, bo bez najmniejszego zająknięcia rusza i dosłownie sekundę później dogania będącą na tyle Iorę.

— Io, nie uważasz, że z Ro jest coś nie tak? — zagaduję ją, cały czas bacznie obserwując przyjaciółkę na przedzie grupy.

— Z Ro? — lumia wędruje spojrzeniem na wspomnianą. — Nie, nie zauważyłam nic specjalnego, a dlaczego pytasz?

— No... nie wiem — wzruszam ramionami. — Po prostu jakaś taka... nieswoja mi się wydaje. Wiesz, pytam się ciebie, bo nasza trójka w sumie była najbliższej...

— Z tym się zgodzę, ale nie mam pojęcia, dlaczego uważasz, że z nią jest coś nie tak — Iora patrzy na mnie z ciekawością.

— Nie wiem, może po prostu mi się wydaje — wzruszam ramionami po raz kolejny.

Ale mimo, że tak mówię, jestem stuprocentowo pewna, że coś z moją najlepszą przyjaciółką jest nie tak. I jedno jest pewne — im szybciej dowiem się, co to, tym lepiej. Ale to może jak będziemy w samotności, bo nie jestem całkowicie pewna, czy tak przy innych by mi powiedziała...

* * *

Kilkanaście minut później zatrzymujemy się na brzegu niewielkiej, aczkolwiek urokliwej polanki, położonej dosłownie przy samej ścianie obecnej kotliny (kiedyś jaskini). Drzewa tworzą coś w rodzaju półokręgu, a druga połówka elipsy jest lekkim wgłębieniem w skale. Miejsce świetne, kilkadziesiąt metrów kwadratowych pustej przestrzeni, ale mające w sobie też charakter, może też nawet coś z klimatu grozy (bo światło tu specjalnie nie dochodzi, zasłonięte przez korony wysokich drzew w pobliżu i odrobinę również przez skałę), a lumie coś takiego uwielbiają. Z kolei drzewa z gatunku eteris[1], występujące tylko i wyłącznie tutaj (to znaczy tutaj w sensie na terenie hotelu, specjalnie sprawdzałyśmy), obecnie w pełnym rozkwicie, nadają temu miejscu niepowtarzalną, wyjątkową atmosferę.

— Tu to mnie jeszcze nie zaprowadziłyście — Aira rozgląda się z podziwem. — Przecież tu jest pięknie! Nie zdziwiłabym się, jeżeli nawet nasze miejsce na smocze wycieczki byłoby gorsze od tego... — wymyka się jej.

Wzrok wszystkich kieruje się w jej stronę ze zgorszeniem. Ja cudem powstrzymuję się, żeby również tego nie zrobić. Dobrze, przyznaję, tu na serio jest cudnie, ale czy ja wiem, że cokolwiek może przebić surowość tamtego skalnego tarasu...

Chociaż, w sumie... W Arlesii wszystko jest cudowne i piękne na swój niesamowity, niepowtarzalny sposób i tak właściwie nie da się czegokolwiek porównać do czegoś innego.

— Ira, a skąd ty w ogóle jesteś? — to pytanie od dawna chodzi mi po głowie (a mianowicie odkąd Rori wspomniała mi o jej istnieniu w Zesten, więc teraz, wyczuwając dogodną okazję, zadaję je, zeskakując z Goldiera. — Bo nie kojarzę cię z wcześniejszych zjazdów...

— Bystra jesteś, nie ma co — uśmiecha się zapytana i idzie w moje ślady. — Dziewczyny skapnęły się dopiero pod koniec ubiegłorocznego zjazdu, czyli po tygodniu przebywania ze mną, a ty już po niecałej godzinie orientujesz się, że mnie tu wcześniej nie było...

— Jakoś tak nie mogłam cię połączyć z żadną grupką osób — mrugam do niej. — I, jak widać, miałam rację.

— Mówiłam, że nasza Lu jest bystra — Mist podchodzi do mnie i opiera mi się na ramieniu. — I tylko obstawiałyśmy, po jakim czasie się skapniesz, mordko. Wygrałam! — z tryumfalnym uśmiechem rozgląda się po wszystkich obecnych.

— Dobra, niech ci będzie, że wygrałaś — z niechęcią przyznaje jej Leira. Cóż, wszystkie wiemy, że Lei nie lubi przegrywać chyba najbardziej z nas wszystkich, bez względu na to, czy w czymś jest świetna, czy też może idzie jej fatalnie. Dlatego czasem, jak w coś gramy, przymykamy oko na to, jak jej się gra i,

żeby nie chodziła ofochana przez pół dnia, pozwalamy jej wygrać. Wiemy o tym wszystkie, rzecz jasna poza nią. Niech się pocieszy, nasza mordka kochana. Bo poza tym jest świetną przyjaciółką, jak każda z tej grupki (instynktownie wyczuwam, że Aira też), co i tak nie zmienia faktu, że Ro była, jest i będzie moją Best Friend Forever.

— A co wygrałaś? — patrzę na nią z ciekawością.

— Główną rolę w przedstawieniu — wyjaśnia Io, pomagając Airze w rozłożeniu koca. — Bo wiesz, Lu, w tym roku kolej naszego pokoju na wystawienie czegoś w koncertówce.

— Serio? — jestem autentycznie zdziwiona. — Już? Byłam pewna, że to będzie wypadać gdzieś tak za rok, albo nawet za dwa...

— My też byliśmy — Ro wzrusza ramionami, cały czas opierając się o tymczasowo swojego araba. — Żebyś ty widziała nasze zaskoczenie, jak rok temu, po tym musicalu, co wystawiły dziewczyny ze sto dziesiątki, wiesz, Traya i spółka, ogłosili, że za rok nasza kolej...

— Ale na szczęście to już było sporo po tym, jak twoja kochana kuzyneczka ujawniła istnienie Stertilie, bo jednak o dziwo nie wszystkie z naszych siostrzyczek o nim wiedziały — ze zdziwieniem stwierdza Aira, kładąc kosz na kocu i siadając obok. — I mogłyśmy łatwo przerobić jakąś sztukę teatralną z tamtego świata. Ja po prostu uwielbiam Szekspira, i zaproponowałam, że możemy zrobić inscenizację „Romea i Julii”.

— Niezła jesteś — uśmiecham się i siadam obok niej. — Ja specjalnie za Szekspirem w wersji tragicznej nie przepadam, więc podziwiam wszystkich, którzy potrafią przebrnąć przez jego tragedie.

— No wiesz, ja tam uczyłam się o nim w szkole, nie miałam wyboru — lumia wzrusza ramionami. — A „Romea i Julię” swego czasu omawialiśmy na lekcjach, od zawsze mi się podobała ta romantyczna wymowa... Miłość zdolna do tak ogromnych poświęceń... Chciałabym kiedyś takiej zaznać... — rozmarza się.

— Czy ja wiem... — krzywi się Rori. — Spójrz na to z tej strony: to była miłość pomiędzy siedemnastolatkiem a trzynastolatką, trwała pięć dni, i pociągnęła za sobą śmierć sześciu ludzi. Nadal uważasz, że to było tak totalnie romantyczne?

Teraz wszystkie patrzemy na nią z niedowierzaniem. To już na serio jest dziwne — Ro, choć może też nie była zwolenniczką tego typu utworów, zawsze starała się doszukiwać w nich pozytywów. Ale co się stało, że się tak zmieniła?

Jednak moment później coś odwraca moją uwagę od tego. A mianowicie początek wypowiedzi Iry.

— Jesteś ze Stertilie, prawda? — patrzę na nią ze zdziwieniem.

— Skąd wiedziałaś? — ona jest jeszcze bardziej zaskoczona, ale potem uśmiecha się szeroko. — Nie no, dziewczyny na serio miały rację, faktycznie jesteś strasznie bystra!

— Po prostu umiem kojarzyć fakty — wzruszam ramionami. — Nie ma w tym nic wielkiego. Bo wiesz, skoro omawiałaś „Romea i Julię” w szkole, a wątpię, żeby wprowadzili to jako lekturę do programu nauczania w Arlesii, musisz nie być z Vastertilie.

— Mama jest stąd, jak z resztą łatwo się domyślić — wskazuje na cechy wyglądu charakterystyczne dla lumii — a tata pochodzi z Anglii. Kiedyś przez przypadek dostał się do tunelu, będącego przejściem i tak odkrył nasz świat. Z początku był przerażony, ale po pewnym czasie odkrył, że tu jest fantastycznie. Nie miał najmniejszego zamiaru wracać. Potem poznał moją mamę i zakochał się w niej bez pamięci. Wzięli ślub, jakiś rok później pojawiłam się ja... — zamyśla się przez chwilę, po czym ciągnie dalej. — Mniej więcej po roku od moich urodzin dziadkowie zachorowali i tata musiał wracać do Londynu. Zabrał mnie ze sobą, chciał pokazać mi Stertilie, a mama miała dojechać... — w tym momencie wygląda tak, jakby zaraz miała się rozplakać, ale dzielnie ciągnie dalej. — No i cóż, nie dojechała. Okazało się, że z jakiegoś powodu ślub moich rodziców był nieważny, nie będę się zagłębiać w szczegóły. W każdym razie była wolna i nie minęło wiele czasu, gdy wyszła za innego. Ojciec był zrozpaczony, przysiągł sobie, że nigdy nie wróci do Arlesii... O wszystkim powiedział dziadkom, bo prędzej czy później prawda wyszłaby na jaw... To właściwie on nauczył mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć. Przez te dwa lata całkiem sporo dowiedział się o waszym świecie i, co najważniejsze, o lumiiach. Dzięki niemu nigdy nie zdarzyła mi się żadna wpadka. A rok temu, kiedy według prawa brytyjskiego osiągnęłam pełnoletniość, postanowiłam tu przyjechać, odnaleźć matkę i wyrzucić jej wszystko, co do niej mam. Dopiero, kiedy poznałam dziewczyny, stwierdziłam, że to bez sensu, ale tak mi się spodobało, że zostałam. W końcu znalazłam miejsce, gdzie nie muszę się ukrywać, gdzie wszyscy akceptują mnie taką, jaką jestem — wzrusza ramionami.

— Współczuję, kochana — nachylam się i ją przytulam.

— Nie ma czego — odsuwa się ode mnie. — Wyobraź sobie, że w pierwszym dniu spotkałam czwórkę twoich przyjaciółek, od razu przyjęły mnie do siebie. A kiedy opowiedziałam im swoją historię, zareagowały podobnie jak ty.

— Takie już jesteśmy — Lei uśmiecha się do niej. — Ciepłe, otwarte, zawsze wierne sobie jako przyjaciółkom...

— Cieszę się, że udało mi się poznać swoje gatunkowe siostry — Aira odpowiada ciepłym uśmiechem.

— To ty masz teraz dziewiętnaście lat, tak? — patrzę na nią z ciekawością. — Wiesz, że dałabym ci maksymalnie siedemnaście?

— Nigdy nie wyglądałam na swój wiek, ale czasem się to przydaje — mruga do mnie filuternie. — No i teraz też ty, Lu znasz moją historię. Jak oceniasz, godna jest wysłuchania?

— W zupełności godna — kiwam głową z przekonaniem. — Masz talent do opowiadania, wiesz?

— A a propos opowiadania, to dzisiaj któraś opowiada legendę — zauważa Rori. — Która jeszcze się nie udzielała?

Wszystkie patrzą po sobie z niepewnością. Ja się nie wychylam — nigdy nie lubiłam opowiadać, tym bardziej, że nigdy mi to specjalnie nie wychodziło. Już nie mówiąc o tym, że nie mam opracowanego tematu, więc będę musiała albo wymyślić coś w ostatniej chwili, albo iść na żywioł. Jeżeli zapomną, to nic się nie stanie...

— Dobra, nie ważne, o to będzie się martwić ta, której kolej — Mist macha ręką. — Może raczej skupmy się na przedstawieniu, co ty na to? Bo na wypadzie tego nie omówimy, w końcu Lu nie będzie...

— Możecie się przecież ze mną kontaktować za pomocą implantów — wzruszam ramionami. — To chyba nie jest wielki problem?

— Właśnie problem polega na tym, że tam implanty nie działają, tak samo, jak w barierze ochronnej Seiten Gaye — wyjaśnia Io. — Tak więc nie ma szansy, żebyśmy rozegrały to w ten sposób...

— No to trudno, jakoś sobie poradzimy, rozłożymy to na teraz i na czas po powrocie — wzruszam ramionami. — W końcu my zawsze potrafimy wybrnąć z trudnych sytuacji, a to wcale nie jest jakiś szczególnie wielki kłopot. Dobra, to mamy już propozycję, żeby zrobić inscenizację „Romea i Julii”, a ja pozwolę sobie zaproponować, żeby znaleźć jakieś fajne piosenki ze Sterilii, których jest mnóstwo, powybierać sobie kilkanaście i zmontować z nich całkiem niezłą historyjkę... Do tego jakieś kostiumy, wiadomo, scenografia... O, na przykład na koniec proponowałabym OneRepublic „I Lived”, będzie pasowała do wszystkiego, bo tekst i przesłanie ma genialne...

— A na początek „We Own The Night” The Wanted — wyrywa się Aira. — Tym pokażemy, że to my będziemy rządzić tym wieczorem, i też nastrój taki fajny wprowadzimy, co wy na to, mordki?

— Pomysł świetny — w tym samym momencie mówi Ro i Lei. Ta pierwsza lekko się uśmiecha, druga wybucha śmiechem, podobnie, jak reszta z nas. Poza mną. Bacznie obserwuję moją BFF. Wiem, że coś jest nie tak, ba nawet jestem tego pewna...

— Wiecie co, kochane, ja na dzisiejszy wieczór miałam upiec te moje słynne muffinki z bananami, w końcu dzisiaj chyba będzie nasza noc filmowa — sekundę później informuje nas Rori. — To ja już się zwinę i zabiorę się za robotę, co wy na to?

— Spoko, może być — Mist kiwa głową. — To daj nam znać, jak już wszystko będzie gotowe, to wrócimy. I to, co omówimy, to prześlemy ci, jak już wyjedziemy na smoczy obóz, pasuje ci?

— Nie ma problemu — przytakuje lumia. — To z którąś się skontaktuję, jak już wszystko ogarnę — oświadcza, po czym wskakuje na swojego araba i zaczyna galopować w stronę hotelu.

— Mmmm... Muffinki Rori z bananami... — rozmarza się Ira. — Wyobrażacie sobie coś pyszniejszego?

— Szczerze, to tak — uśmiecham się do niej. — Żałuj, że nie próbowałaś mojego tortu czekoladowego z Nutellą, suszonymi śliwkami i do tego jeszcze porządnie zakrapianego. Może zrobię, jak będziecie miały wrócić ze swojego wypadu... — zamyślam się.

— Ciekawe, co byś powiedziała na moje tiramisu — mruga do mnie Io.

Przez następne kilkanaście minut obrzucamy się przepisami, nazwami potraw i różnymi kulinarnymi drobnostkami.

— Wiecie co, ja się przez to głodna robię — jęczy Aira. — Mam dość, może po prostu przejdźmy do tematu przedstawienia?

— Ok., macie jakieś propozycje kolejnych piosenek? — Leira rozgląda się po pozostałych. — Co powiecie na „Russian Roulette” Rihanny?

I w tym momencie czuję, jakby poraził mnie piorun. O nie, błagam, żeby nie chodziło o to...

— Nie pasuje do tematu — kategorycznie zaprzecza Mist.

— A w ogóle ustaliłyśmy jakiś temat? — Io patrzy na nie z ciekawością.

— Nie, jeszcze nie... — Ira przerywa i zaczyna się mi przyglądać. — Lu, wszystko w porządku?

— Trochę głowa mnie boli, to wszystko — macham ręką, udając, że bagatelizuję sprawę. — Chyba jeszcze nie wydobrzałam po chorobie, wiecie, po ostatnim stadium powinno się leżeć, a nie tłuc po całym kraju...

— To może ty wracaj... — w oczach Mistral widzę troskę. — Wiesz co, po prostu się połóż na trochę, na pewno nie będziesz przeszkadzać Ro, a my po prostu o tym, co teraz ustaliłyśmy, opowiemy wam wieczorem...

— Dobry pomysł — kiwam głową, po czym wstaję z koca i wskakuje na Goldiera.

Z początku zdobywam się na spokojny kłus, ale kiedy tylko znikam im z oczu, natychmiast przyspieszam ogiera do galopu.

„Co się stało?” — z zaskoczeniem łapie na mnie swoim brązowym okiem, ale posłusznie wrzuca te swoje 250 kilometrów na godzinę.

— Modlę się, żeby nic — udaje mi się wydusić.

Ardylian łapie w mig, że w tym momencie wiele się ode mnie nie dowie, więc się zamyka

* * *

Niecałą minutę później zatrzymujemy się przed wejściem do hotelu. Zeskakuję z konia i biegiem ruszam do środka. O tej porze oczywiście jest pusto, wszyscy wybyli na dwór, więc cudem na nikogo nie wpadam i błyskawicznie dopadam schodów.

Boże, błagam, żebym zdążyła!

[1] Drzewa z gatunku eteris — kolejny efekt Wielkiego Wybuchu. Powstały z japońskich, ozdobnych wiśni i ich wygląd zachowały do dziś. Pachną pięknie, dosłownie oszłamiająco, a szczególnie, gdy po deszczu padną na nie promienie słońca. Ich osobliwością są płatki ich kwiatów — przez długi czas po opadnięciu nie kończą swego życia, tylko unoszą się z wiatrem w gromadach po całej Arlesii, tworząc niesamowite kształty, w tym postaci. Ich podróż kończy się, gdy wiatr zwiewa je z klifu do oceanu, lub zapędza gdzieś poza granice kraju.

Rozdział XXXI

Dopadam drzwi do naszej sto piątki i zaczynam szarpać się z klamką. Choroba jasna, zamknięte! Czując, jak przerożenie i adrenalina buzuja mi w żyłach, pośpiesznie zaczynam przetrząsać kieszenie. No nie... Strzelam facepalma na własną głupotę — dlaczego, dlaczego ja musiałam tak spieszyć się z wyjściem na stołówkę! Przez ten durny pośpiech zostawiłam klucz w kieszeniach moich spodni, nie przekładając go do tych, które pożyczyła mi Rori... I teraz to może oznaczać, że się spóźnię!

W ułamek sekundy analizuję sytuację — trudno, jeżeli przeczucia mnie zawiodą, najwyżej bez żadnego powodu zniszczę drzwi. A jeżeli mam rację, to powód będzie całkiem dobry...

Błyskawicznie przykucam, zupełnie tak samo, jak modliszka, po czym wyskakuję w górę i kopnięciem z obrotu wyważam zamek.

Natychmiast wpadam do środka i lustruję wnętrze. Ro tu nie ma. W łazience też nie, bo drzwi były otwarte, więc zostaje tylko taras...

Zaczynam biec w tamtym kierunku i... w połowie drogi ląduję z hukiem, potykając się o dywan.

Podnoszę się, krzywiąc się z bólu. Musiałam wylądować akurat na tej nodze, na której mam bliznę! To, że ranę zadano mi prawie dwa lata temu, wcale nie oznacza, że od czasu do czasu nie boli mnie mniej...

Funkcjonując już właściwie na samej adrenalinie i nie zwracając uwagi na ból, jakimś cudem udaje mi się dojść do wejścia na taras. Ale oczywiście moja BFF, na wszelki wypadek poszła jak najdalej od drzwi balkonowych...

Moje tętno przyspiesza tak bardzo, że jest już praktycznie niewyczuwalne, a serce chyba zaraz wyskoczy mi z piersi. Potwornie boję się tego, co zobaczę za załomem ściany. A największy strach, wręcz paniczne przerożenie wzbudza we mnie myśl, że mogę nie zdążyć...

Gdy wychodzę za róg, zauważam moją przyjaciółkę, stojącą do mnie tyłem. Od razu zwalniam, nie chcąc jej przestraszyć, żeby nie zrobiła niczego nierozważnego...

Lumia ma schyloną głowę i przygląda się czemuś, czym bawią się jej ręce. Gdy robię jeszcze parę kroków, zauważam, coż to jest i czuję, jak sierść na ogonie i na uszach mi się jeży. Wszyscy wiedzą, że pistolet impulsacyjny to najniebezpieczniejsza broń na obydwu znanych światach. Nawet nie trzeba się przykładać do strzału, wystarczy umieć celować w postać, bo tu nie istnieje coś takiego, jak postrzał. Jeżeli impuls w ciebie trafi, to nie żyjesz — bez względu na to, gdzie dostaniesz, natychmiast następuje zatrzymanie akcji serca i wszystkich procesów życiowych. Umierasz w ułamek sekundy. A teraz coś takiego trzyma

moja najlepsza przyjaciółka i najwyraźniej wcale nie planuje się temu tylko przyjrzeć...

Zmuszam się, żeby na zimno przeanalizować sytuację. Dopóki nie odbezpieczy broni, mogę ją jej jakoś wytrącić. Później to będzie zbyt ryzykowne, jeżeli któraś z nas przez przypadek pociągnie za spust, to impuls może trafić kogoś przypadkowego...

Krok bliżej pozwala mi wydać obiektywną ocenę — kontrolka przy spuście ciągle świeci się jeszcze na czerwono. Czyli jeżeli mam coś zrobić, muszę zrobić to teraz...

Jednym skokiem dopadam Rori, przykucam i podcinam jej nogi. Jedną ręką łapię pistolet, który jej wypadł, a drugą — dość oszołomioną dziewczynę. W końcu chcę ją uratować, a nie, żeby się jeszcze dodatkowo i zupełnie niepotrzebnie poobijała...

Moment później po policzkach Ro zaczynają płynąć łzy. I choć w tym momencie mam jak największą ochotę porządnie nią potrząsnąć i na nią nawrzeszczyć, to wiem, że to wcale nie polepszy sytuacji. Może później. Teraz tylko pomagam jej wstać i zaprowadzam ją do środka. Tam sadzam ją na łóżku, w międzyczasie zastanawiając się, co też mogę zrobić z pistoletem, żeby nie zostawić przyjaciółki samej choćby na ułamek sekundy.

Z pomocą przychodzi mi mój smoczek, który moment temu wygrzewał się na promieniach słońca, które wpadały do środka przez okno i zatrzymywały się na najwygodniejszym fotelu w apartamencie (to właśnie na nim siadają te, na które wypada kolej opowiedzenia legendy). Zwierzaczek od razu wyczuwa moje intencje, zrywa się ze swojego miejsca i podlatuje do mnie.

Z wdzięcznością podaję mu broń. Chwyta ją w swoje przeurocze łapki i wzbija się w powietrze. Na szczęście impulsator (jak się go potocznie nazywa) wcale nie jest bardzo ciężki, więc maluch nie ma najmniejszych problemów z umieszczeniem go na szafie. Potem wraca i z wyraźną dumą domaga się pieszczot w nagrodę.

— Tak, malutki, jesteś cudowny — potwierdzam, równocześnie głaszcząc go po grzbiecie, jeszcze bardziej powiększając jego ego. Teraz to już dosłownie pęka z dumy.

Ale cóż, nie mogę się przecież skupiać tylko i wyłącznie na nim. Jest tu jeszcze jedna osoba, która wyraźnie potrzebuje pomocy. Próba samobójcza była rozpaczliwym krzykiem, błaganiem, którego, mało by brakło, żadna z nas by nie usłyszała. Całe szczęście, że moja intuicja mnie nie zawiodła — inaczej plułabym sobie w brodę, że nie podeszłam do lumii wcześniej, a przecież widziałam, że coś jest z nią wyraźnie nie tak... Chociaż i tak mogłam z nią pogadać wcześniej...

Na razie jednak widzę, że gadanie i moje pytania tu nic nie pomogą. Dlatego właśnie po prostu siadam obok Rori i mocno ją obejmuję. Ona od razu wtula się we

mnie, chowa mi głowę we włosy i zaczyna rozpaczliwie, spazmatycznie szlochać.

Jak na razie mogę tylko gładzić ją po plecach i po głowie, pokazując, że jestem blisko. Nigdy, nigdy nie spodziewałabym się, że którakolwiek z moich przyjaciółek może się na coś takiego poważyć. One nawet we wszystkich sportach ekstremalnych zabezpieczyły się tak, jak tylko mogły, a Ro najbardziej! Pod tym względem jest uosobieniem rozsądku, no i w końcu jest z nas najstarsza (choć to w sumie zależy od tego, z którego miesiąca jest Aira...)... Ale trudno, stało się i na ten moment roztrząsanie przyczyn wcale nie pomoże. Dopytam się o to, jak tylko ona się uspokoi...

* * *

Kilkanaście minut później moja Best Friend Forever już jako tako się uspokaja. Dopiero teraz ją od siebie odsuwam. Wiem, jak to jest, kiedy ktoś potrzebuje wsparcia... Ja miałam tak samo po śmierci rodziców, chociaż nie planowałam żadnych drastycznych kroków. Może to dlatego, że nie byłam z nimi jakoś specjalnie związana... Albo po prostu już taka jestem, że kiedy coś się stanie, to nie tłumię swoich uczuć i w związku z tym nie doprowadzam się do takiego stanu.

— Mordko, masz gdzieś chusteczkę? — Ro pyta cichym głosem.

Natychmiast zrywam się z łóżka i dosłownie biegnę do łazienki, by przynieść jej całą paczkę.

— Dziękuję — od razu bierze całą garść i wyciera sobie oczy. — Tobie też się przydadzą, masz całą bluzkę moką — zauważa.

— A tam, to drobiazg — to wcale nie jest najważniejsza sprawa w danej chwili. O wiele ważniejsze jest to, dlaczego ona tak zrobiła... Ale jak mam się jej o to zapytać?

— Nie chcesz wiedzieć, dlaczego tak zrobiłam, mordko? — moment później lumia sama wysuwa propozycję powiedzenia mi tego, co chciałam wiedzieć.

— Nie chciałam na ciebie naciskać, kochana... — patrzę na nią z mieszanymi uczuciami. Sekundę później odwzajemnia spojrzenie. Jej wzrok jest tak przepełniony bólem, że aż się wzdrygam. Jeszcze nigdy nie widziałam czegokolwiek w tym rodzaju i jest to po prostu przerażające...

— Nie naciskasz, mordko — lumia wydmuchuje nos. — Tobie mogę powiedzieć... Bo na samym początku byłam święcie przekonana, że to, co się stało, to twoja wina...

Kiedy to słyszę, o dziwo, nie jestem zaskoczona. Od razu łapię, że to coś ma związek z armią ymuli. I, rzecz jasna, z moim ex...

Czuję, jak jeszcze bardziej rozpala się we mnie nienawiść do niego. Jak on mógł! Przez swoje niecne knowania doprowadził moją przyjaciółkę do bezdennej

przepaści, w której czeka śmierć. Tak właściwie to już prawie w nią wskoczyła — cudem udało mi się ją powstrzymać...

— To powiedz, kochana — łapię ją za rękę i zaczynam gładzić tą dłoń. — Ale jeżeli będziesz chciała przerwać, to po prostu to zrób. Nawet nie podawaj powodu, ja wszystko zrozumie...

Rori kiwa głową, po czym bierze kolejną chusteczkę i znów wyciera sobie łzy, które na razie nie mają najmniejszego zamiaru przestać płynąć.

Po jakiejś minucie oczekiwania mam wrażenie, że lumia zmieniła zdanie i jednak nie specjalnie ma ochotę nawet ze mną podzielić się swoimi zmartwieniami. Wtedy jednak z zadumy wyrывa mnie jej cichy głos:

— Pamiętasz, Lu, jak wtedy spotkałyśmy się w Zesten? — przytakuje. — Akurat wtedy zaczęły się Krajowe Dni Mody, miały trwać cały tydzień, z resztą jak co roku... Pierwszego wieczoru było cudownie. W tym sezonie projektanci przebili wszystkie poprzednie, a Elevaio dosłownie przeszedł sam siebie. Żebyś ty słyszała, jak biadolił, że nie ma ciebie — uśmiecha się lekko na to wspomnienie — bo na tobie wszystkie stroje prezentowałyby się genialnie i miałby choć jedną modelkę, która wiedziałaby, co ma robić... W każdym razie nie powiedziałam mu o twoim powrocie, pamiętałam o twoich planach dotyczących wejścia wilka. Zamiast tego zaoferowałam swoją pomoc, i choć jego strojów prezentować nie mogłam, w końcu takiemu rudzielcowi, jak ja, nie wszystkie kolory pasują — z tymi słowami wskazuje na swoje włosy — ale zawsze przydałam się jako asystentka. Powiem szczerze, bawiłam się przy tym przednio. Mishlein, mój chłopak, też ciągle gdzieś się przy mnie kręcił, ale następnego dnia musiał być w stolicy, więc wyjechał po dwóch, może maksymalnie trzech godzinach. Ja planowałam zabawić jeszcze te dwa dni i od razu, z rana, polecieć na zjazd. Est'Ria bez problemu zrobiłaby te kilkaset kilometrów w dwie, maksymalnie trzy godzinki, no bo jednak do najszybszych nie należała... — na moment urywa jej się głos, ale dzielnie ciągnie dalej. — Ale plany się zmieniły całkowicie jakąś dołą temu, mniej więcej wtedy, kiedy wyjechałaś z Luhri i zaczęłaś pędzić na zjazd, mordko. Wyobraź sobie, że wtedy dosłownie znikąd pojawiła się armia ymuli i najwyraźniej chciała zaatakować miasto... A ja, durna, stwierdziłam, że skoro nie ma żadnego obrońcy, to przydam im się jako zwiadowca i zobaczę, jak wygląda sytuacja z góry... Ona nie chciała, ale ja się uparłam... — zaczyna szlochać na nowo i za nic w świecie nie mogę jej uspokoić. Jedyne, co w danym momencie jestem w stanie zrobić, to tylko mocno ją przytulić i gładzić po plecach, mówiąc, że wszystko będzie dobrze (choć doskonale wiem, że to wcale nie jest takie proste...)...

Kiedy tak próbuję pocieszyć przyjaciółkę, nagle czuję, jak sztywnieję. Przed oczami zaczyna rozgrywać mi się prawdziwy dramat, bez słów...

Na samym początku kłócę się z jaspisową smoczyką, dość sporą (kiedyś powiedziałabym — ogromną, ale w porównaniu z rozmiarami Mirt'Oshima

wypada odrobinę blado). Potem najwyraźniej dochodzimy do porozumienia i wskakuję jej na grzbiet. Instyktownie wyczuwam, że to właśnie jest Est'Ria, a ja patrzę na świat oczami Rori. Jakimś cudem wtargnęłam w jej wspomnienia. Jest to przerażające, ale nie mam nad tym choćby najmniejszej władzy...

Zwierzę dość ociężale wzbija się w powietrze (i znowu nasuwa mi się porównanie ze smokiem, na którego grzbiecie miałam przywilej spędzić kilka ostatnich dni) i po kilku sekundach lecimy nad Zesten, a właściwie już poza jego granicami.

Co najmniej kilka minut zajmuje nam znalezienie armii ymuli. Za to kiedy już tak się dzieje, wydarzenia zaczynają dziać się z prędkości lawiny...

Na początku mój wzrok natrafia na wściekłe, pełne nienawiści spojrzenie... Cóż, jakby nie było, mnie. A konkretniej teyki, która przybrała moją postać.

Czuję zaskoczenie, szok i kompletną dezorientację Rori. Nie tego się spodziewała...

Dziewczyna przez sekundę mierzy mnie wściekłymi, fiołkowymi oczami, po czym nagle unosi rękę do góry. Zrozumienie tego gestu zarówno mi, jak i Est'Rii, zajmuje ułamek sekundy. Smoczyca chce się ratować, robiąc błyskawiczny (w jej mniemaniu) zwrot, ale nie zdąża. Jest za wolna... Trafia ją grad strzał...

Instyktownie (i to nawet nie są uczucia mojej przyjaciółki, tylko moje, jako postronnej obserwatorki) czuję, jak ze smoczycy ucieka życie. Mimo wszystko biedne zwierzę mobilizuje wszystkie siły i jakimś nadludzkim wysiłkiem (a właściwie to tu chyba nadsmoczym) osiąga prędkość na mój gust około tysiąca kilometrów na godzinę, być może w ostatnich minutach swojego istnienia po raz pierwszy natrafiła na dobry prąd powietrzny i teraz gna przed siebie.

Pokonanie odległości dzielącej Zesten od Seiten Gaye zajmuje jej równą godzinę, a ja dziwię się, jakim cudem smoczyca tego dokonuje. Mam wrażenie, że od pewnego momentu wiatr niesie po prostu puste ciało, bez żadnej wolnej woli, bez życia... Moje przeczucia potwierdzają cię, gdy, wbrew prośbom Rori przelatuje nad Selumie, a potem nagle zaczyna tracić wysokość i lotem ślizgowym niebezpiecznie szybko zaczyna zbliżać się ku wierzchołkom drzew. Zderzenie jest nieuniknione. Lumia mała szczęście, że jej środek transportu nie runął na ziemię tak nagle, gwałtownie...

Dopiero teraz udaje mi się przerwać to połączenie myślowe. Nie mam pojęcia, co się stało, ani jakim cudem przez przypadek musiałam oglądać te jej wspomnienia, ale zrozumiałam jedno. Gdyby Mirt'Oshim był choć odrobinę wolniejszy, albo miał choć odrobinę słabszy refleks lub koordynację ruchów, ani mnie, ani jego już by tu nie było. A moja rodzina, a w tym wypadku ja, miałabym na rękach krew kolejnego smoka... Czego nie wybaczyłabym sobie do końca życia...

— Lu, coś cię stało? — Ro wreszcie wyczuwa, że coś jest nie tak.

— Nie, skąd, kochana — przeczę, przełykając łyzy i odsuwając się od niej. Nie jestem pewna, czy są spowodowane strachem, związanym z tym, że nie wiem, co się ze mną dzieje, czy może tym, co przeżyła moja przyjaciółka... — Tylko po prostu... Ja po prostu nie wiem, jak to wyrazić, ale... Mordko, ja ci bardzo, ale to bardzo współczuję...

— Wiedziałam, że się domyślisz... — moja przyjaciółka najwyraźniej oddycha z ulgą i wyciera sobie twarz skrawkiem bluzki. — Lu, a ja mogę cię prosić o jeden drobiazg?

— Zależy jaki — od razu wracają mi podejrzenia. — Jeżeli mam ci przynieść impulsator z powrotem, to nawet na to nie licz. Rozumiem, że to, co przeżyłaś, było okropne, ale proszę cię, nie rób żadnych pochopnych kroków, dobrze?

— Nie, coś ty, mordko, wcale nie o to mi chodzi — lumia uśmiecha się blado. — Po prostu chciałabym cię prosić, żebyś nie wspominała o tym incydencie reszcie...

— Incydencie? — nie mogę się powstrzymać od sarkazmu. — Ro, ty na serio uważasz, że to był tylko zwykły incydent?

— Dobra, może trochę przesadziłam... — znowu robi się smutna, a ja poznaję, że palnęłam niewybaczalne głupstwo. — Tylko wiesz, kochana, postaw się w mojej sytuacji... Wyobraź sobie, że osoba bardzo, bardzo ci bliska ginie przez twoją własną głupotę... Jak byś się wtedy czuła? Jaka byłaby twoja reakcja?

— Nie potrafię ci tego powiedzieć — wzruszam ramionami. — Nigdy w takiej sytuacji nie byłam i mam nadzieję, że nie będę. Ale zobacz, mordko, mam dziwne wrażenie, że ból może być bardzo podobny do tego, kiedy jedna z najbliższych ci osób, które wydaje ci się, że powinny kochać cię najbardziej w świecie, i nawet tak twoim zdaniem jest, nagle chce cię zabić... Bo taka zdrada jest chyba najgorsza...

— W sumie masz rację... — lumia zrzuca balerinki i siada na łóżku, ukrywając twarz w dłoniach. — Lu, a pomógł ci ten wyjazd na Sterilie? — moment później patrzy na mnie przez palce.

— Pomógł — kiwam głową. — Choć pewnie sporo osób mogłoby mnie zlinczować za taki pogląd, to ja na serio uważam, że zostawienie całego tego bajzlu na rękach Cinderly jak dla mnie było genialną opcją. Mogłam nabrać trochę dystansu i teraz, jak będę musiała wrócić do swoich obowiązków, spojrzę na nie ze świeżym podejściem. Na samym początku nie uwierzyłam Estive'owi, że to dobry pomysł. Teraz wiem, że jak zwykle mnie nie zawiódł ze swoimi radami.

— Czyli myślisz, że gdybym ja też teraz na trochę wyjechała, mi też by to pomogło? — wyraźnie widzę, że w moich oczach szuka potwierdzenia.

— Obstawiam, że tak — daję jej to, czego chce, tym bardziej, że jestem o tym coraz bardziej przekonana. — Ale nie powinnaś jechać sama.

— Wiem, z kimś się wybiorę, spokojnie — macha ręką i widzę, że już jej przeszło. Z powrotem mam przed sobą moją Best Friend Forever, kryzys minął... — Ale proszę, mogłabyś nie mówić dziewczynom o tym, co tu teraz zaszło? Nie jestem pewna, czy by mnie zrozumiały...

— Spoko, nie ma problemu — kiwam głową. — Ale wiesz, że będziesz musiała wytłumaczyć im, dlaczego nie lecisz z nimi w Turrend Gress?

— Wiem, ale to już chyba najmniejszy problem — tym razem podchodzi do sprawy na zimno. — One nie są tak bardzo związane ze swoimi smoczycami, jak bardzo ja byłam z Est’Rią... Wytłumaczę ci, na czym to polega, jak zostaniemy same, kiedy one wyjadą...

— Spoko, ciekawa jestem, cóż ty mi powiesz — uśmiecham się do niej. — W końcu ty jesteś prawdziwą ekspertką w kwestii smoków.

— Po prostu moja kochana smoczyca z czasem nabrała do mnie takiego zaufania, że wiedziałam od niej o wszystkim... A przynajmniej o większości, bo jednak są sekrety, o których żadna z nas, zwykłych śmiertelników nigdy się nie dowie — mruga do mnie.

— A są jacyś niezwykli śmiertelnicy? — patrzę na nią z ciekawością.

— O wszystkim powiem ci, jak będziemy same — wstaje z łóżka i się przeciąga. — Nie chciałabym, żeby ktokolwiek dowiedział się, że powiedziałam ci o takich rzeczach.

— A szczególnie mi... — mruczę pod nosem.

— Mówiłaś coś? — zerka na mnie, szukając balerinek.

— Nie, coś ty — kręcę głową. — Nic nie mówiłam. A zdajesz sobie sprawę, że jeżeli nie chcesz wzbudzić żadnych podejrzeń, powinnaś zrobić te swoje bananowe muffinki?

— Masz rację, faktycznie... — dziewiętnastolatka zrywa się na równe nogi. — Mordko, pomóż mi, inaczej się nie wyrobię!

— Spokojnie, już ci pomagam — przechodzę obok niej i podchodzę do lodówki. — To weź mi powiedz, czego będziesz potrzebowała?

* * *

— Kochane, a co tu tak pięknie pachnie? — Mist wchodzi do apartamentu i od razu pociąga nosem. — Ro, to te twoje muffinki?

— Gdyby Lu mi nie pomogła, pewnie bym się nie wyrobiła — lumia uśmiecha się do mnie porozumiewawczo, równocześnie kładąc mi głowę na ramieniu. Moje łóżko jest najlepszym punktem widokowym w całym apartamencie — widać z niego dosłownie wszystko, tym bardziej, że jest na górze (bo mamy tu trzy łóżka piętrowe, ja zajęłam to najbliższe wejścia do drzwi tarasowych i to jeszcze na górze).

— To super, bo ja je uwielbiam — Aira uśmiecha się szeroko.

— Słuchajcie, to może przeberzemy się w piżamy, bo widzę, że wy już gotowe, i potem weźmiemy się za tą legendę? — proponuje Iora, po uważnym zmierzeniu mnie wzrokiem.

— Spoko, może być — wzruszam ramionami. — To idźcie się ogarnąć, bo muffinki już są, będzie co podjadać podczas nocy filmowej.

— I ewentualnej legendy — Lei podnosi palec do góry. — Nie myślcie sobie, że darujemy w tym sezonie, bez względu na to, czyja kolej przypada.

— Róbcie, jak uważacie — teraz Ro wzrusza ramionami. — W takim razie ja się przenoszę na swoje łóżko — decyduje, po czym zeskakuje na ziemię i wchodzi pod kołdrę na materacu pode mną.

Zakopuję się pod kołdrą, całkowicie ignorując ustalenia przyjaciółek co do tego, w jakiej kolejności wejdą do łazienki i tak dalej. Przecież ja muszę rozpaczliwie ustalić sobie jakiś plan, o czym mogę im opowiedzieć...

Chociaż, w sumie, skoro ostatnio tak bardzo interesuję się smokami, mogę to wykorzystać...

* * *

Piętnaście minut później Mist wychodzi z łazienki jako ostatnia i odnajduje moje spojrzenie (pech chciał, że akurat wystawiłam głowę poza kołdrę), po czym uśmiecha się szeroko. O nie...

Rozdział XXXII

— Lu, wiesz, że teraz twoja kolej? — Mistral patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

— Nie, dziewczyny, nawet na to nie liczcie — chcąc bronić się przed prośbami przyjaciółek włożę pod kołdrę i całkowicie się pod nią chowam.

— Znasz zasady — głos Rori jest trochę przytłumiony, ale i tak do mnie dociera. — Każda z nas co rok ma opowiedzieć jedną ze słynnych legend. My już mamy to za sobą, teraz czas na ciebie.

— Ale ja nie umiem opowiadać... — próbuję jakoś się wymigać, ale nastolatki są nieubłagane.

— Nie dowiesz się, czy umiesz, czy nie, dopóki nie spróbujesz — Iora wysuwa ostateczny argument. Tak się składa, że na niego nie potrafię już odpowiedzieć.

— Dobra, niech wam będzie — wzdycham ze zrezygnowaniem. Wcale się nie palę do wymyślania jakiejś legendy na nowo i to zrobienia tego tak, by „porwać słuchaczy w wir wydarzeń”, jak to określała moja matka, gdy tłumaczyła mi moje błędy po nieudanej opowieści. Dla uściślenia, gdy uczyłam się gawędziarstwa, to wszystkie moje próby były takie. I dlatego z tego zrezygnowałam.

Zsuwam z siebie kołdrę, po czym zeskakuję z górnego poziomu piętrowego łóżka i staję na puchatym dywanie. Zaczynam rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby nadać odpowiedni nastrój, na przykład ogromnego świecznika do postawienia na stole... Niestety, niczego takiego nie znajduję, więc po prostu gaszę światło i odsuwam rolety wszystkich okien, jakie są w pokoju. Światło księżyca błyskawicznie wdziera się do środka. Uśmiecham się lekko — w końcu dzisiaj jest pełnia. Przynajmniej przyroda mnie nie zawiodła i w braku jakichkolwiek rekwizytów sama zadbała o odpowiednią atmosferę...

Na środek pokoju (w miejsce dokładnie oświetlone promieniami księżyca) wysuwam fotel, na którym zawsze siadała ta, która snuła jakąś historię. Tym razem jest to moje miejsce.

Usadawiam się w nim wygodnie, po czym zaczynam mówić:

— Wiele wieków temu, w czasach, których prawie nikt już dziś nie pamięta, stolica Arlesii była jeszcze na wyspie Eruz, a symbolem rodu królewskiego nie była jeszcze bała róża z kroplami krwi na płatkach...

* * *

— *Tato, Savaric ciągle mi dokucza!* — *dziewięcioletnia dziewczynka*

zadziera do góry głowę, by spojrzeć ojcu w miarę prosto w oczy.

— Ktoś dokucza mojej małej księżniczce? — mężczyzna podnosi dziecko i sadza je sobie na biodrze. — A któż śmie to robić?

— Savaric — cierpliwie powtarza mała. Zdążyła już przywyknąć, że jej ojciec, król całej Arlesii, ma bardzo, ale to bardzo dużo na głowie i, jako że ciągle jest pochłonięty sprawami królestwa, zazwyczaj pomija najistotniejsze informacje. — Ciągle na mnie krzyczy, a wieczorami straszy mnie potwornymi opowieściami!

— Twój brat jest dla ciebie taki okropny? — w głosie władcy pojawia się ledwo wyczuwalna, stalowa nuta. Dla chłopaka nie jest to dobra wróżba. — A gdzie on teraz jest?

— Ma lekcje etykiety i strategii, tak samo, jak Aveline — oznajmia dziewczynka z szerokim uśmiechem na twarzy. Jest szczęśliwa, że jej starszy brat, za którym szczególnie nie przepada, dostanie od taty burę. A jeżeli będzie się stawiał, jak to on ostatnio ma w zwyczaju, to jeszcze może zostanie ukarany!

— To choć, przytrzymy temu niepokornemu królewiczowi uszu — z psotną miną szepcze mężczyzna do ucha córki. W rzeczywistości nie jest mu jednak do śmiechu. Jego najstarszy syn i równocześnie dziedzic tronu, nie potrafi się zachowywać odpowiednio do swojej przyszłej pozycji w kraju. A on, jako ojciec, nie ma pojęcia, jak to zmienić. Próbował dosłownie wszystkiego; oczywiście nic nie zadziałało. „Może i jestem dobrym królem, ale nie potrafię wychować własnych dzieci” — wzdycha w myślach.

Bo oprócz chłopaka i rozkosznej, kochanej Roesii jest jeszcze Aveline. Zbuntowana nastolatka, młodsza od swojego brata zaledwie o sekundę. Z nią też od pewnego czasu są problemy, a jeszcze potęguje je fakt, że jeżeli którekolwiek z bliźniaków robi coś złego i to wyjdzie na jaw, drugie zawsze staje w obronie rodzeństwa. „Nie dość, że podczas takiej rozmowy trzeba znosić silny charakter jednego, co samo w sobie jest trudne, to starcie dwójką takowych robi się niemal niemożliwe” — takie myśli wcale nie ułatwiają królowi ułożenia sobie w głowie kazania skierowanego do swojego następcy. Tym bardziej, że biorąc pod uwagę powyższe, to będzie musiał przygotować się na podwójną siłę obrony...

— Tatusiu, przegapiłeś drzwi do sali, w której oni mają lekcje — księżniczka pociąga ojca za rękaw ręki, którą ją trzyma.

— Faktycznie — mężczyzna zatrzymuje się i zawraca. — Dziękuję, mój aniołku — głaszcze złotą główkę córki, na co ona odpowiada mu szczerym, rozczulającym uśmiechem. — Teraz wracaj do zabawy, a tatuś porozmawia z Savaricem — odstawia Roesię na ziemię, tym razem już z nieobecny wyrazem twarzy. W ostatnim czasie podobne sytuacje zaczęły się przydarzać coraz częściej, nie może już tego ignorować...

W zamyśleniu otwiera drzwi do komnaty, w której jego syn i córka mają

lekcje.

Nauczyciel od razu zrywa się z miejsca i pokazuje, by rodzeństwo też wstało. Robią to dość niechętnie, ale po chwili oboje w miarę prosto stoją obok wielkiego stołu.

— Wasza Wysokość — chudy, kościsty mężczyzna poprawia okulary, opadające mu na nos. — Czym zasłużyliśmy sobie na ten zaszczyt?

Król zauważa, że przy tych słowach bliźniaki równocześnie przewracają oczyma.

— Chciałbym porozmawiać z synem — oznajmia. — Samym — akcentuje to słowo, widząc, że dziewczyna razem z chłopakiem zaczyna iść w stronę drzwi.

Aveline posyła bratu współczujące spojrzenie w rodzaju „zaraz coś wymyślę i do ciebie przyjdę”, ale posłusznie zajmuje swoje miejsce. Wie z doświadczenia, że w takich sytuacjach lepiej nie podpadać.

— Co ty sobie wyobrażasz? — pyta król zimnym tonem tuż po zamknięciu drzwi. — Dlaczego straszysz siostrę?

— Aveline? — Savaric robi minę niewiniątka. — To ona zaczęła. Ja tylko odpowiedziałem na jej zaczepkę!

— Nie, nie Aveline! — ojciec robi się coraz bardziej rozzłoszczony. — Roesię! Czy ty nie wiesz, że to jest małe dziecko, które bierze na poważnie wszystko, co się jej powie? Jak możesz być tak nieodpowiedzialny, chłopcze! Przecież ty w przyszłości będziesz musiał mnie zastąpić, jak niby sobie to wyobrażasz? Nie masz nawet dobrych wyników w nauce, a przecież nie wiadomo, w którym momencie przyjdzie ci przejąć tron!

— Spokojnie, tato, jeszcze będę miał czas, żeby się wszystkiego nauczyć — nastolatek od razu przechodzi do obrony. — No bo...

— Co „no bo”? Co „no bo”? ! — mężczyzna jest wściekły. To już któryś raz, gdy syn go zawiódł, i tym razem nie zamierza puścić tego płazem. — Chłopaku, nie wiadomo, w którym momencie przyjdzie na mnie czas! Skąd wiesz, czy na przykład za parę godzin nie stanie się jakiś wypadek, w którym zginę ja, twoja matka i być może nawet obie twoje siostry! I co wtedy zrobisz? Popatrzysz na ludzi, którzy wtedy będą już twoimi poddanymi i wzruszysz ramionami, bo nie będziesz umiał przejąć moich obowiązków?

— Ale, tato... — królewicz właśnie zdaje sobie sprawę, że został zapędzony w kozi róg.

— Nie ma żadnego ale, synu — król jakby oklapł. Widać prawienie wykładów też pozbawia go sił. — Ja cię po prostu proszę, zrozum, jak ciężko jest mi zajmować się całą Arlesii ze świadomością, że mój następca nie jest gotowy. Gdybyś tylko mógł trochę bardziej się przykładać do nauki i być nieco bardziej odpowiedzialny, na pewno byłby mi łatwiej.

— Dobrze, postaram się — Savaric zwiesza głowę. Wie, że tym razem ojcu

się nazbierało i musi to przyjąć z pokorą. I przynajmniej przez pewien czas starać się nie narażać ponownie...

— Mam nadzieję... — mężczyzna przerywa, patrząc na otwierające się drzwi i wylaniającą się zza nich sylwetkę.

— No co? — pyta księżniczka, widząc minę ojca. — Wyszłam tylko na chwilę, żeby pójść do toalety! Coś się stało? — podchodzi do brata i staje tuż obok niego.

— Nic — wzdycha król, patrząc na dwójkę swoich najstarszych dzieci. W odpowiedzi otrzymuje równie poważne spojrzenie dwóch par szmaragdowozielonych oczu, zasłanianych przez płomiennorude grzywki. Jednym słowem, bliźnięta idealne, różniące się tylko płcią i niektórymi cechami wyglądu. — Nie ważne. I jeszcze jedno, chłopcze, mam nadzieję, że dotarło do ciebie to, co mówiłem — rzuca, odchodząc w głąb korytarza.

— Co się stało? — Aveline patrzy na stojącego obok niej chłopaka.

— Mała się poskarżyła — ten wzrusza ramionami. — A jak myślisz, co innego mogłoby aż tak wkurzyć ojca? Przecież ona jest jego oczkiem w głowie. Ja ciągle by rozpieszczał, a co do mnie ma same wymagania — wzdycha.

— Kiedyś może wyjdzie ci to na dobre — siostra kładzie mu dłoń na ramieniu. — Bo co racja, to racja, ale przyjdzie taki dzień, w którym to ty będziesz królem i wszystko, czego dzisiaj się nauczysz, ci się przyda.

— Wiesz, w innej sytuacji zaproponowałbym zwianie z lekcji, jak już oboje z niej wyszliśmy, ale teraz... — łobuzerski błysk, który na moment się pojawił się w oczach nastolatka, znika.

— Teraz to lepiej wracajmy — kończy za niego siostra. — I tak już podpadłeś, a ja nie chcę mieć jakiś problemów przez ciebie.

— Niech żyje braterstwo — mruczy chłopak. — Ile razy ja dostawałem taką samą karę, jak ty, tylko dlatego, że jestem twoim bratem?

— Oj, zamknij się — dziewczyna macha na niego ręką, po czym jako pierwsza wchodzi do komnaty, w której mają lekcje.

Zajmują swoje miejsce w milczeniu, pod czujnym okiem nauczyciela, który nie komentuje ich konfrontacji z ojcem. Przywykł już do dość częstego wywoływania bliźniaków na tak zwany „dywanik”.

— Otwórzcie, proszę, podręczniki na stronie dwieście siedemdziesiątej dziewiątej — oznajmia moment później. — Z racji, że dzisiaj przypada dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąta siódma rocznica pojawienia się ludzi na Vastertile, powtórzmy wiadomości, których do tej pory się dowiedzieliście.

— Ciekawe, czy to dlatego smoki tak nas nienawidzą... — wrywa się Savaricowi.

Na moment zapada cisza.

— Nie sądzę, paniczu — mężczyzna mówi po chwili. — Tak właściwie

to uważam, że sprowadzenie smoków tutaj, na ten świat, było najlepszą rzeczą, jaką mogliśmy dla nich zrobić. Tam ludzie powoli zaczynali je nienawidzić; tu dostały całkowicie czystą kartę. Nowe tereny do polowań, do odkrywania nowości... Wątpię, żeby tu chodziło o to. Nie, to musi być coś całkowicie innego. I coś mi się zdaje, że nigdy nie dowiemy się, cóż to takiego.

— Ale o coś chodzić im musi — docieka Aveline. — Przecież ich nienawiść nie może być całkowicie bezpodstawna. Smoki co prawda są niezwykle mściwe, ale nigdy nie zaczynają konfliktu.

— Nie mam pojęcia, panienko — nauczyciel rozkłada ręce. — I chyba nikt nie ma pojęcia. Nawet pradawny smok z Tusteris, Podniebnego Jeziora.

Tym razem cisza trwa o wiele dłużej i jest niezwykle przytłaczająca, pełna niewypowiedzianych myśli, od których dosłownie się roi. Każdy z obecnych ma swoje przypuszczenia na dany temat, ale nie wypowiada ich na głos.

** * **

Dwie godziny później lekcja się kończy i rodzeństwo wychodzi z komnaty.

— Czy ty też masz wrażenie, że to wszystko jest totalnie bez sensu? — nagle pyta chłopak. — Wiesz, ta cała nauka, etykieta...

— Czasami mam — zerka na niego siostra. — Ale wiesz, tobie to jest potrzebne. W końcu jako król będziesz musiał zajmować się etykietą, będziesz musiał wiedzieć wszystko na każdy temat.

— Teraz ty... — wzdycha królewicz. — Nie dość, że ojciec wcześniej prowadził mi wykłady na temat nauki, to jeszcze od ciebie muszę wysłuchiwać dosłownie tego samego.

— Sav, ale zobacz — księżniczka zatrzymuje się w pół kroku i chwyta brata za rękaw. — Ty przejmiesz to wszystko i musisz się uczyć, jak dobrze zająć się królestwem. Ja uczę się, żeby w razie czego tobie pomóc. Wiem, to nie jest w porządku, że inne osoby w naszym wieku mogą robić wszystko, co im się tylko podoba, ale ktoś musi się poświęcić. Pamiętaj, co mówi mama: nie możemy myśleć tylko o sobie.

Jej brat tylko wzdycha. Wie, że ona ma rację i nie może znaleźć żadnej, w miarę sensownej odpowiedzi.

— Podobno dzisiaj kucharka ma upiec nasze ulubione ciastka — siostra zauważa jego skrępowanie i taktownie zmienia temat. — Proponuję się pośpieszyć, jeżeli nie chcesz, żeby Roesia nam wszystkie wyjadła.

— To faktycznie by się przydało — uśmiecha się Savaric. — Ale najpierw może lepiej by było się przebrać, nienawidzę tych mundurków. Kto ostatni na górze, ten... — urywa, z zaskoczeniem obserwując, jak dziewczyna błyskawicznie wbiega po schodach. — Hej! To ja miałem być pierwszy!

— *Niedoczekanie twoje!* — *Aveline uśmiecha się do niego ze szczytu schodów, po czym biegnie dalej.*

Kilkanaście sekund później zziębnięci bliźniaki stoją przed drzwiami do swoich pokojów. Zerkają na siebie i wybuchają śmiechem, po czym wpadają do swoich pokojów.

Dziewczyna od razu po wejściu rzuca się do szafy. Szybkie przejrzanie ciuchów i... tradycyjne stwierdzenie „nie mam się w co ubrać!”. A potem szybka myśl — „Przecież jak Savaric będzie pierwszy, to...” — myślenie przerywa jej gwałtowne otworzenie się drzwi.

— *Pierwszy!* — *oznajmia chłopak z łobuzerskim uśmiechem. — A ty jak zwykle w lesie — dodaje, po dokładnym zlustrowaniu siostry wzrokiem.*

— *Bo jak zwykle nie dajesz mi czasu — odpowiada nastolatka z wyrzutem. — Jak byś mógł wyjść, to byłabym wdzięczna.*

— *Ludzie, ja nie potrafię zrozumieć, dlaczego wy potrzebujecie tyle czasu na ogarnięcie się... — wzdycha jej brat, ale posłusznie zamyka drzwi i czeka, aż pięć minut później Aveline sama wyjdzie z pokoju.*

— *Ciekawe, jakie tym razem ciastka upiecze Thilda... — zamyśla się księżniczka. — Może waniliowe makaroniki...*

— *Albo te ciasteczka kakaowe z ogromnymi kawałkami czekolady — oblizuje się królewicz.*

— *Proponuję dowiedzieć się tego najszybciej, jak tylko to możliwe — uśmiecha się dziewczyna i zaczyna zbiegać po schodach.*

* * *

— *Ja już nie wiem, co mam robić — król ukrywa twarz w dłoniach. — Przecież nasz syn ma już szesnaście lat, i nadal jest taki nieodpowiedzialny! Przecież gdyby coś nam teraz się stało, to on sobie nie poradzi z zajęciem mojego miejsca. Tak nie może być! — uderza pięścią w stół.*

— *Osbercie, uspokój się — żona podchodzi do niego i kładzie mu dłoń na ramieniu. — Przecież on nie jest jeszcze pełnoletni, chce się trochę wyszaleć. I tak nie miał dzieciństwa, więc...*

— *Kochanie, ja to wszystko rozumiem — mężczyzna strąca jej rękę. — Tylko weź pod uwagę, że w każdej chwili może zdarzyć się jakiś tragiczny wypadek, w którym zginę i on będzie musiał być gotowy na przejście tronu. I wtedy nie będzie tłumaczenia, że on jeszcze nie jest pełnoletni, przejmie moje obowiązki bez względu na to, czy będzie potrafił, czy nie. Mi zależy na tym, żeby potrafił, ba, leży to w interesie całej Arlesii, tak więc chłopak ma robić wszystko, żeby był w stanie podolać przyszłemu obowiązkowi — król z każdym słowem coraz bardziej podnosi ton, aż w końcu zaczyna krzyczeć.*

Królowa spuszcza głowę. Wie, że teraz nie ma szansy na przekonanie męża do swoich racji, aczkolwiek ma dość sporo swoich przemyśleń. Jej zdaniem wychowanie dzieci, a szczególnie Savarica, jako przyszłego władcy, znacznie odbiega od tego, jak według niej powinno wyglądać.

Bo jednak mimo wszystko to są tylko dzieci, po prostu nie miały szczęścia i urodziły się w takiej, a nie innej rodzinie. Nie mają jakiejś super wytrzymałości, odporności na stres, tak samo jak inni potrzebują odpoczynku. Ba, może nawet więcej, przy ilości nauki i obowiązków, jaką muszą znosić na co dzień... Nie ma się więc co dziwić, że czasami wywijają jakieś numery.

— A ty co o tym myślisz? — pyta król, patrząc na żonę.

— Co? — kobieta podnosi głowę. — Wybacz, nie słuchałam.

— Zapytałem, co myślisz o tym, żeby od jutra jeszcze bardziej przycisnąć Savarica i nauczyć go pokory i myślenia o innych, tak samo z wybiciem z niego wszelkich resztek egoizmu.

— Nie sądzę, żeby... — zaczyna królowa, ale król nie daje jej dokończyć.

— Czy ty kiedykolwiek przestaniesz widzieć w nim małego, pięcioletniego chłopca? — patrzy na nią karcąco. — To, że nie jest jeszcze pełnoletni, nie oznacza, że nie może już zacząć przejmować się tym, co będzie robił w przyszłości. Tak więc od jutra będzie musiał udźwignąć podwójne brzemię nauki i części moich obowiązków. Powiedziałem! A teraz idę, muszę zejść do podziemi. Ciekawy jestem, jak idą eksperymenty... Założę się, że znów będę musiał przypilnować, żeby robili to tak, jak trzeba. Ciekawe kiedy się nauczą, że w tym wypadku nie istnieje coś takiego, jak litość... — oznajmia i wychodzi z komnaty, trzaskając drzwiami.

Kobieta przez moment wpatruje się w drewno, równocześnie w głowie ma prawdziwą wojnę myśli. Nie potrafi uwierzyć, że jej mąż czasami potrafi być tak kochający, jaki jest zawsze do Roesii, i równocześnie taki okrutny wobec tego, co dzieje się w podziemnych laboratoriach w zamku.

Ukrywa twarz w dłoniach i opiera się o ścianę. Moment później po komnacie roznosi się zduszony szloch, a na posadzkę u stóp królowej spada pierwsza łza.

** * **

— Nie ma to jak cynamonowe ciastka naszej kochanej Thildy — uśmiecha się Aveline.

— Masz jeszcze kawałek ciasta na dekolcie — chłopak próbuje sięgnąć po okruszek, ale obrywa po łapach.

— Gdzie? — siostra patrzy na niego z oburzeniem. — To, że jesteś moim bratem, nie znaczy, że możesz sobie pozwalać na takie zachowania! Jedyłą osobą, której na to pozwolę, będzie ktoś, z kim zechcę spędzić resztę życia — dodaje, sama sięgając po kawałek.

— A ty kiedykolwiek kogoś do siebie dopuścisz? — Savaric pyta z lekką złośliwością w głosie, przez co obrywa od niej po raz kolejny.

— No wiesz co! To już jest po prostu wredne — patrzy na niego z lekkim niesmakiem. — A teraz ja już spadam, trochę zmęczona jestem... — ziewa szeroko. — Jutro pewnie ojciec da ci w kość, już kilka razy tak było, pamiętasz?

— Pamiętam — królewicz lekko smutnieje. — To faktycznie, masz rację, przydało by się wyspać, bo chyba jutro nikt nie pozwoli mi odpocząć.

— To dobranoc, Sav — księżniczka staje w drzwiach.

— Dobranoc, Ave — nastolatek znika w swoim pokoju.

Dziewczyna zamyka je za sobą i osuwa się na ścianę. Ma już kompletnie dość zachowania ojca względem jej brata, tym bardziej, że wyraźnie widzi, jak bardzo jest ono niesprawiedliwe. Mała, dziewięcioletnia, urocza dziewczynka, jaką bezsprzecznie jest Roesia, najmłodsza z rodzeństwa, to prawdziwe oczko w głowie króla, ma wszystko, co jej się tylko zamarzy, a oni... Oni zawsze byli na czarnej liście, tym bardziej, że Savaric ma zostać królem...

Szesnastolatka wzdycha, wiedząc, że te ponure myśli skutecznie odgoniły chęć snu. W takich wypadkach musi się uspokoić i porozmyślać w ciszy i atmosferze, której jej pokój niestety nie posiada. Ale na szczęście jest takie jedno miejsce, gdzie zawsze jej się to udaje...

Kilkanaście minut później Aveline wchodzi do okrągłego pokoju na samym szczycie najwyższej wieży. To miejsce od wieków jest jej ulubionym na rozmyślenia, tym bardziej, że ma specyficzny nastrój, z pewnością wytwarzany przez obecną w tym pomieszczeniu furtkę do Sterilii, równoległego świata, skąd na Vastertilię (tym samym i do Arlesii) przybyli ludzie.

— Ty też nie możesz spać? — jeden z cieni w kącie się rusza i okazuje się przyszlým pretendentem do tronu królewskiego.

— Jak widzisz — księżniczka wzrusza ramionami. — Za dużo tego dzisiaj było, żeby udało się wyspać w spo... — urywa, bo nagle gaśnie światło księżyca, świecącego przecież tego dnia w pełni, najwyraźniej zasłoniętego przez ogromny cień... czegoś. — Co to? — dziewczyna jest autentycznie przestraszona.

— Nie wiem — królewicz podchodzi bliżej do siostry i łapie ją za rękę. — Ale cokolwiek to jest, chyba nie jest przyjaźnie nastawione...

Moment później rozlega się gardłowy krzyk, przypominający krzyk orła.

— Smoki! — rodzeństwo patrzy na siebie z przerażeniem i błyskawicznie podbiega do okna. I trafiają perfekcyjnie, by zobaczyć, jak krwistoczerwony stwór wypuszcza z paszczy strumień żywego ognia i kieruje go na dach pałacu, który zajmuje się błyskawicznie.

— Mama! Tata! — Aveline rzuca się do schodów, chcąc jak najszybciej dostać się do rodziców.

— Nie pomożesz im — jej brat łapie ją w pól, za siłę zatrzymując ją

w miejscu. — Ave, nie uda ci się!

— Puść mnie! — dziewczyna krzyczy histerycznie, cały czas szarpiąc się w objęciach królewicza. — Proszę cię, puść mnie... — zaczyna łkać i osuwa się na podłogę.

— Nie pomożesz im, rozumiesz? — Savaric siada przy siostrze i mocno ją przytula, pozwalając się jej wypłakać. Wie, że to jedyny sposób, by nastolatka się uspokoiła. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, jakoś sobie poradzimy...

Księżniczka kiwa głową, nie przestając szlochać, więc chłopak zaczyna głaskać ją po głowie i lekko nią kołysać.

Kilkanaście minut później Aveline zasypia w ramionach brata, jak to bardzo często się dzieje, kiedy wpada w panikę, albo ma poważny problem.

Chłopak wstaje, bierze siostrę na ręce i przenosi ją na takie miejsce, gdzie raczej nie dosięgnie jej nic, co mogłoby ją w jakikolwiek zranić, po czym podchodzi do okna. W samą porę, żeby ujrzyć czarną sylwetkę w oknie płonącego pokoju na drugim piętrze, mniej więcej u stóp wieży. Zbyt wysoko, żeby wyskoczyć.

Savaric nie zastanawia się choćby przez chwilę; błyskawicznie dopada schodów i zbiega na dół. Po drodze zatrzymuje się na moment, by zabrać stojącej na korytarzu zbroi miecz. Tak na wszelki wypadek, dla poczucia bezpieczeństwa, tłumaczy sobie chłopak, żywiąc równocześnie ogromną nadzieję, że nie będzie musiał go użyć. Nigdy specjalnie nie przykladał się do lekcji szermierki, tak więc umie bardzo niewiele. Doskonale zdaje sobie sprawę, że gdyby doszło do bezpośredniego starcia, przegrałby z kretelem...

Po chwili mocowania się z kupą żelastwa udaje mu się zdobyć to, na czym bardzo mu zależy i może już bieć dalej.

Gdy otwiera drzwi prowadzące do głównej części pałacu, do pomieszczenia wtargają niezwykle gęste kłęby dymu. Królewicz nie zastanawia ani chwili, tylko wpada do zadymionego korytarza, zamykając wrota za sobą, żeby, broń Boże, nic nie stało się jego siostrze, na razie względnie bezpiecznej.

Jakąś sekundę później słyszy coś jakby bardzo ciche, przytłumione łkanie, dochodzące z najbliższego pokoju. Instynktownie rusza w tamtym kierunku i moment później znajduje się już w komnacie. Wystarczy jedno zerknięcie, by chłopak zorientował się, że to mały świat Roesii, najmłodszej z całej rodziny.

Po dokładnym zlustrowaniu pomieszczenia wzrokiem wreszcie ją dostrzega; skuloną w kącie, ściskającą swoją ulubioną lalkę, tuż obok leżącej na podłodze kupy ubrań.

Szesnastolatek dosłownie czuje, jak zatrzymuje mu się serce, kiedy orientuje się, że ten bezładny stos to w rzeczywistości jego matka. Błyskawicznie podbiega do niej i sprawdza puls. Potem już nie może opanować łez, płynących po policzkach; dla kobiety jest już za późno. Ale za to może jeszcze uratować siostrę.

— Mała, chodź — cofa się kawalek, żeby umożliwić dziesięcioletce

wydostanie się z kąta, po czym wyciąga do niej ręce, chcąc ją zanieść do bezpiecznego miejsca. Dziewczynka ma zamiar chwycić jego dłoń i... dosłownie w tym samym momencie zapada się pod nią podłoga.

— Roesia! — Savaric przypada do powstałego otworu, ale jest już za późno, nie daje rady uratować siostrzyczki. Widzi tylko, jak dziecko wpada w płomienie piętro niżej i wtedy znika mu z oczu. — Nie!!! — osuwa się na kolana i zaczyna spazmatycznie szlochać. I choć kiedy indziej wstydziłby się zrobić to nawet w samotności, teraz nie krępuje się wcale. W końcu, i to dosłownie, właśnie zawalił się jego świat.

Do rzeczywistości przywraca go lekkie kołysanie się podłogi, połączone z czymś w rodzaju wewnętrznego grzmotu, pochodzącego z samego środka pałacu. Królewicz błyskawicznie zrywa się na równe nogi, wybiega na korytarz i w momencie, gdy przekracza próg schodów, cały budynek się wali. Cały, za wyjątkiem wieży.

Chłopak zawisa na rękach i tylko nadludzkim wysiłkiem udaje mu się wciągnąć na schody. Zerka tylko za siebie, na bezładne ruiny.

Zauważa wtedy, że z płonącego gruzowiska dwa potężne smoki wyciągają mniejszego, bardzo pokiereszowanego i najwyraźniej jakby... chorego, nie mającego sił latać samodzielnie.

Chłopak tylko wzrusza ramionami, bo tej nocy smoki ze stworzeń pełnych tajemnic, godnych podziwu stały się mordercami jego rodziny. Ociera tylko płynące po policzkach łzy i zaczyna wdrapywać się na górę. Tam sił starcza mu tylko na sprawdzenie, czy z jego siostrą bliźniaczką wszystko jest w porządku, siada na podłodze obok niej, opierając się plecami o ścianę i zasypia kamiennym snem.

* * *

Aveline otwiera oczy. Jej pierwszą myślą jest to, dlaczego zamiast pięknych, kunsztownych malowideł zdobiących jej sufit widzi szarą, kamienną ścianę.

Moment później orientuje się, że wcale nie leży na miękkim, puchowym łożu z baldachimem, tylko na chłodnej i twardej podłodze.

Ze zdziwieniem siada i rozgląda się wokół; a kiedy dociera do niej, iż jest w najwyższej zamkowej wieży, jej zdumienie się potęguje.

Wstaje, próbując odgonić od siebie potworne przypuszczenia (na razie jeszcze nie ma stuprocentowej pewności, czy te obrazy nie są tylko potwornym koszmarem), ale gdy zamierza zrobić pierwszy krok w podejściu do okna, potyka się o leżącego brata.

Nastolatka momentalnie ląduje na posadzce, a chłopak zrywa się na równe nogi, kurczowo zaciskając w ręku miecz. Moment później ją zauważa i przyklęka przy siostrze.

— Ave, wszystko w porządku? — pyta z troską, pomagając jej wstać. — Dobrze się czujesz?

— Ja... nie wiem — dziewczyna przyklada palce do skroni. — Głowa mnie boli... Miałam taki potworny koszmar... Śniło mi się, że przyleciały smoki, spaliły pałac ze wszystkimi w środku i uratowaliśmy się tylko my — wzdryga się i krzyżuje ramiona na piersi. Dopiero teraz też zauważa wygląd Savarica. — Sav, co się stało? Dlaczego ty jesteś cały brudny jakby od... popiołu — ze strachu rozszerzają się jej źrenice. — I dlaczego masz przy sobie miecz? Tylko nie mów mi, że ćwiczyłeś szermierkę, przecież tego nie znosisz — patrzy na niego tak jakby... oskarżycielsko.

Nastolatek nie mówi ani słowa, tylko przyciąga księżniczkę do siebie i mocno ją przytula.

Ten gest wystarcza, żeby dziewczyna zrozumiała wszystko w stu procentach. Po policzkach zaczynają jej płynąć łzy, tym razem bez żadnego szlochu. Po prostu, ot tak, jakby opróżniały się malutkie zbiorniczki z wodą w kącikach oczu.

— Chcę to wszystko zobaczyć — stwierdza zdecydowanym tonem, odsuwając się od chłopaka. — Pokaż mi to, co zostało z pałacu.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł... — on zaczyna się wykręcać, ale nie robi tego ze specjalnym przekonaniem. Wie, że nie ma sensu przeciwstawiać się siostrze będącej w takim stanie.

— Planujesz mnie tu trzymać przez cały czas? — Aveline pyta ostro.

— Nie — wzdycha jej bliźniak. — Chodź, może uda się dojść na sam dół.

— Wszystko w ruinach? — siostra zerka na niego, a w oczach znowu pojawiają się jej łzy.

— Wszystko — szesnastolatek kiwa głową. — Tylko ta wieża się ostała, z resztą na nasze szczęście. Inaczej leżelibyśmy w gruzach tak samo jak pozostali — na moment łamie mu się głos, ale kontynuuje: — W każdym razie musimy zejść. I poza tym, ja powinienem jeszcze coś znaleźć.

Księżniczka kiwa głową. Coś się jej zdaje, że wie, o co mu chodzi, ale nie chce nic mówić. Za jakiś czas przekona się, czy na serio ma rację.

Kilka minut później rodzeństwo jest już na samym dole. Tuż przy wyjściu z pomieszczenia u stóp wieży piętrzy się ogromna góra gruzów.

Savaric wskakuje na pierwszy kamień, cały czas trzymając w prawej dłoni miecz. W kilku krokach pokonuje drogę na sam szczyt powstałego w nocy gruzowiska, wyraźnie czegoś szukając.

„Jak on spowaźniał...” — ta szokująca myśl pojawia się w umyśle dziewczyny. — „I to tylko przez jedną noc! Niesamowite... Ale to nawet dobrze, tym bardziej, że jest już królem...”

Nagle jej uwagę przykuwa stojący przy drzwiach do ich schronienia, na wpół spalony krzak białych róż. Ostał się tylko jeden kwiat, w pełnym rozkwicie... pokryty szkarłatnymi kropelkami krwi.

Nastolatka zrywa go i w tym momencie tuż obok niej wyrasta cień jej brata.

— Sav, zobacz — odwraca się do niego, wyciągając w jego kierunku kwiat, ale zastyga w pół ruchu.

— Aż tak źle wyglądam? — pyta młody król, poprawiając lekko przekrzywioną koronę.

— Nie... — Aveline patrzy na niego z podziwem. — Wyglądasz, jakby była stworzona idealnie dla ciebie... Będiesz dobry na tym stanowisku, jestem tego pewna. I nie przejmuj się tym, co wczoraj mówił do ciebie ojciec — dodaje, rozgryzając myśli chłopaka. — To wszystko nie jest prawdą, po prostu uwierz w siebie... A co trzymasz tam, za plecami?

— To... To nic — szesnastolatek błyskawicznie chowa za siebie plik kartek. — Pokaż tą różę — wyciąga rękę. Siostra niemal natychmiast podaje mu kwiat. — Wiesz co? To będzie idealna pamiątka dla przyszłych pokoleń, żeby wiedziały, jaka tragedia spotkała ród der Soltarie w przeszłości. Co ty na to, żeby tą różę uczynić symbolem naszej rodziny?

— Świetny pomysł — dziewczyna uśmiecha się do niego promiennie, ale potem smutnieje. — Myślisz, że sobie poradzimy?

— Musimy — Savaric na chwilę spuszcza głowę, po czym prostuje ją dumnie. — A tak właściwie to ja muszę, jestem w końcu królem. I teraz, w twojej obecności przysięgam, że doprowadzę nasz ród do świetności tak szybko, jak tylko się uda, jak również odbuduję pałac, i to w o wiele wspanialszej wersji, co prawda nie tu, ale gdzieś odpowiednie miejsce się znajdzie...

** * **

— I jak widać, Savaricowi der Soltarie udało się osiągnąć to, co obiecał, i wbrew przypuszczeniom swojego ojca był niemalże doskonałym królem. A zakrwawiona róża do dziś jest symbolem rodziny królewskiej w Arlesii — tymi słowami kończę swoją opowieść.

Przez moment zapada cisza, po czym cała piątka moich przyjaciółek nagradza mnie głośnymi brawami.

Rozdział XXXIII

— I ty próbowałaś nam wmówić, że nie potrafisz opowiadać? — Aira patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Próbować zawsze można — uśmiecham się lekko. — A teraz weźcie mi powiedzcie, wyjadłyście wszystkie muffinki, czy może zostało coś dla mnie, mordki?

— Za taką legendę należy się nagroda — oznajmia Leira. — Na łóżku masz kilka — dodaje, wyciągając rękę i kładąc na mojej pościeli pozostałe babeczki (ona też śpi na górze i ma może pół metra do mojego posłania).

— Dzięki, kochane — wstaję z fotela, odstawiam go na swoje miejsce i biorę szklankę ze stołu. — No patrzcie państwo, nie wypiliście tego soku? Byłam pewna, że jak ty, Io, podchodziłaś do lodówki, to go wzięłaś... — mruczę, wystawiając nos zza drzwiczek urządzenia.

— Zostawiłam dla ciebie, Lu. Wiesz, chyba swoją opowieścią przebiłaś nas wszystkie, więc coś ci się za to należy — mruga do mnie lumia.

— Oj, nie przesadzaj — proszę, nalewając sobie soku. — Dwa lata temu, kiedy ty wzięłaś na warsztat historię o Wielkim Wybuchu, też wyszło ci genialnie.

— Tyle że Iora nie opowiedziała tego w taki sposób, jak ty, Lumino — zauważa Rori. — Ty opowiedziałaś to w taki sposób, że poczułyśmy się zupełnie, jakbyśmy widziały wszystkie wydarzenia... Jakbyś nas tam przeniosła...

— Oj bez przesady — macham ręką. — Jeszcze nikt nie opracował takiej technologii, żeby przysyłać obrazy bądź też filmy, które są w naszych myślach. Już nie wspominając o tym, że od co najmniej doby nie mam włączonego implantu. Od kiedy zresetował mi się podczas przechodzenia przez barierę ochronną Seiten Gaye nie uruchomiłam go ponownie...

— Dziwne... — zamyśla się Mistral. — A byłabym gotowa przysiąc, że widziałam to wszystko, o czym ty opowiadałaś... Tego smoka, podpalającego pałac... Postać Savarica z koroną na głowie... Wreszcie na wpół spalony krzak z tą zakrwawioną różą...

— Ja tak samo — niemalże wykrzykuje Ira. — Dziewczyny, a prawda, że w tej ostatniej scenie Savaric stał pod światło? I jego postać wydawała się taka... ogromna, pełna majestatu... — urywa tak, jakby brakowało jej słów.

— A gdyby nie poprawił korony, to by mu z głowy spadła — dodaje Ro. — I to wcale nie dlatego, że była za duża, po prostu nieumiejętnie ją założył.

— I nie zauważył, że główny kryształ był wykruszony — Io jest całkowicie pogrążona w swoich myślach. Zupełnie, jakby była całkowicie nieobecna duchem... — To dlatego twoja rodzina, Lu, wymieniła koronę, prawda? Bo ta stara nie nadawała do noszenia przez głowę państwa, a nie dało się jej naprawić...

Patrzę na nią z szeroko otwartymi oczami i ustami. To przecież niemożliwe. Jak już przecież mówiłam, technologia jeszcze nie pozwala na przesyłanie obrazów rozgrywających się w naszej głowie, a mój implant przecież był — i cały czas jest — wyłączony... W takim razie jakim cudem dziewczyny widziały wszystko to, co działo się przed moimi oczami? Dobrze, przyznaję, że może trochę poniosła mnie wyobraźnia i pozwoliłam sobie na małe improwizacje, co więcej, w pewnym stopniu miałam wrażenie, że nie panuję nad tym, co się dzieje i tylko to opisuję, nie mając najmniejszego wpływu na bieg wydarzeń, ale tak podobno mają wszyscy, którzy wymyślają jakiegokolwiek historie... Spoko, mogę nawet zgodzić się, że w wyobraźni dziewczyn moje słowa ponownie ożywały i roztaczały przed nimi akcję, ale żeby u wszystkich była ona taka sama? I żeby każda z nich zauważyła brak ogromnego rubinu na przedzie korony? Już nie wspominając o tym, że była to korona jeszcze przed wymianą na obecną? To zdecydowanie przekracza możliwości mojego racjonalnego tłumaczenia wydarzeń.

Chociaż, czy wglądanie we wspomnienia lub to, co w danej chwili rozgrywa się w czyjejsz głowie jest niemożliwe? Raz mi się to już zdarzyło — podczas opowieści Rori. Jestem stuprocentowo pewna, że to nie były tylko moje wyobrażenia...

Do rzeczywistości przywraca mnie dźwięk tłuczonego szkła. Odskakuję ze strachem, a gdy patrzę na podłogę, okazuje się, że chyba jednak nie napiję się swojego ulubionego soku. Dobrze, że przynajmniej nie stałam wtedy na dywanie...

— Lu, wszystko z tobą w porządku? — Rori zrywa się ze swojego miejsca i do mnie podchodzi. Wszystkie pozostałe też wyglądają na mocno zaniepokojone...

— Tak mi się zdaje — kiwam głową, rozglądając się za szmatką. — Jestem po prostu trochę rozkojarzona, ot co... Nigdy nie stłukłyście szklanki, czy jak?

— Oczywiście, że tak. Trzymaj, mordko — Ro podaje mi przedmiot, którego poszukuję.

Dziękuję jej skinieniem głowy.

Przyklękam i po wybraniu większych odłamków (a właściwie dwóch połówek szkła. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego przypadku, żeby coś pękło dosłownie na pół, i to jeszcze przy upadku z takiej wysokości...) zaczynam wycierać mokrą plamę.

— Wiesz co, Lu, ty chyba powinnaś się przebrać — nagle stwierdza Aira. — Trochę się wybrudziłaś tym sokiem...

— No to chyba znowu będę musiała od kórejś z was pożyczyć ciuchy... — podnoszę się z kolan i podchodzę do lustra — O, faktycznie — krzywię się.

Całe spodnie mam ochlapane bordową ciecżą, góra też nie prezentuje się lepiej... Choć w sumie to bez problemu zejdzie, wystarczy wrzucić pranie do zsypu na korytarzu, a jutro, z samego rana, mechaniczna obsługa przyniesie mi je czyste.

Tylko na dzisiejszą noc znowu będę musiała którąś z nich „naciągnąć” na jakieś ubrania...

— Jak chcesz, to weź sobie top z mojej szafy, przecież spokojnie możesz spać tylko w bieliźnie — proponuje moja BFF. Mam dziwne wrażenie, że teraz o cokolwiek bym jej nie poprosiła, to by to dla mnie zrobiła. Cóż, jednak jakby nie było, to mimo wszystko właśnie dzięki mnie jeszcze żyje. Ale oczywiście ja wcale nie oczekuję od niej żadnej wdzięczności — zrobiłam to tak po prostu, bo tak zrobiłaby każda przyjaciółka, która znalazłaby cię na moim miejscu...

— Dzięki, mordko — uśmiecham się do niej. Biorę jej ciuchy, po czym tak szybko, jak tylko potrafię zmieniam swoje otoczenie z części mieszkalnej apartamentu na łazienkę. Coś czuję, że mimo dobroci przyjaciółek potrzebuję chociaż chwili, żeby pobyć sama ze sobą, i może spróbować cokolwiek zrozumieć...

Błyskawicznie zatraskuję za sobą drzwi. Potem podchodzę do umywalki i odkręcam kran do maksimum. Nie wiem, dlaczego, ale poza moimi ulubionymi piosenkami są jeszcze dwie rzeczy, które pomagają mi skupić myśli i dzięki którym o wiele łatwiej do głowy przychodzą mi możliwe rozwiązania — trzask płonącego ognia, najlepiej w kominku lub na ognisku, oraz szum płynącej wody. Rzecz jasna najfajniej by było, jakby był to jakiś wodospad, albo strumyk... ale wbrew mojemu wychowaniu potrafię się zadowolić tym, co mam. Wcale nie jestem jakąś rozpieszczoną księżniczką.

Po chwili namysłu mój wzrok pada na wannę z jacuzzi. Dobra, spoko, dzisiaj niby już się kąpałam, ale teraz potrzebuję trochę relaksu... Bo jednak chyba każdy mi przyzna — dzień miałam na serio totalnie nerwowy. I odprężenie na serio mi się przyda...

Naciskam odpowiedni przycisk na obudowie i wanna błyskawicznie napęlnia się wodą. Dzisiaj nie mam najmniejszej ochoty na eksperymenty i pozostanę przy najzwyczajniejszej opcji. Chociaż, może...

Jak wiadomo, kobieta zmienną jest, a tym bardziej ja, bo potrafię odwrócić swój tok myślenia o sto osiemdziesiąt stopni w ciągu ułamku sekundy. Dlatego właśnie wchodzę na podest (wanna jest wpuszczona w podłogę i dlatego kafelki przy niej uniesiono o jakieś pół metra), omijam wannę i podchodzę do kilku półek, zawieszonych naprzeciw ogromnego lustra (które zajmuje całą ścianę od początku podestu do końca) po lewo od wejścia. Tam wspinam się na palce, chcąc uważnie przyjrzeć się temu, co jest na najwyższej półce.

Namyślenie się zajmuje mi około sekundy — chwytam paczuszkę szczelnie owiniętą papierem pakowym i zwykłym sznurkiem, z przypiętą karteczką, na której narysowano różę Keitris[1], po czym bez rozpakowywania wrzucam ją do wody. Papier i sznurek natychmiast się w niej rozpuszczą bez śladu, ich składniki dopracowano tak, by nie zanieczyszczały środowiska. A za jakąś minutę ściśle

sprasowany pakunek uwolni swoją zawartość, więc mam jeszcze chwilę na przejście się do pokoju po gumkę do włosów.

Kiedy wychodzę z łazienki, głosy moich przyjaciółek nagle milkną. Czuję się dość skrępowana, kiedy wyraźnie widzę, że im w czymś przeszkodziłam, tym bardziej, że bacznie mnie obserwują.

— Sorry, nie wiedziałam, że będę wam przeszkadzać, jeżeli na moment tu przyjdę — przepraszająco unoszę ręce do góry. — Chciałam wziąć tylko gumkę do włosów i zmywam się na trochę. Przyda mi się trochę relaksu, a nie chcę sobie włosów znowu moczyć...

— Spoko, rozumiemy — Ro obdarza mnie porozumiewawczym uśmiechem. Ona doskonale zdaje sobie sprawę, co między innymi przyczyniło się do zszargania moich nerwów...

— Słuchaj, Lu, jak nie chcesz, to nie musisz się spieszyć — Leira potwierdza moją teorię, że właśnie rozmawiały o czymś, o czym ja nie powinnam się dowiedzieć. — Zaczekamy z filmem na ciebie.

— Dzięki — dziękuję skinieniem głowy, po czym biorę gumkę z kosmetyczki którejś z dziewczyn (akurat leżała na stole — my nie mamy problemu z podbieraniem komuś jakichś kosmetyków, ewentualnie takiego typu drobiazgów, no chyba, że wiemy, że ten ktoś będzie tego potrzebował) i błyskawicznie zmywam się do łazienki. Potrafię wyczuć, kiedy moja obecność gdzieś jest niepożądana.

Gdy wchodzę do pomieszczenia, od razu otula mnie słodki (ale nie mdły) zapach, może z delikatną nutą czegoś orzeźwiającego, zupełnie tak, jak lubię. Czyli dobrze trafiłam — kolor opakowania oznacza kolor kwiatu, jaki użyto do produkcji kosmetyku...

Podchodzę do wanny i według moich przewidywań woda nabrała koloru starego złota, gdzieś widać kępki złotej piany i ogromne, złote płatki Keitris, unoszące się na jej powierzchni. Pachnie obłądnie, a wygląda jeszcze lepiej...

Uśmiecham się lekko do siebie. Oj tak, po tym, ile stresu dzisiaj od rana przeżyłam, zdecydowanie to mi się należy...

„Boję się o Lu” — niespodziewanie w mojej głowie rozbrzmiewa głos Iory. O nie, błagam, tylko nie to! Ja teraz potrzebuję prywatności, a nie zabawy w jakiegoś szpiega i podsłuchiwanie swoich własnych przyjaciółek! Niech mi ktoś powie, gdzie to się wyłącza?!

„Ja też, trochę dziwna zrobiła się od tego swojego powrotu...” — w głosie Leiry wyczuwam wyraźną troskę. No ale cóż, niech mi powie, kto nie zrobiłby się dziwny po tym, co ja przeżyłam? I to biorąc pod uwagę tylko sytuację z Ertexem, nawet nie wspominając o tym, o czym opowiedział mi Mirt'Oshim...

„Ale powiem wam, dziewczyny, że ona ma piękne oczy — ni z tego, ni

z owego stwierdza Aira. — Nie spodziewałam się, że jest do tego stopnia wyjątkowa...”.

Uśmiecham się z dumą. Wiele osób komentowało mój wygląd, ale jeszcze nikt z tego świata nie zwrócił uwagi na moje oczy. Może dlatego, że tu każdy może się wybrać do laboratorium i zmienić sobie kolor na taki, jaki mu się żywnie podoba, i mój nie jest wcale tak mało popularny? Chociaż, z drugiej strony, w takim razie dlaczego lumia powiedziała, że to jeszcze podkreśla moją wyjątkowość?

„Co masz na myśli?” — pyta zaintrygowana Ro.

„Znacie ją tyle lat i jeszcze ani razu nie zwróciłyście uwagi na jej spojrzenie? — Ira jest zaskoczona. — Przecież to od razu rzuca się w oczy!”.

„Ale co w tym takiego dziwnego? — Mist najwyraźniej próbuje odnaleźć jakikolwiek sens w jej wypowiedzi. — Jeżeli podoba ci się taki kolor, jak ma Lu, to pojedź sobie do Xerionu, powiedz, że chcesz mieć fioletową tęczę, i zrobią ci całkowicie taką samą. Po prostu u nas, u lumii, te kolory są intensywniejsze, niż u zwykłych ludzi” — dodaje.

„A źrenicę taką też mi zrobią? — docieka dziewiętnastolatka. — Szczerze, to nie sądzę.”.

Źrenicę? O co jej chodzi?

Ze zdziwieniem wchodzę na podest i przybliżam twarz do lustra. Nie rozumiem, o co jej... OMG, co to jest?!

Z przerażeniem cofam się krok dalej i... moja noga natrafia na pustkę. Z pluskiem wpadam do wanny, a połowa wody wylewa się na zewnątrz. Całe szczęście, że zamortyzowało to trochę upadek, bo przynajmniej się nie potłukłam, ale to, co zobaczyłam... Co się ze mną dzieje?! To jest jakaś totalna masakra... I nie ma nikogo, kto mógłby mi to wytłumaczyć...

— Lu, wszystko w porządku? — w podniesionym głosie Rori wyraźnie brzmi panika.

— Tak, tak, oczywiście — odpowiadam, starając się, żeby moje uczucia nie przeniosły się na brzmienie moich słów. — Potknęłam się i wpadłam do wanny, to wszystko. Zaraz tu ogarnę.

— Aha, spoko — głos mojej BFF wcale nie wskazuje na to, że tak myśli, ale najwyraźniej zdaje sobie sprawę, że wiele więcej ze mnie nie wycisnie i daje sobie święty spokój.

Z kolei ja zamykam oczy i opieram się o ścianę wanny. Co ja takiego zrobiłam, że teraz to wszystko na mnie spada? Dobra, spoko, z samym Ertexem jeszcze jakoś bym sobie poradziła, ale przy tym, co teraz się ze mną dzieje, to te wszystkie zmiany kompletnie wytrącają mnie z równowagi...

„Mówiłam, że coś z nią nie tak? — Io, jak zwykle, musi podkreślić, że miała rację. — A wracając do tematu, Ira, to o co chodzi ci z tą źrenicą Lu? Przecież ma

najnormalniejszą na świecie, taką samą, jak ty, ja czy my wszystkie...”

„To chyba się jej nie przyjrzałaś, kochana — Aira konsekwentnie dąży do swojego. No i, jeżeli mam być szczerą, to doskonale wie, co mówi... — Ej, dziewczyno, nie mówcie mi, że znacie ją te kilkanaście lat, i dopiero to zauważyłyście? To była chyba pierwsza rzecz w jej wyglądzie, która przykuła moją uwagę... Bo o pasemkach i o tym, że jest piękna, mnie uprzedziłyście...”

Dziewczyny powiedziały jej, że jestem piękna? Czuję, jak robi mi się cieplej na sercu. Kochane mordki, tak mnie komplementować...

„Ale Ira, ja na serio nie rozumiem, o co chodzi ci z jej oczami — w tonie słów Ro wyczuwam zniecierpliwienie. — Lu jest zupełnie taka sama, jak my wszystkie, nie ma w niej nic dziwnego, a tak szczerze to nawet niczego, co wyróżniałoby ją z tłumu lumii, bo jej pozycji, która z resztą trafiła jej się przez przypadek, i Goldiera, wcale do tego nie liczę. To są rzeczy losowe, i nasza kochana mordka musiałaby się bardzo postarać, żeby zrobić coś, co by ją w jakikolwiek sposób wyróżniło.”

Albo mieć totalne szczęście, uśmiecham się kwaśno.

„Czyli nie wiecie, o co mi chodzi — lumia widzi, że jej wyjaśnienia nic, a nic nie dają. — W takim razie następnym razem, jak tylko będziecie przy swoich smokach, przyjrzyjcie się ich oczom i powiedzcie mi, czy Lumina jakimś cudem nie ma takiego samego, tyle, że jej tęczęwka nie pokryła całej gałki ocznej.”

No i powiedziała to. Nazwała sprawę po imieniu. I ja też muszę to przyznać — jakimś cudem, z resztą nie mam bladego, zielonego, czy jakiegokolwiek pojęcia jakim, mam oko prawie takie same, jakie mają smoki. Zamiast czarnej kropki źrenicy moje oko przecina wąska, czarna, pionowa kreska, odrobinę szersza na środku.

„Żartujesz sobie — w słowach Mistral wyczuwam jej osłupienie. — Nie, mordko, to niemożliwe. Nie u Lu...”

„A dlaczego niby nie u niej? — tym razem Io chyba próbuje pokazać, że wcale nie jestem gorsza od żadnej z nich. — Przecież nawet nie musiałaby...”

„Bo to niemożliwe, koniec i kropka — kategorycznie ucina Leira. — Za długi czas od tego upłynął, żeby można było brać to pod uwagę. A jeżeli chodzi o pierwszą opcję, to ona nie jest na tyle głupia, żeby to zrobić. Chociaż czasami w jej propozycjach brawura i chęć nalykania się adrenaliny brały górę, to nie wierzę, żeby nawet ona odważyła się na coś takiego, wiedząc o tym, co dzieje się w pałacu.”

„A jeżeli ona nie wie?” — Aira podchwytuje temat.

„Mówię ci, że wie — Mist twardo obstaje przy swoim. — Pamiętasz tą wzmiankę o laboratoriach w legendzie? Przecież nie powiedziałyby o tym, gdyby nie znała całej historii. I to nawet musi wiedzieć całkiem sporo, skoro zdaje

sobie sprawę, że to zaczęło się od Osberta.”.

„Ok., no to teraz ja czegoś nie łapię” — Ro wydaje się być całkiem nie w temacie.

„Wytłumaczmy ci to później, bo skoro Lu wie, to nie ma najmniejszego sensu tego przed tobą ukrywać — stwierdza Lei. — Ale dobra, powiedzmy, że aż tak jej odbiło i to zrobiła. Przecież żadna z nas nie miała takich „skutków ubocznych”, że tak to nazwę. Żadna, a z tego, co wiem, to nasze matki też tak nie miały... Tym bardziej, że znam Lu najdłużej z was i wiem, że nigdy nie zrobiłaby takiej głupoty.”.

„A ja znam ją najlepiej i też wiem, że aż tak by jej nie odbiło” — Rori dosłownie przeraża mnie tą swoją pewnością. Bo jeżeli mówią o tym, o czym myślę, to chyba jednak muszę ją rozczarować. W tym wypadku moja głupota ujawniła się całkowicie... Choć i tak o eksperymentach na smokach dowiedziałam się dopiero z ust Mirt’Oshima, więc jestem usprawiedliwiona, nie wiedziałam, dlaczego nie mogę mieć choćby najmniejszej styczności z tymi zwierzętami...

„Może to od ostatniego stadium tasylirozy — proponuje Ira. — Myślicie, że to od tego może być?”.

„Nie wiem — Io chyba właśnie wzrusza ramionami. — Nie znam nikogo, kto przeżyłby aż tak zaawansowany etap, więc w sumie może ona jest pierwsza...”.

Szczerze, to mam już dość tych ich spekulacji, tym bardziej, że jestem już poważnie przestraszona całą tą sytuacją. Nie dość, że zaczęłam słyszeć konwersacje prowadzone przez dziewczyny za pośrednictwem implantów, wchodzić w ich wspomnienia i wysyłać im obrazy, to jeszcze teraz okazuję się, że jakimś cudem mam smocze oczy! Nie no, po prostu żyć, nie umierać!

Ale przynajmniej wiem, dlaczego system nie chciał mnie wpuścić, uśmiecham się smutno. Jedna zagadka rozwiązana. Szkoda tylko bardzo, że jej rozwiązanie przyniosło mi kolejną zagwozdkę... Ciekawa jestem, czy teraz uda mi się zasnąć... Bo za każdym razem, kiedy dzieje się coś, czego nie potrafię zrozumieć, sen nie ma najmniejszej ochoty mnie odwiedzić, a jeżeli już przyjdzie, to pełen koszmarów...

Nie, stop! Zatrzymuję się w połowie drogi w swoich myślach. Miałam się teraz odprężyć, a nie zastanawiać nad niewiadomo czym. Dostyc.

Wstaję z wanny i rozglądam się dookoła. Muszę to jakoś ogarnąć... ale chyba najpierw się przebiorę, w końcu sprzątanie w mokrych ciuchach wcale nie jest najprzyjemniejsze. Dlatego błyskawicznie ściągam mokre ubranie, raz dwa się wycieram i wskazuję w to, co naszykowałam sobie wcześniej. Potem stukam w ścianę przy półce z dodatkami do kąpielii i natychmiast wysuwa się panel z różnymi przyciskami. Włączam ten oznaczony „wycieranie” i się zaczyna. W suficie pojawia się otwór, z którego wylatuje coś w rodzaju gęstej, szarej mgły. Kilka milionów mikrotechów błyskawicznie pokrywa mokrą powierzchnię

i ułamek sekundy później wzbijają się w powietrze z powrotem. Po mokrej plamie nie został choćby najmniejszy ślad.

Z uśmiechem obserwuję, jak malutkie robociki znikają tam, skąd przybyły. Jak to dobrze, że w Arlesii taka technologia jest dosłownie w zasięgu ręki...

Dopiero teraz orientuję się, że głosy przyjaciółek wyniosły się z mojej głowy. Czyli tak, albo jakoś ja je wygoniłam, albo po prostu skończyły rozmawiać... Chociaż, czy to istotne? Może jak włączymy jakiś film, jakąś komedię, to uda mi się odprężyć...

Kiedy wychodzę z łazienki, znowu czuję na sobie spojrzenie wszystkich lumii, obecnych w pokoju. Łącznie z sympatycznym pyszczkiem mojego smoczka, który niemalże od razu do mnie podlatuje i zaczyna się miziać do mojego policzka. Kochany słodziak!

— No co? — pytam się dziewczyn, świadoma ich spojrzeń i co więcej, domysłów. — Nic mi się nie stało, po prostu poślizgnęłam się w wannie i rozlałam trochę wody — zachowuję się tak, jakbym nie wiedziała kompletnie nic. I w sumie tak powinno być, coś mi się zdaje, że nie powinnam dać im poznać, że jest ze mną coś nie tak, nie wspominając oczu, rzecz jasna...

— Nie, nic, nic, mordko — odpowiada Mistral, mierząc mnie świdrującym wzrokiem. — I jak, udało ci się choć trochę zrelaksować?

— Coś ty, wcale — macham ręką. — Może jak coś obejrzymy, to lepiej się poczuję.

— Jak uważasz — Leira przyłącza się do obserwowania mnie. Nie powiem, jest to dość irytujące, ale cóż, jakoś sobie poradzę. Jeszcze tylko trochę czasu, włączymy coś i wreszcie zwrócą swoją uwagę na coś innego niż ja...

— A weźcie mi, kochane, powiedzcie, o której jutro lecicie? — pytam, wdrapując się po drabince na swoje łóżko. — Bo chciałabym mniej więcej wiedzieć, od której będę mogła przejść się do Estive'a...

— Wylatujemy tuż po świcie, mordko — informuje mnie Aira. — A przynajmniej tak ustalałyśmy, jak byliśmy na polance... Ro, pasuje ci?

— Co? — lumia wydaje się być wytrącona z rytmu. — A, smoczy wypad... Właśnie, widzicie, mordki, jest taki jeden, drobny problem... Bo ja nie lecę. Dzisiaj miałam drobny... wypadek, i Est'Ria niestety nie przeżyła... Co prawda uratowała mi życie, ale... — urywa i mam dziwne wrażenie, że zaraz się rozplacze, ale dzielnie ciągnie dalej. — No cóż, na razie specjalnie mi się nie widzi szukać innego smoka, a w inny sposób raczej się nie dostanę tam, gdzie mamy zjazd.

— Spoko, rozumiem, kochana — Io kiwa głową. — I przykro mi z powodu Est'Rii. Ale spokojnie, zobaczysz, że jeszcze znajdziesz sobie taką samą smoczycę, jak ona. I znowu będziesz miała na kim latać.

Moja BFF kiwa głową, ale mam wrażenie, że zaraz się rozplacze. Czyli faktycznie miała rację, więc pomiędzy nią a jej smoczycą była faktycznie

wyjatkowa... Bo nie wydaje mi się, żeby którakolwiek inna zareagowała tak samo na śmierć swojego zwierzęcia, jak ona, i to jeszcze tym bardziej po jej reakcji...

— To jak, co oglądamy? — Lei zerka na mnie, próbując uchwycić moje spojrzenie, najwyraźniej, żeby przekonać się, czy słowa Airy, dotyczące moich oczu, faktycznie są prawdą... A ja, specjalnie, żeby się o tym nie przekonała, mrużę oczy, udając, że ziewam. Co potem faktycznie przeradza się w szerokie ziewnięcie. Chyba jestem trochę zmęczona... Hmm... Ciekawe, dlaczego...

— A włączcie coś, na co macie ochotę — macham ręką, po czym układam swoją poduszkę tak, żeby było mi dobrze oglądać. Potem wygodnie układam się na łóżku, a smoczek zwija się w kłębek na moich kolanach i błyskawicznie zasypia.

Głaszcząc smacznie śpiącego malucha obserwuję, jak dziewczyny wywołują holograficzny ekran pośrodku apartamentu i włączają jakiś film. W tym wypadku jest to jakaś amerykańska komedia, „Dorwać byłą”. Z Larą oglądałam ją chyba setki razy, ale wiedza o Stertilie i dane stamtąd są tu dostępne od niecałych dwóch lat, więc dziewczyny miały prawo tego jeszcze nie widzieć. A że ogólnie produkcja ciekawa, to w sumie co mi szkodzi obejrzeć ją jeszcze raz...

I nawet nie zauważam, jak moje powieki robią się coraz cięższe, dźwięki dobiegają jakby zza coraz grubszej warstwy waty, aż w końcu odpływam totalnie...

[1] Róże Keitris — jeden z wielu gatunków kwiatów, które wyłoniły się po Wielkim Wybuchu. Ten, jak również wiele, wiele innych, powstał ze zwykłej róży. Odróżnia się od niej barwą — pięknym szafirem, który na Stertilie naturalnie nie występuje, jest otrzymywany poprzez mieszanie genów. Na Vastertlie jest bardzo popularny, od innych wyróżnia go rzecz jasna kolor (aczkolwiek oprócz odmiany szafirowej występuje też czarna, fioletowa i w kolorze starego złota), ale też wymiary (średnia długość płatków wynosi około 15 centymetrów, więc te kwiaty mają ogromne kielichy) i oszałamiający zapach. Ze względu na to ostatnie te róże są nagminnie wykorzystywane do produkcji kosmetyków.

Rozdział XXXIV

Chłopak przestaje głaskać mnie po głowie i odsuwa się ode mnie.

— Już idziesz? — odwracam się i patrzę na niego ze smutkiem w oczach.

— Muszę, moja piękna — całuje mnie w czoło. — Ale nie martw się, wrócę. Jeszcze się zobaczymy, obiecuję...

Kiwam głową, bo wiem, że jego odejście teraz jest nieuniknione. Co prawda nie jest to specjalnie przyjemna perspektywa, ale jakoś sobie poradzę bez niego... Muszę...

Na ułamek sekundy zamykam oczy. Kiedy potem je otwieram, jego już nie ma, zupełnie jakby zniknął, wyparował... Ze zdziwieniem rozglądam się dookoła, próbując zrozumieć, którą drogą mógł odejść, i w tym momencie mrugam po raz kolejny.

Kiedy tym razem otwieram oczy, wpatruję się prosto w szeroko otwarte ślepia małego, szmaragdowego smoczka.

Wymiana spojrzeń pomiędzy nami trwa dopóty, dopóki maluch nie otwiera pyszczka i nie przejeżdża mi po twarzy mięciutkim, aksamitnym i... mokrym językiem.

— Mały! — odpycham go od siebie, na co reaguje spojrzeniem smutnego spaniela. Nie mogę tego długo znosić (bo jednak jest to totalnie rozbrajające), i dlatego od razu siadam i zaczynam go drapać na karku. Całkowicie go to rozbraja. A po chwili zaczyna wydawać z siebie coś... podobnego do mruczenia. Ludzie, w życiu nie wpadłabym na to, że smoki potrafią mrużyć!

Tyłu rzeczy dowiedziałam się w ostatnim czasie... Smutnieję lekko. Szkoda tylko, że oprócz tego pojawiło się dwa razy więcej spraw, które porządnie pokomplikowały mi życie... I których całkowicie nie rozumiem. W tym wiele zmian, które nastąpiły we mnie...

— Patrzenie Państwo, nasza była królowa postanowiła się obudzić! — głos Rori przywraca mnie do rzeczywistości i rozwiewa smutne myśli.

— Kiedyś trzeba — odpowiadam z uśmiechem, zerkając na przyjaciółkę. — A z resztą, przecież wcale nie jest tak późno — dodaję, przeciągając się z rozkoszą.

— Nie jest tak późno? — Ro patrzy na mnie z zaskoczeniem. — Dziewczyno, ty zdajesz sobie sprawę, która godzina? Przecież jest już prawie południe!

— Żartujesz sobie?! — teraz to mnie zaskoczyła. — Ej no, mordko, nie bądź taka!

— Mówię całkiem serio, Lu — lumia uśmiecha się lekko. — Kochana, przeszłaś samą siebie. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek spała tyle na jakimkolwiek zjeździe...

— Ja też nie — zdejmuję sobie smoczkę z kolan, odsuwam koldrę i zeskakuję na ziemię. Potem wyciągam ręce, a maluch, odgadując, o co mi chodzi, dosłownie w nie wpada. I później nawet nie czeka na to, aż mu pomogę dostać się na moje ramię, tylko sam błyskawicznie na nie przeskakuje. Potem zakłada sobie ogon na moje drugie ramię, lekko łaskocząc mnie w szyję, i niemalże od razu zasypia. Co za śpioch z tego zwierzątko!

— Tym bardziej, że wczoraj miałaś trochę stresów... — dziewczętnastolatka ciągle draży temat. — Bo jednak jakby nie było, to najpierw dziewczyny cię wymęczyły, potem jeszcze ja porządnie podniosłam ci ciśnienie...

— No w sumie dziwne... — przytakuję, odsuwając krzesło i siadając przy stole. Uważając, żeby nie przygnieść malucha, opieram twarz na zaciśniętych pięściach i zaczynam wpatrywać się w przyjaciółkę. Jest już w pełni ubrana i ze skrzyżowanymi ramionami opiera się o blat aneksu kuchennego. — Tym bardziej, że zazwyczaj po czymś takim śnią mi się masakryczne koszmary, pamiętam, co było, jak miałam okazję obserwować „atak” ymuli na Listeshire i „bohaterskie” jego odparcie przez Ertexa...

— Widziałas to? — Rori jest zaskoczona.

— Widziałam — kiwam głową. — Ale żebyś ty zobaczyła mnie w tym momencie, w którym zauważyłam siebie w ich obozie...

— Czyli ty też o tym wiesz... — wilczyca zamyśla się na moment. — Ale czekaj... Jak ty niby miałaś okazję to zobaczyć? Przecież nie jechałaś na Goldierze, a nawet na nim mogliby cię zobaczyć, już nie mówiąc o najzwyczajniejszym arabie... A nawet gdybyś widziała to z murów miasta, to i tak nie mogłabyś zobaczyć tam siebie... to znaczy jakiejś teyki w twojej postaci — prostuje.

— Wiesz, jednak jakby nie było, to my jako lumie mamy odrobinę lepszy wzrok, niż inni, już nie mówiąc, jeżeli wyostrymy zmysły — wzruszam ramionami. — To, że tam ją widziałam, wcale nie znaczy, że musieli widzieć to inni.

Moja odpowiedź jest tak bardzo wymijająca, jak tylko się da, ale lumia najwyraźniej dopowiada sobie do niej dalszy ciąg, taki, jaki chciała usłyszeć.

— A właśnie, mówiłaś, że po takich stresujących wydarzeniach śnią ci się koszmary... — Ro wygląda na dość zaintrygowaną. — Teraz na specjalnie przestraszona nie wyglądasz, mordko. Tym bardziej, że ja pamiętam, co się z tobą działo po śmierci rodziców...

— I to jest właśnie dziwne — mrugam do niej, równocześnie poprawiając smoczkę na moim ramieniu. Śpi tak twardo, że zapewne nawet nie zauważyłby, jakby spadł. Ale jest tak słodki, że tak bardzo mi go szkoda... W życiu nie chciałabym do tego dopuścić. — Bo mówię ci, że jakimś cudem dzisiaj chyba nawet śniło mi się coś przyjemnego...

— To faktycznie dziwne, kochana — lumia patrzy na mnie

z zaciekawieniem. — Opowiesz, o czym to było? Czy może już nie pamiętasz?

— No cóż... — zamyślam się. — Tak prawdę mówiąc, to pamiętam tylko zarys, no, może ewentualnie jeszcze końcówkę...

— Dajesz — dziewczyna jak zwykle jest bardzo, bardzo ciekawa tego typu rzeczy. Cała Rori, zupełnie taka sama, jak dawniej. Od razu czuję coś w rodzaju przejmującego bólu i równocześnie radości i dumy. Doskonale wiem, dlaczego tak się dzieje. Ból czuję, ponieważ nie mogę nie myśleć, jak mało brakowało, bym straciła swoją najbliższą przyjaciółkę. Już samo wspomnianie o tym powoduje u mnie gęsią skórę i jeżenie się sierści na ogonie. Za to radość i duma spowodowana jest tym, że do tego nie dopuściłam. Że nie pozwoliłam sobie na zlekceważenie przeczuci i że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by je sprawdzić...

— No więc tak ogólnie to było genialnie, tego jestem pewna na sto procent — rozmarzam się, a na moją twarz wpływa totalnie rozanielony uśmiech. — Wiem tylko tyle, że w tym śnie główną rolę grałam ja i jakiś chłopak...

— Chłopak? — przerywa mi moja BFF. — Tylko spróbuj mi wmówić, że taką reakcję wywołują u ciebie wspomnienia z Ertexem w roli głównej! — od razu lekko się najeża.

— Nie, to nie był Ertex — przeczę gwałtownie. — I to nie były żadne wspomnienia, wiedziałabym o tym. Powiem ci więcej, mordko. To nawet nie był Bastian...

— Kim jest Bastian? — lumia zawsze musi wyłapać jakąś nowość.

— Moim obecnym chłopakiem — uśmiecham się na samą myśl o nim, po czym ten uśmiech znika jak zdmuchnięty. — Tylko jakimś cudem to nie on mi się śnił... I teraz za żadne skarby ci nie powiem, kim był ten chłopak ze snów. A najlepsze jest to, że ja doskonale wiedziałam, kto to jest, kiedy byłam w tym śnie...

— No to interesujące, kochana — widzę, że Ro natrafiła na jakąś zagwozdkę. Teraz na sto procent nie odpuści, dopóki nie pozna odpowiedzi. — Ale najpierw opowiedz mi o tym Bastianie. Dwa lata cię nie ma, a potem, jak nagle się pojawiaasz, nie dość, że wyglądasz jak prawdziwa piękność, to jeszcze jak ostatnio cię widziałam, byłaś zaręczona, a teraz znowu masz chłopaka...

— Wiesz, mój ex był skończonym draniem — wzruszam ramionami. — A ja też specjalnie nie zamierzałam się wiązać... Ale on okazał się fantastyczny, mordko. Poznałam go jeszcze na Sterilii, tuż przed podróżą tutaj. A potem... Potem uratował mi życie, gdy tuż przed furtką do Arlesii tasyliroza odebrała mi wszystkie siły. No i oprócz tego jeszcze wspólna podróż aż do Luhri... Oczywiście nie wspominając o tym, że niezłe z niego ciacho — mrugam do niej.

— Ale nie jesteś stuprocentowo przekonana, czy to ten właściwy — Rori

całkowicie zaskakuje mnie swoim stwierdzeniem.

— Co? — patrzę na nią ze zdziwieniem.

— Widzę, jak o nim opowiadasz — moja Best Friend Forever mierzy mnie uważnym spojrzeniem. — I bardzo łatwo mogę porównać to do tego, jak mówiłaś o Ertexie.

— Tylko powiedz mi, kochana, co on ma do mojego obecnego chłopaka — od razu czuję, że włącza mi się tryb obronny. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek porównywał Bastiana do potwora, jakim okazał się Ertex...

— Musisz przyznać, że w tym pierwszym byłaś zakochana po uszy, mordko. Kiedy o nim opowiadałaś, mówiłaś z takim błyskiem w oku, że każda z nas widziała, jak bardzo ci się podoba. Żadna z nas nie miała jakichkolwiek wątpliwości, że to ten właściwy, bo ty tak czułaś — dziewiętnastolatka wyjaśnia, o co jej chodzi.

— Ale ciągle nie rozumiem, jaki to ma związek z Bastianem — patrzę na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

— O nim wcale nie mówisz w taki sposób — stwierdza obiektywnie. — Po pierwsze, nie pochwaliłaś się nim na wejściu, jakbyś zrobiła na sto procent, gdyby to była prawdziwa miłość. Po drugie, nie pojawił się w twoim śnie i już mniejsza o większość, kto zajął jego miejsce, grunt, że to nie był on. Jakbyś myślała o nim, to śniłby ci się co noc, wiesz, mordko? A wreszcie po trzecie, kiedy o nim wspomniałaś, to opowiedziałaś mi to w wielkim skrócie i wcale nie miałaś tego błysku w oku, bo gdybyś go kochała, mogłabyś mi o nim mówić dosłownie dwadzieścia cztery na siedem, nie skróciłabyś do tego stopnia.

— Czyli, podsumowując, uważasz, że go nie kocham, tak? — patrzę na nią z lekką złością, którą pokazują moje pasemka w kolorze bardzo delikatnej czerwieni.

— Powiem ci tak, kochana — Ro nachyla się do mnie. — Bardzo chciałabym się pomylić, i możliwe, że faktycznie tak jest. W końcu po tym, co cię spotkało, możesz okazywać miłość całkowicie inaczej, niż wcześniej, bez takiego entuzjazmu... W końcu kto się na gorącym sparzył, ten i na zimne dmucha. Ale jeżeli się nie mylę, to wybacz mi te insynuacje, ale... Lumina, ty przeglądałaś się ostatnio w lustrze? — dodaje z zaniepokojeniem, dokładnie przyglądając się mojej twarzy.

— No to chyba wiem, o co ci chodzi — wzdycham. — Niech zgadnę, mordko, chodzi ci o moje oczy?

— Widziałaś je? — wydaje się być na serio zaniepokojona.

— Widziałam — kiwam głową. — Dokładnie to wczoraj je zauważyłam.

— I co ty o nich powiesz? — lumina zaczyna przesłuchanie. O nie... Jak ona zacznie drażnić, to na dziewięćdziesiąt procent dowie się tego, czego chce. Tak samo, jak ja. I jak ja niby mam przed nią ukryć chociażby sposób, w jaki

pokonałam taką odległość?

Ale cóż, spróbować mogę. Let's start the show...

— Szczerze, to nie wiem — wzruszam ramionami. — Wczoraj skaner nie chciał mnie wpuścić, i tak mi się zdaje, że to przez to... W każdym razie dowiedziałam się o tym dopiero wczoraj, już ci o tym mówiłam. No i poza tym to nie mam bladego pojęcia. Może to wina choroby... Nie znam nikogo, kto oprócz mnie byłby w ostatnim stadium tasylirozy. Kto to wie, może to jakiś efekt uboczny...

— Ciekawa jestem tylko, jakim cudem skutkiem ubocznym mogą być oczy prawie takie same, jak u smoka... — uważnie lustruje mnie wzrokiem, szczególną uwagę skupiając na moich oczach.

— Prawie? — patrzę na nią z ciekawością.

— Smoki mają tylko tęczówkę i źrenicę, nie mają tego białego, co my — zaczyna mi wyjaśniać. — Ty zachowałam kształty takie, jakie miałaś, tylko źrenica ci się zmieniła... — urywa na moment i zaczyna się poważnie zastanawiać. — Lu, możesz mi coś przysiąc?

— To zależy, co — mrugam do niej. — Wiesz, w trakcie mojego pobytu na Stertilie sporo się u mnie zmieniło...

— Nie martw się, na Stertilie na pewno tego nie robiłaś — uśmiecha się lekko. — Wiesz, tu chodzi o twoje bezpieczeństwo, rozumiesz?

Aha... No to chyba mam sto procent pewności, co będę musiała jej przysięgać...

— No spoko, rozumiem. Dajesz — kiwam głową.

— Możesz mi przysiąc, że nigdy, ale to nigdy nie zbliżyłaś się do żadnego innego smoka poza tym maluchem? — wskazuje na śpiocha na moim ramieniu. — I że przenigdy tego nie zrobisz?

Już otwieram usta, chcąc odpowiedzieć w jakiś wymijający sposób, tak, żeby nie skłamać, ale też żeby Rori zrozumiała to w sposób taki, jaki będzie jej podobał (tak samo, jak wyszło z tą armią ymuli), gdy ona nagle sama sobie odpowiada:

— A z resztą po co ja ciebie o to proszę, mordko — uśmiecha się lekko. — Przecież ty nie jesteś taka głupia, żeby stanąć oko w oko ze smokiem, który może cię zabić.

— Właśnie, kochana, skoro tak dobrze mnie znasz, to po co się mnie pytasz? — patrzę na nią z ciekawością.

— Właśnie nie wiem — wzrusza ramionami. — Może tak trochę zmyliły mnie te twoje oczy...

— A co w nich takiego dziwnego? — zaciekawiam się. Cóż, z wczorajszych bardzo, ale to bardzo wymijających kwestii, jakie podsłuchałam z rozmowy dziewczyn, nie dowiedziałam się nic. Mam nadzieję, że Ro mi to wszystko choć

troszeczkę przybliży...

— Widzisz, Lu, to tak trochę bardzo, ale to bardzo skomplikowane — zamyśla się lumia. — Chociaż, skoro i tak miałam ci wytłumaczyć kilka spraw związanych ze mną i z Est'Rią... To może spróbuję ci to jakoś wyjaśnić... Ale od razu z góry uprzedzam, że to tłumaczenie może zająć całkiem sporo czasu...

— To wiesz co, morko, może lepiej nie, bo mi się tak trochę strasznie spieszy do Estive'a — oświadczam. — Przede wszystkim powinnam się u niego zameldować, że już jestem, tym bardziej, że to on po mnie wysłał, a poza tym już nie wspominam o tym, że teraz wynikło sporo bardzo skomplikowanych spraw i muszę je z nim obgadać. W końcu kto doradzi mi tak samo dobrze, jak on?

— Co racja, to racja — Rori wyjątkowo zgodnie przyjmuje moje tłumaczenie. — Tylko mam do ciebie, mordko, drobną prośbę. Zanim wyjdiesz, bo wiem, że może ci się zejść dość długo, to tak na szybko wytłumacz mi jeden drobiazg w związku z twoją legendą, dobra?

— A cóż to takiego? — zerkam na nią, po raz kolejny poprawiając smoczka na ramieniu (znowu by mi spadł).

— No więc chodzi mi o te laboratoria... — dziewiętnastolatka patrzy na mnie wręcz z błagalnym wyrazem twarzy. — Wiesz, o co z nimi chodzi, czy tylko wplotłaś to do akcji jako kompletnie nic nie znaczący szczegół, bo tak jakoś ci pasowało?

Przez moment między nami zapada cisza, a ja zastanawiam się, jak to rozegrać. Jeżeli powiem jej to od razu, na pewno będzie miała mnóstwo pytań i mogę zapomnieć o w miarę szybkim wypadzie do mojego nauczyciela. A jakbym powiedziała jej o tym dopiero po powrocie, to by się na mnie obraziła, bo teraz musiałabym ją zbyć tym, że nie wiem...

— To poczekaj sekundkę, kochana, ja tylko się ubiorę, zjem jakieś śniadanko i już ci mówię — wybieram opcję pośrednią. W ten sposób będę mogła zmyć się bez konieczności tłumaczenia, a jak już wrócę, to będę miała sporo czasu, żeby odpowiedzieć na wszystkie jej pytania.

— Chcesz tosty? — Ro wstaje z krzesła i podchodzi do blatu. — Zostawiłam też trochę dla ciebie...

Ta, akurat, zostawiła je dla mnie... Założę się, że wiedziała, że teraz wstanę i chętnie coś przekaszę. A swoją drogą, dopiero teraz wyczuwam piękny zapach chleba usmażonego na masełku i zastanawiam się, jak mogłam to wcześniej przegapić...

— Z przyjemnością, mordko — obdarzam ją wdzięcznym uśmiechem. — To ja w międzyczasie się przebiorę, dobra?

Lumia kiwa głową, więc zrywam się ze swojego miejsca, zdejmuję śpiącego na moim ramieniu malucha i kładę go na stół (co oczywiście go nie budzi. Trochę dziwny ten smok, śpi praktycznie zupełnie tak dużo, jak jakiś kociak...), biorę

ciuchy, które wczoraj zostawiłam w szafie i raz dwa się przebieram. Zajmuje mi to dosłownie dziesięć sekund, czyli mniej więcej tyle czasu, ile Rori nakłada mi śniadanko na talerz.

— Smacznego — mówi, po czym uważnie się mi przygląda, gdy jem. Doskonale wiem, o co chodzi. Moje oczy intrygują ją jeszcze bardziej, niż mnie, tym bardziej, że ona może znać przyczynę takiego stanu rzeczy. Zanotować: jak wrócę od Estive'a, obowiązkowo muszę się spytać jej o te podejrzenia. Mam nadzieję, że mi powie...

— Dzięki, kochana, było pyszne — dziękuję jej skinięciem głowy, po czym odkładam talerz na blat aneksu. Tam urządzenia z cichym szumem wciągają go do szafki, przy okazji dokładnie go czyszcząc. Ach, jakie to ułatwienie, ta automatyka... — To wiesz co, ja już się będę powoli zbierać, tym bardziej, że mam sporo rzeczy do obgadania ze smokiem... — urywam, widząc, jak oczy dziewczyny szeroko się rozszerzają. — Ro, wszystko w porządku? — pytam z zaniepokojeniem.

— Ty... ty... ty jednak jesteś taka głupia! — stwierdza, kładąc po sobie uszy i jeżąc ogon. Czyli jest na mnie wściekła. Tylko co ja takiego niby powiedziałam? — Masz smoka, tak?

— Mam tego malucha — wskazuję na śpiącego na stole smoczka. — Żadnego innego smoka nie. Ale weź mi powiedz, o co ci chodzi? Co jest w tym złego, że idę do Estive'a? Mówiłam ci, że przy obecnej chwili to muszę obgadać z nim całkiem sporo spraw...

— Czekaj... czyli ty chcesz obgadać to z Estive'em? — teraz to ona nic nie rozumie. No to się pogubiłyśmy...

— No tak, przecież wyraźnie wspomniałam, że przy tym, co się teraz dzieje, to muszę się z nim spotkać — wzruszam ramionami.

— To dlaczego wspomniałaś o smoku? — dziewczyna patrzy na mnie pytająco.

— No bo przecież Estive jest smokiem — ciągle nie wiem, do czego ona zmierza.

I w momencie, w którym to mówię, szczęka opada jej dosłownie do poziomu ziemi.

— On jest smokiem?! — tak zszokowanej Rori to jeszcze nigdy nie widziałam. — Czyli on... On to Odwieczny?

— Nie wiedziałaś? — teraz to na serio mnie zaskoczyła.

— No właśnie nie! — opiera się o brzeg stołu i przykłada dłoń do czoła. — Dziewczyno, ja do dzisiaj byłam pewna, że Estive to jeden z ruslinsen! I że uczysz się u niego ze względu na to, że potrafisz oddychać pod wodą...

— No to na pewno mi pomaga, w końcu żeby dostać się do jego biblioteki, trzeba przepłynąć pod powierzchnią całkiem spory kawałek... — dodaję po chwili

zastanowienia. — Poza tym przecież wielokrotnie mówiłam wam, czy przy was o nim z imienia...

— A ty myślisz, że ktokolwiek poza smokami zna jego imię? — lumia chwyta stojącą przy niej szklanę pełną wody i ją wypija. — A one i tak go nie używają, w końcu jego wiek i doświadczenie wymaga od nich ogromnego szacunku, zawsze go tytułują...

— To on jest ich jakimś władcą, czy coś? — z każdą sekundą wszystko robi się coraz bardziej skomplikowane.

— Jest kimś w rodzaju mędrca — dziewiętnastolatka choć tyle próbuje mi wyjaśnić. — Ma największą wiedzę spośród wszystkich stworzeń żyjących na wszystkich światach, ale z resztą ty o tym wiesz... — dodaje z przekąsem.

— Doskonale o tym wiem — kiwam głową. — Tylko nie rozumiem, co to ma do rzeczy. I niech zgadnę, znowu roznosi się o to, że on jest smokiem?

— Tak, tylko ty nie potrafisz zrozumieć, jakie to niebezpieczne! — wybucha Ro. — On cię może zabić w każdej chwili, aż tak trudno ci to zrozumieć?!

— To może z kolei ty zrozum, że miał ku temu setki tysięcy okazji! — nie pozostaje jej dłużna i ja również podnoszę ton. — Przecież byłam u niego miliony razy, odkąd został moim nauczycielem, a przypominam, mordko, że miałam wtedy tylko cztery lata! Nie uważasz, że gdyby chciał mnie skrzywdzić, zrobiłby to już dawno?!

— Ale ty nigdy nie zrozumiesz myślenia smoka! — wilczyca jest coraz bardziej wściekła.

— A ty niby rozumiałaś? — odgryzam się, a moje pasemka przybierają kolor krwi.

— Nikt go nie zrozumie! — odwrzaskuje. — Ale byłam pewna, że ty masz więcej oleju w głowie, w końcu powinnaś wiedzieć, że nie powinnaś zbliżać się do żadnego smoka, tym bardziej, że znasz powód!

— Tak, jasne, w wieku czterech lat rodzice mówili mi o takich sprawach! — czuję, jak zbiera mi się na płacz. Wściekłość na nich za to, co robili, dotąd z powodzeniem tłumiona, chyba właśnie znalazła ujście... — To ja ci powiem jeszcze więcej, kochana — z sarkazmem akcentuję ostatnie słowo. — Oni nigdy, ale to nigdy nie podali mi powodu, dlaczego nie powinnam zbliżać się do tych wspaniałych, potężnych i majestatycznych zwierząt. Nigdy nie pochwalili się, jaką to wspaniałą „misję” ciągną od tysiącleci, nigdy!

— Czyli ty nie wiedziałaś o laboratoriach? — z niej jakby całkowicie schodzi powietrze. Za to ja pomijam szczegół, że odeszły jej siły do walki. Skupiam się na tym, że ona jakimś cudem o nich wiedziała, mimo tego, że tak dobrze udawała przed dziewczynami... I przy okazji przede mną...

— Za to widzę, że ty o nich wiedziałaś — stwierdzam ze złością. — Nie ma co, dobrze ukrywałaś to przede mną, kiedy się o nie zapytałaś... I przed

dziewczynami — nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć. — Myślałam, że ty nie będziesz miała przede mną żadnych sekretów, Ro. No i sorry, widzę, że się na tobie zawiodłam.

— Lu, ja ci przysięgam, że byłam pewna, że ty wiesz — lumia patrzy na mnie dosłownie z rozpaczą. Widzę, że teraz na serio się pogubiła, z resztą tak samo, jak i ja. Jest jednak między nami jedna, drobna różnica. Mianowicie ja nie mam najmniejszego zamiaru odpuścić...

— Ale czy tak trudno było się mnie spytać? — pytam z goryczą.

— Nie chciałam... — lumia chyba pierwszy raz w życiu nie wie, co ma powiedzieć. — Bo gdybyś nie wiedziała, a ja bym ci o tym powiedziała, to kto wie, jakbyś to przyjęła... Skoro twoi rodzice nie chcieli ci nic mówić, to może mieli w tym jakiś powód...

— Chyba taki, żebym jak pierwsza naiwna nie wiedziała, że moja rodzina odpowiada za takie zbrodnie — nie mogę pozbyć się przekonania, że mnie okłamała, nie mówiąc mi o takich rzeczach. — Nawet nie wiesz, jakie to jest wkurzające, gdy wszyscy, którzy coś dla ciebie znaczą, ukrywają przed tobą tak znaczący sekret, i życzę ci, żebyś nigdy się czegoś takiego nie dowiedziała, moja droga. Ale swoją drogą, to ciekawa jestem, jaki argument podali wam moi rodzice, żebyście mi nic nie mówiły, co? Skoro teraz już wiem, to chyba możesz mi powiedzieć!

— Mi powiedzieli, że ty już wiesz — Ro odpowiada niemalże niesłyszalnym szeptem. — I że to wszystko apróbujesz, tak samo jak oni... Że już nie możesz się doczekać, kiedy zaczniesz się uczyć tych wszystkich metod... Na początku im nie wierzyłam, ale długo nie musieli mnie przekonywać. Wtedy za wszelką cenę starałam się ukryć tą wiedzę, tym bardziej, że nie chciałam, żebyś miała wizerunek takiej okrutnej, pozbawionej serca, w pełni wyrachowanej...

— Mordko, nie mogłaś się mnie zapytać? — ja również schodzę do szeptu i czuję, jak po policzkach zaczynają mi płynąć łzy. Chyba powoli ja też zaczynam ochłaniać... — Nawet nie wiesz, jak to boli, dowiedzieć się o takiej sprawie z ust całkowicie obcej osoby...

— A co, ten twój Bastian ci o tym powiedział? — Ro podchodzi do lodówki i nalewa sobie czegoś zimnego do picia. I z tego, co widzę, jest to też coś mocniejszego...

— Nie, on nie wie — mówię, pomijając ten drobny szczegół, o czym on nie wie. — I dobrze, chyba nie zniosłabym, gdyby poznał mnie od takiej strony...

— W takim razie kto? — wilczyca mierzy mnie uważnym spojrzeniem.

— To chyba w tym momencie jest najmniej istotne — wzdyham. — I słuchaj, powiedz dziewczynom o tym, że wiesz. Będzie im łatwiej z tobą rozmawiać — dodaję po chwili namysłu, stając przed drzwiami.

— Spoko, powiem im — Rori kiwa głową. — Za ile wracasz?

— Nie wiem, może jutro... — zamyślam się. — I mam jeszcze jedną prośbę... Weź już się nie kłóćmy, dobrze? Nie znoszę na ciebie krzyczeć...

Lumia po prostu się uśmiecha, odstawia szklankę i podchodzi do mnie, by mnie przytulić.

— Leć już, żebyś się nie spóźniła — odsuwa się ode mnie.

— A co, już nie przeszkadza ci, że Estive jest Odwiecznym? — ja, jak to ja, oczywiście nie mogę się powstrzymać przed niepotrzebnym wtrąceniem czegoś.

— Idziesz tam na własną odpowiedzialność — stwierdza, ale po wyrazie jej oczu widzę, że wcale nie zmieniła zdania. Po prostu przeszła jej już ochota na kłótnie...

— Wiem, i nie martw się, wrócę w jednym kawałku — mrugam do niej, po czym przestępuję próg. — I jeszcze jedno, mordko, weź zajmij się tym moim maluchem, dobrze?

— Nie martw się, będzie w dobrych rękach — kiwa głową.

Uśmiecham się lekko, po czym wychodzę na korytarz i kieruję się w stronę schodów.

Gdy po nich zbiegam, słyszę jeszcze, jak moja przyjaciółka otwiera drzwi i głośno pyta:

— Lu, a skąd ty wiesz, że dziewczyny nie wiedzą, że ja wiem?!

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Rozdział XXXV

Raźnym krokiem przechodzę przez bramę odgradzającą Selumie od polany u stóp Tusteris. Teraz wystarczy tylko odsłonić kotarę z bluszczu i...

I leżeć jak długa, dodaję ze złością, podnosząc się z trawy. Co jest? Dlaczego ja tak często się potykam?

Wystarczy, że spoglądam pod nogi i odpowiedź narzuca mi się sama, a razem z nią na twarz wpływa mi szeroki uśmiech. Moje kochane czarne szpilki!

Przykucam przy nich i z radością zaczynam gładzić czarny aksamit, który mają na zewnątrz. To była jedna z tych rzeczy, która przywędrowała ze mną na Sterilie, i od tamtej pory starałam się z nimi nie rozstawać. Chodząc w nich miałam wrażenie, że choć jestem na obcym świecie, mimo wszystko stawiam kroki w moim...

Cóż, w tym momencie to chyba potknięcie było jak najbardziej wskazane, jakby się tak dobrze nad tym zastanowić. W końcu dzięki niemu odzyskałam swoją najulubieńszą parę butów. A swoją drogą, to ciekawe, dlaczego dziewczyny ich nie zauważyły... Czyżby ten kary arab tak skutecznie odciągnął ich uwagę?

Ułamek sekundy później z łatwością znajduję odpowiedź — po prostu szpilki znajdowały się w takim miejscu, w którym nie dało się ich zauważyć bez wpadnięcia na nie, i to nawet dosłownie, jak to było w moim przypadku. Jakimś cudem trawa jest tu wyjątkowo wysoka, tak, jak w żadnym innym miejscu na tej polanie...

Wzruszam ramionami. Cóż, w tym momencie jest chyba tylko jedna w miarę racjonalna rzecz, którą mogę zrobić po odzyskaniu moich cudownych bucików. A mianowicie zsuwam pożyczone od Rori balerinki, kładę je tam, gdzie znalazłam szpilki (tylko muszę zapamiętać, żeby potem je zabrać z powrotem) i na ich miejsce wkładam moje odzyskane, kochane szpileczki.

Gdy wstaję pośród tej gęstej trawy, od razu czuję się lepiej. Powiem tak, nigdy specjalnie nie uważałam, że płaskie obcasy są dla mnie. Owszem, wyglądają tak... niewinnie, dziewczęco, ale ja osobiście uwielbiam niezależność i kobiecość, a nie dziewczęcość. I teraz przynajmniej czuję się tak, jakbym z powrotem wróciła do swojej własnej skóry... Może nawet częściowo do roli niezależnej królowej, rządzącej ogromnym państwem...

Z uśmiechem na twarzy, wyprostowana, dumnym krokiem zaczynam iść w kierunku Tusteris. Ale po drodze moje tępo spowalnia i lekko się garbię. Mimo wszystkich starań nie potrafię wyrzucić sobie z głowy myśli na temat mojej dzisiejszej rozmowy z Ro, łącznie z kłótnią, rzecz jasna...

Jak ona może mieć wątpliwości co do tego, że ja i Bastian się Kochamy? On za mną wskoczyłby w ogień, a przynajmniej tak mi się wydaje po tym, na ile go

poznałam. Mam wrażenie, że jest we mnie zakochany do szaleństwa, bo przecież nie może mu zależeć na tym, co związek ze mną może mu zaoferować. W końcu nie wie, że jestem królową...

A ja? Też go kocham, a już na pewno mi się podoba. Gdyby tak nie było, na pewno nie przyjąłabym jego propozycji odnośnie chodzenia. I wątpię, żebym czuła to coś w rodzaju zazdrości (bo z tego, co wiem, to była to zazdrość w najczystszej postaci), gdy tak troszczył się o Larę, będąc jeszcze singlem...

Ale z drugiej strony, to Rori chyba wie, co mówi, w końcu zna mnie najlepiej ze wszystkich... I gdybym naprawdę go kochała, to czy nie powinien cały czas być w moich myślach, niezależnie od tego, co w danej chwili robię, i nad czym w danym momencie się zastanawiam? I czy nie on powinien pojawić się w moim śnie, zamiast tego nieznanego? Bo kim był ten tajemniczy chłopak, to w tym momencie nie potrafię powiedzieć. Chociaż jestem stuprocentowo pewna, że w śnie go doskonale znałam...

„Tak wiele pytań... — kręcę głową ze smutkiem. — I ani jednej odpowiedzi...”

Moment później humor mi się poprawia — dobra, może na razie faktycznie nie znajduję ani jednej odpowiedzi, no spoko, może nawet ja nigdy nie będę potrafiła ich dostrzec, ale przecież idę teraz do Estive’a. A kto jak kto, on na sto procent mi pomoże... W końcu jako Odwieczny ma ogromne doświadczenie życiowe, widział, co dzieje się na Vastertilie, odkąd przybyli tu ludzie... I smoki, rzecz jasna...

Tylko czy byłby w stanie wytłumaczyć mi, dlaczego moja Best Friend Forever tak się przeraziła, gdy dowiedziała się, że on jest Odwiecznym? Dobra, rozumiem, że jest smokiem, ale był tym smokiem przez cały czas. Nie stał się nim nagle w tym momencie, w którym o tym powiedziałam. I powtarzam, przecież skoro jest nim od tysiącleci, to smocze instynkty na pewno ujawniały się u niego nie raz i nie dwa. W takim razie, znając mnie od trzynastu lat, w tym dodając, że poznał mnie w taki sposób, w jaki to się stało, to miał wyjątkowo dużo okazji, żeby mnie zabić... W sumie, wystarczyłoby, żeby wówczas nie zareagował...

Pochłonięta w takich myślach, nie zauważam nawet, jak dochodzę do jeziora u stóp Tusteris. Nie jest ono wielkie pod względem powierzchni, ale za to ma dość sporą głębokość, dochodzącą do 50 metrów w miejscu, gdzie kaskada wody spada na ziemię z ogromnej wysokości. Kiedyś z dziewczynami założyłyśmy się, która z nas skoczy z Tusteris. Ja oczywiście się odważyłam, ale nie udało mi się tego zrobić — gdy już płynęłam z prądem ku mojemu przeznaczeniu, jakiś metr przed krawędzią złapały mnie czyjeś ręce. Rzecz jasna, byli to ruslinsen. Z początku byłam na nich trochę zła, ale szybko zrozumiałam, że być może uratowali mi życie. Gdy mój nauczyciel się o tym dowiedział, chyba po raz pierwszy w życiu był na

mnie wściekły. Porządnie mnie ochrzanił za taką bezmyślność. No cóż, ja już chyba wielokrotnie udowodniłam, że nie raz potrafię popisać się głupotą... Parę lat temu ta akcja z wodospadem, teraz bezmyślne wpakowanie się do klatki Mirt'Oshima... Tylko o tym to mu nie powiem, teraz na pewno uznałby mnie za kompletną idiotkę i mogłabym całkowicie stracić jego szacunek... Czego bardzo chciałabym uniknąć...

Tylko właśnie, dlaczego jeszcze go tu nie ma? Do tej pory chyba tylko raz musiałam sama, bez jego towarzystwa wspinać się na szczyt, by dotrzeć do jeziora. Pamiętam z tego tylko, że tamtego dnia chciał dać mi lekcję cierpliwości, tym bardziej, że wiedział, iż tego dnia koniecznie chcę podzielić się z nim jakąś niezwykle ważną (jak na umysł sześciolatki, rzecz jasna) wiadomością. Cóż, kilka godzin wspinaczki po stromych, skalnych schodach wyraźnie nauczyło mnie, że wnerwianie się nic nie da. Tym bardziej, że to rozprasza, i zanim skapnęłam się, o co chodzi, kilkakrotnie prawie potknęłam się i spadłam (choć w tym momencie doskonale wiem, że Estive by nie dopuścił, żeby cokolwiek mi się stało). A na górze czekała na mnie miła niespodzianka, bo okazało się, że za takie postępy w tej dziedzinie dostałam nagrodę, mojego kochanego Bastila...

No właśnie, skoro jeszcze tu go nie ma, to może i tym razem postanowił ponownie zrewidować moją cierpliwość...

Zadzieram głowę i patrzę w górę — cóż, specjalnie mi się nie widzi tam włączyć, ale jak mus, to mus... Na grzbiecie Estive'a byłoby o niebo szybciej, jak zawsze z resztą... Już nie mówiąc o tym, co by było, gdybym to pokonała na grzbiecie smoka, któremu ofiarowałam wolność...

Nie, dobra, dosyć tego myślenia. Wcale mi to nie pomaga. A im szybciej zacznę, tym szybciej skończę...

Z takim właśnie nastawieniem wchodzę do jeziora, płynę na środek (oczywiście ostrożnie omijając kaskadę) i wpływam za spadający z góry strumień wody. Znajduje się tu grotta (i założę się, że to też jest robota mojego nauczyciela) z czymś w rodzaju schodów, drażących wygasły wulkan i umożliwiających bezskrzydłym istotom dostanie się na szczyt Tusteris.

Dla pewności oglądam się za siebie, chcąc się upewnić, że Estive jednak nie stwierdził, że moja cierpliwość jest jak najbardziej w porządku i jakimś cudem nie pojawił się nagle za moimi plecami (bo on to doskonale potrafi), by pomóc mi dostać się na szczyt w niemal ekspresowym tempie. Cóż, niestety nigdzie go nie widzę...

Teraz pozostaje mi tylko westchnąć i przygotować się mentalnie na długą drogę na szczyt...

Rozdział XXXVI

— Długo ci się zeszło — gdy do góry brakuje mi jeszcze kilkanaście stopni, dobiega do mnie głos mojego nauczyciela.

— Gdybyś mi pomógł i czekał na mnie na dole, byłabym tu o wiele szybciej — odparowuję, mobilizując ostatnie atomy sił, by pokonać schody do końca. Jakimś cudem mi się to udaje, ale potem nogi po prostu odmawiają mi posłuszeństwa i osuwam się na ziemię. — A teraz nie licz, że gdziekolwiek z tobą pójdę. Nawet nie ma szans — zastrzegam, rozciągając się na mięciutkiej, pięknie pachnącej i soczystej, zielonej trawie.

— Musisz ćwiczyć cierpliwość — Estive staje nade mną i przygląda mi się uważnie. — I wytrzymałość. Inaczej nie uda ci się rozwiązać problemu, który wynikł pod postacią twojego byłego.

— Czyli ty też o tym wiesz... — wzdycham, po czym przekręcam się na brzuch.

— Oczywiście, że wiem, Lumino — kiwa głową. — Nie zapominaj, że to ja wysłałem po ciebie gryfa. Gdybym tego nie zrobił, nadal spokojnie mogłabyś odpoczywać od swoich obowiązków na Stertilie — dodaje z tym swoim słynnym, tajemniczym uśmiechem na twarzy. Chyba nigdy nie rozszyfruję, o co w nim chodzi...

— Niekoniecznie — kręcę głową przecząco, po czym zdobywam się na ogromny wysiłek i siadam.

— Dlaczego? — pytająco unosi brew. W takim razie nie wiedział o tym, że jestem chora, gdy wysyłał posłańców... No to ja na serio mam ogromne szczęście!

— A dlatego, że gdybyś tego nie zrobił, zapewne już by mnie tu nie było — wyjaśniam. — I mówiąc tu, to mam na myśli nie tylko Vastertilie, ale też każdy inny świat.

— Gryf uratował cię od jakiegoś wypadku? — wydaje się być lekko zaniepokojony. Powtarzam, wydaje się. Kiedy na niego patrzę, nigdy nie mam bladego pojęcia, co też smok (czy może raczej powinnam mówić — chłopak? W końcu w ludzkiej postaci wygląda na przystojnego max dziewiętnastolatka...) myśli, przeżywa... Chociaż jakimś cudem tym razem udaje mi się rozszyfrować nieco więcej z jego zachowania, mimiki i tonu głosu, niż ostatnio. Albo przebywanie na Stertilie wyostrzyło mi zmysł obserwacji innych i wyciągania wniosków, albo Estive stwierdził, że nie ma już potrzeby być takim powściągliwym. Albo... chociaż nie, to raczej nie...

— Od wypadku to niekoniecznie — wyjaśniam. — Ale po prostu zmotywowały mnie do powrotu. Od razu, kiedy go zobaczyłam, to wiedziałam, że powinnam wracać, choć jeszcze ostro się z nim kłóciłam, żeby zachować choć

pozory godności — mrugam do niego. — Gdyby nie przyleciał, to pewnie nawet nie pomyślałabym o powrocie, a to było najlepsze, co tylko mogłam zrobić. Widzisz, tuż przed wyjazdem z Arlesii musiałam nabawić się tasylirozy, a tuż po spotkaniu z pierwszym posłańcem pojawiły się objawy. Łatwo było połączyć, co się stało, a jak już wiedziałam, to miałam dodatkową motywację do powrotu. I wiesz co, tak szczerze, to w tym momencie zawdzięczam życie zarówno tobie, jak i trochę Ertexowi, mimo tego, że wcześniej próbował mnie zabić. Gdyby nie zaczął się panoszyć po kraju, ty nie wysłałbyś mi wiadomości, a to oznaczałoby, że nie wyczułabym, że to właśnie tasyliroza i zapewne już byłabym martwa — gadam jak nakręcona. — Ogarniasz, że udało mi się wyleczyć z ostatniego stadium? — zrećnie pomijam fakt, że udało mi się to przy czyjejs pomocy. O tym, że mam chłopaka, poinformuję go później.

— To miałaś wielkie szczęście — stwierdza, mierząc mnie uważnym spojrzeniem swoich srebrnych oczu. Dziwne... Zazwyczaj, kiedy tak robił, miałam wrażenie, jakby przejeżdżał po mnie rentgen, a teraz? Nic. Kompletnie nic...

— Właśnie wiem — zgadzam się z nim. — Niewyobrażalne szczęście. Wiesz, czasem się śmieję, że głupi zawsze ma farta, więc takie sytuacje pokazują, co ja mam pod tą swoją czarną czupryną — uśmiecham się szeroko. No i cóż, wystarczy parę minut w jego towarzystwie, bym poczuła się lepiej. Bezpieczniej...

— Ale mniemam też, że masz mi całkiem sporo do opowiedzenia, Lumino — wyciąga w moim kierunku dłoń i pomaga mi wstać. — Jestem gotów się założyć, że w ciągu tych dwóch lat wydarzyło się dość sporo ciekawych rzeczy, a znasz mnie, ja lubię wiedzieć o wszystkim.

— No to skoro tak bardzo lubisz słuchać moich historii, to spróbuję opowiedzieć ci chociaż część — wzruszam ramionami. — Bo tradycyjnie w tą stronę na wyspę płyniemy łódką?

— Dokładnie — przytakuje. — Czyli co, opowiesz mi o tym po drodze?

— Opowiem — kiwam głową.

Na ten moment taka odpowiedź mu wystarczy. Szarmancko (jak to on ma w zwyczaju) podaje mi ramię, prowadzi mnie do łódki, po czym pomaga mi wsiąść do środka. Potem spycha łódź na wodę i po pokonaniu kilku kroków bez problemu do niej wskakuje.

— To w takim razie opowiadaj — siada na ławce naprzeciwko mnie, opiera się o burtę i zaczyna się we mnie uważne wpatrywać.

— Nie wiosłujesz? — dziwię się.

— Prądy zaniosą nas na brzeg wyspy, a potrzebujemy trochę czasu, żebyś opowiedziała mi wszystko, co się wydarzyło — wzrusza ramionami. — Aż tak bardzo ci się śpieszy?

— Nie, coś ty — kręcę głową. — Przecież zostaję u ciebie na noc, jak zwykle, kiedy są zjazdy... Jutro do wieczora, do powrotu dziewczyn też mam

trochę czasu, tak więc wydaje mi się, że te dwadzieścia parę godzin wystarczy na to, żebym wytłumaczyła ci chociaż najważniejsze rzeczy... I żebyś ty pomógł mi w ogarnięciu ich...

— Oczywiście, że ci pomogę — oznajmia. — Ale najpierw opowiedz mi, cóż takiego ciekawego ci się zdarzyło podczas pobytu na Stertilie. Dostałaś się tam, jak mniemam, bez żadnych trudności? — pyta, mierząc mnie spojrzeniem srebrnych oczu.

— No... Niekoniecznie — krzywię się lekko. — Ertex tam na mnie czekał. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, że będę chciała wyjechać z Vastertilie, ale jakimś cudem się dowiedział. I cóż... Nie potrafię ci powiedzieć, jakim cudem udało mi się wyjść z tego z życiem... A to pamiątka — wskazuję na bliznę ciągnącą się na mojej prawej łydce. — Nie uważasz, że to dziwne? Chciał mnie zabić, zrobił wszystko, żeby jego plan był dopracowany do perfekcji... A jednak mimo wszystko z jakiegoś powodu nie zadał mi śmiertelnego ciosu, kiedy straciłam przytomność, tylko przeniósł mnie przez furtkę...

— Pewnych ludzi nie sposób jest zrozumieć, Lumino — stwierdza Estive.

— Nawet ty? — patrzę na niego z zaskoczeniem.

— A czy powiedziałem, że ja nie? — pyta z sarkazmem.

— Nie, coś ty... — dziwnym trafem ta jego wypowiedź mnie skrępowała. I chyba to wyczuł...

— Opowiadaj dalej — zachęca mnie.

— A zdajesz sobie sprawę, że to będzie długa historia? Nie lepiej, żebyś najpierw pomógł mi ogarnąć ty kilka spraw? — patrzę na niego z powątpiewaniem.

— Najpierw chciałbym usłyszeć tę historię, wtedy będę lepiej wiedział, co przeżyłaś do tej pory i kto wie, być może dzięki temu łatwiej będzie mi znaleźć rozwiązanie problemu. No, chyba, że nie chcesz — wzrusza ramionami.

— Oczywiście, że chcę — przytakuję pośpiesznie. — No więc wyobraź sobie, że obudziłam się w szpitalu...

* * *

Ale boli mnie głowa... I co tak dziwnie tu pachnie?

Z ogromnym wysiłkiem otwieram oczy. W życiu nie wpadłabym na to, że jestem w szpitalu. Ale zaraz, co się stało?

Przykładam dłoń do skroni i usilnie zaczynam sobie przypominać, co takiego się stało. A, no tak. Zamiast na ślub pojechałam do Estive'a, bo Ertex chciał mnie otruć na weselu... A potem dopadł mnie w wieży, tuż zanim udało mi się przejść przez furtkę... Dobra, czyli teraz nie żyję, spoko...

Nie, wróć. Tu już się trochę zapędziłam. Skoro jestem w szpitalu, to chyba jednak żyję. Tylko... dlaczego o mnie oszczędził? Czyżby jakimś cudem ktoś mnie

uratował? To w takim wypadku mój ex albo nie żyje, albo jeszcze siedzi w więzieniu, albo został już wygnany poza granice...

Na samą myśl o tym, co mogło się nim stać, czuję ponurą satysfakcję. Nie, ja wcale nie jestem mściwa. Tylko po prostu nie mam najmniejszego zamiaru puścić mu płazem takiego traktowania... Dobra, chciałam wybyć z Arlesii, ale skoro mi się to nie udało, to trudno. Teraz doprowadzę sprawę do końca...

Mobilizuję wszystkie siły i siadam na łóżku. Od razu poprzyczepiana do mnie maszyna protestuje przeraźliwym piskiem. Dziwne... Przecież na Vastertilie nie trzymaliby takich prehistorycznych urządzeń...

Nie udaje mi się jednak nad tym zastanowić, bo dosłownie ułamek sekundy później do sali, w której się znajduję, wpada cały sztab lekarzy i pielęgniarek. Z zaniepokojeniem zaczynają się mi przyglądać, poprawiać aparaturę, ostrożnie zmuszają mnie też do ułożenia się z powrotem na pościeli. Jednym słowem, wszyscy traktują mnie jak jakąś księżniczkę (już pomijając fakt, że faktycznie nią jestem, a przynajmniej byłam, dopóki nie zostałam królową). Czyli na sto procent muszę być w Arlesii... Może nawet w Xerionie, bo taka rana mogła być na tyle poważna, że wymagała interwencji tamtejszych chirurgów i techników... W końcu nie wiadomo, czy nóż nie jest zatruty, czy nie straciłam zbyt wiele krwi i nie trzeba było jej uzupełnić syntetycznym zamiennikiem...

— Cese desetisantis?[1] — pytam, szukając w ich oczach potwierdzenia, że znajduję się w Arlesii.

Niestety, nie znajduję go. W momencie, w którym zamykają mi się usta, dociera do mnie, że oni nie rozumieją mojego języka...

— Gdzie jestem? — ponawiam pytanie, tym razem mówiąc po angielsku.

— Znajduje się panienka w szpitalu Al Essra, w Ammanie — wyjaśnia mi jeden z nich, mówiąc z wyraźnym, arabskim akcentem. — Ale teraz proszę odpoczywać, spokojnie, powoli — podchodzi do mnie i zmienia mi kroplówkę. Potem odwraca się, mówi kilka słów po arabsku i reszta sztabu wychodzi.

— Ale... Co się stało? — mierzę go błagalnym spojrzeniem. Mam ogromną nadzieję, że wyjaśni mi choć część tajemnicy... Bo w tym momencie nic już nie rozumiem...

— Przywieźli cię z paskudną raną aż z Petry — odpowiada, równocześnie zapisując coś z ekranu maszyny stojącej obok mnie. — Podobno znaleźli cię nieprzytomną, leżącą w kałuży krwi tuż przy gładkiej skale w jakimś ślepych tunelu.

— Nie pamiętam, jak się tam znalazłam... — szepczę, równocześnie przykładając dłoń do czoła. I nie wiem, czy to było do mężczyzny, czy może bardziej do mnie...

— Cóż, bywa, że w takich wypadkach następuje coś w rodzaju szoku i osoby poszkodowane mogą nie pamiętać zajścia — lekarz używa niezwykle fachowych

słów.

— Pan nie rozumie — kręcę głową. — Zajście to ja pamiętam doskonale i według wszelkich statystyk prawdopodobieństwa ja powinnam już nie żyć. I nie pamiętam, jakim cudem udało mi się przeżyć...

— Czyli mówisz, że pamiętasz to, co się stało — na moment przerywa notowanie i posyła mi uważne spojrzenie. — To ja powiem ci coś więcej. Ja akurat wiem, skąd się tam wzięłaś, tylko zastanawiam się, kto cię napadł w tunelu łączącym światy.

Patrzę się na niego z osłupieniem. Czyli że on... On wie?

— Wcale nie było trudno cię rozszyfrować — uśmiecha się lekko. — Zakrwawiona nastolatka, leżąca w ślepym zaułku... Dokładnie pod wyrytym w ścianie znakiem lilii... Czyli to albo robota jakiejś sekty, albo jakaś głębsza sprawa. Obstawiam to drugie, tym bardziej, że osoby, które cię znalazły, przysięgały, że przez ułamek sekundy widziały u ciebie wilcze uszy i wilczy ogon...

Przez cały czas się w niego wpatruję, próbując odgadnąć, o co mu chodzi. Chce mnie szantażować swoją wiedzą? Czy może po prostu podejrzewa, że coś takiego, jak Vastertilie, istnieje naprawdę, a nie tylko w miejscowych legendach?

— Już nie wspominając o języku, w którym się do nas odezwałaś — cały czas mnie podchodzi, udając, że uważnie zapisuje coś w tym swoim lekarskim notesie. — No i co, co powiesz o tym wszystkim?

I w tym momencie pojmuję, że facet gra. Słyszał coś niecoś o Arlesii i ogólnie o Vastertilie, ale nie ma stuprocentowej pewności, że to wszystko jest prawdą. Założę się, że gdybym tylko pisnęła mu choćby słówko na temat mojej ojczyzny, planety, na której się urodziłam, od razu poleciałby z tym do gazet... A to byłaby tragedia. Gdyby ludzie stąd odkryli istnienie innego świata, zapewne nie skończyłoby się to dobrze, kto wie, może nawet wynikłaby z tego jakaś wojna... A instynkt królowej, chcącej za wszelką cenę bronić kraju i ukrywać jego istnienie przed wszystkimi z zewnątrz (i przed dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami osób wewnątrz) też robi swoje...

— Nie rozumiem, o co panu chodzi — odpowiadam ze stuprocentowym spokojem. — Kilka lat temu, razem z moją najlepszą przyjaciółką wymyśliłyśmy sobie nasz własny język. To pytanie było wypowiedziane właśnie w nim, bo miałam dziwne wrażenie, że ona gdzieś tutaj jest... Wie pan, w naszym wieku to jest jak najbardziej normalne.

— Wiem — kiwa głową. — Ale i tak mi się wydaje, że coś przede mną ukrywasz... — przestaje pisać i znów mierzy mnie spojrzeniem. Zauważam jednak, że tym razem jest ono trochę niepewne, jakbym odrobinę zachwiała jego pewnością...

— Nie, skąd — przeczę, jeszcze bardzo upewniając się w kwestii, że

postąpiłam słusznie, po czym ciągnę dalej z większą pewnością i równocześnie z większym spokojem. — Nie wiem tylko, dlaczego byłam przekonana, że Luisa tu jest...

— To się zdarza — mężczyzna jakby trochę oklapł. — Ale jesteś pewna, że to wszystko nie ma nic związanego z innym światem? Nigdy nic o nim nie słyszałaś? Tu krążą o tym prawdziwe legendy...

— Nie znam się na miejscowych legendach — wzruszam ramionami. — Jestem tu dopiero od... — zamyślam się na chwilę. — Który dzisiaj mamy?

Lekarz chce już odpowiedzieć, ale mu przerywam.

— Chociaż, to nie ważne — wzdycham. — Wiem, że tego dnia miałam znaleźć sobie jakiś hotel... Ale najpierw stwierdziłam, że ze swoimi drobiazgami, bo walizki z ubraniami nie miałam, przejdę się do Petry...

— Nie musisz mi się tłumaczyć — mężczyzna przerywa mi machnięciem dłoni. — Powiesz to samo, gdy pojawi się tu ktoś z amerykańskiej ambasady, i wtedy będzie to miało większy sens.

— Z amerykańskiej ambasady? — nie do końca kojarzę, co ma na myśli.

— W plecaku miałaś paszport z wyraźnie wypisanym obywatelstwem — wyjaśnia facet. — A sprawą usiłowania morderstwa musi zająć się ambasada. Tak więc za parę godzin spodziewaj się jakiegoś urzędnika, Dion — oznajmia i wychodzi z sali.

Dopiero po chwili udaje mi się odgadnąć, dlaczego właśnie tak się do mnie zwrócił. Zabrałam ze sobą dokumenty na zarówno jak na Luminę, tak i na Dion McKinley (tego drugiego imienia używam na tym świecie zdecydowanie częściej), i zapewne ktoś zauważył tylko te drugie... Lub pierwszych nie spakowałam, co w takim pośpiechu, w jakim się zbierałam, jest bardzo, bardzo możliwe...

Moment później dociera do mnie jeszcze jedno — teraz to na serio powinnam dziękować rodzicom, że jakimś cudem udało im się załatwić mi status obywatelki Stanów Zjednoczonych. Inaczej w takiej sytuacji byłoby dość kiepsko, bo wtedy tak właściwie byłabym osobą nieistniejącą... A w takiej sytuacji, jak ta, mogę liczyć na jakąś pomoc ze strony na przykład uprawnionych do tego pracowników ambasady...

I cóż, dopóki nikt się nie pojawi, nie mogę nic zrobić. Nie znoszę takiego uczucia bezradności, w końcu zazwyczaj to właśnie ja się wszystkim zajmuję, niczego nie zwałam na kogokolwiek innego... A teraz? Jestem uzależniona od łaski lub niełaski urzędników. Dla kogoś, kto przez większość swojego życia brał sprawy w swoje ręce, taka drastyczna zmiana jest niezłą próbą charakteru...

Po jakiejś sekundzie moją uwagę od tej kwestii odciąga mały gekon, biegnący w tą i z powrotem po suficie. Cóż ten mały gad chce osiągnąć? Czyżby uważał, że przez takie właściwie kręcenie się w kółko dotrze do swojego celu? Że ucieknie od ciężającej na nim odpowiedzialności? Albo od swojej przeszłości?

A może od tego, co na niego czeka w przyszłości?

„Nie, skąd — karcę się w myślach. — Przecież to tylko zwierzę. Tutaj nie mają tak wykształconego rozumu i inteligencji jak na przykład nasze ardyliany... I nie ma najmniejszego sensu porównywać ich z ludźmi...” — wzdycham, całkowicie świadoma, że te pytania pojawiły się w mojej głowie ze względu na decyzje, jakie w ostatnim czasie podjęłam, i które doprowadziły mnie tutaj.

— To ty jesteś Dion McKinley? — czyjś szorstki głos przywraca mnie do rzeczywistości.

— Co? — odwracam się i z lekką dezorientacją patrzę na dwie, właśnie wchodzące do pomieszczenia postacie.

— Jesteś Dion McKinley? — ponownie pyta kobieta, która weszła tu razem z poznanym już wcześniej przeze mnie lekarzem.

Obrzucam ją szybkim spojrzeniem — ubrana elegancko, ostry makijaż... Zdecydowanie wygląda na kogoś, kto nie przywykł do tego, by się jej sprzeciwiać. Ani z nią dyskutować na jakikolwiek temat. Czyli coś mi się zdaje, że będzie miała ze mną ciężkąwą przeprawę...

— Tak — odpowiadam po wyciągnięciu tych, jak się później okaże, słusznych wniosków. — A pani to?

— Laureen Steal — odpowiada, wyciągając do mnie rękę. Ściskam ją sztywno (skoro ona taka jest, to postanawiam, że będę grała według jej zasad. Mam już doświadczenie w zmienianiu obejścia, nie raz mi się to przydawało przy dyskutowaniu z co niektórymi osobami...), czym najwyraźniej nieco ją zaskakuję. Chyba nie przywykła do prowadzenia gry z równymi sobie...

— Miło mi panią poznać — kiwam głową, ale nie zamierzam zaczynać rozmowy.

Kobieta wzdryga się i zaczyna bacznie mi się przyglądać. Coś mi się wydaje, że porządnie ją zdziwiłam swoim zachowaniem. Założę się, że zazwyczaj ludzie przy niej od razu się otwierają...

— A zatem, Dion... — patrzy na mnie, jakby zastanawiając się, z której strony mnie ugryźć. — Może opowiesz mi coś o tym, co cię spotkało? Bo z tego, co powiedział doktor Maluf, to przywieźli cię tutaj w bardzo ciężkim stanie...

— To ja w takim razie panie już zostawię — mężczyzna taktownie się wycofuje i po chwili ja i urzędniczka zostajemy same.

— Rozumiem, że mam pani powiedzieć całą tą historię? — wygodnie opieram się na poduszkach. Wiem, że w tym momencie, w którym podejmuję tą grę, wytrącam ją z rytmu. Nie wiem właściwie, co chcę tym osiągnąć. Może po prostu lepiej się czuję, gdy mam kontrolę nad wszystkim?

— Yy... — zająkuje się na moment. — Tak, poproszę — próbuje odzyskać rezon.

— No to cóż, co mogę powiedzieć — wzruszam ramionami. — Lekarzowi

już wspominałam. Nie miałam walizki z ciuchami, tylko plecak z osobistymi drobiażdżkami, a hotel chciałam zarezerwować dopiero po wizycie w Petrze... I kiedy przyglądałam się tej wyrzeźbionej w skale lilii, pod którą mnie znaleźli, nagle poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Nie zdążyłam się nawet odwrócić, gdy ktoś złapał mnie za rękę i boleśnie je wykręcił — staram się wymyślić najprostszą możliwą historię. Przy takiej prawdopodobieństwo, że ktoś mi uwierzy, jest największe... — Próbowałam się wyrwać, ale wówczas poczułam, jak coś rozcina mi prawą łydkę — wzdrygam się na to wspomnienie. Coś mi się zdaje, że zostanie mi po tym długa blizna. — Nie wiem, co się stało potem, bo zemdlałam. Nie mam pojęcia, czy z utraty krwi, czy z bólu... Po prostu straciłam przytomność i obudziłam się już tutaj.

— Nie pamiętasz, jak ten ktoś wyglądał? — Laureen wyjmuje notes i zaczyna coś w nim pisać. Czyli że co, tutaj wszyscy mają jakieś notesy? Trochę to denerwujące... — Żadnych szczegółów?

— Obstawiam, że to był facet — udaję, że się zamyślam. — Kiedy mnie złapał od tyłu, poczułam silny zapach męskich perfum... Ładnych... — uśmiecham się lekko do siebie. Cóż, wiadomo, kogo podstawiłam w miejsce „tajemniczego” napastnika. A perfumy Ertexa zawsze mi się podobały... — Ale tak to nie... Nie widziałam go.

— Dobrze, rozumiem — kobieta kiwa głową, notując moją wypowiedź. — Myślisz, że potrafiłabyś zidentyfikować napastnika?

„Oczywiście, że potrafiłabym — pry cham w myślach. — Chce pani opis łącznie z cechami charakteru, czy może wystarczy pani sam wygląd hrabiego Metery?”

Wiem jednak, że taka odpowiedź nie będzie najlepszą opcją, i dlatego mówię:

— Już pani wspominałam, że złapał mnie od tyłu — powtarzam, dając szczególny nacisk na ostatnie słowa. — Coś mi się wydaje, że nie miałam specjalnej okazji zobaczenia czegokolwiek. Aczkolwiek mógł być też wysoki i silny — dodaję po chwili namysłu. — Jestem dość wysportowaną osobą, więc musiał być silny, żeby mnie utrzymać.

— Czyli gdybyś zobaczyła jego zdjęcia, raczej nie dałabyś rady go rozpoznać? — urzędniczka rzuca mi uważne spojrzenie.

— Nie, skąd — zaprzeczam, akcentując to dodatkowo ruchem głowy, choć na usta cisną mi się słowa „A jakim cudem da pani radę zdobyć zdjęcia mojego byłego narzeczonego?”. Rzecz jasna nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała, w końcu nie mam najmniejszego zamiaru powiedzieć cokolwiek, co mogłoby zdradzić istnienie Arlesii i ogólnie Vastertilie.

— Dobrze, rozumiem — Laureen odkłada notatnik. — A teraz chciałabym porozmawiać z tobą na jeszcze jeden temat.

— Tak, a o co chodzi? — pytam z lekkim zaniepokojeniem. Coś mi się wydaje, że wiem, cóż to takiego jest. I teraz to już na serio będę musiała nieźle się nagłowić, żeby wymyślić coś sensownego...

— Masz piętnaście lat, prawda? — moja rozmówczyni przysiadła na brzegu łóżka.

— Skończyłam miesiąc temu — przytakuje.

— W takim razie, gdzie są twoi rodzice? Powinni się dowiedzieć o tym, co cię spotkało, a nigdzie w twoim plecaku nie znaleźliśmy telefonu, żeby móc się z nimi skontaktować...

Czyli właśnie padły te słowa, których obawiałam się najbardziej. No i cóż, najwyraźniej powinnam wreszcie włączyć myślenie i wykombinować coś sensownego...

— I widzi pani, tu pojawia się pewien problem — zaczynam nieco wykrętnie, co ona od razu wyłapuje. Czyli jednak miałam rację, mówiąc, że przywykła do słuchania bezsensownego paplania ludzi i wyciągania wniosków z najmniejszego, niby nic nieznaczącego słówka...

— Uciekłaś z domu, tak? — nachyla się do mnie. — Wykradłaś rodzicom pieniądze, zarezerwowałaś miejsce w samolocie i przyleciałaś tutaj, chcąc zacząć nowe życie?

— Nie, a gdzie tam — mam nadzieję, że moje spojrzenie wyraźnie przekazuje to, co chciałabym jej powiedzieć. „A skąd pani wytrzasnęła taki idiotyczny wniosek?”, mówią moje oczy. Bo tak wprost to by nie wypadało... — Moi rodzice nie żyją od roku, od tego czasu bez najmniejszego problemu radzę sobie sama... Wcześniej uczyłam się prywatnie, w domu, bo rodzice nie mieli zaufania do systemu edukacji, więc idąc przyspieszonym tempem naukę skończyłam rok temu, mniej więcej w tym samym momencie, kiedy mama i tata zginęli w katastrofie lotniczej w lutym tamtego roku... W sumie powinna pani o tym słyszeć, Boeing 747 kilka minut po starcie z lotniska na wybrzeżu Stanów spadł do Atlantyku... Wszyscy pasażerowie i załoga, to jest trzysta osiemdziesiąt dziewięć osób, zginęli...

— Tak, słyszałam o tym — kobieta kiwa głową. — Lot od United Continental Holdings, prawda?

— Mhm — przytakuje. — Rodzice byli na pokładzie, ale nikt nigdy nie odnalazł ich ciał, podobnie jak wielu innych ofiar.

— I potem co, trafiłaś do domu dziecka, ale zdecydowanie lepiej czułaś się na wolności i dlatego uciekłaś, zgadłam? — urzędniczka zaplata ręce na piersi. No serio, ona od razu wyciąga takie wnioski? Nie mogłaby poczekać, aż powiem jej, jak było naprawdę? Czyli że co, przywykła do odpytywania jakichś przestępców i teraz z góry wszystkim przypisuje złe pobudki?

— A czy mogę opowiedzieć pani całą historię bez przerywania? — lekko

podnoszę głos, ale to wystarczy, bym znowu wybiła Laureen z rytmu. Tak, zdecydowanie nie spotkała się jeszcze z takim przypadkiem jak ja. Za to ja już od ponad roku przejmuję kontrolę nad tego typu rozmowami, choć na samym początku swoich rządów musiałam się ostro spierać z niektórymi członkami Rady. Na szczęście po pewnym czasie i po użyciu odpowiednich środków zrozumieli, kto tu rządzi...

— Tak, proszę — kobieta odpowiada niemalże mechanicznie, mierząc mnie speszonym spojrzeniem. Chyba właśnie odkryła, że nie da rady mnie rozgryźć...

— Dziękuję. Więc po śmierci rodziców jakimś cudem cały świat o mnie zapomniał i bez najmniejszego problemu przez nieco więcej niż ostatni rok mieszkałam sama, w kawalerce w bloku. Kasę miałam po pierwsze z oszczędności, po drugie ubezpieczyciel wypłacił mi całkiem niezłą sumkę po tej tragedii, czyli to nie stanowiło kłopotu. A że rodzice bardzo często wyjeżdżali do innych krajów, nie mam pojęcia, z jakiego powodu, to wcześniej sporo czasu spędzałam sama i już umiałam sobie radzić. I pewnie nawet nic by się nie wydarzyło i nikt do mojej osiemnastki nie odkryłby, że nie mam rodziców, gdyby nie skończyła mi się umowa najmu, a potem, jeszcze przed znalezieniem sobie czegoś przytulnego, nie postanowiłam wybrać się do Petry, bo zawsze chciałam ją zobaczyć...

— Czyli tak, młoda damo, jeżeli będę mówiła coś złe, to mnie popraw — urzędniczka uśmiecha się z wyższością, jakby właśnie zyskiwała nade mną przewagę. Proszę bardzo, niech się nacieszy tymi swoimi urojeniami, jak przyjdzie odpowiedni czas, to wyprowadzę ją z błędu. — Masz piętnaście lat, twoi rodzice zginęli w katastrofie rok temu, i od tego czasu mieszkasz sama, nawet dobrze sobie radząc.

— Mniej więcej można to tak podsumować — kiwam głową.

— Ale zdajesz sobie sprawę, że mimo tego wszystkiego nie możesz dłużej mieszkać sama, skoro to już zostało odkryte? — Laureen wymierza cios i wydaje jej się, że trafiła ze śmiertelną precyzją. Na jej nieszczęście mnie bardzo trudno jest wyprowadzić z równowagi...

— A ja byłam pewna, że pani jest tutaj po to, żeby pomóc mi wrócić do kraju, a nie, żeby decydować, jaka będzie moja przyszłość — robię błyskawiczny unik, równocześnie wymierzając ripostę.

— Bo po to jestem — odpowiada błyskawicznie, nie zastanawiając się nad swoimi słowami. Zaraz się przekona, że powinna ugryźć się w język...

— To w takim razie dlaczego pani od razu mówi, że nie będę mogła mieszkać sama? — mierzę ją uważnym spojrzeniem. — Bo coś mi się zdaje, że to raczej nie zależy od pani, tylko od odpowiednich urzędników. A z tego, co wiem, to żadna ambasada się tym nie zajmuje.

— No, cóż... — bardzo się zmieszala. — Ja po prostu chcę cię uprzedzić, że po powrocie do kraju najprawdopodobniej trafisz do domu dziecka i zostaniesz tam

jeszcze przez parę lat.

— Albo udowodnię przed sądem, że jestem w stanie w zupełności poradzić sobie sama, ewentualnie ze współlokatorką i bez problemu uda mi się wszystko załatwić po swoim — wzruszam ramionami. — Widzi pani, ja też znam się trochę na prawie.

— Właśnie widzę — mruczy ze złością.

— I również mam nadzieję, że pani mi pomoże w osiągnięciu tego — uśmiecham się do niej słodko. — Jednak jakby nie było, powinna pani pomagać, a ja w tym przypadku bardzo potrzebuję pomocy. Już nie wspominając o tym, że i tak pani musi mi załatwić miejsce w jakimś domu dziecka, więc czy nie mogłaby pani zamiast tego choć spróbować załatwić to, o co proszę?

— W sumie mogę — kiwa głową po chwili namysłu. Widać nie jest aż tak do szczętu zła, albo też uznała, że jeżeli zrobi to, na czym mi zależy, nie będzie musiała się ze mną już więcej użerać. — W takim razie ty, Dion, odpoczywaj i zdrowiej, a ja w międzyczasie zajmę się wszystkim, co jest potrzebne do sprowadzenia cię do ojczyzny i załatwienia tej sprawy — oświadcza, po czym wstaje i wychodzi z sali.

Z jękiem opadam na poduszki. Ta rozmowa strasznie mnie wyczerpała, nie spodziewałabym się, że po tym, co mnie spotkało, tak bardzo będzie mnie męczyło uzyskiwanie swoich racji. Kiedyś to nie stanowiło dla mnie żadnego problemu, ale teraz, jak widać, żeby ponownie toczyć boje z członkami Rady, musiałabym porządnie odpocząć...

Nie, wróć. Na razie nie będę toczyła wojen z Radą, w końcu nie planuję wracać do Arlesii, dopóki nie dostanę wiadomości od mojego byłego nauczyciela. I może w sumie dobrze, w końcu należy mi się jakiś odpoczynek od tego wszystkiego. Po śmierci rodziców, odkąd uzyskałam koronę, jeszcze nie miałam okazji wybrać się na tak zwany urlop. A teraz? O ile wszystko dobrze pójdzie, to może nawet kupię sobie jakieś mieszkanko (w końcu kasy na koncie tutaj mam wiele, rodzice zawsze chcieli mieć dla mnie jakieś zabezpieczenie, nawet na Sterilie), zamieszkam z jakąś sympatyczną dziewczyną, znajdę sobie pracę... I dopóki Estive nie wezwie mnie do siebie, będę jakoś tu sobie radzić, by w pewnym momencie najpewniej rzucić wszystko i wrócić do wcześniejszych obowiązków, może nawet na tron...

Z głową pełną takich myśli nawet nie zauważam, jak wszystko wokół mnie się rozmywa, a ja zapadam w głęboki sen, pełen bolesnych koszmarów...

* * *

— I jeszcze raz dziękuję panu za wszystko, doktorze Maluf — posyłam lekarzowi promienny uśmiech.

— Leczyć taką pacjentkę jak ty, Dion, to czysta przyjemność — ujmuję moją dłoń i, jak na prawdziwego gentelmana przystało (a już miałam możliwość się przekonać, że takowym jest), składa na niej pocałunek. — I możesz być pewna, że ja nadal wierzę w to, że wszystko, o czym mówiłem ci na początku naszej znajomości — dodaje z lekkim uśmiechem.

— Pan wie swoje, ja wiem swoje, i wszyscy jesteście szczęśliwi — macham do niego, po czym odwracam się i, lekko kulejąc, podchodzę do stojącego przed wejściem do szpitala Porsche Cayenne. Mocno ściskając w dłoniach plecak z moimi drobiazgami, jedynymi pamiątkami z Arlesii (poza szpilkami, które w tym momencie mam na nogach — cudem jest to, że pozwolili mi je ubrać po tym, co mnie spotkało i po tym, że założyli mi kilkanaście szwów, które co prawda już zdjęli, ale nogi ponoć mam nie obciążać), wsiadam do środka.

— Cieszę się, że już wyglądasz lepiej, Dion — Lauren mierzy mnie uważnym spojrzeniem. — Tylko wydajesz się być trochę niewyspana...

— Cóż, odkąd obudziłam się w szpitalu, nie śpię najlepiej — wzruszam ramionami. — Od tych dwóch tygodni ciągle śni mi się koszmary — wyznaję. Nie widzę powodu, dla którego miałabym się do tego nie przyznać kobiecie...

— To współczuję — urzędniczka ściska moją dłoń. Tym razem jest o wiele bardziej przyjazna, niż za naszym pierwszym spotkaniem. — Takie wydarzenie na pewno musiało być dla ciebie straszne i bardzo wstrząsające.

— I było — kiwam głową. Ona tylko nie wie, dlaczego. I dobrze, niej tak zostanie. Gdyby dowiedziała się, że wiem o wiele, wiele więcej niż mogłoby się wydawać, na pewno cała ta historia nie skończyła się dla mnie dobrze...

— Wiesz co, Dion, teraz to już na sto procent udało mi się wszystko załatwić tak, żebyś od razu po powrocie mogła zamieszkać już nie w domu dziecka, tylko sama — kobieta uśmiecha się, całkiem dumna z siebie.

— To świetnie — kiwam głową, patrząc na to, co znajduje się za przyciemnianym oknem samochodu. — Ale jest jakiś haczyk, jak mniemam?

— Nie ma żadnego — zaprzecza Lauren. — Tylko musisz zamieszkać z kimś, nie sama. Ale nie martw się, Dion, wyobraź sobie, że już znaleźliśmy ci współlokatorkę. Jest mniej więcej w twoim wieku i też nie ma najmniejszego zamiaru mieszkać w domu dziecka. Znaleźliśmy ją tutaj, w Ammanie, bo uciekła z domu od matki pijaczki, a zawsze chciała zwiedzić Petrę... Prawie tak samo, jak ty!

„Prawie robi ogromną różnicę — myślę. — W końcu co ty wiesz o mojej historii poza tym, co ci powiedziałam?”

— To super — uśmiecham się do niej. — Kiedy ją poznam?

— Za parę minut — oświadcza. — Czeka na ciebie na lotnisku, od razu wrócicie razem do Stanów.

— A zgodziła się zamieszkać w Long Beach? — zerkam na nią. — Zdajesz

sobie sprawę, że po tym, co mi powiedziałaś, kupiłam już dom?

— Zdaję sobie sprawę — kiwa głową. — W końcu podpisałam umowę, nie pamiętasz?

— Pamiętam — przytakuję. — Ale zgadza się na to?

— Oczywiście, że się zgodziła, łącznie z tym, że pomoże ci w płaceniu rachunków, gotowaniem, ogólnie ze wszystkim w tym guście.

— No to spoko, teraz pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że będzie w miarę normalna... — wzdycham.

— Będzie, już ją sprawdziliśmy — Laureen zerka na smartphona, widać chwilę temu przyszedł jej SMS. — Ma całkiem dobre wyniki w szkole, psycholog wydał odpowiednią opinię, tak więc wariatką nie jest. A z resztą, przekonasz się sama, już dojeżdżamy.

Kiwam głową i jeszcze mocniej ściskam plecak w dłoniach. Czyli tak, za maksymalnie parę minut poznam swoją współlokatorkę, dziewczynę, z którą muszę się zaprzyjaźnić, i z którą będę spędzała większość swojego wolnego czasu. Jeżeli będzie taka sama, jak moja kuzynka Cinderly, to wiem tylko tyle, że z nią nie wytrzymam. Jeżeli będzie choć odrobinę podobna do którejkolwiek z moich kochanych mordek, to może być naprawdę świetnie.

— Słuchaj, Dion, ja pójdę dogadam się z tą dziewczyną i jej opiekunem — urzędniczka wybudza mnie z odrętwienia, stukając mnie lekko w ramię. — Zaczekasz na nas w holu?

— To ja do toalety pójdę — mówię, wysiadając w samochodzie. — Czyli wychodzi na to, że to wy będziecie musiały na mnie poczekać...

— Rób jak uważasz, tylko nie spóźnij się na samolot — kobieta kiwa głową, po czym szybkim krokiem zmierza do wnętrza terminala.

Przez chwilę obserwuję, jak kołyszając się na niebotycznych platformach, znika w budynku. Potem wzdycham, narzucam plecak na ramiona i spokojnym tempem wchodzę do środka.

Na moment przystaję i patrzę na strzałki, rzecz jasna podpisane również po angielsku (gdyby było inaczej, na pewno bym się nie odnalazła). W końcu jedna łaskawie raczy mnie pokierować do damskich toalet, więc uśmiecham się w duchu i zaczynam podążać we wskazanym kierunku.

Zaledwie jakąś minutę zajmuje mi dojście do łazienek. Potem wchodzę do środka, rzucam plecak na blat, w który wpuszczone są umywalki, i opieram twarz w dłoniach. Nie, na serio jestem totalnie niewyspana, przecież to widać na pierwszy rzut oka. Od tego, jak potraktował mnie Ertex, dzień w dzień, noc w noc śnią mi się potworne koszmary. Ciągle przeżywam tę sytuację na nowo, i co gorsza, za każdym razem jestem coraz mniej pewna słuszności swojego działania. Od powrotu, przeproszenia za ten głupi wybryk (bo tak bym pewnie to ujęła) powstrzymuje mnie tylko to, że rady Estive'a nigdy mnie nie zawiodły i zawsze,

nawet jeżeli po pewnym czasie, okazuje się, jak dobrze jest to, że postępuję zgodnie z nimi. No i jeszcze może to, że bym przez przypadek nie napatoczyła się na mojego ex i nie rozszarpała go na strzępy gołymi rękami...

Wyciągam z kosmetyczki korektor i chcę wycisnąć odrobinę na palec, żeby spróbować zamaskować cienie pod oczami. Ale jak na złość okazuje się, że właśnie mi się skończył. Nie no, super! Właśnie mam poznać swoją nową współlokatorkę i najwyraźniej będę wyglądać jak sto nieszczęść!

— Jak chcesz, to mogę ci pożyczyć mój — odzywa się stojąca obok nastolatka, wyciągając w moim kierunku tubkę.

— Dzięki, życie mi ratujesz — uśmiecham się do niej z wdzięcznością. — To jakaś masakra... — wzdycham, nakładając korektor na swoje niedoskonałości. — Po prostu masakra...

— Współczuję, i wiem co to znaczy — dziewczyna również wzdycha. — Wyobraź sobie, że za parę minut moje życie ma całkowicie zmienić kierunek, i w sumie niby na lepsze, ale trochę tej zmiany się boję...

— Wszystkie zmiany wywołują strach — wzruszam ramionami. — Lecisz do Stanów? — pytająco zawieszam głos.

— Zapewne tak samo, jak ty — uśmiecha się lekko. — Lara Jones — wyciąga w moim kierunku rękę.

— Dion McKinley — ściskam ją, przedstawiając się imieniem i nazwiskiem, jakim mam zamiar się tu posługiwać (i z resztą tym, którego praktycznie zawsze używam na Sterilie). — Miło cię poznać.

— Dzięki, nawzajem — przez moment siedzimy w ciszy, którą ona znów przerywa. — Przyleciałaś z rodzicami?

— Cóż, chciałabym — uśmiecham się gorzko. I taka jest prawda, gdybym w tym momencie była tu z rodzicami, oznaczałoby to, że oni wciąż żyją, a ja nie musiałabym zajmować się rządzeniem Arlesii... — Ale niestety muszę zaprzeczyć. Wybrałam się tu na wycieczkę i właśnie wracam.

— Tak po prostu cię puścili czy uciekłaś z domu, jak ja? — Lara wyciąga z plecaka butelkę wody i pociąga łyk.

— Właściwie to chyba trudno to zmieścić w którejkolwiek kategorii — wzruszam ramionami. — Wiesz, oni nie żyją, więc ani nie mogłam od nich uciec, ani nie mogli pozwolić mi, żeby tu przyjechać.

— To mi przykro — robi smutną minę, po czym gorączkowo zaczyna się nad czymś zastanawiać. — Czekał chwilę... Ty jesteś tą dziewczyną, którą ledwo żywą znaleźli w Petrze? Tą, o której pisali w gazetach?

— Niestety, muszę potwierdzić — wzdycham. — Choć muszę przyznać, że rozpisywanie się o tym na kilka stron było całkowicie bezsensowne...

— To w takim razie ja mam z tobą zamieszkać! — wykrzykuje dziewczyna. — Ludzie, jak ja się cieszę! Byłam przekonana, że ty jesteś jakaś

walnięta!

Patrzę na nią z zaskoczeniem. No to interesujące, bo ja to samo myślałam o niej...

— No to spoko, bo ja też się tego bałam — mrugam do niej. — Ale skoro już się przekonałyśmy, że jesteśmy względnie normalne, to może chcesz zobaczyć, gdzie będziemy mieszkać?

— Super, pokaż! — rozemocjonowana nastolatka zachowuje się niemalże jak dziecko.

Bez słowa wyciągam z kieszeni spodni smartphona (za moją kasę kupiła mi go Lauren, kiedy powiedziałam jej, że poprzedni model musiał mi zabrać ten napastnik. No cóż, w końcu powinnam się przystosować do panujących tu metod komunikacji...) i po chwili przeglądania galerii pokazuję jej zdjęcie.

— W Long Beach, sześć minut od plaży — informuję dziewczynę, widząc malujący się na jej twarzy zachwyty. — I co o tym powiesz?

— Jest piękny — z podziwem przygląda się naszemu domkowi. — A masz zdjęcia ze środka?

Kiwam głową, po czym wchodzę w oddzielny album. Urzędniczka spisała się doskonale — jej pośrednik wszystko obfotografował, żebym dzięki tym zdjęciom mogła spokojnie zdecydować, że właśnie tam chcę mieszkać.

— I na serio my w czymś takim będziemy mieszkać? — Lara wydaje się być w siódmym niebie.

— Na serio, na sto procent — kiwam głową. — A jeżeli mamy tam polecieć najbliższym lotem, to radziłabym już stąd wyjść i przejść do miejsca odpraw — dodaję po zerknięciu na wyświetlacz.

* * *

— Lauren była szczęśliwa, wiedząc, że już się zdążyłyśmy poznać i ze sobą oswoić — kontynuuję opowieść. — Potem bez żadnych przeszkód doleciałyśmy do Stanów. Lara poszła do szkoły, ja spróbowałam swoich sił na stażu w jakiejś firmie, jak już skończyłam szesnaście lat. Jednak okazało się, że to nie było dla mnie, potem próbowałam różnych zajęć, aż koniec końców zostałam freelancerem i co jakiś czas opracowywałam strategię rynkową dla małych firm. Całkiem niezłą kasę z tego miałam, uwierzysz? No i poza tym jeszcze tradycyjnie sport, a mianowicie surfing i jazda konna (choć nic nie przebije galopu w pełnym tempie na moim Goldierze)... I mniej więcej tak upłynął mi czas, do momentu, w którym w moje okno zapukał gryf.

— Interesująca historia — stwierdza Estive, chwytając za wiosła.

— To co, już mogę powiedzieć ci coś więcej o tym, co mnie teraz tu do ciebie sprowadza? — patrzę na niego błagalnie. Te sprawy zbyt długo mnie dusiły,

żebym mogła je w sobie utrzymać choćby jeszcze przez chwilę.

— Cierpliwości, Lumino, cierpliwości — stwierdza. — Na pewno ci się ona przyda.

— Ale co ma cierpliwość do moich problemów? — usilnie próbuję się zmusić, żeby nie wybuchnąć.

— Potrzebujesz jej, żeby udało ci się w miarę sensownie rozwiązać problem, który wynikł pod postacią twojego byłego — chłopak oznajmia z lekkim uśmiechem. — Już któryś raz ci to dziś powtarzam. Tak więc spokojnie, dziesięć minut cię nie zbawi, poczekaj, aż wysiadziemy na wyspie.

Wzdycham ciężko i kiwam głową. No cóż, czyli teraz na serio nie pozostaje mi nic więcej, niż tylko uzbroić się w cierpliwość...

[1] Cese desetisantis? (arlein) — Gdzie jestem?

Rozdział XXXVII

W pewnym momencie czuję, jak dno łodzi gwałtownie ociera się o piasek mielizny kilkanaście metrów od brzegu. Dalej już nie popłyniemy, chyba, że bez żadnego wspomagania. Ale i tak nie jest ono nam potrzebne, skoro tuż po tej mieliźnie znajduje się tunel prowadzący do jaskiń...

— To coś mi się wydaje, że będę ci miała wiele do opowiedzenia — uśmiecham się lekko do siedzącego obok mnie „chłopaka”. — Tylko najpierw będę musiała się przebrać, a chyba jeszcze jakieś moje ciuchy zostały w sypialni... Zaczekasz na mnie w bibliotece? To potem usiedlibyśmy w spokoju, ja bym ci wszystko opowiedziała, a ty pomógłbyś mi w ogarnięciu czegośkolwiek... I na pewno udałoby się nam wymyśleć jakieś sensowne rozwiązania, tym bardziej, że w końcu ty jesteś tym, kim jesteś...

— Wiesz co, Lumino, stwierdziłem, że dzisiaj będzie lepiej omówić to na powierzchni — oznajmia, wciągając wiosła do środka. I tradycyjnie mówi to z takim spokojem, jakby strzepywał pyłek z koszuli. — Świeże powietrze służy myśleniu, a jeżeli faktycznie masz rację i planujesz poruszyć tak dużo spraw, to każde wspomaganie się przyda.

— W sumie masz rację... — przytakuję po chwili namysłu, po czym z łodzi wyskakuję prosto do jeziora i trafiam od razu na głębię (czyli na tunel prowadzący do jaskiń pod wyspą). Pierwsze, co robię, to zdejmuję szpilki, łapię je za obcasy i zaczynam płynąć. A swoją drogą to ciekawe, dlaczego tym razem Estive nie chce, żebyśmy przemyśleli to w środku... Może i faktycznie ma rację, mówiąc z tym świeżym powietrzem... W końcu, czy kiedykolwiek wyszło mi na gorsze, kiedy się go posłuchałam?

Ale z drugiej strony... Nie wiem, czemu, ale coś każe mi myśleć, że coś jest nie tak. Coś w zachowaniu smoka każe mi mieć się na baczności. Tylko ja po prostu nie wiem, o cóż takiego mi chodzi... Coś mi przeszkadza, ale nie potrafię dokładnie sprecyzować, co to jest...

Jakieś dwie minuty później (bo nie mam najmniejszego zamiaru się spieszyć, ja lubię rozkoszować się pływaniem) staję już bezpiecznie na plaży. Szpilek nie zakładam — po pierwsze w nawet najwygodniejszych butach na wysokich obcasach paskudnie chodzi się po takim podłożu, a po drugie jednak samo uczucie rozgrzanego piasku pod stopami i pomiędzy palcami jest cudowne...

— To w takim razie powiesz mi, cóż to takiego się stało, że aż potrzebujesz mojej pomocy? — mój były nauczyciel niemalże materializuje się obok mnie.

— Daj mi usiąść. Mało ci mojego opowiadania na razie? — odpowiadam, po czym wzrokiem zaczynam szukać jakiegoś wygodnego miejsca. Nie jest to łatwe, bo jeżeli mam być szczerą, na wyspie nie bywałam szczególnie często, zazwyczaj

większość czasu spędzałam w jaskiniach...

Moment później zauważam dość fajne drzewko (nie wiem, czy przypadkiem jego pierwowzorem nie była paulownia, bo wygląda praktycznie tak samo, tylko ma kwiaty większe i bardziej pachnące).

Podchodzę do niego i po chwili namysłu, zamiast sięść pod nim, jak przystało na dobrze wychowaną damę (jaką zapewne powinnam być, skoro byłam królową), dość opornie wdrapuję się na najniższą gałąź. Od razu czuję się z tym lepiej — oszałamiający zapach leciutko otumania mój mózg, a wszechobecny lawendowy fiolet, bo drzewo akurat kwitnie, sprawia, że czuję się jak w niebie.

Estive niemalże od razu idzie w moje ślady i błyskawicznie i bardzo zręcznie wskakuje na gałąź obok mnie.

— To jak, opowiesz mi? — krzyżuje ramiona na piersi, po czym opiera się o pień drzewa i zaczyna mnie bacznie obserwować.

— Już mówię, spokojnie — unoszę ręce w obronie. Co mu się tak spieszy? Dziwne... — No więc tak w telegraficznym skrócie, Ertex chce przejąć tron. Z racji, że specjalnie odważny to on nie jest i nie chce bezpośrednich starć, to wcale nie ma zamiaru wywołać rewolucji. Wykorzystał jedną z tradycji, które są totalnie znane, ale jeszcze nikt z nich nigdy nie korzystał, bo nie były potrzebne... Wiesz, o którą mi chodzi?

— Nie, skąd, wcale — odpowiada z tym swoim tradycyjnym sarkazmem. — Przecież wcale nie uczyłem cię zasad, praw i tradycji, które od wieków obowiązują w Arlesie.

— No tak, idiotka ze mnie — uśmiecham się z lekkim wstydem na twarzy. W sumie powinnam o tym pamiętać. Trochę głupio mi się zrobiło... — No więc stwierdził, że zrobi pożytek z tego, że kiedy poddani nie są zadowoleni z rządów władcy i równocześnie mają odpowiednią osobę na to miejsce, to mogą wpłynąć na Radę i, o ile oprócz osoby mają też argumenty, zmienić władcę. I coś mi się wydaje, że Cinderly specjalnie nie radzi sobie w roli Jej Wysokości der Soltarie, bo przecież inaczej mój były by się nie zabierał za tak drastyczne kroki. A skoro tak jest, to Ertex, jako hrabia Metery (bo tytuł przecież bardzo mu pomoże w uzyskaniu tego, na co ma chrapkę, przecież najpewniej nie wybraliby takiego przeciętnego mieszkańca na przykład Ginetu), stwierdził, że postanowi być bohaterem i jakoś udało mu się ugadać z ymulami, choć szczerze, nie wiem, jak to zrobił. W każdym razie o efekcie zapewne wiesz; armia ymuli atakuje miasto, mój ex sam jeden wyjeżdża im naprzeciw, oni uciekają na sam jego widok... I „ocalonym” — przy tych słowach robię w powietrzu cudzysłów — aż wstyd nie uznać go za prawdziwego bohatera, w końcu „uratował” ich rodzinne miasto przed atakiem ymuli, o których chodzą legendy, że są znakomitymi, ale równocześnie bezlitosnymi wojownikami... A skoro takie ataki dzieją się za panowania Cinder, to znaczy albo to, że ona im na to pozwala, albo nie potrafi sobie z tym poradzić.

Wniosek może być tylko jeden, nie nadaje się na królową, czyli przydałby się ktoś odpowiedniejszy na to miejsce. Nikogo więcej z dynastii der Soltarie ani Soltarie nie ma, ale że to prawo pozwala wybrać kogokolwiek z ludu, że to tak określe, to przecież od razu na myśl nasuwa się ten, który „ocalił” miasta przed zagładą ze strony ludzi cienia.

— Intrygująca teoria — Estive uśmiecha się tym swoim tajemniczym uśmieszkiem. Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mi się rozszyfrować, o co w nim chodzi... Ale... albo mi się wydaje, albo dwa lata temu uśmiechał się nieco inaczej...

— Jestem gotowa się założyć, że tak jest w rzeczywistości — mówię, poprawiając się na gałęzi. — Ale plan ogólnie ma na serio doskonały, muszę to przyznać ze smutkiem. Wyobraź sobie, że asekurację wybrał dosłownie genialną. Spryciarz przewidział, że mogę wrócić i upomnieć się o swoje, poprawka, że ty możesz mnie sprowadzić. I zgadnij, co zrobił.

— Nie mam pojęcia — „chłopak” wzrusza ramionami. — Oświecisz mnie?

— Spoko, choć byłam pewna, że wiesz — uspokajająco unoszę ręce. Teraz to mnie zdziwił... A miałam stuprocentową pewność, że on zdaje sobie sprawę z każdego szczegółu planu mojego ex, co więcej, że może nawet powie mi o nim nieco więcej, niż ja wiem w tej chwili... — Więc chodzi o to, że zapłacił jakiejś teyce za udawanie mnie. I teraz jestem w samym środku obozu ymuli, i kto wie, czy nawet nie dowodzę atakiem przeciwko jakiemuś miastu... W sumie był już Xerion, było Zesten, Listeshire też... Jeszcze mam mnóstwo miejsc, które mogę chcieć zdobyć — uśmiecham się ponuro. — Tylko swoją drogą, to ja ciekawa jestem, jaka będzie reakcja ymuli i teyków, kiedy dowiedzą się, że Ertex po przejęciu tronu chce się ich pozbyć tak samo, jak innych potomków buntowników z Seiten Gaye...

— Pozbyć? — mój były nauczyciel wydaje się być zaskoczony. Tylko o co mu chodzi?

— No tak, pozbyć — kiwam głową. — Nie wiem dokładnie, jak chce to zrobić, może zamierza ich wygnać poza granice Arlesii, może przenieść do Stertilie nie pozostawiając drogi odwrotu, a może po prostu wybić do nogi... Jeszcze tego nie odkryłam, ale mam nadzieję, że mi w tym pomożesz. Wtedy będzie łatwiej go unieszkodliwić... Ja jestem gotowa zaryzykować, nawet, jeżeli to będzie się łączyło z tym, że Tex całkowicie zniszczy mi reputację... — łapię się na tym, że użyłam jego zdrobnienia. No cóż, trudno... Teraz nic na to nie poradzę. — Bo nie pozwolę, żeby w jakikolwiek sposób skrzywdził moje siostry, czy kogokolwiek innego... Bez względu na to, czy ten ktoś będzie według standardów Ertexa normalny, czy nie — oświadczam z pełną mocą, na jaką w tym momencie mnie stać.

Przez moment pomiędzy nami zapada głucha cisza.

— To faktycznie sytuacja jest poważna — po chwili przerywa ją Estive. — I widzę, że ty już działasz, moja droga. Uparcie zdobywasz informacje, gratuluję — pochyła głowę, nie wiem, czy z uznaniem, czy może po prostu chce przede mną ukryć swój wyraz twarzy. Po nim w zasadzie mogę się spodziewać wszystkiego...

— To z tą teyką wyszło tak właściwie nawet przypadkiem — wzruszam ramionami. — Byłam w Listeshire, kiedy nastąpił atak. Z murów udało mi się siebie zauważyć, ale to chyba tylko dlatego, że przez geny, które rodzice mi załatwili, mam sporo lepszy wzrok niż inni. A co do tych ataków na miasta i tego, co mój ex planuje zrobić z Odmiennymi, to przecież wiem od ciebie. Gryf, którego do mnie wysłałeś, powiedział mi dokładnie o wszystkim. Wiesz, ten, który doleciał do mnie jako drugi... — dodaję, widząc, jak na jego twarzy pojawia się niezrozumienie.

— Lumino, ja o żadnym drugim gryfie nie wiem — mówi ze stuprocentową powagą. — Ja wysyłałem do ciebie tego, który miał cię poinformować o tym, że twój były coś planuje, przeciągnął ymuli na swoją stronę i że najpewniej nie skończy się to dobrze.

— Czyli że co... Ten drugi nie był od ciebie? — patrzę na niego z autentycznym przerażeniem. — Ktoś wysłał mi wiadomość o tym, co się tutaj dzieje i było to stuprocentowo prawdziwe. Tylko w jakim celu to zrobił?

— Może, żeby wprowadzić cię w błąd — „chłopak” wzrusza ramionami.

— Tylko że to wszystko, o czym powiedział mi tamten gryf, okazało się prawdą! — niemalże wykrzykuję. — Czy ty nie rozumiesz, że to jest za bardzo skomplikowane, jak dla mnie? Nie dość, że coś ze mną jest nie tak, to jeszcze teraz jeden z powodów, dla których przyjechałam, okazał się być przynajmniej w części fałszywy, bo nie pochodził od ciebie? Nie, ja już nie wyrabiam — pochylam się i ukrywam twarz w dłoniach, starając się zachować równowagę na gałęzi, na której siedzę. Chyba powoli niebezpiecznie zbliżam się do krawędzi załamania nerwowego... Bo ostatnio wszystkiego jest za dużo...

— Coś jest z tobą nie tak? — mój były nauczyciel zaczyna mi się bacznie przyglądać.

— Tak mi się przynajmniej wydaje — prostuję się, kiwając głową. — Spójrz mi w oczy — proszę i nachylam się do niego.

Dopiero po chwili na twarzy Estive'a pojawia się zrozumienie, o co mi chodzi.

— Faktycznie — przytakuje, prostując się. — Piękne oczy, Lumino. Zainwestowałaś w szkła kontaktowe na Stertilie i teraz, dla poprawienia efektu je nosisz?

— No wiesz co! — patrzę na niego z oburzeniem. — Podejrzewasz mnie o coś takiego?

— Nie, ja po prostu nie podejrzewam cię o tak wielką głupotę, żeby zbliżać się do jednego z największych smoków — wzrusza ramionami. — A innej opcji nie widzę.

— Czyli to nie może być skutek ostatniego stadium tasylirozy? — mój wzrok wyraźnie wyraża mój niepokój.

— Nie ma szans — kręci głową. — To mogło powstać tylko i wyłącznie przez kontakt ze smokiem, moja droga. A to i tak zależy od odpowiednich genów, których ty na sto procent nie masz. Czyli to mogą być tylko i wyłącznie szkła kosmetyczne — wyrokuje.

— No cóż... — mój mózg wskakuje na maksymalne obroty. Dlaczego on nie zauważył zmiany od razu? Przecież za każdym razem, jak coś się we mnie zmieniało, bez względu na to, czy to była widoczna zmiana, czy nie, to ją wyłapywałem dosłownie od razu... Coś tu jest nie tak, tego jestem pewna. Pytanie tylko brzmi, co... — Rozgryzłeś mnie — uśmiecham się smutno, udając przygnębioną. Wpadłam już na pewną teorię i za nic w świecie nie mogę pokazać, że ją mam...

— W końcu znam cię tyle lat — uśmiecha się szelmowsko. — Dziwne by było, jakbym czegoś takiego nie zauważył. A co powiedziały na to twoje przyjaciółki?

— Z moją pomocą stwierdziły, że to najpewniej właśnie przez tą moją chorobę — wzruszam ramionami. — Wiesz, jak mi wierzą, wcale nie było trudno je do tego przekonać.

— Wiem, wiem — kiwa głową, po czym między nami zapada cisza.

Uważnie mierzę go wzrokiem, szukając jakiegokolwiek potwierdzenia albo zaprzeczenia mojej teorii. Proszę, żeby to nie była prawda...

Nagle się prostuję — chyba właśnie wpadłam na genialny pomysł, jak mogę się przekonać, czy mi odbiło, czy może moje chore urojenia są prawdziwe...

— Coś się stało? — mój były nauczyciel od razu wyłapuje zmianę w mojej postawie.

— Nie, nic, nic — uśmiecham się jakby tak trochę nieobecnie. — Tak tylko sobie przypominałam twoje opowieści o tym, jak się poznaliśmy... I że gdyby nie ty, to być może bym tu nie siedziała...

— No coś ty — na jego twarzy pojawia się ten jego nierozszyfrowywany uśmieszek. — Chyba nie chcesz mi wmówić, że błądzenie po Seiten Gaye może być niebezpieczne. Prędzej czy później dotarłabyś do Selumie, tylko mogłabyś trochę najeść się strachu, nic więcej.

— No tak, w sumie też racja... — jeżeli wcześniej myślałam, że mój mózg jest na maksymalnych obrotach, to zdrowo się myliłam. Chyba dopiero teraz wiem, co to naprawdę znaczy. Matko jedyna, on odpowiedział źle! Przecież nie mógł zapomnieć, wielokrotnie na podstawie tego zdarzenia, dzięki któremu się

poznaliśmy, pomagał mi w nauce wyciągania wniosków, przewidywania... To w takim razie jak mam rozumieć fakt, że teraz sypnął mi wersją, którą wymyśliliśmy na potrzeby opinii publicznej? Czyżby... Nie... Proszę, nie...

— No chyba, że uważasz siebie za tak tchórzliwą, że ten strach, którego wówczas byś się najadła, mógłby cię zabić — dodaje po chwili namysłu. — Czyli teraz musimy trochę popracować nad twoją samooceną, w końcu nikt nie jest aż tak strachliwy, żeby zwariować w Gaju Cudów, nawet w jego barierze ochronnej.

Zanim zdobywam się na odpowiedź, przez moment patrzę mu w oczy. Pragnę wyczytać w nich, że on żartuje, że tylko mnie wrabia... Bo to przecież bym poznała, niejednokrotnie próbował mnie naciąć i mu nie wychodziło... Ale niestety nie znajduję w nich nic takiego... I moje najgorsze obawy się potwierdziły...

— W sumie nie ważne — macham ręką, żeby pokazać, jak bardzo lekceważę temat. Równocześnie przełączam swój mózg w tryb myślenia logicznego i wszystko mi się rozjaśnia. Teraz mogę na spokojnie, na zimno oszacować, jak poważne jest niebezpieczeństwo, w którym się znalazłam, o ile faktycznie mam rację. I zakładając, że to nie jest po prostu głupia pomyłka z mojej strony, bo przecież mogłam nagle stracić wyczucie, jeżeli chodzi o czyjeś poczucie humoru. Po tak zaawansowanym stadium tasylirozy, w którym się znalazłam, to wszystko jest możliwe. Dosłownie wszystko. Chyba muszę wszystko na spokojnie przemyśleć... — Estive, wiesz co, ostatnim razem, jak u ciebie byłam, zostawiłam w swojej sypialni moją ulubioną suknię do jazdy konnej — mówię nagle, zwracając jego uwagę. — Poczekaj tu na mnie, za jakieś pięć minut powinnam z nią wrócić, no chyba, że więcej czasu zajmie mi szukanie...

— Idź, idź — kiwa głową. — Nie musisz się spieszyć, ja w międzyczasie pomyślę nad rozwiązaniem, jakie będę mógł ci zaproponować.

— Dzięki — uśmiecham się do niego z wdzięcznością i, starając się nie biegnąć, spokojnym krokiem podchodzę do plaży. Potem daję szybkiego nura w wodę (na szczęście nie muszę wstrzymywać oddechu, ten gen jest naprawdę cudowny) i już jestem w tunelu, prowadzącym do jaskiń.

Gdy po bokach migoczą mi świecące własnym światłem ściany, w głowie szaleje mi prawdziwa burza. Logiczne myślenie się skończyło, teraz mogę pokazać wszystkie emocje... Chyba nigdy jeszcze nie czułam się w towarzystwie „chłopaka” tak nieswojo, jak teraz, kiedy moja teza praktycznie została potwierdzona w każdym calu...

Moment później wypływam na powierzchnię jeziora w bibliotece. Na początku mam zamknięte oczy i je przecieram, by pozbyć się z nich wody, więc nie widzę, co się dzieje dookoła mnie, ale kiedy już stoję na suchym lądzie i je otwieram, zamieram z przerażenia i zdumienia równocześnie...

Rozdział XXXVIII

Dopiero po kilkunastu sekundach jestem w stanie zrobić jakikolwiek ruch, co oczywiście nie znaczy, że przerażenie minęło... Za to przynajmniej jednego teraz jestem pewna na milion procent — osoba, z którą wcześniej rozmawiałam, nie była Estive'em. On nie zachowywałby się w ten sposób, nie posądziłby mnie o kłamstwo w kwestii soczewek, tylko potraktowałby sprawę całkowicie serio. I pomógłby mi zrozumieć, co się ze mną dzieje... Jedno w tym momencie jest pewne. Tylko tey mógłby tak doskonale kogoś naśladować. I chyba niestety wiem, kto byłby w stanie go nająć do takiej roli... Pytanie brzmi tylko, w jakim celu. I co w takim razie stało się z Odwiecznym?

Uważnie rozglądając się po zdemolowanym wnętrzu robię pierwszy krok pomiędzy walającymi się wszędzie książkami. Dosłownie serce mi się kroi, kiedy widzę, jak tyle wiedzy jest właściwie skazane na zniszczenie. Niektóre z tych ksiąg mają tysiące lat, wystarczy jeden nieuważny ruch, który może sprawić, że rozsypią się w proch...

Robiąc kolejny krok, usilnie próbuję zrozumieć, co tu się stało, a w mojej głowie pojawiają się setki, nie, wręcz tysiące czarnych scenariuszy. Co musiało się stać, żeby Estive pozwolił na aż takie spustoszenie? Przecież zawsze uważał zgromadzoną w tym pomieszczeniu mądrość za najcenniejszą rzecz na świecie! Z własnej woli nigdy, ale to nigdy nie zgodziłby się, żeby ktokolwiek potraktował choćby jedno ze zgromadzonych tu tysięcy dzieł w sposób co najmniej niedelikatny, nie mówiąc o zrzucaniu na podłogę...

Ostrożnie stąpając między drogocennymi rękopisami (wersjami drukowanymi, rzecz jasna, też), co chwilę też schylając się, by podnieść co najcenniejsze księgi (większość to te najstarsze, lub te, do których żywię szczególne względy z powodu sentymentu; szybko robi się z tego całkiem spory i ciężki stosik) w końcu docieram mniej więcej na środek pomieszczenia. W pewnym momencie potykam się o coś i, balansując stosem książek w rękach, cudem udaje mi się utrzymać równowagę.

Z czymś w rodzaju złości (bo z racji szoku i przerażenia jak na razie nie potrafię sprecyzować innych uczuć, nawet moje pasemka są bladobłękitne, oznaczające to drugie) zerkam na dół, chcąc zobaczyć, co prawie spowodowało mnie do parteru... i od razu sztywnieję. Na ziemi leży piękny, bogato zdobiony rapier, o którego misternie rzeźbioną głowicę ze złota, wysadzaną rubinami, praktycznie się potknęłam. Ten sam, który dostałam od rodziców i dałam Estive'owi na przechowanie, wiedząc, że u niego jest bezpieczny. Ten sam, który wisiał na honorowym miejscu na ścianie nad przewróconym teraz dębowym stołem, tym z rzeźbionymi lwimi łapami, przy którym prawie zawsze się uczyłam...

Moment później zauważam jeszcze jedno i tym razem książki lądują na podłodze. Po prostu moje ręce nagle puszczają chwyt i wszystko z hukiem (bo jednak taki stos jakiś hałas musi zrobić) rozsypuje się dookoła mnie. Ale to wiele nie zmienia, w tym momencie już mnie nie interesują. Moją całą uwagę zdążyła już zaabsorbować ciemnoczerwona plama tuż obok rapiera...

Przykucam się i już nawet nie mam po co się nachylać bliżej, żeby wiedzieć, że to krew. I od razu czuję, jak cała sierść na ogonie i na uszach mi się jeży, a całe moje ciało pokrywa gęsia skórka. Tak przerażona nie byłam jeszcze nigdy wcześniej; nigdy wcześniej też tak panicznie nie błagałam, żeby to wszystko okazało się tylko jakimś koszmarem...

Wstając, odruchowo chwytam za leżącą obok broń. Osoba, która zrobiła tu tak ogromne spustoszenie, na pewno nie miała impulsatora, bo z tego, co słyszałam, smoka nie da się nim zabić. Dlatego nie było nawet sensu próbować, a przynajmniej ja bym tego nie zrobiła. Czyli musi mieć coś cięższego, prostszego, ale równie śmiertelnie. Obstawiałabym miecz, albo coś w tym rodzaju, bo skoro Estive (obstawiam, że to był on) sięgnął po to, co trzymam w dłoniach, musiał być pewien, że tym się obroni...

Od razu wszystkie moje zmysły wyczulają się na maksimum. Każdym skrawkiem skóry staram się rejestrować wszelki ruch w pomieszczeniu, wszelkie drgania powietrza, wszelki dźwięk... Wzrokiem dokładnie omiatam podłogę przed sobą. Wzrok mam wyostrzony tak bardzo, jak nigdy wcześniej — widzę dosłownie drobinki kurzu unoszące się w powietrzu...

I chyba właśnie dlatego moim oczom nie umyka ślad krwi, ciągnący się mniej więcej od miejsca, w którym stoję, do mojej sypialni. Drzwi są lekko uchylone, przez tą szparę zdążam jeszcze zauważyć, jak ogromny bałagan tam panuje...

Instynktownie wyczuwam, że to właśnie tam rozegrał się największy dramat, i choć nie mam pewności, czy jestem gotowa na to, co być może zaraz zobaczę, wiem, że chcę to zrobić. Albo może inaczej, wręcz muszę...

Po zrobieniu paru kroków w tamtym kierunku nagle słyszę ruch. A właściwie to nie tyle słyszę, ile wyczuwam czyjąś obecność poprzez poruszenie się powietrza. Nie pozwalam jednak dać temu komuś do zrozumienia, że go zauważyłam. Powoli odwracam się bokiem, tak, by móc kątem oka zauważyć, co się za mną dzieje. Doskonale zdaję sobie sprawę, że w tym momencie moje życie jest zagrożone, i nie mogę pozwolić, by uczucia wzięły górę, wtedy przecież nie będę myśleć racjonalnie... Przecież pamiętam, czego pod tym względem uczył mnie Estive. Mi, jako członkini rodziny królewskiej, a w pewnym momencie już królowej, w każdej chwili może przytrafić się sytuacja wiążąca się z ogromnym niebezpieczeństwem, chociaż zazwyczaj coś takiego nie jest tu spotykane. Nie prowadzimy wojen (bo specjalnie nie mamy z kim, w końcu z tego, co mi

wiadomo, jedynym skupiskiem ludzi jest Arlesiiie...), zamachów na władców nie było nigdy, jednym słowem czysta sielanka. Ale z drugiej strony, zawsze to może się zmienić. Nigdy nie wiadomo, co odbije ymulom (tym bardziej, że teraz „atakują” miasta, co prawda, zapewne za coś, ale teraz to właściwie mogą zrobić wszystko), a co do pozbywania się osób rządzących, chyba przykład mnie i Ertexa wystarczy w zupełności...

Na wspomnienie Estive'a od razu czuję, jak coś kłuje mnie w piersi. Natychmiast jednak odsuwam od siebie wszystkie myśli związane z uczuciami — przyjdzie na nie czas, kiedy będę względnie bezpieczna. Teraz powinnam skupić się na czymś innym, ważniejszym... Teraz powinnam się skupić, jak mam przeżyć...

W pewnym momencie kątem oka zauważam, że za mną stoi Estive. Rzecz jasna ten fałszywy, a konkretnie tey, który przybrał jego postać... Bo co się stało z moim prawdziwym byłym nauczycielem, to nawet nie chcę myśleć...

Nie, wróć. „Lumino, nie myśl o tym — karczę się. — Skup się na tym, żeby przeżyć...”

Takie skarcenie się względnie mi pomaga i prostuję się, ponownie wyostrajając wzrok. Tym razem udaje mi się jeszcze zauważyć, że postać stojąca za mną trzyma kilka noży, w rękach tej rasy śmiertelnie zabójczych...

Ledwo udaje mi się o tym pomyśleć, gdy on wykonuje pierwszy ruch. Cudem udaje mi się uchylić przed ostrzem, a i tak śmigła dosłownie centymetry od mojej twarzy...

Ta akcja perfekcyjnie pokazuje mi, jak poważna jest sytuacja. A Odwieczny zawsze powtarzał mi, że największym błędem walczących jest ignorowanie przeciwnika...

Znów słyszę świst powietrza przecinanego stalą. I tym razem reaguję instynktownie — błyskawicznym ruchem rapiera odtrącam nóż na bok.

Kątem oka zauważam, że tey jest chyba jeszcze bardziej zaskoczony ode mnie. Nigdy w życiu nie posądziłabym siebie o taki refleks, jaki teraz się u mnie objawił. Może to i racja, co mówią, że w sytuacjach ekstremalnych umiejętności człowieka znacznie się poprawiają...

Ale chociaż ja jestem pod mniejszym wrażeniem, mojemu wrogowi otrząśnięcie się zajmuje o wiele mniej czasu i rzuca od razu trzema nożami. Nie ma szans, żebym je... Dobra, cofam to. I tym razem udało mi się je od siebie odrzucić. Dziwne...

Prawda jednak jest taka — nie mam pojęcia, ile czasu szczęście będzie jeszcze po mojej stronie. I dlatego właśnie decyduję się na rozpaczliwą ucieczkę do jedyne go miejsca, w którym w danej chwili mogę się schronić — do mojej sypialni.

Błyskawicznie zrywam się do biegu, a że przeciwnik od razu wyczuwa moją

intencję, w kierunku, w którym zmierzam, posyła kilka kolejnych rzutów, ze śmiertelną szybkością i precyzją. Ale jakimś cudem ja okazuję się szybsza, i za każdym razem udaje mi się obronić. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, najpierw te oczy, potem szybkość i genialny refleks... Ale nie, dziękuję, w tym momencie nie mam najmniejszego zamiaru się wyklócać. W tym wypadku te zmiany (a przynajmniej ostatnia) są mi bardzo na rękę.

Kilka sekund później dopadam drzwi do sypialni, i ponieważ są uchylone, wślizguję się do środka. Potem zamykam je i z zamkniętymi oczami opieram się o nie plecami, oddychając głęboko. Mam nadzieję, że to choć trochę go powstrzyma. No i poza tym muszę przecież choć spróbować uspokoić skołatane serce, które wali tak, jakby chciało uciec mi z piersi. W sumie mu się nie dziwię — w pojedynkę miałyby o wiele większe szanse wydostania się stąd w całości, niż gdybym to ja miała próbować...

Dobra, chyba już jest w miarę w porządku. Tętno z miliona uderzeń na minutę spadło może do tysiąca, więc zaraz się powinnam uspokoić...

I nagle znów słyszę ten upiorny świst, towarzyszący rzucaniu nożem, a potem trzask drewna, przebitego stałą...

Otwieram oczy i z przerażeniem patrzę na dziesięciocentymetrowy kawałek ostrza, wystającego z drzwi może dwa, trzy centymetry od mojej głowy. I to by było na tyle, jeżeli chodzi o uspokojenie się... A tak się starałam...

W tym momencie wszystkie emocje, jakie staram się zepchnąć w najdalszy zakątek mojego umysłu, napływają do mnie niczym rzeka, ale fala zwrotna jest o wiele, wiele większa, niż tylko mogłam się spodziewać. Cały strach, całe przerażenie wraca ze zwojoną, nie, co ja mówię, z potrojoną mocą...

Nie mam już siły, by utrzymać się na nogach, więc osuwam się na podłogę, cały czas opierając się plecami o drzwi. Zaraz potem dochodzi do tego płacz. Na początku można go poznać tylko po dwóch szerokich strumykach, płynących po moim policzku i skapujących na marmurową posadzkę obok mnie, ale potem oprócz nich pojawia się cichutkie łkanie. Nie trzeba też czekać długo, by przerodziło się ono w rozdzierający szloch...

Jednego jestem pewna — nie tego spodziewałam się, gdy tu przychodziłam. Na pewno nie miałam prawa przewidzieć, że zamiast życzliwej rady mojego byłego nauczyciela czeka mnie tu rządny śmierci wojownik i to jeszcze będący teyem (a oni słyną na cały Vastertlie ze swoich umiejętności), który, podszywając się pod Estive'a, będzie miał zamiar się mnie pozbyć...

Od razu na myśl przychodzi mi dzisiejsza kłótnia z Rori, przez co zaczynam płakać jeszcze głośniejsze i z jeszcze większą rozpaczą. Ostrzegła mnie, żebym tu nie szła... Choć co prawda powód jej trosk był inny, ona była stuprocentowo pewna, że krzywda może mnie spotkać ze strony mojego byłego nauczyciela... Ale... Czy to jakakolwiek różnica? Chciała, żebym nie pakowała się w niebezpieczeństwo. Ja

się jej nie posłuchałam i oto widzę efekty...

W tym wszystkim pocieszająca jest chyba jedna rzecz — nie rozstałam się z nią w gniewie, jak to ja czasem potrafię. Inaczej nigdy nie darowałabym sobie takiego obrotu sprawy, a przynajmniej do końca życia (czyli zapewne niedługo). Co więcej, zdawałabym sobie sprawę, że ona może tego nie wytrzymać psychicznie i się kompletnie załamać, a przecież już widziałam, do czego może ją doprowadzić silny wstrząs... Nie wytrzymałabym ze świadomością, że na moich rękach (bo tym razem już na moich) może zaciążyć krew jeszcze jednej osoby (wcześniejszymi są smoki, które moja rodzina od dawna tępi, a jako że nazywam się der Soltarie, niestety mam w tym okrucieństwie swój udział... I żadnego pomysłu, jak mogę to naprawić...).

Uśmiecham się do siebie smutno. Nie ma to jak napływ dołujących myśli w momencie, w którym wiesz, że najpewniej zaraz umrzesz...

Wzdycham ciężko i opieram się głową o drewno za mną, nasłuchując dźwięków za drzwiami. Gdyby jakimś cudem tey dał sobie święty spokój, może miałabym jeszcze jakieś szanse...

Po paru sekundach z drugiej strony drzwi słyszę dźwięki, co wyraźnie świadczy o czyjejs obecności w bibliotece. No to spoko, nie mam szans, wzdycham po raz kolejny. Moja sytuacja jest tak beznadziejna, że na sto procent nie uda mi się wydostać... A przynajmniej żywej, dodaję z ponurym uśmiechem.

W pewnym momencie słyszę brzdęk metalu o marmur, tak głośny, że aż się wzdrygam, a sierść jeży mi się błyskawicznie. Dopiero po jakiejś sekundzie orientuję się, że to moja dłoń poluźniła uścisk i hałas został wywołany upadkiem rapiera na podłogę.

Oddycham z ulgą, a przynajmniej chwilową. To wyraźnie pokazuje, że wcale nie jestem nastawiona na koniec. Przecież ja mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia... Muszę powstrzymać Ertexa, nikt za mnie tego nie robi, a w tym wypadku ważą się losy wszystkich odmiennych... I właściwie całego kraju. Bo czymże byłaby Arlesiiie bez precudownych wytworów ruslinsen? Bez lumii? Nawet bez ymuli i teyów? Całkowicie straciłaby swój indywidualny charakter, i różniłaby się od Stertilie tylko i wyłącznie osiągnięciami technologicznymi (pomijam aspekt flory i fauny)...

Nie, tak nie może być, ktoś musi się tym zająć... Tylko co ja mogę, skoro zaraz zginę?

Wstaję, podpierając się ręką, po czym schylam się, żeby podnieść broń, która mi wypadła. W tym momencie jest to jedyna rzecz, która może mi zapewnić jako taką ochronę i nie zamierzam się jej pozbyć...

W chwili, w której podnoszę rapier, mój wzrok pada na cienką, czerwoną strużkę na marmurowej posadzce. Od razu sprawia to, że przypominam sobie o pewnym drobiazgu. Przede wszystkim z powodu prowadzących tu śladów krwi

chciałam zobaczyć, co dzieje się w tej mojej sypialni...

Powoli wstaję i baczny spojrzeniem lustruję pomieszczenie. I gdyby nie to, że przysięgałam sobie zachować całkowicie czysty umysł (że tak powiem, zmrożony), chyba dostałabym kolejnego ataku paniki...

Wszystko jest całkowicie porozwalane. Nic, kompletnie nic, nie jest na swoim miejscu. W powietrzu lata mnóstwo pierza, a na podłodze zastygła krew. Ogromna ilość krwi. O wiele, wiele więcej, niż w bibliotece...

Teraz mam gęsią skórę na całym ciele. Mam bardzo, bardzo złe przeczucia co do tego, co zaraz zobaczę... Choć nie mogę na to nic poradzić i w sumie mogłabym sobie darować, zostać tu, gdzie teraz stoję, ale nie mogę powstrzymać, czuję, że coś mnie wręcz przymusza, by mimo wszystko jak we śnie obejść łóżko i potem z przerażeniem się zatrzymać, wpatrując w to, co widzę...

— Nie, Estive, nie! — z krzykiem przypadam do leżącego na posadzce ciała.

Przewracam go na plecy i czuję, jak dosłownie zapiera mi dech w piersiach. Mój były nauczyciel ogólnie jako człowiek był blady, ale teraz jest dosłownie biały. Praktycznie taki sam, jak jego mleczne włosy. W połączeniu z zakrwawioną koszulą wygląda to niezwykle upiornie... A z resztą, cała sytuacja, w której teraz się znalazłam, jest upiorna...

— Błagam, nie... — udaje mi się wyszeptać, po czym łzy sprawiają, że świat staje się niewyraźny. Mimo to jednak staram się nie poddać. Dzielnie ocieram twarz, po czym drżącą ręką próbuję wyczuć u niego na szyi tętno. Bez skutku...

W tym momencie czuję, że coś we mnie pęka. Ktoś, kogo darzyłam ogromnym szacunkiem, do kogo miałam ogromne zaufanie, odszedł. Osoby, na której wsparcie, dobrą radę mogłam liczyć o każdej porze dnia i nocy, i to dosłownie, już nie ma...

Próbuję wstać, ale moje nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Dlatego po prostu siadam w kącie, tuż obok martwego „chłopaka” i zaczynam rozpaczliwie szlochać. W tej chwili mój świat się zawalił. Runął całkowicie, bo nagle zabrakło filara, który to wszystko podtrzymywał — Estive’a...

On był dla mnie kimś więcej, niż nauczycielem, uświadamiam sobie z goryczą. Był moim przyjacielem, co więcej, tak naprawdę to on, a nie rodzice, mnie wychował, sprawił, że w tym momencie jestem taka, jaka jestem, że dokonałam takich, a nie innych wyborów... I że w tym momencie jestem tutaj, a nie w jakimkolwiek innym miejscu na jakimkolwiek świecie...

Niemalże od razu przypominam sobie jeszcze jedną wypowiedź Rori, a konkretnie to, co o nim wspominała... Że jest kimś w rodzaju mędrca... Ciekawa jestem, jak zareagują smoki i ogólnie wszystkie stworzenia na wieść, że Odwieczny zginął...

Na samą myśl o tym zaczynam płakać jeszcze bardziej. Chyba dopiero teraz

rozumiem to, o czym mówiła mi Rori w kwestii śmierci jej Est'Rii, mimo, że to przeżyłam, wchodząc w jej wspomnienia. Ból, który w tym momencie czuję, musi być podobny do tego, który czuła ona. Tym bardziej, że mam wyraźne wrażenie, że Estive nie żyje też po części z mojej winy, mojej głupoty... Bo gdybym za wszelką cenę nie chciała ocalić Ertexa przed wygnaniem (a przecież tak było chyba nawet do momentu naszego spotkania w wieży), to zostałabym w Arlesii, mój problem by zniknął, i potem nie próbowałby przejąć tronu... A jestem pewna, że to wszystko jest bezpośrednią przyczyną tego, co jakiś czas temu wydarzyło się w tym miejscu... Czyli, podsumowując, najstarsza i najmądrzejsza istota na wszystkich odkrytych i nieodkrytych światach została zabita przez moją głupotę i nieumiejętność radzenia sobie z problemami... Nie ma co, to bardzo poprawia nastrój...

I nagle w moim nastawieniu zachodzi radykalna zmiana. Bezbrzeżna rozpacz znika, a symbolizujący ją ciemnopomarańczowy kolor pasemek ustępuje krwistej czerwieni, tak bardzo intensywnej, jak nigdy dotąd. Jestem wściekła na Ertexa, że spowodował (bezpośrednio czy pośrednio, cóż to za różnica?) śmierć mojego byłego nauczyciela. I już nie ważne jest to, że być może jest też w tym moja wina. Najważniejsze, by teraz nie uszedł sprawiedliwości, do czego nie dopuszczę... przy okazji pogrążając też teya, który przez pewien (być może nawet długi) czas podszywał się pod postać Odwiecznego, wcześniej, rzecz jasna, go zabijając, by móc bezkarnie zająć jego miejsce...

Jest tylko jeden, drobny problem — żeby tego wszystkiego dokonać, muszę się stąd wydostać. Ale motywację mam doskonałą — po pierwsze, doprowadzić do tryumfu sprawiedliwości. Po drugie, i to jest chyba o wiele bardziej istotne na tą chwilę, nie pozwolić, by cokolwiek podobnego wydarzyło się jakiegokolwiek bliskiej mi osobie... Bo teraz jestem świadoma, że mój ex jest gotowy dosłownie na wszystko. Wcześniej nie powiedziałabym, że posunie się aż do czegoś takiego, ale w tym momencie nie mam już najmniejszych wątpliwości co do jego braku skrupułów.

Wstaję, czując, jak napływają do mnie nowe siły. To właśnie dzięki nim mam zamiar się stąd wydostać w całości...

Kilkoma dumnymi krokami przechodzę na drugą stronę pokoju, w międzyczasie rzucając ostatnie, smutne spojrzenie martwemu „chłopakowi”.

— Estive, przysięgam ci, że on za to zapłaci — szepczę, przykładając dłoń do serca. — Zapłaci za wszystko, co zrobił tobie, co zrobił mi, i co zamierza zrobić wszystkim odmiennym w przyszłości... Możesz być tego pewien...

Od razu mam wrażenie, że po złożeniu tej obietnicy poprawia mi się humor. Z przygnębionego i totalnie zdołowanego przeskoczyłam na niezachwianą pewność siebie, co stanowi wielką poprawę...

I już wyciągam rękę, chcąc nacisnąć klamkę i gwałtownym ruchem otworzyć

drzwi, gdy nagle zatrzymuję ją w połowie drogi. Moja pamięć w idealnym momencie wygrzebuje bardzo istotną informację. Mianowicie przypominam sobie o prezencie od Mirt'Oshima i o liściku, który mi zostawił. O ile dobrze pamiętam, wspominał w nim, że mogę wypić płyn z buteleczki w chwili prawdziwego zagrożenia życia. Cóż, trudno sobie wyobrazić bardziej odpowiedni moment od tej chwili...

Kilka sekund później orientuję się już, który łańcuszek jest od czego (w końcu cały czas mam też na szyi kryształ rodowy, aczkolwiek mało kto wie o jego prawdziwym znaczeniu), i wyciągam spod bluzki piękną, rubinową buteleczkę, zawieszoną na łańcuszku koloru starego złota. Chwytam ją w dwa palce i oglądam ze wszystkich stron. Od razu na myśl pcha mi się drobna wzmianka o skutkach ubocznych, bo przecież smok nie wspominałby o nich bez celu... ale ją ignoruję. Jak napisał na końcu, może mi uratować życie, i w takich sytuacjach czasem warto zaryzykować. To też jego słowa. I chyba nie mam specjalnych powodów, żeby mu nie ufać... Pomijając fakt, że w pewnym momencie przysiągł pozbyć się każdego, kto nosi nazwisko Soltarie lub der Soltarie... Ale to już drobny szczegół. W tym momencie mam kilka opcji — albo zginę, biernie czekając na śmierć, albo zginę, próbując uciec, albo to, co chcę wypić okaże się trucizną, albo wszystko pójdzie po mojej myśli. Większego ryzyka od śmierci nie podejmuję, bo gdybym tu została, też długo bym nie żyła. „Czyli co, jak to się mówi, raz lumii śmierć” — myślę, odkorkowując buteleczkę i wychylając ją do dna.

Płyn ma jakiś taki dziwny smak. Ni to słodki, ni to gorzki... Jakby połączenie i jednego, i drugiego. I chyba jeszcze taki cierpki jest...

Trudno, nie czas teraz na rozmyślanie nad tym, myślę, zawieszając buteleczkę na szyję, by w tym momencie pełniła rolę tylko i wyłącznie ozdoby. Muszę się jakoś stąd wydostać...

Plan ogólnie rzecz biorąc jest prosty. Mam jak najszybciej potrafię przebiec około trzydziestu metrów, dzielących wejście do mojej sypialni i jezioro, będące jedyną drogą wyjścia. Potem pójdzie jak z płotka. Wątpię, żeby tey potrafił oddychać pod wodą, więc tam nie ma szans mnie złapać, a poza tym, zawsze mogę skorzystać z pomocy ruslinsen, na któregoś z nich na pewno się napatoczę... A biegnąc do wody, mogę przecież spróbować odbić noże (o ile będzie z nich korzystał) moim rapierem, wcześniej jakoś mi się udało...

Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu mojej broni; dopiero moment później orientuję się, że przecież odkąd mi wypadła, nie wypuściłam jej z dłoni choćby na moment... Nie ma co, bystrość w tym momencie u mnie leży... A przecież powinnam się skupić, żeby mój refleks zadziałał tak, jak trzeba, a właściwie tak, jak mnie ostatnio zaskoczył...

Dobra, trudno, jak będę tu tak stała, to nic nie zdziałam, a przecież im

szybciej stąd wyjdę, tym szybciej okaże się, czy mój plan wypalił, czy też nie...

Gwałtownym ruchem otwieram drzwi i sprintem zaczynam biec w kierunku jeziora. Kątem oka zauważam, że ten cały czas jest w pomieszczeniu, ale nie spodziewał się z mojej strony takiego ruchu. Przewaga zaskoczenia zadziałała doskonale, to właśnie dzięki niej wskakuję do wody, zanim on zdąży cokolwiek zrobić.

Kiedy jestem już pod powierzchnią (rzecz jasna cały czas trzymając w ręku prezent od moich rodziców), oddycham z ulgą. Wszystko poszło jak z płatka, i w tym momencie mogę spokojnie, bez pośpiechu popłynąć na brzeg, by powoli zejść schodami na dół...

Tylko w tym momencie okazuje się, że moja logika niekoniecznie trzyma się kupy. Jeżeli zejść schodami, to przecież może mnie dogonić, a mi zależy na jak najszybszym tempie. Czyli pozostaje mi tylko jedna droga... Śmiertelnie niebezpieczna, ale za to totalnie błyskawiczna. W końcu, od czego jest moja głupota? Przecież już raz chciałam zeskoczyć z wodospadu... I prawie mi się udało, bo gdyby tylko nie powstrzymali mnie ruslinsen...

Tym razem jednak nie mogę pozwolić na to, żeby ktokolwiek mi w tym przeszkodził. Jeżeli będą próbować, wszystko im dokładnie wytłumaczę, łącznie z kierującymi mną pobudkami, które teraz są o niebo ważniejsze, niż jakiś głupi zakład...

I niemalże jak na zawołanie przede mną majaczy się jakiś cień, a w ułamek sekundy później jestem już otoczona przez grupkę kilku wodnych ludzi.

— Słuchajcie, musicie mnie puścić — pod wodą wychodzi to dość niewyraźnie, ale mam wrażenie, że zrozumieli, o co mi chodzi. — Muszę jak najszybciej dostać się na dół, a wodospad to najszybsza droga. I tu wcale nie chodzi o moje idiotyczne ambicje, to sprawa dosłownie życia i śmierci — dodaje.

Po jakiejś minucie ich milczenia jestem już mentalnie przygotowana na stoczenie niezłej batalii. Tym razem będę walczyć o swoje, w końcu w tej sytuacji wszystkie wyjścia wiążą się z ryzykiem, a to chyba z najmniejszym...

I w tym momencie całkowicie mnie zaskakują. Młoda dziewczyna, unosząca się w wodzie chyba najbliżej mnie, wymienia porozumiewawcze spojrzenia, po czym odpływa na bok, dając mi do zrozumienia, że droga wolna. Mogę robić, co mi się żywnie spodoba. Z zaskoczeniem przesuwam wzrokiem po ich twarzach.

— Dziękuję — udaje mi się w końcu wydusić, po czym tak szybko, jak tylko potrafię, odpływam, żeby jeszcze nagle nie zmienili zdania...

Przez kolejne kilkanaście minut próbuję sobie przypomnieć wszystko, co wbijałyśmy sobie do głowy, skacząc z nieco niższych wodospadów na wzgórzach i w przedsiódkach Turrend Gress. Wypłynąć jak najbardziej na środek, pod koniec płynąć jeszcze szybciej, niż nurt rzeki, czy wody, by wyskoczyć tak daleko, jak tylko się da (żeby nie zahaczyć o żadne wystające skały) i potem wślizgnąć się

w wodę mniej więcej tak samo, jak zwykle... Ciekawe, czy to zda egzamin też na wysokości kilku tysięcy metrów...

Kilka minut później szum wodospadu staje się wręcz ogłuszający. Właśnie w tym momencie powinnam zrobić wszystko według kolejności...

Wszystko idzie jak po maśle do momentu wysoku. Rzecz jasna uda mi się wyrwać z nurtu wody, ale niestety nie tak daleko, jak miałam nadzieję. Teraz mogę mieć tylko nadzieję, że nie wpadnę na jakieś skały...

I moja nadzieja kończy się kilka metrów niżej, gdy zauważam wyjątkowo duży żąb skalny. Nie ma szans, bym go ominęła...

Ułamek sekundy później wpadam na niego z pełną prędkością, jaką tylko do tej pory udało mi się rozwinąć. Nie zdążam nawet pomyśleć, co się teraz ze mną stanie, gdy cały świat gaśnie.

Rozdział XXXIX

Szeroko otwieram oczy, łapczywie łapiąc powietrze.

Dopiero moment później orientuję się, że wcale się nie topię, na co wskazywałyby moje ostatnie wspomnienia, tylko leżę na brzegu jeziora u stóp Tusteris. Kilkadziesiąt metrów ode mnie o wodne zwierciadło rozbijają się tysiące litrów, spadające z kilku kilometrów...

Odruchowo mój wzrok wędruje w górę, próbując sięgnąć szczytu. Nie ma szans, miejsce, w którym rozegrał się ten dramat, ginie w ciemnościach nocy...

Wzdrygam się na samą myśl, że odważyłam się skoczyć z aż takiej wysokości. Jaka ja głupia byłam... Wcale się nie dziwię, że za pierwszym razem ruslinsen nie pozwolili mi skoczyć. To, że w tym momencie żyję, jest dosłownie cudem. Niewyobrażalnym cudem, który zamierzam wykorzystać jak najlepiej. Zgodnie z obietnicą, którą dałam Estive'owi...

Na samą myśl o smoku czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Nie rozumiem, dlaczego tamten tey go zabił. Nie rozumiem, w imię czego zginął. A najgorsze jest to, że mimo tego, iż w pewnym momencie pod wpływem wściekłości całą odpowiedzialność za to zwałam na Ertexa, teraz uważam, że moja wina w tym wszystkim jest kluczowa...

— Gdybym nie uciekła z Arlesiie, pewnie jeszcze by żył... — wzdycham ciężko.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że wraz z jego śmiercią straciłam najpotężniejszego sojusznika, o jakim tylko mogłam marzyć. I teraz zostałam sama, w dwóch tego słowa znaczeniach. Po pierwsze, sama bez wsparcia (moich kochanych „siostrzyczek” nie liczę), a po drugie, sama przed obliczem tych wszystkich pytań, które się pojawiły, i które podwajają się dosłownie z każdym wydarzeniem...

Chociaż, tak właściwie, jak on ciągle mi powtarzał, wcale nie najważniejsze jest rozpamiętywanie przeszłości. Pamiętam, jak wbijał mi do głowy po śmierci rodziców, że wcale nie ma po co gdybać, bo czasu już się nie cofnie. Trzeba iść dalej, w końcu życie toczy się dalej, trzymajmy się pewników. A w tym momencie jedno jest pewne. Przeżyłam w jakimś celu. Jestem gotowa się założyć, że jest nim powstrzymanie mojego byłego w dążeniu do tronu, a przynajmniej przed wyrządzeniem jakiegokolwiek krzywdy komukolwiek, i to za wszelką cenę.

Takie konstruktywne (lub destrukcyjne, zależy, z czyjego punktu widzenia patrzeć) postanowienie nieco mi pomaga, a przynajmniej sprawia, że już mam do czego dążyć. A nie uda mi się go przecież wypełnić, jeżeli będę tak leżała bez końca...

Unoszę się na łokciu, i czuję, jak mój bark gwałtownie protestuje wybuchem

bólu. Ale nie, nie ma tak dobrze... Z zaciśniętymi zębami staram się zignorować ból i po ogromnym wysiłku w końcu udaje mi się usiąść, podtrzymując się wyprostowaną ręką.

Dopiero teraz zauważam, że moje nogi do połowy ud są zanurzone w wodzie, zupełnie, jakby woda wyrzuciła mnie na brzeg... Albo ktoś mnie tak ułożył...

Od razu przypominam sobie pewne wydarzenie sprzed trzech, może czterech dni (nie jestem pewna, która teraz jest godzina). A mianowicie te, w którym spadłam prosto w rwący nurt ruse Triltie. Potem też obudziłam się w bezpiecznym miejscu i to w takim, że na sto procent rzeka nie mogła mnie tam zanieść...

Uśmiecham się do siebie. Że też nie wpadłam na to wcześniej! Przecież jedynymi osobami, które mogły coś takiego zrobić, zarówno teraz, jak i wtedy, są wodni ludzie! Czyli mam wobec nich ogromny dług, już dwa razy uratowali mi życie...

Moja lewa ręka już trochę się zmęczyła podpieraniem mnie, tym bardziej, że jestem cała obolała i porządnie poturbowana, z resztą nie wiem, czy to jest wina upadku na tamtą wystającą skałę w wodospadzie, czy może raczej bolesnego lądowania w jeziorze, bo jednak z takiej wysokości... W każdym razie, gdy zmieniam rękę na prawą, zamiast na trawie, częściowo ląduje ona na czymś zimnym i zdecydowanie metalowym.

Z zaskoczeniem podnoszę swój rapier. Jakimś cudem nie wypadł mi podczas spadania... Choć co prawda, trzymałam go mocno podczas skoku, ale kiedy wpadłam na skałę, byłam stuprocentowo pewna, że go zgubiłam... Ale przecież narzekać nie mam zamiaru. Fakt, że prezent od moich rodziców wcale nie zaginął w odmętach jeziora, pod wodospadem, gdzie niebezpiecznie byłoby nurkować (bo choć umiem oddychać pod wodą, co wielokrotnie mi się przydało, to jednak tam bywają groźne nurty), też nieco poprawia mi humor. Już pomijając to, że potwierdza moją hipotezę o pomocy ze strony ruslinsen...

Z delikatnym uśmiechem wstaję, wychodzę z wody na soczystą trawę (wszystko mnie boli... jakaś totalna masakra... Zanotować — nigdy, ale to nigdy więcej nie skakać z tak wysoka, bo bez niczyjej pomocy może to się skończyć tragicznie) i wykonuję kilka ripost skierowanych do nieistniejącego przeciwnika. Czyli najwyraźniej przez te dwa lata wcale nie zapomniałam techniki, jak to mogłoby się wydawać, tym bardziej, że wcale nie miałam okazji ćwiczyć. Pytanie brzmi tylko, czy gdybym miała do czynienia z bardziej doświadczonym przeciwnikiem, który na dodatek nie uznaje gry fair play (jak właśnie robi Ertex), to by wystarczyło... Bo w tym momencie uznaję już właściwie wszystko za prawdopodobne. A przecież nie mam pewności, że jakimś cudem znów objawi się mój genialny refleks, tak jak wtedy, kiedy podszywający się pod Estive'a tey chciał mnie zabić jednym rzutem noża. Nie wiem, co by było, gdybym ich nie odbiła...

Bo przecież nie zdążyłabym się uchylić...

Wzdycham ciężko, po czym po raz kolejny unoszę wzrok ku niebu. Tak właściwie dopiero teraz zaczynam przykładać większą wagę do tego, że jest noc. Piękna, arleyańska noc, z gwiazdami świecącymi zimnym, delikatnym światłem. I do tego z ogromnym księżycem w pełni, dzięki któremu doskonale wszystko widać...

Szybko w pamięci przeliczam sobie datę. W dniu, w którym dotarłam do Selumie, powinien być ostatni maja, czyli teraz bez względu na to, ile czasu byłam nieprzytomna, na sto procent jestem w pierwszych dziesięciu dniach czerwca...

Uśmiecham się szeroko. Co rok wypada ten niesamowity układ księżyca, gdy przez pierwsze dziesięć dni właśnie tego miesiąca jest pełnia, a księżyc jest tak blisko ziemi, jak nigdy indziej. Ogromna tarcza odbija światło słoneczne, tworząc fantastyczny, lekko tajemniczy i ponury nastrój. Na całe szczęście akurat na ten okres zawsze przypada zjazd naszej grupy, więc atmosferę mamy dosłownie genialną. Niestety, tylko czasami udaje nam się załapać na ten moment, kiedy w momencie, gdy zaczyna się jedenasty czerwca, dokładnie o północy tarcza księżyca szybko znika jak zdmuchnięta, w kilka sekund z pełni przemieniając się w nów. Właśnie w taką noc dwa lata temu uciekłam z Vastertilie... Rok temu bardzo mi tego brakowało, a kto wie, może teraz, za te parę dni uda mi się to zobaczyć znowu!

Czyli teraz co, nie pozostaje mi nic więcej, niż tylko wybrać się do hotelu. Swoją drogą, to ciekawa jestem reakcji Rori, w końcu miałam wrócić następnego dnia... No, chyba, że byłam nieprzytomna przez długi czas, i teraz już dziewczyny wróciły z wypadu i wszystkie się o mnie martwią... Jakie to dziwne, nie wiedzieć, ile czasu minęło od ostatniego przeblysku przytomności... I co najlepsze, zdarza mi się to już któryś raz z rzędu w ciągu ostatnich dni...

Ale ustalenie dnia i godziny to nie problem — wystarczy mi, że zapytam się Goldiera. Jestem stuprocentowo pewna, że skoro ja wybyłam z Selumie, to on też zrobił to tak szybko, jak tylko możliwe. Nie znosi przebywać na ograniczonej przestrzeni, tym bardziej, że ściany byłej jaskini dają trochę wrażenie klatki...

Nagle coś każe mi zerknąć w dół. Robię to i nie wierzę własnym oczom. To już jest po prostu niemożliwe, totalnie niesamowite i nierealne. A jednak! Jakimś cudem moje szpilki robią wszystko, żeby się ze mną nie rozstać. Tak samo jest i tym razem — wyraźnie przecież pamiętam, że zostawiłam je na plaży na wyspie, pod którą mieszkał Odwieczny, a teraz leżą przede mną. Są jak bumerang, co bym nie zrobiła, gdzie bym ich nie zostawiła, to wracają... Kolejny dowód na to, że ruslinsen maczali w tym palce, uśmiecham się do siebie lekko.

Jedno jest pewne — skoro tak często do mnie wracają, to teraz już tak na serio powinnam się postarać, żeby ich nie zgubić. Szczerze je uwielbiam, bo drugich tak wygodnych butów nigdy nie miałam, i zapewne mieć nie będę.

A przecież nic nie gwarantuje, że znowu się odnajdą... Ale wiedząc, jak bardzo roztrzępaną osobą jestem, to na dziewięćdziesiąt dziewięć procent zgubię je jeszcze nie raz, pozostaje mi tylko się starać...

Wkładam szpilki i prostuję się z dumą. Od razu czuję się jakaś taka... bardziej pewna siebie... Jednak tego rodzaju buty dodają mi powagi i jakimś cudem (a przynajmniej w moich oczach) utwierdzają mnie na moim stanowisku, dodają kobiecości...

Z uśmiechem sięgam do wisiorka z kryształem, w którym jest symbol mojej rodziny. Zawsze lubię się czymś bawić, nawet, gdy jedną rękę mam czymś zajęta, na przykład teraz trzymam ten rapier...

Tylko że teraz pojawia się taki drobnutki problem. Nie wiem, jakim cudem, ale... po prostu go nie ma. Ozdoba gdzieś zniknęła, tak po prostu...

Z zaniepokojeniem zerkam w dół, chcąc się upewnić, czy nic mi się nie wydaje. I okazuje się, że nie, skąd. Nie ma go, tak samo, jak buteleczki, którą dostałam od Mirt'Oshima...

Cóż, tajemnica ich zniknięcia wcale nie jest taka wielka, jakby się dobrze zastanowić. Po prostu musiały się mi ześlizgnąć z szyi, gdy skoczyłam z wodospadu, gdy uderzyłam w skalną półkę, albo w chwili, gdy ratowali mnie wodni ludzie... W sumie wszystko jest możliwe. Żałuję tylko, że zgubiłam kryształ z zastygniętą białą różą, pokrytą kroplami krwi. Był w naszej rodzinie od tysiącleci, a dokładniej od dnia ukończenia budowy Pearle Kiry. O ile wpadł pod wodospad, na pewno go nie znajdę, jak już wspominałam, jest tam zbyt niebezpiecznie nawet dla mnie. Cóż, w sumie nikt poza kilkoma osobami o nim nie wiedział, ale sam fakt, że był u nas w rodzinie i mimo wszystko jakąś ochronę zapewniał... Nie czuję się z tym dobrze, nie ma co... Buteleczki też jest mi szkoda. W końcu to był prezent, dzięki niej czułam, że smok w końcu się do mnie przekonał, w końcu z liściku łatwo można wywnioskować, że liczył jeszcze na ponowne spotkanie... Ale swoją drogą, ciekawe, jak jej zawartość miała na mnie zadziałać... I jakie były te skutki uboczne, o których wspomniał smok...

„Lumino, dość — napominam się. — Koniec z takimi myślami, to nie pomaga. Czas na to przyjdzie, jak będę wyzalała się Rori... Chociaż o Mirt'Oshimie i tak jej nie wspomnę, inaczej mogłabym wywołać prawdziwą wojnę pomiędzy nami... W końcu pamiętam, jak zareagowała na wiadomość, że Estive jest... przepraszam, był Odwiecznym...”

Wzdycham ciężko. Ludzie, dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane? Przecież nic by się nie stało, jakby życie czasami było choć odrobinę prostsze... A najgorsze jest to, że wielu osobom wydaje się, że życie królowej i ogólnie życie w pałacu jest banalnie proste... Spróbowaliby się ze mną zamienić choć na jeden dzień i ciekawa jestem, czy nadal uważaliby to za tak totalnie łatwe... Jest ktoś chętny na sali?

Dobra, trudno. Urodziłam się w rodzinie królewskiej, odebrałam wykształcenie stosowne do tego, jaka miała być moja rola w państwie i teraz muszę spełniać swoją „misję”. Oczywiście łączy się to ze wszystkimi dogodnościami i niedogodnościami, jakie tylko mogą mnie spotkać, ale Estive gruntownie mnie do nich przystosował. I z resztą nie tylko, wyrobił we mnie wiele innych cech, których u swoich rodziców nigdy nie potrafiłam znaleźć, mianowicie poszanowanie do przeciwnika, ciepło, podejście do każdego człowieka indywidualnie... Jednego jestem pewna — dzięki jego wychowaniu jestem całkowicie innym człowiekiem, niż bym była, gdyby zabrała się za to para królewska der Soltarie... Ówczesna para królewska, rzecz jasna...

„A ty co tak szybko wróciłaś?” — w myślach słyszę zaskoczony głos Goldiera.

Odwracam się i widzę mojego kochanego ogiera. Widok kogoś (w tym przypadku ardyliana), kto jest dla mnie jedną z najbliższych osób, działa na mnie piorunująco. Właśnie dlatego po prostu rzucam się mu na szyję. Jak bardzo potrzebowałam bliskości osoby, która jest przynajmniej trochę bezinteresowna... I której nie da się wcale podmienić...

„Co ci odwała?! — zwierzę jest totalnie zdziwione. — Lumino, wszystko w porządku?”

— Tak, wszystko w porządku — uśmiecham się do niego przez łzy, które gwałtownie się pojawiły w moich oczach. — Po prostu cieszę się, że jesteś, nic więcej...

„Lu... Ty zdajesz sobie sprawę, że jesteś cała poobijana, w siniakach i zadrapaniach? — mierzy mnie uważnym spojrzeniem, kiedy tylko się od niego odsuwam. — Chcesz mi może o czymś opowiedzieć?”

— Żebyś wiedział, że zdaję sobie z tego sprawę — wzdycham ciężko, wiedząc, że skoro o tym mi wspomniał, to teraz będę czuła każde, choćby najmniejsze stłuczenie, najlżejsze zadrapanie... — I wybaczone, mój drogi, ale chyba jednak zachowam to, co się stało, dla siebie... Może jak to przetrawię, pasuje?

„Pasuje — kiwa łbem. — Niech zgadnę, potrzebujesz błyskawicznego transportu do Selumie?”

— Zawsze zazdrościłam ci bystrości — uśmiecham się lekko. Jedno jest pewne; ogier jeszcze nigdy nie zorientował się, że w takich sytuacjach używam sarkazmu. I dobrze, bo jeszcze by się na mnie obraził... Co znając jego jest bardzo, ale to bardzo prawdopodobne...

„W takim razie wskakuj” — pręży się dumnie, gdy wsiadam mu na grzbiet, po czym rusza spokojnym kłusem.

— Ej, miało być błyskawicznie — ze śmiechem szturcham go lekko w łopatkę.

„Wiem, wiem, tak się tylko z tobą drocę” — odpowiada, po czym

natychmiast przyspiesza do swojej najulubieńszej prędkości, czyli tych dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Odległość dzielącą miejsce, w którym stoję, a Selumie, pokonuje mniej więcej w jakieś pięć sekund. Nie przeszkadza mu nawet zamknięta (o dziwo) brama, którą bez żadnego problemu pokonuje ogromnym skokiem...

„I jak, co powiesz o tym?” — gdy z niego zeskakuję, jestem gotowa wręcz przysiąc, że uśmiecha się do mnie lekko. Powiem tak, jeszcze nigdy, ale to nigdy nie zdarzyło mi się widzieć go w tak dobrym humorze. I dobrze, niech tak zostanie. Taki Goldier, który prawie wcale mi nie docina, to jest rzecz dosłownie niespotykana... i fantastyczna...

— Spisałeś się cudownie, mój drogi — uśmiecham się do niego i głaszczę go po chrapach, na co parska z zadowoleniem.

„To w takim razie ja już sobie pójdę” — oznajmia, po czym bez żadnego pozwolenia odbiega gdzieś w swoją stronę.

Przez moment patrzę, jak się oddala. Chciałabym, żeby został taki już na dobre...

Moment później do głowy przychodzi mi kolejna myśl. Jestem cała mokra, i zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinnam choć trochę wyschnąć, na przykład na otwartym basenie... Nie, wróć, raczej tego nie zrobię. Przecież jest noc, słońko wcale mnie nie wysuszy... No to trudno, w takim razie muszę wejść do hotelu i obudzić Rori, mam nadzieję, że się nie wkurzy...

Idąc w stronę budynku zauważam coś nietypowego. A mianowicie z fontanny piją dwa ardyliany, jeden ziemny z przewagą zielonego, a drugi powietrzny z przewagą białego. I jestem gotowa przysiąc, że tym pierwszym jest Shiba, klacz Lary... Ale to by wtedy musiało oznaczać, że przyjechała tu ze swoim chłopakiem, Ardieniem (Xawier Bastiana jest z całkowicie innego rodzaju maści, czyli ognia, a poza tym jego właściciel na pewno nie posunąłby się do czegoś takiego), czyli on rozmyślnie złamał niepisane prawo, że poza lumiami do Selumie nie ma prawa wchodzić nikt...

Z lekkim niepokojem pokonuję te trzy schodki, mając ogromną nadzieję, że to mi się tylko wydaje. Przecież Ro mogła sobie sprowadzić nowego konia w zamian za Est'Rię (czymś w końcu musi podróżować), a drugi jest bonusem... Przecież nie mogę od razu zakładać, że stało się to, co stać się nie powinno...

Ostrożnie uchylam drzwi tylko na taką szerokość, żebym mogła bezszelestnie wcisnąć się do środka. Gdybym otworzyła je szerzej, skrzypnęłyby na sto procent, a wtedy, zakładając, że zasada została złamana, mogłabym spłoszyć „intruzów”...

Gdy jestem w holu, natychmiast zdejmuję szpilki, żeby nie stukały (wszelkie odgłosy są zdecydowanie niepożądane), chwytam je w rękę i na palcach zaczynam iść w stronę schodów na piętro. Zatrzymuję się jednak w połowie pierwszego kroku, a mianowicie robi to smoczek (rzecz jasna ten, którego przygarnęłam...

wczoraj albo przedwczoraj, nie jestem do końca pewna), bez skrępowania na mnie wpadając z pełną prędkością.

— Mały! — syczę na niego, cudem utrzymując równowagę. — Co ty wyrabiasz? — pytam, kiedy już udaje mi się wyprostować i mieć pewność, że nie upadnę. Oczywiście odzywam się do niego szeptem...

Słodziak nie ma najmniejszego zamiaru odpowiadać. Zamiast tego chwyta mnie wszystkimi łapkami za rękę i, usilnie pracując skrzydełkami, zaciąga mnie w stronę recepcji. Dość szybko załapuję, że zależy mu na tym, bym schowała się pod blat...

— Co się dzieje, maluszku? — pytam się go tak cicho, jak tylko potrafię, ale żeby też był w stanie usłyszeć.

Wiadomo, zdaję sobie sprawę z tego, że mi nie odpowie. W zamian za to słyszę przyciszoną rozmowę dwóch osób, dobiegającą z części, w której mieści się kryty basen. Ich głośność wyraźnie wskazuje na to, że zbliżają się do miejsca, w którym ja również się znajduję.

— Tu jest cudownie — odzywa się dziewczyna, i w tym momencie mam już pewność, że to Lara. Jakim idiotą jest ten jej chłopak, że aż zabrał ją w miejsce, do którego wstęp mają tylko i wyłącznie wilczyce?

Ułamek sekundy później, gdy on się odzywa, już znam odpowiedź na to pytanie i czuję, jak robi mi się gęsia skórka, a sierść jeży się dosłownie do granic możliwości (a przynajmniej tam, gdzie ją mam). Już teraz doskonale wiem, cóż to za idiota ją tu sprowadził...

Rozdział XL

— Wiedziałem, że ci się tu spodoba — w głosie hrabiego Metery słyszę satysfakcję. — Widzisz, dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych, skarbie.

— Właśnie widzę — Lara stwierdza z podziwem. — I zastanawiam się, czym jeszcze mnie zaskoczysz.

— Czymś na pewno — uśmiecha się lekko. — W końcu mam wiele niespodzianek w zanadrzu... A zastanawiałaś się kiedyś nad tym, co to znaczy być królową?

„A ty to akurat wiesz najlepiej” — stwierdzam ze złością w myślach. Ze wszystkich tu obecnych, tylko ja zdaję sobie sprawę, czymże to jest. Tylko ja zajmowałam się na serio kompletnie wszystkim...

— Nie, a coś insynuujesz? — moja przyjaciółka wydaje się być zadowolona. Co z resztą nie jest specjalnie dziwne, każdy temat związany z czymś, co jest choć odrobinę podobne do bajki, niezwykle ją interesuje...

— Cóż... Można tak powiedzieć — te jego słowa jeszcze bardziej potwierdzają moją wcześniejszą hipotezę w związku z tym, co planuje zrobić. — Ale to jeszcze nie jest pewne, moja droga, więc nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

— Ardien, błagam cię, nie bądź taki... — wzdrygam się, kiedy Lara używa jego drugiego imienia, którym najwyraźniej się jej przedstawił. Jak mogłam być taka głupia, że się nie domyśliłam? Przecież spotkała go w Listeshire, niedługo przed „atakami” ymuli, potem zobaczyli się w Zesten, które później też „napadła” armia cieniolumbnych... Może gdybym posłuchała dziewczyny uważniej, gdy o nim wspominała, łatwiej byłoby mi ogarnąć, że jej chłopakiem jest mój bezwzględny były narzeczony... Pytanie jest tylko jedno — jaki miał cel w tym, by ją okręcić sobie wokół palca? Czyżby chodziło mu o mnie? Ale skąd niby mógł wiedzieć, że się przyjaźnimy?

— Nie ma mowy, kochanie, powiem ci o tym w odpowiednim czasie — w głosie Ertexa (przepraszam bardzo, Ardiena dla nastolatki) słyszę żelazną nutę stanowczości. „Z nią nawet Lara nie wygra”, myślę z ponurą satysfakcją... co jakby nie było, jest nieco wredne.

Czuję, jak smoczek, który przycupnął tuż obok mnie, szturcha lekko moją dłoń.

Zerkam na niego i widzę w jego oczach jedno wielkie pytanie, połączone z dumą. Zupełnie, jakby nie był całkowicie pewien, o co chodzi, ale wiedział, że uratował mnie przed niebezpieczeństwem...

— Dziękuję, słodziaku — szepczę tak cicho, jak tylko potrafię (choć i tak narażam się na to, że mnie usłyszą... ale przecież maluchowi należy się coś w zamian za jego „bohaterski” czyn...), po czym zaczynam go głaskać, starając się

cały czas pozostać jak najbardziej przypląszczona do zakrytej części recepcji.

Zwierzaczkowi jednak to nie wystarcza, bo odtrąca moją rękę (co nie zmienia faktu, że się do mnie jakby lekko uśmiecha w podzięcie za pieszczoty), a pytanie w jego wzroku jest o wiele, wiele bardziej wyraźne, niż poprzednio.

— Później ci to wytłumaczę — odszeptuję, po czym nagle czuję oszołamiający zapach perfum. Są tak mocne, że aż zaczyna mi się kręcić w głowie. „Ktoś tu nieźle przesadził...” — myślę, próbując się nie zakrztusić i równocześnie rozgryźć, cóż to takiego. Nie ma szans, zbyt wiele rodzajów wymieszanych w jedno... Nawet nie muszę sprawdzać, doskonale wiem, że to musi być Lara. Tylko ona potrafi się tak wysikać kompletnie nie pasującymi do siebie kompozycjami, że praktycznie dusi wszystkich obecnych wokoło. Aż dziwne, że Ertex jej na to pozwolił... W końcu on pod względem estetycznym i zapachowym jest bardzo, bardzo wymagający i dosłownie nienawidzi przesady... Tak samo, jak z resztą ja. Chyba tylko pod tym względem do siebie pasowaliśmy...

— Tak sobie teraz myślę... — z zamyślenia wyrывa mnie głos nastolatki.

— O czym, moja piękna? — gdy słyszę, jak on ją nazywa, mam ochotę tylko na to, żeby wyskoczyć z ukrycia, stanąć przed nimi i porządnie potrząsnąć przyjaciółką, żeby wreszcie się obudziła i przejrzała na oczy, że on wcale nie jest tak cudowny, jak jej się wydaje, że to wszystko jest tylko grą... I że kiedy przestanie być potrzebna jako pionek, on albo ją rzuci, albo zrobi coś jeszcze gorszego...

Na szczęście doskonale zdaję sobie sprawę, że to byłoby jednym, wielkim idiotyzmem. Kompletnym, totalnym, i pokazałoby, jak potwornie głupia jestem. Estive przecież nie oddał życia dlatego, żebym tak po prostu weszła w paszczę lwa...

— O tym, że to jest po prostu niesamowite, jak dwójka całkowicie obcych ludzi tak po prostu, przypadkiem na siebie wpadła, i że zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia... — rozmarza się dziewczyna. — Dzięki tobie moje życie całkowicie się zmieniło, i to pod każdym względem... Że gdyby nie ty, pewnie nie odważyłabym się na zmianę wyglądu, jeszcze przez wieki nie zdecydowałabym się na żaden poważny związek... A tu proszę, nigdy bym nie uwierzyła, że tak wiele cudownych rzeczy mnie spotka, gdyby ktoś mi to powiedział przed wejściem do tego samolotu, którym poleciałam razem z Dion do Ammanu...

— Czyli tak właściwie jej zawdzięczamy to, że jesteśmy narzeczeństwem — w głosie mojego ex słyszę fałszywą nutę radości i czegoś w rodzaju entuzjazmu. Oczywiście ja wyczuwam, że to jest fałszywe. Lara już zapewne nie... — Nie mogę się doczekać, żeby wreszcie ją poznać i bardzo, bardzo gorąco jej podziękować za to, że dzięki niej się poznaliśmy...

„No to super, a podziękować zamierzasz przykładając mi nóż do gardła, czy

celując do mnie z impulsatora?” — uśmiecham się ponuro. Doskonale wiem, że z takiego spotkania jedno z nas nie wyszłoby żywe, i na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent tą osobą byłabym ja...

— Na pewno ją polubisz — w głosie Lary jest tak ogromna pewność, że trudno się nie roześmiać (mi na szczęście się udaje). Tym bardziej, że ja znam kilka faktów, o których ona nie ma pojęcia. Owszem, on bardzo mnie polubił... a przynajmniej moją koronę. Dla niej był gotowy zrobić wszystko, nawet mnie zabić... A z resztą, ciągle pokazuje, do czego dla niej jest zdolny, widać to faktycznie była wieczna miłość od pierwszego wejrzenia...

— Cóż... — słyszę, jak hrabia chce wyrazić opinię na ten temat, ale podobnie jak moją, jego uwagę od tego odwracają ciche, ledwo słyszalne kroki na schodach. Od razu się odprężam, doskonale wiem, któż to taki jest...

— Jeżeli jedno z was choćby drgnie, zastrzelę na miejscu — lodowaty ton Rori wyraźnie pokazuje, że wreszcie odkryła obecność intruzów. — I wiecie, że mam do tego pełne prawo...

— Grozisz nam suszarką? — nowa narzeczona mojego ex jest wyraźnie zaskoczona. I w tym wypadku nie pozostaje mi nic innego, niż tylko facepalm. Ewentualnie parsknięcie śmiechem, ale to byłoby zbyt głośne. Bo faktycznie, impulsator trochę przypomina taką tradycyjną suszarkę... W sumie tylko nastolatce na myśl mogło przyjść takie skojarzenie. Podobny może odrobinę jest, jak również śmiertelnie niebezpieczny...

— Lara, cicho — Ertex reaguje błyskawicznie. No akurat on powinien wiedzieć, że na to się naraża, wchodząc do Selumie...

— Co wam strzeliło do tych waszych pustych łbów, żeby wejść na teren hotelu, nie mówiąc o terenie zjazdów? — w co prawda cichym głosie lumii słyszę ledwo hamowaną wściekłość. Mam pewność, że gdybym teraz na nią spojrzała, zobaczyłabym istne uosobienie furii? — Nie znacie zasad? Od wieków jest przecież wiadomo, że najważniejszym prawem odmiennych, których i tak się nie łamie, jest **ZAKAZ WCHODZENIA DO SELUMIE OSOBOM INNYM OD NAS!!!** — przy ostatnich słowach podnosi głos tak bardzo, że osiąga on wręcz bolesny poziom decybeli.

— Ale przecież mówiłeś, że ciebie to nie obowiązuje? — siedemnastolatka najwyraźniej z zaskoczeniem patrzy na swojego narzeczonego.

— No proszę, pana i władcy to nie obowiązuje? — orientuję się, że dopiero teraz Rori na dobre się wściekła. I teraz już im nie daruje. W tym słodziutkim tonie, którym właśnie się wypowiada, jest tyle jadu, że wcale bym się nie dziwiła, jakby to komuś zaszkodziło... — Ach, no tak, zapomniałam... Przecież Jego Hrabiewskiej Mości można wszystko, łącznie ze znowami z ymulami, by zyskać tron, oczernianiem zarówno królowej Cinderly, jak i jej poprzedniczki, naszej kochanej Luminy! O, no i jeszcze chyba nie wspomniałam o targaniu się na życie

tej ostatniej!!!

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, jest wręcz namacalna. Dosłownie słyszę, jak w głowie Ertexa i kolejnej ofiary jego uroku osobistego ruszają się trybiki. On chyba chce znaleźć jakąś sensowną odpowiedź, ona próbuje przetrwać uzyskane informacje...

— A teraz WON MI STĄD!!! — Ro po raz kolejny się wydziera, i to tak nagle, że aż pojawiła mi się gęsia skórka.

Po pospiesznych krokach poznaję, że dwójka właśnie opuściła strefę zagrożenia, a po szybkich uderzeniach końskich kopyt o bruk drogi prowadzącej do budynku.

Moment później słyszę stukot impulsatora o marmurową posadzkę holu.

— Jak dobrze, że nikogo poza mną tu nie było... — lumia wzdycha ciężko. — Ciekawe, co by było, gdyby w hotelu została też nasza kochana Lu... — urywa i z wielkim szokiem wypisanym na twarzy i dolną szczęką sięgającą już chyba poziomu ziemi patrzy, jak wyłaniam się spod lady w recepcji, cała poobijana, podrapana, w lekko porwanej bluzce...

Rozdział XLI

— To nie tak, jak myślisz, mordko — od razu zastrzegam, widząc minę Rori i wiedząc, co zaraz może nastąpić...

Co oczywiście nie zmienia faktu, że ona i tak kompletnie ignoruje to, co mówię.

— Boże, Lu, co ci się stało?! — nie zważając na nic rzuca się ku mnie z takim impetem, że prawie lądujemy na ziemi. Cudem udaje mi się utrzymać równowagę... — Co oni ci zrobili?!

— Tak właściwie, to nic... — szczerze, to ja nie wiem, po co ja się jej tłumaczę. I tak mnie totalnie olewa...

— Jak on mógł, co za potwór... — lamentuje lumia, dokładnie mnie oglądając. — Żeby tak cię skrzywdzić... I ta jego „narzeczona” też nie lepsza — prycha z pogardą. — Patrząc, jak robi coś takiego bezbronnej dziewczynie...

— Ro, zrozum... — po raz kolejny próbuję dojść do słowa, oczywiście z zerowym skutkiem.

— Dlaczego, Lu, dlaczego ja się powstrzymałam i nie nacisnęłam tego durnego spustu od razu, tylko zachowałam skrupuły i pozwoliłam im normalnie odejść... — Ro jest zrozpaczona. — Przecież ktoś powinien go w końcu ukarać za to, że tak całkowicie bez żadnej odpowiedzialności robi, co mu się żywnie podoba...

— A z tym to się akurat, mordko, zgodzę — o dziwo, udaje mi się cokolwiek wtrącić. — Ktoś na serio powinien go wreszcie zaciągnąć przed Radę, żeby się wypowiedział z tych swoich małych grzeszków, tych trochę większych i tych ogromnych też... Bo teraz to już chyba sobie wyobraża, że może zrobić wszystko — na samą myśl o tym, co stało się z Estive'em, czuję, jak ogarnia mnie wściekłość, doskonale pokazuje to też kolor moich pasemek...

Moja Best Friend Forever niestety źle odczytuje ten sygnał, przerabiając go nieco na swój obecny sposób myślenia.

— Lu, nawet nie wiem, co powiedzieć — wygląda tak, jakby zaraz miała się rozpłakać. — Ja w takiej sytuacji chyba bym się nie pozbierała, a ty... Ty wręcz chcesz się na nim mścić... Ja cię podziwiam, kochana — przy tych słowach obejmuje mnie mocno.

— Troszeczkę ostrożniej — syczę, bo jednak ślady po moim ataku na skałę z wysokości (i to może być tylko część, w końcu później nic nie pamiętam).

— Przepraszam, Lu — wilczyca odskakuje jak oparzona. — Ale jak można być takim draniem, takim sadystą, takim...

— To nie Ertex mi to zrobił — wreszcie udaje mi się to powiedzieć.

— Nie Ertex? — jest zaskoczona chyba jeszcze bardziej, niż wcześniej. —

W takim razie kto? Kto tak bardzo skrzywdził moją najlepszą przyjaciółkę?

— Właśnie widzisz, to trochę skomplikowana sprawa... — zaczynam się wykręcać, bo przecież potrzebuję chwili do namysłu, żeby ubrać to w odpowiednie słowa. Nie chcę przecież, żeby Ro znowu zaczęła sobie wyobrażać niewiadomo co i naginać to, co powiem, do swoich własnych teorii. To musi być czysty fakt, bez żadnych niedopowiedzeń, inaczej Rori może to odczytać w dowolny sposób...

Chociaż może w sumie powinnam pomyśleć o tym zanim powiedziałam to powyższe...

— Skomplikowane? Jak to może być skomplikowane? — lumina zaczyna się lekko irytować, jak zwykle, gdy czegoś nie wie albo nie dostaje takiej odpowiedzi, na jaką oczekuje. — Prosta rzecz, kto ci to zrobił?

Nawet nie zdążam otworzyć ust, żeby choć spróbować to wytłumaczyć, bo ona znowu zaczyna wysnuwać swoje przypuszczenia.

— Już wiem... — w jej oczach pojawia się błysk zrozumienia. — Ty tą osobę kryjesz... Lumino, to do ciebie nie podobne, przecież zawsze, kiedy ktoś cię skrzywdzi, mówisz mi o tym, bez względu na to, kóż to zrobił, jak bardzo bliski ci był... Chodzi o tego Bastiana, twojego chłopaka, tak? — najeża sierść i już jest gotowa iść przed siebie, żeby go znaleźć i rozszarpać na strzępy za domniemaną szkodę, jaką to ponoć mi wyrządził.

— Nie, to nie on... — oczywiście i tak nie udaje mi się powiedzieć nic więcej.

— Czyli w takim razie kto?! — wybucha.

Przez moment nastaje cisza. Odrobinę boję się ją przerwać, żeby wilczyca znowu nie zaczęła świrować z tym wymyślaniem. Gdyby tylko umożliwiła mi powiedzieć choć dwa w miarę złożone zdania, żebym choć spróbowała jej cokolwiek, nawet w telegraficznym skrócie, wytłumaczyć...

— Estive — to jest nawet bardziej stwierdzenie, niż pytanie. — On ci to zrobił — gdy podnoszę wzrok i patrzę przyjaciółce prosto w oczy, widzę w nich wyraźne oskarżenie. Nie wiem tylko, czy skierowane do mnie, czy do Odwiecznego. Z jednego za to doskonale zdaję sobie sprawę. Teraz ona już mi nie odpuści...

— Ro... — mimo wiedzy o bezsensowności moich starań, ciągle je podejmuję na nowo. Skutek jest oczywiście taki, jaki przewiduję, mianowicie nie ma go wcale...

— A mówiłam, mordko, żebyś tam nie szła — zimno w jej tonie jest niezwykle wyczuwalne. Jestem gotowa się założyć, że potrafiłaby zamrozić nim cokolwiek w najbliższej okolicy, jeśli przyszłaby jej na to ochota... — Mówiłam, że on jest smokiem, a myślenia smoka nie zrozumiesz. Odkąd tylko zaczęłaś się u niego uczyć, badał cię, czekał na odpowiedni moment, żeby cię zranić, skrzywdzić, wykorzystać, a nawet zabić... Pomyśl, gdybyś mnie posłuchała

i tam nie szła...

— To nie był Estive — mówię z całą pewnością siebie, na jaką w tym momencie mnie stać. I dobrze, dziewczyna orientuje się, że teraz moja kolej na wyrażenie swoich opinii, wreszcie... — Dobra, zgodzę się, że jeżeli bym tam nie poszła, być może oszczędziłabym sobie trochę bólu, przerażenia, ale równocześnie nie udałooby mi się odkryć, do czego zdolny jest Ertex w swoim dążeniu do władzy...

— Czyli to jednak był on? — tym razem Rori już się zgubiła. I choć może to wredne z mojej strony, to uważam, że to bardzo dobrze, może nareszcie uda mi się coś więcej wytłumaczyć...

— Poczekaj, kochana, to wszystko jest tak totalnie skomplikowane, że chyba będę musiała opowiedzieć ci całą historię, która sprawiła, że w tym momencie stoję tu i teraz przed tobą w takim stanie, poczynając od momentu, w którym posłaniec od... — zacinam się na moment. Tak właściwie to nie wiem, od kogo były gryfy, być może jednego faktycznie wysłał mój nauczyciel, a drugiego tey, może pierwszy był od jakiegoś tajemniczego sojusznika... — W sumie to nieistotne, od kogo — stwierdzam. — W każdym razie od momentu, w którym gryfy przyniosły mi wiadomość o tym, cóż tu się wyprawia.

— Spoko, może być — lumia kiwa głową, choć wiem, że ciężko będzie jej wytrzymać. — A z tym posłańcem, to dlaczego nieistotne, od kogo? Ja myślę, że to ważne...

— Właśnie nieistotne, bo do końca nie jestem pewna, kto je przysłał — wzruszam ramionami. — Na początku byłam stuprocentowo pewna, że oba były od Estive'a. Teraz wiem, że to wcale nie jest takie proste, bo jeden mógł być od niego, ale wcale nie musiał, za to drugi na sto procent został wysłany przez kogoś innego, choć w sumie można by to też pod niego podciągnąć... — zamyślam się, rzecz jasna z pełną świadomością, że teraz porządnie zakręciłam przyjaciółce w głowie.

— Dobra, masz rację, to faktycznie wcale nie jest najważniejsze — macha ręką na znak, żebym przestała. — Jedyńm, o co cię, kochana, proszę, jest to, żebyś wyjaśniła mi wszystko od początku, ze wszystkimi szczegółami, najprościej jak potrafisz.

— Uuuu, siostró, to niezłe wyzwanie przede mną stawiasz — uśmiecham się lekko. — Cudotwórcą nie jestem, a niektóre aspekty sprawy mogą się rozjaśnić dopiero po pewnym czasie... O ile w ogóle, bo większości spraw to ja do dzisiaj nie potrafię nijak ogarnąć i nie zanoszę się, żeby w miarę szybko to się udało.

— Spoko, ale powiedz mi wszystko to, co wiesz, wszystko, co wydarzyło ci się od tamtego momentu do teraz — prosi nastolatka.

— Postaram się — kiwam głową. — A teraz, moja droga, daj mi jeszcze chwilkę, dobrze? Chciałabym się choć trochę ogarnąć, bo przecież tak nie zamierzam siedzieć, a i opowieść może mi zająć trochę czasu...

— Spokojnie, Lu, nie musisz się spieszyć — uspokajająco unosi ręce. — Mamy jeszcze co najmniej kilkanaście godzin, zanim dziewczyny wrócą, jest przecież środek nocy, więc bez nerwów się wyrobimy ze wszystkim, ty też możesz się ogarniać przez tyle czasu, ile uznasz za spokojne, kochana.

— No to super, wreszcie chwila samotności w zamkniętym pomieszczeniu bez obawy, że osoba, która znajduje się po drugiej stronie drzwi, zabije cię, jeżeli wystawisz za nie chociażby czubek nosa — uśmiecham się nieco szerzej.

— Co?! — lumia patrzy na mnie z szeroko otwartymi oczami.

— Zaraz ci wytłumaczę! — stwierdzam, wspinając się po schodach na górę.

* * *

Pochyliłam się nad umywalką i przemywam sobie twarz zimną wodą. Idealny sposób na orzeźwienie... i ewentualne obudzenie.

Podnoszę głowę i patrzę w lustro. Nie ma szans, to wcale nie był sen. Estive nie żyje, ja muszę ze wszystkim poradzić sobie kompletnie, całkowicie sama... A, zapomniałabym. Moich wisiorków też nie ma. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że zgubiłam rodowy klejnot, którym był ten kryształ, spaliłabym się ze wstydu. A rodzice, gdyby o tym wiedzieli, chyba zabiliby mnie na miejscu... W końcu przez prawie półtora tysiąca lat był on przekazywany z głowy rodu (którą w tym momencie jestem ja) na kolejną... Z jednego władcy Arlesii, na następnego...

Chociaż najlepsze jest to, że mimo tego, jak ważny to symbol, wcale go nie żałuję tak bardzo, jak buteleczeni, którą dostałam od Mirt'Oshima. Mam dziwne wrażenie, że ona znaczyła dla mnie o wiele, wiele więcej. To pierwsze było niezwykle istotne dla mojej rodziny, ciągnęło za sobą cały szlak tradycji, zaszczytów... I nieopisanych, okrutnych zbrodni, o czym niedawno się dowiedziałam. Pamiętam swój gniew w pierwszym momencie, gdy się o tym dowiedziałam. Byłam wówczas gotowa zdjąć ten kryształ i rzucić go hen, hen daleko za skalny taras, by rozbił się na stromych zboczach Turrend Gress, tak mało znaczyło dla mnie wówczas moje nazwisko... Co więcej, w tamtym momencie chciałam się go nawet wyrzucić tak szybko, jak to tylko możliwe.

Za to ten drobiazg, ta fiołka znaczyła dla mnie bardzo wiele. Była symbolem malutkiego kroczonego na drodze pojednania rodu der Soltarie ze smokami, bo przecież nie zmuszałam mojego towarzysza podróży, by mi ją dał... Co więcej, pokazywała, że choć za kimś przez tysiąclecia ciągnęło się coś złego, można spróbować to naprawić, i że warto się starać. Kto w końcu może wiedzieć, czy się nie uda? Tak samo z ryzykiem — podjęłam je, wchodząc do klatki z Mirt'Oshimem, choć właściwie nie znałam powodu, dla którego nie powinnam ryzykować. I się opłaciło — darował mi życie mimo tego, co przysięgał, ja zdałam

sobie sprawę z tego, ile jeszcze rzeczy muszę naprawić, kiedy już wrócę na tron... Wiążących się, rzecz jasna, z laboratoriami i wszystkim, co w jakikolwiek sposób się z nimi łączy...

A właśnie, ciekawa jestem, w jaki niby sposób zawartość tej buteleczki miałyby mi ocalić życie, zamyślałam się na chwilę. Przecież w tamtym momencie na serio moje życie było zagrożone, a jakoś niczego, łącznie ze skutkami ubocznymi, o których smok mi wspomniał, nie odnotowałam... Może tu nie chodziło o takie zagrożenie życia, tylko o jeszcze bardziej bezpośrednie...

Ale prawda, ja przecież obiecałam Rori, że opowiem jej całą historię tego, co się wydarzyło mi, odkąd tylko dostałam wiadomość o bałaganie rozgrywającym się na Vastertilie... Nie zwróciłam wtedy tylko uwagi na jeden, dość istotny szczegół — w tych wydarzeniach dużą rolę odegrał również mój środek transportu od Listeshire do obrzeży Seiten Gaye, a jakby się kto uparł, to może nawet i polany u stóp Tusteris. Gdyby nie on, nie dostałabym się tu tak szybko, nie wiedziałabym o tym, że w obozie ymuli jest teyka pod moją postacią, nie dowiedziałabym się o istnieniu laboratoriów, potem być może nie przyjąłabym propozycji Bastiana w związku z chodzeniem... I podskórnie czuję, że choć jestem w pełni świadoma tylko tych kilku „nie”, mogłabym je mnożyć jeszcze przez długi czas, co chwilę wynajdując nowy powód wśród tych, o których wiem i tych, o których nie mam bladego pojęcia.

Jedno jest pewne — o tym moja przyjaciółka się nie dowie, inaczej miałabym niezłą aferę, pamiętam przecież, jak zareagowała na wieść, że Estive to Odwieczny... W takim razie muszę pozmienić kilka szczegółów, bo jednak bez tego historia pozostawiałaby zbyt wiele niedomówień, o wiele więcej, niż jest ich w rzeczywistości...

Czyli teraz pozostają mi do wyboru dwie opcje — albo sobie teraz wszystko ustalę, albo po prostu pójdę na żywioł, licząc, że jakoś będzie. Tak przecież zrobiłam z tłumaczeniem dziewczynom, cóż takiego sprawiło, że zniknęłam i teraz znowu wróciłam...

Ale z drugiej strony, tam mogłam być z nimi szczerą, bo właściwie nie było szansy, żebym jakoś głębiej zanurzała się w kwestie związane z moją podróżą, tu, niestety, będę musiała to zrobić...

Dobra, trudno, zaryzykuję. Od dawna się przekonałam, że dla mnie to jest zdecydowanie najlepsze wyjście, bez względu na to, ile stawiam na szali. Dzięki temu zyskałam sobie być może przyjaciela pod postacią Mirt'Oshima, poza tym zamiast czekać na śmierć z rąk teya wolałam zaryzykować i spróbować uciec, co też mi się udało... Nic mi się nie stanie, jeżeli teraz też spróbuję. Poza tym na pewno będzie to wyglądało o niebo bardziej naturalnie, niż w innym wypadku.

Rzucam jeszcze kontrolne spojrzenie sobie w dużym lustrze, chcąc przekonać się, czy aby na pewno wyglądam dobrze. Tak też jest, a wszystkie

zadrapania, które widać na odsłoniętym ciele, lekko dodają mi drapieżności, czyli efektu, o którym marzy każda lumia.

Uśmiecham się do siebie lekko, po czym odwracam się i przechodzę do części sypialno-mieszkalno- itp., w każdym razie tej, w której nie ma już łazienki.

— To jak, opowiesz mi wszystko? — rozglądam się po pokoju, by po chwili się zorientować, że głos Ro dochodzi z mojego łóżka.

— Jasne, właśnie taki mam zamiar — odpowiadam, przechodząc te kilka kroków i wspinając się po drabince. — A więc, żebyś wiedziała wszystko po kolei, to cofnijmy się w czasie do momentu, gdy razem z przyjaciółką byłyśmy na plaży, a ja właśnie miałam złapać kolejną falę... — zaczynam, gdy tylko usadawiam się wygodnie obok niej.

— Umiesz surfować? — wilczyca patrzy na mnie z ciekawością.

— Zawsze chciałam się nauczyć i wreszcie mi się udało — wzruszam ramionami. — A wracając do tematu, to za wszelką cenę postanowiłam przekonać ją, by weszła do wody i choć spróbowała się nauczyć czegoś więcej...

Rozdział XLII

— No i mniej więcej to by było na tyle — kończę, przytulając poduszkę jeszcze mocniej.

— Niezła historia — po Rori wyraźnie widzę, że jest kompletnie zaskoczona. Nie takiej opowieści chyba się spodziewała... — Ja ciebie podziwiam, kochana. Tyle rzeczy na głowie, na dodatek jeszcze tyle problemów...

— Na niektóre sprawy specjalnego wpływu nie mam — wzruszam ramionami. — Na przykład na to, co się stało z moimi oczami, ani na to, że tyle czasu musiałam się tłuc przez pół Arlesii na grzbiecie masakryczne wolnego konia...

— Na to ostatnie to chyba mogłaś coś poradzić — Ro zerka na mnie ze zdziwieniem.

— Jeżeli mam być szczerą, to niespecjalnie — uśmiecham się kwaśno. — A przynajmniej dopóki nie chciałam sprawić, że Goldier się na mnie nie obrazi za jazdę na innym ardylianie... Wiesz, jak on bardzo potrafi być zazdrosny o byle co.

— Wiem, mówiłaś mi już nie raz — lumia kiwa głową. — No to może faktycznie na to nie miałaś wpływu. Podobnie, jak na tamtego ymula.

— Cóż... Bywa — stwierdzam filozoficznie.

— Ale tak dowiedzieć się o zbrodniach popełnianych przez swoją rodzinę od tysiącleci... Żeby taki ymul przekazał ci to wszystko w taki sposób... — dziewiętnastolatka kręci głową. — Ja ci naprawdę współczuję, kochana...

Ymula podstawiałam w zamian za Mirt'Oshima, w końcu musiałam podać jej jakąś inną postać, która przekazała mi wiadomość o laboratoriach. Historia jest prosta — zamiast powiedzieć, że kłóciłam się ze smokiem, w oczekiwaniu na powrót Lary i Bastiana, stwierdziłam, że wybrałam się na przejażdżkę w okolicach Listeshire. Wówczas natknęłam się na jednego z cieniolubnych, który całkiem porządnie mnie zwymyślał. Ja, jak to ja, nie puściłam tego płazem; ale tym razem nie miałam zamiaru się kłócić. Po prostu cofnęłam się i poprosiłam go o wytłumaczenie, z jakiego powodu postanowił mnie tak nawzywać. W dosadnych słowach wyjaśnił mi, o co mu chodzi, ale, co najlepsze, dowiedziałam się też, że poza nim nie wie o tym kompletnie nikt inny. Na całe szczęście moja przyjaciółka przyjęła tą wersję wydarzeń.

— Nie ma czego — lekceważąco macham ręką. — Mordko, do takich sytuacji byłam przygotowywana, wychowywana od dziecka... Przecież normalne jest to, że nie wszyscy zgadzają się z władzą, jaka by nie była. A jeszcze kiedy ciągną się za nią okrutne zbrodnie, i to tak bardzo okrutne, jak w przypadku mojej rodziny... Na dodatek jeszcze w tak pokojowym kraju, jakim jest Arlesii... Przecież u nas coś takiego się nie zdarza. Co innego na Stertilie, tam co rusz

wyciąga się jakieś brudy dotyczące rządów państw, już pomijając fakt, że monarchii mają tam naprawdę mało...

— Tylko że ciebie podczas twoich rządów akurat nikt nie krytykował — zauważa wilczyca. — Ty spełniałaś oczekiwania wszystkich, nawet najbardziej wymagających... Już nie wspominając o tym, jak to pięknie poradziłaś sobie z Radą na którymś spotkaniu z tobą w roli królowej?

— Na pierwszym, chyba że liczyć „pogrzeb” rodziców, to wtedy drugim — mówię, czując, jak na twarz wpływa mi lekki rumieniec. Zawsze dziwnie się czułam, kiedy którakolwiek z przyjaciółek, które przecież miały pełne prawo krytykować moje metody, mnie chwaliła... A szczególnie kiedy wspominają o tym, co stało się podczas mojej drugiej konfrontacji z członkami Rady...

* * *

„Pamiętaj, nie możesz dać się im wytrącić z równowagi — niczym mantrę powtarzam słowa Estive’a. Doradził mi to, gdy wspomniałam mu o swoich obawach w związku z pierwszym, oficjalnym zebraniem Wielkiej Rady Ludu (albo jak po prostu mówią ludzie — Rady) po śmierci moich rodziców. Pierwszym, na którym miałam zająć miejsce ojca i zamiast, jak wcześniej, biernie obserwować i się uczyć, wziąć w nim czynny udział... — Od razu, na samym początku pokaż im swoją siłę, inaczej cię stłamszą, Lumino. A przecież ja doskonale wiem, że ty potrafisz sobie doskonale z nimi poradzić, tylko musisz po prostu wyraźnie dać im do zrozumienia, kto tu rządzi...”

— Ja tu rządę — szepczę, zakładając niesforny kosmyk za ucho.

— Coś mówiłaś? — Rori zerka na mnie, przerywając czytanie informacji wyrytych na marmurowych tablicach przed wejściem do głównej sali obrad w pałacu.

— Nie, nic, nic — kręcę głową. — Nie przerywaj sobie, coś mi się zdaje, że jeszcze trochę się naczekamy... — dodaję, wzdychając ciężko.

Już od ponad dziesięciu minut czekamy na moją ukochaną kuzynkę, Cinder. Co, jakby nie było, jest dość wkurzające. Chociaż jestem królową, nawet ja nie odważę się złamać zasady, by do sali obrad wejść bez osoby, która w przyszłości być może mnie zastąpi na tym miejscu. Od zawsze tak jest, że Radni zabierają ze sobą swoich następców na zebrania, w końcu muszą wiedzieć, jak to wygląda na przyszłość. Ja też brałam w nich udział jako obserwatorka przez dość długi czas, być może nawet od pięciu, sześciu lat... Oprócz tego na salę mogą wejść jeszcze osoby zakwalifikowane jako postronne, ale bez najmniejszego prawa do głosu, podważania decyzji, czy piśnięcia nawet słowa, co w ich wypadku oznacza poważne konsekwencje, a nie, jak jakaś kwestia wtrącona przez ucznia jednego z członków Rady, która jest uznawana po prostu za coś niesmacznego.

Mocniej przyciskam swój nadgarstek i zerkam na holograficzny wyświetlacz zegarka, który się nad nim pojawił. No to super, teraz czekamy już prawie kwadrans... A Rada nie znosi czekać na swoich członków...

Chociaż, z drugiej strony... W końcu jestem teraz królową i równocześnie reprezentantką Dminestil, stolicy. Mam o wiele większe prawa niż pozostali, oni są tylko po to, by mi pomagać, ewentualnie dążyć do jakichś ustępstw bądź korzyści na rzecz swoich miast, i, jak już wcześniej powiedziałam, to ja tu rządę. Mają więc wyraźny obowiązek na mnie zaczekać. A z resztą, niech niektórzy korzystają z czasu, który jeszcze im pozostał, bo ja dzisiaj zamierzam zrobić generalne porządki. W czasach, gdy mój ojciec zajmował miejsce, na którym dziś zasiądę, miałam sporo okazji, żeby podpatrzeć, co tam się dzieje. I wyciągnąć wnioski, rzecz jasna. A nauczyć udało mi się całkiem wiele, między innymi dlatego, wedle rady Odwiecznego, dzisiaj sprawę będę stawiała twardo...

— Dużo o nich wiesz? — nagle pytanie Ro lekko wytrąca mnie z rytmu myślenia.

— Co? — patrzę na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

— No wiesz, o nich — wzrokiem pokazuje zamknięte drzwi, potem tablice. — O Radzie.

— Ale chodzi ci o Radę czy jej członków? — pytanie jest jak najbardziej uzasadnione.

— Tak właściwie to o to, i o to — wzrusza ramionami.

— Powiedzmy, że wystarczająco — stwierdzam, choć wiem, że to wcale nie jest odpowiednia odpowiedź. Powinnam znać każdego z nich, łącznie z jego zastępcą z imienia, nazwiska i przynajmniej połowy życiorysu, plus jeszcze to wszystko bez problemu użyć w rozmowie. Z tego wszystkiego udało mi się tylko zapamiętać imiona i nazwiska ich zastępców, nazwiska wszystkich Radnych i nazwiska niektórych. Troszeczkę mało... Ale w sumie... Jakoś sobie poradzę, znam w końcu jeden genialny sposób na radzenie sobie ze wszystkim (a przynajmniej genialny dla mnie), mianowicie... improwizację.

— A pamiętasz, kto się czym zajmuje? — lumia odwraca się frontem zdecydowanie bardziej do mnie. — Kto jest z którego miasta? I ogólnie wszystko w tym guście?

— A ty co mnie przepytujesz? Przecież... — urywam, zdając sobie sprawę z tego, że w tym momencie to jest najlepsza rzecz, jaką może dla mnie zrobić.

— ...miała się tym zająć Cinderly, równocześnie sama się ucząc, tak, wiem o tym — wilczyca przewraca oczami. — Ale twojej kuzyneczki jeszcze tu nie ma, więc ja się tym zajmę. Masz gdzieś tą kartkę?

Bez słowa podaję jej już dość porządnie wygnieciony świstek formatu A5 z naklejoną mapą Arlesii na drugiej. Wiele tam nie zapisałam, tylko nazwiska i imiona Radnych, miasta i to, czym dane miasto się zajmuje. To ostatnie

teoretycznie pamiętam, ale przecież nie zaszkodzi sobie przypomnieć. W końcu nawet w improwizacji trzeba mieć jakiegolwiek podstawy, na czym oprze się resztę...

— Dobra, zacznijmy od początku... — Rori urywa i zaczyna się wpatrywać w moje dość nieczytelne pismo, najwyraźniej próbując dociec, cóż to ja nabazgrałam na samej górze.

— Skoro od początku, to na samej górze była stolica — przymykam oczy i zaczynam przeszukiwać mózg w poszukiwaniu odpowiednich danych. — Czyli Dminestil. Poza tym, że mieści się w niej Pearle Kiry, jest też słynne na cały kraj z... z... — milknę, próbując sobie przypomnieć, z czego słynie moje miasto. — Z wyrobów florystycznych i cudownych perfum! — niemalże wykrzykuję z tryumfem. — Rzecz jasna nie to nadaje jej status najważniejszego, tylko fakt, że jak wspomniałam, jest stolicą. Radnym stąd zawsze jest władca, czyli Soacrit der... — urywam na moment, po czym ciągnę dalej, weryfikując swój światopogląd. — Nie, wróć. Nie Soacrit, a Lumina der Soltarie, czyli ja. Od jakiegoś tygodnia.

— Kochana, nienajlepiej... — krzywi się Ro. Doskonale wiem, o co chodzi, nie kojarzyć tak podstawowych informacji o swoim własnym mieście, i to z którego nie tylko pochodzę, ale też które reprezentuję...

— Wiem — wzdycham. — Dobra, dawaj dalej, może będzie lepiej.

— Oby — kiwa głową. — W takim razie, mordko, co mi powiesz o Listeshire?

— To akurat proste — uśmiecham się lekko. — Wiadomo, miasto koni, głównie ardylianów. Rok w rok odbywają się tam czempionaty i wszelkiego rodzaju konkursy. Położone na wybrzeżu, to stamtąd najłatwiej dostać się na wyspę z furką... choć ludzie o tym nie wiedzą — unoszę palec do góry na znak, żeby przyjaciółka mi nie przerywała. — Miasto w Radzie reprezentuje Autmir Stealen, już od dobrych czterdziestu lat, sam ma koło siedemdziesiątki.

— No tu się postarałaś, bardzo ładnie, mordko — lumia kiwa głową z uśmiechem. — To teraz co mi powiesz o... na przykład o Oltakonie?

— Skaczesz po liście? — zerkam na nią.

— Musisz znać ich na wrywki — wzrusza ramionami. — Przecież kiedy któremuś będziesz udzielać głosu, nie będziesz biegała po liście, żeby odtworzyć sobie, kto to jest?

— No w sumie co racja, to racja... — wzdycham ciężko. — Oltakon, powiadasz... W linii prostej od Listeshire, jakieś kilkaset kilometrów w głąb lądu dalej. Zajmuje się przede wszystkim przywracaniem gatunków, co czyni go jednym z ważniejszych miast dla gospodarki. Jego przedstawicielem jest Zyrian Morlit, w podobnym wieku, jak Stealen... Z moich obserwacji on i jeszcze ósemka innych trzyma się w miarę razem, zawsze dbają o swoje interesy...

— To jakie miasta trzymają się razem? — wilczyca nie ma najmniejszego zamiaru przestać mnie maglować. — I nie musisz podawać ich lokalizacji, nawet przybliżonej, bo wiem, że to wiesz.

— O jedną informację mniej, super — uśmiecham się szeroko, po czym jednak poważnieję. — Tą małą grupkę, że tak powiem, nieoficjalną koalicję tworzy Oltakon, jak już wspomniałam, i jeszcze Xerion, Zesten, Marcolost, Ginet, Colodaros, Luhri, Mineloast i Reckless. Same najważniejsze miasta dla gospodarki i funkcjonowania Arlesiie. Wiedzieli, jak się zebrać, żeby stworzyć mur nie do pokonania... — na samą myśl o tym, co wielokrotnie widziałam podczas obrad, moje ręce zaciskają się w pięści. Już ja ich nauczę, co to znaczy sprawiedliwość i brak faworyzowania, a nie to, co mój ojciec... — Ale ja już im dam radę — uśmiecham się złowieszczo.

— Niech się boją, mordko — Rori szturcha mnie z uśmiechem, w końcu nie raz opowiadałam jej, cóż tam się w rzeczywistości wyprawia... — A teraz powiedz mi o tych miastach coś więcej, w kolejności, w jakiej je wymieniłaś.

— Obowiązkowo w takiej? — patrzę na nią miną skrzywdzonego wilczka.

— Obowiązkowo — szesnastolatka nie zna litości. — Ale mogę ci podpowiedzieć, jak ona wyglądała, jeśli się pogubisz — po chwili dodaje łaskawie. Widać mój urok osobisty i umiejętność słodkich minek odniosły skutek również i w tym przypadku...

— Czyli tak, pierwszy, z tego, co pamiętam, był Xerion... — zamyślam się. — No to chyba jedno z łatwiejszych, w końcu wszyscy wiedzą, że to miasto technologii, dzięki niemu nasze państwo jest takie, jakie jest. Radny stamtąd nazywa się Reter Maselantis i ten akurat jest najstarszy, już prawie podchodzi pod dziewięćdziesiątkę, ale podobnie jak wszyscy, wyjątkowo dobrze się trzyma. Ale oprócz tego, że jest najstarszy, to jeszcze jest w Radzie najdłużej, od około sześćdziesięciu lat... Doświadczony lis, z nim pójdzie mi chyba najciężej... Dobra, idziemy dalej. Potem było Zesten... Mmmm — mruczę z rozkoszą — miasto mody, jedno z naszych najulubieńszych, mordko — szturcham ją, po czym zaczynamy się śmiać na same wspomnienie cudownych chwil spędzonych w tym mieście. — I właśnie stamtąd pochodzi nasz ukochany projektant, Mitterian Elevaio, wiesz, ten, który zaprojektował mi strój na koronację... Ale on nie jest Radnym, więc się skupmy na Terelio Evenero, czyli tym, który nim jest. W wieku takim samym jak Morlit czy Stealen. Następne, o ile dobrze pamiętam, to... Marcolost. Tam robi się lekarstwa, trucizny, różne specyfiki... Te, które farbują skórę też — mrugam do niej. Kolejne wspomnienie, z czasów dzieciństwa, kiedy na jeden z oficjalnych balów poszłyśmy w całkowicie innych kolorach skóry, ja miałam niebieską... — W każdym razie Radny stamtąd nazywa się Korelnit Deresount, przedział wiekowy ten sam, co u tamtej trójki. Kolejne, o ile dobrze pamiętam, jest Ginet, wiesz, to małe miasteczko portowe nad brzegiem

Liresist... W którym odbywa się wymiana handlowa z ruslinsen, czyli mimo rozmiarów i tak jest bardzo ważne. To miasto reprezentuje Hesto Kiri, przedział wiekowy ten sam... Muszę ciągnąć dalej? — patrzę na Ro z miną męczennicy.

— Musisz — lumia jest nieubłagana. — Przecież musisz ich wszystkich zapamiętać z imienia i nazwiska, miasta też musisz, kochana, znać...

— No dobra, jadę dalej — wzdycham cierpiętniczo. — Potem Colodaros... To takie miasto, a właściwie bardziej osada górnicza. Wydobywa się tam węgiel, miedź, złoto i platynę, a reprezentuje je niejaki Terietus Korostill, w wieku takim, jak wcześniejsi... Dobra, lećmy dalej, teraz Luhri. Stamtąd pochodzą najlepsi szefowie kuchni, a poza tym tamtejsze sery... Pychota — uśmiecham się lekko. — I ich Radnym jest Laurenest Cofres, i oczywiście jest w podobnym wieku, co pozostali. Wiesz, oni ogólnie znają się od początku swojego uczestnictwa w Radzie, tak więc są w mniej więcej tym samym wieku, to mogę już potem nie mówić o ich wieku? No wiesz, tych z tej dziewiątki? — kiedy przyjaciółka kiwa głową, ciągnę dalej. — No to co my potem mamy... Mineloast, kolejne miasteczko z kopalniami, ale tu też przejawia się smykałka jubilerska, bo stąd pochodzi srebro i różnego rodzaju kamienie szlachetne. W Radzie reprezentuje je Zerelest Redosti. I w końcu, ostatnie z tej dziewiątki „koalicji” jest Reckless. Miasto wyrobów kamieniarskich, genialnych budowniczych i architektów właśnie w tej dziedzinie. Ich Radny to Lurites Tarsia.

— Czyli to już wszystkie miasta będące w sojuszu, tak? — lumia patrzy się na mnie uważnie.

— Tak — wzdycham. — I z tymi będę miała najcięższą przeprawę...

— A co z pozostałymi?

— Pozostałe trzymają się pierwotnej istoty Rady — wzruszam ramionami. — Są totalnie neutralne, dbają tylko o interesy swoje, które nie szkodzą innym, ale też pomagają krajowi.

— Wymień — żąda wilczyca.

— Listella, Turel, Scallus, Kiref, Elea, Tini, Tesaurus i Metera — wyliczam niemalże na jednym tchu.

— A teraz opowiedz mi trochę o nich więcej — prosi przyjaciółka. — Tylko teraz bez pośpiechu, a nie tak, jak wspominałaś o kilku ostatnich miastach. Teraz chcę znać więcej szczegółów.

— Ro, błagam... — wzdycham po raz kolejny. No cóż, jakby nie było, teraz mam już tego trochę dość... Zbyt dużo informacji docierających do mózgu w zbyt małym przedziale czasu...

— Mów — stanowczo nakazuje mi przyjaciółka.

— Spoko, niech ci będzie — krzywię się, ale rozpoczynam ponowne przeszukiwanie zgromadzonych w mojej głowie danych, równocześnie usilnie starając się dojrzeć coś na kartce trzymanej przez lumie. Nie ma szans, zasłoniła ją

na tyle dokładnie, że nawet mapy specjalnie nie widzę... — Dobra, z tego, co pamiętam, to pierwsza była Listella... To takie fajne miasteczko, do którego warto przyjechać, jeżeli szuka się czegoś w rodzaju pamiątki znad morza czy oceanu. Mają tam precudowną biżuterię produkowaną z darów tego wodnego świata, a z resztą nie tylko, bo jakieś figurki czy innego rodzaju bibelotki na sto procent też tam znajdziesz. Co istotne, robią tylko drobiazgi, bo jakieś większe zlecenia przekazują dla Reckless albo Kiref, o którym też zaraz wspomnę. Ich Radny to Crotos Lauter, gość bardzo sympatyczny, obecnie około czterdziestki, jest mniej więcej w takim wieku, jaki miał mój ojciec... — urywam na chwilę i ocieram zbłąkaną łezkę. Chociaż w rzeczywistości od śmierci rodziców minął miesiąc, wciąż na ich samo wspomnienie czuję się paskudnie. Mimo tego dzielnie ciągnę dalej. — No więc tak, następne, o ile dobrze pamiętam, było Turel... Nie jest jakieś niewiadomo jak wielkie, ale w nim znajdziesz najpiękniejsze na obu światach wyroby papiernicze, dosłownie małe rękodzieła... Ostatnio znalazłam tam piękny zeszyt, może zacznę prowadzić pamiętnik, wiesz, taki tradycyjny... Tylko co ja będę w nim pisać, skoro w moim życiu nie dzieje się praktycznie nic ciekawego... — na te słowa i mój poważny ton Rori parska śmiechem. Obie doskonale wiemy, że to kłamstwo, bo ja prowadzę naprawdę interesujące życie... już nie wspominając o paru jego aspektach, o których kompletnie nikt nie wie nikt poza mną i jeszcze jedną osobą... No nie, po co ja o tym wspomniałam, karczę się w myślach. Po ostatnich wydarzeniach, które się z tym wiążą, to na samą myśl chce mi się płakać... A teraz przecież muszę być spokojna, opanowana, nic nie może wytrącić mnie z równowagi... — Ale już wracając do tematu miast, to Turel jest reprezentowane przez Feartona Coedavo. Ten ma maksymalnie koło pięćdziesiątki, a tak mi się przynajmniej wydaje... — dodaję opanowanym tonem i w duchu gratuluję sobie władzy nad własnymi emocjami. Czyli jednak, jakby nie było, to Estive nauczył mnie naprawdę wiele, z resztą nie tylko w tej jednej dziedzinie.

— Czyli co, nie nauczyłaś się życiorysów? — w oczach nastolatki proszę szczerą odpowiedź.

— Niespecjalnie miałam czas — kręcę głową z żalem. — Może i dostałam je coś koło trzech tygodni temu, ale ty przecież sama doskonale wiesz, ile spraw zważyło mi się na głowę od śmierci rodziców... Tej pierwszej, prawdziwej, rzecz jasna...

— W moich oczach to cię zupełnie usprawiedliwia, i coś mi się wydaje, że oni też cię rozumieją, Wasza Wysokość — uśmiecha się lekko, zwracając się do mnie moim oficjalnym tytułem. Zapamiętać: jak najszybciej powiedzieć dziewczynom, żeby tak do mnie nie mówiły, bo wtedy czuję się tak dziwnie... Tak... jakby przez moją pozycję pomiędzy mną a nimi pojawiła się ogromna przepaść... A przecież już wielokrotnie udowodniły, że tak wcale nie jest. — Ale miasta, to, czym się zajmują, i ich Radnych z imienia i nazwiska znać musisz, tu

nikt ci żadnego fory nie da, Lu. Kontynuuj dalej, jakbyś mogła.

— W takim razie następny jest Scallus. To chyba druga najmniejsza tak właściwie bardziej osada niż miasto w Arlesii. Ich najważniejszym surowcem są ryby, w końcu położone jest na jednym z dopływów ruse Trilitie. Więcej nie powiem, bo się niestety nie da, nigdy tam nie byłam, ale muszę postarać się jeszcze tam zajechać, w końcu jako królowa to mam obowiązek znać wszystkie miasta... W każdym razie ich radnym jest Mishon Gencis, o ile dobrze pamiętam w wieku Coedavo, może tak z rok, dwa lata młodszy... Dobra, idźmy dalej. Potem mamy Kiref i w tym wypadku to akurat dziwię się, że nie jest w koalicji razem z tamtą dziewiątką, w końcu też jest miastem bardzo istotnym dla gospodarki... Powiedziałabym nawet, że porównywalnie do Reckless, w końcu oba przodują w budownictwie, różną się tylko technologią. Kiref w końcu tworzy z wszelakich rodzajów drewna, a to drugie z kamieni, na przykład marmuru i inne w tym guście... W sumie ja uważam, że to bardzo dobrze, bo jeżeli będę robiła porządki, to zapewne wywalę wszystkich z tej genialnej, małej grupki, a Orecona Dorta, to jest ich radnego, lubię... To naprawdę mądry człowiek i na pewno go zostawię. Ma w końcu już prawie siedemdziesiąt lat, sporo widział w swoim życiu i bardzo dobrze będzie mieć choć jednego, tak doświadczonego doradcę w Radzie.

— A co, reszta nie jest równie doświadczona? — Ro wydaje się być trochę zaskoczona.

— Zależy, jaka reszta.

— No wiesz, ta reszta, która nie jest sprzymierzona razem przeciwko innym — choć i tak wiedziałam, że to właśnie o nich chodzi wilczycy, chciałam to od niej usłyszeć.

— Ta reszta nie, z nich najstarszy jest właśnie Dort — kręcę głową przecząco. — Wszyscy inni są poniżej pięćdziesięciu lat, a Radny z imienia Metery to chyba przez dłuższy czas był najmłodszy w historii... Choć teraz chyba ktoś właśnie pobił rekord — uśmiecham się lekko.

— Dobra, mordko, dajesz dalej, nie wiemy, ile mamy czasu do powrotu twojej kuzynki, a choć cześć musisz powtórzyć, skoro nie udało ci się wykuć życiorysów — moja przyjaciółka jest kompletnie i bezlitośnie skupiona na tym, co właśnie robiłam i chyba zaraz będę musiała niestety pociągnąć dalej, aż do końca...

— To w takim razie następna jest Elea, jedno z najpiękniejszych miast w Arlesii. Nic w końcu dziwnego, to przecież dom największych i najwspanialszych artystów, stamtąd biorą się też projekty na przykład domów, rzeźb... Właściwie to wszystkiego, poza ciuchami. I w rzeczywistości w innych miastach są realizowane projekty z Elei, więc w sumie też jest ważna dla gospodarki i kiedyś nawet była w tej grupce „rządzących”, tylko po śmierci jej poprzedniego Radnego jego fotel przejął Hiren Kovensil, gość koło trzydziestki, który zdecydowanie się takiej polityce sprzeciwia. I dobrze, ja mam takie same

stanowisko w kwestii faworyzowania kogokolwiek. Później mamy Tini, najmniejszą osadę w całym kraju, ostatni bastion cywilizacji przed Seiten Gaye, które, jak każde skupisko ludzi ma też swojego przedstawiciela, w tym wypadku Voleta Mauriati, sympatycznego czterdziestoparolatka. Kolejną pozycję na liście zajmuje Tesaurus, słynący z precyzyjnych wyrobów ceramicznych, reprezentowany przez Kyiriona Tronte. I ostatnia, już teraz na serio, jest Metera, najśladzkie miasto w Arlesii... Tamtejsze słodkości, kochana, psychotka! A w Radzie z ich ramienia zasiada też całkiem niezłe ciacho, dwudziestoletni hrabia Ertex von Sheen. To właśnie jego rekord pobiłam.

— Ktoś tu się zakochał — Ro szturcha mnie lekko.

— Nie, ja po prostu stwierdzam fakt — wzruszam ramionami, po czym odwracam się przodem do schodów, a tyłem do wejścia i mojej przyjaciółki. Chcę w ten sposób ukryć zakłopotanie, a przynajmniej spróbować, bo moje cudowne pasemka i tak mnie wydadzą... Ale cóż, co mam poradzić, w końcu on jest skończonym przystojniakiem, do tego sympatycznym, uprzejmym, i z tego, co wiem, prawdziwym gentelmanem. A po tym, co ostatnio przeszłam...

I znów się zapędzam w niebezpieczne rejony umysłu, wzdycham lekko. Czy nie mogę po prostu tego zapomnieć?

Sekundę później słyszymy pośpieszne stukanie butami w marmurowe posadzki. Ja i Rori nawet nie musimy wymieniać myśli, wystarczy, że zrobimy to ze spojrzeniami... I tak zdajemy sobie sprawę, że to nadchodzi bardzo, ale to bardzo spóźniona Cinderly Soltarie, moja kuzynka i następczyni zarówno w Radzie, jak i na tronie (a przynajmniej dopóki nie wyjdę za mąż, i nie będę miała ewentualnych dzieci).

— Dziewczyno, przepraszam, byłabym szybciej, ale...

— Nie tłumacz się, tylko chodź — przerywam im w pół słowa. — im szybciej tam wejdziemy, tym lepiej. Nie chcę dać im czekać kolejne pół godziny.

— A co z... — Cinder próbuje zacząć, ale tym razem Ro jej na to nie pozwala.

— Ja już przepytalam Lumine, gdybyśmy z tym też na ciebie czekały, to chyba cały dzień trzeba by było tu spędzić — oświadcza stanowczo.

Po jej słowach już nikt się nie odzywa, w sumie aż dziwne, dziewczyna zazwyczaj wymaga szacunku należnego księżnej, ale widać moje towarzystwo i moje zdecydowanie wyraźnie ją od tego odwraca.

Wszystkie trzy podchodzimy do drzwi, zza których przedostaje się lekki gwar zniecierpliwionych głosów. Na moment przystaję przed nimi i na dosłownie ułamek sekundy ogarnia mnie strach, czy sobie z nimi poradzę... Ale wystarczy tylko, bym przypomniała sobie słowa Estive'a, dzięki nim od razu odzyskuję pewność siebie. To ja tu rządę, to oni powinni się mnie bać, a nie odwrotnie... I właśnie dlatego biorę głęboki oddech, po czym zdecydowanym ruchem otwieram

dwuskrzydłowe drzwi i razem z dziewczynami wchodzę do środka.

Od razu zapada cisza jak makiem zasiał. W pełni świadome tego, że wszyscy mierzą nas wzrokiem, zajmujemy wyznaczone dla siebie miejsca — Cinder wśród zastępców, Ro obok innych widzów, a ja przez chwilę przeżywam lekką dezorientację. Wcześniej siadałam tam, gdzie moja kuzynka, ale teraz...

Na całe szczęście dość łatwo przychodzi mi zorientowanie się, gdzie powinnam siąść. Tylko jedno siedzenie przy okrągłym stole jest wolne; obity czerwonym aksamitem tron na lwich łapach. Ten sam, na którym jeszcze całkiem niedawno widziałam swojego ojca... I teraz jest czas na to, bym zajęła jego miejsce nie tylko tu, w Radzie, ale też w całym państwie, całkowicie przejęła stery...

— Spóźniła się pani, Wasza Wysokość — ze złością stwierdza jeden z Radnych, kiedy już zajmuję miejsce. — A to wbrew regułom.

Podnoszę oczy, napotykam na jego spojrzenie i wiem, że w tym momencie rozpoczęła się wojna. Albo wygram ja, albo oni, i wtedy mnie zniszczą, nie pozwolą dojść do głosu... Tym bardziej, że jestem pierwszą kobietą, która po pierwsze zasiadła przy tym stole, a po drugie zajęła miejsce przewodniczącego i władcy. I z tego powodu zamierzam wyraźnie pokazać, na co mnie stać i kto tu rządzi...

Ledwo dostrzegalnie kiwam głową, po czym uśmiecham się ponuro. Wyzwanie przyjęte, głowy się posypią... Zaraz jednak odzyskuję poprzedni wyraz twarzy.

— Przepraszam panów bardzo, ale niestety miałyśmy po drodze pewne problemy techniczne. Obiecuję, że już więcej to się nie powtórzy — mówię, równocześnie kątem oka posyłając Cinderly mordercze spojrzenie. Zrozumiała, bo zrobiła się czerwona jak burak.

Zauważam równocześnie, że członkowie „koalicji” wymieniają ze sobą zadowolone uśmiechy. Myślą, że jestem grzeczniutką, pokorną dziewczynką, która przyjmie wszystko, co tylko się jej powie? To w takim razie przekonają się, na co mnie stać...

— Dobrze, w takim razie chyba możemy przejść do obrad, skoro pani, Wasza Wysokość, raczyła się już pojawić — ten sam, który wcześniej zwrócił mi uwagę, po raz kolejny robi to, czego nie powinien, a mianowicie przejmuje rolę przewodniczącego... Bez trudu poznaję, że to Maselantis, tylko on ośmieliłby się na coś takiego. Poza tym robił już podobne wysoki za czasów panowania mojego ojca, tylko tamten na takie wybryki mu pozwalał. Ja nie zamierzam.

Nie odzywając się ani słowem wyciągam z torebki notes, po czym ponownie ją odkładam. Przez cały czas nie odzywam się ani słowem, tylko, świadoma zdziwienia malującego się na twarzy wszystkich zaczynam go kartkować w skupieniu.

— Wasza Wysokość, co pani robi? — z zamyślenia wyrywa mnie głos hrabiego von Sheen. Jest chyba jeszcze bardziej zaskoczony od pozostałych, ale mimo to tylko on odważył się zadać mi takie pytanie. Zarobił tym sobie u mnie całkiem sporego plusa, że nie boi się pytać. To dobrze, tacy ludzie są cenni.

— Nic, nic — kręcę głową, cały czas przeglądając notatnik. — Po prostu mam gdzieś tu zapisany regulamin Rady, łącznie ze spotkaniami... Musiał mi umknąć punkt, w którym napisano, że przewodniczącym nie jest władca, tylko najstarszy obecny na sali — podnoszę wzrok i gdy mówię to zabójczo słodkim tonem, patrzę prosto w zaskoczoną twarz Radnego Xerionu. — Ale skoro najwyraźniej go nie ma, to w takim razie ja się tym zajmę — oznajmiam, z trzaskiem zamykając zeszyt i rzucając go na stół. — Jak już powiedział Radny Maselantis, możemy zacząć obrady. Ktoś może mi powiedzieć, jakim tematem będziemy się dziś zajmować?

Przez moment na sali panuje cisza, przerywana tylko oddechami obecnych. Wszyscy przy stole wymieniają między sobą niepewne spojrzenia, widać nie do końca wiedzą, co mają powiedzieć...

— To może inaczej, czy ktokolwiek pamięta temat poprzedniego zebrania? Nie mogłam w nim uczestniczyć przez wzgląd na przygotowania do pogrzebu rodziców... — rozglądam się po mężczyznach zasiadających przy stole.

Rzecz jasna na to też nikt nie odpowiada.

— Panowie, czy to jest aż tak trudne pytanie?! — unoszę głos. Mam wrażenie, że dzieje się coś, o czym powinnam wiedzieć, ale nikt nie raczy mnie uświadomić. Dość frustrująca sytuacja, nikomu takiej nie życzę.

— Mówiłem wam, że to był zły pomysł — ciszę, która zrobiła się tak gęsta, że wręcz można by ją kroić nożem, wreszcie przerywa Orecon Dort. — Ta mała wcale nie jest tak mało bystra, jak wam się wydawało, panowie. I sobą rządzić też nie pozwoli.

Członkowie koalicji wymieniają między sobą przerażone spojrzenia. I choć powinnam się zapewne obrazić na nazwanie mnie małą, puszczam to mimo uszu. Bardzo lubię Radnego z imienia Kiref, i jemu jeszcze zapewne nie takie określenie mnie przeszłoby płazem. Zamiast tego skupiam się na tym, co dzieje się na sali.

— Czy ktoś raczy mi powiedzieć, co tu się wyrabia?! — wrzeszczę, i twarze wszystkich znów zwracają się na mnie. Nie obchodzi mnie to. Zamierzam dostać swoją odpowiedź i mam gdzieś to, do jakich środków będę musiała się uciec.

O dziwo, wcale nie muszę nic specjalnego robić. Mauriati, Radny Tini odsuwa krzesło i wstaje. Razem z nim wstają przedstawiciele Kiref, Listelli, Metery... W końcu przy stole zostają tylko członkowie „koalicji”.

— To jest temat poprzedniego spotkania, Wasza Wysokość — Ertex von Sheen bierze ze stołu jedną z licznych teczek z aktami, po czym mi ją podaje. — To przez to oni — wskazuje siedzących ruchem głowy — tak bardzo się boją.

Biorę od niego akta. Mojej uwadze oczywiście nie uchodzi fakt, że gdy przez moment musnęliśmy się dłońmi, serce zaczęło mi bić w przyspieszonym tempie, ale teraz po prostu nie mam czasu się tym zajmować. Zdecydowanie bardziej interesuje mnie treść papierów...

Po chwili ich analizowania czuję, jak moja sierść się jeży, a pasemka stają się krwistoczerwone. I oni myśleli, że ja tego nie zauważę?

— Cała dziewiątka ma opuścić salę — mówię złowieszczym tonem. — Ale już! — z niemalże szeptu gwałtownie podnoszę ton do krzyku, tak że wszyscy, nawet ja, się wzdrygają.

— Ale... — Fearton Coedavo, Radny Turel, patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Nie wy — uciszam go ruchem ręki — tylko tamci zdrajcy.

Cisza, która teraz w tym momencie zapada, aż boli w uszy.

— Wasza Wysokość, ale... — Evenero podejmuje próbę obrony, ale nie pozwalam mu dokończyć.

— W takim razie, skoro twierdzisz, że nie jesteście zdrajcami, powiedz mi tak szczerze, co ma znaczyć ten wniosek? — unoszę do góry zapisaną starannie wykaligrafowanym pismem kartkę, podpisaną dziewięcioma nazwiskami: Evenero, Cofres, Maselantis, Redosti, Deresount, Kiri, Tarsia, Korostill i Morlit. Cała dziewiątka członków koalicji podpisała się pod papierkiem zgłaszającym zmiany do regulaminu, dzięki którym zyskaliby całkowitą kontrolę nad Radą. Mogliby robić, co im się tylko będzie podobać, przyjmować ustawy rujnujące wszystkie miasta... Wtedy władza królewska już wcale by się nie liczyła. A jeżeli nie chcę zniszczyć kraju... — Wy myślicie, że ja na to pozwolę? Że jestem aż tak głupia, by pozwolić wam dbać tylko i wyłącznie o wasze interesy, równocześnie skazując Arlesiię na zagładę? — w moim wciąż cichym głosie coraz mocniej drga nutka gniewu. Jednego jestem pewna. Wybuch nastąpi bardzo, bardzo szybko... — I z tego powodu nie chcę was więcej widzieć. Zabierajcie mi się stąd razem ze swoimi zastępcami.

— O Pani... — tym razem odzywa się Tarsia. Kolejny, który chce błagać o litość... I jest to kropla przepełniająca czarę.

— POWIEDZIAŁAM WYJŚĆ!!! — drę się na całe gardło.

Moment później osiemnaście dość wystraszonych osób opuszcza pomieszczenie.

O dziwo, to całe starcie wcale nie pozbawiło mnie sił, jak wcześniej mi się wydawało. Zamiast tego naładowało mnie ogromną dawką adrenaliny, która teraz buzuje mi w żyłach, popychając mnie do działania. To, bym spokojnie siadła na swoim miejscu, wymaga ode mnie wielkiego panowania nad sobą.

— Panowie, możecie usiąść — mówię cicho. I mimo tego tonu wszyscy dosłownie się wzdrygają i błyskawicznie zajmują swoje miejsca. — Dziękuję. Jak zapewne widzicie, zostało nas mniej prawie o połowę. Nie mogłam tolerować

takiego zachowania, więc po prostu musiałam ich wyrzucić z Rady. Ich zastępcy mogli być też w to zamieszani, a przecież nie możemy pozwolić, by taka sytuacja się powtórzyła.

— Wasza Wysokość, a co z ich miejscami w Radzie? — Tronte patrzy na mnie z niepokojem.

— Zaraz to załatwię — kiwam głową, po czym wstaję ze swojego miejsca i podchodzę do Rori.

— Co ci załatwić? — patrzy na mnie z ciekawością.

— Zadzwoń mi tu do Certina Valeya z Luhri, Aureliana Stroteriesa z Xerionu, Roetilionu Xotri z Marcolost, Qastriana Novisa z Mineloast, Moriatina Tevorosa z Ginetu, Westriana Sorento z Reckless i Lautiniusa di Terri z Colodaros — proszę. — Znasz ich przecież...

— No znam, znam — kiwa głową. — Co przekazać?

— Że królowa bardzo gorąco ich prosi o możliwie jak najszybsze przybycie do Pearle Kiry, oczywiście wedle ich możliwości — informuję, wracając z powrotem na tron. — Ja ściągnę Mitteriana Elevaio, on, mam nadzieję, powinien zgodzić się zostać Radnym z imienia Zesten.

— Czyli teraz co? — Gencis patrzy na mnie z zaciekawieniem. Wszyscy wyraźnie widzą, że mam plan i uchwycili się go jak ostatniej deski ratunku. Wydaje mi się, że też tak właśnie jest.

— Czyli teraz czekamy aż wszyscy przybędą, i potem zobaczymy, czy zgodzą się dołączyć do nas, zgromadzonych w tym pokoju — wzdycham, po czym włączam implant i wybieram postać mojego ulubionego projektanta. W międzyczasie zerkam na Rori, prowadzącą dość ożywioną rozmowę.

Kiedy mężczyzna odbiera, skupiam się przede wszystkim na tym, by udało mi się go przekonać do wstąpienia do Rady...

* * *

— Lu, wszystko w porządku?

— Ale o co chodzi? — z zaskoczeniem zerkam na Ro, kiedy zaczyna mną potrząsać.

— Zamknęłaś się na parę ładnych minut i nijak nie można cię było dobudzić — wyjaśnia zaniepokojona lumia. — Wszystko w porządku?

— Tak, wszystko jest dobrze, o mnie nie musisz się martwić — kiwam głową. — Po prostu się zamyśliłam, ot co. Przypomniałam sobie moje pierwsze spotkanie z Radą...

— To faktycznie, była niezła akcja — uśmiecha się lekko nastolatka. — Myślisz, że teraz potrafiłabyś to powtórzyć, po tym, co przeszłaś?

— Nie wiem... Nie mam bladego pojęcia — kręcę głową ze smutkiem. —

Wiesz, tamto było pojedynczą sprawą, a teraz na głowę zważyło mi się ich całe mnóstwo... Śmierć Estive'a, sprawa z laboratoriami w pałacu, w końcu te plany Ertexa... Trochę tego za dużo, jak na mój gust.

— A nie uważasz, że przydałoby ci się trochę odpoczynku? — dziewczyna patrzy na mnie uważnie.

— Oczywiście, że tak — kiwam głową. — A co, znasz jakiś genialny sposób?

— Od razu po zjeździe planuję wyjechać na Sterilie, po tym, co stało się z Est'Rią, potrzebuję wypoczynku — wyjaśnia przyjaciółka. — Tylko w ten sposób go osiągnę; odcinając się od wszystkiego, choć niekoniecznie od wszystkich. Chciałabyś może pojechać ze mną?

Pomiędzy nami zapada cisza.

Rozdział XLIII

— Ro, o czym ty mówisz? — jako pierwsza odważam się przerwać milczenie.

— Dobrze słyszałaś — odpowiada, patrząc mi w oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy. — Uważam, że potrzebujesz odpoczynku by móc ze zregenerowanymi siłami zmierzyć się z twoim byłym narzeczonym, mordko. Parę tygodni na Stertilie dobrze by ci zrobiło, nie musiałabyś o tym myśleć... Poza tym zobacz, byłoby zupełnie tak, jak za dawnych czasów, moglibyśmy spędzać razem czas, włóczyć się po mieście, podróżować w jakieś wspaniałe miejsca...

— Mordko, ja nie mam kilku tygodni — przerywam jej w połowie zdania. — Nie jestem nawet do końca pewna, czy mam te kilka dni do końca zjazdu. Nie mam pojęcia, jak daleko plany Ertexa są już w realizacji, jak blisko jest osiągnięcia swojego celu. A kiedy już sięgnie po koronę, nie będzie odwrotu, dla nas, dla wszystkich odmienionych nie będzie już ratunku... A póki jeszcze tego nie zrobił, to postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy, wykorzystać każdą cenną minutę, ba, sekundę, by do tego nie dopuścić. Co najgorsze, nie mam nawet sensownego planu, więc uważam, że powinnam też ten „wolny”, o ile mogę tak w ogóle powiedzieć, czas wykorzystać na wymyślenie czegoś tak szybko, jak tylko to możliwe. A co do wyjazdu, to może kiedy indziej, jak to wszystko już się uspokoi...

Po raz kolejny w pomieszczeniu robi się niemalże równie cicho, jak w całym budynku. Równocześnie zauważam, że zaczyna się przejaśniać. Czyżby to możliwe, żeby moja opowieść trwała aż tyle? Chociaż, w sumie... Do powiedzenia było sporo...

Wzdycham lekko, po czym zeskakuję z łóżka na podłogę i podchodzę do balkonu. Mam wrażenie, że zaczynam się tu dusić. Propozycja przyjaciółki niezłe zagęściła atmosferę...

— Po koronę to mu się sięgnąć nie uda, nawet, jeśli zasiądzie na tronie — w głosie Rori słyszę ponurą satysfakcję.

Z zaskoczeniem zamieram w połowie kroku na zewnątrz.

Kiedy odwracam głowę i patrzę na twarz lumii, widzę tam czysto złośliwy uśmiech. Dziwi mnie to jeszcze bardziej, w końcu Ro jest ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o spleatanie komuś jakiegokolwiek dowcipu.

— Chodź ze mną, to zrozumiesz — mówi, schodząc na podłogę po drabince. Tu już się objawia ta ona, którą znam, ta, która woli nie ryzykować swojego życia. Cóż, tylko ja zeskakuję z górnego posłania. Ale cóż to jest w porównaniu ze skokiem z wodospadu ze szczytu Tusteris...?

— Czyli teraz zapewne mi nie powiesz, o co chodzi? — posyłam jej błagalne

spojrzenie.

— Cierpliwości, Lu, cierpliwości — wilczyca kręci głową przecząco. — Powinnaś ją porządnie potrenować.

— Jesteś już kolejną osobą, która ciągle mi o tym przypomina — wzdycham ciężko. — No ale dobra, trudno, jakoś wytrzymam. To gdzie idziemy?

— Za chwilę — podnosi do góry przepaskę na oczy. — Z tego, co pamiętam, to lubisz niespodzianki, kochana...

— Tak, wiem — kiwam głową. — Mam zasłonić oczy, żebyś nie wiedziała, gdzie mnie prowadzisz. Ale zdajesz sobie sprawę, że jak będziemy wracać, to i tak zobaczę, gdzie mnie zaprowadziłaś?

— Najważniejsze jest to, żebyś teraz nie wiedziała — wzrusza ramionami, po czym podchodzi do mnie i zasłania mi oczy. Zawiązuje opaskę na tyle ścisło, że nawet nie musi się pytać, czy cokolwiek widzę. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że tak jest.

Moment później czuję, jak łapie mnie za rękę i ostrożnie sprowadza na dół, uprzedzając o wszelkich pułapkach na moje nogi. A jest ich sporo, gdyby tak policzyć wszystkie schody...

Po chwili wychodzimy na dwór i tu już powoli zaczynam mieć prawo się zgubić. Rori prowadzi mnie we wszystkich możliwych kierunkach, czuję, że wchodzimy do kilku budynków, potem je opuszczamy... Pomieszanie z poplątaniem, po prostu. Nie mam bladego pojęcia, gdzie jesteśmy.

A przynajmniej do momentu, w którym nie staniemy na brzegu lasu. Wtedy nagle czuję, jak w moim mózgu włącza się coś w rodzaju nawigacji doskonale wiem, gdzie jesteśmy, i tak samo potem, jak już zaczynamy wracać do hotelu. Nie wiem, jakim cudem się tak stało. Zupełnie, jakbym nagle zyskała orientację przestrzenną i terenową bez udziału wzroku...

Nie psuję jednak przyjaciółce zabawy, niech ma tą satysfakcję. Bo swoją drogą i tak jestem bardzo ciekawa, o co jej chodziło z tą koroną...

* * *

— Już jesteśmy — oznajmia Rori, równocześnie ściągając mi z oczu opaskę. — A teraz, mordko, rozejrzyj się uważnie — dodaje, odsuwając się na bok.

Przez moment mam ochotę się zapytać, od kiedy w garderobie obok koncertówki na strychu jest ukryty pokój. Moment później zmieniam zdanie i ze zdumieniem patrzę na jedyny manekin w pomieszczeniu. Wygląda bardzo realistycznie, zupełnie, jakbym patrzyła na siebie sprzed trzech lat... Z momentu koronacji.

Ze zdumieniem podchodzę do siebie, a właściwie swojego wizerunku, i dotykam twarzy manekina. Ledwo się powstrzymuję, żeby nie pogłaskać jej

policzka.

Zamiast tego przykucam i z nostalgią zaczynam gładzić materiał sukni koronacyjnej, czyli najlepszy jakościowo jedwab na wszystkich światach, ozdobiony misternymi, brokatowymi ornamentami... Potem zauważam wgniecenie na pelerynie i je poprawiam, odwijam zawinięty brzeg rękawiczek...

— I co o tym powiesz? — Ro podchodzi do mnie i zerka na mnie z dumą.

Nie muszę nawet nic mówić, wystarczy, że spoglądam na nią z ogromną radością zawartą we wzroku. Zresztą i tak to widać po moich pasemkach, obecnie w kolorze purpury. Moje spojrzenie musi wyrażać też wielką prośbę, bo lumia zaczyna się śmiać.

— Oczywiście, że możesz, mordko. Dlatego przecież cię tu przyprowadziłam.

Większych zachęt nie potrzebuję. Z największą ostrożnością zdejmuję wszystkie części garderoby i kładę je na podłodze obok. Potem sama się rozbieram i zaczynam wkładać mój strój koronacyjny. W sumie od samego początku jest pewne, że gdzieś będzie nieco ciasnawy, bo w końcu teraz jestem starsza, kształty mam o wiele bardziej kobiece, niż wtedy, ale to mnie nie zniechęca. Po prostu muszę to włożyć, czuję, jak coś mnie do tego popycha...

— Zapniesz? — staję tyłem do przyjaciółki i odgarniam włosy, by nic jej nie przeszkadzało w dostaniu się do suwaka.

Lumia bez słowa spełnia moją prośbę, a ja od razu wciągam powietrze. Będzie ciężko, ale trudno, wytrzymam. Ten, kto kiedyś powiedział, że dla urody czasem trzeba cierpieć, miał wiele racji...

Z uśmiechem na twarzy staję przed lustrem i zaczynam podziwiać suknię. A jest co. Bez rękawów i żadnych ramiączek, dekolt w kształcie serca. Wykonana z najlepszego jedwabiu, sprowadzanego właściwie nie wiem, skąd. Czarny materiał pokrywają złote, roślinne ornamenty, rzecz jasna brokatowe. Dół spływa luźno, przytrzymywany złotym paskiem materiały z ogromnym, czarnym turmalinem, pięknie wyszlifowanym i oprawionym w złoto na środku. Ale to nie koniec, żeby nie sprawiała wrażenia ponurości, na środku wstawiono część z innego rodzaju materiału. Oczywiście też z jedwabiu, ale złotego. I ten fragment też ma wzory, identyczne jak na reszcie, tylko różnica jest taka, że tu są z czarnego brokatu...

— Na tym kończysz? — przyjaciółka krzyżuje ramiona i patrzy na mnie z ciekawością.

— No coś ty — rzucam jej zdziwione spojrzenie. To przecież nie jest wszystko, kreacja miała jeszcze kilka części...

Następne w kolejności są pantofelki, na obcasie o wysokości około dziewięciu centymetrów. Wyjątkowo wygodne, z zewnątrz obite takim samym materiałem, jak wstawka w sukni. Potem zakładam rękawiczki, długie, bo sięgające

aż za łokcie. Najlepsze jest to, że prawie wcale ich nie czuję, zupełnie, jakby ich nie było. Wykonano je tak, żeby pasowały do dodatków, czyli z tego samego, co buty.

Na koniec przychodzi czas na pelerynę. Z największą ostrożnością narzucam ją na plecy, pozwalając, by złoty materiał odpowiednio się ułożył, po czym zapinam na broszkę tuż pod szyją. Ona również, podobnie jak ozdoba na pasku, wykonana jest z czarnego turmalinu i złota.

Ostrożnie, by nie przydepnąć ciągnącej się po ziemi peleryny, odwracam się do wilczycy stojącej kawałek za mną.

— I jak? — pytam drżącym ze wzruszenia głosem.

— Pięknie — uśmiecha się. — Ale moim zdaniem czegoś tu jeszcze brakuje — dodaje sekundę później.

Krzywię się lekko. Czyli pewnie teraz będę musiała jej tłumaczyć sposób, w jaki dostałam się na dół Tusteris, bo jak inaczej wyjaśnię zniknięcie kryształu rodowego?

— Chodź tu do mnie — prosi, a kiedy stoję obok niej, ona wspina się na palce i zakłada mi coś na głowę.

I nagle pomieszczenie dosłownie ginie w nagłym, oślepiającym blasku. Nie da się nie zamknąć oczu.

Ułamek sekundy później światło nie jest już takie uciążliwe, po prostu jest. I nie muszę nawet podchodzić do lustra, by wiedzieć, że dziewczyna włożyła mi na głowę koronę. Oryginalną koronę rodu der Soltarie, która świeci tylko i wyłącznie, gdy jest noszona przez prawowitego władcę Arlesii. Dziwnym trafem nigdy nie świeci na głowie osoby, która ma ją nosić w przyszłości, a przynajmniej do momentu, w którym nie obejmie tronu. Pewne jest tylko to, że technologia jest niesamowita, w końcu dzięki niej dzieją się aż takie rzeczy... Kiedyś będę musiała się w to bardziej zagłębić. Szkoda, że trochę mniej interesowała mnie technika, w sumie fajnie by było zobaczyć, skąd biorą się te wszystkie pomysły...

— Nie chcesz się przejrzyć? — Rori cały czas patrzy się na mnie z podziwem.

— Cóż... Może — wzdycham lekko. Mam dziwne wrażenie, że jak się zobaczę, to stwierdzę, że... Że po prostu w tym stroju będę udawać kogoś, kim nie jestem. Że będę próbowała grać rolę królowej, do której teraz kompletnie się nie nadaję...

— Nie ma żadnego może — Ro łapie mnie za rękę i dosłownie zaciąga przed lustro.

— Ale... — próbuję protestować, ale urywam na widok swojego odbicia.

Z zaskoczeniem patrzę na piękną, pewną siebie lumie w stroju koronacyjnym. Odruchowo zakładam jeden z niesfornych kosmyków mojej grzywki za ucho; ona robi dokładnie to samo. W tym momencie zdaję sobie

sprawę, że najwyraźniej muszę patrzeć na samą siebie. Tylko... to niemożliwe. Ta dziewczyna emanuje przecież takim autorytetem, takim spokojem... Ona wyraźnie nadaje się na stanowisko królowej, a ja... A ja...

— A ty w rzeczywistości nadajesz się jeszcze bardziej, mordko — z zamyślenia wrywa mnie głos przyjaciółki. — Tamto to tylko odbicie, a prawowita władczyni Arlesii, Lumina der Soltarie, właśnie stoi obok mnie i nie chce mi wierzyć w moje słowa...

Rzucam jej zdziwione spojrzenie. Jakim cudem ona słyszała moje myśli? Przecież nie włączyłam przesyłu, już pomijając fakt, że implantu nie używałam już od kilku dobrych dni... Ciągłe nie miałam czasu go włączyć, od kiedy się zresetował w barierze ochronnej Seiten Gaye...

Moment później orientuję się, że te słowa wypowiedziałam na głos.

— Lu, nie żartuj sobie — wilczyca zbywa mnie dosłownie jednym machnięciem ręki. — A teraz lepiej się sobie przyjrzyj...

Wzruszam ramionami, po czym z powrotem zaczynam się na siebie patrzeć. I co najlepsze, z każdą sekundą uświadamiam sobie jeszcze jedno. A mianowicie to, że ja w tym momencie, w tym stroju, w tej koronie wcale nie udaję nikogo. Wcale a wcale. Z ubraniem tej kreacji wcale nie przywdziałam kostiumu, w którym miałam zacząć grać rolę królowej. Jest całkowicie odwrotnie. Zrzucając poprzednie ciuchy zrzuciłam również maskę, maskę najzwyczajszej lumii na świecie. Ja wcale nie jestem zwyczajna. Jak kiedyś powiedział mi mój nauczyciel, Odwieczny, jestem stworzona do tej roli... i co więcej, czuję się w niej dobrze. I w tym momencie właśnie przestaję udawać zwyczajną, z ubraniem tej korony staję się sobą... Po prostu sobą. Następczynią tronu łącznie ze wszystkim, co się z tym wiąże. I jeżeli mam być szczerą, to w tym momencie potrafię powiedzieć z największą pewnością, że tego mi brakowało. Podoba mi się to, kim jestem. I teraz nie mam najmniejszego zamiaru z tego zrezygnować.

Ułamek sekundy później do głowy wpada mi jeszcze jedna myśl. Teraz już nie mam zamiaru uciszyć Ertexa z za kulis. Teraz wyjdę mu całkowicie naprzeciw, w pierwszym rzędzie... Na tym miejscu, na którym być powinnam.

— O czym myślisz? — Rori patrzy na mnie uważnie.

— O tym, że powinnam wyraźnie odpowiedzieć mojemu byłemu na atak — odpowiadam, poprawiając koronę, żeby mi nie spadła. Ogromny rubin, znajdujący się na jej środku, jarzy się delikatnym, ciepłym światłem, wyraźnie potwierdzając, że ozdoba znajduje się na głowie właściwej osoby. — I że zrobię to z pierwszego szeregu.

— Czyli że co, planujesz wrócić na swoje miejsce? — Ro pyta z jakimś takim dziwnym wyrazem twarzy.

— Dokładnie, właśnie to planuję — kiwam głową. — Co prawda jak na razie nie wiem, jak to zrobię, ale mam jeszcze parę dni do dowiedzenia się tego.

Pomiędzy nami znów nastaje cisza, podczas której co chwilę poprawiam jakieś zagniecenia na stroju, wdzięczę się do lustra, posyłam sobie całusy...

— To skoro masz taki plan, w takim razie proponuję trochę się zrelaksować — ni z tego, ni z owego proponuje lumia. — Dopóki nie wrócą dziewczyny to mamy jeszcze parę ładnych godzin, więc co powiesz na wypad do hotelowego SPA?

— Jestem jak najbardziej za — uśmiecham się szeroko.

— W takim razie ja już idę się przygotować, a ty zaraz do mnie dojdź. I jakby co, Lu, to to wszystko jest twoje, my to przechowywałyśmy, licząc na twój powrót — dodaje, będąc już właściwie za progiem, po czym zamyka, dając mi odrobinę prywatności.

Ostrożnie zaczynam się rozbierać, dokładnie odkładając wszystko na miejsce. Równocześnie mam dziwne wrażenie, że powoli w mojej głowie zaczyna klarować się namiastka planu...

Rozdział XLIV

— Dziewczyny, wszystkie gotowe? — do salonu jak burza wpada Leira.

— I zobacz, co ty najlepszego narobiłaś — ofukuje ją Aira, która ułamek sekundy wcześniej, przestraszona nagłym wtargnięciem lumii do środka, robi mi piękną, karminową szramę na policzku.

— Ira, nic się nie stało — uspokajam ją. I faktycznie tak myślę... Dopóki nie zerknę w lustro. — Lei!!!

— No właśnie mówię... — wilczyca jest porządnie wkurzona. — I jak ja niby mam zrobić ci ten mega ostry makijaż w stylu lat dwudziestych XX wieku, kiedy ciągle ktoś mi w tym przeszkadza?!

Nawet nie chce mi się na to odpowiadać, po prostu wzdycham ciężko i poprawiam zawiązaną na głowie bandankę, bo ciągle mi się zsuwa. To jest jakaś jedna, wielka, totalna porażka.

Kiedy po powrocie dziewczyn ze smoczego wypadu powiedziały nam o swojej koncepcji tego przedstawienia, brzmiała genialnie. Po przeprowadzeniu wspólnych poprawek, wprowadzeniu niektórych piosenek było jeszcze lepiej. Nawet jeszcze dzisiaj, kiedy przez praktycznie cały dzień szykowałyśmy sobie kostiumy, atmosfera podniecenia gwarantowała nam świetną zabawę. Ale teraz? Teraz wyraźnie widać, że wszystkie, łącznie ze mną są podenerwowane. Pomijając fakt, że ja to akurat mam do tego jak największe prawo — przez zjazd miałam wykombinować, w jaki sposób odebrać to, co moje, bo taki miał być cel, który skryształizował się w mojej głowie podczas przebierania się w strój koronacyjny. I oczywiście z planowaniem wyszło tak, jak to u mnie zazwyczaj jest, czyli nijak. No to co, po raz kolejny chyba będę musiała improwizować, o ile nie wymyślę, cóż takiego mogę zrobić przez tą ostatnią noc w towarzystwie moich przyjaciółek, która mi została. Ale i tak najpewniejsza jest wersja z improwizacją, ponoć w tej dziedzinie jestem mistrzem. Ha, nawet nieźle to brzmi — Lumina der Soltarie, mistrz improwizacji i chodzenia na żywiol...

W każdym razie jedno jest pewne na sto procent — coś tu jest nie tak. Po prostu w powietrzu wisi coś toksycznego, coś, co przeszkadza wszystkim z nas choć odrobinę cieszyć się życiem...

Moment później orientuję się, że powiedziałam to na głos.

— Widzisz, mordko, my też to czujemy — wzdycha Rori, po raz setny poprawiając sobie fryzurę. — Nie mam pojęcia, jak to teraz wyjdzie nam z tym przedstawieniem, a potem całonocnym after party ze wszystkimi...

— I założę się, że w tym roku każda będzie stała pod ścianą, nie odzywając się do nikogo, i koniec końców po godzinie wylądujemy ze sobą w swoich pokojach, bo przecież nikomu nie będzie się chciało spędzać nocy w totalnie

drętym towarzystwie — wzruszam ramionami, podczas gdy Aira wyciera mi szminkę z policzka.

Między nami znów zapada cisza. Równocześnie, patrząc na odbicia pozostałej piątki w lustrze przede mną, zauważam, że wymieniają między sobą znaczące spojrzenia.

— Czy ja o czymś nie wiem? — pytam tonem, który wyraźnie wymaga odpowiedzi.

Mistral od razu robi się czerwona, a Ro spuszcza wzrok, jakby z lekkim zakłopotaniem. Aira, Leira i Iora patrzą tylko na siebie z lekką niepewnością.

— Dziewczyny, przecież ja was nie zjem — odwracam się do nich przodem. — Wiem, że wy chcecie dla mnie tego, co najlepsze i że się o mnie martwicie, ale na serio muszę wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz, tym bardziej, jeżeli są to sprawy związane z królestwem...

— No więc... Chodzi o Ertexa — zaczyna Mist. — I... O twoją kuzynkę.

— Znowu coś narobiła, tak? — z nadzieją przesuwam wzrokiem po ich twarzach. Bardzo bym chciała, żeby przekazali mi takie informacje, a nie coś o wiele gorszego...

— Wiesz co, mordko... Ty najlepiej to przeczytaj — Io podaje mi do ręki oficjalnie wyglądające pismo. — A wy chodźcie, dajmy jej trochę spokoju — dosłownie wypycha dziewczyny za drzwi salonu kosmetycznego, po czym je dokładnie zamyka.

Właściwie nawet nie muszę czytać, żeby wiedzieć, co ten papier zawiera, wyczuwam to przez skórę... I po reakcji przyjaciółek. Przecież nie zachowywałyby się tak, gdyby to była dobra dla mnie wiadomość...

„OŚWIADCZENIE

My, Wielka Rada Ludu, z niezmiernym smutkiem oznajmiamy, że od zaginięcia Jej Wysokości Luminy der Soltarie upływają już dwa lata. W związku z tym zmuszeni jesteśmy uznać ją za zmarłą, bo wszelka nadzieja, że nasza cudowna królowa do nas wróci cała i zdrowa, niestety już przepadła. Łączy się z tym przekazanie pełni władzy Jej następczyni. Niestety, z przykrością stwierdzamy, że Jej Księżęca Mość Cinderly Soltarie nie jest tego godna. Wydarzenia, które ostatnimi czasy rozegrały się i na arenie kraju, i na dworze królewskim, wystarczająco dowiodły, że kuzynka Jej Wysokości nie radzi sobie z kryzysami państwowymi i osobistymi. Z tego powodu musimy przekazać koronę komuś innemu; możemy mówić o wielkim szczęściu, że taka osoba się pojawiła. Mowa oczywiście o hrabim Ertexie von Sheen, którego bohaterstwo i męstwo w obronie miast przed ymulami jest doskonale znany wszystkim. Zostanie on koronowany na króla w dzień swojego ślubu, czyli w chwili, gdy od zaginięcia królowej der Soltarie miną równe dwa lata, jedenastego czerwca bieżącego roku.

6 VI br.

Wielka Rada Ludu

Z zaskoczeniem patrzę na bardziej i mniej czytelne podpisy członków Rady. Ale cóż... Oni byli pewni, że robią dobrze. Że to jest najlepsze rozwiązanie dla Arlesii...

„Nieźle się zdziwią, kiedy on rozkaże powybić wszystkich odmiennych” — uśmiecham się ponuro. Tak się składa, że po tych porządkach, które zrobiłam w Radzie trzy lata temu, ustaliliśmy regulamin, uniemożliwiający blokowanie Radnym dekretów władcy. Nie zdążyłam jeszcze doprowadzić do końca kolejnego projektu, by jednak wprowadzić małą zmianę, to znaczy by oni mimo wszystko mogli nie dopuścić do wprowadzania uchwał i rozporządzeń, które wyrządziłyby jakiegokolwiek szkody poddanym. I teraz z tego on skorzysta...

Moment później w oczy wpada mi data wydania tego oświadczenia — szósty czerwca. Dzisiaj mamy dziesiąty, czyli...

— Io! — wybiegam z salonu, drąc się na cały hotel. W dłoni ściskam dokument, w oczach mam dosłownie rządę mordy. Jak one śmiały mi nic o tym nie powiedzieć, choć wiedziały już tyle czasu!

Niczym burza wbiegam po schodach, odprowadzana spojrzeniami napotkanych po drodze lumii. O dziwo, wcale nie są one niewiadomo jak zaskoczone, ich wzrok zdecydowanie bardziej wyraża współczucie... Nie zwracam jednak na to większej uwagi, najważniejsze jest to, że moje najlepsze na tym i jakimkolwiek innym świecie przyjaciółki nie poinformowały mnie o tym wcześniej, najlepiej to w dniu, w którym same się o tym dowiedziały, czyli zapewne niemalże od razu po wydaniu tego oświadczenia. Wtedy miałabym o wiele więcej czasu do namysłu, kilka dni, w które mogabym podjąć decyzję o działaniach, a teraz? Teraz zostało mi około szesnastu godzin, zakładając, że jego koronacja i ślub równocześnie odbędą się tak, jak głosi zwyczaj, to jest równiutko w południe...

Nagła myśl sprawia, że zatrzymuję się w połowie kroku na samym szczycie schodów. No przecież, on żeni się z Larą!

Zataczam się na ścianę, jakby ktoś porządnie mi przyłożył. I to jest kolejny powód, dla którego po prostu muszę zjawić się w pałacu przed jutrzejszym południem... Mam niemalże stuprocentową pewność, że gdyby mi się nie udało, ona byłaby pierwszą ofiarą jego krwawych rządów... Taki sam los planował przecież dla mnie...

Mimo wszystko mobilizuję wszystkie siły i pewnym krokiem wchodzę do pokoju, rzecz jasna cały czas będąc wściekła.

Kiedy jestem już w środku, wszystkie dziewczyny zamierają i patrzą się na mnie z przerażeniem. W sumie nawet im się nie dziwię, przechodząc obok łazienki udało mi się zetrknąć w lustro. O dziwo, wyglądam w miarę spokojnie, nawet pasemka zachowują neutralny, biały kolor. Za to moje oczy ciskają gromy. Gdyby możliwe było zabicie kogoś wzrokiem, z całą pewnością w tym momencie dałabym radę to zrobić bez najmniejszego problemu...

— Co to jest? — pytam cichym głosem, w którym jednak wyraźnie daje się wyczuć targające mną emocje. A jak w przypadku Rori, tak samo jest i u mnie, ten ton zwiastuje dla osób, do których złość jest skierowana, bardzo kiepski los...

— Mordko, ja ci to wszystko wyjaśnię — Mistral uspokajająco unosi rękę. — Wiem, że to wydaje się być nieco skomplikowane, ale to wszystko było dla twojego dobra...

— Dla mojego dobra? — cały czas jestem wściekła, ale powoli zaczyna mi przechodzić. — A weź mi wytłumacz, w jaki sposób miało mi to pomóc? W jaki sposób miało mi pomóc to, że niemalże w ostatniej chwili dowiaduję się, iż mój były narzeczony z morderczymi instynktami ma zamiar za parę godzin włożyć koronę i ożenić się z dziewczyną, z którą po pierwsze primo mieszkałam przez ostatnie dwa lata i która po drugie primo bez mojego pozwolenia weszła do samolotu i poleciała za mną?

— Ta tamta, która z nim była, to twoja kumpela?! — Ro jest zaskoczona i przerażona jednocześnie. Cóż, tylko my wiemy, o co w tym wypadku chodzi...

— Dokładnie ta — wzdycham ciężko. — Teraz czuję się za nią odpowiedzialna, skoro za mną pojechała... Nie zostawię jej w takiej paskudnej sytuacji, a dzięki wam mam ekstremalnie mało czasu na zrobienie z tym jakiegokolwiek porządku — lekko unoszę głos. Jednak jakby nie było, to wszystko ich wina. Inaczej miałabym o wiele łatwiej, a przede wszystkim zyskałabym dużo więcej czasu.

Wilczyce patrzą po sobie ze wstydem. Widać wyraźnie zrozumiały swój błąd...

— A teraz powiedzcie mi, kto jeszcze o tym wie? — w moim wzroku wyraźnie widać (a przynajmniej mam taką nadzieję) błaganie o prawdę. Choć i tak wydaje mi się, że ją znam... Przypominam sobie w końcu, jak patrzyły się na mnie lumie, o które o mały włos się nie zabiłam, gnając z salonu tutaj...

— Wszystkie — po chwili milczenia odpowiada Aira. — Dowiedziałyśmy się o tym, jak wracałyśmy z wypadu w Turrend Gress, bo Keitra miała małe problemy ze swoją smoczą i lądowałyśmy w stolicy. Tam Oceana trafiła na swoją sporo starszą kuzynkę i ona jej powiedziała, że ponoć na pokazach mody natrafiła na Elevaio, jak z resztą większość z nas. Tyle, że oni mają nieco ku sobie, więc powiedział jej o planach Rady i ona przekazała to potem Oci, a że my byliśmy razem z nią...

— Nic mi nawet nie mów — wzdycham ciężko. Skoro nasza kochana Oci o tym wie, to teraz wiedzą już wszyscy... — Ej... To w takim razie od kiedy wy już wiecie?

— Od trzeciego — niemalże szepcze Mist, ze wstydem spuszczać głowę. — Miałyśmy okazję dowiedzieć się jeszcze przed wydaniem oficjalnej wersji tego oświadczenia...

Na te słowa czuję, jak zaczynają lecieć mi łzy. To już mnie po prostu przerosło; zbyt dużo spraw teraz na mnie spadło...

Ocierając mokre policzki rękawem swojego kostiumu, podchodzę do tego fotela, na którym siadają te, których kolej na legendę i zwijam się na nim w kłębek. Moment potem płaczę już na całego.

Kątem oka zauważam, że lumie chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedzą, co mają zrobić. Na całe szczęście w tym pokoju jest ktoś, kto doskonale o tym wie.

Ułamek sekundy potem czuję, jak coś ciepłego wchodzi mi na kolana.

Unoszę wzrok i z zaskoczeniem patrzę prosto w czarne oczy małego smoczka. Zupełnie, jakby mówił coś w rodzaju „Nie płacz, proszę, nie bądź smutna, co mam zrobić, żebyś czuła się lepiej?”. Jest to totalnie rozbrajające, nawet na moment udaje mi się uśmiechnąć przez łzy.

Maluch oczywiście na tym nie ma zamiaru poprzestać. Stwierdza, że to właśnie te słone strumyczki, płynące mi po policzkach są powodem mojego smutku i również w tej dziedzinie zamierza wykazać inicjatywę, mianowicie wspina się mi na pierś, opiera przednimi łapkami o brodę i tym swoim języczkiem (czy wspominałam już, że jest on podobny do języka kota?) zaczyna dokładnie czyścić mi twarz. Dosłownie nie mogę się nie roześmiać, bo to jest po prostu totalnie rozczulające. W sumie od razu poprawia mi się humor. Ten słodziak doskonale wie, co ma zrobić, żebym poczuła się lepiej...

Już któryś raz z kolei zastanawiam się, jak cudownie się trafiło, że spotkałam to cudowne zwierzątko. I jedno jest pewne — mam zamiar zatrzymać je bez względu na to, co się stanie w przyszłości.

— Lu, my nie wiedziałyśmy, że tym możemy cię tak urządzić... — Iora jako pierwsza odważa się przerwać ciszę. Wyraźnie też widzę, że, podobnie jak pozostałe, ma ogromne wyrzuty sumienia. W sumie nie znoszę, kiedy ktoś tak się czuje przeze mnie, chyba, że na serio wyjątkowo zawinił. A dziewczyny przecież nie zrobiły tego specjalnie, wręcz myślały, że to wszystko będzie dla mnie najlepsze...

— Dobra, darujcie sobie — macham ręką na znak, żeby się uciszyły. — Uznajmy po prostu, że nic się nie stało, bo to wcale nie poprawia i tak paskudnego nastroju. Jakoś sobie poradzę — wzruszam ramionami z lekkim uśmiechem, choć w rzeczywistości wcale nie jestem taka pewna. Ale nie ma najmniejszego sensu mówić im o moich wątpliwościach, po co mają sobie czynić jeszcze większe

wyrzuty.

— Jesteś pewna? — Mistral patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Jestem — kiwam głową. — Moim zdaniem nie ma najmniejszego sensu roztrząsać przeszłości, na którą nie mamy przecież najmniejszego wpływu. Grunt to skupić się na przyszłości, a najbliższą przyszłością jest nasz występ...

Te słowa dosłownie wywołują burzę. Prawie wszystkie obecne w pokoju wpadają w panikę. Aira, jedyna względnie opanowana, próbuje je uspokoić, ale w końcu traci nad nimi kontrolę i się wścieka. Widać temperament lumii w niej wychodzi, bo chociaż wychowała się w Londynie, jak mówiła, to bardzo łatwo ulega emocjom. Pod tym względem jesteśmy identyczne (my w sensie wszystkie wilczyce), dzięki czemu w Stertilie ktoś nie znający sytuacji mógłby uznać to za podstawę pokrewieństwa. Wyrazistość naszej urody jeszcze bardziej w tym „pomaga”. Pamiętam, jak jakieś pięć, może sześć lat temu w piątkę, to znaczy ja, Mistral, Leira, Iora i Rori razem z moimi rodzicami i Cinderly wybraliśmy się na drugi świat. Najlepsza akcja była wtedy, kiedy w szóstkę wybrałyśmy się na zakupy do centrum handlowego, o ile dobrze pamiętam, to gdzieś na Manhattanie. W pewnym momencie Cinder nam się gdzieś zgubiła, a my zaczęłyśmy jej szukać. Po jakiejś godzinie miałyśmy już kompletnie tego dość i stwierdziłyśmy, że przydałaby się nam jakaś pomoc. Kiedy poprosiłyśmy o nią ochroniarza, popatrzył na nas ze zdziwieniem i zapytał, jakim cudem my jesteśmy ze sobą takie zgodne, przecież zazwyczaj rodzeństwo zazwyczaj kłóci się we wszystkim... A z resztą, to nie był pierwszy raz, kiedy wzięto nas za siostry... Co specjalnie nam, rzecz jasna, nie przeszkadza.

Uśmiecham się na samo wspomnienie tego wydarzenia, równocześnie obserwując, jak nasza wściekła wizażystka wyprowadza wszystkie z pokoju. Poza mną i Ro, bo do tej pory tylko my dwie zostałyśmy ucharakteryzowane do perfekcji (ja co prawda po wielu próbach, ale przecież liczy się efekt końcowy).

— Mordko, ja mam do ciebie wielką prośbę — pozostała tutaj wilczyca podchodzi do fotela, w którym się ulokowałam. — Wiem, że teraz masz naprawdę mało czasu do namysłu, do zastanowienia się, jak masz to wszystko rozegrać, bo znając ciebie, to na pewno tego tak nie zostawisz...

— W takim razie dobrze mnie znasz — uśmiecham się lekko, równocześnie głaszcząc smoczka po grzbiecie.

— Zdaję sobie z tego sprawę — kiwa głową, po czym ciągnie dalej. — I w związku z tym, kochana, chciałabym prosić cię o jedno. Postaraj się o tym nie myśleć chociażby do końca przedstawienia, dobrze? Łatwiej będzie ci się skupić na tekście, nie możemy przecież tego spaprać, w poprzednim roku dziewczyny ustawiły poprzeczkę zbyt wysoko, by teraz aż tak rozłożyć to na łopatki...

— Spoko, nie ma problemu — kiwam głową, choć wcale nie jestem taka pewna, czy to faktycznie prawda. — Od teraz skupię się tylko na roli... Ale kiedy

już zejdziemy ze sceny, to mogę się już martwić?

— Kiedy zejdziemy ze sceny, to możesz przesiedzieć w pokoju całe after party, snując plany co do odzyskania tronu. Za rok zaszalejesz na dobre — mruga do mnie przyjaciółka. — A ja teraz spadam, bo muszę jeszcze sobie doszyć kokardki do sukienki — i moment później już jej nie ma, w zamian za to zostają szeroko otwarte drzwi na korytarz.

Wzdycham, po czym ostrożnie zaczynam się podnosić z fotela, równocześnie przenosząc malucha na ramię. Prawdę powiedziawszy, niespecjalnie podoba mi się perspektywa zapomnienia choć na moment o tak istotnych dla mnie sprawach. Ale cóż... Muszę. Bo chyba nie darowałabym sobie, gdybym przez moje zmartwienia zepsuła im przedstawienie. A może akurat mi się uda... Mam nadzieję, że tak też będzie.

„Lu, wyluzuj — karcę się w myślach. — Na pewno tak będzie, zobaczysz. Wszystko wyjdzie co do joty”.

Ale za to pewne jest jedno — muszę jak najszybciej spakować bagaże. Z tego, co wiem, wszystkie pozostałe to zrobiły, już postawiły walizki na placu głównym, tuż przed fontanną... Teraz moja kolej. Na całe szczęście, nie ma tego dużo. Nie będę musiała godzinami składać ciuchów i innych drobiazgów... Tak właściwie, to chcę zabrać tylko jedno. A konkretniej to mój strój koronacyjny, łącznie z koroną, rzecz jasna. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła to tu zostawić...

Kiedy wychodzę na zewnątrz, mam wrażenie, że coś mnie aż odrzuca. I to dosłownie. W powietrzu czuję wyraźne niebezpieczeństwo, aż strach ruszyć w jakąkolwiek stronę...

W sumie z jednej strony, mógłby to być tylko stres przed tym, co mnie czeka. Ale z drugiej, maluch na moim ramieniu reaguje dokładnie tak samo, wyraźnie czuję, jak wbija mi pazurki w ramię. Na szczęście nie są specjalnie ostre, więc bardzo mnie to nie boli. Ale skoro ja się tak zachowuję, on też, to po prostu musi być coś nie w porządku.

Chociaż mój instynkt drze się na mnie w środku, żebym jak najszybciej stąd uciekała, cudem udaje się mi z nim wygrać i co prawda z wielką ostrożnością, ale zawsze, idę w kierunku schodów na poddasze. W międzyczasie mijam kilka lumii; dokładnie lustruję je wzrokiem, żeby się przekonać, czy są tak samo zaniepokojone, jak ja. Nie są. Dziwne... Co się ze mną dzieje?

Nie czas jednak na rozmyślania. Teraz po prostu muszę jak najszybciej zabrać kreację z koroną z pomieszczenia w garderobie i potem zwiewać stąd tak daleko, jak tylko się da. Nie obchodzi mnie przedstawienie, wszystkie zmysły podpowiadają mi, że zaraz wydarzy się tu jakaś tragedia...

Na całe szczęście w jakąś minutę udaje mi się obrócić. Na pierwszym piętrze waham się na moment. Do końca nie jestem pewna, czy przypadkiem nie powinnam jednak pójść do pokoju i nie czekać tam na przyjaciółki...

W pewnym momencie przypomina mi się to, co kiedyś do mnie powiedział Estive. „Lumino, pamiętaj, że zawsze masz dwie opcje. Dobrą, albo złą. I od ciebie zależy, którą wykorzystasz. Większość powie ci, że należy kierować się logiką, rozumem, ale ty ich nie słuchaj. Dla ciebie najlepiej będzie, jeżeli pokierujesz się sercem, instynktem. Jesteś wyjątkowa, masz wiele cech, które odróżniają cię od innych ludzi. I twoje przeczucia również do nich należą. Jeżeli im zaufasz, nigdy nie wywiodą cię w pole...”.

Niczego więcej nie potrzebuję, by niczym strzała zbiec na dół i wybiec na dziedziniec. O dziwo, są tam wszystkie lumie, i teraz też wyglądają na zdziwione, w niektórych wypadkach wręcz zaniepokojone...

— Lu, co ty tu robisz? — Iora od razu mnie wyłapuje, po czym prowadzi w miejsce przed fontanną, gdzie stoi reszta z naszej szóstki

— To raczej weź mi powiedz, co wy tu robicie — patrzę na nią ze strachem. Wszystkie moje zmysły sygnalizują wyraźne niebezpieczeństwo, a ja boję się tak, jak nigdy. Jeszcze ani razu wcześniej nie zdarzyło mi się tak wystraszyć... Ale co ciekawe, moje pasemka wcale tego nie pokazują, przez cały czas zachowują neutralny, biały kolor...

— Nasze smoczyce jakoś dziwnie się zachowują — wyjaśnia też nieco przestraszona Mistral. — Nie mam pojęcia, o co im chodzi...

— Dziwnie to znaczy? Bo mój maluch to próbował wbić mi się w ramię... — pokazuję na smoczka, który dosłownie nie wie, gdzie się schować. Wcale mu się nie dziwię, sama najchętniej uciekłabym tak daleko, jak to tylko możliwe... — Cii, spokojnie, malutki... — przytulam go i zaczynam głaskać po łebku, na co w miarę się uspokaja. W miarę, nie całkiem.

— Dziwnie, czyli jakby... — Ro zaczyna tłumaczyć, ale dosłownie w połowie słowa przerywa jej głośny huk, a hotel nagle eksploduje w oślepiającym świetle, obsypując nas wszystkie kurzem, pyłem i nie raz całkiem sporymi kawałkami gruzu...

Rozdział XLV

Rozglądam się dookoła z przerażeniem, za wszelką cenę próbując dojrzeć cokolwiek w unoszącym się wszędzie kurzu i pyle. Nie ma szans. Jedyne, co słyszę, to kasłanie co to niektórych przyjaciółek...

— Lu? Lu! — z jakichś kilka metrów ode mnie (a tak mi się przynajmniej wydaje) dobiega głos Leiry.

Jej słowa dosłownie rozpętały piekło. Wybuchła jedna wielka, totalna panika. Wszędzie słyszę płacz, krzyki, wzajemne nawoływanie się...

Próbuję podejść tam, gdzie chyba jest Lei, ale po drodze potykam się o jakiś sporawy kawałek gruzu i boleśnie upadam na łokieć. Od razu syczę z bólu. Nie mam pojęcia, czy przypadkiem nie złamałam sobie kości, ale w tym momencie to jest nieistotne. Najważniejsze są dwie rzeczy — nie mogę zgubić pudełka, w którym trzymam wszystkie części mojego stroju koronacyjnego, to po pierwsze, a po drugie, muszę sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało, czy wszyscy są bezpieczni...

Z trudem wstaję i po raz kolejny się rozglądam. Również tym razem nie udaje mi się niczego dojrzeć, więc rezygnuję z pomocy wzroku. Tym razem wyczulam wszystkie swoje zmysły poza nim do perfekcji, chcąc wyczuć pozostałe wilczyce, a w szczególności te, z którymi byłam razem w pokoju...

W pewnym momencie słyszę coś w rodzaju pisku/skomlenia gdzieś w okolicy moich stóp. Od razu się schylam, odkładam pudło gdzieś obok i dłońmi zaczynam szukać smoczka (bo coś mi się zdaje, że to on wydał ten dźwięk, a niestety, praktycznie nic nie widać...). Bo to może być tylko on, a na moim ramieniu go nie ma...

W końcu natrafiam na jego skrzydło. Klękam na kolana i rozpaczliwie rozgarniam gruz, by w końcu odsłonić malucha.

Ze łzami w oczach podnoszę jego małe, bezwładne ciało i mocno do siebie przytulam. Przecież on nie może umrzeć, to nie w porządku, ja na to nie pozwolę...

Przez jeszcze kilka sekund zwierzątek cichutko skomle, ale potem nawet to ustaje.

Przyciskam go do siebie ze wszystkich sił, ale nic to nie daje. Nie wyczuwam tętna, choć bardzo, bardzo się staram... Ale przecież nie mogę... Nie mogę pozwolić mu odejść...

Po chwili dociera do mnie, że to już koniec. Że faktycznie nic nie poradzę...

I w tym momencie wszystko znika. Cały świat jakby przestaje istnieć. Zupełnie, jakbym była tylko ja i maluch...

Łzy zaczynają mi lecieć ciurkiem, a z gardła zaczyna mi się wydobywać głośny, urywany szloch. Dlaczego, dlaczego, DLACZEGO?!?!?!?

Na dodatek gdzieś dość blisko słyszę grzmot, a niebo robi się czarne od burzowych chmur. Nikt nie zdąża chociażby mrugnąć, gdy z nieba spada rześzysta deszcz, oczyszczając powietrze z uniemożliwiających widzenie kurzu i pyłu.

Unoszę twarz ku spadającym kroplom, pozwalając, by łączyły się z moimi łzami i spływały w dół, po szyi, aż do małego, martwego ciała, które tulę tak mocno, jakbym mogła tym przywrócić mu życie. A jestem gotowa powiedzieć, że w tym momencie zrobiłabym wszystko, żeby tak się stało...

Przymykam lekko oczy, chcąc żeby to wszystko zniknęło. Żeby cały świat zniknął. Wszystkie problemy. Wszystko, co leży mi na głowie. A najlepiej, żebym po prostu otworzyła oczy, a to wszystko, poczynając od planów Ertexa na teraźniejszej sytuacji kończąc, okazało się złym snem, koszmarem, z którego mogę się otrząsnąć i wrócić do swoich obowiązków jako królowej, a najlepiej jako księżniczki... Wcale bym się nie pogniewała, jakby moi rodzice jeszcze żyli, a ja nie musiałabym się martwić kompletnie o nic...

* * *

— Lu? Lu, wszystko w porządku? — z odrętwienia budzi mnie głos Rori i delikatne potrząsanie za ramię.

— Co? — patrzę na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Mordko, czy wszystko dobrze? — lumia przykłęka obok mnie i wtedy zauważa smoczka w moich objęciach. — Kochana, tak mi przykro... — szepcze z wyraźnym współczuciem w głosie.

To wystarcza, żebym znowu się rozkleiła.

— Coś się stało? — jakąś sekundę potem podchodzi do nas czwórka lumii z naszego pokoju. Wszystkie całe i zdrowe, bez żadnych obrażeń.

Wystarcza im tylko jedno zerknięcie na mnie, żeby załapały, co się dzieje. I co najlepsze, wcale się nie odzywają. Po prostu przykucają tuż obok mnie, Aira wyjmuje mi malucha z ramion, i odkłada go na bok, po czym cała piątka zamyka mnie w objęciach. Nikt nie mówi, że wszystko będzie dobrze, doskonale wiedzą, że to wcale nie jest takie proste, jak może się z pozoru wydawać. Zdają sobie sprawę, że muszą to przepłakać, w jakiś sposób wyrzucić to z siebie...

A najgorsza jest ta świadomość, że to już druga najbliższa mi osoba, która w ostatnich dniach zginęła. Co więcej, drugi smok. I mam dziwne wrażenie, że i Estive, i ten mały słodziak ponieśli śmierć z mojej winy...

— Lu, co robimy? — nagle obok naszej szóstki jak spod ziemi wyrasta Carissia.

Podnoszę głowę i dokładnie lustruję wilczycę wzrokiem. Podobnie jak pozostałe jest cała w kurzu, chociaż deszcz częściowo go z niej zmył. Na twarzy ma rozmazany makijaż, z resztą ja i dziewczyny na pewno nie wyglądamy

lepiej, tym bardziej, że my mamy jeszcze prawdziwie sceniczny make-up...

— Właściwie, to... — zaczyna Mist, ale jej przerywam, lekko odpychając przyjaciółki od siebie.

— Daj mi pięć minut, dobra? — proszę, wstając. — Muszę wymyślić jakiś w miarę sensowny plan, dobrze, mordko?

Nastolatka kiwa głową, po czym odchodzi w stronę zbitej grupki lumii. Szybko je przeliczam — razem z nią trzydzieści pięć, po dodaniu naszej szóstki wychodzi czterdzieści jeden... Akurat tyle, ile powinno być, więc mogę odetchnąć z ulgą. Poza moim smoczkiem nie ma żadnych ofiar śmiertelnych...

— Lu, co ty wyprawiasz? — Ro podnosi się i patrzy na mnie z zaskoczeniem. — Przecież ty...

— Wiem, że to, co mnie spotkało, wcale nie było przyjemne — unoszę dłoń na znak, żeby się uciszyła. — Ale zobaczcie, mordki, pozostałe potrzebują wsparcia. Kogoś, kto nimi pokieruje w takim trudnym momencie, jak ten. Osoby ze zdolnościami przywódczymi, na której można się oprzeć... A tak się składa, że do mnie pod tym względem mają największe zaufanie, jakby nie było, ja mam w tej dziedzinie największe doświadczenie, ja przez pewien czas w końcu byłam królową... Już się nauczyłam swoje zmartwienia odstawiać na bok, a w tym momencie ja wcale nie jestem najistotniejsza... — czuję, jak głos mi się urywa, a wzrok wędruje na ciało smoczka. Od razu w oczach pojawiają mi się łzy, ale szybko przeganiam je mruganiem. Nie mogę przecież teraz zawieść przyjaciółek. Liczą na mnie i to jest w tym momencie najważniejsze.

— Zrobić coś dla ciebie? — Ira patrzy na mnie ze współczuciem, ale równocześnie też podziwem. Chyba nie spodziewała się po mnie takiej reakcji...

— Jeśli byście mogły... — mój głos ponownie się urywa. Ciężko mi jest to wydusić z siebie, ale wiem, że muszę... — To proszę, pochowajcie go... — szepczę, a po policzku spływa mi pojedyncza łza. Natychmiast ją jednak ocieram, w tym momencie nie mogę sobie pozwolić na ani chwilę słabości.

Biorę głęboki oddech, po czym się prostuję, ściągam z siebie luźną bluzkę w groszki (bo teraz tylko by mi przeszkadzała), dokładnie wycieram nią sobie twarz i rzucam na gruzy. W samej bokserce czuję się o niebo lepiej, tym bardziej, że teraz jakoś tak gorąco się zrobiło...

— Dobra, dziewczyny, słuchajcie — zwracam ich uwagę głośnym klaśnięciem w dłonie, po czym autorytatywnym tonem zaczynam przedstawiać mój plan. — Wiem, że każda z was jest wystraszona tym zajściem, ale musimy wziąć się w garść. Moja propozycja jest taka: jak na razie nie myślimy nic o tym, co teraz się stało, bo i tak uważam, że wcale nie przyjdzie nam łatwo rozwikłać tą sprawę, tylko błyskawicznie wsiadamy na smoki czy konie i natychmiast jedziemy bądź lecimy do Tini, w końcu jest najbliżej. W międzyczasie jeszcze kontaktujemy się z bliskimi, niech dojadą tam tak szybko, jak tylko to możliwe, każda z nas przecież

potrzebuje wsparcia z takiej strony. Może być?

Wszystkie zgodnie kiwają głowami.

— To super — uśmiecham się lekko. — W takim razie, ruchy, ruchy, mordki! Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej będziemy w strefie bezpieczeństwa.

Grupka wilczyc zbiera swoje bagaże, które jakimś cudem ocalały i zaczynają iść w kierunku budynku, w którym mieszczą się ich smoczyce. Z kolei za mną staje Rori i podaje mi pudełko ze strojem koronacyjnym.

— Dzięki, kochana — posyłam jej wdzięczny uśmiech. Bardzo to doceniam, że chciała mi oszczędzić widoku mojego kochanego zwierzaczka.

— Już — lumia kiwa głową, wiedząc, o co chciałabym się spytać, ale nie starcza mi siły, inaczej bym się całkowicie rozkleiła. — Lu, ty na serio uważasz, że ciężko jest tą sprawę rozwikłać?

— Nie — kręcę głową przecząco. — Mam wrażenie, że doskonale wiem, kto to zrobił. Sama przecież pamiętasz, któż wdarł się do hotelu... Aczkolwiek Lary bym nie podejrzewała, ona nigdy nie zrobiłaby czegoś, co może kogoś skrzywdzić. Za to rękę Ertexa wyczuwam w tym doskonale. Tylko on jest w stanie zrobić coś aż tak okrutnego...

Razem z tymi słowami czuję, jak narasta we mnie wściekłość. Przez mojego ex zginęło już tyle osób, w tym kilka ważnych dla mnie, a wiele, wiele innych jest bądź było w ogromnym niebezpieczeństwie. Spowodował on śmierć Estive'a, przez jego misterne plany życie postradał mój kochany smoczek, w przyszłości na dziewięćdziesiąt procent to samo stanie się z Larą (a mówiąc o przyszłości mam na myśli całkiem niedaleką przyszłość, mianowicie okolice jutrzejszego południa)... I teraz moja rola polega na tym, że muszę jak najszybciej opracować plan. No, chyba, że po prostu bez większego namysłu wejdę do pałacu w sposób podobny mojemu wejściu smoka do hotelu... I ciekawa jestem, czy to przypadkiem nie byłby najlepszy sposób...

— Jedziesz ze mną? — do rzeczywistości przywraca mnie głos dziesiętnastolatki.

Odwracam głowę w jej kierunku i zauważam, że siedzi już na tym samym karym arabie, którego wcześniej tak męczyłam. Potem zerkam w górę — trzydzieści dziewięć całkiem sporych smoków unosi się na niebie, trzepocząc skrzydłami. Od razu nasuwa mi się na myśl porównanie z Mirt'Oshimem. On to dopiero był wspaniałym smokiem... Ogromnym, potężnym, budzącym strach i podziw... Spotkanie z nim było jednym z najcenniejszych przeżyć w moim życiu, i, jeżeli mam być szczerą, wiele bym dała, żeby znowu go zobaczyć, porozmawiać... Aczkolwiek i tak wiem, że naraziłabym go tym na ogromne niebezpieczeństwo, a to jest jedna z tych rzeczy, których bym sobie nie wybaczyła... Nie darowałabym sobie, jakby przeze mnie śmierć poniósł kolejny

przedstawiciel tego gatunku...

— Lu, weź mi powiedz, ty teraz jesteś zła, prawda? — Rori bacznie lustruje mnie wzrokiem.

— Można tak powiedzieć — kiwam głową, czując powracającą falę wściekłości. — A co, nie widać tego na moich pasemkach? — patrzę na nią z lekkim zainteresowaniem. — Przecież doskonale wiesz, jaka barwa co oznacza.

— A biały oznacza, że nic nie czujesz. I taki masz od momentu, w którym wróciłaś po wizycie u Odwiecznego... A przynajmniej jego sobowtóra.

— Jak to biały? — moje zdziwienie sięga zenitu.

— Ano tak to, że ostatnio nie widać, co czujesz — wyjaśnia lumia. — Ciekawe, czy te geny mogą zanikać...

— Ciekawe... — kiwam głową, ale równocześnie czuję, jak rozpięra mnie ogromna radość. Wreszcie to moje przekleństwo, jak to nazywałam, przestało działać! Wreszcie będę mogła ukrywać swoje uczucia, co bardzo, ale to bardzo pomoże mi w rządzeniu. I pozbyciu się mojego byłego narzeczonego zapewne też...

— Ale w sumie to nie ważne — Ro macha ręką. — Już udało ci się skontaktować z tym twoim Bastianem?

— Nie, jeszcze nie — kręcę głową.

— Ja ze swoim Mishleinem też nie gadałam, chcę mu zrobić niespodziankę — uśmiecha się lekko. — W końcu on mieszka w Tini, a strasznie się za nim stęskniłam. Na pewno się ucieszy na mój widok.

— To ja chyba właśnie mojego kochanego muszę złapać — stwierdzam, po czym próbuję włączyć implant, ale mi specjalnie nie wychodzi. Dziwne... W końcu zazwyczaj po restarcie uruchamiał się bez problemu...

— Coś się stało? — przyjaciółka patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Nie, nic, nic — mrużę, próbując zrobić to po raz kolejny.

Udaje mi się to dopiero po jakichś pięciu minutach, co poważnie zaczyna mnie niepokoić. Wcześniej nigdy nie miałam takiego problemu. Ale teraz nie mam zamiaru już narzekać, tylko nawiązuję połączenie z Bastianem tak szybko, jak to możliwe.

Odzywa się dosłownie od razu.

„Witaj, moja piękna, stęskniłem się za twoim głosem — od razu ciepło robi mi się na sercu, kiedy go słyszę. I jakim prawem niby Rori mi mówi, że go nie kocham? — Co tam u ciebie, Dion?”

„U mnie wszystko... w porządku” — zacinam się na moment, co on doskonale wyłapuje.

„Coś się stało, ślicznotko?” — wyraźnie wyczuwam jego zaniepokojenie.

„Tak właściwie to nic — zastanawiam się, jak mam to ubrać w słowa. Ale po chwili dochodzę do wniosku, że najlepszym wyjściem chyba będzie powiedzieć

prosto z mostu, co się właśnie wydarzyło... — Tylko hotel nam tak trochę... wybuchł.”

„CO?!”

„No mówię przecież, że tak trochę nam hotel eksplodował, i teraz wszystkie przenosimy się do Tini — wyjaśniam. — Po prostu stwierdziłyśmy, że tam będzie chyba bezpieczniej. Wszystkie pozostałe wezwały tam bliskich, i tak się zastanawiam, czy...”

„Już jadę — oświadcza błyskawicznie. — Będę za jakieś dwie godziny.”

„Super — od razu mam wrażenie, że czuję się lepiej. — A weź mi powiedz, Lara też się wybiera? Chciałabym z nią porozmawiać, najlepiej bez jej narzeczonego...”

„Też mogę ją zabrać. To do zobaczenia, moja piękna!” — rozłącza się.

Z uśmiechem na twarzy wskakuję na Goldiera, który jakimś cudem materializuje się obok mnie i rozpędzam go do tempa galopu arabów. Nie jest z tego powodu najszcześniejszy, ale nie odzywa się choćby słowem. I dobrze, przynajmniej o jedno starcie mam mniej, mogę skupić się na jednej z najważniejszych spraw w moim życiu, a mianowicie na odzyskaniu tronu...

Ułamek sekundy później dołącza do mnie moja Best Friend Forever i jako pierwsze wyruszamy w kierunku Tini. Zaraz potem w tym samym tempie ruszają pozostałe przyjaciółki na swoich smokach.

W tym momencie zdaję sobie sprawę, że w tym momencie może spotkać mnie już dosłownie wszystko. Co jeszcze się wydarzy, zanim odzyskam tron?

Na to pytanie może odpowiedzieć mi tylko czas...

Rozdział XLVI

Przymykam oczy i próbuję zrobić wszystko, żeby przyspieszyć czas. Ale cóż, po raz kolejny mi nie wychodzi...

Siedzimy tu z dziewczynami ponad godzinę. Każda z nas powiadomiła już swoich bliskich, ale jak na razie jeszcze nikt się nie pojawił. Również Rori do tej pory nie powróciła z poszukiwań swojego chłopaka...

Wzdycham ciężko. Jak ja nienawidzę takich sytuacji! Dopóki tutaj nie zjawi się Bastian razem z Larą, jestem skazana na bezradne czekanie i co najwyżej kombinowanie, jak mam rozwiązać ten „drobny” problem. Najgorsze jest wrażenie, że czas dosłownie przesypuje mi się przez palce. Przecież do momentu koronacji Ertexa zostało już zaledwie kilkanaście godzin, jak nawet nie mniej...

— Co tak siedzisz? — jestem tak zamyślona, że nawet nie zauważyłam nadejścia Airy, i teraz wzdrygam się ze strachu. — Sorcia, nie chciałam... Lu, ale ty to nieźle spięta jesteś...

— Ciekawa jestem, kto nie byłby spięty w takiej sytuacji, jak ja — kręcę głową ze smutkiem. — Wyobraź sobie, mordko, że kiedyś, w przeszłości, miałś narzeczonego, który teraz chce zrobić wszystko, żeby wybić kilka tysięcy ludzi, jak nawet nie więcej. Na dodatek nie ma szans, żeby ktokolwiek poza tobą go powstrzymał, tylko ty masz do tego możliwości. I masz nie więcej, niż trzynaście, może czternaście godzin na wymyślenie jakiegoś sensownego rozwiązania. Najlepiej takiego, które nie pochłonie ze sobą żadnych ofiar, czy to cywilów, czy kogokolwiek innego... No, może poza moim ex, w ostateczności. Ale to i tak nie wiadomo, czy on potem przeżyje... Wszystko zależy od tego, jak Rada przyjęła tą ustawę o zdrajcach, czy może Cinder w końcu z niej całkowicie zrezygnowała...

— No to faktycznie nieźle problemy — lumia siada obok mnie i pocieszająco kładzie mi dłoń na ramieniu. — Ale niech zgadnę, to nie wszystko?

— Oprócz tego mam takie dziwne, niepokojące przecucie, że jak już zjawi się tutaj mój chłopak, to będę musiała wytłumaczyć mu całkiem sporo kwestii, i to bardzo, bardzo istotnych, związanych przede wszystkim z tym, kim naprawdę jestem... — urywam na moment, próbując sobie wyobrazić, jak to mogę zrobić, żeby nie wyszła z tego tragedia. Choć i tak nie mam pewności, czy i tak już nie wyjdzie...

— Nie powiedziałaś mu, że jesteś królową? — Ira patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Nie — kręcę głową. — Nie chciałam, żeby patrzył na mnie przez pryzmat mojej pozycji społecznej, inaczej wytworzyłby się pomiędzy nami dystans, wiesz, o co mi chodzi? I teraz mam przynajmniej pewność, że podobam mu się taka, jaka jestem...

— A jak uważasz, jak zareaguje, kiedy dowie się, kim jesteś naprawdę? Może zakochał się nie w prawdziwej tobie, tylko tej wykreowanej na potrzeby Sterilie?

Po tych słowach zapada cisza. Trafiły one do mnie do głębi. W sumie wilczyca może mieć rację. Tylko co w takim razie będzie, jak mu powiem o swoim prawdziwym imieniu i nazwisku? Czy mnie tak po prostu nie rzuci, nie stwierdzi, że to zdecydowanie przekreśla nasz związek?

— Lu, i co dalej? — na ziemię sprowadza mnie pytanie dziewiętnastolatki. — W końcu wyraźnie po tobie widać, że to nie jest koniec...

— Oprócz tego będę musiała jeszcze przekonać swoją kumpelę ze Sterilie, właśnie tą, co tu się ze mną przyplątała, że jej ukochany, czuły, cudowny i wrażliwy przystojniak w rzeczywistości jest zimnym, brutalnym, wyrachowanym i prawie na pewno pozbawionym serca mordercą, który chce pozbyć się wszystkich odmiennych tylko dlatego, że mieli pecha urodzić się właśnie takimi... Znając Larę, skończy się to tak, że mnie wcale nie posłucha, jak zwykle z resztą w sprawach sercowych, bo już kilka razy tak się przecież zdarzyło... No po prostu żyć nie umierać.

Aira przytula mnie mocno, zupełnie, jakby wyczuła, że tego właśnie potrzebuję w tym momencie najbardziej. I tak siedzimy przez ładne parę minut.

— A ty na kogo czekasz, mordko? — pytam po chwili, kiedy już się od siebie odsuwamy.

— Na nikogo — oświadcza.

— Na nikogo? — tym to już mnie zdziwiła. Ale jak to, taka świetna osoba, i nie ma żadnych bliskich, którzy mogliby ją wesprzeć w trudnej chwili?

— Dokładnie — kiwa głową. — I nie dziw się tak bardzo, moim zdaniem to w zupełności normalne. Rodzinę zostawiłam w Londynie, tu jest tylko matka, której nawet nie znam, i w sumie nie mam pewności, czy o mnie pamięta albo w ogóle żyje. Chłopak też mieszka w Anglii, tylko on akurat w Oxfordzie. Ale za to jestem pewna, że już dawno znalazł sobie kogoś innego, w końcu miało nie być mnie tylko przez dwa tygodnie, a nie dwa lata...

— I nie chcesz wracać? — patrzę na nią z zaciekawieniem.

— Nie mam po co — wzrusza ramionami. — Tu cię czuję dobrze, wreszcie mogę być tym, kim naprawdę jestem, się nie ukrywać... Jak już wspominałam, zapewne jestem singielką, czyli nic mnie tam nie ciągnie.

— A ojca odwiedzić nie chcesz? — dociekam. — Ani dziadków?

— Cóż... Obiecałam im, że odnajdę matkę, a teraz już mi się do tego tak jakoś specjalnie nie śpieszy... — krzywi się wilczyca.

— I co, nie możesz wrócić tak po prostu, bez jej odnalezienia? — coraz bardziej dochodzę do wniosku, że to jest totalnie dziwne. — Przecież to, że coś ci się nie uda, wcale nie czyni cię gorszą osobą...

— Tylko inni na mnie liczą — przerywa mi. — Jakbyś ty się czuła, gdyby nie udało ci się odzyskać tronu i twój ex przez to wymordowałby wszystkich odmiennych, którzy tobie zaufali i którym obiecałaś, że zapewnisz im bezpieczeństwo? Tu już nawet nie chodzi o to, co się obiecuje, ale o sam fakt spełnienia tej przysięgi...

Muszę przyznać, że trafiła celnie. Dlatego właśnie nie odzywam się przez dobre parę minut.

— Mordko, to może ci pomóc? — pytam po chwili. — Miałam okazję poznać chyba wszystkie lumie, które mogły być w wieku twojej matki...

— Serio? — na jej twarzy widzę radość. — To w takim razie poczekaj chwilę, gdzieś tu mam zdjęcie...

Kompletnie ją ignoruję i wstaję, z zaskoczeniem wpatrując się w nadchodzącą sylwetkę. Ira zaraz z resztą też przerywa grzebanie w torebce i razem ze mną przygląda się idącej w naszym kierunku Rori. Samej. Bez Mishleina.

Już sam ten fakt jest niepokojący. Nie wspominając o tym, że moja BFF zatacza się tak, jakby była kompletnie pijana...

Nie zważając na nic najpierw zaczynam iść w jej stronę, po czym do niej podbiegam. Kiedy jestem już bliżej, widzę, że płacze.

Bez słowa pomagam jej dojść tam, gdzie wcześniej siedziałam z Airą i pomagam jej zająć miejsce. Robi to bez żadnego słowa, zupełnie, jakby była kompletnie zamroczona...

Ja i druga lumia wymieniamy pomiędzy sobą znaczące spojrzenia. Doskonale wiemy, o co chodzi. Przecież nie raz widziałam w takim stanie Mistral, kiedy chłopak ją rzucił albo przyłapała go na zdradzie... To jest jednak wada bycia osobą niezwykle emocjonalną. Kiedy jest dobrze, tryskamy energią i dosłownie wszyscy nam jej zazdroszczą. Za to kiedy złapiemy dołek, bez czyjejś pomocy nie mamy szans się z niego wydostać, bez względu na to, jak płytki by się innym wydawał, dla nas jest przepaścią bez dna. Taka depresja może doprowadzić do desperackich kroków, a Ro, o czym już się przekonałam, jest do tego zdolna...

Od razu do głowy wpada mi myśl z rodzaju „to ja chyba jakaś dziwna jestem, kiedy znajdę się w trudnej sytuacji, nigdy się nie załamuję, tylko szukam jakiegokolwiek wyjścia, możliwie najlepszego...”. Szybko ją przeganiam. To wcale nie jest dziwne. Po prostu na taką wychowali mnie rodzice... Albo raczej Estive, powinnam powiedzieć...

Zdaję sobie sprawę, że teraz możemy tak w trójkę siedzieć przez bardzo, bardzo długo. Zależy to tylko od tego, ile czasu zajmie Ro wybudzenie się z odrętwienia...

Ale w sumie chyba właśnie zyskałam chwilę, żeby przemyśleć pewne sprawy. A przede wszystkim, po co Ertex wysadził ten hotel? To miał być pokaz

siły? Czy może co, na serio chciał nas wszystkie zabić i potem zwalić winę na mnie, jak również te wszystkie ataki na miasta, i kompletnie zrujnować mi tym reputację? Bo jednego jestem pewna na sto procent — to na serio był on. Innej opcji nie ma. Żadna z nas, chociaż nie raz mamy totalnie świrnięte pomysły, do czegoś takiego by się nie posunęła...

W sumie nawet nie zauważam, jak w ten sposób mijają kolejne dwie godziny, a ja ciągle stoję w tym samym, martwym punkcie. Nawet nie daję rady ogarnąć, w jakiż to sposób mogę wrócić. No, chyba, że klasycznie, gdy w trakcie ceremonii ślubnej padnie pytanie, kto i z jakiego powodu nie zgadza się na udzielenie ślubu, to wtedy po prostu wejdę do środka, zerwę mu koronę z głowy i podam krótki powód, że mordercy powinni siedzieć w więzieniu bądź oczekiwać na śmierć, a nie brać śluby z niczego nie spodziewającymi się, biednymi naiwniaczkami... Hmm, to nawet dość ciekawie by wyglądało, uśmiecham się ponuro...

Do rzeczywistości przywraca mnie szloch Ro. Czyli chyba właśnie się w miarę ocknęła...

Bez słowa ją przytulam i pozwalam, by jej łzy płynęły po moich plecach dość szerokim strumieniem (a tak przynajmniej czuję). W tym momencie ona tego bardzo potrzebuje. Nie na co dzień przecież spotykają nas takie rzeczy...

— Czy ty też masz wrażenie, że ktoś się chyba na nas wziął? — ściszone głosem pyta Aira.

Kiwam głową potakująco. Oczywiście, że tak. A konkretniej, to wziął się na mnie Ertex. I pozostałe też na tym cierpią. Ale Rori to chyba najbardziej z nas wszystkich, w końcu to, co ją spotkało, było prawdziwie okropne...

Moment później orientuję się, że te słowa wypowiedziałam na głos.

— Szczerze, to ja wcale nie myślę, żeby to ona najbardziej na tym ucierpiała — Ira teraz mówi już ledwo słyszalnym szeptem. — Tylko ty. To w ciebie wymierzone są wszystkie ataki, i to tak, żebyś oberwała tak mocno, jak to tylko możliwe. I przecież zawsze tak się kończy, porządnie ci się dostaje, ale ty mimo wszystko idziesz dalej. Nie przejmujesz się niczym, wiesz, że masz konkretny cel i starasz się go osiągnąć bez względu na przeciwności. Zawsze kończy się tym, że to właśnie ty wspierasz wszystkie inne, jesteś tą, której aż chce się słuchać... Ja cię podziwiam, Lu. Ty chyba nigdy nie myślisz o sobie, a nawet jeśli, to wcale tego nie widać.

— Miło mi — uśmiecham się blado. — Ale chyba tak robią wszyscy władcy... Siebie stawiać na ostatnim miejscu, troszczyć się przede wszystkim o innych...

— Nie, kochana — nagle przerywa mi milcząca do tej pory Rori, odsuwając się z moich objęć. — Inni wcale tak nie robią. Inni robią wszystko, żeby to właśnie im było jak najlepiej. Królowie czy królowe takie jak ty trafiają się raz na milion.

To prawdziwie wymarły gatunek. I tak właściwie, choć proszę, nie obraż się za to, śmierć twoich rodziców była najlepszym, co mogło spotkać Arlesie, bo potem ty wzięłaś sprawy w swoje ręce. I kogo byś nie spytała, byłby z tego bardzo zadowolony...

Czuję, jak w oczach pojawiają mi się łzy. Jeszcze nigdy nikt nie powiedział mi niczego tak miłego, mimo tego, że to dla mnie jest jak najbardziej normalne...

— I dlatego nawet już się ciebie nie pytam, czy chcesz ze mną pojechać na Sterilie — dodaje Ro. — Bo po tym, jak przyłapałam Mishleina z inną, wiem, że ja robię to już jutro, a zaraz pójdę się spakować...

— Mordko, uwierz mi, że bym chciała — robię smutną minę. — Ale po prostu nie mogę. Nie mogę zrobić tego dla tylu osób, które na mnie liczą, zostawić wszystkich odmiennych na pastwę Ertexa...

— Takiej odpowiedzi też się spodziewałam — uśmiecha się smutno. — W takim razie, kochane, ja już będę się zbierać... Jutro już chciałabym wyjechać, a jeszcze trzeba dojechać do domu, do stolicy, zabrać wszystkie rzeczy, na co może też przyda się sporo czasu...

— A weź mi powiedz, zaczekasz jeszcze chwilę? — patrzę na nią z prośbą zawartą we wzroku. — Bardzo by mi zależało, jakbyś jeszcze poznała Bastiana...

— Dobra, w takim razie zostanę — decyduje szybko.

Dziękuję jej uśmiechem.

— Dion, tutaj jesteś! — nagle za mną rozlega się głos Lary. Odwracam się w jej stronę i... od razu wpadam w czyjeś objęcia. Zapewne jej.

Moment później odsuwam ją od siebie... i czuję, jak dolna szczęka opada mi dosłownie do poziomu ziemi. Nie tak zapamiętałam nastolatkę. Lara, którą znam, była wysoką, szczupłą nastolatką o lekko śniadej karnacji, z krótkimi do szyi, brązowymi włosami i oczami w zielono-piwnym kolorze. Z kolei ta, którą widzę teraz, ma ciemną, czekoladową skórę, krótkie, nastroszone włosy w bardzo ciemnobrązowym kolorze z jednym zielonym pasemkiem. I na dodatek jeszcze zielone oczy. Dość intensywne, ale nie tak bardzo, jak wyglądałoby to u lumii...

— Tak, wiem, teraz wyglądam świetnie, prawda? — dziewczyna zauważa, że się jej przyglądam i z dumą okręca się wokół własnej osi. — To wszystko sprawka Ardiena, mojego narzeczonego... To on namówił mnie na operację i ogólnie za wszystko zapłacił, poza tym jeszcze załatwił mi implant... A z resztą, nawet nie wiesz, jaki on jest cudowny, tak mnie kocha, i w ogóle...

— Lara, a nie uważasz, że... — próbuję wtrącić to, co planowałam wcześniej, ale jak zwykle mi nie wychodzi.

— Oczywiście, że uważam, iż to najlepsza rzecz, która mnie spotkała — przerywa mi. — Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się z tobą zabrałam!

— A jak tam droga? — rezygnuję chociażby z próby umoralnienia jej i pytam o temat nieco bardziej neutralny.

— Cudownie! — od razu się ożywia i zaczyna swoją opowieść, choć widzę że i tak próbuje się streszczać. — Wyobraź sobie, że w Luhri w drodze do hotelu spotkaliśmy się z Ardienem i on zaproponował nam wspólny wypad do Xerionu. Do stolicy nam się już tak bardzo nie śpieszyło, więc wiadomo, że się zgodziliśmy. Tylko Bastian na samym początku jakoś specjalnie się do niego nie przekonał, ale szybko mu przeszło, się chłopaki całkiem nieźle dogadują, choć i tak między nimi jest jakiś dystans, i tego nijak nie potrafią się pozbyć. W każdym razie, jak już byliśmy w Xerionie, to ja zmieniłam sobie wygląd, jak z resztą widzisz, Ardi załatwiał jakieś sprawy, a Bastian po prostu włóczył się po mieście... Nawet nie wiesz, jak za tobą tęsknił! I pewnie byśmy byli szybciej w stolicy, gdyby twojemu Ognistowłosemu coś nagle nie wypadło i tym razem my byśmy się nie włóczyli... W każdym razie w międzyczasie urządziliśmy sobie małą wycieczkę, podczas której on mi się oświadczył, wyobrażasz sobie? To było po prostu cudowne... Zobacz, jaki piękny — dosłownie pod nos podsuwa mi pierścionek z ogromnym brylantem, co oczywiście nie przeszkadza jej trąkotać dalej, nie dając mi nawet możliwości na danie opinii. — I potem dowiedziałam się, że ślub ma być jutro, to po prostu niesamowite, i to jeszcze w tak bajkowej oprawie... Bo wyobraź sobie, że mój Ardien... Nie, nawet dla mnie ciężko w to uwierzyć, ale on... On będzie królem — oświadcza konspiracyjnym szeptem. — A ja królową, potrafisz sobie to wyobrazić? Dosłownie jak w jakiejś bajce...

— Mam nadzieję, że nie zamęczyła cię swoim gadaniem — tuż obok niej wyrasta Bastian i patrzy się na mnie z uśmiechem. — Ja musiałem to znosić przez ostatni tydzień, więc wiem, co to znaczy.

Bez słowa podchodzę do niego i się przytulam.

— Tęskniłem za tobą — obejmuje mnie, po czym szepcze mi do ucha.

Unoszę wzrok, mając nadzieję, że wyraźnie odpowiada „ja za tobą też”.

— Słuchajcie, ja nie chcę wam przeszkadzać... — tuż obok nas materializuje się Rori. Patrzę na nią z uśmiechem na twarzy, mając nadzieję, że doskonale widzi, że to jest właśnie ta prawdziwa, jedyna miłość... — Ale mam drobne pytanko do ciebie, Bastian, tak?

— Tak — chłopak kiwa głową. — Wal śmiało.

— Tylko od razu mówię, że proszę o szczerą odpowiedź — zastrzega lumia, unosząc palec do góry. — Weź mi powiedz, czy ty kochasz naszą Lu tak na poważnie, czy poleciałeś tylko na jej pozycję społeczną?

— Że co? — Ognistowłosy jest totalnie zaskoczony, a ja mam ochotę udusić swoją Best Friend Forever. — Jaką Lu?

— Czekaj, ty mu nie powiedziałaś? — Ro patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Ale o czym? — chłopak odsuwa się ode mnie i mierzy mnie uważnym spojrzeniem. — Dion, czy ja czegoś nie wiem?

— Oj... — Aira ukrywa twarz w dłoniach. No cóż, ona wie, że nie chciałam

takiego obrotu spraw...

— Wiecie co, ja już się będę zbierać, w końcu muszę wybrać się na jutro... — Lara doskonale wie, kiedy powinna się wycofać i właśnie to robi. — Nie martwcie się o mnie, do domu trafię — dodaje, po czym wsiada na swojego ardyliana i rusza w drogę.

— To do zobaczenia w domu — rzuca jej Bastian, ale nawet nie spuszcza ze mnie wzroku. Jakoś tak dziwnie się czuję, kiedy tak na mnie patrzy...

Dziewczyny szybko rzucają jakieś wymówki i szybko zostajemy sami. Ja wymieniam z Ro przelotnego całusa w policzek na pożegnanie — doskonale wiem, że nie mam bladego pojęcia kiedy, o ile w ogóle się jeszcze zobaczymy, ale nie mam na to najmniejszego wpływu. Teraz muszę się zająć nieco bardziej istotnymi sprawami...

Wzdycham ciężko, po czym rozglądam się wokoło. Faktycznie, na placu nikogo już nie ma, w sumie reszta rozjechała się do domów dużo wcześniej, niż nasza trójka, po nas albo nie miał kto przyjechać, albo na tego kogoś czekałyśmy...

— Dion — głos mojego chłopaka przywraca mnie do rzeczywistości i uświadamia mnie, że teraz być może czeka mnie dość ciężka przeprawa... — Chcesz mi może coś powiedzieć...

Krzywię się lekko.

— Właśnie, kochanie, chyba jest coś, o czym powinieneś wiedzieć...

Rozdział XLVII

— No więc tak... podsumowując, w rzeczywistości wcale nie nazywasz się Dion McKinley, tylko Lumina der Soltarie, jesteś tą królową Arlesii, która dwa lata temu dosłownie rozplynęła się w powietrzu, a teraz nagle wracasz, chcesz odzyskać, co twoje, i do tej pory mi o tym nie powiedziałaś? — Bastian mierzy mnie świdrującym spojrzeniem.

— No... Tak — krzywię się lekko, bo wcale nie podoba mi się sposób, w jaki skrócił moje tłumaczenia.

— I nie powiedziałaś mi o tym, ponieważ...? — pytająco zawiesza głos, lustrując mnie wzrokiem.

— Nie wiedziałam, jak zareagujesz — wzruszam ramionami. — Chciałam, żebyś poznał mnie taką, jaką jestem w rzeczywistości... A poza tym, przecież na Sterilii i tak nie przedstawiłabym ci się w taki sposób, nie miałam w końcu pojęcia, że jesteś stąd.

— Ale dość szybko o tym się dowiedziałas — błyskawicznie znajduje ripostę, krzyżując ręce na piersi. — Wtedy mogłaś mi o tym bez problemu wspomnieć.

— Widzisz, to trochę skompilowane... — zaczynam się lekko płatać. — No ale moim zdaniem liczy się efekt, teraz przecież wiesz o wszystkim...

— A moim zdaniem niekoniecznie liczy się efekt — stwierdza z kamienną twarzą. — Jestem gotów się założyć, że gdyby twoja przyjaciółka nie zapytała się mnie o to tak bezpośrednio, wcale byś mi o tym nie powiedziała, prawda, Dion? Sorry, chyba powinienem powiedzieć, Lumino? Albo Wasza Wysokość, jak wolisz? — w jego głosie wyraźnie wyczuwam sarkazm. Oj... Nie tak sobie wyobrażałam tę rozmowę. Po pierwsze miała rozegrać się w innym miejscu, nawet, jeżeli dzisiaj... Chociaż nie, to po drugie. Przede wszystkim miała odbyć się z mojej inicjatywy. Dzięki, Ro...

— Dla przyjaciół i bliskich Lu — mówię, czując jak głos zamiera mi w gardle. Mimo tego przełykam ślinę i ciągnę dalej, próbując wyjść z całej tej sytuacji z honorem, a przynajmniej jego częścią. Bo teraz mam wrażenie, że jestem skazana na kompletną porażkę... — I dla twojej wiadomości planowałam cię poinformować o tym, kim naprawdę jestem. Zapewne nawet dzisiaj, bo jutro i tak byś się o tym dowiedział, przy tym, co zamierzam zrobić za parę godzin...

— A co, masz zamiar się ujawnić, Wasza Wysokość? Wrócić na swoje właściwe miejsce? — pyta, tym razem w jego głosie słychać konkretną złośliwość. Cóż, od tej strony go jeszcze nie znałam...

— Tak właściwie... — próbuję w jakiś sposób się wytłumaczyć, ale nie mam na to najmniejszych szans.

— Ale wiesz, o co mi chodzi najbardziej? — Bastian lekko przekrzywia głowę, patrząc na mnie nieco z góry. — O zaufanie. To, którego do mnie nie miałaś, bo inaczej powiedziałaabyś mi o tym dużo wcześniej. A my powinniśmy sobie ufać, w końcu ze sobą chodzimy... — kiedy to mówi, na moment wraca do mnie nadzieja. Czyli że co, wcale to nie przekreśla naszej przyszłości? — Nie, sorry, znowu się pomyliłem. Chodziliśmy. Bo ja nie mam zamiaru chodzić z kimś, kto nie potrafi mi zaufać w tak fundamentalnych sprawach.

Czuję się tak, jakby ktoś właśnie porządnie mi przywalił. Dobra, spoko, spodziewałam się z jego strony nawet w miarę gwałtownej reakcji, ale nigdy w życiu nie czegoś takiego!

— Czyli ze mną zrywasz? — te słowa ledwo co przechodzę mi przez gardło.

— Tak, właśnie tak, Lu. Zrywam z tobą — stwierdza, a jego twarz nie wyraża żadnych uczuć. — Potrzebuję czasu, żeby to wszystko sobie poukładać i nie potrzebuję żadnych, dodatkowych spraw, które będą zawracać mi głowę. A bez obrazy, taki związek, jednak jakby nie było, zajmuje wiele czasu i wiele myśli. I z resztą ty, kochana — te słowa wymawia z lekkim przekąsem — teraz też będziesz miała trochę obowiązków.

Czy on zdaje sobie sprawę, że z każdym kolejnym słowem zadaje mi coraz boleśniejszy cios prosto w serce?

Doskonale zdaję sobie sprawę, że choć w ostatnim czasie moje pasemka współpracowały i nie pokazywały żadnych moich uczuć, to w każdej chwili mogą się uaktywnić. Mimo to jednak odważam się postawić wszystko na jedną kartę.

— Dobra, spoko, rozumiem — rzucam tak lekko, jakbym strzepywała pyłek z rękawa. — W sumie powinnam się spodziewać takiej reakcji i nie mam do ciebie choćby najmniejszych pretensji. Ale bardzo chciałabym podziękować ci choć za te kilka precudownych chwil, jakie ze sobą spędziliśmy. Było genialnie, Bastian. I nawet nie wiesz, jak się cieszę, że los postawił nas sobie na drodze — zanim zdążam się odwrócić, widzę smutek połączony z wyrzutem w jego oczach. „To twoja wina”, zdają się mówić.

Ignoruję to spojrzenie i odwracam się, by potem odejść w kierunku najbliższej uliczki. Cały czas trzymam ręce w kieszeniach jeansów i trzymam się prosto. Wiem, że Ognistowłosa za mną nie idzie; tego z resztą też się spodziewałam.

Gdy kilkaset metrów dalej znikam za murem jakiegoś domu, natychmiast czuję, jak siły mnie opuszczają.

Opieram się o ścianę i ukrywam twarz w dłoniach. Moment później rozlega się urywany szloch. Nie dbam już o to, czy on mnie usłyszy, czy też może jednak nie...

A najgorsze jest to, że ja wiem, że on ma rację. To wszystko moja wina, powinnam mu o tym powiedzieć o wiele, wiele szybciej. A tak? Wystawiłam jego

zaufanie na próbę, której właściwie nie miało szansy przetrwać...

Teraz już po prostu nie wiem, co mam robić, w ogóle co mam o tym wszystkim myśleć... Za dużo tego było w ostatnim czasie, po prostu... Najpierw śmierć Estive'a, potem wybuch hotelu, w wyniku czego zginął mój mały smoczek, potem sam fakt, że Ertex zawrócił Larze w głowie (i na pewno nie zrobił tego tak po prostu, bo mu się podobała...), i wreszcie ta reakcja Bastiana... I co ja mam niby zrobić? Ja już nie mogę... Wszystko się sypie...

Tak w sumie to wiem. Powinnam wkurzyć się na mojego ex za wszystko, co mi zrobił i pięknie się na nim zemścić — na przykład wparować na wesele z impulsatorem i pięknym strzałem (choć to akurat do tego konieczne nie jest) sprawić, że już nigdy nikogo nie zniszczy... I tak czy owak bym się ujawniła, więc dlaczego by nie zrobić tego w tak spektakularnym stylu?

W tym momencie czuję delikatne wibrowanie w nadgarstku — wyraźny znak na to, że ktoś przysłał mi wiadomość.

Ocieram dłonią łzy i przykładam dwa palce do tamtego miejsca. Od razu w powietrzu tuż obok mnie materializuje się holograficzna kartka papieru.

Skinięciem palca przybliżam ją do siebie i równocześnie czuję napływ nadziei. No proszę, czyżby Bastian stwierdził, że przesadził? Albo może... może któraś z dziewczyn doniosła Cinderly o moim powrocie, w końcu jakieś na pewno mają ją w kontaktach i teraz sama królowa ofiarowuje mi pomoc w ogarnięciu tego wszystkiego? Przecież do jutrzejszego południa, czyli przez jakieś jeszcze czternaście, może trzynaście godzin ma w dłoni pewną część władzy, a w jej interesie jak najbardziej jest, żebym wróciła na swoje miejsce...

Kiedy literki w końcu się wyostają, ten ostatni promyk, który na moment zagościł w moim sercu, zostaje brutalnie z niego wyrwany. Tak okropnej wieści jeszcze nigdy nie dostałam. Nawet wtedy, gdy dziewczyny poinformowały mnie o śmierci moich rodziców...

„Podjęłaś duże ryzyko, wracając do gry. Tym bardziej, że ja trzymam w rękach wszystkie asy. Ale teraz kolej na mój ruch — mam twoją przyjaciółkę, o czym zapewne już wiesz. Zrobi to, co tylko zechcę, udało mi się ją owinąć sobie wokół palca, co z resztą nie było specjalnie trudne... Teraz czekam na ripostę z twojej strony.

PS. Nie radzę się ujawniać — inaczej zniszczę wszystkich, którzy cokolwiek dla ciebie znaczą, równocześnie zostawiając sobie ciebie na deser, żebyś wyraźnie zrozumiała swój błąd. To z hotelem było tylko próbą moich możliwości, więc lepiej pilnuj się na każdym kroku... ”

Jednym ruchem ręki sprawiam, że kartka się rozwiewa.

Łzy napływają mi do oczu, sprawiając, że wszystko robi się niewyraźne. Nie zdążam nawet przeczytać podpisu u dołu kartki. Z resztą, nawet nie muszę, i tak doskonale wiem, że sam hrabia Ertex von Sheen zaszczycił mnie swoją

wiadomością...

Po raz kolejny ukrywam twarz w dłoniach, ale teraz już po prostu nie mam siły stać, jakby ta informacja wypompowała ze mnie je wszystkie... Dlatego cały czas trzymając się blisko ściany osuwam się na ziemię, podciągam kolana pod brodę i zaczynam płakać, tym razem już na poważnie. I co ja mam niby zrobić w takich okolicznościach? Przecież teraz nie mam już najmniejszych szans, bo on w końcu nigdy nie rzuca słów na wiatr, musiał się zabezpieczyć jeszcze bardziej, niż przypuszczałam... Świecie, patrz, jak umiera ostatnia nadzieja na ocalenie wszystkich odmiennych...

— Wszystko w porządku?

Podnoszę zapłakane spojrzenie na chłopaka, który zadał mi to pytanie. Niemalże od razu w jego oczach widzę szok. Doskonale zdaję sobie sprawę, że mnie rozpoznał...

— Wasza Wysokość... — od razu uderza w oficjalniejszy ton, ale zaskoczenie wciąż nie znika z jego twarzy. — Nie spodziewałem się, że Pani... Wszystko w porządku?

— Nie, nic nie jest w porządku — kręcę głową przecząco. I choć mam dziwne wrażenie, że tymi słowami robię z siebie kompletną ofiarę losu, wcale mi to nie przeszkadza. Teraz na serio mam wrażenie, że taką ofiarą jestem...

— Mogę w czymś pomóc, Wasza Wysokość? — chłopak przykuca obok mnie.

— Cóż... — wzdycham ciężko. — W tym momencie chyba nikt nie może mi pomóc, bez względu na to, jak bardzo by się starał...

— Ale spróbować mogę — uśmiecha się połowicznie, po czym sam wstaje i pomaga mi zrobić to samo.

Dopiero teraz zauważam, jak bardzo jest przystojny. Ze stuprocentową pewnością mogę stwierdzić, że bije na głowę wszystkich przedstawicieli płci męskiej, jakich kiedykolwiek miałam okazję poznać. Nieco dłuższe, czarne włosy z czerwonymi końcówkami i prześwitami gdzieniegdzie wyglądają tak, jakby lizał je ogień. Do tego oliwkowa karnacja i złotobrazowe oczy, w których wyraźnie widzę troskę. Co ciekawe, dosłownie wieje od niego tajemniczością i... zagrożeniem. Dziwne... Wyraźnie przeczy to temu, że kiedy nagle się pojawił obok mnie, poczułam takie dziwne bezpieczeństwo... A najlepsze jest to wrażenie, że już go kiedyś na swojej drodze spotkałam...

— Tak mi się Pani przygląda... — jako pierwszy przerywa ciszę, widząc zauważa, że bez żadnego skrupowania lustruję go wzrokiem.

— Sorry, nie chciałam — spuszcza głowę. — Po prostu nie wiem, czego mam się po tobie spodziewać, pojawiłeś się tak właściwie znikąd... I proszę, mów do mnie Lu, nie znoszę sztywnych tytułów. Pomijając nawet fakt, że chyba już nie jestem królową...

— Jak to? — wydaje się być autentycznie zdziwiony.

— Po prostu — wzruszam ramionami. — To wszystko ostatnio się jakieś takie skomplikowane porobiło, nawet nie potrafię zapanować nad swoim życiem prywatnym, a co dopiero nad całą Arlesii, podczas gdy ona potrzebuje stabilizacji po zapewne dość chwiejnych, dwuletnich rządach mojej kuzynki...

— Co racja, to racja — kiwa głową, tym razem uśmiechając się już całkowicie — chwiejne faktycznie były. Ale chyba nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, teraz już pani... przepraszam, teraz już wróciłaś i jak się wszystkim zajmiesz, na pewno wróci to do porządku.

— Cóż, to dość skomplikowane... — wzdycham po raz kolejny. — Chyba nie usłyszałam, jak masz na imię... — kieruję wzrok w jego stronę i patrzę na niego z ciekawością.

— Bo go do tej pory jeszcze nie zdążyłem podać — widzę, jak w jego oczach na moment zaigrał wesoły ognik. — Jack jestem. W sumie powinienem przedstawić się wcześniej... Ja sam nie lubię rozmawiać z kimś, nie znając jego imienia, a co dopiero ty...

— Choć tych imion już trochę mi się przez głowę przewinęło, więc nie obraż się, jeżeli go nie zapamiętam — uśmiecham się blado, na czym sama się z zaskoczeniem łapię. Nie no, on chyba ma jakieś nadprzyrodzone moce, skoro zaledwie po może dwóch minutach rozmowy udaje mu się odrobinę poprawić mój humor. — Ale miło mi cię poznać.

— Cała przyjemność po mojej stronie — wykonuje coś w rodzaju przedziwnego ukłonu. Teraz to już po prostu muszę się roześmiać.

— Jesteś cudotwórcą — oznajmiam mu po chwili, kiedy już jako tako udaje mi się ogarnąć.

— Widzisz, wiedziałem, że jakoś mogę pomóc — uśmiecha się lekko. — A poprawa humoru daje wiele, pomaga spojrzeć na świat z innej perspektywy, odnaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia...

— Odnaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia... — powtarzam za nim jak echo. No właśnie... — W każdym razie dziękuję ci, nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś, Jack.

— Mówiłem, że jak spróbuję, to może nawet ciekawie to wyjdzie — uśmiecha się lekko i nagle zaczyna mi się uważnie przyglądać. — Chyba coś masz na włosach... — sięga ręką w okolice mojego ucha i coś stamtąd zdejmuje. — Paproszek — oznajmia moment później.

— Dzięki — odruchowo poprawiam włosy.

Na chwilę między nami zapada milczenie, po czym on nagle oświadcza:

— Wiesz co, Lu, ja już chyba muszę lecieć. To był zaszczyt cię poznać i ci pomóc. W każdym razie powodzenia w realizacji twoich planów — i po tych słowach kompletnie mnie zadziwia, mianowicie ni z tego, ni z owego podchodzi do

mnie i mnie przytula. Potem, jak gdyby nigdy nic odchodzi spokojnym krokiem i znika w jednej z pobliskich uliczek.

Patrzę za nim niczym zaczarowana, dopóki nie tracę go z oczu. Dziwne... W sumie on ogólnie był dziwny... Ale cóż, to mi nie przeszkadza. Najlepsze jest to, że pokazał mi, że z każdej sytuacji bez wyjścia jest wyjście. Z tej również. Kiedyś zapewne nawet nie przeszłoby mi przez myśl, ale teraz... Teraz jedyne, czym w związku z tym się martwię, jest fakt, żeby udało mi się dobrze to rozegrać...

Unoszę palce do ust i gwizdzę głośno. Niemalże od razu obok mnie materializuje się Goldier.

Błyskawicznie na niego wskakuję.

„Gdzie jedziemy?” — z zaciekawieniem łypie na mnie tym swoim czarnym okiem.

— Do stolicy — oznajmiam, prostując się na jego grzbiecie. — Mam tam kilka spraw do załatwienia.

Rozdział XLVIII

Z niecierpliwością bębnię palcami po balustradzie mostu. Gdzie on jest? Przecież uprzedziłam go, że chcę się z nim spotkać już jakiś czas temu, mniej więcej w momencie, gdy Goldier wyjeżdżał z Tini...

Goldier... Uśmiecham się lekko na samo wspomnienie momentu, w którym dowiedział się, co takiego mam zamiar zrobić. Stanął dęba, zrzucił mnie i stwierdził, że nie chce mieć do czynienia z wariatką. Na całe szczęście, po chwili udało mi się go przekonać o słuszności mojego wyboru. W sumie, innego przecież nie miałam. Nie, sorry, miałam. Mogłam po prostu pozwolić na to, żeby Ertex wymordował wszystkich odmiennych, podczas gdy ja byłabym całkowicie bezpieczna gdzieś na Stertilie. Ale to nie w moim stylu, tak poddać się bez walki. Choć kto wie, czy być może bym tego nie zrobiła, gdybym nie spotkała Jack'a. To właśnie on pomógł mi podjąć taką, a nie inną decyzję. I mam nadzieję, że się o tym nie dowie...

Odruchowo moja dłoń wędruje do miejsca, w którym powinien być mój rodowy klejnot. Powstrzymuję ją w połowie ruchu — to bez sensu, przecież całkiem niedawno go zgubiłam. Ale cóż, jak widać odruchy są silniejsze, tym bardziej, jeżeli wyrabia się je u siebie przez lata...

I właśnie pewnie z tego powodu moja dłoń sięga dalej, i... Co jest?! Nie, to przecież niemożliwe! Doskonale pamiętam przecież, że zarówno to, i tamtą buteleczkę zgubiłam, gdy skakałam z wodospadu... W takim razie jakim cudem kryształ z zatopioną w nim różą wisi na mojej szyi?!

Moja uwaga zostaje skutecznie odwrócona przez odgłos kroków. No tak, oczywiście, że to on. Kto inny zapuszczałby się w okolice zapuszczonego ogrodu pełnego ruin, gdzie jedyną ocalałą budowlą jest ten kamienny most?

— A jednak przysłaś — za sobą słyszę dość zdziwiony, ale również jakby zadowolony z tego faktu głos. — Byłem pewien, że w ostatnim momencie stchórzysz.

— Ja nie jestem z takich — błyskawicznie się odwracam i patrzę Ertexowi prosto w oczy. — Kiedy coś obiecuję, z kimś się umawiam, staram się dotrzymać słowa... chyba, że wiąże się to z tak ogromnym niebezpieczeństwem, jak wtedy, kiedy mieliśmy brać ślub — dodaję, wiedząc, że zaraz o tym wspomni.

— W takim razie wciąż nie rozumiem, dlaczego tu jesteś — staje naprzeciwko mnie, tak blisko, że nieomal się stykamy. — W końcu niebezpieczeństwo wcale nie minęło. Co więcej, teraz mogę zrobić o wiele więcej, niż wtedy, więc...

— Po prostu uznajmy, że zmusiła mnie do tego twoja wiadomość —

przerywam mu w pół słowa. — Trochę czasu nad nią myślałam i doszłam do wniosku, że chyba możemy zawrzeć pewną umowę.

— Umowa? Z tobą? — wygląda tak, jakbym opowiedziała mu dobry żart. — A co ty niby masz mi do zaoferowania, kochanie? — specjalnie zwraca się do mnie tak, jak za dawnych czasów, żeby mnie jeszcze bardziej rozdrażnić. Nie ma szans, obiecałam sobie, że będę w zupełności opanowana. — Tak się składa, że jutro już będę królem i dzięki temu, jak pięknie podporządkowałeś Radę władcy, będę mógł robić, co tylko mi się podoba.

— Ale do jutra zostało jeszcze trochę czasu — uśmiecham się lekko. — Wiele może się do tej pory zmienić.

— Co masz na myśli? — od razu poważnieje. I dobrze, jak widać doskonale zdaje sobie sprawę, że mnie jako przeciwnika nie można zlekceważyć.

— Na razie proszę cie tylko o jedno, po prostu porozmawiajmy, to wtedy wszystkiego się dowiesz — wzruszam ramionami.

— Dobrze, słucham — hrabia von Sheen krzyżuje ręce na piersi. — O czym chcesz rozmawiać?

— Może nie tutaj — rozglądam się wokoło. — Przydałoby się do tego jakieś ustronne miejsce w pałacu... Może w moim... Sorry, w gabinecie Cinder?

— Chcesz znaleźć jakieś miejsce, w którym będziesz mogła mnie sprzątnąć bez świadków? — wydaje się być jakby... wystraszony? No proszę... I dobrze, niech myśli, że jestem zdolna kompletnie do wszystkiego...

— Gdybym chciała to zrobić, zrobiłabym to tu i teraz — na mojej twarzy pojawia się ponury uśmiech. — Nikt o tym miejscu nie pamięta, nikt tu prawie nigdy nie zagląda... Idealne, nie sądzisz? Więc w takim razie czy pchałabym się do miejsca w samym środku pałacu, gdzie wszędzie pełno kogoś, kto mógłby mnie zobaczyć? Doskonale pamiętam twoje groźby z listu, i teraz specjalnie nie uśmiecha mi się ujawniać.

— To w takim razie co szkodzi ci zostać tutaj? — coś w jego tonie mówi mi, że nie ustąpi.

Przez moment rozważam, czy mogę zgodzić się na aż takie ustępstwa. W sumie, dlaczego nie?

— Dobra, niech ci będzie — kiwam głową. — Ale od razu mówię, że chciałam ci tamtym pójść na rękę, a skoro nie skorzystałeś, to twoja strata.

Kilka kolejnych sekund jestem dokładnie lustrowana jego wzrokiem. Widać zastanawia się, czego może się po mnie spodziewać.

Uśmiecham się lekko, zapewne nieco go tym dziwiąc. Tak szczerze, to wszystkiego. Po tym, co przeszłam, nie mam już choćby najmniejszych zahamowań, zrobię dosłownie wszystko, co jest mi potrzebne w osiągnięciu celu. Cóż, patrząc pod pewnym kątem, nie jest on aż tak niemożliwy, jak może się wydawać. Po prostu muszę użyć odpowiednich argumentów...

— Obróć się — Ertex jako pierwszy przerywa ciszę. — Chcę wiedzieć, czy nie masz przy sobie żadnej broni.

Wzdycham i przewracam oczami, ale mimo wszystko unoszę ręce do góry i robię spokojny obrót wokół własnej osi, żeby dokładnie zobaczyć, że w tych obcisłych jeansach i równie obcisłej bokserce nie mam kompletnie nic.

— Zdajesz sobie sprawę, że to idiotyzm? — kiedy kończę, opieram się pewnie o balustradę i patrzę mu wyzywająco prosto w oczy. — Przecież wcale nie muszę mieć jej przy sobie, wystarczy, bym wcześniej schowała ją w krzakach.

Od razu na te słowa mój ex zaczyna rozglądać się wokoło, jakby spodziewał się zobaczyć wystającą skądś lufę impulsatora.

— I właśnie z tego powodu chciałam, żebyśmy pogadali w twoim gabinecie — oznajmiam, podczas gdy on zaczyna przetrząsać krzaki. — Przynajmniej darowałbyś sobie takie głupie zachowania, bo wiedziałbyś, że tam na pewno nic nie schowałam. Tak więc może daj już sobie spokój i po prostu siądź gdzie ci się podoba. Dla twojej wiadomości, bardzo mi zależy na jak najszybszym załatwieniu sprawy.

Mój były podnosi wzrok i przez moment mnie nim mierzy. Wyraźnie wyczuwam bijącą od niego nieufność. I bardzo dobrze, namieszałam mu w głowie. Teraz będzie o wiele bardziej skłonny uwierzyć w moje słowa...

Po paru chwilach takiego trwania w milczeniu w końcu wybiera sobie jakieś miejsce na trawie, z dala od jakichkolwiek zarośli. Czyżby poczuł się niezbyt pewnie? Prawdopodobnie. Bo tak się składa, że choć jestem od niego młodsza o całe sześć lat, tym razem to ja mam zamiar dyktować warunki.

Spokojnie podchodzę do niego i siadam naprzeciwko, krzyżując nogi.

— W takim razie jaka jest ta twoja umowa? — szybko i konkretnie przechodzi do rzeczy.

— Nie śpiesz się tak — natychmiast hamuję jego zapędy. — Najpierw chciałabym z tobą porozmawiać. I to tak stuprocentowo szczerze.

— O czym?

— O paru rzeczach, które mnie gryzą od dawna — wzruszam ramionami — a na które ty na pewno znasz odpowiedź. No wiesz, dlaczego aż tak zależy ci na przejęciu tronu, dlaczego aż tak zależy ci na pozbyciu się wszystkich odmiennych... Coś w tym guście.

— W sumie chyba mogę ci o tym powiedzieć, mam pewność, że tajemnicy dotrzymasz — uśmiecha się ponuro. — Tak właściwie to wszystko sprowadza się do tego, kim jestem...

— Masz na myśli swój charakter, coś w tym guście? — patrzę na niego z zaciekawieniem. — Bo w końcu jesteś względnie normalny... Względnie — podkreślam. — Normalna osoba nie robi czegoś takiego, co ty masz w planach.

— Nie, mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem — kręci głową

przecząco. — Charakter i reszta bierze się z tego, pozostałe wydarzenia też. Bo tak się składa, że ja też mam w sobie pewną odmiennność, ale nie tego typu, co inni. Jestem półsmokiem.

— Że co? — czuję, jak dolna szczęka opada mi dosłownie do poziomu ziemi. — Półsmokiem? Ale... Ale to w ogóle możliwe?

— Jak widać jest — uśmiecha się z wyższością. — Skoro smoki potrafią mieć ludzką postać, to dlaczego niby nie mogą mieć dzieci z ludźmi? Ja jestem jednym z takich przypadków. Właściwie moi rodzice poznali się całkowicie przypadkiem, była to znajomość trwająca jedną noc, a efekt widzisz przed sobą. Ona była smoczyką, on ymulem, synem lumii i cieniolutnego. Kiedy dowiedział się o jej prawdziwej istocie, po prostu wyszedł, zostawiając ją samą. Idiota! — wybucha nagle. — Ale nie martw się, już za to zapłacił — na jego twarzy pojawia się iście diabelski uśmiech. — I za jego błąd zapłacą wszystkie lumie i wszyscy cieniolutni. Jeżeli ktoś jest inny, to powinien wspierać pozostałych odmiennych w każdej wersji, a nie bać się tych, którzy mogą być jeszcze dziwniejsi od nich, nie traktować ich z wyższością, albo wręcz ze wstrętem. A tak właśnie rodzice, którzy nie byli normalnymi ludźmi, wychowali swojego syna... Za co powinni zapłacić. Wszyscy inni też. Jeżeli nie są godni różnić się od pozostałych, to w ogóle ich nie będzie. Do ruslinsen nic nie mam, więc to, że planuję pozbyć się całości odmiennych, nie jest prawdą. Bo oni to przynajmniej mają warunki, w których nie mogą stać się tacy, jak reszta ludzi.

Patrzę na niego i dosłownie nie wiem, co mam powiedzieć. Nie spodziewałam się tego. Ani, że ma w sobie coś ze smoka, ani, że taki właśnie jest powód jego nienawiści. I właściwie to nie wiem, co mam na to powiedzieć...

— Wychowała mnie matka, wszczepiając mi wartości każdego ze smoków — Ertex ciągnie dalej. — A jedną z nich była zemsta... Zemsta na tych, którzy od wieków nas torturują. Tak się składa, że jesteś jedną z nich, Lumino. I dlatego ciebie też powinien spotkać marny los, moja droga — dodaje z grobowym uśmiechem. — Ale najpierw moim zdaniem zasługujesz na kilka wytłumaczeń, skoro i tak już nie dasz rady mi w niczym przeszkodzić. No więc ciągnijmy dalej. Skoro okazało się, że taka urocza osóbką została sama na świecie, bez rodziców, tylko z kuzynką, to dlaczego by nie wykorzystać okazji? Jeżeli jeszcze na dodatek sięgnąłbym tronu... Fajna perspektywa, nie sądzisz? Tym bardziej, że to mogło mi to pomóc w pozbyciu się większości odmiennych. Tak, potwierdzam, chciałem cię tylko i wyłącznie wykorzystać.

— Powiedz mi coś, o czym nie wiem — krzywię się lekko.

— Wedle życzenia. I dlatego sytuacja potoczyła się tak, jak doskonale pamiętasz. Tylko ty mi planów napsułaś, gdybyś nie pojechała do Estive'a, wszystko skończyło się o wiele szybciej. W sumie nawet wtedy, kiedy spotkaliśmy się w wieży z furtką, może udałoby mi się to załatwić wcześniej, tylko na

przywłaszczenie sobie tronu musiałbym poświęcić trochę więcej czasu i energii niż w pierwszej opcji, pewnie tyle samo, ile w tym momencie... Ale cóż, akurat w momencie, kiedy już byłaś kompletnie bezbronna i nic nie stało mi na przeszkodzie, by się ciebie pozbyć, na dole usłyszałem jakieś głosy. Gdyby ktokolwiek zauważył mnie stojącego nad tobą z zakrwawionym sztyletem w dłoni, i na dodatek ciebie kompletnie nieprzytomną, przekreśliłoby to jakiegokolwiek moje dążenia w związku z koroną. I z tego powodu przenieśliśmy cię na drugą stronę, a sam zostałem na miejscu. Załatwiłem sobie też śliczną bliznę, żeby w razie co nie było podejrzeń... W końcu trzeba było jakoś wiarygodne wytłumaczenie znaleźć, a takie było idealne. Zrozpaczony zniknięciem swojej narzeczonej tuż przed ślubem, przyszły mąż królowej postanawia popełnić samobójstwo w samotności, wiedząc, że bez niej jego życie nie ma sensu... — zaczyna się śmiać.

— Ty na serio jesteś zdesperowany — patrzę na niego z mieszaniną przerażenia i podziwu. Przerażenia, bo zdaję sobie sprawę, że on wszystko dopracował do perfekcji. Podziwu z tego samego powodu. Cóż, to czyni naszą rozgrywkę jeszcze bardziej interesującą. Oboje jesteśmy na równym poziomie, różnimy się tylko sposobami działania. On zawsze ma jakiś plan w zanadrzu, ja z kolei uznaję działanie tylko pod wpływem impulsów i improwizację... I jednemu, i drugiemu zazwyczaj to wychodzi. Pytanie brzmi, czyja kolej na wygraną wypadnie teraz? Czy może będzie remis?

— A i owszem, bo mam o co walczyć — uśmiecha się szelmowsko, a w jego oczach błyska złowieszczy ogień. — Potem, kiedy już zagrożenie minęło, chciałem wrócić i dokończyć to, co zacząłem, ale ciebie już nie było — stwierdza z nutką żalu. — Miałaś więcej szczęścia, niż rozumu. Z kolei kiedy twoja kuzynka objęła tron, wtedy wiedziałem, że wszystko pójdzie mi jak z płatka. Jedna rzecz psuła mi nastrój, a mianowicie świadomość, że gdzieś tam kiedyś możesz wrócić i upomnieć się o swoje. I dlatego, jakiś czas temu postanowiłem cię ściągnąć do Arlesii i mieć wszystko pod całkowitą kontrolą, znać każdy twój krok... Właśnie dlatego postanowiłem wysłać po ciebie gryfa. Z tego, co wiem, doleciał bez problemów...

— Dlaczego zabiłeś Estive'a? — przerywam mu w pół słowa. To jedna z tych istotniejszych kwestii, na które mam zamiar poznać dzisiaj odpowiedź.

— A, to... Czyli o tym wiesz? — wygląda na zdziwionego. — Już myślałem, że tamten tey, którego postawiłem w miejsce Odwiecznego po prostu się nad tobą ulitował i puścił cię wolno, albo że w ogóle nie wychodziłaś z hotelu... Przecież ta twoja przyjaciółka, jak jej tam... Rori, nie wspomniała, że ciebie nie ma.

— Okazało się, że znów miałam więcej szczęścia, niż rozumu, jak to miło wcześniej ująłeś — wzruszam ramionami.

— Dokładnie, na to wygląda — mierzy mnie uważnym spojrzeniem. — W takim razie powiedz mi, jak udało ci się wydostać, bo to moim zdaniem jest

niemalże niemożliwe...

— Dla kogo niemożliwe, dla tego niemożliwe — uśmiecham się lekko.

W kilkunastu słowach streszczam mu całe tamtejsze zajście, rzecz jasna pomijając wzmiankę o buteleczce od Mirt'Oshima. Nie chcę, żeby o tym się dowiedział, bo może się to skończyć nie najciekawiej, nawet nie dla mnie, ale dla smoka...

— I mniej więcej tak to wygląda — kończę.

— Niezła jesteś — kiwa głową z uznaniem. — Nie przewidziałem, że masz aż taki refleks, ani że w chwili stresu aż tak dobrze idzie ci opanowanie siebie i względne pozbieranie. Byłem pewien, że wy, lumie, w takich chwilach poddajecie się bez walki...

— Jak widać, jestem wyjątkowa. Ale czekam, powiedz mi, dlaczego go zabiłeś? — krzyżuję ręce na piersiach, chcąc wyglądać na nieprzejednaną.

— To nie byłem ja — kręci głową przecząco. — Wiesz, że nie lubię brudzić sobie rąk... Choć ty akurat jesteś wyjątkiem. Po prostu razem z tamtym teyem wybraliśmy się do twojego byłego nauczyciela w odwiedzinę, chcąc wyjaśnić pewną kwestię... Kwestię przysięgi, której on nie dotrzymał i musiał za to zapłacić życiem.

Dokonuję błyskawicznej analizy jego słów, równocześnie łącząc je z tym, czego dowiedziałam się z innego źródła. Czyli wychodzi na to, że Estive złożył taką samą przysięgę, jaką wszystkie smoki. I jej nie dotrzymał, bo przecież siedzę tu cała i zdrowa... a przynajmniej na razie cała i na razie zdrowa. Tylko... Dlaczego?

— Widzę, że ty masz całkiem niezłą wiedzę na nasz temat — Ertex przerywa milczenie, przyglądając mi się badawczo.

— Co? — tymi słowami kompletnie mnie zaskoczył.

— Potrafię czytać w myślach — wyjaśnia, wzruszając ramionami. — To mi po matce przeszło. Z resztą, każdy półsmok to potrafi... I to by było na tyle z naszych smoczyczych umiejętności, poza charakterem. A nie, sorry, jeszcze możemy podsłuchiwać rozmowy prowadzone za pomocą implantów. Niezłe, co nie? Szkoda tylko, że tak mało tego jest... Lepiej od nas wypadają nawet sarecertis...

— Kto? — zaczynam czuć się odrobinę zagubiona, kiedy tak sypie nieznanymi mi nazwami.

— Nieważne — lekceważąco macha ręką. — W każdym razie, skoro wiesz coś niecoś o przysiędze, łatwiej będzie mi to wytłumaczyć. Tak się składa, że jakieś dwadzieścia, może odrobinę mniej lat Odwieczny też ją złożył, po wiekach całkowitej neutralności. Wpłynęły na to pewne okoliczności, których teraz wyjaśniać nie będę, ale w każdym razie niejako podpisał się pod tym, żeby zniszczyć do szczętu ród der Soltarie i Soltarie, inaczej był gotów zginąć w razie niedotrzymania obietnicy. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale dla ciebie złamał tą

przysięgę i musiał ponieść karę. Potem już poszło łatwo, tey zajął jego miejsce, wysłał do ciebie gryfa z wiadomością... Nie przewidziałem tylko tego, że Odwieczny zrobił to wcześniej i że swojemu posłańcowi powiedział nieco więcej, niż ten, który polecał cię szukać właściwie z mojego polecenia.

Przez chwilę nie wiem, co mam powiedzieć. Czyli jednak miałam rację. To wszystko była moja wina. To przeze mnie najmądrzejsza istota na wszystkich znanych światach oddała życie...

Ułamek sekundy później łapię się na jeszcze jednym. Skoro mój ex potrafi czytać w myślach, to czy zna też mój plan?

— Słuchaj, ty wiesz dokładnie o wszystkim, o czym myślę? — nie mogę się powstrzymać i zadaję to pytanie.

— Chciałbym — uśmiecha się lekko. — Ale nie wiem, co ty zrobiłaś, jakim cudem się tego nauczyłaś, że praktycznie wcale mi się to nie udaje, co najwyżej jakąś pojedynczą myśl wychwyć. Z innymi jest mi o wiele łatwiej, u nich nawet nie muszę się specjalnie wysilać, żeby odczytać ich myśli. Kiedyś, jeszcze przed twoją ucieczką na Stertilie z tobą też nie miałem problemu. Ale teraz to proszę, nawet uczucia już ci się nie pokazują...

W duchu oddycham z ulgą. Czyli dobrze, nie wie, co zamierzam zrobić, jak zamierzam pokierować tą rozmową...

— Masz jeszcze jakieś pytania? — hrabia von Sheen mierzy mnie wzrokiem. — Czy już możemy przejść do tej umowy?

— No cóż, tak właściwie, to chciałabym się dowiedzieć jeszcze, o co chodziło z tym hotelem — zamyślam się na moment. — I czegoś więcej na temat twoich planów odnośnie Lary.

— Z hotelem to chyba nie jest aż takie skomplikowane — wzrusza ramionami. — Po prostu chciałem nieco was wystraszyć, pokazać ci, na co mnie stać, i równocześnie, o ile by się udało, pozbyć się ciebie. Wiedziałem, że smoczyce twoich przyjaciółek na pewno wyczują niebezpieczeństwo i wywołają je na zewnątrz. Ty nie miałabyś jak się o tym dowiedzieć, więc może byś została w środku... Co prawda specjalnie się na to nie nastawiałem, bo w końcu któraś z twoich współlokatorek mogłaby wyczuć sprawę i cię wyciągnąć na zewnątrz, jak zapewne się stało. A co do tej twojej przyjaciółeczki ze Stertilie... To właściwie nie mam nic do powiedzenia. Poznałem ją w Listeshire, o czym pewnie wiesz. Zaczęła ze mną flirtować, co nawet mnie rozbawiło, choć było widać, że wiele w tej kwestii ma do powiedzenia. Ale nagle udało mi się zauważyć gdzieś tam w jej głowie, że ma przyjaciółkę, lumię, która razem z nią tutaj przyjechała... I to mnie zaniepokoiło. Z tego, co wiem, na tamym świecie nie ma żadnej lumii, chociaż wcześniej pojawienie się tej... o ile dobrze pamiętam, Airy, nieco mnie zdziwiło. A potem okazało się, że faktycznie, chodzi o ciebie i nie mogłem już takiej okazji wypuścić z rąk. Z urobieniem jej nie było najmniejszego

problemu, uwierzyła mi we wszystko, co tylko jej powiedziałem. W końcu dlaczego miałyby nie wierzyć? Pewnie jutro będę musiał jej coś niecoś wytłumaczyć, na przykład że w rzeczywistości Ardien jest moim drugim imieniem, a na pierwsze mam Ertex... Bo o reszcie już wie, gładko przyjęła to do wiadomości... A z resztą, co to kogo obchodzi. I tak jutro, w trakcie wesela się jej pozbędę. Plan już mam opracowany, dokładnie taki, jakim w pierwotnej wersji chciałem załatwić ciebie... To jak, możemy przejść do interesów? — nagle zmienia temat.

— W sumie czemu nie, wiem już wszystko, czego chciałam — kiwam głową, równocześnie sprawdzając w pamięci, czy moje pasemka pokazują kłamstwo. Na całe szczęście nie, bo chociaż ostatnio przestały działać, nie wiem, ile czasu taki stan rzeczy potrwa... — Tak więc proponuję ci uczciwy układ. Zostawisz w spokoju wszystkich odmiennych, bez względu na to, czy ich rasa ci podpadła, czy nie, zapewnisz wszystkim poddanym godziwy byt, wyłożysz kasę na odbudowę Selumie, z całą najnowocześniejszą technologią i w końcu nie zrobisz nic Larze. Ożenisz się z nią i będziesz ją kochał taką, jaka jest...

— I niby co jeszcze?! — przerywa gwałtownie, wstając ze swojego miejsca. — Chcesz, żebym może jeszcze dobrowolnie oddał ci tron?!

— Daj mi dokończyć — podnoszę głos, nie pozwalając mu przejąć kontroli nad rozmową. — Nic takiego nie oczekuję. Zdaję sobie sprawę, że z tego spotkania nie wyjdę żywa, więc przynajmniej chcę mieć świadomość, że nie oddałam życia na próżno.

— Czekaj... czyli ty tak po prostu się poddajesz? Tak bez niczego? — mój ex jest kompletnie zaskoczony. Nie spodziewał się tego po mnie. — Tak bez walki?

— Nie pozostawiłeś mi innej opcji — wzruszam ramionami. — Co innego niby mogłabym zrobić bez ujawniania się? Nie mogę pozwolić na to, żebyś tak po prostu wszystkich wybił. A przecież lepiej, żeby zginęła tylko jedna osoba, zamiast co najmniej kilku tysięcy. I tak poza tym, moim zdaniem wcale się nie poddaję, walczę dalej. I w ten sposób mogę odnieść prawdziwie spektakularne zwycięstwo, mimo tego, że nikt się o nim nie dowie.

Cisza pomiędzy nami jest wprost nieznośna. Zastanawiam się, czy przypadkiem przez te moje ostatnie słowa nie zamknęłam sobie drogi do osiągnięcia swojego celu. W końcu z tego, co wiem, to on nie lubi, kiedy inni wygrywają...

— To mnie zaskoczyłaś — po co najmniej minucie Ertex przerywa milczenie. — Nie spodziewałem się tego po tobie. Ale powiedz mi... jaką masz pewność, że dotrzymam tej umowy? Skoro będziesz martwa, to przecież nie będziesz miała jak mnie dopilnować, czy się z niej wywiążę...

— Tak szczerze, to w sumie teraz względnie wystarczy mi, że twoja matka

wychowała cię w duchu smoczych wartości — wruszą ramionami. — A dla smoka, i półsmoka zapewne też, umowa jest przecież rzeczą świętą, nie do naruszenia. Ale nie martw się, i tak postarałam się o inne, odpowiednie zabezpieczenie. Cała nasza rozmowa jest przekazywana przez jakieś ustrojstwo do znajdującego się gdzieś w Arlesii gryfa, który to wszystko nagrywa i dostał ode mnie polecenie przekazania paczki z tym zapisem dla jednej z moich przyjaciółek, jeżeli nie wywiążesz się z naszej umowy. Wiadomo, że one to ujawnią, a wtedy będziesz spalony. Cała Rada odwróci się przeciwko tobie, a jeżeli jeszcze się dowiedzą, że spiskowałeś przeciwko poprzedniej królowej... Wtedy marnie z tobą będzie. A tak to zobacz, nie wymagam od ciebie niczego, co byłoby dla ciebie nieosiągalne.

— Czyli wychodzi na to, że muszę tej umowy dotrzymać... — wzdycha przyszły król Arlesii.

— Mniej więcej tak — przekrzywiam głowę i patrzę na niego uważnie. — Ale tak chciałabym, żebyś oficjalnie się na to zgodził.

— Spoko, zgadzam się — uśmiecha się lekko. — I tak w większości zależało mi na tobie. I na tym, żeby pozbyć się ostatniej osoby z rodu der Soltarie, żeby dopełnić dzieła zemsty... Bo z tą twoją kuzynką, Cinderly, to sobie poradzę nawet bez żadnych drastycznych środków.

— Cieszę się, że udało nam się dobić targu — uśmiecham się smutno.

Wstaję z miejsca i podchodzę do jednego z drzew Nüterio[1]. Opieram się o jego pień i patrzę na swoje odbicie w wodzie. Wygląda niesamowicie. Może nawet magicznie. Smukła, tajemnicza lumia w otoczeniu różowych liści Nüterio. I taki obraz siebie chcę zapamiętać...

— Odwróć się — słyszę za sobą głos mojego ex. Doskonale wiem, co ma na myśli. Zabicie przeciwnika strzałem w plecy, nawet, jeśli tylko z impulsatora, wcale nie jest oznaką honoru. A smoki kierują się honorem jak mało kto, wiele można by się od nich nauczyć...

Powoli spełniam jego polecenie. Udaje mi się jeszcze zauważyć jakiś ruch w krzakach gdzieś za plecami Ertexa, ale nie zdążam tego przemyśleć. Cała moja uwaga skupia się na moim byłym narzeczonym, mierzącym do mnie z impulsatora...

Ułamek sekundy później słyszę delikatny świst. Oślepiający promień, mknący w moim kierunku z prędkością błyskawicy, jest ostatnim, co widzę.

Potem zapada wszechobecna ciemność.

[1] Drzewo Nutterio — wywodzące się od wierzb płaczących. Rośnie zawsze nad zbiornikami słodkowodnymi, zwieszając swoje długie gałęzie nad lustrem wody. Różni się kolorem — ich liście są koloru jasnego, pudrowego różu. Wygląda pięknie, tak trochę mistycznie... Niewątpliwie Wielki Wybuch wpłynął zdecydowanie na korzyść w Sterilie.

Rozdział XLIX

— Czekaj, czekaj — Lara zeskakuje ze stołu i w osłupieniu patrzy na chłopaka stojącego przy oknie. — Jak to z nią zerwałeś? Bastian, ty się dobrze czujesz? Przecież to najcudowniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek poznałeś, sam mówiłeś mi o tym w Xerionie...

— Widać wcale taka nie była — Ognistowłosa wzrusza ramionami. — Dowiedziałem się o niej... paru rzeczy. Niezbyt zachęcających. Sama byś zareagowała tak samo, jak ja, gdyby ci o tym powiedziała.

Między nimi zapada milczenie.

„Ciekawe, o czym mu powiedziała... — zamyśla się nastolatka. — Czy to było coś gorszego niż fakt, że Ardien kiedyś był narzeczoną samej królowej, a teraz ma objąć tron...”.

— Może powinieneś jej trochę odpuścić... — proponuje dziewczyna, równocześnie biorąc schłodzony napój z inteligentnej lodówki. — Wiesz, ona całkiem sporo przeszła, na pewno miała jakiś konkretny powód, żeby ukrywać pewne sprawy.

Chłopak nie odpowiada, tylko odwraca się do okna i wpatruje w piękną, główną aleję Dminestil, przy której znajduje się wynajęty przez nich domek.

Lara patrzy na niego ze smutkiem, zaskoczeniem i czymś w rodzaju niedowierzania. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego on aż tak drastycznie zareagował na wiadomość, że jej najlepsza przyjaciółka, Dion, coś ukrywała. Dla niej jest to przecież normalne. Każdy ma w sobie coś tajemniczego, ale Dion jest pod tym względem wyjątkowa. Tyle, ile ona skrywa sekretów, nie ma w swoim zanadrzu nawet Strefa 51, o ile istnieje, oczywiście.

Tymczasem w głowie Bastiana szaleje prawdziwa burza. Z początku lekki wiatr, który zaczął mu hulać w głowie po rozmowie z Dion... Nie, tak właściwie z Lumina, przerodził się teraz w potężny huragan. Może Lara ma rację. Może faktycznie przesadził. Na pewno nie było jej łatwo, zwierzyć się z takiego sekretu, tym bardziej, że właściwie zmusiła ją do tego przyjaciółka, sama na pewno zrobiłaby to w inny, bardziej łagodny sposób... Powinien był to zrozumieć. A nie przekreślać ją tak od razu, zarzucać, że zdradziła jego zaufanie...

— Ale dlaczego to zrobiłeś? — przyszła królowa nie może zrozumieć tego jednego, tak istotnego faktu.

— Powtarzam ci po raz kolejny, ona mnie oszukiwała — Ognisty mimo wszystko broni swojego wyboru. — Jak ty byś czuła się w takiej sytuacji? Gdyby ktoś ci nie powiedział, kim jest w rzeczywistości? Nie obdarzył cię wystarczającym zaufaniem?

— W takim razie powiedz mi, cóż takiego ona przed tobą ukrywała? Czym

cię oszukała? — nastolatka staje po stronie przyjaciółki.

— Sama ci powie, kiedy przyjdzie — chłopak wzrusza ramionami, cały czas stojąc do niej tyłem.

— A co, jeżeli nie przyjdzie? — dziewczyna nie ma zamiaru odpuścić. — Jeżeli coś jej się stało i już nigdy jej nie zobaczysz? Jeżeli wydarzył się jakiś wypadek, w którym zginęła? To jak byś się wtedy czuł?

On nie potrafi już na to znaleźć odpowiedzi. Wystarczy, że w jego sercu zostało zasiane ziarno wątpliwości. Bo w sumie to może być prawda. Nikt nie podlega jakiejś niesamowitej ochronie. Nawet Lu (ciągle nie może się przyzwyczaić do tego imienia), nawet ją może dosięgnąć czas, miejsce i przypadek... „A z resztą, po części to była moja wina — zaczyna wyrzucać sobie w myślach. — W końcu miała pełne prawo samej zdecydować, o czym chce mi powiedzieć, a o czym nie... Jak tylko wróci, to ją przeproszę. Może wybaczy takiemu idiocie, jakim się okazałem...”.

Moment później rozlega się donośne pukanie do drzwi. Oboje zrywają się ze swoich miejsc i dosłownie na wyścigi biegną po schodach na dół, by możliwie jak najszybciej dotrzeć do wejścia. Każde z nich ma nadzieję zastać tam czarnowłosą lumię...

— Gdzie ona jest? — od razu stają twarzą w twarz z czwórką zaniepokojonych wilczyc. — Gdzie jest Lumina? — powtarza Iora.

— Kto? — Lara jest kompletnie dezorientowana. Nic dziwnego; w końcu nie zna prawdziwego imienia swojej współlokatorki...

— A nie ma jej z wami? — na twarzy Bastiana od razu widać strach. Dziwnym trafem w jego głowie pojawiają się od razu straszne przypuszczenia...

— Nie, przecież ty z nią rozmawiałeś ostatni, wtedy w Tini — Aira wchodzi do mieszkania, nie pytając nawet o pozwolenia. — Co jej zrobiłeś?! — od razu przechodzi do ataku.

— Nic! — chłopak unosi ręce w obronie. — Nie śmiałybym, bo po pierwsze, nie zrobiła nic takiego, a po drugie, nawet, gdybym chciał, to bałybym się zadzierać z wami...

— Czyli chciałeś jej coś zrobić! — Leira od razu czepia się każdego słówka, które może nieść w sobie choćby odrobinę podejrzeń.

— No coś ty, oczywiście, że nie! — Ognistowłosa ma dziwne wrażenie, że czego nie powie, zostanie wykorzystane przeciwko niemu... — Mimo tego, że z nią zerwałem, wciąż uważam ją za wspaniałą osobę...

— Zerwałeś z nią? — Mistral jest przerażona i zbulwersowana równocześnie. — Człowieku, co ty najlepszego narobiłeś?!

— I się zaczyna... — wzdycha Lara. — Wchodźcie do środka, coś mi się zdaje, że zanosi się na długie tłumaczenie... — dodaje, idąc jako pierwsza do salonu.

Lumie wymieniają między sobą znaczące spojrzenia, po czym podążają za nastolatką. Bez żadnego skrępowania rzucają swoje rzeczy na podłogę i we cztery siadają na przestronnej sofie.

— Więc zacznijmy od początku — oznajmia Ira. — Zerwałeś z nią. Zdajesz sobie sprawę, co ty najlepszego narobiłeś?

— Nie do końca — chłopak siada na fotelu naprzeciwko.

— Tak się składa, że nasza Lu ostatnio bardzo wiele przeszła — wyjaśnia Io. — Zdrada ze strony narzeczonego, ciężka choroba, misterny plan przez niego uknuty, by ją zniszczyć, w końcu wybuch hotelu... Zapewne gdybyś zapytał się Rori, ona powiedziała ci o wiele, wiele więcej. Ja znam tylko część, a i tak mnie to przeraża i wiem, że ja osobiście na pewno bym sobie z tym nie poradziła. Ale ona mimo wszystko trzymała się prosto, nie skupiając się na sobie, tylko na innych.

— Kiedy Selumie zostało zniszczone, jeden z większych odłamków zabił jej małego smoczka — wtrąca Mistral. — Nie mam pojęcia, jak go znalazła, ani jak go przygarnęła, ale na pewno bardzo się do niego przywiązała. To był dla niej potworny cios. Byłyśmy pewne, że już się nie pozbiera. A mimo to swoją osobistą tragedię odłożyła na bok i pomogła każdej z nas, całej czterdziestce dojść do siebie, nawet o sobie nie myśląc.

— Potem Ro przyłapała swojego chłopaka na zdradzie — dodaje Aira. — I kto ją pocieszył? Oczywiście Lu. Ona ma niesamowicie dobre serce i niesamowicie wielką siłę woli, która trzyma ją prosto i popycha do jakiegokolwiek działania. Ale tak się składa, że wszystko ma swoje granice. Nawet ona nie zniesie wszystkiego. I po tym wszystkim, co ją spotkało, ty ją dobiłeś. Jestem gotowa się założyć, że nie było wówczas przy niej nikogo, kto mógłby ją pocieszyć. W takiej sytuacji nawet ona ma prawo całkowicie się załamać. A na co w takim stanie psychicznym jest zdolna, tego nikt nie wie...

Zapada krępujące milczenie. Wilczyce nawet nie wiedzą, jak bardzo wbiły Ognistowłosego w poczucie winy. Nie zdawał przecież sobie z tego sprawy... I teraz ma siłę tylko na to, żeby ukryć twarz w dłoniach.

— Macie jakiś pomysł, gdzie ona jest? — pyta stłumionym głosem.

— Może trzeba by było rozejrzeć się za Goldierem, on na pewno to wie... — zamyśla się Lei.

— Goldierem? — nastolatka ze Sterilie jest odrobinę dezorientowana, tak samo z resztą, jak wcześniej.

— Jej koniem — wyjaśnia lumia. — Taki piękny ardylian, ale nieco inny niż standardowe. Dosłownie cały złoty.

— A to czekaj, widziałam takiego! — Lara zrywa się z krzesła, na którym wcześniej przysiadła. — Jakiś czas temu, kiedy wracałam od Ardiena, z pałacu, rzucił mi się w oczy. Błąkał się właśnie w tamtych okolicach...

Wilczyce patrzą na siebie z przerażeniem. Jeżeli Goldier był tam, to musiało znaczyć, że Lumina znajdowała się gdzieś w pobliżu. A skoro ona poszła do pałacu, i jakoś nikt nie mówił nic na temat nagłego powrotu Jej Wysokości der Soltarie...

— Idziemy! — oznajmia Iora, po czym dosłownie wybiega z mieszkania.

Reszta podąża za nią, w tym nieco zdezorientowana obywatelka Sterilie i przerażony były zaginionej lumii.

Szybkim krokiem, wręcz biegiem przemierzają ulice Dminestil. W międzyczasie Io wyjaśnia Bastianowi ich obawy — przyszły król to były narzeczony Lu. Wielokrotnie próbował ją zabić, ale cudem za każdym razem udawało jej się ująć z życiem, może dzięki ostrożności, może dzięki innym czynnikom. Ale teraz, kiedy wilczyca jest totalnie podłamana, może po prostu zapomnieć o środkach bezpieczeństwa i zrobić coś, na co nie zdecydowałyby się nigdy indziej...

Chłopakowi włosy jeżą się na głowie na samą myśl o takim przebiegu wydarzeń. Chyba nigdy by sobie nie darował, jakby znaleźli dziewczynę martwą, albo, co chyba gorsze, nie znaleźli jej wcale...

— Słuchajcie, zadzwoniłam po Ro — oświadcza Leira, kiedy zasapana szóstka staje w końcu przed wejściem do pałacu. — Powiedziała, że wspiera nas wszystkie mentalnie, ale niestety, nie może nam pomóc w poszukiwaniach, jest już w drodze do furtki.

Wszyscy kiwają głowami z lekkim smutkiem. Co jak co, ale dodatkowa para rąk bardzo by się im przydała...

— Dobra, idziemy — zarządza Bastian, po czym bez słowa wchodzi do środka budynku. Nie obchodzą go strażę, których z resztą nie widać, chce po prostu wydusić od tego drania, Ardiena czy jak mu tam w rzeczywistości, co się stało z Lumina... I ma głęboko gdzieś kwestię, jakich środków będzie musiał do tego użyć, by przekonać przyszłego władcę Arlesii do ujawnienia tych informacji.

Bardzo szybko z resztą się na niego natyka. Niczego nieświadomy hrabia Ertex von Sheen właśnie przechodzi przez jeden z korytarzy, gdy nagle zostaje brutalnie przyciśnięty do muru przez wściekłego chłopaka.

— Gdzie jest moja dziewczyna? — wycedza Ognistowłosa przez zaciśnięte zęby. — Co z nią zrobiłeś?

— Nie wiem, o co ci chodzi — wydusza tamten z trudem. Jednak jakby nie było, to ciężko jest mówić, kiedy twoje gardło jest z ogromną siłą przyciskane do ściany i nie wiesz, czy za moment nie zostaniesz uduszony...

— Nie kłam! Co zrobiłeś z moją Dion?! — pierwszy jest nieugięty.

Przez moment ma wrażenie, że w oczach tamtego zauważa jakiś upiorny błysk, którego nie potrafi dokładnie określić. Ale ułamek sekundy później nie ma już takiej pewności, czy cokolwiek takiego widział...

— Bastian! — Lara wpada pomiędzy nich i za wszelką cenę stara się ich rozdzielić. — Zostaw go, co on ci zrobił?!

Zapada cisza. Z całej postaci Bastiana, jak również wszystkich lumii emanuje wściekłość i czysta nienawiść. Z kolei narzeczona przyszłego króla jest totalnie przerażona. On sam... jego jak zwykle nie da się sprecyzować, mimo tego, że znajduje się w dość nieciekawej sytuacji.

Moment później chłopak poluznia uścisk i jego niedoszła ofiara może wreszcie normalnie oddychać

— Co się stało? — kiedy tylko udaje mu się złapać oddech, hrabia zwraca się do swojej przyszłej żony.

— Moja przyjaciółka zginęła — wyjaśnia tamta. — Nie mamy pojęcia, gdzie ona jest. I nie rozumiem, dlaczego oskarżają cię...

— Współczuję — Ertex uśmiecha się smutno. — Wiem, co to znaczy, kiedy zostawi cię dziewczyna... Moja poprzednia narzeczona też mnie wystawiła, z resztą do końca nie wiem, co się z nią stało... Łączę się z tobą w bólu, naprawdę gorąco współczuję. Uwierz, to nie twoja wina, znajdziesz sobie lepszą.

Ognistowłosa patrzy na niego spod byka. Wie swoje, i nic go od tego nie odciągnie. Ale z drugiej strony nie ma też dowodów, że on cokolwiek zrobił Dion. I będzie musiał go znosić jako męża przyjaciółki... i przyszłego króla...

— Nic tu po nas — stwierdza w końcu. — Ale to i tak nie zmienia zdania, że ci nie wierzę — dodaje, po czym odwraca się i ma zamiar wyjść z pałacu.

— Poczekaj — prosi go Lara. — Muszę z tobą porozmawiać.

— To my już pójdziemy — oznajmiają lumie i dosłownie wybiegają z pałacu.

Hrabia von Sheen kiwa im głową na pożegnanie, i szepcze kilka słów do ucha pozostałej nastolatki. Potem również on odwraca się i idzie w swoim kierunku. Nikt nie widzi ponurego uśmiechu, który maluje się na jego twarzy...

— Chodź na taras — siedemnastolatka prosi swojego przyjaciela. — Mam do ciebie jedną, bardzo ważną sprawę.

Tamten odpowiada skinieniem głowy i wychodzi z nią na zewnątrz przez najbliższe drzwi.

— To o co chodzi? — pyta, opierając się plecami o balustradę.

— Nie jestem pewna, czy się zgodzisz... — dziewczyna zaczyna nieco nieśmiało. — Bo chodzi o to... Nie wiem, jak to powiedzieć... Dobra, tak prosto z mostu, to poprowadzisz mnie jutro do ślubu?

— Co? Ja?

— Tak, ty. Tylko ciebie z facetów znam na tyle dobrze, by prosić cię o coś takiego — wyjaśnia. — Widzisz... Ardien ma świetnych kumpli, ale ty jesteś moim przyjacielem.

— Nie ma mowy — kategorycznie odmawia chłopak. — Wiem, że to on

mieszał się w zniknięcie naszej kochanej Dion i nie przyłożę ręki do tego, żeby cię mu oddać.

— Ale... — Lara jest zaskoczona, choć w sumie spodziewała się takiej reakcji...

— Koniec i kropka — ucina Bastian. — Przykro mi bardzo, ale na ślubie też nie będę, ani na koronacji. Nie bierz tego do siebie, ale nie mam najmniejszego zamiaru mieć cokolwiek wspólnego z człowiekiem, który być może zabił moją dziewczynę — oświadcza, po czym wraca do środka.

— Twoją była dziewczynę... — zauważa jego przyjaciółka, ale on już nie ma szans tego usłyszeć.

Moment później zauważa go idącego w stronę ich mieszkania. Głowę ma spuszczoną, ręce schowane w kieszeniach.

Nastolatka wzdycha. Wbrew pozorom zniknięcie Dion też w nią uderzyło, tylko ona podchodzi do tego w nieco inny sposób. Zdaje sobie sprawę, że przyjaciółka mogła po prostu zamknąć ten rozdział w swoim życiu, tak samo, jak tamten, przez który znalazła się na Sterilie. Mogła przecież zniknąć, rozpocząć całkowicie nowe życie, w którym znów postara się odbudować zburzone szczęście. I wcale nie ma tego jej za złe. Każdy ma w końcu wolny wybór. Żałuje tylko, że nie będzie mogła się z nią podzielić jej radością ze ślubu. Przecież to najcudowniejszy dzień w jej życiu, co więcej, potem zostanie królową... Nigdy by się nie spodziewała, że kiedykolwiek pozna osobę, która będzie ją kochała tak szczerze, jak Ardien...

Nagle z rozmyślań wybija ją wycie wilka. Wzdryga się i zerka w kierunku, z którego ono dochodzi.

Z dziwną nostalgią patrzy na ogromną, okrągłą tarczę księżyca i odcinającą się na niej sylwetkę zwierzęcia. Z zaskoczeniem stwierdza, że musi być ono gdzieś blisko, inaczej miałyby mniejsze rozmiary...

„No tak, En wspominał przecież, że w opuszczonym zakątku ogrodu są wysokie skały... — stwierdza po chwili. — Muszę go kiedyś poprosić, żeby tam mnie zabrał...”

Moment później wilk zeskakuje ze skały i znika, ułamek sekundy przed północą, i równocześnie błyskawicznym przejściem pełni w nów.

Zaskoczona dziewczyna przypatruje się temu zjawisku. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

Ta jedna myśl wystarczy, by znów pogrążyła się w rozmyślaniach, nie zwracając uwagi na nic, co dzieje się wokół niej. A przecież nawet bez blasku księżyca można by wówczas wiele zobaczyć. Na przykład spektakl Ioulinów, poruszające się pod wpływem wiatru drzewa Eteris i Nuitario...

Albo przebiegającego przez ogród w kierunku wyjścia z terenu pałacowego wilka, z jednym uchem przyklapniętym, mającego zawieszony na szyi kryształ

z symbolem rodu der Soltarie...

Ciąg dalszy nastąpi
Mińsk Mazowiecki,

26 IV 2015 r.

Podziękowania

Podczas czytania wielu książek zaobserwowałam przesympatyczną tradycję składania przez autora podziękowań dla wszystkich, którzy przyczynili się do powstania utworu. Ja również się nie wyłamię — też pragnęłabym bardzo serdecznie podziękować wszystkim osobom, które mają swój wkład w to, co ty, drogi Czytelniku, trzymasz w dłoni.

Więc w pierwszej kolejności chciałam podziękować moim cudownym rodzicom — za wsparcie i wysłuchiwanie czasem nawet parugodzinnych wykładów na temat przykładowo topografii Arlesii, przyczyn chociażby takiego a nie innego zachowania Luminy, planu Selumie sporządzonego w odpowiedniej skali, choć właściwie nie mieli pojęcia, o czym tak naprawdę mówię, za cierpliwość, której często mi brakowało, oraz za wsparcie w momentach braku weny, pod postacią ciepłych słów i szczerych zachęt, bym mimo wszystko się nie poddała. Tak właściwie dziękuję Wam za wszystko.

Mojej wspaniałej nauczycielce od polskiego z gimnazjum — za to, że to właśnie ona rozbudziła we mnie chęć do pisania, zachęcała, podsuwała różnego rodzaju konkursy, i tak właściwie dzięki niej odkryłam w sobie talent, którego owoc masz właśnie przed sobą.

Kochanej Esi — za motywowanie do działania, do nie poddawania się w razie kolejnych odmów wydawnictw, za szczere zachwyty nad moim tekstem, oraz pomoc w rozjaśnianiu różnego rodzaju wątpliwości prawnych i regulaminowych. Bez Ciebie nie dałabym rady — pogubiłabym się w tym niezwykle skomplikowanym systemie, i podjęłabym pochopną decyzję, której potem mogłabym żałować. Jesteś najwspanialszym doradcą świata, kochana.

I wreszcie mojemu Pierwszemu Czytelnikowi — za wsparcie we wszelkiego rodzaju trudnych chwilach, nie tylko tych związanych z kryzysem weny, za wydawanie szczerych (czasem aż do bólu) opinii na temat każdego z rozdziałów oddzielnie, wyłapywanie błędów, na które ja nawet nie zwróciłabym uwagi. Za to, że w każdej sytuacji byłeś skłonny mnie wysłuchać, niezależnie od pory dnia czy nocy, oraz że zawsze starałeś udzielić mi pomocy, bez względu na to, jak bardzo ograniczone były Twoje możliwości. Lepszego przyjaciela wymarzyć sobie nie mogłam — dziękuję Ci za to, że jesteś i jeszcze jakoś mnie znosisz, choć wiem, że czasem nawet cierpliwość świętego potrafiłabym nadszarpnąć.

Oprócz tego serdecznie dziękuję również Tobie, Drogi Czytelniku — za wzięcie tego do ręki, rozpoczęcie lektury i dotarcie aż tutaj. Mam nadzieję, że się nie zawiodłeś, obiecuję również, że nie zawiedziesz się w przyszłości. Wbrew pozorom jest to dopiero początek niezwyklej przygody, która zatrząsie nie tylko Arlesii, a całym Vastertile, i właśnie Ty możesz poznać wszystkie jej

szczegóły...

Niech wszelka pomyślność będzie z Tobą!

Autorka

